

**LIONEL SHRIVER**

**MUSIMY POROZMAWIAĆ  
O KEVINIE**

*We Need to Talk About Kevin*

Z języka angielskiego przełożył

Krzysztof Uliszewski

**VIDEOGRAF II**

**Katowice**



*Dla Terri*  
*Najgorszy scenariusz, którego udało się nam uniknąć*

Dziecko tym więcej potrzebuje miłości, im mniej na nią zasługuje

*Erma Bombeck*

8 listopada 2000

*Drogi Franklinie,*

Nie jestem pewna, dlaczego jeden błahy incydent, który zdarzył się tego popołudnia, skłonił mnie do napisania listu do Ciebie. Ale odkąd jesteśmy w separacji, chyba trochę tęsknię za powrotami do domu i dzieleniem się ciekawostkami, które przydarzyły mi się w ciągu dnia, w sposób, w jaki kot kładzie u Twych stóp upolowaną mysz: małe, pokorne gesty, które pary wykonują wobec siebie po dłuższym rozstaniu. Siedziałabyś wtedy w kuchni, smarując kanapkę masłem orzechowym, mimo że zbliżałaby się już pora kolacji. Już od progu zaczęłabym opowiadać moją małą historyjkę. Nie zdążyłabym nawet odstawić przeciekającej torby ani uprzedzić, że na kolację jemy makaron, więc lepiej, żebyś nie zjadał całej kromki.

W pierwszym okresie oczywiście zarzucałam Cię egzotycznymi opowieściami z Lizbony czy Katmandu. Ale przecież nikt nie chce słuchać historii z obcych krajów, a z Twojej wyszukanej uprzejmości wywnioskowałam, że osobiście preferowałeś blahe anegdotki z najbliższej okolicy: na przykład o nietypowym spotkaniu z pracownikiem punktu pobierania opłat za przejazd przez most Jerzego Waszyngtona. Cuda przyziemnych spraw utwierdziły Cię w przekonaniu, że moje zagraniczne podróże w pewnym sensie były oszukiwaniem. Upominki - paczka nieco czerstwych belgijskich gofrów, brytyjskie wyrażenie oznaczające „bzdury” (nonsens!) - były sztucznie nasycone wrażeniem odległości, z jakiej je przywiozłam. Tak jak te świece, które wymieniałam z Japończykami - z pudełka do torebki, z pudełka do torebki - połyskujące na moich podarkach z bardzo daleka były jedynie opakowaniem. O ile bardziej znaczącym osiągnięciem stało się zapuszczenie korzeni na zawsze takich samych śmieciach starego, dobrego stanu Nowy Jork i znalezienie odrobiny pikanterii w wycieczce do sklepu Grand Union w Nyack.

Właśnie tam zaczyna się moja historia. Wygląda na to, że w końcu pojęłam, czego cały czas chciałeś mnie nauczyć - że mój własny kraj jest tak egzotyczny, a nawet tak niebezpieczny, jak Algieria. Byłam na diecie nabiałowej i nie potrzebowałam zbyt wiele; nawet nie chciałam. Z tego powodu nigdy nie gotowałam makaronu, ponieważ nie było Ciebie, byś mógł zjeść większą część. Naprawdę brakuje mi Twojego entuzjazmu.

Wciąż z trudem przychodzi mi przebywanie w miejscach publicznych. Pewnie myślisz, że w tym kraju, tak znanym z tego, że nie ma „świadomości historycznej”, jak to mówią Europejczycy, mogłabym liczyć na równie słynną amerykańską amnezję. Nic z tego. Nikt w tym „społeczeństwie” nie wykazuje żadnych oznak wskazujących na przebaczenie, a

minął już rok i osiem miesięcy od tamtego dnia. Dlatego musiałam długo przygotowywać się do wyjścia z domu, gdy trzeba było zrobić zakupy. Aha, dla sprzedawców ze sklepu 7-Eleven na Hopewell Street moja obecność nie jest już niczym nowym i butelkę mleka mogę tu kupić bez narażania się na ciekawskie spojrzenia. Ale nasz ulubiony Grand Union wciąż jest dla mnie nie lada wyzwaniem.

Zawsze czuję się tam podejrzana. Żeby to jakoś zrównoważyć, przybieram wyprostowaną postawę i unoszę ramiona. Teraz wiem, co ludzie myślą, mówiąc, by „trzymać głowę do góry”. Czasami nawet jestem zdziwiona, jak wiele można osiągnąć, usztywniając jedynie sylwetkę. Gdy fizycznie wyglądam dumnie, to towarzyszące mi uczucie przerażenia nieco maleje.

Po zastanowieniu się, czy lepiej kupić jaja duże czy średnie, skierowałam wzrok w stronę jogurtów. Kilka kroków ode mnie stała znajoma sprzedawczyni. Jej zniszczone, czarne przy cebulkach włosy były jasne na długości mniej więcej dwóch centymetrów, a loki utrzymywały się jedynie na końcach kosmyków: trwała ondulacja straciła swą ważność. Lawendowy top i dopasowana spódnica, które miała na sobie, może kiedyś były modne, ale teraz bluzka stała się przyciasna w biuście, a górna część spódnicy podkreślała jedynie szerokie biodra. Żakiet wymagał prasowania, a na pulchnych ramionach widoczne były zagniecenia od drucianego wieszaka. Domyśliłam się, że to pewnie było coś z samego końca szafki; rzecz, po którą sięga się wtedy, gdy wszystkie inne ubrania są brudne. A gdy kobieta odwróciła głowę w kierunku regału z topionym serem, zauważyłam fałdę drugiego podbródka.

Nawet nie zgaduj; nigdy nie rozpoznałbyś jej po tym opisie. Kiedyś była chorobliwie szczupła, o ostro zarysowanej sylwetce i lśniąca niczym ładnie zapakowany prezent. Pewnie bardziej romantycznie jest opisywać pogrążonych w smutku ludzi jako zmizerniałych, wydaje mi się jednak, że równie skutecznie można smucić się, zjadając czekoladki, jak i umartwiać się samą wodą z kranu. Poza tym niektóre żony dbają o siebie i dobrze wyglądają nie dlatego, by zadowolić męża, ale by nie wyglądać dużo starzej od swojej córki. Tyle tylko, że ta kobieta, dzięki nam, nie miała już takiej motywacji.

To była Mary Woolford. Nie byłam z tego dumna, ale nie potrafiłam spojrzeć jej w twarz. Chwiałam się. Moje dłonie stały się lepkie i niepewnie szperałam w kartonie, sprawdzając, czy jajka są całe. Staralam się sprawiać wrażenie klienta, który właśnie przypomniał sobie o czymś, co znajduje się w innym rzędzie regałów. Zdołałam włożyć jajka do koszyka, nie odwracając się. Gdy wyruszałam na tę moją małą, wymyśloną misję, odstawiłam wózek, ponieważ jego koła dość głośno skrzypiały. Wstrzymałam oddech.

Powinłam być przygotowana i zwykle jestem - spięta, ostrożna. Jak się okazuje - często zupełnie bez powodu. Ale przecież nie mogę w pełnej zbroi wychodzić z domu po każdą, nawet najdrobniejszą rzecz. Poza tym - co takiego mogła teraz zrobić mi Mary? Dołożyła wszelkich starań; pozwała mnie do sądu. Wciąż jednak nie mogłam powstrzymać łomotania serca, ani tak po prostu wrócić do wózka, nawet gdy zdałam sobie sprawę, że zostawiłam w nim swoją haftowaną torbę z Egiptu, w której znajdował się portfel.

To był jedyny powód, dla którego od razu nie opuściłam Grand Union. W końcu musiałam podkraść się po torbę. Wcześniej jednak przystanąłam przy półce z zupami Campbella i bezsensownie zastanawiałam się, jakie wrażenie na Andym Warholu wywarłaby nowa szata graficzna konserw.

Gdy wreszcie zdecydowałam się podejść, teren był bezpieczny. Zabrałam swój koszyk z miną bardzo zajętej pracującej kobiety, na którą czeka jeszcze mnóstwo obowiązków domowych. Znajoma rola - pomyślałabys. Minęło jednak wiele czasu, od kiedy myślałam o sobie w taki sposób, w jaki teraz ludzie stojący przede mną w kolejce do kasy odbierali moje zniecierpliwienie. Nie jako władczą nerwowość osoby, dla której czas to pieniądz, ale jako lepką, desperacką panikę uciekiniera.

Gdy już wyładowałam swoje sprawunki, karton z jajkami był wilgotny. Kasjerka otworzyła go. Eh. No i w końcu Mary Woolford mnie dostrzegła.

- Wszystkie dwanaście! - krzyknęła dziewczyna. - Poproszę, żeby przyniesiono pani nowe pudełko.

Powstrzymałam ją.

- Nie, nie - powiedziałam. - Bardzo się spieszę. Wezmę takie.

- Ale one są całkowicie...

- Wezmę takie, jakie są! - Nie ma lepszego sposobu na sprawienie, by ludzie z tobą współpracowali, niż udawanie osoby lekko niezrównoważonej psychicznie. Wskazawszy paczką chusteczek na kod kreskowy, znajdujący się na pudełku z jajkami, dziewczyna przeskanowała go, a później wytarła dokładnie ręce, przewracając oczami.

- *Khatchadourian* - wyrecytowała, gdy podałam jej kartę płatniczą. Mówiła głośno, tak jakby zwracała się do osób stojących w kolejce. Było późne popołudnie, odpowiedni czas na to, by pracować po lekcjach; dziewczyna miała mniej więcej siedemnaście lat i z powodzeniem mogłaby być w tej samej klasie, co Kevin. Jasne, że w najbliższej okolicy jest pół tuzina średnich szkół, a jej rodzina mogła dopiero co przeprowadzić się tutaj z Kalifornii. Jednak wyraz jej oczu wskazywał, że było zupełnie inaczej. Zmierzyła mnie surowym spojrzeniem. - To niezwykle nazwisko.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale naprawdę jestem już tym zmęczona. To nie tak, że nie mam wstydu. Raczej powiedziałabym, że jestem już zmęczona wstydem pokrywającym wszystko wokół swoją lepką skazą białkową. To nie jest uczucie, które do czegośkolwiek prowadzi.

- Jestem jedyną Khatchadourian w całym stanie Nowy Jork - wypaliłam i zabrałam koszyk. Wrzuciłam jajka do mojej torby tak, że jeszcze bardziej się potłukły.

No i w końcu jestem w domu - tutaj czuję się dobrze. Oczywiście nigdy tutaj nie byłeś, więc pozwól, że opiszę Ci, jak wygląda.

Byłbyś zaskoczony. Nie tylko dlatego, że postanowiłam zostać w Gladstone, szczególnie po tym, jak początkowo nie podobał mi się pomysł przeprowadzki na przedmieścia. Pomyślałam jednak, że powinnam zostać w stosunkowo bliskiej odległości od Kevina, w zasięgu samochodu. Poza tym, choć pragnę anonimowości, nie chodzi mi o to, żeby sąsiedzi zapomnieli, kim jestem; chcę tu mieszkać, a nie każde miasto daje taką możliwość. To jest jedyne miejsce na ziemi, w którym ramy mojego życia są wypełnione w całości, a w obecnej chwili bardziej zależy mi na tym, by być zrozumianą, niż na tym, by być lubianą.

Po opłaceniu prawników zostało mi jeszcze trochę pieniędzy, za które mogłam sprawić sobie własny kącik, ale zdecydowałam się na wynajmowanie mieszkania. W dodatku moje życie w tym bliźniaku, przypominającym domek z klocków, było pasującą do siebie mieszanką temperamentów. Och, byłbyś przerażony; jego marne, wykonane z niezbyt dobrego drewna meble zupełnie zaprzeczały myśli przewodniej Twego ojca, mówiącej, że „materiały są wszystkim”. Ale to jest właśnie zaleta skromnego wyposażenia, którą tak wysoko cenię.

Wszystko jest tu niepewne i ryzykowne. Strome schody, prowadzące na piętro, nie mają balustrady, przez co przyprawiają mnie o zawroty głowy, gdy po trzech lampkach wina idę do sypialni. Podłogi skrzypią, a okna są nieszczelne. W dodatku w powietrzu unosi się nutka mizerności i wątlności, tak jakby w każdej chwili cała konstrukcja mogła się rozsypać niczym zły pomysł. Małe halogenowe żarówki, oświetlające parter, które kołyszą się na zardzewiałym, drucianym wieszaku zwisającym z kabla ciągnącego się pod sufitem, mają tendencję do migania. Ich drżące światło doskonale współgra z pojawiającymi się i znikającymi sensacjami, wypełniającymi moje nowe życie. Wnętrznoci gniazdka telefonicznego są wyciągnięte na zewnątrz, dlatego moja łączność ze światem zależy teraz od dwóch słabo przylutowanych drutów i często się zrywa. Właściciel obiecał mi porządną

kuchenkę, jednak wcale nie przeszkadza mi, że w obecnej nie świeci się lampka kontrolna. Wewnętrzna klamka drzwi wejściowych bardzo często zostaje mi w dłoni. Na razie udaje mi się mocować ją tak, by działała, ale wystający kikut przywodzi mi na myśl moją matkę, niezdolną do wyjścia z domu.

Zdaję sobie również sprawę, że to mieszkanie ma tendencję do oszczędnego wykorzystywania swych zasobów. Ogrzewanie jest bardzo słabe, a kaloryfery dają tylko trochę ciepła. Jest dopiero początek listopada, a ja już muszę odkręcać je na cały regulator. Gdy biorę prysznic, woda jest tylko na tyle ciepła, że się nie trzęsę. Świadomość, że nie mam żadnej rezerwy, napędza mnie niepokojem. Termostat lodówki ustawiony jest na najwyższym punkcie, jednak mleko wytrzymuje w niej tylko trzy dni.

Jeśli chodzi o wystrój, to sprawia on wrażenie świetnej farsy. Dolne piętro pomalowane jest bardzo niedbale na nieprzyjemnie jasny, żółty kolor, spod którego przebijają smugi białej farby, tak jakby były namalowane kredką. Na górze, w mojej sypialni, ściany są amatorsko pomazane farbą wodną, co przypomina rysunki dzieci ze szkoły podstawowej. Ten nerwowy mały domek nie wydaje się tak do końca realny, Franklinie. A ja czuję się podobnie.

Mam nadzieję, że nie współczujesz mi; nie mam zamiaru sprawiać, byś mi współczuł. Gdybym chciała, bez trudu mogłabym znaleźć bardziej okazałe mieszkanie. W sumie podoba mi się tutaj. Jest tak niepoważnie, wręcz zabawkowo. Czuję się, jakbym żyła w domku dla lalek. Nawet meble są w nietypowych rozmiarach. Stół w jadalni sięga mi do piersi, przez co wydaje mi się, że jestem bardzo niska. Z kolei stojący przy łóżku stolik, na którym położyłam laptop, jest tak mały, że zupełnie nie nadaje się do tego, by na nim pisać - jest za to odpowiedni, by podawać na nim kokosowe ciasteczka i sok ananasowy dla przedszkolaków.

Może ta nierówna, niedojrzała atmosfera wyjaśnia, dlaczego wczoraj nie głosowałam w wyborach prezydenckich. Po prostu zapomniałam. Wszystko, co dzieje się wokół mnie, wydaje mi się takie odległe. A teraz, zamiast stanąć w silnej opozycji do mojego zaburzenia, cały kraj zdaje się dołączać do mnie w tym królestwie nierealności. Głosy są policzone. Ale tak jak w dziełach Kafki, nikt nie wie, kto wygrał.

Miałam te dwanaście jajek - a raczej to, co z nich zostało. Wrzuciłam wszystko do miski i wyłowilałam resztki skorupki. Gdybyś tu był, przygotowałabym dla nas pyszny omlet z krojonymi ziemniakami i łyżeczką kolendry, która jest całą tajemnicą tego przysmaku. Byłam jednak sama, więc pomyślałam, że wyleję to na patelnię, roztrzepię i usmażę. Ale zjem je tak, jak zwykle. W gestach Mary było coś, co odkryłam w jakiś dziwny, nieznan mi dotychczas sposób; coś eleganckiego.



Początkowo jedzenie mnie odrzucało. Będąc u mojej matki w Racine, zrobiłam się zielona, siedząc nad jej nadziewaną dolmą, mimo że cały dzień spędziła na blanszowaniu liści winogron i skręcaniu nadzienia z baraniny i ryżu w odpowiednie roladki. Przypomniałam jej, że może je zamrozić. Na Manhattanie, gdy przebiegałam obok delikatesów znajdujących się na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, po drodze do kancelarii prawnej Harveya, ostry zapach wędzonej wołowiny wywraçał mój żołądek na lewą stronę. W końcu jednak nudności przeszły, a ja zaczęłam za nimi tęsknić. Gdy po czterech czy pięciu miesiącach zrobiłam się głodna - w zasadzie umierałam z głodu - mój wilczy apetyt odebrałam jako coś niestosownego. Kontynuowałam więc odgrywanie roli kobiety, która straciła zainteresowanie jedzeniem.

Jednak mniej więcej po roku stanęłam przed faktem, że mój teatr został zniszczony. Gdybym nawet stała się chuda jak szczapa - i tak nikt by się tym nie przejmował. Chciałabym natomiast, żebyś Ty objął moją klatkę piersiową swoimi ogromnymi dłońmi, podniósł mnie do góry i z wyrzutem, który ucieszyłby każdą kobietę Zachodu, powiedział: - Ty jesteś za chuda!

Tak więc teraz każdego ranka piję kawę i jem rogalika, a wszystkie okruszki zbieram poślinionym palcem. Systematyczne siekanie kapusty zajmuje mi natomiast sporą część długich listopadowych wieczorów. Odmówiłam nawet, raz czy dwa, przyjęcia zaproszenia na wieczorne wyjście, które otrzymałam przez telefon. Zwykle byli to moi znajomi z zagranicy, z którymi od czasu do czasu wymieniam e-maile, a których nie widziałam od wielu lat. Zwłaszcza, jeśli nie wiedzą, a ja zawsze mogę o tym powiedzieć. Niewiniątka brzmią zbyt awanturniczko, podczas gdy nowicjusze zaczynają z pełnym szacunku jękaniem i cichym, wręcz kościelnym tonem. Oczywiście nie mam zamiaru opowiadać całej historii. Wcale nie pragnę cichego współczucia przyjaciół, którzy nie wiedzą, co powiedzieć i sposobem prowadzenia rozmowy sprawiają, że wypruwam sobie wnętrności. Ale tak naprawdę tym, co sprawia, że wykręcą się, mówiąc, iż „jestem zajęta” jest strach, że zjemy sałatkę i około 20.30 lub 21.00 rozejdziemy się do domów, a ja nie będę miała czego siekać.

Zabawne, po tak długim czasie spędzonym w podróży dla *Wing and a Prayer* - co wieczór inna restauracja, w której kelner mówił po hiszpańsku lub tajsku, a menu zawierało *ceviche* lub psa - powinnam zwariować w związku z tą potworną rutyną. Co gorsza, coraz bardziej przypominałam moją matkę. Ale nie potrafię zerwać z tą ograniczoną sekwencją (kawałek sera lub sześć, siedem oliwek; pierś kurczaka, kotlet lub omlet; gotowane warzywa; jedno ciasteczko waniliowe; nie więcej niż pół butelki wina), tak jakbym chodziła po linie i przy jednym niewłaściwym kroku mogła spaść. Musiałam całkowicie odrzucić biały groszek,

ponieważ jego przygotowanie jest niewystarczająco żmudne.

Zresztą, nawet gdy byliśmy w separacji wiedziałam, że będziesz martwił się o to, czy coś jem. Zawsze się martwiłeś. Dzięki małemu rewanzowi ze strony Mary Woolford dziś wieczorem wystarczająco się najadłam. Jednak wybryki nie wszystkich sąsiadów miały dla mnie tak kojący efekt.

Na przykład te galony purpurowej farby, wylane na całym ganku, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w naszym nowobogackim, wiejskim domku (tak, Franklinie, czy tego chcesz, czy nie, to właśnie był *wiejski domek*) na Palisades Parade. Na oknach, na drzwiach wejściowych. Zrobili to w nocy, a gdy następnego dnia obudziłam się, farba już prawie wyschła. Myślałam wtedy, raptem miesiąc po - jak w ogóle mam nazywać tamten *Czwartek?* - że nie mogłabym być już bardziej przerażona lub zraniona. Przypuszczam, że to zwykła próżność. Skoro już jesteś tak skrzywdzony, to krzywdą w całej swojej wielkości sprawia, że czujesz się bezpiecznie.

Gdy tamtego poranka przeszłam z kuchni do salonu, doceniłam to, że byłam odporna na głupoty. Zdziwiłam się. Promienie słoneczne wpadały przez okna, a przynajmniej przez te części, które nie były zamazane farbą. Przebijały się również przez miejsca, w których warstwa lakieru była cieńsza, barwiąc ściany w kolorze złamanej bieli na odcień czerwieni, charakterystyczny dla chińskich restauracji.

Zawsze prowadziłam politykę, którą zresztą podziwiałeś, by stawać twarzą w twarz z rzeczami, których się boimy, choć przyjąłam tę zasadę, gdy moje obawy ograniczały się do zgubienia drogi w obcym mieście - błahostka. Ile bym dała, by wróciły te czasy, kiedy nie miałam pojęcia, co mnie czeka (*dziecięca zabawka*, na przykład)! Stare przyzwyczajenia jednak trudno przezwyciężyć, dlatego zamiast wrócić do sypialni i posłać łóżko, postanowiłam oszacować szkody. Okazało się, że purpurowa emalia sklepiła drzwi wejściowe z futryną. Niestety, w przeciwieństwie do farby lateksowej, nie dało się jej tak po prostu zmyć wodą. Emalia jest droga, Franklinie. Ktoś musiał ponieść poważny wydatek. Oczywiście nasze dawne sąsiedztwo miało wiele niedostatków, ale na pewno nie brakowało tam pieniędzy.

Wyszłam więc bocznymi drzwiami i w szlafroku dotarłam do głównego wejścia. Oceniając dzieło naszych sąsiadów, czułam, że moja twarz przybrała tę samą „kamienną maskę”, jaką „New York Times” opisywał w relacji z procesu. „Post”, mniej uprzejmie, określił moją postawę jako „bezczelną”, a nasz lokalny „Journal News” posunął się jeszcze dalej: „Z kamiennej nieugiętości i zajadłości Evy Khatchadourian wynika, że jej syn nie mógł

zrobić nic gorszego od włożenia świńskiego ogonka do kałamarza”. (Przyznaję, że w sądzie byłam bardzo sztywna, miałam wółprzymknięte oczy, a zębami trzonowymi przygryzałam policzki; pamiętam, że stosowałam się do jednego z Twoich przykazań twardego faceta: „Nie daj im poznać, że się boisz”, ale Franklinie, „bezczelna”? Próbowałam się nie rozplakać).

Efekt był naprawdę imponujący, o ile oczywiście miałeś zamiłowanie do sensacji. Ja w tamtym momencie zdecydowanie nie miałam. Dom wyglądał tak, jakby ktoś podciął mu gardło. Pokryty dzikimi, nieregularnymi plamami, charakterystycznymi dla obrazków z testu Rorschacha, ze skrupulatnie dobranym kolorem - głębokim i soczystym, z lekką nutą niebieskości - być może nawet zmieszany specjalnie na tę okazję. Pomyślałam nawet bezdusznie, że jeśli sprawcy specjalnie zamówili ten odcień koloru, a nie zwyczajnie kupili gotową farbę, to policja będzie mogła dość łatwo ich odnaleźć.

Nie miałam jednak zamiaru ponownie iść na komisariat, o ile nie zostałabym do tego zmuszona.

Mój szlafrok był cienki - ten, który mi dałeś z okazji pierwszej rocznicy ślubu w roku 1980. Był on jedynym okryciem, jakie dostałam od Ciebie, i nie sięgnęłabym po nic innego. Wyrzuciłam tak wiele rzeczy, ale nic z tych, które mi dałeś lub zostawiłeś. Przyznaję, że takie talizmany są przygnębiające. Ale właśnie dlatego je zatrzymałam. Despotyczne, terapeutyczne typy uznałyby, że moje zagracone szafki nie są „zdrowe”. Ja miałam inne zdanie. W przeciwieństwie do tego służalczego, brudnego bólu związanego z Kevinem, pomalowanym domem, karnymi i cywilnymi procesami, ten ból był *zdrowy*. Bardzo lekceważona w latach sześćdziesiątych zdrowotność jest właściwością, którą nauczyłam się doceniać jako zadziwiajączą rzadkość.

Zmierzam do tego, że gdy kurczowo trzymałam się tej cienkiej, błękitnej bawełny i oceniałam byle jakie malowanie, które zasponsorowali nam sąsiedzi, było mi zimno. Działo się to w maju, ale wiał rzeński, dość przenikliwy i czasami porywisty wiatr. Zanim odnalazłam się po tym wszystkim, wyobrażałam sobie, że w następstwie osobistej apokalipsy małe, życiowe przykrości w końcu zupełnie znikną. To jednak nie jest prawda. Ciągłe czujesz dreszcze, rozpaczasz, gdy poczta zgubi twoją paczkę, i jesteś poirytowany, gdy zauważysz, że wydano ci zbyt mało reszty w kawiarni Starbucks. Wydaje się, że w takich okolicznościach trochę zawstydzające dla mnie byłoby, gdybym wciąż potrzebowała jakiegoś swetra lub mufki, albo protestowała, gdy otrzymam o dolara i pięćdziesiąt centów reszty za mało. Ale od *Czwartku* całe moje życie zostało okryte takim kocem zawstydzenia, że w zamian wybrałam drobne kłopoty, które były jednak oznakami przyzwoitości. Ubranie nieodpowiednie do pory roku lub rozdrażnienie, że w markecie wielkości targu byłaby nie potrafię zlokalizować paczki

zapalek, były rzeczami, które wychwalałam jako emocjonalnie codzienne.

Wracając do bocznych drzwi, zastanawiałam się, w jaki sposób banda włóczęgów mogła tak oszpecić mój dom, podczas gdy ja, nieświadoma niczego, spałam w środku. Obwinałam o to sporą dawkę środków uspokajających, które zażywałam każdego wieczoru (proszę, Franklinie, nic nie mów, wiem, że tego nie pochwalasz), ale w końcu zorientowałam się, że źle wyobrażam sobie całe zdarzenie. Przecież minął już miesiąc, a nie jeden dzień. Nie było już drwin i głośnego płaczu, nie było też masek narciarskich i strzelb z obciętymi lufami. Przychodzili w ukryciu. Jedyne odgłosy były łamane gałązki, delikatne walnięcie, gdy pierwsza puszka ochlapała nasze połyskujące, mahoniowe drzwi, usypiający, oceaniczny plusk porcji farby spadającej na okno, jej ciche stukanie, gdy oblewała ściany niczym silny deszcz. Nasz dom nie był opryskany zmywalnym sprayem w akcie spontanicznego oburzenia, ale zniszczony z nienawiścią, która zmalala dopiero wtedy, gdy warstwa farby była tak gruba i gęsta jak dobry, francuski sos.

Pewnie nalegałbyś, żeby zatrudnić kogoś do czyszczenia naszego domu. Zawsze byłeś zwolennikiem tego wyjątkowego amerykańskiego zamiłowania do wąskiej specjalizacji - tutaj można było znaleźć eksperta w każdej dziedzinie. Czasami nawet dla zabawy otwierałeś książkę telefoniczną. „Usuwanie farby: Purpurowa emalia”. W gazetach jednak wiele pisano o tym, jak bardzo byliśmy bogaci i jak bardzo Kevin był rozpuszczony. Nie chciałam dawać mieszkańcom Gladstone okazji do szyderstw: *Patrzcie, może wynająć sobie kolejnego sługę do posprzątania tego bałaganu, tak jak wynajęła tego drogiego adwokata*. Nie, kazałam im patrzeć, jak dzień po dniu, własnoręcznie zdrapuję farbę i czyszczę cegły wypożyczonym pistoletem ciśnieniowym. Pewnego wieczoru, po całodziennej harówce, spojrzałam na swoje odbicie w lustrze - pomięte ubranie, zniszczone paznokcie, brudne włosy - i krzyknęłam. Kiedyś już tak wyglądałam.

Kilka szczelin wokół drzwi może jeszcze połyskiwać rubinową barwą, a głęboko w załamaniach tych pseudozabytkowych cegieł mogą mienić się w słońcu krople złości, do których nie dosięgam z drabiny. Tego już nie wiem. Sprzedałam ten dom. Po procesie cywilnym musiałam. Spodziewałam się, że będę miała problemy z pozbyciem się nieruchomości. Wydawało mi się, że przesądni kupcy zrezygnują z transakcji, gdyby dowiedzieli się, kto był właścicielem. Ale po raz kolejny przekonałam się, w jak małym stopniu rozumiem własny kraj. Kiedyś zarzuciłeś mi, że zbyt dużo uwagi poświęcam „zadupiom Trzeciego Świata”, tymczasem pod samym nosem mam niewątpliwie najbardziej wyjątkowe imperium w historii ludzkości. Miałaś rację, Franklinie. Nie ma to jak w domu.

Gdy tylko wystawiłam dom na sprzedaż, zostałam wprost zasypana ofertami. Nie dlatego, że potencjalni kupcy nie wiedzieli, ale właśnie dlatego, że wiedzieli. Sprzedałam nasz dom za dużo więcej, niż był wart - za ponad trzy miliony dolarów. W swojej naiwności nie domyśliłam się, że to właśnie zła sława była największym atutem. Podczas oglądania spiżarni pary wyglądającej na karierowiczów, oczami wyobraźni widziały kulminacyjny moment przyjęcia z okazji wprowadzenia się do naszego domu.

*[Ding-ding!] Słuchajcie, ludziska. Pragnę wznieść toast, w pierwszej kolejności za tę chałupę, nie uwierzycie, od kogo kupiliśmy to ranczo. Gotowi? Eva Khatchadourian... Brzmi znajomo? Pewnie, że tak. Gdzie myśmy się to przeprowadzili? Gladstone!... Tak, ze wszystkich Khatchadourianów to właśnie ci Khatchadourianowie, Pete. O Boże, ten chłopak...*

*...Zgadza się. „Kevin”. Niezła jazda, nie? Mój synek Lawrence ma jego pokój. Jedną noc spędził też w innym. Mówił, że musi zostać ze mną, by oglądać film Henry: Portret seryjnego mordercy, bo jego pokój był nawiedzony przez „Kevina Keczupa”. Musiałem rozczarować dzieciaka. Przykro mi, powiedziałem, ale Kevin Keczup nie może już dłużej nawiedzać twojego pokoju, bo nic niewarty mały gnojek kisi się w jakimś więzieniu dla nieletnich na północy stanu. Gdyby to ode mnie zależało, to wysłałbym go na krzesło elektryczne... Nie, nie było tak strasznie jak w Columbine. Ile, dziesięć, kochanie? Dziewięć, racja, siedmioro dzieci i dwoje dorosłych. Nauczyciel, którego grzmotnął, był jakby przewodnikiem tego bachora. I nie wiem, czy można za to obwiniać filmy albo muzykę rockową. My przecież też dorastaliśmy przy muzyce rockowej, nieprawdaż? I nikt z nas nie zrobił w szkole takiej masakry. A weźmy Lawrence'a. Ten młody chłopak uwielbia krwawe filmy telewizyjne i niezależnie od szczegółów nie wzdraga się. A gdy uciekł jego króliczek? Płakał przez tydzień. Wiedzą, jaka jest różnica. Wychowujemy go tak, żeby wiedział, co jest dobre. Może to nie jest fair, ale naprawdę trzeba by się zastanowić nad rodzicami.*

*Eva*

15 listopada 2000

*Drogi Franklinie,*

Wiesz, że zawsze staram się być grzeczna. Gdy moi współpracownicy z biura podróży w Nyack - tak, tam teraz pracuję; wierz lub nie, ale doceniam to zajęcie i cieszę się z niego bardzo - zaczynają toczyć pianę z ust na temat nieproporcjonalnej liczby głosów oddanych w Palm Beach na Pata Buchanana, ja cierpliwie czekam, aż wypowiedzą się do ostatniego słowa. Dzięki temu stałam się prawdziwym skarbem, kimś wyjątkowym: jestem jedyną osobą w biurze, która nie przerywa im w pół zdania. Przy mnie mogą wygadać się do woli. Atmosfera w tym kraju stała się niespodziewanie iście karnawałowa, świąteczna, ale równocześnie dość ostra. Ja jednak nie czuję się zaproszona na tę imprezę. Nie obchodzi mnie, kto jest prezydentem.

Za to bardzo barwnie potrafię sobie wyobrazić, jak wydarzenia ostatniego tygodnia wyglądałyby w naszym prywatnym życiu. Ja głosowałabym na Gore'a, Ty na Busha. Przed wyborami często prowadzilibyśmy ożywione dyskusje, jednak rzeczowa wymiana zdań byłaby tylko marzeniem. Przerażliwie głośnie walenie pięściami w stół, trzaskanie drzwiami, ja recytująca wybrane fragmenty z „New York Timesa”, Ty z furią podkreślający to, co napisano w redakcyjnych komentarzach „Wall Street Journal”. I te sztuczne uśmiechy, skrywające nieopisany gniew. Tak mi brakuje tych kłótni o błahostki.

Drobną nieszczerością z mojej strony było to, że na początku ostatniego listu twierdziłam, iż podczas naszej rozmowy pod koniec dnia powiedziałam Ci wszystko. Skłamałam. Mój umysł po brzegi wypełniony jest drobnymi sprawami, o których nigdy się nie dowiesz. To właśnie one są jednym z powodów, które skłaniają mnie do pisania do Ciebie.

Nie myśl sobie, że te sekrety przynosiły mi radość. One mnie uwięziły, czułam się osaczona. Kiedyś nic nie sprawiłoby mi większej radości, niż wyrzucenie ich z siebie. Ale Ty, Franklinie, nie chciałeś mnie słuchać. I pewnie dalej nie chcesz. Może powinnam podjąć wtedy więcej prób sensownej rozmowy, ale niestety bardzo szybko znaleźliśmy się po przeciwnych stronach barykady. To, co dzieli wiele skłóconych par, jest dla nich nieokreślone, jest jakąś abstrakcyjną granicą - przeszłością lub unoszącą się w powietrzu urazą, niedostrzegalną siłą żyjącą własnym życiem, oplatającą ich niczym pajęczyna. Być może w okresie pojednania owa nierealna, niewidzialna bariera znika. Zazdrośnie sobie wyobrażam taką sytuację: *Zobacz, pokój jest pusty, nic nas już nie dzieli, powietrze jest*

*przejrzyste, możemy się porozumieć.* W naszym przypadku wygląda to zupełnie inaczej. To, co nas podzieliło, jest zbyt namacalne, zbyt realne. I gdyby przypadkiem nie znajdowało się w pokoju, z łatwością mogłoby do niego wejść w każdej chwili.

Nasz syn. On nie jest zbiorem mało znanych, drobnych historyjek - to jedna wielka opowieść. Nie będę jej snuć, mimo że naturalna ochota, by to robić, pojawia się za każdym razem, gdy o nim myślę. Muszę cofnąć się bardziej w przeszłość. Tak wiele historii ma z góry określone zakończenie, zanim na dobre się rozpoczną.

*Co nas opętało?* Byliśmy tacy szczęśliwi! Dlaczego wtedy zdecydowaliśmy się, by wszystko, co mieliśmy, postawić na ryzykowny zakład posiadania dziecka? Oczywiście Twoim zdaniem takie pytanie to profanacja. Nieurodzajna gleba rodzi kwaśne owoce, jednak sam przyznasz, że wbrew zasadom jest posiadanie dziecka i spędzanie całego życia na wygnaniu, czego Ty zresztą nie zaznałeś. Przewrotność Pandory sprawia jednak, że otwieram się całkowicie. Mam wyobraźnię i lubię prowokować. Już wcześniej wiedziałam, że taka jestem: kobieta, która ma koszmarną zdolność żałowania nawet nieodwracalnych spraw. Kevin jednak nie uznawał życia innych ludzi za coś niepodważalnego, prawda?

Przepraszam, ale nie oczekuj ode mnie, że będę unikała tego tematu. Nie bardzo wiem, jak nazwać to, co wydarzyło się wtedy, w *Czwartek. Bestialstwo* wygląda jak wyciągnięte z gazety, *zdarzenie* w nienormalny sposób minimalizuje jego znaczenie, a *dzień, w którym nasz syn popełnił zbiorowe morderstwo* jest zbyt długie, czyż nie? Lepiej nie wspominać? Ja jednak będę. Codziennie budzę się i kładę spać ze świadomością tego, co zrobił nasz syn. Niczym z nędzną imitacją męża.

Pomęczyłam nieco swój umysł, by przypomnieć sobie te miesiące roku 1982, kiedy to oficjalnie zdecydowaliśmy się na dziecko. Mieszkaliśmy wtedy na moim przestronnym poddaszu w Tribeca, otoczeni przez homoseksualistów, niezależnych artystów oraz bezdzietne pary, które co wieczór jadły w meksykańskiej restauracji i wracały do domu o trzeciej w nocy. Dzieci w tym otoczeniu były tak częstym widokiem jak sowy lub inne gatunki zagrożone wyginięciem.

Nic dziwnego, że nasze rozważania były dość patetyczne i abstrakcyjne. Na wszelki wypadek ustaliliśmy nawet ostateczny termin - moje trzydzieste siódme urodziny tego sierpnia - bo przecież nie chcieliśmy, by nasze dziecko mieszkało w domu z lat sześćdziesiątych.

Lata sześćdziesiąte! W tamtych czasach był to okres równie zaskakująco teoretyczny, co posiadanie dziecka. Zamierzam udać się w podróż do tego nieznanego świata w ciągu najbliższych pięciu lat, bez żadnych ceremonii, po prostu wsiadając w autobus miejski. To był

rok 1999, kiedy tak posunęłam się w czasie. Mimo to nie zauważyłam w lustrze, że się starzeję. Bardziej uświadomili mi to inni ludzie. Gdy w styczniu odnawiałam swoje prawo jazdy, urzędnik wcale nie był zdziwiony, że mam pięćdziesiąt cztery lata. A wiesz, że byłam przewrażliwiona na tym punkcie, tym bardziej, że zewsząd słyszałam zachwyty, iż wyglądam co najmniej dziesięć lat młodziej. Teraz te zachwyty się skończyły. W dodatku krótko po tym *Czwartku* spotkała mnie dość krępująca sytuacja, gdyż kontroler biletów w metrze na Manhattanie zwrócił mi uwagę, że osoby po 65. roku życia mają zniżki na przejazd.

Zgodziliśmy się, że postanowienie o byciu rodzicami będzie najważniejszą wspólną decyzją w naszym życiu. Jej powaga sprawiła jednak, że tak naprawdę nigdy nie stała się rzeczywistością, a jedynie sprawiała wrażenie kaprysu. Za każdym razem, gdy jedno z nas próbowało rozpocząć rozmowę na ten temat, czułam się jak siedmiolatka rozmyślająca o lalce, którą dostanie pod choinkę.

Przypominam sobie kilka rozmów o dziecku, jednak bardziej wyglądały one jak lawirowanie pomiędzy argumentami za i przeciw. Punkt kulminacyjny nastąpił po niedzielnym lunchu, który jedliśmy z Brianem i Louise na Riverside Drive. Nie wychodzili już wieczorami. Zwykle jedno z nich zajmowało się przyrządzaniem kolacji w domu, a drugie kąpało i układało do snu dwie wrzeszczące, małe dziewczynki. Ja zwykle wołałam wieczorne życie towarzyskie. Mimo że taka beztroska nie była już modna, chciałam dalej spotykać się z tym ciepłym, usatkwionym scenarzystą HBO, który przyrządzał pastę i na parapecie hodował pietruszkę.

- I pomyśleć, że był takim ćpunem - zastanawiałam się, jadąc windą w dół.
- Mówisz to z tęsknotą - zauważyłeś.
- Jestem pewna, że teraz jest szczęśliwszy.

Nie byłam pewna. W tamtych dniach wciąż jeszcze byłam na tyle żywotna, że mogłam być podejrzaną. Rzeczywiście, bawiliśmy się bardzo dobrze i później czułam się zadziwiająco samotna. Uwielbiałam solidny, dębowy zestaw obiadowy, zakupiony za grosze na wyprzedazy gdzieś na północy stanu, podczas gdy Ty szczegółowo opisywałeś lalki młodszej dziewczynki z cierpliwością, która przyprawiała mnie o gęsią skórę. Szczerze polecaliśmy naszą pomyslową sałatkę, gdyż we wczesnych latach osiemdziesiątych kozi ser i suszone pomidory nie były jeszcze passe.

Lata wcześniej doszliśmy do wniosku, że Ty i Brian nie powinniście rozmawiać o Ronaldzie Reaganie: dla Ciebie był on uosobieniem dobrego humoru, fachowcem od polityki fiskalnej, który przywrócił dumę narodowi, a dla Briana - okazem niebezpiecznego idiotyzmu, który przez obniżanie podatków bogatym doprowadzi kraj do bankructwa.



Ograniczaliśmy się więc wyłącznie do bezpiecznych tematów, a w tle towarzyszyła nam piosenka *Ebony and Ivory*. Tłumiłam irytację faktem, że utwór ciągle się powtarza, a dziewczynki udają śpiew. Narzekałeś, że Knicks nie awansowali do fazy play-off, a Brian udawał człowieka interesującego się sportem. Wszyscy byliśmy rozczarowani faktem, że to już ostatni sezon serialu *All in the Family*, ale zgodnie uznaliśmy, że twórcy wyczerpali wszystkie dobre pomysły. Jedyne konflikty, jakie zdarzyły się tego popołudnia, związane były z serialem *M.A.S.H.*, który również zbliżał się ku końcowi. Wiedziałeś, że Brian go uwielbia, jednak nie powstrzymało Cię to przed nazwaniem Alana Aldy'ego „świętoszkowatym draniem”.

Spotkanie było nieprzyzwoicie zgodne. Brian miał sztywne poglądy na temat Izraela, a ja chciałam odnieść się do „judeonazistów” i zburzyć tę miłą atmosferę. Zamiast tego zapytałam go o temat nowego projektu, jednak nigdy nie otrzymałam odpowiedzi, ponieważ jedna z dziewczynek wkleiła gumę do żucia we włosy swojej lalki. Rozważania o rozwiązaniach tego problemu Brian uciął wraz z włosami zabawki, co trochę zdenerwowało Louise. Ale w sumie był to jedyny zgrzyt, poza tym nikt się nie upił ani nie obraził; ich dom był fajny, jedzenie było fajne, dziewczynki były fajne - *fajnie, fajnie, fajnie*.

Rozczarowałam się, bo mimo wszystko taki idealnie sympatyczny lunch z idealnie sympatycznymi ludźmi nie pasował do mnie. Dlaczego wołałabym jakąś kłótnię? Dziewczynki były wspaniałe, urzekające, więc dlaczego tak wielkie znaczenie miało dla mnie to, że ciągle przeszkadzały i nie mogłam dokończyć swojej myśli? Byłam żoną człowieka, którego kochałam, więc dlaczego jakaś część mojego umysłu chciała, by Brian włożył rękę pod moją spódnicę, gdy pomagałam mu nieść z kuchni pucharki z lodami? Kilka lat później wiele oddałabym za takie wspaniałe rodzinne spotkanie, na którym najgorszą rzeczą, jaką mogą zrobić dzieci, jest wklejenie gumy do żucia we włosy.

Gdy wyszliśmy, Ty oczywiście na korytarzu beztrąsko obwieściłeś: - Było fantastycznie. Obie dziewczynki są cudowne. Musimy szybko ich zaprosić do nas, jeśli tylko będą w stanie znaleźć nianię.

Powstrzymałam się od odpowiedzi. Nie miałbyś czasu, by wysłuchać mojego zdania na temat tego spotkania. Ty nie zauważyłbyś, że coś tu jest płytkie, bezbarwne i zakalcowate. Szczególnie Brian, który w postawie *ojciec wie najlepiej* ukrywał swoją złość. Możliwe, że czuleś dokładnie to samo co ja, że to pozornie udane spotkanie było w rzeczywistości nudne i rozdęte, jednak zamiast przyznania oczywistej prawdy - nie będziemy używali kokainy - postanowiłeś uciec od tego, zaprzeczając. To byli dobrzy ludzie, dobrze nas potraktowali i czuliśmy się tam dobrze. Inne wnioski były dla Ciebie przerażające. Uwolniłyby wachlarz

nienazwanych wartości, bez których nie moglibyśmy trwać, ale których nie można przywołać na żądanie. Wartości, które najmniej wspólnego mają z ogólnie przyjętymi formułami.

Uznawałeś odkupienie za akt woli. Dyskwalifikowałeś ludzi (takich jak ja) za ich przekorne, nietypowe niezadowolenie. Uważałeś, że każdy brak zwyczajnej radości z życia świadczy jedynie o słabości charakteru. Zawsze nienawidziłeś smakoszy, hipochondryków i snobów, którzy oglądali *Czule słówka* tylko dlatego, że akurat było to modne. Fajne jedzenie, fajne miejsce, fajni znajomi - czego więcej mogłam oczekiwać? Poza tym udane życie nie puka samo do drzwi. Radość to ciężka robota. Zatem jeśli z wystarczającą pewnością wierzyłeś w to, że dobrze bawiliśmy się z Brianem i Louise, to tak musiało być w rzeczywistości. Jediną wskazówką, że to popołudnie było bardzo ciężkie, był Twój niewspółmierny do sytuacji entuzjazm.

Gdy wychodziliśmy przez obrotowe drzwi budynku przy Riverside Drive, mój niepokój był jeszcze nieukształtowany i krótkotrwały. Później te myśli często mnie nawiedzały, jednak nie potrafiłam przewidzieć Twojej nieodpartej chęci stłamszenia wszystkich zdeformowanych doświadczeń w małym pudełeczku, niczym bezładnej sterty gałęzi w walizeczce Samsonite. Nie przewidziałam również chaosu spowodowanego próbą oddzielenia tego, co *jest* od tego, co *powinno być* - miałaś tendencję do mylenia tego, co miałaś, z tym, czego pragnęłaś. Nie myślałam, że zrodzi to tak przerażające konsekwencje.

Zaproponowałam, byśmy poszli do domu piechotą. Byłam impulsywna i chciałam iść niezależnie od tego, ile zajmie to czasu.

- Przecież do Tribeca jest sześć lub siedem mil! - zaprotestowałaś.

- Rozumiem, że bierzesz taxi, gdy 7500 razy skaczesz na skakance przed meczem Knicksów, ale czy szybki spacer do domu może być dla ciebie tak męczący?

- Tak, wszystko ma swoje miejsce i czas - odparłaś.

Wysiłek ograniczałeś do niezbędnego minimum, a Twój reżim treningowy był godny podziwu. W bardziej poważnym kontekście jednak, mój drogi Franklinie, nie byłam tym tak oczarowana. Z czasem dyscyplina z łatwością zamienia się w wygodnictwo.

Zagroziłam, że pójdę do domu sama i to poskutkowało. Trzy dni później wyjeżdżałam do Szwecji, więc chciałeś wykorzystać każdą chwilę, by być przy mnie. Zeszliśmy ścieżką do parku Riverside, gdzie w tym czasie pięknie kwitły miłorzęby, a na trawniku grupa anorektyczek trenowała tai-chi. Z radości, że wyrwałam się od przyjaciół, potknęłam się.

- Jesteś pijana - powiedziałaś.

- Dwie szklaneczki.

- Jest środek dnia - dodałaś ze złością.

- Powinnam wypić trzy - powiedziałam ostro.

Każda Twoja przyjemność, poza telewizją, była ściśle racjonowana. Czasami chciałam, byś dał się ponieść emocjom, tak jak w czasach, gdy zabiegałeś o moje względy i odwiedzałeś mnie z dwiema butelkami Pinot Noir, sześciopakiem St. Pauli Girls i lubieżnym spojrzeniem, które zapowiadało wieczór pełen wrażeń.

- Dzieci Briana - zaczęłam oficjalnie. - Ty też chcesz mieć dziecko?

- M-m-może. Są słodkie.

Rozumiałam to. Nasze rozmowy zawsze miały coś z gry, a Ty w dodatku niezbyt chętnie otwierałeś się. Jedno z nas zawsze odgrywało rolę rodzica, psującego dziecięcą zabawę, a ja torpedowałam pomysł rodzicielstwa podczas naszej ostatniej sesji: dziecko jest głośne, brudne, niewdzięczne i ogranicza swobodę. Tym razem postarałam się o bardziej otwartą postawę:

- Przynajmniej coś się stanie, jeśli zajdę w ciążę.

- Oczywiście - odparłeś sucho. - Będiesz miała dziecko.

Dowleliśmy się do brzegu rzeki.

- Podoba mi się idea przewrócenia strony - powiedziałam.

- To było dość tajemnicze.

- Mam na myśli to, czy jesteśmy szczęśliwi? Powiedziałbyś tak?

- Pewnie - rozważnie się ze mną zgodziłeś. - To znaczy, chyba tak.

Dla Ciebie nasze zadowolenie nie wymagało dokładnej analizy. Tak jak gdyby był to płochliwy ptaszek, który momentalnie poderwałby się do lotu, gdyby tylko jedno z nas powiedziało *Spójrz na tego pięknego łabędzia!*

- Cóż, być może jesteśmy za bardzo szczęśliwi.

- Tak, dokładnie tak myślę. Nawet zamierzałam z tobą porozmawiać o tym, byś moje życie uczynił nieco bardziej żalonym.

- Przestań. Mówię o całości. W baśniach zdanie „żyli długo i szczęśliwie” znajduje się na samym końcu.

- Zrób coś dla mnie i zacznij normalnie rozmawiać.

Doskonale wiedziałeś, co mam na myśli. Na pewno nie to, że szczęście jest nudne. Raczej to, że nie tylko ono określa związek. A jedną z coraz bardziej zajmujących nas rozrywek z czasem staje się opowiadanie własnej historii. Nie obcym ludziom, tylko nam samym. Powinnam wiedzieć. Codziennie jestem na drodze mojej historii, która przywiązuje się do mnie jak bezpański pies. Dlatego pod jednym względem na pewno różnię się od siebie z przeszłości - ludzi, którzy na swój temat mogą powiedzieć niewiele lub nawet nic, uważam

za bardzo szczęśliwych.

Zwolniliśmy przy kortach tenisowych i stojąc w promieniach kwietniowego słońca, przez lukę w krzakach podziwialiśmy potężny bekhend.

Wygląda na to, że sprawy się rozwiązały - zasmuciłam się. Z zawodowego punktu widzenia jedyną rzeczą, jaka mogła mnie jeszcze spotkać, był upadek firmy. Zawsze mogłam zarobić więcej, ale jestem osobą ubierającą się w sklepach z używaną odzieżą. Sam dobrze wiesz, że nie wydaję zbyt dużo. Nie wiem, na co. Pieniądze mnie nudzą, poza tym mogą zmienić mój sposób życia na taki, który mi nie odpowiada. Wielu ludzi nie ma dzieci, ponieważ z finansowych względów nie mogą sobie na nie pozwolić. Dla mnie dziecko byłoby ulgą, bo miałabym na co wydawać pieniądze.

- Na mnie nie możesz wydawać?

- Ty nie potrzebujesz zbyt wiele.

- Nowa skakanka?

- Dziesięć dolarów.

- Cóż - stwierdziłeś. - Przynajmniej dziecko odpowie na Wielkie Pytanie.

Ja też umiałam być przewrotna.

- Jakie Wielkie Pytanie?

- Dobrze wiesz - rzuciłeś od niechcenia i dodałeś niczym prezenter telewizyjny - stary dylemat e-e-egzystencjalny.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego, ale to Twoje Wielkie Pytanie nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia. Zdecydowanie wolałam zostać przy mojej teorii „przezwroćenia strony”.

- Zawsze mogę wyskoczyć do innego kraju - powiedziałam.

- A jeszcze jakieś zostały? Zmieniasz kraje z taką częstotliwością, z jaką większość ludzi zmienia skarpetki.

- Rosja. Ale na razie nie chcę powierzać mego życia tamtejszym liniom lotniczym. Zresztą w końcu i tak wszystko wygląda tak samo. Kraje różnią się pod względem potraw, ale przecież wszystkie mają jedzenie. Wiesz, o co mi chodzi?

- Jak ty to nazywasz? Właśnie! Bezsens.

Widzisz, miałeś wtedy zwyczaj udawania, że nie wiesz, o czym mówię, jeśli tematy, które poruszałam, były skomplikowane lub delikatne. Z czasem ta strategia udawania głupka, która zaczęła się od drobnych żartów, zmieniła się w niezdolność zrozumienia moich słów, nie dlatego, że były zbyt zawile, ale dlatego, że były oczywiste. A Ty nie potrafiłeś się z tym pogodzić.

Pozwól więc, że wyjaśnię: kraje mają różną pogodę, ale za każdym razem jest to jakaś

określona aura, określona architektura, określone normy, które na przykład beknie przy obiedzie uznają za schlebujące bądź obraźliwe. Dlatego coraz mniej uwagi zwracałam na to, że w Maroku sandały zostawia się przed wejściem do domu, a bardziej skupiałam się na fakcie, że w każdej kulturze są jakieś zwyczaje związane z obuwem. Coraz częściej podróże stanowiły dla mnie przede wszystkim kłopot - kontrole bagażu, zmiana strefy czasowej, przywiązanie do butów na każdą pogodę. Kraje i miasta się zmieniały, ale ja coraz częściej czułam się, jakbym trwała w jednym miejscu. Mimo to czasami byłam w stanie wygłosić pochwalną mowę na temat globalizacji. Przecież teraz mogłam bez problemu kupić w Bangkoku moją ulubioną czekoladkę, pochodzącą z jakiejś bananowej republiki. Prawdziwie monotony świat ułożył się w mojej głowie. Sprawiał, że moje myśli, słowa i uczucia były zawsze takie same, niezależnie od miejsca, w którym przebywałam. Jedynym sposobem na wyrwanie się z tego marazmu byłoby przeniesienie się do innego życia. Zwyczajna zmiana lotniska w niczym by tutaj nie pomogła.

- Macierzyństwo - podsumowałam wtedy w parku - to jest właśnie obcy kraj.

Gdy tylko wydawało się, że nagle nabrałam ochoty, by *to* zrobić, stawałaś się bardzo nerwowy.

- Możesz być z siebie dumna - powiedziałaś. - Wyszukiwanie miejsc na reklamę dla klientów z Madison Avenue nie jest dla mnie szczytem marzeń.

- Dobrze - zatrzymałam się i oparłam o ciepłą, drewnianą balustradę, odgradzącą nas od rzeki. Rozłożyłam ręce i spojrzałam na Ciebie. - Co teraz będzie? Z tobą, z twoim życiem zawodowym. Na co czekamy?

Potrząsałaś głową i odwróciłaś się w moją stronę. Sprawiałaś wrażenie, jakbyś był zdziwiony tym, że nie próbuję kwestionować Twoich osiągnięć lub wagi Twojej pracy. Chodziło jednak o coś innego.

- Mógłbym szukać pomysłów na filmy fabularne.

- Przecież zawsze mówiłaś, że to taka sama robota: ty dajesz płótno, a ktoś inny maluje obraz. Poza tym w reklamie lepiej płacą.

- Przecież dla ciebie pieniądze nie mają takiego znaczenia.

- Ale dla ciebie mają - zarabiałam więcej niż Ty i ten fakt dość łatwo wyprowadzał Cię z równowagi.

- Rozważałem już inne możliwości.

- Czyli co, rzucisz wszystko i otworzysz własną restaurację?

- Na pewno nie - uśmiechnęłaś się.

- No właśnie. Jesteś zbyt praktyczny. Może zrobisz coś innego, ale niewiele będzie się

to różniło od dotychczasowych zajęć. Ja mówię o topografii. Emocjonalnej topografii działania. Żyjemy w Holandii, a ja potrzebuję Nepalu.

Inni nowojorczyki byli żądni sukcesu, więc mogłeś poczuć się dotknięty tym, że nie uważałam Cię za ambitnego. Ty jednak nie obrażałeś się o to. Bardzo to w Tobie lubiłam. W życiu byłeś ambitny, ale nie w taki sposób, że budziłeś się rano z myślą zdobywania świata. Jak większość ludzi, którzy nie uczestniczyli w wyścigu szczurów, nie czułeś się zbyt związany z pracą; mogła wypełnić Twój dzień, ale nigdy nie miała miejsca w sercu. Lubiłam to w Tobie. Bardzo lubiłam.

Ruszyliśmy dalej, a ja lekko potrząsnęłam Twoją ręką.

- Nasi rodzice wkrótce umrą - podsumowałam. - W zasadzie to wszyscy, których znamy, niedługo zaczną odchodzić. Starzejemy się i lada chwila dojdziemy do momentu, w którym traci się więcej przyjaciół niż zyskuje. Pewnie, przecież możemy jechać na wakacje i na dobre przywiązać się do walizek na kółkach. Możemy więcej jeść, pić więcej wina, uprawiać więcej seksu, ale, nie zrozum mnie źle, boję się, że to wszystko może stać się zbyt męczące.

- Jedno z nas zawsze może mieć raka trzustki - powiedziałeś z uśmiechem.

- Tak, albo dla odmiany wjechać samochodem w betoniarkę. Takie jest moje zdanie. Wszystko, co może się nam od teraz przydarzyć, i nie mówię tu o jakiejś pocztówce z Francji, będzie okropne.

Pocałowałaś moje włosy.

- Dość makabryczna wizja, jak na tak śliczny dzień.

Przez chwilę szliśmy objęci, w końcu ja pociągnęłam palcem za szlufkę Twoich spodni.

- Wiesz, że wyrażenie *ona oczekuje* jest bardzo trafne? Narodziny dziecka, jeśli tylko jest zdrowe, są czymś, na co się czeka. To wielkie, doniosłe wydarzenie. Od tego momentu każda dobra rzecz, która mu się przytrafi, dotyczy także ciebie. Oczywiście złe rzeczy też - dodałam szybko. - Ale także pierwsze kroki, pierwsze randki, pierwsze miejsca w wyścigu w workach. Dzieci kończą szkoły, biorą ślub, mają własne dzieci; to dzieje się w taki sposób, że wszystko robisz dwa razy. Także wtedy, gdy nasze dzieci mają problemy. Ale przynajmniej będą to kłopoty inne niż nasze... - powiedziałam z głupią nadzieją w głosie.

Wystarczy. Prowadzenie tego dialogu łamie mi serce.

Gdy patrzę w przeszłość, wydaje mi się, że mówiąc o potrzebie „szerszej historii”, w rzeczywistości miałam na myśli to, że chciałam kochać kogoś innego. Nigdy nie mówiliśmy

takich rzeczy wprost. Byliśmy zbyt nieśmiali. A ja nie potrafiłam dać do zrozumienia, że nie byłeś dla mnie wystarczający. Teraz, gdy już się rozstaliśmy, żałuję, że wcześniej nie pokonałam mojej wstydlivosti i nie powiedziałam, że związek z Tobą był dla mnie najbardziej zaskakującą rzeczą w życiu. Nie tylko upadek, nie tylko banalność i ograniczoność, ale po prostu miłość. Każdego dnia, w którym nie byliśmy obok siebie, potrafiłam wyobrazić sobie Twoje ciepłe, umięśnione ramiona i klatkę piersiową. Mogłam się tam wtulić każdego poranka, kiedy nie musiałam pędzić w pośpiechu na lotnisko. Czasami słyszałam, jak z oddali wołasz mnie po imieniu - Ee-VA! Często był to głos porywczy, szorstki, który nie znosił sprzeciwu. Wołałeś mnie w ten sposób, bo uważałeś, że należę do Ciebie. Jak pies! Ale ja byłam Twoja i nie obrażałam się o to. Nie miałam nic przeciwko temu. Eeeeeee-VA! Zawsze z naciskiem na drugą sylabę. Były takie wieczory, kiedy nie umiałam odpowiedzieć na to wołanie, a przez moje ściśnięte gardło nie przechodził żaden dźwięk. Musiałam przerwać krojenie jabłek na ciasto, bo przed oczami miałam rozplywający się i chwiejny obraz. Bałam się, że zamiast owoców będę kroїła własne palce. Zawsze krzyczałeś na mnie, gdy zacięłam się nożem. Wpadałeś w furję, a Twój irracjonalny gniew prawie za każdym razem sprawiał, że kaleczyłam się ponownie.

Nigdy nie traktowałam Cię poważnie. Gdy się spotkaliśmy, było już na to zbyt późno. Miałam 33 lata, a moja przeszłość była zbyt surowa i uciążliwa, by stały związek wydał mi się czymś naturalnym. Gdy udało mi się tak długo przetrwać na resztkach z mojego emocjonalnego stołu, Ty rozpuściłeś mnie codziennymi bankietami, bukietami wręczanymi bez okazji i notatkami przyczepianymi do lodówki, podpisanymi za każdym razem „XXXX, Franklin.” Przy Tobie stałam się chciwa. Jak każdy nałogowiec, chciałam więcej i więcej. I byłam ciekawa. Zastanawiałam się, jak to jest, gdy słyszy się cieniutki głosik, wołający „Maaaaa-MOOOOO”? Zacząłeś ten temat - dokładnie tak, jakby ktoś podarował Ci małego, czarnego słonika, a Ty nagle wpadłbyś na pomysł, by rozpocząć zbieranie takich figurek.

*Eva*

PS (3.40 w nocy)

Próbowałam całkowicie zerwać z pigułkami nasennymi, choćby dlatego, że nie pochwałałeś mnie za ich używanie. Jednak bez nich miotam się po całym domu. W biurze Travel R Us będę jutro kompletnie bezużyteczna. Chciałam jednak przywołać kolejne wspomnienie z tamtego okresu.

Pamiętasz ten wieczór, gdy na poddaszu zjadaliśmy się krabami z Eileen i Belmontem? To była prawdziwa przyjemność. Nawet Ty potrafiłeś się dobrze bawić, do tego stopnia, że w środku nocy poszedłeś po malinową brandy. Nic nam nie przeszkadzało, nie musieliśmy podziwiać lalek, nikt następnego dnia nie szedł do szkoły. Obżeraliśmy się owocami i sorbetem, a bajeczny nastrój zapewniał nam nadmiar wybornej malinówki.

Przekrzykiwaliśmy się wzajemnie. Każdy miał bardzo ważne rzeczy do powiedzenia. Tak właśnie wyglądały imprezy bezdietnych par w średnim wieku...

Rozmawialiśmy o naszych rodzicach. Najczęściej mieliśmy o nich niezbyt dobre zdanie. Zorganizowaliśmy chyba nawet nieoficjalny konkurs na to, czyi byli większymi wariatami. Ty od razu stałeś na straconej pozycji: niczym niewzruszony stoicyzm i stateczność Twoich rodziców były niezwykle trudne do sparodiowania. Dla odmiany - pomysłowe podstępstwa mojej matki, która za wszelką cenę chciała uniknąć wychodzenia z domu, były powodem do śmiechu. Nawet udało mi się opowiedzieć rodzinny dowcip, który wymyśliliśmy z moim bratem Gilesem. „Mi to konweniuje” - było to nasze hasło. Wtedy wystarczyło, że powiedziałam „mi to konweniuje” a Giles ryczał ze śmiechu. Teraz niestety już niezbyt chętnie odwiedza mnie ze swoimi dziećmi. Chichocząc, powiedziałam, że „mi to konweniuje” do Eileen i Belmonta, co też ich zupełnie rozbroiło i zaczęli głośno rechotać.

Nikt z nas nie mógł jednak konkurować z mieszaną grupą wodewilową, która zarabiała graniem na chodnikach. Matka Eileen była schizofreniczką, ojciec zawodowym szulerem. Matka Belmonta pracowała kiedyś jako prostytutka, a wciąż ubierała się jak Bette Davis w filmie *Co się zdarzyło Baby Jane?* Jego ojciec był z kolei dość znanym perkusistą jazzowym, który występował z Dizzy Gillespie'em. Miałam wrażenie, że już kiedyś opowiadali te historie, ale tym razem zrobili to w doskonały sposób. Po sporej ilości wina śmiałam się z tego aż do łez. W pewnym momencie postanowiłam skierować rozmowę na temat ważnej decyzji, jaką zamierzamy podjąć, jednak Eileen i Belmont byli od nas o dziesięć lat starsi i nie wiem, czy z wyboru, nie mieli dzieci. Zdecydowałam więc nie poruszać tego tematu.

Siedzieli u nas do czwartej nad ranem. Ale nie pomyślę się, jeśli powiem, że wtedy bawiłam się fantastycznie. To był jeden z tych wyjątkowych wieczorów, wartych całej krzątaniny związanej z przygotowaniem do imprezy, wyprawy do sklepu rybnego, krojenia owoców, nawet sprzątnięcia zabrudzonej mąką i sokiem kuchni. Byłam chyba nawet nieco zawiedziona, że tak szybko dobiegł końca. Poczulałam się jednak senna. Może po prostu zbyt dużo wypiałam i teraz alkohol i zmęczenie dały znać o sobie. Chwiałam się na nogach, nie potrafiłam się skoncentrować na tym, by nie upuścić lampek do wina. Ale nie dlatego byłam



taka smętna.

- Tak cicho się zrobiło - zauważyłeś, układając talerze. - Wykończona?

Zjadłam mały kawałek kraba, który został jeszcze na patelni.

- Chyba dobre cztery lub pięć godzin rozmawialiśmy o naszych rodzicach.

- I co z tego? Jeśli czujesz się winna, że obgadywałaś swoją matkę, to pewnie teraz do roku 2025 będziesz szukała jakiejś pokuty. To twój ulubiony sport.

- Wiem. I dlatego się martwię.

- Przecież nie słyszała, co o niej mówisz. Poza tym nikt z obecnych nie przypuszcza, że twoim zdaniem nie tylko jest śmieszna, ale i tragiczna. Albo że jej nie kochasz - dodałeś - na swój sposób.

- Ale kiedy umrze, nie będziemy, znaczy nie będę w stanie dać sobie z tym rady. Niemożliwe, bym wtedy była taka zjadliwa, bez jednoczesnego poczucia zdrady.

- W takim razie wyżywaj się na niej, póki jeszcze możesz.

- Czy w naszym wieku powinniśmy mówić o rodzicach przez tyle godzin?

- A w czym problem? Przecież śmiałaś się tak bardzo, że prawie się zmoczyłaś.

- Gdy wyszli, miałam taką wizję: nasza czwórka w wieku osiemdziesięciu lat, z plamami wątrobowymi na skórze, wciąż powtarzająca te same historie o swoich dawno zmarłych rodzicach. Może z większym uczuciem lub żalem, ale jednak wciąż będziemy opowiadać o szaleństwach mamy i taty. Czy to nie żalosne?

- Lepiej podręcz się Salwadorem.

- To nie tak...

- Albo oszczędnie gospodaruj tematami na poobiednie dyskusje: Belgowie są niegrzeczni, w Tajlandii mieszkańcy nie tolerują publicznego obściskiwania się, Niemcy mają obsesję na punkcie gówna.

Gorycz przejawiająca się w tych docinkach stawała się coraz bardziej nie do zniesienia. Moje zdobyte z wielkim trudem, okupione wyrzeczeniami kulturowe doświadczenia ciągle przypominały Ci, że podróżowałam po świecie, podczas gdy Ty przemierzałeś przedmieścia New Jersey w poszukiwaniu miejsca na reklamę Black and Decker. Mogłam powiedzieć, że mi przykro z tego powodu, ale ciągle mi dokuczałeś, poza tym zrobiło się późno i nie byłam już w nastroju do kłótni.

- Nie bądź głupi - powiedziałam. - Zachowuję się jak każdy: lubię rozmawiać o innych. Nie o wszystkich. O tych, których znam, którzy są blisko mnie. Ale mam wrażenie, że zbyt wykorzystuję przy tym wszystkich rodzinę. Ojciec zginął, zanim się urodziłam, a brat i mama nie dają zbyt szerokiego wyboru. Szczerze mówiąc, Franklinie, może powinniśmy

postarać się o dziecko. Wtedy będziemy mogli pomówić o kimś innym.

- Teraz - stuknąłeś garnkiem o zlew - jest to zbyt lekkomyślne podejście do tematu.

Złapałam Cię za rękę.

- Wcale nie. Mówimy o tym, o czym myślimy. O życiu. Nie wiem, czy chcę spędzić swoje, ciągle oglądając się za siebie, patrząc na pokolenie, którego liczebność sama ograniczam. Franklinie, w byciu bezdzielnym jest coś nihilistycznego. Coś, jakbyś nie wierzył w sens istnienia ludzkości. Gdyby każdy myślał tak samo jak my, to za kilkaset lat nasz gatunek by wymarł.

- Daj spokój - wyśmiałeś moje przemyślenia. - Nikt nie ma dzieci tylko dlatego, by zapewnić ciągłość pokoleń.

- Może nie świadomie. Ale przecież dopiero od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku jesteśmy w stanie podjąć przemyślaną decyzję o poczęciu. Poza tym po takiej nocy, wypełnionej rodzinnymi opowieściami, mogłaby się dokonać poetycka sprawiedliwość i dorosłe dziecko godzinami rozmawiałoby z przyjaciółmi o mnie.

Ależ staraliśmy się tego uniknąć! Perspektywa takiej analizy bardzo do mnie przemawiała. *Mama była ładna? Była fajna? Boże, sama latała do tych wszystkich strasznych krajów!* Takie obrazy moich dzieci, rozprawiających o mnie do późna w nocy, były lekko naznaczone podziwem, czego ja nie mogłam powiedzieć o opowieściach dotyczących własnej matki. Spróbujmy z drugiej strony: *Czy mama nie jest zbyt pretensjonalna? Ma wielki nos, prawda? A te wszystkie przewodniki, które tworzy, są takie nudne!* Gorzej - perfekcyjna zdolność dzieci do wyszukiwania błędów rodziców wiąże się z naszą otwartością, zaufaniem i brakiem tajemnic. Tak tworzy się podwójna zdrada.

Nawet w mojej retrospekcji ta chęć „znalezienia innego tematu do rozmów” daleka jest od lekkomyślności. W rzeczywistości, gdy po raz pierwszy dopuściłam do siebie myśl o ciąży, miałam przed oczami coś na kształt zapowiedzi filmu: otwierałam drzwi chłopakowi mojej córki (przyznaję, że zawsze myślałam o córce), który po raz pierwszy przyszedł po nią na randkę, żartem rozładowywałam jego skrępowanie i zawstydzenie, a gdy już poszli, z radością poddawałam go bezlitosnej ocenie. Moja tęsknota za nocnymi posiedzeniami z Eileen i Belmontem - za rozmowami o młodych ludziach, o ich życiu, o *nowych* historiach, *nowych* opiniach, które nie były wytarte od ciągłego opowiadania - była wystarczająco realna.

Nigdy jednak przez mój umysł nie przewinęły się słowa, jakie mogłabym powiedzieć, gdybym miała okazję rozmowy na te nowe, tak pożądane przeze mnie tematy. W mniejszym stopniu mogłam tylko przewidzieć bolesną ironię O'Henry'ego, że wraz z pojawieniem się nowych tematów stracę osobę, z którą najbardziej chciałam rozmawiać.

28 listopada 2000

*Drogi Franklinie,*

Nic nie wskazuje na to, by ten karnawał, trwający na Florydzie, miał się szybko zakończyć. Całe biuro jest wkurzone na jakiegoś urzędnika z dużą ilością makijażu na twarzy, a wielu moich współpracowników przewiduje zbliżający się „kryzys konstytucyjny”. Mimo że nie śledziłam szczegółów tego zamieszania, wątpię, by coś takiego miało nastąpić. Co najbardziej mnie uderza, to fakt, że ludzie dużo rozmawiają ze sobą podczas posiłków. Wcześniej jedli w milczeniu. Moim zdaniem to znaczy, że wbrew pozorom czują się bezpiecznie. Tylko państwo, które uważa się za niezniszczalne, może pozwolić sobie na to, by kryzys polityczny traktować jako rozrywkę.

Ale po tym, jak otarli się o zniknięcie z pamięci zbiorowej (wiem, że męczy Cię słuchanie tego), nieliczni Amerykanie ormiańskiego pochodzenia rozumieją radosne poczucie bezpieczeństwa swoich rodaków. Liczby związane z moim życiem są dość apokaliptyczne. Urodziłam się w sierpniu 1945 roku, kiedy ślady dwóch trujących grzybów dały nam przedsmak piekła. Kevin przyszedł na świat w trakcie niepokojącego odliczania do roku 1984. Ludzie obawiali się tej daty. Śmiałam się z tych, którzy tytuł powieści Orwella wzięli zbyt dosłownie, jednak ta liczba wprowadziła mnie w epokę tyranii. *Czwartek* miał miejsce w roku 1999, wcześniej rozważanym jako możliwy koniec świata. I tak się w końcu stało.

Od ostatniego listu sięgnęłam w głąb umysłu, by poszukać pierwotnego znaczenia, jakie przypisywałam macierzyństwu. Przywołało to kotłowanie obaw, jednak wszystkie były niewłaściwe. Gdybym skatalogowała wtedy wszystkie negatywne strony bycia matką, i tak nie byłoby tam miejsca na *syna, który może stać się mordercą*. Wyglądałoby to mniej więcej tak:

1. Kłopot.
2. Mniej czasu dla nas dwojga (albo: *brak* czasu dla nas dwojga).
3. Inni ludzie (spotkania w szkole; nauczyciele baletu; nieznośni koledzy i ich nieznośni rodzice).
4. Zamiana w krowę (byłam szczupłą i taka chciałam pozostać). Moja bratowa dorobiła się w ciąży efektownych żyłaków, których już nie wyleczyła, a perspektywa niebieskich korzeni drzew na łydkach przerażała mnie bardziej, niż to mogę opisać. Jestem próżna, a jedną z moich cech jest udawanie, że taka nie jestem.

5. Nienaturalny altruizm: konieczność podejmowania decyzji zgodnie z tym, co jest najlepsze dla innej osoby (jestem świnia).
6. Ograniczenie moich podróży (*ograniczenie, nie zaprzestanie*).
7. Oglupiająca nuda (moim zdaniem małe dzieci są bardzo nudne, nawet na samym początku).
8. Beznadziejne życie towarzyskie (nigdy nie udało mi się normalnie porozmawiać ze znajomym, gdy w pokoju było kilkuletnie dziecko).
9. Degradacja społeczna (byłam szanowanym przedsiębiorcą i myślałam, że gdy będę mieć ze sobą małe dziecko, każdy mężczyzna, a nawet każda kobieta potraktuje mnie mniej poważnie).
10. Spłata długu (rodzicielstwo to spłata długu). Ale kto decyduje się na nią, jeśli może tego uniknąć? Najwyraźniej bezdzietność jest taką potajemną ucieczką. Poza tym, co dobrego jest w spłacaniu długu niewłaściwej stronie? Tylko najbardziej skrzywiona matka może czuć się nagrodzona za swój trud wychowawczy faktem, że córka ma równie beznadziejne życie.

To, o ile dobrze pamiętam, były moje malutkie obawy, które określiłam wcześniej i nie próbowałam kłaść ich naiwności tym, co się później stało. Rzecz jasna te wszystkie powody były tylko drobnymi niewygodami i znikomymi poświęceniami. Świadczyły o egoizmie, nikczemności i ograniczeniu. Osoba, która je wypisała i później wciąż chciała pozostać czysta, bezduszna, statyczna i być ostatnią gałęzią drzewa genealogicznego, nie tylko była krótkowzroczna, ale i nieludzka.

Teraz, gdy analizuję moją listę, uderza mnie to, że mimo całego zła, stereotypowe wyobrażenie macierzyństwa jest zupełnie praktyczne. W końcu w dzisiejszych czasach dzieci nie uprawiają pola rodziców, nie biorą nas do siebie, gdy się starzejemy. Nie ma żadnego sensownego powodu, by mieć dzieci, a jednak w epoce skutecznej antykoncepcji ludzie chcą się rozmnażać. W przeciwieństwie do miłości, historii, zadowolenia i wiary w pierwiastek człowieczeństwa - współczesne bodźce to rządzenie, wielkość, płynność i w mniejszym stopniu optymizm, wielkoduszność, wszystkie głębokie, ale równie bezpodstawne.

Lata czekałam na to nadrzędne pragnienie, o którym ciągle słyszałam, że pcha, niczym narkotyczny ciąg, bezdzietną kobietę w stronę nieznaną, siedzącej w parku z dziecięcym wózkiem. Chciałam być obudzona przez hormonalną burzę, nakazującą mi zarzucić ramiona na Twoją szyję i modlić się, by nasze miłosne uniesienie zakończyło się poczęciem dzidziusia. *Dzidzius*: to słowo ma taki ciepły dźwięk i daje archaiczną, ale czułą świadomość, że przez kolejne dziewięć miesięcy zawsze będzie miało się towarzystwo. *Ciąża*, dla

kontrastu, jest słowem ciężkim i rozdętym - Zawsze brzmiało dla mnie jak zła wiadomość. *Jestem w ciąży* - instynktownie wyobrażałam sobie szesnastoletnią dziewczynkę, siedzącą przy stole z paskudnym chłopakiem, ucieleśniającą najgorsze obawy swojej matki.

Niezależnie od bodźca, nigdy w pełni nie dotarło to do mojej świadomości, przez co poczułam się nieco oszukana. Gdy w wieku trzydziestu kilku lat nie zostałam matką, pomyślałam, że coś ze mną jest nie tak. Kiedy rodziłam Kevina, mając 37 lat, zaczęłam się zadrećzać, że spowodowałam skutki uboczne, jakieś reakcje chemiczne, wywołujące wady, przez to, że tak po prostu nie zaakceptowałam macierzyństwa.

Więc co w końcu skłoniło mnie do tego kroku? Przede wszystkim Ty. Jeśli razem byliśmy szczęśliwi, to Ty sam na pewno nie byłeś. Zdawałam sobie z tego sprawę. W Twoim życiu istniała dziura, której nie byłam w stanie wypełnić. Miałeś pracę i było Ci z tym dobrze. Węszyłeś tu i tam w poszukiwaniu miejsca, w którym najlepiej będzie prezentował się wiśniowy silos i łaciate, czarno-białe krowy (Kraft - plasterki sera zrobione z prawdziwego mleka). Lubieś to wynajdowanie przestrzeni na reklamę. Ale nie kochałeś tego. Twoją pasją byli ludzie. Kiedy zobaczyłam, jak wspaniale bawisz się z dziećmi Briana, szturchasz je pluszowymi maskotkami, podziwiasz zmywalne tatuaże, postanowiłam dać Ci szansę na żarliwość, jaką ja znalazłam w chrześcijańskiej wspólnoty.

Pamiętam, jak próbowałeś to wyrazić, jednak było to dla Ciebie coś obcego, nie ten język, nie to uczucie. Zawsze czuleś się niepewnie, mówiąc o emocjach.

Obawiałeś się, że zbyt duża kontrola może stłamsić uczucia, tak jak przyjazne ściskanie salamandry w dużych, niezdarnych dłoniach.

Byliśmy w łóżku, wciąż jeszcze w mieszkaniu w Tribeca, w budynku z ciągle psującą się windą. Przestronne, nieco zakurzone, niczym nieróżniące się od cywilizowanych pomieszczeń poddasze zawsze przypominało mi kryjówkę, którą wraz z bratem zrobiliśmy sobie w Racine. Ty i ja, kochaliśmy się, prawie omdlewałam z rozkoszy, gdy nagle zerwałam się i usiadłam wyprostowana. Za dziesięć godzin miałam lecieć do Madrytu, a nie nastawiłam budzika. Gdy włączyłam alarm, zauważyłam, że leżysz na plecach. Miałeś otwarte oczy.

- Co jest?

Westchnąłeś.

- Nie wiem, jak ty to robisz.

Usadowiłam się wygodnie, by posłuchać kolejnych pochwał na temat mojej odwagi i żądzy przygód, ale wyczułeś, o co mi chodzi.

- Wyjedź. Wyjedź raz na zawsze. Zostaw mnie! - powiedziałeś szybko.

- Ale ja nie chcę.

- Niemożliwe.

- Franklin, nie stworzyłam firmy po to, by wyrwać się spod twojej władzy. Nie zapominaj, że powstała, zanim cię poznałam.

- Och, jak mógłbym zapomnieć.

- To moja praca!

- Ale nie musi być.

Podniosłam się.

- Czy ty...

- Nie - delikatnie wymusiłeś, bym się położyła. Ta rozmowa nie potoczyła się tak, jak miałeś nadzieję, a jestem pewna, że to zaplanowałeś. Przetoczyłeś się na łóżku, by wesprzeć łokcie obok mnie i pochyliłeś się, by nasze czoła się dotknęły.

- Nie mam zamiaru namawiać cię do zmiany pracy. Wiem, ile ona dla ciebie znaczy. To jest właśnie problem. Poza tym nie umiałbym tego zrobić. Nie mógłbym wstać rano i starać się zniechęcić cię do spotkania mnie na lotnisku za trzy tygodnie. Może raz lub dwa, ale nie przy każdej okazji.

- Mógłbyś, gdybyś musiał.

- Evo, oboje dobrze wiemy. Nie musisz tego mówić.

Odwróciłam się. Byłeś tak blisko. Uwięziona pomiędzy Twymi łokciami, czułam ciepło Twojego ciała.

- Przechodzimy przez to...

- Niezbyt często. Twoje przewodniki wciąż odnoszą wielkie sukcesy. Mogłabyś wynająć studentów i rzucić na nich część swoich obowiązków. Przecież i tak już mają duży udział w twojej pracy.

Byłam zirytowana; zresztą nie pierwszy raz.

- Jeśli ich nie kontroluję, to oszukują. Mówią, że potwierdzili wszystkie dane, że są nadal aktualne i resztę mają w nosie. Później okazuje się, że standardy i ceny w hotelach, motelach, zajazdach i innych opisywanych miejscach się pozmiały, a przewodnik usiany jest błędami. Dostaję skargi od rowerzystów, którzy jadą sto mil tylko po to, by zamiast hoteliku opisanego w przewodniku, znaleźć agencję ubezpieczeniową. Są wściekli i trudno im się dziwić. Niektórzy studenci są tacy, że bez stałego nadzoru będą szli po najmniejszej linii oporu. A moim największym atutem jest bardzo dobra reputacja. Nie mogę sobie pozwolić na takie potknięcia.

- Możesz zatrudnić kogoś do takiej kontroli. Jutro jedziesz do Madrytu, bo po prostu chcesz. Nie ma w tym nic złego poza tym, że ja nie chciałbym i nie mógłbym wybrać się z

tobą. Wiesz, że gdy cię nie ma, to nieustannie o tobie myślę? Zastanawiam się, co jesz, z kim się spotykasz...

- Przecież ja też myślę o tobie!

Roześmiałeś się, a Twój śmiech był przyjemny. Nie chciałeś wszczynać kłótni. Uwolniłeś mnie i położyłeś się na plecach.

- Cholera, Evo, ty myślisz o tym, czy budka z kebabami będzie dalej stała w tym samym miejscu przy okazji nowego wydania przewodnika, zastanawiasz się, jak opisać kolor nieba. Nie ma sprawy. Ale w tym momencie chyba inaczej myślisz o mnie, niż ja o tobie. O nic więcej mi nie chodzi.

- Naprawdę myślisz, że nie kocham cię tak bardzo, jak ty mnie?

- Nie kochasz mnie w taki sam sposób. Nie ma to nic wspólnego z intensywnością miłości. Mam wrażenie, że nie dajesz z siebie wszystkiego. Zostawiasz coś na wszelki wypadek. Chyba nawet zazdroścę ci tego. Wychodzisz stąd i włączasz drugi dopływ energii. Jeździsz po Europie, Malezji, a gdy źródło wysycha - wracasz do domu.

Ten opis bardziej pasował do mnie z czasów, zanim jeszcze się poznaliśmy. Byłam wówczas małą, wydajną jednostką, zupełnie jak podróżna szczoteczka do zębów. Wiem, że zbyt romantycznie traktuję ten okres życia, ale szczególnie w początkowej fazie byłam bardzo ruchliwa. Tak naprawdę wciąż byłam dzieckiem. Na pomysł stworzenia własnej firmy przygotowującej przewodniki wpadłam podczas mojej pierwszej wyprawy do Europy, na którą zabrałam zbyt mało pieniędzy. To wyobrażenie cygańskiej podróży wyznaczyło mi cel, który pojawił się pewnego dnia nad filiżanką kawy. Od tego momentu wszędzie, gdzie byłam, skrzętnie notowałam ceny pokoi, informacje, czy mają ciepłą wodę, czy personel mówi po angielsku, czy są toalety itd.

Teraz, gdy AWAP zмага się z dużą konkurencją, łatwo zapomnieć, że w połowie lat sześćdziesiątych globtroterzy zdani byli na łaskę *Błękitnego Przewodnika*, który skierowany był do ludzi w wieku dojrzałym, wywodzących się z klasy średniej. W roku 1966 ukazała się pierwsza edycja przewodnika *Zachodnia Europa z „A Wing and a Prayer”* i wkrótce stało się oczywiste, że konieczne będzie drugie wydanie. Zdałam sobie wtedy sprawę, że zrobiłam coś wspaniałego. Lubiłam przedstawiać się jako osoba bystra i przenikliwa, ale oboje wiemy, że po prostu miałam szczęście. Nie mogłam przecież przewidzieć turystycznego szaleństwa. Nie byłam również na tyle biegła z demografią, by wiedzieć, że w dojrzały wiek wchodzi dzieci z wyżu. Nie było to pokolenie zbyt bogate, ale za to bardzo optymistyczne i chcące przekonać się, co mogą zrobić we Włoszech, mając kilkaset dolarów w kieszeni. Zdawałam sobie

sprawę z tego, że kolejny odkrywca będzie tak samo przestraszony jak ja i równie zdenerwowany ludzkim nastawieniem. A jeśli przy tym wszystkim byłam skłonna ulec zatruciu pokarmowemu, to przynajmniej mój „następca” nie był narażony na nieprzespaną noc. Nie chcę przez to powiedzieć, że w ten sposób chciałam pomóc innym. Po prostu napisałam taki przewodnik, z którego sama chciałam korzystać.

Przewracasz oczami. Zbyt często to powtarzam. Może to naturalne, że rzeczy, które początkowo przyciągają cię do drugiej osoby, w końcu stają się nie do wytrzymania. Dokładnie tak, jak w naszym przypadku.

Wiesz, że zawsze byłam przerażona myślą, iż mogę stać się taka, jak moja matka. Zabawne, że dopiero w wieku trzydziestu kilku lat ja i Giles dowiedzieliśmy się, co znaczy „agorafobia”. Zawsze byłam zdumiona sensem słowa, które sprawdzałam wielokrotnie: „lęk przed otwartą przestrzenią”. To chyba niezbyt właściwie oddawało istotę protestów mojej matki. Ona nie bała się stadionów, bała się po prostu wychodzić z domu, a ja miałam wrażenie, że w takim samym stopniu dotyczyło to otwartych, jak i zamkniętych przestrzeni. Jedynym wyjątkiem był dom przy 137 Enderby Avenue w Racine, w stanie Wisconsin. Na to chyba nie było odpowiedniego określenia, ale ludzie rozumieli, gdy mówiłam, że moja matka cierpi na agorafobię.

*Jezu, co za ironia - słyszałam to więcej razy, niż mogłabym zliczyć. - I ty byłaś w tylu miejscach na świecie? Inni ludzie potrafili smakować symetrię oczywistych sprzeczności.*

Pozwolę sobie na szczerość. W dużym stopniu *jestem* jak moja matka. Może to dlatego, że jako dziecko zawsze wykonywałam jej polecenia, na które byłam za mała, co mnie bardzo zniechęcało. Na przykład w wieku ośmiu lat umiałam założyć uszczelki w zlewozmywaku. Zmuszając mnie do spełniania skomplikowanych zadań w tak młodym wieku, mojej matce udało się zarazić mnie taką samą niechęcią do świata zewnętrznego, jaka charakteryzowała ją w wieku 32 lat.

Nie pamiętam żadnej zagranicznej wycieczki, na którą jechałabym z wielką chęcią. Każdej na swój sposób się bałam, z każdej chciałam uciec i szybko wrócić do siebie. Za każdym razem z domu wypychały mnie powzięte wcześniej zobowiązania: zakupione bilety na samolot, zamówiona taksówka, potwierdzone rezerwacje noclegów. Czułe pożegnania zawsze były poprzedzone rozmowami z przyjaciółmi, tak by umysł zapomniał o zbliżającej się podróży. W samolocie z błogim zadowoleniem rozkoszowałam się lotem z nadzieją, że będzie on trwał wiecznie. Lądowanie było koszmarem, pierwsza noc w nowym miejscu była koszmarem, a dla wytchnienia wyobrażałam sobie Enderby Avenue, co było wspaniałym uczuciem. Nieustannie towarzyszyła mi seria przerażających obrazów, które kończyły się



zawrotnym skokiem na tymczasowe łóżko. Przez całe życie zmuszałam się do pewnych rzeczy. Mój drogi, nigdy nie polecałam do Madrytu tylko dlatego, że miałam ochotę na paellę. A każda z służbowych podróży, które według Ciebie służyły mi do ucieczki od naszego rodzinnego domu, była dla mnie niezbyt przyjemnym obowiązkiem. O ile byłam zadowolona, że już pojechałam, to nigdy nie czułam się szczęśliwa, że pojadę.

Z czasem ta awersja stawała się mniej dokuczliwa, jednak przewycięzanie przykrości nie jest wielkim sukcesem. Gdy już przyzwyczałam się do własnych wyzwań, gdy udowadniałam, że jestem niezależna, kompetentna i dorosła, strach uderzył z innej strony. Mniej obawiałam się wyprawy do Malezji, niż pozostania w domu.

Nie lękałam się, że będę podobna do mojej matki, bałam się, że będę matką. Bałam się, że zostanę stateczną kotwicą dla kolejnego wędrowca, któremu będę zazdrościć, a którego przyszłość wciąż jest nieokreślona. Bałam się, że stanę się archetypowym wyobrażeniem osoby stojącej w drzwiach - pulchnej, niechlujnie ubranej - machającej na pożegnanie i posyłającej całusy, która rąbkiem fartucha ociera oczy; ze smutkiem odwraca się, zamyka drzwi i idzie zmywać naczynia, a cisza w mieszkaniu napiera tak, jak zapadający się sufit. Bardziej od wyjazdów bałam się tego, że będę czuła się opuszczona. Jak często zdarzało się, że zostawiałam Cię w domu po naszej pożegnalnej kolacji i zbiegałam do oczekującej na mnie taksówki? Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek powiedziałam, jak bardzo jest mi z tego powodu przykro. Musiałeś wiele razy przeżywać takie rozstania. Nigdy Cię nie pożałowałam, a Twoje w pełni usprawiedliwione poczucie odrzucenia zwykle obracałam w żart.

Franklinie, *myśl o dziecku napawała mnie grozą*. Zanim zaszłam w ciążę, moje wizje wychowywania dziecka - czytanie bajek, uśmieszki przed snem, karmienie - wyglądały jak obrazy kogoś innego. Obawiałam się konfrontacji z moją zimną naturą, egoizmem i brakiem hojności, grubą i niezniszczalną ścianą mojego własnego rozgoryczenia. Byłam śmiertelnie przerażona tym, że mogę zostać bezpowrotnie uwięziona w czyimś życiu. I chyba ten strach przeszkodził mi w ucieczce. Niewykonalność zadania i jego kompletna nieatrakcyjność sprawiły w końcu, że podjęłam wyzwanie.

*Eva*

2 grudnia 2000

*Drogi Franklinie,*

Siedzę w malej, przytulnej kawiarence w Chatham, dlatego właśnie ten list jest pisany ręcznie. Nie powinieneś mieć problemu z odczytaniem mojego pisma. Doskonale radziłeś sobie z bazgrołami na kartkach pocztowych, poza tym dałam Ci już sporo okazji do opanowania tej umiejętności. Para, siedząca przy sąsiednim stoliku, prowadzi zawziętą sprzeczkę, dotyczącą wniosku o głosowanie za pośrednictwem poczty w Seminole County - szczególnie, który zdaje się pochłaniać cały kraj, bo odniosłam wrażenie, że każdy wokół mnie zajmuje się jakimiś procedurami. Wszystko po staremu. Wygrzewam się w ich ciepłe niczym przy piecyku, bo ogarniająca mnie apatia jest przejmująco lodowata.

Bagel Café to bardzo przytulne i wygodne miejsce. Myślę, że kelnerka nie będzie miała nic przeciwko, jeśli wzmocnię sobie kawę schowaną za moim brulionem. Chatham także jest bardzo przytulnym miejscem, autentycznie - ma w sobie oryginalny klimat środkowej Ameryki, który za wielkie pieniądze udają inne przyzwoite miasteczka, jak Stockbridge i Lenox. Na stację kolejową wciąż dojeżdżają tu pociągi. W głównym pasażu handlowym znajdują się tradycyjnie antykwiariaty (dużo w nich książek Loren Estleman, które tak uwielbiałeś), cukiernie z lekko przypieczonymi ciasteczkami zbożowymi, kino, które nazywają tu teatrem, sklep monopolowy, w którym, poza pospolitymi trunkami dla miejscowych, można również kupić przyzwoite kalifornijskie wina. Ta zaniedbana miejscowość, w której upadł już wszelki przemysł, żyje dzięki mieszkańcom Manhattanu, którzy zbudowali tu swoje drugie domy, a także dzięki nowemu zakładowi karnemu dla nieletnich, powstałemu na peryferiach.

Gdybyś się nie domyślał, to po drodze cały czas o Tobie myślałam. Dla odmiany wyobrażałam sobie mężczyznę, z którym chciałam się związać, zanim się poznaliśmy. Wizja była wątpliwą kompozycją wcześniej spotkanych chłopców, których mi czasem wypominałeś. Niektóre moje romantyczne wspomnienia były słodziutkie, ale gdy kobieta mówi o mężczyźnie *słodki*, to taki flirt nie może trwać zbyt długo.

Ta różnorodność ciekawych znajomości w Aries lub Tel Avivie miał przeminąć, a ja wyobrażałam sobie żyłastego intelektualistę, którego metabolizm spala wywar z ciecioriki w mgnieniu oka. Spiczaste łokcie, wystające jabłko Adama i wąskie nadgarstki. Idealny wegetarianin. Wrażliwy typ, czytający Nietzschego, noszący okulary, niezwracający uwagi na czas i z pogardą traktujący samochody. Zapalony kolarz i turysta górski. Bez większych

ambicji zawodowych, z tendencją do obijania się, z zamięłowaniem do drzew i ziół. Z marzeniami o skromnym życiu i pracy fizycznej, skrytymi za powłoką surowej, tłumionej złości. Tajemniczy, nie lubiący pielienia grządek. Przeciętne, ale za to bezwzględne poczucie humoru, skłonność do szyderstw. Przewijająca się w tle hinduska muzyka i przelotny flirt z buddyźmem. Witaminy i gry planszowe, filtry do wody i francuskie filmy. Pacyfista z trzema gitarami, ale bez telewizora, z nieprzyjemnymi wspomnieniami z dzieciństwa, dotyczącymi sportów drużynowych. Cień bezbronności, przejawiający się w łysieniu na skroniach; cienki kosmyk włosów opadający na plecy. Thusta, ziemista, sprawiająca wrażenie chorej cera. Czuły, szepczący kochanek. Zagadkowy, pokrecony, drewniany talizman wiszący na szyi, którego znaczenia nigdy nie zdradzi i którego nigdy nie zdejmuje, nawet podczas kąpieli. Dziennik, którego nie wolno byłoby mi czytać, z powklejanymi notatkami prasowymi, ilustrującymi, w jak okropnym świecie przyszło nam żyć (*Makabryczne znalezisko: W sześciu schowkach bagażowych na dworcu kolejowym w Tokio policja odkryła poćwiartowane części ludzkiego ciała, w tym ręce i nogi. Po przeszukaniu wszystkich 2500 skrytek znaleziono jeszcze pośladki, które schowane były w plastikowym worku na śmieci*). Cynicznie i z nieskrywaną ironią odnoszący się do głównych tematów politycznych i kulturalnych. A przede wszystkim? Mimo płynnej znajomości angielskiego - *cudzoziemiec*.

Mieszkalibyśmy na wsi, gdzieś w Portugalii lub w Ameryce Środkowej. Kupowalibyśmy świeże mleko, wspaniałe masło i olbrzymie dynie na jakiejś farmie. Nasz domek z kamienia oplatałyby pnące kwiaty, pod oknami kwitłyby czerwone pelargonie. Pieklibyśmy chleb i marchewkowe ciasteczka dla naszych sąsiadów. Niezwykle wykształcony człowiek, mój wyśniony partner, do tej boskiej idylli wrzuciłby jednak ziarnko własnego niezadowolenia. Miałam poczucie, że w otoczeniu naturalnych skarbów żylibyśmy w bardzo dokuczliwej skromności.

Już chichoczesz? Bo właśnie w tym momencie pojawiłeś się Ty. Wielki mięsożerca, z bujnymi blond włosami i rumianą cerą, przysmażoną na plaży. Kotłowanina pragnień. Głośny, rubaszny śmiech, niewybredne dowcipy. Hot dogi, nie jakieś wyszukane czy sprawdzone, obojętnie, byle z kawałkiem świńskich wnętrzności w środku. Baseball. Czapeczki. Kalambury i filmy sensacyjne, woda z kranu i sześciopaku. Nieustraszony konsument, który etykiety czyta tylko po to, by upewnić się, że produkt zawiera sztuczne dodatki. Miłośnik autostrad, darzący uczuciem swój samochód, uważający, że rowery są dobre dla palantów. Ostry seks i przekleństwa, zainteresowanie pornografią. Tajemnice, thrillery i science fiction; subskrypcja magazynu „National Geographic”. Grille z okazji 4 lipca i ciągły zamiar gry w golfa. Uwielbiałeś wszelkiego rodzaju przekąski: chrupki,

precelki, chipsy, prażynki - śmiałeś się ze mnie, że ich nie jadłam, ale wołałam nie ruszać jedzenia, które bardziej przypomina opakowanie i od pierwotnej postaci dzieli je więcej niż sześć stopni przeobrażenia. Jadąc autem, słuchałeś Bruce'a Springsteena. Otwarte okno, wiatr rozwiewający Twe włosy. Podśpiewywałeś sobie, a ja tolerowałam te beznadziejne popisy wokalne. Lubieś Beach Boys i Elvisa - stary, dobry rock and roll był Twoim ulubionym gatunkiem muzyki. Patos. Ale dość lekkostrawny. Pamiętam, jak spodobał Ci się Pearl Jam. To było dokładnie wtedy, gdy Kevin... (przepraszam). Twoja muzyka musiała być hałaśliwa; nie miałeś czasu na mojego Elgara, Leo Kottke, choć zrobiłeś wyjątek dla Aarona Copelanda. Obcesowo tarłeś oczy na koncertach w Tanglewood, a jednocześnie miałeś nadzieję, że nie widziałam Twoich łez na sztuce *Quiet City*. Zwykle, oczywiście przyjemności: zoo na Bronksie, ogród botaniczny, wesołe miasteczko, prom na Staten Island i Empire State Building. Byłeś jedynym nowojorczykiem, jakiego znałam, który do Statuy Wolności płynął promem. Kiedyś mnie tam zabrałeś i byliśmy jedynymi turystami, którzy na tym promie mówili po angielsku. Ulubiony artysta - Edward Hopper. I, mój Boże, byłeś *republikaninem*. Wierzyłeś w silne państwo, ale jednocześnie mały rząd i niskie podatki. Fizycznie też byłeś wielką niespodzianką. Wiele razy przejmowałeś się moją opinią, że jesteś za gruby. Nie wiem, dlaczego. Przecież Twoja budowa była normalna. Ważyłeś zwykle 85-90 kilogramów. Zawsze dbałeś o to, by na brzuchu nie pojawiły Ci się fałdy tłuszczu. Pod tym względem byłeś dla mnie *wielki*. Silny i pewny, potężny i dobrze zbudowany - nie miałeś nic wspólnego z moimi delikatnymi, wątlymi wyobrażeniami. Byłeś niczym okazały dąb, pod którym mogłam leżeć i czytać. Każdego ranka mogłam wtulać się w Twoje rozłożyste konary. Byliśmy tacy szczęśliwi, gdy mogliśmy robić to, na co mieliśmy ochotę!

Ale największą niespodzianką w tym wszystkim było dla mnie to, że poślubiłam *Amerykanina*. Nie takiego zwykłego Amerykanina, ale człowieka, który stał się Amerykaninem. Byłeś nim nie tylko z urodzenia, ale i z wyboru. W gruncie rzeczy byłeś prawdziwym patriotą. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś takiego. Prostacków - tak. Zaślepionych, ograniczonych ignorantów, którzy uważali, że Stany Zjednoczone są całym światem, a każda inna opinia była dla nich jak zaprzeczenie istnieniu wszechświata lub atmosfery ziemskiej. W przeciwieństwie do nich, byłeś na przykład w Meksyku, we Włoszech i w efekcie doszedłeś do wniosku, że lubisz swój kraj. Nie, że *kochasz* swój kraj, jego płynność i wydajność, praktyczność, powszechność, bezpretensjonalny akcent i nacisk na uczciwość. Powiedziałabym - mówiłam - że kochasz archaiczną wersję USA, Amerykę, której już nie ma lub która nigdy nie istniała; jesteś urzeczony ideą. A Ty powiedziałbyś - mówiłeś - że częścią Ameryki jest właśnie idea, której inne kraje mogą tylko pozazdrościć.

Twoim zdaniem państwa sprowadzały się jedynie do granic widocznych na rozmaitych mapach. To była słuszna, piękna myśl, w dodatku podkreślałeś fakt, że kraj, nade wszystko starający się zapewnić możliwości rozwoju swoim obywatelom, jest miejscem, które powinno przyciągać takich ludzi, jak ja. Przyznałam Ci rację. Ale to nie działało w taki sposób. Ja mogłam się nie zgodzić, Ty byś kontrował, w końcu doszłoby do kłótni.

To prawda, że z czasem stawałam się coraz bardziej rozczarowana. Ale ciągle byłam Ci wdzięczna za to, że przedstawiłeś mnie mojemu własnemu krajowi. Czy to nie tak się właśnie poznaliśmy? W firmie zdecydowaliśmy się na kampanię reklamową w magazynach „Mother Jones” i „Rolling Stone”. Miałam bardzo mgliste pojęcie o tym, jakie wybrać zdjęcia - wtedy właśnie firma Young & Rubicam przysłała nam Ciebie. W moim biurze pojawiłeś się ubrany we flanelową koszulę i zakurzone dzinsy - byłeś czarująco bezczelny. Ze wszystkich sił starałam się zachowywać profesjonalnie, ale Twoje ramiona mnie skutecznie rozpraszały.

Chodziło chyba o zdjęcia Francji. Dolina Rodanu. Nieco zakłopotana, zapytałam o koszt zrobienia zdjęć w tamtym rejonie Europy. Roześmiałeś się. Szybko wybiłeś mi z głowy taki pomysł. Zapewniłeś, że dolinę Rodanu bez trudu znajdziesz w Pensylwanii. Co później faktycznie zrobiłeś.

Dotychczas zawsze uważałam Stany Zjednoczone za miejsce, z którego trzeba się wyrwać. Kiedy bez skrupowania zaprosiłeś mnie na randkę - kierownika, z którym łączyły Cię stosunki biznesowe - przekonywałeś mnie, że gdybym urodziła się gdzie indziej, USA byłyby pierwszym państwem, które chciałabym odwiedzić. Cokolwiek innego mogłam myśleć, był to kraj pociągający za sznurki w każdej części świata, produkujący najbardziej znane filmy, sprzedający coca-cole, wysyłający *Star Treka* nawet do Indonezji - światowe centrum, z którym musiałeś być jakoś związany, nawet jeśli miałbyś je nienawidzić. Państwo, które wymagało - jeśli nie akceptacji, to przynajmniej odrzucenia, a na pewno nie obojętności. Kraj, obecny w każdym innym państwie, który *znalazłby cię*, czy tego chciałeś, czy nie, prawie w każdym miejscu na tej planecie. Dobrze, dobrze - zaprotestowałam. *Dobrze*. Odwiedziłabym go.

No i odwiedziłam. Pamiętasz to swoje początkowe, nieustające zdziwienie? Że nie byłam nigdy na meczu baseballu. Albo w Yellowstone. Albo w Wielkim Kanionie. Szyderczo się uśmiechałam, ale tak naprawdę wcześniej nie jadłam szarlotki z McDonalda (przyznam się, że smakowała mi). Kiedyś - powiedziałeś - nie będzie żadnego McDonalda. To, że teraz jest ich dużo, wcale nie znaczy, że szarlotka nie jest dobra, a możliwość jej kupna za 99 centów nie jest przywilejem. To był jeden z Twoich ulubionych tematów: że nadmiar, wielość czy popularność jakiejś rzeczy wcale nie obniża jej wartości, a z czasem wszystko stanie się

trudno dostępne. Uwielbiałeś delektować się terażniejszością i byłeś, bardziej niż ktokolwiek inny, świadomy tego, że każdy jej element jest ulotny.

W podobnej perspektywie widziałeś swój kraj: zdawałeś sobie sprawę, że nie będzie trwał wiecznie. Historia zna wiele mocarstw, a Stany Zjednoczone były dotychczas największym, najbogatszym i najbardziej wpływowym, jakie kiedykolwiek dominowało na świecie. Jego koniec jest więc nieuchronny. Imperia zawsze ostatecznie upadały. Ale my mieliśmy to szczęście, że mogliśmy uczestniczyć w fascynującym eksperymencie społecznym. Szybko dodałeś, że nie był on idealny, podobnie jak później, krótko przed narodzinami Kevina stwierdziłeś, że dzieci czasem stwarzają problemy.

Powiedziałeś też, że gdyby za Twojego życia USA pogrążyły się w ogromnym, ekonomicznym kryzysie, przegrało wojnę z innym państwem lub stało się zupełnie skorumpowane i zepsute, popłakałbyś się. Wierzyłam, że tak właśnie byś postąpił. Jednak w okresie naszych wypraw do Instytutu Smithsona, podczas których wkurzałeś mnie chronologicznym recytowaniem nazwisk prezydentów i atakowałeś powodami zamieszek na Haymarket w Chicago, miałam wrażenie, że kraj, który poznawałam, nie był mój. Poznawałam *Twój* kraj. Ten, który zbudowałeś dla siebie w taki sposób, w jaki dziecko stawia domek z patyczków po lodach. Mimo wszystko jednak była to urocza konstrukcja. Nawet teraz, gdy dojrzę przypadkiem fragment preambuły naszej konstytucji: *My, Naród...*, dostaję gęsiej skórki. Słyszę wtedy Twój głos. Deklaracja Niepodległości: *Uznajemy te wartości...* - znowu Twój głos.

Ironia. Myślałam o Tobie i Twojej ironii. Zawsze dawałeś jej próbkę, gdy przyjeżdżali moi przyjaciele z Europy i twierdzili, że nasi rodacy są pozbawieni jej poczucia. Jak na złość, w końcu dwudziestego wieku bolesnej ironii w naszym kraju było aż nadto. Szczerze mówiąc, miałam jej dosyć, mimo że zdałam sobie z tego sprawę dopiero, gdy Cię poznałam. Na początku lat osiemdziesiątych wszystko było w stylu retro, a wokół czaiła się zamaskowana drwina, dystansująca się od tych obiadowych kompletów z lat pięćdziesiątych, chromowanych taboretów i przesadnych reklam piwa korzennego. Ironia to coś mieć i jednocześnie tego nie mieć. To pedantyczna spontaniczność, wyparcie się czegoś. Mieliśmy przyjaciół, mieszkających w domach specyficznie udekorowanych kiczowatymi, murzyńskimi lalczkami i obramowanych reklamami płatków Kellogg's z lat dwudziestych, którzy nigdy nie uważali tego wystroju za żart.

Nie potrafiłbyś żyć w taki sposób. Brak poczucia ironii przypuszczalnie równoznaczny był z jej nieznajomością - z byciem matołem - z brakiem poczucia humoru. Dobrze wiedziałeś, czym jest ironia. Przez grzeczność uśmiechałeś się, gdy Belmont

przyniósł do domu czarną, żelazną lampę w kształcie dzokeja. Twoim zdaniem ten dowcip nie był śmieszny. Chciałeś otaczać się obiektami, które były prawdziwie piękne, a nie po prostu śmieszne. Byłeś bystrym, inteligentnym człowiekiem, zaprogramowanym na szczerłość, ale z natury nie byłeś zbyt szczerzy. W pełni potrafiłeś wykorzystać narzuconą sobie *amerykańskość*. Czy to na pewno naiwność, gdy prowadzi Cię do określonego celu? Chodziłbyś na pikniki, jeździłbyś na wycieczki do miejsc pamięci narodowej, ze wszystkich sił śpiewałbyś hymn na meczach Metsów, a na Twej twarzy nigdy nie pojawiłby się szyderczy uśmieszek. Stany Zjednoczone, które tak chwaliłeś, były krajem ze świetnie prosperującą gospodarką, w którym każdy obywatel, przynajmniej w teorii, miał co jeść; państwem walczącym o sprawiedliwość, oferującym mieszkańcom wszelkie możliwe rodzaje rozrywki i sportu, każdą religię, zróżnicowanie etniczne, pracę i przynależność polityczną, bajeczne krajobrazy i bogactwo fauny, flory oraz klimatów. Jeśli nie było tu warunków na spokojne i dostatnie życie z piękną żoną i zdrowym, dorastającym synem, to z pewnością w innym miejscu też nie byłoby to możliwe. I nawet teraz wydaje mi się, że miałeś rację. Nigdzie nie byłoby to możliwe.

Godz. 21.00 (w domu)

Kelnerka była miła, ale Bagel Café już zamykano. Wydruk komputerowy jest mniej osobisty, ale z pewnością łatwiej go przeczytać. Z tego powodu martwię się, że przez ręcznie pisaną część przebiegłeś bardzo nieuważnie. Boję się, że gdy zauważyłeś słowo „Chatham”, nie mogłeś już skupić się na innych, ważnych rzeczach. *Chatham*. Jadę do *Chatham*.

Tak, jeżdżę tam. Wykorzystuję każdą możliwą okazję. Na szczęście lub nieszczęście, te wyprawy co dwa tygodnie do Zakładu Karnego dla Nieletnich Claverack są ściśle ograniczone godzinami, w których odbywają się widzenia. Z tego powodu nie mogę przesunąć chwili wyjazdu, ani przełożyć na inny dzień. Wyjeżdżam dokładnie o 11.30, ponieważ muszę być na miejscu punktualnie o 14.00, po drugiej przerwie na lunch. Nie dopuszczam do siebie myśli, czy boję się tych wizyt, czy na nie czekam. Po prostu jadę. Dziwisz się. A nie powinieneś. W końcu to mój syn, a matka powinna odwiedzać swoje dziecko w więzieniu. Zdarzało się, że zawodziłam jako matka, ale nie możesz zarzucić mi, że nie przestrzegałam pewnych reguł. Jednym z moich największych błędów było z pewnością ściśle trzymanie się niepisanych zasad rodzicielstwa. Zostało to podkreślone w sądzie, w procesie cywilnym. Byłam przerażona tym, jak sztywno i uczciwie prezentowałam się w aktach. Vince Mancini, prawnik Mary, zarzucił mi, że w trakcie postępowania odwiedziłam

mojego syna w areszcie tylko dlatego, że spodziewałam się pozwu o niedopełnienie obowiązków rodzicielskich. Jego zdaniem odgrywałam rolę, by mieć podstawy do obrony. Problem prawnika polega na tym, że nie może brać pod uwagę domysłów. Mancini miał trochę racji. W tych wizytach był pewien element teatru. Ale trwały nadal, nawet gdy nikt już nie zwracał na nie uwagi. Jeśli chciałam udowodnić, że jestem dobrą matką, to w ten ponury sposób robiłam to przede wszystkim dla siebie samej.

Kevin był bardzo zdziwiony moimi częstymi odwiedzinami, a na początku wyglądał nawet na zadowolonego. W roku 1999 miał szesnaście lat, a w tym wieku publiczne pokazywanie się z matką było dość krępujące; przewrotnie te truizmy, dotyczące nastolatków, nie ulegają zmianie nawet przy okazji największych kłopotów. Podczas pierwszych wizyt Kevin traktował moją obecność jako oskarżenie, więc zanim cokolwiek powiedziałam, wpadał w złość. I zupełnie irracjonalne było to, że to właśnie *on* złościł się na *mnie*.

W podobny sposób zachował się kierowca samochodu, który niemal potrącił mnie na chodniku. Był wściekły, krzyczał, gestykulował, przeklinał mnie. Mnie - osobę, którą prawie rozjechał, mimo że to ja miałam pierwszeństwo. Ale tak właśnie wyglądają spotkania z kierowcami płci męskiej - im bardziej się mylą, tym bardziej wściekają się na innych. Myślę, że w tym przypadku emocjonalne uwarunkowania, jeśli można to tak nazwać, są pośrednie: przez ciebie źle się czuję, złe samopoczucie sprawia, że się wściekam; więc wściekam się z twojego powodu. Gdybym miała wtedy możliwość zastanowienia się nad pierwszą częścią tego wywodu, być może dostrzegłabym w spojrzeniu Kevina ledwo tłącą się iskierkę nadziei. Ale jego złość była dla mnie tajemnicą. Czułam, że to nie było w porządku. Kobiety mają większą skłonność do zamartwiania się, nie tylko w ruchu drogowym. Ja się obwiniałam, on mnie obwiniał. Czułam się tak, jakbym miała w tym wszystkim swój udział.

W efekcie krótko po jego aresztowaniu nie potrafiliśmy już ze sobą rozmawiać. Po prostu, stając naprzeciw niego, od razu wiotczałam. Nie miałam nawet siły, by płakać, choć to akurat nie byłoby zbyt sensowne w tej sytuacji. Po pięciu minutach byłam w stanie chrapliwym głosem zapytać go o jedzenie. Patrzył na mnie wtedy z niedowierzaniem, bo w tych okolicznościach to pytanie było co najmniej głupkowate. Albo pytałam *Czy dobrze cię tu traktują?*, nie bardzo wiedząc, co mam na myśli. Zresztą nawet nie jestem pewna, czy chciałam, by traktowano go *przyzwoicie*. Odburkiwał, że *zawsze dostaje buziaka na dobranoc*. Bardzo szybko przestałam zadawać te matczyne pytania, co chyba obojgu nam sprawiło sporą ulgę.

O ile dość łatwo uporałam się z moją pozą kochającej matki, która martwi się, czy synuś dobrze się odżywia, to wciąż jeszcze musiałam zmierzyć się z mroczną stroną Kevina -



socjopaty, którego zachowania nie sposób zrozumieć. Problem w tym, że gdy moja rola matki, trwającej przy swoim synu niezależnie od okoliczności, traci na znaczeniu - staje się nieważna, nieracjonalna, ślepa i z chęcią bym się jej pozbyła - Kevin czerpie z tego zbyt wiele korzyści, by tak zwyczajnie pozwolić, by zniknęła całkowicie. Wciąż wykorzystuje każdą okazję, by zademonstrować, że może kiedyś mogłam zmusić go do mycia naczyń, ale teraz jest gwiazdą, którą można zobaczyć na okładce „Newsweeka”. Jego charakterystyczne nazwisko, *Kevin Khatchadourian* - lub „KK” w brukowcach, niczym Kenneth Kaunda w Zambii - błyskawicznie zajęło główne miejsce we wszystkich serwisach informacyjnych i zdobyło trwałą pozycję w dziennikarskim słowniku. Poruszył nawet opinię publiczną, która domagała się teraz przywrócenia kar cielesnych i orzekania kary śmierci dla nieletnich morderców. W więzieniu dawał mi do zrozumienia, że nie jest jakimś pospolitym przestępcą, ale demonem, który cieszy się wielkim szacunkiem pozostałych młodocianych bandytów.

Pewnego razu podczas wizyty, gdy był już bardziej rozmowny, zapytałam go: - Co o tobie myślą pozostali przebywający tu chłopcy? No wiesz, czy krytykują cię za to, co zrobiłeś? - Nie mogłam zdobyć się na więcej i zapytać wprost, czy podstawiają mu nogi na korytarzu, czy plują mu do zupy. Po prostu byłam bardzo niepewna, wręcz uległa. Przerazał mnie, psychicznie mnie przerażał. Wokół roilo się od więziennych strażników, ale w szkole przecież też byli ochroniarze, w Gladstone była policja, a jednak nie potrafili zapobiec tragedii. Po tym, co się wtedy wydarzyło, nigdy już nie czułam się bezpieczna.

Kevin zaśmiał się głośno i bardzo chropowato. I powiedział mniej więcej tak: - Żartujesz? Okazują mi cześć i cholernie wielkie uwielbienie, mamusiu. Nie ma tu chłopaka, który nie chciałby zabić kilkudziesięciu swoich rówieśników. Każdego co rano nachodzą takie myśli, ale tylko ja miałem jaja, by zrobić to w prawdziwym życiu. - Zawsze, gdy Kevin mówi „prawdziwe życie”, czyni to z przesadnym naciskiem, z jakim fundamentaliści wyrażają się o niebie i piekle. Tak, jakby starał się sobie coś wmówić.

Opierałam się tylko na jego słowach, bo nie mogłam sprawdzić, czy wśród nieletnich złodziei samochodów i chłopców siedzących za dźgnięcie nożem konkurencyjnego sprzedawcy narkotyków Kevin osiągnął status mitycznego bohatera. Ale wierzyłam w to, że zyskał pewien prestiż, jednak z czasem miał on coraz mniejsze znaczenie.

Powiedział mi wtedy: - Wiesz co, cholernie zmęczony jestem ciągłym opowiadaniem tej samej historii.

Wywnioskowałam z tego, że to raczej koledzy nie chcą już słuchać jego opowieści. Półtora roku to dla nastolatka kawał czasu, dlatego Kevin przestał być popularny. Staje się wystarczająco dorosły, by zrozumieć, że jedną z różnic pomiędzy przestępcą a przeciętnym

czytelnikiem gazet jest to, iż ten drugi w każdej chwili może przestać czytać historię, która go znudziła. Więźniowie natomiast są skazani na bezwzględne przywiązanie do tej samej opowieści. A Kevin przez resztę swojego życia będzie wchodził po schodach do klimatyzowanej sali gimnastycznej liceum Gladston High.

Czuje się urażony, a ja wcale go nie obwiniam za to, że jest już znudzony swoim okrucieństwem lub zazdrości innym umiejętności wyłączenia. Dzisiaj narzekał na jakiegoś nowego gówniarza, który do więzienia trafił w wieku trzynastu lat. Kevin jeszcze dorzucił cenną informację: - Jego fiutek jest taki, jak czekoladka Tootsie Roll. Wiesz, taki malutki - wysunął mały palec. - O, tyle, trzy czwarte.

Kevin z rozkoszą opisał sposób, w jaki ten trzynastolatek chciał stać się sławny: W środku nocy, około godziny 3.00, starsze małżeństwo zwróciło mu uwagę, że zbyt głośno słucha płyty zespołu The Monkees. W najbliższy weekend córka znalazła ich ciała leżące w łóżku, rozcięte od krocza do gardła i wypatroszone.

- To okropne - powiedziałam. - Nie wiedziałam, że jeszcze ktoś słucha The Monkees.

Kevin wyjaśnił jeszcze, że przyczyną ogromnej popularności młodego mordercy w mediach i więzieniu był fakt, że policja nigdy nie znalazła wnętrzości.

- Twój kolega jest nad wyraz rozwinięty - zauważyłam. - Ukryte wnętrzości. Przecież sam mówiłeś, że w tym biznesie trzeba być szurniętym.

Może Cię to przeraża, Franklinie, ale poświęciłam prawie dwa lata, by dotrzeć do Kevina, by móc w ten sposób przekomarzać się z nim. Mimo to, on wciąż nie czuje się pewnie. Wchodzę na jego teren. Sprawiam, że mi zazdrości.

- Moim zdaniem nie jest taki mądry - powiedział Kevin. - Pewnie spojrzął na te flaki i pomyślał: *Super! Darmowe żarcie!*

Ukradkiem spojrzął na mnie. Moja bierność była dla niego rozczarowująca.

- Każdy tu myśli, że ten dureń to twardziel - przyznał. - Mówią mu, że przecież można słuchać muzyki tak głośno, jak się chce, że dobrze zrobił. Jego afroamerykański akcent stał się tu bardzo popularny i teraz prawie każdy gada w ten sposób. Ale na mnie to nie robi wrażenia. To jeszcze dzieciak. Nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi.

- A ty sobie zdawałeś? - zapytałam uszczypliwie.

Kevin założył ręce i popatrzył na mnie z satysfakcją. Musiałam znów zagrać rolę matki.

- Oczywiście, że wiedziałem, co robię - powiedział, wspierając się na łokciach. - *I zrobiłbym to jeszcze raz!*

- Nawet wiem, dlaczego - odparłam, wskazując na pokój bez okien, obity

cynobrowymi panelami. - Bardzo dużo na tym skorzystałaś.

- Po prostu zamieniłem jedną norę na drugą - prawą dłonią wykonał ruch, jakby palił papierosa.

Temat zamknięty, jak zwykle. Zapamiętałam jednak fakt, że trzynastoletni parweniusz zajął miejsce Kevina w panteonie sław zakładu Claverack. Wyglądało na to, że nie musieliśmy się martwić o brak ambicji u naszego syna.

Przez tę kłótnię pomyślałam, by o tym nie wspominać, ale w końcu postanowiłam nie zatajać przed Tobą jednej z najbardziej istotnych rzeczy.

Strażnik z twarzą solidnie naznaczoną pryszczami obwieścił koniec widzenia. Nie spędziliśmy tej godziny, w większości gapiąc się na zegar. Staliśmy po dwóch stronach stołu i już miałam zamiar powiedzieć na pożegnanie, że za dwa tygodnie znów się zobaczymy, gdy spostrzegłam, że Kevin gapi się prosto w moje oczy, a dotychczas zawsze unikał mego wzroku. To mnie powstrzymało, pozbawiło odwagi i sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek chciałam, by patrzył mi prosto w oczy.

Gdy już uporałam się z założeniem płaszcza, Kevin rzucił w moją stronę: - Tymi swoimi wizytami możesz oszukiwać wszystkich wokół, sąsiadów, strażników, Jezusa, swoje uczucia macierzyńskie, ale nie mnie. Mnie nie oszukasz. Jeśli chcesz zasłużyć na medal, to przyjeżdżaj, ale specjalnie dla mnie nie musisz tu taszczyć swojego tyłka. - A później dodał: - Bo cię nienawidzę.

Wiem, że dzieci często w napadach złości, z oczami zalanymi łzami, krzyczą w stronę rodziców: *Nienawidzę cię! Nienawidzę cię!* Kevin jednak miał już prawie osiemnaście lat, w dodatku jego komunikat był bardzo czytelny.

Miałam kilka pomysłów na odpowiedź. Chociażby: *Wiem, że wcale tak nie myślisz, co jednak nie było prawdą, lub: I tak cię kocham, młody człowieku, czy tego chcesz, czy nie.*

Miałam jednak wrażenie, że nie byłoby to związane z wydarzeniami, w efekcie których pewnego ślicznego, grudniowego popołudnia znalazłam się w jaskrawym, przegrzanym pokoju, cuchnącym niczym publiczna toaleta. W zamian powiedziałam w tym samym, czysto informacyjnym tonie: - Ja nienawidzę cię równie często - po czym odwróciłam się i wyszłam.

Teraz już wiesz, dlaczego musiałam napić się porządnej kawy. Była to próba odparcia presji.

Wracając do domu, zastanawiałam się nad tym, że mimo chęci ucieczki z kraju, którego obywatele, wyznając zasadę wolności, patroszą ludzi, i tak wyszłabym za mąż za

Amerikanina. Miałam więcej powodów niż inni, by uznać obcokrajowców za niemodnych. W trakcie podróży na wylot poznałam ich egzotykę. Poza tym w wieku trzydziestu trzech lat byłam już bardzo zmęczona tym ciągłym biegiem i przemieszczaniem się pomiędzy krajami. Zawsze byłam dla siebie cudzoziemką, w pośpiechu przeglądającą słownik angielsko-włoski w poszukiwaniu „koszyka chleba”. Nawet w Anglii musiałam pamiętać, by zamiast słowa „bruk” używać „chodnik”. Świadoma tego, że byłam w pewnym sensie ambasadorem, musiałam walczyć z codziennymi wyobrażeniami, uważając na to, by nie być arogancką, niemłą, niegrzeczną, uprzedzoną, prostacką lub głośną w miejscu publicznym.

Ale jeśli rościłam sobie prawo do całej planety w takim samym stopniu, jak do mojego ogródka, to właśnie ta bezczelność i bezpośredniość czyniła ze mnie Amerykankę w każdym calu. I choćbym przeobraziła się w internacjonalistyczną, tropikalną hybrydę, zawsze pozostaną prostą mieszkanką Racene w stanie Wisconsin. Nawet beztroska, z jaką opuszczałam ojczyznę, była typowa dla zadzierających nosa, nerwowych i agresywnych ludzi, którzy z satysfakcją uważali, że Ameryka jest wieczna. Europejczycy mają większą świadomość. Zdają sobie sprawę z przemijania, z tymczasowości historii, jej zachłanności i drapieżności. Za każdym razem chętnie wracają do swoich domów, by sprawdzić, czy, dajmy na to Dania, ciągle tam jest. Dla tych z nas, dla których „inwazja” jest słowem z innego świata, nasz kraj jest niezniszczalną twierdzą, która zawsze będzie czekała na nasz powrót. W rzeczywistości najłatwiejszym wytłumaczeniem chęci podróżowania w moim przypadku było to, że „Stany Zjednoczone mnie nie potrzebują”.

Wybór partnera życiowego głównie na podstawie programu telewizyjnego, jaki oglądał w dzieciństwie, jest żaloszny, ale mniej więcej tak to z nami wyglądało. Chciałam opisać pewnego żyłastego, niezdarnego, małego człowieka jako „Barneya Fife'a”, bez pokrętnego dodawania, że Barney był postacią w sympatycznym, niezbyt popularnym za granicą serialu *The Andy Griffith Show*, w którym niekompetentny deputowany często pakował się w kłopoty z powodu swej aroganckiej dumy. Ja nuciłabym tytułową piosenkę z *Bardzo długiej podróży poślubnej*, Ty dołączyłbyś do mnie, „Ależ jest pięknie!”. Chciałam przestać być zmuszana do udawania wariata bez własnych zasad, do posiadania domu, który sam w sobie ma reguły dotyczące butów, których wszyscy goście powinni przestrzegać. Przywróciłeś mi wiarę w sens rodzinnego gniazda.

*Dom* - to dokładnie to, czego pozbawił mnie Kevin. Moi sąsiedzi traktują mnie teraz z podejrzliwością, z jaką zwykle ludzie odnoszą się do nielegalnych imigrantów. Starannie dobierają słowa i mówią do mnie z takim namaszczeniem, jak gdyby angielski był moim drugim językiem. Odkąd zostałam zepchnięta na dalszy plan jako „matka jednego z tych

chłopców z Columbine”, ja też musiałam szukać odpowiednich słów, by moje odległe myśli przelać na język wyprzedaży 2-za-1 lub kart parkingowych. Kevin sprawił, że znów czułam się obco we własnym kraju. Może to w jakimś stopniu tłumaczy moje regularne wizyty w więzieniu Claverack, podczas których nie muszę tłumaczyć mojego obcego żargonu na język przeciętnego mieszkańca przedmieść. Tylko tu możemy posługiwać się aluzjami niewymagającymi objaśnień, jak gdybyśmy wychowywali się w tej samej kulturze.

*Eva*

8 grudnia 2000

*Drogi Franklinie,*

Zwykle tylko ja w biurze Travel R Us z własnej woli zostaję po godzinach, by jeszcze popracować. Dzisiaj jednak, pomimo piątku, inni też stanęli przed taką koniecznością, gdyż prawie wszystkie bilety lotnicze w okresie świątecznym były już zarezerwowane. Ten szaleńczy, wyniszczający maraton, który miał zacząć się o godz. 17.00 sprawiał, że byłam bliska hysterii.

Gdy jechałam metrem, przyrządzałam kurczaka czy wpisywałam proste hasła do krzyżówki w „Timesie”, często dręczyło mnie uczucie, że na coś czekam. Nie jest to takie zwykle oczekiwanie, typowe dla stojącego na linii startowej durnia, który nie usłyszał wystrzału startera. Nie, to jest czekanie na coś szczególnego, wyjątkowego, na pukanie do drzwi. Uczucie to czasem staje się bardzo uporczywe. Dziś wieczorem dotknęło mnie z dużą siłą. Nadstawiając ucha cały dzień, całą noc, jakaś część mnie ma nadzieję, że wrócisz do domu.

Przypomina mi to pewien majowy wieczór brzemiennego w skutki roku 1982, kiedy to oczekiwanie na Twoje pukanie do kuchennych drzwi nie było aż tak intensywne. Włączyłeś się wówczas po leśnych obszarach południowego New Jersey, w poszukiwaniu dogodnego miejsca na reklamę Forda. W domu miałeś być około godziny 19.00. Ja dopiero co wróciłam z miesięcznej wyprawy do Grecji, podczas której aktualizowałam mój przewodnik. Gdy o godzinie 20.00 wciąż nie było Cię w domu, przypominałam sobie, że kiedyś z powodu spóźnienia samolotu musiałeś czekać na mnie na lotnisku Kennedy'ego aż sześć godzin.

Około 21.00 byłam już nieco podenerwowana, nie wspominając o tym, że także głodna. Roztargniona, przeżuwałam kawałki pistacjowej chałwy, którą przywiozłam z Aten. Dla podtrzymania nastroju zamierzałam przygotować musakę, którą chciałam Cię przekonać, że w otoczeniu baraniny i mnóstwa cynamonu nawet bakłazany będą Ci smakowały.

Około 21.30 krem zaczął z wierzchu brązowieć, mimo że przykręciłam piekarnik do 180°. Wyjęłam rondel. Zawieszona pomiędzy złością a udręką, jakoś poradziłam sobie z ogarniającą mnie irytacją, spowodowaną uderzeniem w komodę, gdy szłam do kuchni po folię aluminiową. Bakłazany za mocno się wysuszyły i w coraz mniejszym stopniu przypominały musakę. Nerwowo wyszarpałam z lodówki grecką sałatkę, z furją posiekałam oliwki i zostawiłam je, by nieco ociekły. Uspokoiliłam się trochę. Nie mogłam już dłużej się

złości. Strach paraliżował mnie coraz bardziej. Upewniłam się, że obydwa telefony były dobrze odłożone. Sprawdziłam, czy winda działa jak należy, choć pewnie dałbyś radę wejść po schodach. Dziesięć minut później ponownie sprawdziłam telefony.

Pewnie przez takie sytuacje ludzie zaczynają palić papierosy.

Gdy o 22.20 telefon wreszcie zadzwonił, zerwałam się jak oszalała. Serce wyskakiwało mi z piersi, gdy usłyszałam głos matki. Powiedziałam jej w skrócie, że od trzech godzin powinienes już być w domu, a ja nie potrafię opanować swoich nerwów. Współczuła mi, co było dla niej nietypowe, gdyż bardzo rzadko okazywała uczucia. Później jednak zarzucała mi, że wybrałam życie podróżniczki tylko dlatego, by zrobić jej na złość, gdyż ona nigdy nie wystawiła nosa poza ganek swojego domu. Powinnam pamiętać, że ona też przechodziła przez coś podobnego, jednak to oczekiwanie trwało wtedy nie trzy godziny, a kilka tygodni, dopóki kurier z Ministerstwa Wojny nie dostarczył listu zawierającego najgorsze wieści. W zamian jednak byłam bardzo niegrzeczna i trzasnęłam słuchawką.

22.40. Południowe rejony New Jersey nie są bezpieczne - lasy i pola uprawne. Kierowcy z tamtych stron jeżdżą jak wariaci, a ich głupota już nieraz była przyczyną śmiertelnych wypadków. *Dlaczego nie zadzwoniłeś?*

Było to jeszcze przed nastaniem ery telefonów komórkowych, więc nie mogłam Cię obwiniać. Zdałam sobie sprawę, że takie sytuacje są bardzo częste. Twój mąż, żona lub dziecko spóźniają się, spóźnienie jest ogromne, a gdy w końcu wracają do domu, powód jest bardzo prozaiczny. Wyobrażenia równoległego świata, w którym osoby, na które czekamy, nigdy nie wracają do domu, przyskają jak bańka mydlana, jednak zostawiają trwałe ślady w naszej psychice. Godziny, które trwały niczym wieczność, odchodzą w zapomnienie. Smak strachu był nawet znajomy, ale nie potrafiłam przypomnieć sobie innej sytuacji, w której tak biegałam po naszym poddaszu, a moją głowę, niczym tętniak, pustoszył totalny kataklizm.

O godzinie 23.00 wpadłam w etap składania przyrzeczeń.

Wypiłam lampkę wina; smakowało jak octowa marynata. Piłam sama, bez Ciebie. Musaka, sucha niczym kawałek drewna: jedzenie bez Ciebie. Nasze poddasze, pełne przywiezionych z podróży koszyków i rzeźb sprawiało wrażenie tandetnego sklepiku z importowanymi towarami: dom bez Ciebie. Przedmioty nigdy nie wyglądały tak bezdusznie i beznadziejnie. Twoje rzeczy musiały mi Ciebie zastępować: skakanka wisząca na haku, brudne, sztywne skarpetki, śmiesznie pomniejszające rozmiar Twych stóp.

Oczywiście wiedziałam, że dziecko w żaden sposób nie może zastąpić męża. Miałam przykład mojego brata, który musiał dźwigać brzemień jedynej mężczyzny w domu. Widziałam, jakie tortury przechodził, gdy matka po raz kolejny starała się znaleźć

podobieństwo między nim a postacią ze starej fotografii. To nie było w porządku. Giles nawet nie pamiętał ojca, który zginął, gdy mój brat miał trzy lata. Minęło już wiele czasu od momentu, gdy z kilkuletniego dziecka, ucieleśnienia ojca, przeistoczył się w postawnego bruneta, z dumą siadającego przy kominku w nieskazitelnym mundurze wojsk lotniczych, w kogoś, kim ten mały chłopiec na pewno nie był. Przez to wszystko do dziś Gilesowi brakuje pewności siebie. Gdy wiosną 1999 roku przemógł się i odwiedził mnie, nic nie mówił i czerwienił się rozgoryczony, bo ożywiałam w nim to samo uczucie niekompletności, jakie towarzyszyło mu przez całe dzieciństwo. Jeszcze bardziej oburzał się na złą sławę, jaką z powodu naszego syna okryła się cała rodzina. Kevin i *Czwartek* znów wywabiły Gilesa z kryjóWKi. Do dziś ma do mnie wielkie pretensje o to, że wystawiłam go na widok publiczny. Wszystko dlatego, że jego jedyną ambicją jest bycie nieznanym.

Pomyślałam o tym, że poprzedniej nocy kochaliśmy się i dzień wcześniej też, a ja, chyba przez roztargnienie, zabezpieczyłam się tak, jak należy. Co mogłam zrobić z Twoją skakanką i brudnymi skarpetkami? Czy coś mogło odpowiednio zastąpić ukochanego mężczyznę, takiego, który własnoręcznie maluje walentynkowe kartki, uczy się poprawnej pisowni *Mississippi*? Żadne potomstwo nie mogło Cię zastąpić. Ale jeśli już miało mi Cię zabraknąć, zabraknąć na zawsze, to chciałam mieć kogoś, kto będzie tęsknił razem ze mną. Kogoś, kto znałby Cię choćby tylko jako brakujący element własnego życia.

Gdy około północy ponownie zadzwonił telefon, bałam się odebrać. Było wystarczająco późno, by dzwonił ktoś z policji lub ze szpitala. Poczekalam na drugi sygnał z dłonią obejmującą słuchawkę tak, jakby była to czarodziejska lampa, która mogła spełnić jedno moje życzenie. Matka twierdziła, że w roku 1945 na wiele godzin zostawiła kopertę na stole, a sama parzyła jedną czarną herbatę za drugą, po czym zostawiała je wszystkie, aż wystygną. Była już wtedy w ciąży ze mną. Bardzo często chodziła w tym dniu do toalety, zamykała drzwi i nie włączała światła, tak jakby chciała się przed czymś ukryć. Niepewnie opisywała mi później to dramatyczne popołudnie: miała zmierzyć się z przeciwnikiem większym i silniejszym od niej, w dodatku wiedziała, że przegra.

Twój głos był bardzo zmęczony. Był taki nierealny, że w pierwszym momencie pomyślałam, iż znów dzwoni moja matka. Przeprosiłam mnie, że musiałam się przez Ciebie martwić. Samochód się popsuł na jakimś odludziu i do najbliższego telefonu musiałeś piechotą przejść dwanaście mil.

Nie było powodu, by dłużej rozmawiać, ale jednocześnie za nic w świecie nie chciałam, by ta rozmowa się skończyła. Gdy się pożegnaliśmy, wstydliwie spuściłam wzrok i żałowałam, że pokochałam Cię w sposób, który jest parodią namiętności.



Byłam jak nowo narodzona. W ciągu godziny, jaką zajęło Ci dojechanie taksówką na Manhattan, mogłam wrócić do moich dotychczasowych zmartwień, czyli jak przekonać Cię do bakłażanów i zmusić do tego, byś zrobił pranie. To był ten sam świat, w którym mogłam odrzucić możliwość posiadania dziecka, ponieważ gdzieś tam mieliśmy zarezerwowany hotel, a poza tym przed nami było jeszcze tyle nocy.

Nie byłam jednak w stanie tak do końca się zrelaksować, wpaść w tę niedbałość, która pozwala radzić sobie z codziennym życiem, a bez której na zawsze utknęlibyśmy w naszych salonach, zupełnie tak jak moja matka. W rzeczywistości przez te kilka godzin miałam chyba okazję posmakować jej powojennego życia, w którym brakowało jej nie tyle odwagi, co umiejętności oszukiwania samej siebie. Jej naród podbity przez Turków, jej mąż zestrzelony gdzieś nad oceanem przez szalonych małych, żółtych ludzi. Za drzwiami domu widziała tylko chaos, a my wszyscy uciekaliśmy do miejsca, którego spokój był tylko złudzeniem. W roku 1999, kiedy to na dobre wstąpiłam do świata mojej matki - do miejsca, w którym wszystko mogło się zdarzyć i co gorsza: często się zdarzało - do świata znerwicowanego, stałam się dla niej bardziej wyrozumiała.

Tym razem w końcu miałeś wrócić do domu. Gdy odłożyłam telefon, nagle uświadomiłam sobie, że kiedyś może nadejść taki dzień, w którym nie wrócisz.

Czas jednak, zamiast swej nieskończoności, zdawał się płynąć bardzo szybko. Gdy wszedłeś do domu, byłeś tak zmęczony, że ledwo mogłeś mówić. Nie zmuszałam Cię do zjedzenia kolacji, ale też nie pozwoliłam zasnąć. Poczulałam nieodpartą żądzę seksualnego uniesienia i mogę zapewnić, że była to potrzeba najwyższego rzędu. Chciałam zrobić dla nas kopię zapasową, tak jak w moim komputerze. Chciałam się upewnić, że jeśli coś nam się stanie, to pozostawimy po sobie więcej niż skarpetki. Tej nocy chciałam dziecka w każdym zakamarku, jak pieniędzy schowanych w słoikach, jak butelek wódki poupychanych po kątach w mieszkaniu alkoholika o słabej woli.

- Nie zabezpieczyłam się - wymamrotałam, gdy już skończyliśmy.

- To źle? - zapytałeś poruszony.

- To bardzo źle - odpowiedziałam. Słowa nabrałyby innego znaczenia, gdybyśmy wiedzieli, jaki będzie tego efekt po dziewięciu miesiącach. Równie bezpieczne byłoby zostawianie szeroko otwartych drzwi do mieszkania podczas naszej nieobecności.

Następnego ranka zapytałeś mnie:

- Nie poniosło cię przypadkiem?

Zadowolona z siebie, potrząsnęłam przecząco głową.

- Jesteś pewna? - drążyłeś.

- Franklinie, nigdy nie będziemy stuprocentowo pewni. Nie mamy pojęcia, jak to jest mieć dziecko. To jedyna droga, by się o tym przekonać.

Objąłeś mnie i podniosłeś do góry. Zauważyłam, że dopadło Cię wspomnienie chwili, w której bawiłeś się z córkami Briana.

- Fantastycznie! - wykrzyknęłam.

Byłam pewna siebie, jednak gdy postawiłeś mnie na podłodze, zaczęła ogarniać mnie panika. Zadowolenie ma to do siebie, że może pojawić się w każdej chwili, a ja właśnie przestałam martwić się tym, czy przeżyjesz kolejny tydzień. *Co ja zrobiłam?* Kilka tygodni później powiedziałam Ci, że mam okres i jestem tym rozczarowana. To było moje pierwsze kłamstwo, w dodatku olbrzymie.

Przez kolejne sześć tygodni co noc starałeś się być użyteczny. Uwielbiałeś spełniać swoją powinność, a ja nie czerpałam zbyt wiele radości z pieprzenia, które bardziej przypominało odrabianie pańszczyzny. Zawsze pociągała mnie frywolność seksu, lubiłam też jego ciemniejszą stronę. A świadomość, że nawet członkowie ortodoksyjnego kościoła patrzyliby na nas z aprobatą sprawiała, że nie byłam w odpowiednim nastroju. W tym czasie zaczęłam postrzegać moje ciało w innym świetle. Zrozumiałam, że piersi będą produkowały pokarm dla dziecka, a dzięki laktacji będą spełniały taką samą rolę jak krowie wymiona. Śmieszne, że kobieta może zapomnieć, po co tak naprawdę ma piersi.

Srom między moimi nogami również uległ przeobrażeniu. Stracił swoją skandaliczną obsceniczność, a może po prostu zyskał inny wymiar obsceniczności. Wargi otwierały się już nie tak nieśmiało, lecz szeroko, jakby chciały ziewać. Tunel w moim ciele prowadził do czegoś namacalnego, do rzeczywistego miejsca, a nie wyłącznie do mrocznych zakamarków mojego umysłu. Przemiany ciała przybierały przewrotne formy, zawierały ukryte znaczenia, drugie dno, niczym lizaki, które kiedyś dostałam u dentysty.

Widzisz, wszystko, co czyniło mnie piękną, związane było z macierzyństwem, a moje pragnienie bycia atrakcyjną dla mężczyzn było jedynie podstępem ciała, które w ten sposób próbowało usunąć swojego następcę. Nie chcę udawać, że byłam pierwszą kobietą, która odkryła, że jest w ciąży. Ale to wszystko było dla *mnie* takie nowe. I szczerze mówiąc, wcale nie byłam pewna, czy tego chcę. Czułam się zbędna, odrzucona, wchłonięta przez jakiś duży, biologiczny projekt badawczy, na który nie miałam żadnego wpływu, który mnie stworzył, ale równie dobrze mógł mnie przeżuć, zmielić i wypluć. Czułam się zużyta, wykorzystana.

Na pewno pamiętasz nasze kłótnie na temat alkoholu. Według Ciebie pod żadnym pozorem nie powinnam pić, nigdy. Łamałam te zalecenia. Gdy tylko dowiedziałam się, że

jestem w ciąży, przestałam imprezować i wcześniej wieczorem kładłam się spać. Ale poczęcie dziecka może trwać latami, a ja nie byłam przygotowana na to, by wieczory spędzać ze szklaneczką mleka. Wiele pokoleń kobiet popijało beztrąsko, nawet będąc w ciąży. I co? Każda z nich urodziła półgłówka?

Nadaśałeś się. Nic nie mówiłeś, gdy piłam drugą lampkę wina, ale Twoje spojrzenia psuły mi całą przyjemność (o co dokładnie Ci chodziło). Ponuro marudziłeś, że Ty na moim miejscu na pewno nie wypiłbyś ani kropli, nawet przez kilka lat, gdyby to było konieczne. Ja pozwoliłabym, by rodzicielstwo miało wpływ na nasze zachowanie, Ty natomiast - by wyznaczało nasze zachowanie. Kolosalna różnica. Noc i dzień.

W przeciwieństwie do większości kobiet w ciąży, moje poranki były bardzo spokojne, pozbawione niespodziewanych wizyt w toalecie. Mimo to zaoferowałeś, że wraz ze mną pójdziesz oddać do lekarza próbkę moczu do analizy. Wybiłam Ci to z głowy.

- Przecież to nie testy na raka czy coś podobnego - skomentowałam.

W poradni ginekologicznej przekazałam słoik po marynowanych karczochach z dużą energią, by ukryć w ten sposób zażenowanie, wynikające z wręczania obcym ludziom własnych odchodów, po czym usiadłam w poczekalni. Doktor Rhinestein - zimna kobieta, młoda jak na ten zawód, z temperamentem, który bardziej nadawałby się do wykonywania eksperymentów na szczurach - przyszła po dziesięciu minutach i oparła się o biurko.

- Wynik jest pozytywny - poinformowała bez emocji.

Gdy spojrzała na mnie, złapała mnie za rękę.

- Wszystko w porządku? Jest pani biała jak ściana.

Ogarnął mnie dziwny chłód.

- Evo, myślałam, że chcesz zająć w ciąży. To powinna być dla ciebie dobra wiadomość - powiedziała z wyrzutem. Miałam wrażenie, że jeśli ta nowina mnie nie ucieszy, to ona zabierze moje dziecko i da je komuś, komu sprawi ono radość, komuś, kto będzie skakał ze szczęścia, niczym zwycięzca teleturnieju.

- Opuść głowę między nogi - usłyszałam z oddali. Chyba byłam bliska omdlenia.

Gdy w końcu udało mi się wygodnie usiąść, doktor Rhinestein wyrecytowała mi długą listę rzeczy, których nie wolno było mi robić, czego nie mogłam jeść i pić. To było niejako moje wprowadzenie do macierzyństwa, w ten sposób stałam się własnością społeczną, ożywionym odpowiednikiem parku miejskiego. Potoczne wyrażenie *teraz jesz za dwoje, kochanie* jest próbą uświadomienia, że obiad nie jest już wyłącznie twoją prywatną sprawą. Słowa hymnu *w kraju wolności* nabrały nieco przewrotnego znaczenia, co brzmiało dla mnie

jak *jesz teraz dla nas, kochanie*. Dla ponad dwustu milionów wścibskich ludzi, których głównym celem jest sprawdzanie, czy jesteś w dobrym nastroju na pełnowartościowy posiłek, złożony z warzyw i zbóż, zawierający w sobie pięć najważniejszych składników odżywczych. Prawo do kierowania kobietą w ciąży w niedalekiej przyszłości na pewno zostanie wpisane do konstytucji.

Doktor Rhinestein wymieniła najbardziej odpowiednie dla mnie witaminy, a także przedstawiła, na jakie niebezpieczeństwa będę się narażała, kontynuując moją ulubioną grę w squasha.

To popołudnie miałam przeznaczyć na przygotowanie się do pełnienia roli przyszłej matki. Instynktownie mój wybór padł jednak na krótką, bawełnianą sukienkę, bardziej wyzywającą niż seksowną.

Wolałam to, niż kupowanie składników mojego pożywnego posiłku, którego główną częścią miał być gotowany pstrąg. Tymczasem mogłam wypróbować inne podejście do zakupów: nieśmiałe, spóźnione, zdezorientowane, nieprzygotowane i pełne emocji. *Och, kochanie*, żaden sposób nie pasował do mnie. Gdy w domu energicznie wkładałam nowe świece do świeczników, próbowałam przy tym zanucić jakąś piosenkę. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to poważne utwory z wysokobudżetowych musicali, takich jak *Hello, Dolly!* Nienawidzę musicali.

Przy doniosłych okazjach czynnością najczęściej zwieńczającą przygotowania był wybór wina. Ze smutkiem gapiłam się na pokazny stojak na butelki, na którym teraz mógł leżeć tylko kurz. Zawsze coś.

Gdy usłyszałam windę zatrzymującą się na naszym piętrze, wstałam i poprawiłam makijaż oraz fryzurę. Wystarczyło, że tylko spojrzełeś i od razu zauważyłeś nerwowe drgania na mojej twarzy.

- Jesteś w ciąży - wywnioskowałeś.

- Na to wygląda - odburknęłam.

Pocałowałeś mnie jakby od niechcenia.

- I jak się czułaś, gdy się dowiedziałaś?

- O mało nie zemdlalam - odparłam, zgodnie z prawdą.

Delikatnie dotknąłeś moich włosów. „Witamy w nowym życiu”. Moja matka bała się alkoholu w takim samym stopniu, jak wyjścia na ulicę, dlatego lampka wina zawsze kojarzyła mi się z czymś zakazanym, sprawiającym cierpienie. Mimo że nie miałam problemów z „procentami”, wieczorny kieliszek czerwonego wina stał się cechą charakterystyczną mojego dorosłego życia. Był to mój własny, amerykański święty Graal wolności. Powoli jednak

dochodziłam do wniosku, że pełna dojrzałość niewiele różni się od dzieciństwa. Oba okresy wiązały się z przestrzeganiem ściśle określonych reguł.

Tym razem przygotowałam sobie lampkę soku borówkowego i głośno wzniosłam toast. *Na zdrowie!*

Zaskoczyłam Cię. W bardzo śmieszny sposób zaplątałeś się wtedy w swoich domysłach i niezgrabnie próbowałeś wybrnąć z sytuacji, zmieniając znaczenie wypowiedzianych słów. W gruncie rzeczy nie uważałam, by kieliszek wina pozbawiał mnie godności. Ale tak jak w przypadku przysłowiowej podróży, zaczynającej się od małego kroku, ja właśnie poczułam pierwszą, niewielką urazę.

Niewielką, ale urazy w większości są maleńkie. Była tak nieduża, że poczułam się w obowiązku, by ją stłumić. Taka zresztą jest natura uraz, że nie potrafimy ich wyrazić słowami. To cisza, która wywołuje tak wiele negatywnych emocji, jak trucizna, której organizm nie będzie w stanie usunąć. Bardzo starałam się wyobrazić sobie, że sok z borówek smakuje jak młode Beaujolais, jednak w głębi duszy czułam się jak małe dziecko. Ty radośnie szukałeś imion dla naszego potomka (głównie dla chłopca), a ja rozmyślałam o pieluchach, nieprzespanych nocach, piłkarskich treningach, o tym, co czekało mnie w niedalekiej przyszłości.

Chciałeś również mieć w tym swój udział i postanowiłeś, że w czasie ciąży nie będziesz pił alkoholu, choć nasze dziecko na pewno nie będzie przez to lepiej wyglądało. Zacząłeś z namaszczeniem delektować się sokiem borówkowym. Wyglądałeś, jakbyś cieszył się, że możesz pokazać światu, iż alkohol nic dla Ciebie nie znaczy. Drażniło mnie to.

Zawsze próbowałeś pokazać, że jesteś zdolny do poświęceń. Twoja chęć dawania swojego życia innej osobie była godna podziwu, z drugiej strony jednak nie miałaś zielonego pojęcia, co z nim zrobić, kiedy w całości należało do Ciebie. Chęć poświęcania się była bardzo łatwym sposobem na ucieczkę. Wiem, że to brzmi niegrzecznie, ale tak właśnie odbierałam Twoją desperację. Chciałeś pozbyć się siebie z własnego życia. Najwyraźniej tę chęć w dużym stopniu przekazałeś naszemu synowi.

Pamiętasz tamten wieczór? Mieliśmy tyle tematów, na które mogliśmy rozmawiać, a mimo to nie potrafiliśmy wydusić z siebie ani słowa. Nie byliśmy już Ewą i Franklinem. Byliśmy mamusią i tatusiem; to był nasz pierwszy rodzinny posiłek, rzecz, o której nigdy nie mogłam myśleć z łatwością. Ze wstrętem odrzucałam imiona, które wypisałeś na małych karteczkach. Steve, George, Mark - wszystkie wydawały mi się zbyt pospolite. Poczuleś się dotknięty.

Nie potrafiłam z Tobą rozmawiać. Coś mnie tłumilo, blokowało. Chciałam

powiedzieć: *Franklinie, uważam, że to nie jest dobry pomysł. Wiesz, że w trzecim trymestrze nawet nie będę mogła wejść do samolotu?* Nienawidziłam tych wszystkich ograniczeń, stosowania diety, bycia przykładną kobietą w ciąży, szukania dobrej szkoły...

Było już za późno. Razem mieliśmy świętować, a ja powinnam być wniebowzięta.

Do szaleństwa doprowadza mnie myśl, że w ten sposób chciałam zrobić nam „kopię zapasową”; żalosne wspomnienie tej nocy, kiedy utknąłeś na pustkowiu. Co mnie podkusiło? W końcu ta majowa, nierozważna decyzja była już tylko złudzeniem. Przekonana do tego byłam dużo wcześniej, kiedy tak bezgranicznie zakochałam się w Twoim szczerym, amerykańskim uśmiechu i zamięłowaniu do pikników. Może i byłam zmęczona podróżami do kolejnych krajów, jedzeniem, pićm, kolorami. Może blask tego życia zbladł, ale wciąż było to coś, co kochałam. Życie, do którego dziecko nadal nie pasowało. Jedyną rzeczą, którą kochałam bardziej niż to, był Franklin Plaskett. Tak mało wymagałeś; chciałeś tylko jednej rzeczy, którą właśnie ja miałam Ci zapewnić. Jak mogłam odmówić po tym, gdy zobaczyłam radość na Twej twarzy podczas zabawy z dziećmi Briana?

Nie mogliśmy napić się wina, więc bardzo szybko poszliśmy spać. Nerwowo zastanawiałeś się, czy powinniśmy uprawiać seks, czy nie zaszkodzi to naszemu dziecku. Wkurzało mnie to. Stałam się ofiarą prześladowań ze strony organizmu wielkości ziarnka grochu. Po raz pierwszy od sześciu tygodni miałam ochotę na seks. W końcu łaskawie się zgodziłeś. Byłeś przy tym przygnębiająco łagodny i czuły.

Spodziewałam się, że moja niepewność będzie krótkotrwała, jednak z czasem narastała, stawała się coraz ostrzejsza i tajemnicza. Postawmy sprawę jasno. Myślę, że to nie było niezdecydowanie. Ono wygląda inaczej. Na pewno nie byłam niezdecydowana w kwestii macierzyństwa. Ty chciałeś mieć dziecko, a ja nie. W sumie to mogło wyglądać na brak pewności, ale mimo że byliśmy zgodną parą, nie stanowiliśmy jednej osoby. Nigdy nie przekonałam Cię do bakłażanów.

*Eva*

9 grudnia 2000

*Drogi Franklinie,*

Wiem, że pisałam wczoraj, ale stałam się już całkowicie uzależniona od tych sprawozdań z Chatham. Kevin był w dość wojowniczym nastroju. Na powitanie rzucił we mnie oskarżeniem:

- Nigdy nie chciałaś, żebym się urodził, prawda?

Przed aresztowaniem nigdy nie pytał o moje uczucia, dlatego uznałam to za coś obiecującego. Pewnie wpadł na to po żmudnych przemyśleniach, spacerując po swej zamkniętej klatce, ale mimo wszystko był to jakiś pozytywny efekt jego szaleństwa. Wcześniej musiał najwyżej zdawać sobie sprawę, że miałam własne życie, które bardzo skutecznie i z wielką pasją zrujnował. Ale teraz doszedł do kolejnego, istotnego wniosku - że miałam własną wolę: by mieć dziecko, musiałam zrezygnować z innych rzeczy, które stały w sprzeczności z macierzyństwem. Instykt podpowiadał mi, że Kevin domagał się szczerej odpowiedzi.

- Myślałam, że chcę - odparłam. - Ojciec bardzo pragnął twoich narodzin.

Spojrzałam na niego. Szybko zdobył się na sarkastyczną uwagę. Chyba mogłam darować sobie zdanie o Twojej chęci posiadania dziecka. Kochałam Twoje marzenia; osobiście korzystałam z Twojej niezaspokojonej tendencji do uciekania w samotność. Ogólnie rzecz biorąc, takie pragnienia wywoływały pewien niepokój u dzieci, a Kevin najzwyczajniej traktował je jak obrazę.

- Myślałaś, że chcesz - powiedział. - I teraz zmieniłaś zdanie.

- Myślałam, że potrzebuję zmiany - odparłam. - Ale przecież nikt nie chce zmian na gorsze.

Kevin spojrzał na mnie triumfalnie. Od wielu lat starał się doprowadzać mnie do szaleństwa. Ja jednak wciąż byłam rzeczowa i opanowana, mimo że szczere okazywanie emocji zdecydowanie ogranicza naszą zdolność do obrony.

- Macierzyństwo było dużo trudniejsze, niż się spodziewałam - wyjaśniłam. - Byłam przyzwyczajona do lotnisk, plaż, muzeów. Nagle zostałam przywiązana do kilku pomieszczeń i klocków lego.

- Ale ja wtedy bardzo się starałem - powiedział, uśmiechając się beznamiętnie - by zapewnić ci rozrywkę.

- Mogłam przewidzieć, że czasem będę musiała posprzątać wymiociny. Piec

święteczne ciasteczka. Ale nie mogłam spodziewać się tego - Kevin prowokował mnie spojrzeniem. - Nie mogłam przypuszczać, że jako załącznik do ciebie - starałam się mówić tak dyplomatycznie, jak tylko potrafiłam - dostanę taką masę roboty i problemów. Myślałam, że - nabrałam powietrza - ta część umowy będzie bezpłatna.

- Bezpłatna! - Kevin mnie wyśmiał. - Codzienne wstawanie nie jest bezpłatne. Nie ma nic za darmo.

- Już nie. Na pewno nie - podsumowałam z bólem w głosie. Doświadczenie codziennego życia, zarówno Kevina, jak i moje, zbiegło się w jednym punkcie. Czas odrywa się ode mnie niczym złuszczająca się skóra.

- A co do was - powiedział z cwaniackim uśmieszkiem na twarzy - może ja nigdy nie chciałem mieć takich rodziców?

- Żadnych innych nie lubiłbyś bardziej. Nie szanowałbyś innej matki ani ojca. Czymkolwiek by się zajmowali, gdziekolwiek by pracowali, to zawsze uważałbyś, że to kompletnie głupie.

- Przewodniki dla oszczędnych i niezbyt zamożnych? Wyszukiwanie kolejnych odpowiednich miejsc, w których można było umieścić reklamę Jeepa Cherokee? Musisz przyznać, że jest to wyjątkowo głupie i beznadziejne.

- Widzisz? - uniosłam się. - Powiedz szczerze: chciałbyś kiedyś mieć siebie? Jeśli na świecie istnieje jakaś sprawiedliwość, to któregoś dnia powinieneś obudzić się i w kołysce, stojącej przy twoim łóżku, znaleźć *siebie*.

Nie zdenerwował się, nie odpyskował. Po prostu zatkało go. To zachowanie bardziej pasowało do dorosłego, niż do dziecka: spuszczone i szklące się oczy, opadłe ramiona, zwiotczałe mięśnie. Apatia tak ogromna, że aż przypominała niezmierną otchłań, w której w każdej chwili można się bezpowrotnie pograżyć.

Myślisz, że byłam dla niego niedobra i dlatego wycofał się z rozmowy? Ja mam zupełnie inne zdanie na ten temat. Jestem pewna, że chciał, bym była niemiła w sposób, w jaki ludzie szczypią się, by sprawdzić, czy nie śpią. Jedyne, co go mogło w tym wszystkim rozczarować, to fakt, że nie przykładałam się do tego tak, jak oczekiwał. Uszczypnięcia były na tyle słabe, że nic nie czuł. Poza tym wydaje mi się, że bardziej trafiła do niego wizja budzenia się z samym sobą. To właśnie dlatego każdy poranek jest dla niego tak kosztownym i wyczerpującym doświadczeniem. Franklinie, nigdy nie spotkałam kogokolwiek - a spotyka się przecież własne dzieci - kto swoją egzystencję w takim stopniu traktowałby jako brzemię lub upokorzenie. Jeżeli przychodzą Ci do głowy jakieś pomysły, że to ja w brutalny sposób doprowadziłam do tego, iż nasz syn miał niskie *poczucie własnej wartości*, to zastanów się



jeszcze raz. Ten ponury obraz w jego oczach widziałam już wtedy, gdy miał za sobą zaledwie rok życia. Jeśli już, to miał o sobie bardzo dobre zdanie, szczególnie po uzyskaniu statusu tak wielkiej gwiazdy. Pomiedzy nielubieniem siebie a brakiem ochoty na bycie w określonym miejscu jest, moim zdaniem, zasadnicza różnica.

Na pożegnanie rzuciłam jeszcze zaczepnie w jego stronę:

- Nawet nie wiesz, jak bardzo zaciętą walkę musiałam stoczyć z twoim ojcem, byś mógł nosić moje nazwisko.

- Dobra, dobra. Oszczędź sobie kłopotu. Stary dobry *K-h-a...*? - wymamrotał niewyraźnie. - Dzięki mnie każdy w tym kraju wie teraz, jak poprawnie napisać to twoje nazwisko.

Wiedziałaś, że Amerykanie gapią się na kobiety w ciąży? W okresie ujemnego przyrostu naturalnego w Nowym Świecie brzemiennosc jest czymś oryginalnym i nietypowym, a w dobie nagich tyłków i cycków, widocznych na wystawie każdego kiosku, i dostępu do pornografii, przywołuje nachalnie intymne obrazy rozłożonych nóg, obfitego wycieku wód płodowych i pępownicy wijącej się niczym wąż. Gdy pewnego dnia przechadzałam się po Piątej Alei z moim nabierającym kształtów brzuszkiem, z pewnym niedowierzaniem doszłam do następującego wniosku: każdy z ludzi, których widziałam, wyszedł na świat prosto z kobiecej cipy. Z rozmysłem starałam się wyszukać w głowie możliwie najbardziej wulgarne słowo, by właściwie oddać istotę moich przemyśleń. Podobnie jak pierwotny sens istnienia piersi, tak i to jest jednym z oczywistych faktów, których znaczenie za wszelką cenę staramy się pomijać.

Ubierając się w krótkie sukienki, bardzo często w sklepach czułam na sobie podniecone spojrzenia obcych ludzi. Coraz częściej zaczynało mi to działać na nerwy. Poza fascynacją, a nawet zauroczeniem, wymalowanym na twarzach, w ich oczach dostrzegałam również ledwo widoczny cień obrzydzenia i wstrętu.

Pewnie myślisz, że przesadzam. Ja mam odmienne zdanie na ten temat. Zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym, jak wiele filmów przedstawia ciążę jako zakażenie, potajemną kolonizację? *Dziecko Rosemary* było początkiem wszystkiego. W *Obcym - 8. pasażerze Nostromo* jakaś cuchnąca, obrzydliwa istota pozaziemska pazurami toruje sobie drogę do wyjścia z wnętrza Johna Hurta. W *Mutancie* kobieta rodzi dwunogiego robaka. Później, w *Archiwum X*, głównym tematem byli kosmici o wylupiastych oczach, którzy w strumieniach krwi wychodzili na świat z ludzkich wnętrzności. W horrorach i filmach science fiction żywiciel zwykle jest zjadany lub rozrywany, jego rola zredukowana zostaje do miejsca, w

którym koszmarne stwory mogą rozwinąć się i z którego wychodzą na świat.

Przepraszam, ale to nie ja wymyśliłam te filmy. Każda kobieta z popsutymi zębami, z osłabionymi kośćmi, z rozciągniętą skórą doskonale zna tę upokarzającą cenę dziewięciu miesięcy noszenia nietypowego pasożyta. A filmy przyrodnicze o samicach łososia, wędrujących w górę rzeki, by złożyć jajeczka i umrzeć - kamera umieszczona na rybie, odpadanie łusek - doprowadzały mnie do szaleństwa. Przez cały czas trwania ciąży zmagalam się z wyobrażeniem, że z powodu Kevina zdegradowałam się z pozycji kierowcy do pozycji samochodu, z roli gospodarza do roli domu.

Z psychicznego punktu widzenia to doświadczenie było łatwiejsze niż się spodziewałam. Dla mnie największym dyskomfortem w trakcie pierwszego trymestru było przybieranie na wadze - efekt słabości do batoników Mars. Moja twarz stała się pełna, dzięki czemu kanciaste, prawie męskie rysy były gładziej i bardziej dziewczęce. Buzia zrobiła się młodsza, jednak moim zdaniem wyglądała idiotycznie.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak dużo czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że z góry założyłeś, iż nasz potomek będzie nosił Twoje nazwisko. Nie potrafiłiśmy nawet wspólnie ustalić imienia. Proponowałeś, by dać dziecku, o ile będzie to chłopak, imię *Leonard* lub *Peter*. Gdy ja, w ramach rewanżu, zaproponowałam *Engina*, *Garabeta* lub *Selima* - po dziadku ze strony mojego ojca - przybrałeś taki sam tolerancyjny wyraz twarzy, jak ja wtedy, gdy córki Briana chciały bawić się ze mną swoimi lalkami z serii *Cabbage Patch Kids*. W końcu wyrzuciłeś to z siebie.

- Chyba nie wyobrażasz sobie, że mój syn będzie nazywał się *Garabet Plaskett!*

- Niiieeee - powiedziałaś przeciągle. - *Garabet Khatchadourian*. To brzmi znacznie lepiej.

- Brzmi jak nazwisko dziecka zupełnie niezwiązanego ze mną.

- A moim zdaniem *Peter Plaskett* brzmi co najmniej zabawnie.

Siedzieliśmy w *Beach House*, tej małej, sympatycznej, obawiam się, że już nieistniejącej kafejce na rogu *Beach Street*, a ja męczyłam się nad sokiem pomarańczowym tak, jakby zamiast niego podano mi wielką miskę najostrzejszego chili.

Stukałeś palcami po blacie stołu.

- Możemy chociaż wykluczyć opcję połączenia naszych dwóch nazwisk? *Plaskett-Khatchadourian*? Gdy ludzie z takimi nazwiskami zaczną zawierać ze sobą małżeństwa, to ich dzieci nie zmieszczą się w książce telefonicznej. Jeśli już ktoś ma w tym wszystkim przegrać, to chociaż trzymajmy się tradycji.

- Zgodnie z tradycją do 1970 roku w niektórych stanach kobiety nie miały prawa do

własności prywatnej. Zgodnie z tradycją na Bliskim Wschodzie kobiety chodzą po ulicach w czarnych workach na głowie i zgodnie z tradycją w Afryce kobietom wycina się łechtaczki, jak gdyby były to niepotrzebne narostała na ich ciałach...

Zatkałeś mi usta kromką kukurydzianego chleba.

- Dobrze, dobrze, już wystarczy, kochanie. Nie rozmawiamy przecież o rytuale obrzezania kobiet, a jedynie o nazwisku naszego dziecka.

- Faceci zawsze korzystali z przywileju dawania swojego nazwiska dzieciom, mimo że w ogóle nie musieli męczyć się ciążą i porodem! - okruchy kukurydzianego chleba wypadały z moich ust. - Czas zmienić reguły gry.

- Dlaczego akurat ja mam być ofiarą tych zmian? Boże, chyba naprawdę myślisz, że wszyscy Amerykanie są pozbawieni jaj i całkowicie ulegli kobietom. Ty tylko ciągle narzekasz, jakby wszyscy byli ciotami zażerającymi się ciasteczkami i chodzącymi na ćwiczenia z płaczu.

Założyłam ręce na piersiach i postanowiłam wytoczyć najcięższe działa.

- Mój ojciec urodził się w obozie koncentracyjnym Deir-ez-Zor. W takich miejscach szerzyły się różne choroby, panoszyły zarazy, Ormianie nie mieli co jeść, nie mogli nawet liczyć na wystarczającą ilość wody. To cud, że takie małe dziecko przeżyło w tych okrutnych, surowych warunkach. Trzej jego bracia nie mieli tyle szczęścia i zmarli w obozie. Jego ojciec, Selim, został tam zastrzelony. Dwie trzecie bliższej i dalszej rodziny mojej matki zginęło; klan Serafinów został starannie przetrzebiony w takim stopniu, że do dziś nie przetrwały prawie żadne historie i opowieści rodzinne. Przepraszam, że wykorzystuję sytuację. Ale Anglosasi nie są w najmniejszym choćby stopniu gatunkiem zagrożonym wyginięciem. Franklinie, moi przodkowie byli systematycznie i skutecznie eksterminowani, a teraz już prawie nikt o tym nie pamięta! Nikt o tym nie mówi!

- Półtora *miliona* osób, półtora *miliona* ofiar! - mówiłam, a Ty próbowałeś się wtrącić, nerwowo gestykułując rękami. - Zdajesz sobie sprawę z tego, że okrucieństwo, z jakim Turcy mordowali Ormian w roku 1915, podsunęło *Hitlerowi pomysł* na przeprowadzenie *Holocaustu*?

Patrzyłam na Ciebie z wściekłością w oczach.

- Evo, twój brat ma dwoje dzieci. W samych Stanach Zjednoczonych żyje około miliona Ormian. Nie martw się, twój naród na pewno nie wyginie.

- Ale zależy ci na tym, by nasze dziecko nosiło twoje nazwisko tylko dlatego, że jest twoje. Ja chcę, by nazywało się tak jak ja i chyba mam ku temu poważniejsze powody.

- Moi rodzice byliby mocno wzburzeni. Pomyśleliby, że chcę się wyprzeć swego

pochodzenia. Albo że jestem pod twoim pantoflem. Uznaliby mnie za głupiego dupka.

- I ja mam się dorobić żyłaków, nosząc jakiegoś Plasketta? Przecież to nazwisko jest obrzydliwe!

Wyglądałaś na dotkniętego tym, co powiedziałam.

- Nigdy nie mówiłaś, że nie lubisz mojego nazwiska.

- To długie „a” brzmi tak nieprzyjemnie i prostacko...

- Prostacko!

- To takie okropnie *amerykańskie*. Przypomina mi pewnego tłustego, mówiącego przez nos turystę, którego spotkałam w Nicei. Jego dzieciaki ciągle domagały się lodów. Krzyczał: *Kochanie, popatrz na ten „Vla-a-as-kett”*, podczas gdy w języku francuskim to słowo wymawia się *plah-skay*.

- To nie jest żaden *Plah-skay*, ty antyamerykańska, zrozumiiała kobieto! To jest Plaskett, mała, ale bardzo poważana szkocka rodzina, której nazwisko z dumą przekażę moim dzieciom! Teraz już wiem, dlaczego na ślubie nie chciałaś przyjąć mojego nazwiska. Od początku go nienawidziłaś!

- Bardzo mi przykro! Oczywiście, że kocham twoje nazwisko, choćby dlatego, że jest właśnie twoje...

- Pozwól, że coś ci powiem - zaproponowałeś. Chciałeś wykorzystać to, że w tym kraju poszkodowana strona zawsze może liczyć na przywileje. - Jeśli to będzie chłopiec - będzie nosił nazwisko Plaskett, a jeśli dziewczynka - *Khatchadourian*.

Popchnęłam stojący przede mną koszyk z chlebem, który siłą rozpędu uderzył w Twoją klatkę piersiową.

- Czyli dziewczynka nic dla ciebie nie znaczy, tak? Gdybyś był Irańczykiem, nie pozwoliłbyś jej chodzić do szkoły, Hindusem - oddałbyś ją komuś obcemu w zamian za krowę, Chińczykiem - pozwoliłbyś, by zdechła z głodu, po czym zakopałbyś ją w ogródku...

Uniosłeś dłonie.

- Dobrze, jeśli będziemy mieli dziewczynkę, to będzie nosiła nazwisko Plaskett. Ale pod jednym warunkiem: nie damy chłopcu żadnego imienia w stylu *Garasouvlaki*. Coś *amerykańskiego*. Zgoda?

Osiągnęliśmy kompromis. Z czasem okazało się, że dokonaliśmy właściwego wyboru. W roku 1996 czternastoletni Barry Loukaitis zabił nauczyciela i dwóch uczniów, gdy wziął całą klasę jako zakładników w Moses Lake w stanie Waszyngton. Rok później trzynastoletni TronNeal Mangum podczas przerwy między lekcjami zastrzelił swojego kolegę, który był mu dłużny 40 dolarów. Następnego miesiąca szesnastoletni Evan Ramsey zastrzelił studenta i

wykładowcę oraz ranił dwie inne osoby w Bethel na Alasce. Trochę później inny szesnastolatek, Luke Woodham, zamordował własną matkę i dwóch uczniów oraz ranił siedem osób w Pearl w stanie Mississippi. Od tego wydarzenia minęły dwa miesiące, kiedy czternastoletni Michael Carneal zastrzelił trzech uczniów i ranił pięciu w Paducah w stanie Kentucky. Wiosną 1998 roku trzynastoletni Mitchell Johnson i jedenastoletni Andrew Golden strzelali do uczniów i nauczycieli w Jonesboro w Arkansas. Zginęło wówczas czterech uczniów i jeden nauczyciel, a dziesięć osób odniosło rany. Miesiąc później czternastoletni Andrew Wurst zabił nauczyciela i ranił trzech uczniów w Edinboro w Pensylwanii. W kolejnym miesiącu w miasteczku Springfield w Oregonie piętnastoletni Kip Winkel zmasakrował swoich rodziców, później zabił dwóch uczniów, a dwudziestu pięciu ranił. W roku 1999, niespełna dziesięć dni po pewnym *Czwartku*, osiemnastoletni Eric Harris i siedemnastoletni Dylan Klebold podłożyli bomby w szkole w Littleton w Kolorado, po czym rozpoczęli strzelaninę, w której zginął jeden nauczyciel i dwunastu uczniów, a dwadzieścia trzy osoby odniosły obrażenia. W końcu obaj popełnili samobójstwo. Tak więc młody Kevin - Ty wybrałeś to imię - okazał się równie amerykański, jak Smith i Wesson.

Jeśli zaś chodzi o nazwisko *Khatchadourian*, to nasz syn w znacznie większym stopniu, niż jakikolwiek inny członek mojej rodziny, przyczynił się do jego rozślawienia.

Jak wielu naszych sąsiadów, którzy wykorzystali tragedię do tego, by usunąć się z publicznego życia - niczym niewolnicy, kazirodcy lub potencjalni samobójcy - ja też, dla podkreślenia efektu, wyolbrzymiałam piętno odrzucenia, które nosiłam na swoich barkach. Od tamtego momentu nauczyłam się, że katastrofa nie jest czymś, co powinno się trzymać w sobie. Tylko ludzie nieczuli, dobrze odżywieni i zadowoleni z siebie byliby w stanie skutecznie schować przed światem własne cierpienie, przykryć je niczym dobrze skrojoną kurtką. Ja bardzo chętnie przekazałabym moją historię na rzecz Armii Zbawienia, by mogła się nią napawać jakaś znudzona własnym życiem, stara, żądna wrażeń wiedźma.

Nazwisko? Chciałam po prostu podkreślić w ten sposób, że to jest moje dziecko. Nie mogłabym znieść uczucia, które podpowiadałoby mi, że zostałam przez kogoś przywłaszczona. Nawet gdy doktor Rhinestein pokazywała mi palcem ruchomą masę, widoczną na monitorze ultrasonografu, zadawałam sobie pytanie: *Kto to jest?* Mimo tej fizycznej bliskości, mimo że nosiłam to w swoim ciele, forma życia, pływająca jeszcze w innym świecie, zdawała się być nieprawdopodobnie odległa ode mnie. Ciekawe, czy płód też ma takie odczucia? Nie miałam wtedy żadnej możliwości, by przewidzieć, czy wciąż będę się nad tym zastanawiała, gdy Kevin skończy piętnaście lat.

Przyznaję, że gdy doktor Rhinestein wskazała palcem mały punkcik pomiędzy nogami płodu, moje serce zaczęło walić jak oszalałe. Mimo że zgodnie z naszą „umową” od tej chwili nosiłam w sobie małego Khatchadouriana, moje nazwisko na dokumentach urzędowych nie mogło przypisać dziecka do swej matki. I *jeśli* dobrze czułam się w towarzystwie mężczyzn - lubiłam ich realistyczną, przyziemną naturę, miałam tendencję do mylenia agresji ze szczerością, a z pogardą traktowałam ich delikatność - zawsze z dystansem podchodziłam do *chłopców*.

Gdy miałam osiem czy dziewięć lat, a matka po raz kolejny zleciła mi zajęcie zbyt wymagające i zbyt skomplikowane dla dziewczynki w tym wieku, zostałam zaatakowana przez grupkę chłopaków. Nie, nie zostałam zgwałcona; poszarпали mnie trochę, siłą podnieśli mi sukienkę i zsunęli majtki, po czym obrzucili mnie grudkami ziemi i uciekli. To zdarzenie mnie strasznie przeraziło, a jego wspomnienie nawiedzało mnie bardzo często. Gdy już byłam starsza, omijałam z daleka grupki jedenastoletków, szwendających się po parku, niedwuznacznie wskazujących na krzaki, z otwartymi rozporkami, rzucających pożądlive spojrzenia i śmiejących się bezczelnie. Jeszcze na krótko przed urodzeniem własnego chłopca wciąż odczuwałam szczery i bardzo duży lęk przed nastoletnimi wyrostkami. A teraz, cóż, chyba doszłam już do takiego stanu, że boję się wszystkich wokół.

Gdy patrzy się na kobietę i mężczyznę z perspektywy dwóch różnych gatunków, tylko nieliczne osobniki płci męskiej będą odczuwały jakiś strach lub obawę, przechodząc obok gromadki roześmianych uczennic. Za to każda dziewczyna, która, mijając bandę naładowanych testosteronem samców, jednocześnie nie przyspieszy kroku, nie będzie unikać wzrokowego kontaktu, który może być odebrany jako wyzwanie lub zaproszenie, nieoddychająca z ulgą, gdy będzie mogła wreszcie schować się za najbliższym budynkiem, z *zoologicznego* punktu widzenia jest głupia. *Chłopiec* to przecież bardzo niebezpieczne zwierzę.

Czy mężczyźni odczuwają to w taki sam sposób? Nigdy o to nie pytałam. Być może patrzycie na to z innej perspektywy, przez prywatne cierpienia spowodowane problemami, czy zakrzywiony penis jest czymś normalnym, bez skrępowania pokazując sobie wzajemnie własne organy (coś, czego nie potrafię zrozumieć, co napawa mnie lękiem). Z pewnością wiadomośc, że jeden z tych kłopotliwych dzieciaków znajdzie przystań pod Twoim dachem sprawiła Ci tyle radości, że musiałeś nieco hamować swój ogromny entuzjazm. A płęć dziecka spowodowała, że w jeszcze większym stopniu pokazywałeś, iż jest Twoje, Twoje, *Twoje*.

Szczerze mówiąc, Franklinie, Twoja postawa, uzurpująca sobie pozycję właściciela

wszelkich praw, stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Gdy kiedykolwiek zbliżałam się do krawężnika, by przejść na drugą stronę ulicy, nigdy nie obchodziło Cię moje własne bezpieczeństwo, a jedynie wściekałeś się, twierdząc, że jestem nieodpowiedzialna. Te wszystkie „ryzyka”, które podejmowałam - miałam wrażenie, że moje codzienne życie uznajesz za ryzykowne - w Twoim umyśle ukazywały się jako typowe nastawienie kawalera, który martwi się jedynie tym, co do niego należy. Za każdym razem, gdy wychodziłam z domu, zauważałam, że gapisz się na mnie tak, jakbym bez pytania zabierała ze sobą jedną z Twoich najcenniejszych rzeczy.

Franklinie, nawet nie pozwalałeś mi *tańczyć*! Naprawdę, pewnego popołudnia musiałam zrealizować swoje skromne, ale jednocześnie uporczywe pragnienie. Włączyłam jedną z płyt, *Speaking in Tongues* zespołu Talking Heads, i zaczęłam płynnie i rytmicznie poruszać się po przestronnym poddaszu. Trwała jeszcze pierwsza piosenka, *Burning down the house*, a ja nawet nie zdążyłam się spocić, gdy usłyszałam windę i zobaczyłam Cię wchodzącego do domu. Gdy ze złością podniosłeś igłę adaptera, zarysowałeś płytę w taki sposób, że później już nigdy nie można było odsłuchać jej w całości. Za każdym razem, gdy kończyła się piosenka *Baby what did you expect*, musiałam ręcznie obsłużyć sprzęt, by można było słuchać kolejnego utworu *Gonna burst into flame*.

- Hej! O co ci chodzi? - zapytałam.

- Co ty do cholery wyprawiasz?

- W końcu dobrze się bawię. Czy to zabronione?

- Próbujesz doprowadzić do poronienia? - złapałeś mnie za ramię. - A może po prostu postanowiłaś pokusić los i poigrać z przeznaczeniem?

Wyrwałam się z Twojego uścisku.

- Ostatnio, gdy czytałam o ciąży, nigdzie nie było napisane, że to ma coś wspólnego z więzieniem.

- Ze skakaniem po domu i rzucaniem się na meble...

- Przestań, Franklin. Jeszcze nie tak dawno kobiety pracowały w polu do ostatnich dni ciąży, w polu rodziły dzieci, kucając pomiędzy grządkami warzyw. W dawnych czasach noworodki naprawdę znajdowano w kapuście.

- W dawnych czasach śmiertelność dzieci i matek przy porodzie była ogromna!

- A co cię obchodzi śmiertelność matek? Jeśli tylko wyciągną dziecko z mojego martwego ciała i ono będzie żyło, będziesz się cieszył z tego faktu jak szalony.

- To jest paskudne, okropne. Jak możesz tak mówić?

- Taki mam paskudny nastrój - powiedziałam złowrogo, wskakując jednocześnie na

kanapę. - Ale przed powrotem Tatusia miałam bardzo dobry nastrój.

- Jeszcze tylko dwa miesiące. Czy to takie duże poświęcenie? Nie możesz się opanować, by zapewnić bezpieczeństwo innej osobie?

Boże, miałam już dość brania pod uwagę szeroko pojętego dobra tej drugiej osoby.

- A moje dobro teraz nie ma żadnego znaczenia? - spytałam.

- Nie ma powodu, byś nie mogła słuchać muzyki, ale nie musisz robić tego tak głośno, że aż Johnowi sufit skacze nad głową - umieściłaś igłę na początku strony A, jednocześnie przykręciłaś głośność do tego stopnia, że David Byrne brzmiał jak Myszkka Minnie. - Możesz przecież, jak każda normalna kobieta w ciąży, usiąść spokojnie i *wystukiwać rytm stopami*.

- No nie wiem, czy powinnam - powiedziałam. - Te wszystkie wibracje mogą dotrzeć do Małego Lorda Fauntleroya i zakłócić jego piękny, spokojny sen. A może powinniśmy słuchać tylko Mozarta? Może Talking Heads nie są polecane przez uznany Podręcznik. Może puszczaniem utworu *Psycho Killer* nakarmimy dzieciaka czarnymi myślami? Lepiej to sprawdź w literaturze fachowej.

Cały czas rozczytywałeś się w tych durnych książkach o przechodzeniu ciąży, o przykładowym rodzicielstwie, o oddychaniu, ząbkowaniu i niemowlęcej bieguncie. Ja w tym czasie czytałam historię Portugalii.

- Przestań się obwiniać, Evo. Chyba główna idea rodzicielstwa polega na tym, by stać się naprawdę dojrzałym.

- Gdybym wiedziała, co to dla ciebie znaczy: ciągle oszukiwanie się, dorosłość zabijająca wszelkie przyjemności, poważnie zastanowiłabym się nad tym wszystkim.

- Nie mów takich rzeczy! - wyrzuciłaś z siebie, a Twoja twarz przybrała kolor czerwonego buraka. - Teraz jest już za późno na takie przemyślenia. *Nigdy, przenigdy* nie mów mi, że żałujesz urodzenia dziecka.

Wtedy właśnie zaczęłam płakać. Dzieliłam się z Tobą moimi najbardziej perwersyjnymi fantazjami erotycznymi, łamiąc przy tym wszelkie heteroseksualne normy. Teraz, bez Twojej bezwstydnego, mentalnej sprośności nawet nie jestem w stanie ich opisywać. I mówiłaś mi w tamtej chwili, że jest coś, o czym *nigdy, przenigdy* nie możemy mówić?

*Baby what did you expect... Baby what did you expect...*

Płyta znów się zaczęła zacinać.

*Eva*



12 grudnia 2000

*Drogi Franklinie,*

Nie miałam dzisiaj najmniejszej ochoty, by zostać w biurze dłużej, niż było konieczne. Pracownicy zmienili nastawienie względem siebie i od życzliwego przekomarzania się przeszli do otwartej wojny. Obserwowanie tej ostatecznej rozgrywki w naszym małym biurze, bez opowiadania się po jednej ze stron, nadawało scenom lekki posmak komizmu. Przypominało to mniej więcej oglądanie telewizji z wyłączonym głosem.

Szczerze mówiąc, niewiele obchodzi mnie to, że Floryda stała się polem bitwy. Jeśli w ogóle mnie to zajmuje, to tylko dlatego, że prędzej czy później wszystko w tym kraju stanie się takim samym polem walki - a zgodnie z wszelkimi regułami stanie się to prędzej. Trzej demokraci traktowali dwójkę republikanów w taki sposób, w jaki odnoszono się do Murzynów w południowych stanach USA w okresie obowiązywania prawa Jima Crowa. Ci z kolei przycupnęli na zapleczu i rozmawiali półgłosem, co reszta odbierała jako konspiracyjne szeptanie zapalonych fanatyków. Żeby było śmieszniej, żadna z tych osób przed wyborami nie przejawiała najmniejszego nawet zainteresowania wynikiem pojedynku, ogólnie uznanego za przygnębiający i męczący.

W każdym razie dziś Sąd Najwyższy miał w końcu ogłosić swą decyzję, dlatego od samego rana radio w naszym biurze było włączone. Wzajemne, nieustannie narastające oskarżanie się personelu doprowadziło do tego, że w trakcie dnia wielu klientów, pozostawionych samym sobie, po prostu opuszczało nasze biuro. Ja w końcu zrobiłam to samo. Podczas gdy dwaj konserwatyści mieli skłonność do otwartej kłótni w obronie *swojej strony*, liberałowie zawsze kładli na szalę wartość prawdy, sprawiedliwości i ludzkości. Ja, mimo że kiedyś byłam zagorzałą demokratką, już dawno przestałam bronić ludzkości. W większości sytuacji nie jestem już w stanie obronić nawet samej siebie.

Z jednej strony mam nadzieję, że ta korespondencja nie uległa przekształceniu w przeszywające samousprawiedliwianie się, z drugiej - w takim samym stopniu martwię się, że wszystko wygląda tak, jakbym chciała stworzyć podstawy do obarczenia się całkowitą winą za Kevina. Przyznaję, dogadzałam sobie czasami w ten sposób, że wielkim haustem przełykałam całą winę. Ale powiedziałam: *dogadzałam*. To ciągle powtarzanie *mea culpa*, nieustanne branie winy na siebie ma z pewnością na celu dowartościowanie się, zwrócenie uwagi na siebie, zawiera element próżności i pychy. Wina niesie w sobie przeraźliwą moc. Upraszcza wiele rzeczy, nie tylko obserwatorom i ofiarom, ale przede wszystkim

winowajcom. Narzuca ład i porządek. Daje jasną i zrozumiałą lekcję, z której wszyscy inni mogą skorzystać: *gdyby tylko tego nie zrobiła...* - i w następstwie uzyskać możliwość uniknięcia podobnej tragedii w przyszłości. W takim poczuciu całkowitej odpowiedzialności można nawet znaleźć delikatny, kruchy spokój. A ja taki spokój widzę czasami w Kevinie. Strażnicy więzienni często myślą to oblicze winy z kompletnym brakiem wyrzutów sumienia.

W moim przypadku jednak chęci obżeranie się winą nie działa. Nigdy nie jestem w stanie wchłonąć całej tej historii do mojego wnętrza. To jest dużo większe ode mnie, przerasta mnie. Zraniło zbyt wielu ludzi, ciotek, kuzynów i najlepszych przyjaciół, których już nigdy nie poznam i nie rozpoznałabym, *gdybyśmy* kiedyś mieli się spotkać. Nie potrafię w jednej chwili znieść ogromu cierpienia spowodowanego myślą o tak wielu rodzinnych obiadach przy stole, przy którym jedno z krzeseł stoi puste. Nigdy nie dręczyło mnie to, że zdjęcie, stojące na fortepianie, jest skażone na wieki, ponieważ taka sama fotografia ukazała się w gazetach, albo dlatego, że sąsiednie obrazy ukazują wydarzenia świadczące o kolejnych etapach dojrzewania - ukończenie szkoły, wesele - a to zdjęcie ze szkolnego rocznika coraz bardziej blednie, smagane promieniami słońca. Nie byłam wtajemniczona w systematyczne rozpadywanie się małżeństw, które kiedyś były niezwykle mocne; nie powąchałam nigdy we wczesnych godzinach popołudniowych odpychającej woni ginu, zmieszanej z oddechem byłego pośrednika w obrocie nieruchomościami przemysłowymi. Nigdy nie czułam ciężaru tych wszystkich kartonowych pudeł wrzucanych do ciężarówki krótko po tym, gdy okolica, bogato ozdobiona dębami, poprzecinana łagodnymi strumykami i wypełniona śmiechem zdrowych dzieci, w jednej chwili przestała mnie tolerować. Wygląda na to, że jeśli miałabym poczuć winę w jakikolwiek sposób, musiałabym wymazać z umysłu wszystkie rzeczy, które przez to straciłam. Dokładnie tak jak w tej grze, w której jednym tchem recytowaliśmy: *Jadę na wycieczkę i zabieram ze sobą automatyczny akumulator, brzęczącego bączka, czekoladowe ciasteczka...*, ja zawsze miałam lukę na literę lub dwie przed końcem alfabetu. Żongluję w myślach nienaturalnie piękną córką Mary, krótkowzrocznym geniuszem komputerowym Fergusonów, chuderlawym rudzielcem Corbittów, który zawsze fatalnie wypadał w szkolnych przedstawieniach, a gdy dorzucam do tego niesamowicie życzliwą nauczycielkę języka angielskiego, Danę Rocco, moje piłeczki spadają na podłogę.

Oczywiście fakt, że nie potrafię wziąć całej winy na siebie nie znaczy, że inni ludzie nie obarczają mnie odpowiedzialnością za to, co się stało. A ja w tej sytuacji byłabym bardzo wdzięczna, gdyby udało mi się znaleźć odpowiednie naczynie na winę, *jeśli* oskarżanie mnie sprawia im taką wielką radość. Zawsze wracam do Mary Woolford, której poczucie niesprawiedliwości dotarło już do niezmiernie niewygodnej drogi jednokierunkowej. Chyba

nawet nazwałabym ją zepsutą; gdy Laura nie zakwalifikowała się do drużyny lekkoatletycznej, Mary bardziej się wkurzała na wszystkich wokół niż na własną córkę, która, jakkolwiek by była piękna, była dość ospała i powolna, choć na pewno warunki fizyczne miała nienajgorsze. Ale może to nie fair, by wadą charakteru tłumaczyć to, że czyjeś życie zawsze układało się dobrze, nie napotykając na zbyt wiele przeciwności. Co więcej, była to krnąbrna kobieta, podobnie jak moi demokratyczni współpracownicy, z natury skora do wpadania w gniew z mało istotnych powodów. Przed *Czwartkiem* była przyzwyczajona do dawania upustu nadmiarowi irytacji - która w innym razie mogła osiągnąć zbyt duże rozmiary - na przykład przy okazji kampanii na rzecz stworzenia nowego przejścia dla pieszych, czy też protestów przeciwko budowie schroniska dla bezdomnych na obrzeżach Gladstone. W konsekwencji brak funduszy na nowe przejście lub przybycie włochatej hołoty na przedmieścia były dla niej równoznaczne z pojęciem katastrofy. Nie jestem pewna, jak tacy ludzie dają sobie radę w obliczu prawdziwego nieszczęścia, skoro szczytem ich wytrzymałości jest codzienne przerażenie, spowodowane korkami ulicznymi.

Teraz potrafię zrozumieć, że kobieta, która potrafiłaby długo i spokojnie spać na ziarnkach grochu, może mieć wielkie problemy z położeniem się na kowadle. Mimo wszystko jednak szkoda, że nie mogła dłużej wieść spokojnego, pogodnego życia w błogiej nieświadomości. Och, zdaję sobie sprawę z tego, że Ty nie mógłbyś być tak zdeorientowany - potrzeba zrozumienia, a przynajmniej udawania, że się coś rozumie, jest zbyt wielka - ale ja znalazłam sobie w moim umyśle niebiańsko spokojne miejsce, mimo iż to tylko wielka mistyfikacja. I obawiam się, że to alternatywne oburzenie Mary, ta jej ewangelicka żarliwość, by ukarać winnego, jest jedynie krzykliwym miejscem, które stwarza złudzenie podróży, iluzję określonego celu, ale tylko tak długo, jak długo pozostaje poza zasięgiem. Szczerze mówiąc, podczas procesu cywilnego musiałam zmagać się z impulsem, który pchał mnie do tego, by wziąć ją na stronę i subtelnie oskarżyć: „Nie możesz sobie wyobrazić, że gdy wygrasz, to poczujesz się lepiej, co?”. W rzeczywistości byłam przekonana, że Mary więcej pocieszenia znalazłaby w odrzuceniu przez sąd zarzutów o niedopełnienie obowiązków rodzicielskich, bo wtedy byłaby w stanie dalej pielęgnować swój równoległy wszechświat, w którym udanie przerzuciła udrękę i cierpienie na bezduszną, nieczułą, w pełni na to zasługującą matkę. Z jakiegoś powodu nie potrafiła zrozumieć, na czym polegał problem. Nie było nim przecież to, kto za co miał zostać ukarany, tylko fakt, że jej córka była martwa. Mimo że już nie mogłam jej bardziej współczuć, rozwiązaniem tego problemu na pewno nie było przerzucenie go na kogoś innego.

Poza tym teraz mogę być życzliwiej usposobiona do bardzo przyjemnego

wyobrażenia, że jeśli kiedykolwiek dzieją się złe rzeczy, to ktoś musi być za nie odpowiedzialny. Tym bardziej, jeśli niezwykła aureola niewinności nie świeci na głowach tych, którzy zawsze uważają, że są zewsząd otoczeni agentami niegodziwości i nikczemności. W dodatku wygląda na to, że są to ci sami ludzie, skłonni pozywać budowniczych za to, że w niewystarczającym stopniu chronią ich przed skutkami trzęsień ziemi i jako pierwsi będą twierdzić, że ich syn oblał test z matematyki tylko z powodu ADHD, a nie dlatego, że cały poprzedni wieczór spędził w salonie gier komputerowych, zamiast siedzieć nad ułamkami. Dalej, jeśli nadęta zarozumiałość względem każdego kataklizmu - cecha charakterystyczna amerykańskiej klasy średniej - miała dawać silne poczucie pewności, że złe rzeczy po prostu nie powinny się przytrafiać i kropka, to mogłam uznać tę naiwność za naprawdę rozbijającą. Jednak kluczowe przeświadczenie rozwścieczonych ludzi tego pokroju - którzy zachłannie gapią się na karambole, przydarzające się na międzystanowych autostradach - jest raczej takie, że złe rzeczy nie powinny przytrafiać się *im*. I na koniec, choć wiesz, że nigdy nie byłam jakoś szczególnie religijna po tym, jak w dzieciństwie faszerowano mnie ortodoksyjnymi bzdurami (szczęśliwie, gdy miałam jedenaście lat, matka nie potrafiła dłużej stawiać czoła kościołowi, który znajdował się o cztery bloki dalej i nie mogła już bez większego entuzjazmu odprawiać swoich obrzędów), wciąż zastanawiam się, jak to możliwe, że rodzaj ludzki rozwinął się w ten sposób, że wszystkie zdarzenia, od wybuchów wulkanów począwszy, a na globalnych zmianach temperatury skończywszy, stały się sprawami, za które zawsze można obwinić człowieka. Nasz gatunek jest dziełem, z braku lepszego słowa, Boga. Osobiście polemizowałabym z tezą, że narodziny niebezpiecznych dzieci są również dziełem Istoty Najwyższej, ale to już sprawa naszego procesu sądowego.

Harvey od początku uważał, że powinnam pójść na ugodę. Pamiętasz Harveya Landsdowna; zawsze uważałeś go za zarozumialca. Taki już jest, ale za to opowiadał wspaniałe historie. Teraz na uroczystych obiadach u innych ludzi snuje legendy o mnie.

Harvey nieco mnie zaskoczył, szczególnie swoim rzeczowym podejściem do sprawy. W jego biurze jąkałam się i zbaczałam z tematu, a on grzebał w papierach i dawał mi do zrozumienia, że tracę jego czas albo swoje pieniądze, co zresztą na to samo wychodziło. Zdecydowanie różniliśmy się co do tego, co składa się na prawdę. On chciał skupić się na istocie sprawy. Ja z kolei uważałam, że do sedna można dotrzeć poprzez zbieranie drobnych, z pozoru nic nieznaczących historyjek, opowiadanych przy obiedzie, które dopiero po ułożeniu na swoich miejscach uzyskują znaczenie. Może właśnie do tego dążę tutaj, Frankie, ponieważ, choć starałam się na jego pytania odpowiadać krótko i prosto, to za każdym razem, gdy próbowałam robić to zwięźle, na przykład „Oczywiście, że kocham

mojego syna”, czułam, że kłamię, a każdy sędzia lub ława przysięgłych z łatwością to po mnie poznają.

Harvey nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Jest jednym z tych adwokatów, którzy prawo traktują jak grę, a nie sprawę moralności. Słyszałam, że tacy właśnie są najlepsi. Uwielbiał mówić, że sama racja jeszcze nikomu nie przyniosła wygranej żadnego procesu. Sprawił nawet, że zaczęłam myśleć, iż posiadanie sprawiedliwości po swojej stronie może być niezbyt korzystne.

Oczywiście nie byłam do końca pewna, czy sprawiedliwość jest po mojej stronie, a Harvey uznał moje ciągłe załamywanie rąk za rzecz dość nudną i męczącą. Nakazał mi, bym przestała się wahać i rozmyślać, jak to będzie wyglądało, gdy zaakceptuję swą reputację Złej Matki. A z pewnością to, czy naprawdę byłam złą matką, obchodziło go najmniej na świecie (Franklinie, ja faktycznie zachowywałam się okropnie; zastanawiam się, czy kiedykolwiek mi to wybaczysz). Jego argumentacja była czysto ekonomiczna. Wywnioskowałam, że większość spraw kończy się właśnie w taki sposób. Poinformował mnie, że na mocy pozasądowej ugody będziemy mogli zapłacić rodzicom dużo mniej, niż sentymentalna ława przysięgłych mogła zasądzić w trakcie procesu. Szczególnie istotny był fakt, że nawet, gdybyśmy wygrali, to nie mieliśmy gwarancji, że dostaniemy zwrot kosztów sądowych. To oznaczało - odkrywałam powoli - że w kraju, w którym jest się „niewinnym aż do momentu wyroku skazującego”, ktokolwiek może pozwać mnie o cokolwiek, a ja stracę na tym setki lub tysiące dolarów, nawet jeśli dowiodę swojej niewinności. Witamy w Stanach Zjednoczonych Ameryki - powiedział radośnie Harvey. Żałuję, że nie mogę się z Ciebie ponasmiwać. Prawnik nie interesował się moją irytacją. Dla niego ta prawna ironia była jedynie czymś zabawnym, ponieważ to nie jego firma rozpoczęła działalność od jednego rabatowego biletu lotniczego.

Patrząc w przeszłość, Harvey miał absolutną rację - w kwestii pieniędzy, oczywiście. Zreflektowałam się w momencie, w którym starałam się doprowadzić do tego, by Mary wytoczyła mi proces, na przekór słowom mojego radcy prawnego. Musiałam być wściekła. Jeśli zrobiłam coś złego, to moim zdaniem zostałam już ostro ukarana. Żaden sąd nie był w stanie skazać mnie na coś gorszego, niż to moje jałowe życie w ciasnym domu, z piersiami kurczaka i kapustą, migoczącymi halogenowymi żarówkami i automatycznymi wizytami w Chatham. Albo nawet jeszcze gorzej - prawie szesnastoletnie życie z synem, który nigdy nie chciał, abym była jego matką, i który codziennie dawał mi dobry powód, bym nie chciała mieć takiego dziecka. I tak w kółko. Powinnam sama dla siebie rozwiązać ten problem, bo jeśli potępiający wyrok sądu nigdy nie ukozi żalu Mary, to łagodniejszy osąd nie złagodzi

mojego poczucia współdziałania w tej zbrodni. Ze smutkiem muszę przyznać, że moja desperacja w znacznym stopniu zmotywowała mnie do publicznego uwolnienia się od winy.

Niestety, nie było to tym, czego tak naprawdę pragnęłam. Być może dlatego siedzę tu co noc i staram się zapisać każdy obciążający mnie szczegół. Popatrz na ten żalony przykład: jako dojrzała, szczęśliwa mężatka, w wieku prawie trzydziestu siedmiu lat dowiaduję się o swej pierwszej ciąży i prawie mdleję z przerażenia, przed zachwyconym mężem ukrywam to za pomocą kraciastej i wyzywającej letniej sukienki. Pobłogosławiona cudem nowego życia wolę jednak narzekać na zakaz picia wina i żyłaki, których mogę nabawić się podczas ciąży. Rzucam się po salonie w rytm krzykliwej muzyki pop, nie myśląc przy tym o bezpieczeństwie nienarodzonego dziecka. Gdy powinnam całą sobą poznawać prawdziwe znaczenie macierzyństwa i *nas*, wolę martwić się, czy ta istota tak naprawdę jest *moim* dzieckiem. Nawet w momencie, gdy powoli zaczynam przygotowywać się do porodu, wciąż grmię na temat filmu, w którym narodziny niemowlaka mieszają się z wydaleniem przerośniętej larwy. I jestem hipokrytką, której w żaden sposób nie można zadowolić. Po stwierdzeniu, że latanie po całym świecie nie jest takim magicznym przeżyciem, jak to kiedyś opowiadałam - że to powierzchowne poznawanie wielu miejsc jest męczące i monotonne - w momencie, w którym włączenie się może narażać na niebezpieczeństwo inną osobę, zaczynam rozplływać się nad cudowną egzystencją, jaką wiodłam przy okazji zbierania danych na temat tego, czy młodzieżowe hotele w Yorkshire mają aneksy kuchenne w pokojach. A najgorsze z tego wszystkiego jest to, że zanim mój nieszczęsny syn zdołał przeżyć niegościnnie klimat zaciśniętego, niechętnego łona, popełniłam coś, co dla Ciebie było rzeczą nie do opisanie. Kapryśnie zmieniałam zdanie, tak jakby dzieci były jedynie małym elementem wyposażenia, które można wypróbować w domu i - po krytycznym przejrzeniu się w lustrze i stwierdzeniu „nie, dziękuję, szkoda, ale niestety nie *pasuje*” - najzwyczajniej w świecie odnieść je do sklepu.

Zdaję sobie sprawę, że portret, który tu nakreśliłam, nie jest zbyt olśniewający, ale w gruncie rzeczy nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czułam się atrakcyjna dla siebie lub kogokolwiek innego. Wiele lat przed tym, zanim zaszłam w ciążę, w knajpce spotkałam młodą kobietę, z którą później poszłam na studia w Green Bay. Od tamtego czasu ze sobą nie rozmawiałyśmy, jednak ostatnio urodziła swoje pierwsze dziecko. Wystarczyło tylko, że powiedziałam „cześć”, a ona od razu zaczęła wyrzucać z siebie rozpacz. Niewysoka, z niezwykle szerokimi ramionami i czarnymi, kręconymi włosami, Rita była kobietą atrakcyjną w sensie fizycznym. Nie zwracając uwagi na moje doświadczenia, urzekła mnie swą nienaganną sylwetką, jaką miała, zanim zaszła w ciążę. Jak wyjaśniła, codziennie do ćwiczeń

używała Nautilusa i jej figura nigdy nie była jeszcze tak wyraźnie zarysowana, stosunek mięśni do tkanki tłuszczowej był niewiarygodny, a kondycji fizycznej mogli jej pozazdrościć zawodowi sportowcy.

A potem ciąża, to było *straszne*. Nautilus nie dawał już *takich efektów* i musiała przerwać treningi. Teraz ta kobieta była zaniedbana, z trudem umiała zrobić przysiad, zaczynała od zera lub nawet *gorzej* - była wściekła, Franklinie. Marudziła o swych mięśniach brzucha, gdy wzburzona patrzyła na ulicę. Nawet nie wspomniała o imieniu dziecka, jego płci lub ojcu. Pamiętam, jak wycofywałam się, usprawiedliwiając się barmanowi i znikając, nawet nie pożegnawszy się z Ritą. Co mnie najbardziej przeraziło, przed czym musiałam uciekać, to fakt, że brzmiała nie tylko bezdusznie i narcystycznie, ale dokładnie *tak, jak ja*.

Nie jestem już nawet pewna, czy żałowałam naszego pierwszego dziecka, zanim się w ogóle urodziło. Ciężko mi odtworzyć tamten okres bez zatruwania wspomnień ogromnym żalem, związanym z późniejszymi latami, żalem, który rozsadza czasowe ramy i wlewa się do momentu, w którym jeszcze nie mogłam chcieć, by Kevina nie było. Ale ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było wybielenie mojego udziału w tej okropnej historii. Podkreślam, jestem zdecydowana zaakceptować należną odpowiedzialność za każdą przewrotną myśl, każde poirowanie, każdą chwilę egoizmu, nie dlatego, by wziąć całą winę na siebie, ale by przyznać, że jest to również moja wina, i jest to moja wina, ale tylko *tam*, dokładnie *tam*, gdzie namaluję linię, a po drugiej stronie, po drugiej stronie, Franklinie, mojej winy już nie ma.

Ale by namalować tę linię, obawiam się, że muszę posunąć się do samego brzegu.

W ostatnim miesiącu ciąża była prawie zabawą. Stałam się bardzo niezgrabna, co zresztą było dla mnie śmiesznie nowe. Dla kobiety, która zawsze była tak przesadnie szczupła i zadbana, znalezienie się w roli krowy było niemałą ulgą. W przeciwieństwie do połowy populacji lub nawet ponad połowy, bo w roku 1998 po raz pierwszy, według oficjalnych danych, więcej niż połowa mieszkańców USA była gruba.

Kevin urodził się dwa tygodnie po terminie. Z perspektywy czasu jestem przesadnie pewna, że powłóczył nogami nawet w moim łonie - chciał się ukryć. Może nie byłam jedyną częścią tego eksperymentu, która miała jakieś zastrzeżenia.

Czemu Ciebie nigdy nie nachodziły złe przeczucia? Musiałam zniechęcać Cię do nieustannego kupowania króliczków, samochodzików i afgańskich lalczek jeszcze przed urodzeniem dziecka. A co, jeśli - zauważyłam - coś pójdzie nie tak jak powinno? Nie mógłbyś się przygotowywać na jakiś wypadek? Fuknąłeś, że zakładanie katastrofy jest równoznaczne z

oczekiwaniem na nią (dlatego, rozważając mroczniejszego bliźniaka, olśniewająco zdrowego i szczęśliwego chłopca, na którego liczyłeś, ja wypuściłam na świat odmieńca). Miałam zostać matką w wieku ponad trzydziestu pięciu lat, dlatego chciałam poddać się badaniom na możliwość urodzenia dziecka z zespołem Downa. Ty oczywiście protestowałeś.

- Mogą dać ci jedynie procentowe prawdopodobieństwo - argumentowałeś. - Zamierzasz mi powiedzieć, że jeśli to prawdopodobieństwo wyniesie jeden do pięciuset, to się zdecydujesz, a jeśli jeden do pięćdziesięciu, to usuwamy i próbujemy od nowa?

- Oczywiście, że nie - powiedziałam.

- Jeden do dziesięciu? Jeden do trzech? Jaka jest granica? Czemu mamy się zmuszać do takich wyborów?

Twoje argumenty były przekonujące, jednak zastanawiałam się, czy za nimi nie kryje się żałośnie wymyślony romans, uwieńczony urodzeniem upośledzonego dziecka: jednego z tych niezgrabnych, ale dobrodusznych emisariuszy Boga, którzy uczą rodziców, że życie to coś więcej niż ból otwartej duszy, która jest tłamszona z takim samym, głębokim uczuciem, jakiego doświadczamy, głaszcząc naszego domowego czworonoga. Byłeś gotów jednym wielkim haustem wypić każdy genetyczny koktajl, przygotowany przez nasze DNA. Musiałeś pewnie skrycie flirtować z perspektywą wszystkich tych dodatkowych punktów za poświęcanie się: Twoja cierpliwość była iście nadludzka, gdy nasz bałwan potrzebował sześciu miesięcy codziennych lekcji, by w końcu nauczyć się wiązać buty. Niezmordowany i niezwykle opiekuńczy, odkryłeś w sobie nieograniczone pokłady hojności, na jaką Twoja „jutro-wyjeżdżam-do-Gujany” żona nigdy nie byłaby w stanie się zdobyć. W efekcie rzuciłeś swą pracę, by w jeszcze lepszym stopniu poświęcić się opiece nad naszym trzyletnim „czymś”. Wszyscy sąsiedzi wychwalali pod niebiosa Twoją rezygnację z pracy na rzecz lepszej sprawy, z godną podziwu dojrzałością, którą jednak inni ludzie naszej klasy uznaliby za niszczącą życie. Byłeś po prostu zdesperowany i za wszelką cenę chciałeś rzucić się na szerokie wody obowiązków rodzicielskich, prawda? Chciałeś skoczyć do wody z wysokiego klifu, chciałeś rzucić się na stos. Czyżby nasze wspólne życie było dla Ciebie aż tak nie do zniesienia, tak ponure?

Nigdy Ci tego nie mówiłam, ale w tajemnicy przed Tobą zrobiłam sobie testy. Optymizm wyniku (mniej więcej jedna szansa na sto) pozwolił mi jeszcze raz uciec przed ogromem naszych różnic. Ja byłam wybredna i drobiazgową. Mój stosunek do rodzicielstwa był uwarunkowany, a te warunki były ściśle określone. Nie chciałam być matką imbecyla lub dziecka z porażeniem mózgowym. Ilekroć widziałam utrudzoną kobietę, wiozącą w wózku swojego potomka z niedowładem mięśni na wodną terapię do szpitala w Nyack, moje serce



nie wzruszało się, ono po prostu tonęło. W rzeczywistości ta szczerza lista rzeczy, których nie chciałam wychowywać, od matola począwszy, na groteskowym grubasie skończywszy, dramatycznie zmierzała w drugą stronę. Patrząc w przeszłość, moim błędem nie było to, że zrobiłam testy w tajemnicy, ale to, że w ich wynikach znalazłam pocieszenie. Doktor Rhinestein nie przeprowadzała badań na złośliwość, dokuczliwą obojętność lub wrodzoną podłość. Gdyby takie testy były dostępne, jestem ciekawa, ile razy musielibyśmy zarzucać sieci.

Co do samych narodzin, to zawsze udawałam, że nie boję się bólu, co jedynie zdradzało, że nigdy nie cierpiałam z powodu ciężkiej choroby, złamania kości lub wypadku samochodowego. Szczerze mówiąc, Franklinie, to nie mam pojęcia, skąd wzięłam pomysł, że jestem taka twarda. Byłam Mary Woolford fizycznego świata. Moja koncepcja bólu wywodziła się z przyciętych palców, otartych łokci i skurczów menstruacyjnych. Wiedziałam też, jak wyglądają bóle mięśni po pierwszym dniu sezonu squasha. Nie miałam jednak pojęcia, jakie to uczucie: stracić dłoń w maszynie przemysłowej lub mieć nogę zmiądzoną przez metro na Siódmej Alei. Mimo to jakże chętnie kupujemy wymyśloną mitologię innych ludzi, niezależnie od tego, jak jest wyszukana i nieprawdopodobna. Akceptowałam moją spokojną reakcję na przecięte nożem kuchennym palce - jaskrawy przykład Twojego podziwu, kochanie - jako wystarczający dowód na to, że z takim samym spokojem urodziłabym wielki kawał mięsa przez otwór, który dotychczas mieścił najwyżej kawałek kiełbasy. Nawet obyło się bez mówienia, że dałabym sobie radę bez środków przeciwbólowych.

W życiu nie będę w stanie zrozumieć, co chciałeś przez to udowodnić. Jeśli chodzi o Ciebie, może to, że nie byłam taką kobietą, jaką chciałeś poślubić. Co do mnie, może zostałam nieco wciągnięta w to współzawodnictwo kobiet, dotyczące urodzenia dziecka. Nawet Louise, skromna żona Briana, ogłosiła, że wytrzymała dwudziestosześciodzinny poród Kiley, uśmierzając ból wyłącznie „herbatą malinową”, co było na tyle cenną opowieścią rodzinną, że powtarzała ją chyba przy trzech różnych okazjach. Właśnie tego typu spotkania powiększały rangę kursu naturalnego porodu, który ukończyłam w New School, choć założę się, że większość kobiet, które były tam wraz ze mną i mówiły „Chcę wiedzieć, jakie to uczucie”, szybko się złamały i błagały o środki przeciwbólowe przy pierwszych skurczach.

Ja nie błagałam. Nie byłam odważna, ale byłam uparta i dumna. Zwykła zawziętość jest dużo bardziej wytrzymała niż odwaga, choć z pewnością nie jest tak efektowna.

Gdy moje wnętrzności po raz pierwszy wykręciły się *jak* mokra, wyżymana szmata,

tylko nieznacznie przewróciłam *oczami*, a moje powieki rozszerzyły się; zacisnęłam wargi. Byłeś pod wrażeniem mojego spokoju. I o to mi chodziło. Ponownie jedliśmy lunch w Beach House, a ja zdecydowałam, że nie dokończę mojego chili. W przyływie powracającego spokoju wrąbałeś kawałek chleba kukurydzianego i poszedłeś po świeże, papierowe ręczniki; odeszły mi wody płodowe, litry, a przynajmniej tak to wyglądało, i zmoczyłam całą ławkę. Zapłaciłeś rachunek i nawet pamiętałeś, by zostawić napiwek, po czym, patrząc na zegarek, wziąłeś mnie za rękę i poszliśmy do domu. Nie chcieliśmy doprowadzić do sytuacji, w której zameldujemy się w szpitalu Beth Israel na wiele godzin przed tym, jak szyjka mojej macicy zacznie się rozszerzać.

Później, tamtego popołudnia, gdy wiozłeś mnie przez Canal Street swoim błękitnym pikapem, mamrotałeś cały czas, że wszystko będzie dobrze, tak jakbyś miał o tym jakieś pojęcie. Od wejścia uderzyła mnie pospolitość położenia, w jakim się znalazłam; pielęgniarka ziewała, wzmacniając moje przekonanie, że będę wzorcowym pacjentem. Doktor Rhinestein byłaby zaskoczona moją szorstką praktycznością. Wiedziałam, że to jest naturalny proces i nie zamierzałam robić z tego powodu zamieszania. Gdy kolejny skurcz uderzył we mnie ze zdwojoną siłą, tak jakby nagle ktoś zawiesił mnie na haku, jedynie lekko westchnęłam.

Był to w całości żaloszny i idealnie bezsensowny wyczyn. Nie miałam żadnego powodu, by zaskakiwać doktor Rhinestein, tym bardziej, że niespecjalnie ją lubiłam. Jeśli zamierzałam sprawić, byś był ze mnie dumny - dostawałeś syna bez bólu - wystarczającą zapłatą było trochę krzyku i opryskliwości. Może nawet dla Ciebie byłoby dobrze, gdyby kobieta, którą poślubiłeś, okazała się zwykłą śmiertelniczką, uwielbiającą komfort i nieznoszącą bólu, która rozsądnie poprosiłaby o środki przeciwbólowe. Ja jednak, na przekór temu, żartowałam w niewybredny sposób, leżąc na noszach w korytarzu, i trzymałam Cię za rękę. Jak mi później powiedziałeś, trzymałam tak mocno, że prawie Ci ją połamałam.

Franklinie, teraz nie ma już żadnej potrzeby, by wciąż udawać. To było okropne przeżycie. Może jestem na tyle wytrzymała, by poradzić sobie z pewnymi rodzajami bólu, ale jeśli już, to moje męstwo mieszka w łydkach lub ramionach. Na pewno nie między nogami. To była część mojego ciała, która nigdy nie była w żaden sposób poddawana próbie wytrzymałości. Gdy mijały kolejne godziny, zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, że być może jestem już na to zbyt stara, że w wieku blisko czterdziestu lat nie jestem już na tyle elastyczna, by wystarczająco szeroko otworzyć się na to nowe życie. Doktor Rhinestein powiedziała na wstępie, że jestem mała, tak jakby chciała wskazać brak moich kwalifikacji. Po około piętnastu godzinach rzuciła ostro: *Eva, musisz podjąć próbę!* Tak wiele, by zdobyć jej uznanie.

Po dwudziestu czterech godzinach były chwile, gdy kilka łez skapnęło na moje policzki. Szybko jednak je wytarłam, ponieważ nie chciałam, byś je zobaczył. Więcej niż raz oferowano mi środki przeciwbólowe, a moja determinacja do odmowy ich przyjęcia osiągnęła już obłąkańcze stadium. Chwyciłam się tego postanowienia tak, jakby to było w tym wszystkim najważniejsze, ważniejsze nawet od urodzenia syna. Dopóki odmawiałam przyjęcia uśmierzającego zastrzyku, wygrywałam.

W końcu zaproponowano cesarskie cięcie; doktor Rhinestein nie ukrywała, że w gabinecie czekają na nią kolejne pacjentki. Nie maskowała też swego oburzenia moim beznadziejnym przedstawieniem. Byłam przerażona perspektywą cesarskiego cięcia, nie chciałam mieć blizny. I tak jak Rita, co wstyd przyznać, obawiałam się o moje mięśnie brzucha. Poza tym wizje takiej operacji, przeprowadzanej w tych wszystkich strasznych filmach, były zbyt wyraźne.

*Podjęłam więc usilną próbę*, podczas której zdałam sobie sprawę z tego, że tak naprawdę sprzeciwiam się porodowi. Gdy wielka masa zbliżała się do wąskiego wyjścia, ja wysyłam ją z powrotem do środka. Dlatego, że to bolało. *Bardzo bolało*. Na kursie w New School wmawiali nam, że ból jest czymś pozytywnym, oczekiwano od nas, że będziemy *rodziły w bólach*, że musimy sobie z nim poradzić, a ja, leżąc na plecach, zdałam sobie sprawę z tego, jak niedorozwinięta była to rada. Ból, *dobry*. Byłam owładnięta pogardą. Nigdy wcześniej Ci tego nie mówiłam, ale uczuciem, które popchnęło mnie do nadludzkiego wysiłku i przełamania krytycznego progu, był wstręt. Gardziłam sobą rozciągniętą niczym jakiś eksponat na wiejskiej wystawie, otoczoną obcymi ludźmi, gapiącymi się w miejsce między moimi podkurczonymi kolanami. Nienawidziłam małej, szczurzej twarzy doktor Rhinestein i jej ostrego, krytycznego podejścia. Nienawidziłam siebie za to, że w ogóle zgodziłam się uczestniczyć w tym upokarzającym przedstawieniu, zamiast na przykład być w tej chwili we *Francji*. Wyrzekłam się wszystkich moich przyjaciółek, które również miały zastrzeżenia co do podażowej strony ekonomii, a co najmniej z lekkim zainteresowaniem wypytywały o moją ostatnią podróż. Wtedy od miesięcy nie rozmawiałam o niczym innym, jak tylko o środkach na zaparcia lub o radośnie przerażających historiach o stanie przedrzucawkowym i autystycznych potomkach, którzy całymi dniami kołyszają się w przód i w tył oraz gryzą swoje dłonie. Twoje wiecznie zadowolone i optymistyczne nastawienie doprowadzało mnie do *szalu*. Dla Ciebie wszystko było łatwe. Chciałeś po prostu być *Tatusiem*, kupować te wszystkie tandetne zabaweczki. Ja byłam osobą, która w tym zamieszaniu miała napęcznieć jak maciora. Miałam stać się zupełną abstynentką, siedzącą w kapciach i łykającą witaminy, miałam obserwować moje pęczniejące i nabrzmiałe piersi,

które wcześniej były takie piękne i jędrne, byłam tą osobą, która miała w ogrodniczkach toczyć się po chodniku niczym wielki arbuź. Nienawidziłam Ciebie, Twojego dziecięcego gaworzenia i mamrotania. Chciałam, żebyś przestał w końcu gładzić moje brwi wilgotną myjką, tak jakby miało to robić jakąś wielką różnicę. I chyba wiedziałam, że bolała Cię ręka, za którą Cię trzymałam. I tak, nienawidziłam nawet tego dziecka - które do tej pory nie przyniosło mi żadnej nadziei na przyszłość, żadnej historii, treści czy „przewrócenia strony”, a jedynie kłopoty, zażenowanie i dudniący, podziemny wstrząs, przetaczający się po podłodze, którą moim zdaniem byłam.

Jednak, przechodząc przez ten próg, znalazłam jedynie tak wielki, czerwony płomień męki, że nie byłam w stanie powstrzymać narastającego we mnie wstrętu i obrzydzenia. Krzyczałam i nic mnie już nie obchodziło. Zrobiłabym wszystko, by tylko przerwać to cierpienie: zastawiłabym moją firmę, sprzedała dziecko w niewolę, zaprzedała duszę diabłu.

- Proszę - wysapałam - podajcie mi środki przeciwbólowe.

- Teraz już jest na to za późno - zbesztala mnie doktor Rhinestein. - Evo, jeśli nie dajesz rady, powinnaś powiedzieć dużo wcześniej! Widać już główkę dziecka. Na miłość boską, teraz *musisz wytrzymać!*

I nagle było już po wszystkim. Później żartowaliśmy z tego, że tak długo się powstrzymywałam, a o środki przeciwbólowe prosiłam wtedy, gdy już było na nie za późno. Wtedy jednak nie było to dla mnie śmieszne. W momencie narodzin Kevina wiązałam go z moimi własnymi ograniczeniami - nie tylko z cierpieniem, ale także z porażką.

*Eva*

13 grudnia 2000

*Drogi Franklinie,*

Gdy dziś rano weszłam do pracy, od razu wyczułam po demokratycznej, jadowitej nadętości, że „Floryda” się skończyła. To wrażenie zawodu w obu obozach było wyczuwalne niczym krwotok poporodowy.

Ale jeśli moi współpracownicy z obu ugrupowań są rozczarowani tym, że tak ożywcza awantura się już skończyła, to ja wciąż czuję się dużo bardziej strapiona, nawet nie mogąc zaznać łączącego ich poczucia straty. Znacznie zwielokrotniona, moja samotność musi zbliżać się już do doświadczenia mojej matki z okresu zakończenia wojny, kiedy to moje narodziny, 15 sierpnia, zbiegły się z dniem pokonania Japonii, w czasie, gdy Hirohito ogłaszał Japończykom decyzję o kapitulacji. Pielęgniarki były najwyraźniej tak podniecone tym faktem, że trudno było którąkolwiek zaciągnąć do czuwania przy matce, gdy ta miała pierwsze skurcze. Słyszając dochodzące z każdej części korytarza strzały korków od szampana, musiała czuć się żałośnie opuszczona. Mężowie wielu pielęgniarek mieli wkrótce wrócić do domów, mojemu ojcu jednak nie było to dane. I jeśli reszta kraju wygrała wojnę, to Khatchadourianowie z Racine w stanie Wisconsin ją przegrali.

Później musiała czuć się podobnie, w przeciwieństwie do sentymentów zachowywanych przez firmę produkującą pocztówki, w której po wojnie podjęła pracę (na pewno nie był to Johnson Wax). Jakże upiorne musiało być dla niej codzienne pakowanie kartek z jubileuszowymi życzeniami dla innych ludzi, skoro miała świadomość, że nie będzie kupować takiej pocztówki, gdy nadejdzie rocznica jej własnego ślubu. Sama nie wiem, czy powinnam być zadowolona, że praca w firmie zainspirowała ją do rozkręcenia własnej działalności, polegającej na ręcznym wyrobie kartek świątecznych i okolicznościowych, co przy okazji pozwoliło jej na wieczne zaszywanie się w swoim domu przy Enderby Avenue. Wiem jednak, że kartka z napisem „W dniu narodzin Twojego pierwszego dziecka”, którą zrobiła specjalnie dla mnie - udekorowana zieloną i niebieską bibułą - była naprawdę śliczna.

Gdy już doszłam do siebie w szpitalu Beth Israel, przypominałam sobie moją matkę i poczułam się niewdzięczna. Ojca nie było przy porodzie, więc nie mogła trzymać jego dłoni, tak jak ja trzymałam Twoją. A ja miałam okazję przytulić się do żyjącego męża, ale zniszczyłam ją. Wszyscy wiemy, że kobieta podczas porodu może rzucać obelgami. Mam po prostu ochotę przyznać, że byłam niemą w wirze tych wszystkich wydarzeń i nie przyznawać się do niczego więcej. Po wszystkim byłam nieco zmieszana i szybko Cię

pocałowałam. To było jeszcze w czasach, gdy lekarze nie dawali od razu noworodka matce i mieliśmy chwilę czasu, zanim zawiązali pępowinę i obmyli naszego syna. Byłam bardzo podekscytowana, głaskałam i ścisnęłam Twoje ramię, opierałam czoło na Twym łokciu. Nigdy jeszcze nie trzymałam w rękach naszego dziecka.

Ale nie mogę pozwolić sobie na to, by tak łatwo wybawić się z tej opresji.

Do 11 kwietnia 1983 roku schlebiałam sobie, że jestem wyjątkową osobą. Jednak od czasu narodzin Kevina zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, że wszyscy jesteśmy całkowicie określani pewnymi normami (myślę jednak, że uważanie się za kogoś specjalnego to raczej reguła niż wyjątek). Mamy jednoznaczne wyobrażenia nas samych w określonych sytuacjach - to nawet nie wyobrażenia; raczej wymagania. Niektóre są małe: przyjęcie niespodzianka sprawi, że będziemy zadowoleni. Inne są większe: jeśli umrą nasi rodzice, to będziemy pogrążeni w żałobie. Ale być może w parze z tymi oczekiwaniami idzie strach, że nie będziemy w stanie wpisać się w określone konwenanse. Że po odebraniu telefonu z wiadomością o śmierci matki, nie będziemy nic czuli. Nie wiem nawet, czy ten cichy, niewypowiedziany, mały strach nie jest gorszy od obawy przed otrzymaniem złej wiadomości: że odkryjemy w sobie potwora. Może to nie będzie zbyt szokujące, gdy powiem, że przez całe nasze małżeństwo żyłam z jedną obawą: jeśli coś stanie się Tobie, to ja się załamie. Ale zawsze towarzyszył temu cień podświadomego strachu, że nie wpadnę w rozpacz - że beztrąsko pójdę tego samego popołudnia pograć w squasha.

Fakt, że ten *podświadomy strach* rzadko bierze górę, wynika z prostej wiary. Musisz wierzyć, że jeśli stanie się coś niespodziewanego, rozpacz uderzy w nas samoistnie; że żałoba, na przykład, nie jest doświadczeniem, które musimy usilnie przywoływać lub umiejętnością nabywaną dzięki praktyce. To samo dotyczy wcześniej opisanej radości.

Dlatego nawet tragedia może wiązać się z pewnym uczuciem ulgi. Odkrycie, że ból jest rzeczywiście cierpieniem, pociesza nas i upewnia w naszym człowieczeństwie (choć gdy rozważać, do czego ludzie są zdolni, jest to słowo raczej równoznaczne ze współczuciem, a nawet ze sprawnością emocjonalną). Żeby nie być gołosłowną, Franklinie, podam Ci świeży przykład z wczoraj. Jechałam do pracy drogą 9W, kiedy skręcając w prawo fiesta zajęła przypadkiem drogę rowerzysty jadącemu poboczem. Drzwi od strony pasażera zrobiły precelek z przedniego koła roweru, a cyklista efektownie przeleciał nad samochodem. Wylądował w pozycji, delikatnie mówiąc, niemożliwej, niczym na rysunku niezbyt obiecującego studenta plastyki. Ja już przejechałam dalej, jednak w lusterku zauważyłam, że trzy inne samochody zatrzymały się na poboczu, by pomóc.

Trochę to perwersyjne, by szukać pocieszenia w takim nieszczęściu. Prawdopodobnie jednak kierowcy, którzy zadzwonili na pogotowie, albo znali kolarza osobiście, albo byli żywotnie zainteresowani jego losem. W każdym razie martwili się o niego na tyle, by narażać się na takie kłopoty, jak w najgorszym przypadku zeznawanie w sądzie. Byłam bardzo roztrzęsiona po tym wypadku, moje ręce drżały na kierownicy, w ustach miałam zupełnie sucho. Ale ja się uniewinniłam. Wciąż blednę, patrząc na cierpienie innych ludzi.

Dobrze wiem, jak to jest: znaleźć się poza scenariuszem. Przyjęcie niespodzianka? Śmieszne, powinnam to powiedzieć w sądzie. W tygodniu poprzedzającym moje dziesiąte urodziny wyczułam, że coś się dzieje. Wszyscy szeptali, nie mogłam zbliżyć się do szafki. Jak gdyby tych mrugnięć i tajemniczych skinieć było za mało, Giles ciągle pomrukiwał: „Będziesz zaskoczona!”. W drugim tygodniu sierpnia już wiedziałam, jaki to ważny dzień się zbliża, a gdy nadszedł, ciekawość mnie wręcz rozsadzała.

Wczesnym popołudniem zostałam zaproszona do ogródka.

„Niespodzianka!”. Gdy poproszono mnie do środka, odkryłam, że pięciu moich przyjaciół przekradało się do przodu, a przy okazji starałam się zajrzeć do kuchni. W naszym salonie stał stolik do gry w karty, oklejony papierowymi koronkami i udekorowany kolorowymi talerzykami, za którymi moja matka ustawiła wizytówki, wypisane eleganckim, starannie kaligrafowanym pismem, którego używała w swojej pracy zawodowej. Nie zabrakło też kupionych w sklepie imprezowych rekwizytów: miniaturowych bambusowych parasolek, zwijających się trąbek. Tort kupiony był w cukierni, a lemoniadzie matka nadała efektowny, różowy kolor, by również wyglądała bardziej świątecznie.

Niewątpliwie matka musiała zauważyć zawód na mojej twarzy. Dzieci nie potrafią maskować uczuć. Na przyjęciu byłam rozkojarzona, niechętnie rozmawiałam. Otwierałam i zamykałam moją parasolkę, ale szybko mnie to znudziło, co było dość dziwne; zawsze mocno zazdrościłam innym dziewczynkom, że chodziły na przyjęcia, po których wracały do szkoły z identycznymi, różowo-niebieskimi parasolkami. Teraz okazało się, że sprzedaje się je po dziesięć sztuk, pakowane w plastikowe torby i nawet nas stać na ich kupno. To zmniejszyło ich wartość bardziej, niż mogłam to opisać. Nie wszystkich gości lubiłam; rodzice rzadko orientują się w naszych znajomych. Tort był otoczony masą kremową i wyglądał jak plastikowy krążek, w dodatku był bezbarwnie słodki; moja matka piecze dużo lepiej. Dostałam więcej prezentów niż zwykle, ale jedyne, co pamiętam, to fakt, że wszystkie niezmiernie mnie rozczarowały. W dodatku zostałam dopadnięta przez proroczą wizję dorosłości, uczucie sytuacji bez wyjścia, które tak rzadko dotyka dzieci: siedzieliśmy w salonie i nie mieliśmy nic do roboty ani do powiedzenia. Po chwili było po wszystkim, została

podłoga zarzucona ciasteczkami i opakowaniami, a ja płakałam.

Musiałam sprawiać wrażenie rozpuszczonego dzieciaka, ale taka nie byłam. Wcześniej moje urodziny nigdy nie były hucznie obchodzone. Z perspektywy czasu, po prostu czuję się podle. Matka sprawiła sobie tyle kłopotu. Jej działalność nie przynosiła zbyt dużych zysków; ponad godzinę pracowała nad jedną kartką, sprzedawała za ćwierć dolara, a klienci i tak kręcili nosem, że to dużo. Z punktu widzenia domowego budżetu musiał to być znaczący wydatek. Matka musiała być skonsternowana; gdyby była rodzicem innego typu, po wszystkim sprawiłaby mi niezłe lanie. Czego się spodziewałam, że to przyjęcie było dla mnie takim rozczarowaniem?

Niczego. A może niczego szczególnego, niczego, co mogłabym jakoś sensownie określić. To właśnie był największy problem. Spodziewałam się czegoś wielkiego i bezkształtnego, kolosalnej rzeczy, tak wspaniałej, że nawet nie byłam w stanie sobie jej wyobrazić. A przyjęcie było zbyt łatwe do wyobrażenia. Nawet gdyby matka zorganizowała zespół muzyczny i magika, to wciąż byłabym rozczarowana. Nie było żadnej ekstrawagancji, która byłaby w tym momencie wystarczająca, bo każda byłaby konkretnie określona i mierzalna. Byłaby tylko tym, czym była.

Zmierzam do tego, że nie wiem, czego mogłam spodziewać się, gdy Kevin po raz pierwszy został przystawiony do mojej piersi. Nie byłam w stanie niczego przewidzieć. Chciałam czegoś niewyobrażalnego. Chciałam zostać zmieniona, przeniesiona w inne życie. Chciałam, by otwały się jakieś drzwi, które ukazałyby nowe możliwości, dotychczas dla mnie nieznanne. Oczekiwałam objawienia, a przecież ono z natury jest nieprzewidywalne; obiecuje coś, do czego nie zostaliśmy jeszcze wtajemniczeni. Ale jeśli wyniosłam jakąś lekcję z moich dziesiątych urodzin, to właśnie to, że oczekiwania mogą być bardzo niebezpieczne, szczególnie wtedy, gdy są jednocześnie wielkie i nieokreślone.

Być może sama się tutaj źle zrozumiałam. Oczywiście miałam pewne przeczucia. Ale moje oczekiwania w stosunku do macierzyństwa były bardzo wysokie, w innym przypadku nie zgodziłabym się na to wszystko. Łapczywie słuchałam relacji znajomych: *Nie będziesz miała o tym pojęcia, dopóki nie urodzisz własnego dziecka. Zawsze, gdy uwzględniałam to, że zwykle nie byłam zakochana w małych dzieciach, nabierałam przekonania: Czuję się w ten sam sposób! Nie przepadałam za obcymi dziećmi! Ale jest inaczej, zupełnie inaczej - gdy są to twoje pociechy.* Uwielbiałam perspektywę odkrycia nowego kraju, obcego ładu, w którym bezczelne łachudry w cudowny sposób były sprzężone z, jak to nazywałeś, odpowiedzią na „Wielkie Pytanie”. Rzeczywiście, być może źle odczytywałam swoje odczucia na temat obcych krajów. Tak, męczyło mnie wielogodzinne podróżowanie i tak, zawsze musiałam



walczyć z dziedzicznym lękiem, zanim weszłam na pokład samolotu. Ale pierwsze postawienie stopy w Namibii, Hongkongu czy nawet Luksemburgu sprawiało, że radość wynosiła mnie pod niebiosa.

*Nie zdawałam sobie sprawy z tego, czym podzielił się ze mną Brian, że we własnych dzieciach się zakochujesz. Nie kochasz ich tak po prostu - zakochujesz się. A moment, w którym po raz pierwszy na nie spojrzysz - jest nie do opisania.* Mimo wszystko chciałam, żeby to opisał. Chciałam, żeby chociaż spróbował.

Doktor Rhinestein okręciła niemowlaka wokół mojej piersi i położyła małą istotkę - ucieszyłam się, że w końcu okazała jakieś uczucia - ze staranną delikatnością. Kevin był wilgotny, jego szyję pokrywała krew, a części ciała były powykręcane. Nieśmiało objęłam go dłońmi. Na jego twarzy widniał wyraz niezadowolenia. Ciało było bezwładne; mogłam tylko odbierać jego apatię jako brak entuzjazmu. Ssanie jest jednym z naszych wrodzonych instynktów, ale mimo że usta przystawione miał do mojego nabrzmiałego, brązowego sutka, jego głowa odwracała się z niesmakiem.

Mimo że byłam poinformowana, iż nie będę wydzielać mleka na zawołanie, niczym kawiarniany automat starałam się, a on odmawiał; drugiego sutka też nie chciał ssać. A ja czekałam. I czekałam. *Wszyscy mówią, że...* - pomyślałam, ale od razu przyszło mi do głowy - *Uważaj na to, co wszyscy mówią.*

Franklinie, czułam się - nieobecna. Szukałam w sobie tych nowych, *nieopisanych* emocji, tak jakbym przeszukiwała szafkę wypełnioną srebrną zastawą w poszukiwaniu obieraka do ziemniaków. Ale niezależnie od tego, jak bym grzebała, w jaki sposób bym szukała, nigdzie ich nie było. A obierak do ziemniaków *zawsze* był w szafce. Jest pod łopatką, spadł pod kartę gwarancyjną maszyny.

- Jest piękny - powiedziałam, sięgając po jeden z tych słynnych, filmowych cytatów.

- Mogę? - zapytałeś nieśmiało.

Podaliśmy Ci dziecko. O ile nowo narodzony Kevin wił się żałośnie przy mojej piersi, to przy Twojej szyi ułożył się tak, jakby znalazł prawdziwego obrońcę. Gdy popatrzyłam na Twoją twarz, przymknięte oczy, policzek przyłożony do ciała naszego synka, zrozumiałam, o ile to nie zabrzmi zbyt żartobliwie: tu jest obierak do ziemniaków. To było takie niesprawiedliwe. Po prostu zatkało Cię, w gardle utkwilo Ci niewypowiedziane zdziwienie, które w zupełności określało wrażenie, jakiego doznałeś. To było jak wpatrywanie się w Ciebie liżącego *lody*, którymi z nikim nie chcesz się podzielić.

Usiadłam, a Ty niechętnie zwróciłeś mi dziecko. W tym momencie Kevin od razu zaczął wrzeszczeć. Trzymając niemowlę, które nie chciało ssać piersi, przypominałam sobie o

uczuciu związanym z moimi dziesiątymi urodzinami: Jesteśmy w pokoju i wygląda na to, że nie mamy nic do powiedzenia i nic nie możemy zrobić. Minuty płynęły, a Kevin wył, w przerwach odpoczywał, a od czasu do czasu irytująco się szarpał. Czułam pierwsze oznaki czegoś, co mogę nazwać jedynie nudą.

Nie. Wiem, co chciałbyś powiedzieć. Byłam wykończona. Mój poród trwał trzydzieści siedem godzin i śmieszne było w tym momencie myślenie, że będę w stanie czuć coś innego, niż zmęczenie i odrętwienie. I absurdem byłoby oczekiwanie jakichś fajerwerków; dziecko to dziecko. Przypomniałaś mi tę głupią historyjkę, którą Ci opowiadałam o mojej pierwszej zagranicznej podróży, kiedy po wyjściu z lotniska w Madrycie byłam niezmiernie przygnębiona tym, że w Hiszpanii też rosną drzewa. *Oczywiście, że w Hiszpanii są drzewa!* - szydziłaś ze mnie. Byłam zawstydzona. Rzecz jasna w pewnym sensie wiedziałam, że one tam rosną, ale na tle nieba i ludzi chodzących po ulicach wyglądało to inaczej, niż oczekiwałam. Później przytaczałaś tę anegdotę, gdy chciałaś zobrazować, że moje oczekiwania są zawsze do przesady wyolbrzymione, że moja nienasycona żądza egzotyki niosła w sobie spory ładunek samozniszczenia, ponieważ gdy tylko docierałam do tego „innego świata”, okazywało się, że to wciąż ten sam świat.

Poza tym, tłumaczyłbyś mi, rodzicielstwo nie jest czymś, co dzieje się w jednej chwili. Fakt narodzin dziecka - gdy dotychczas nie było żadnego - wprowadza do życia takie zamieszanie, że prawdopodobnie jeszcze nie docierało to do mnie w całości. Byłam oszołomiona. Tak, dokładnie, byłam oszołomiona. Nie ułomna czy nieczuła. Poza tym, gdy zwracasz na siebie zbyt dużą uwagę, badasz wnikliwie własne uczucia, to w efekcie mogą one gdzieś ulecieć. Byłam sobie świadoma i za bardzo się starałam. Doprowadziłam się do pewnego rodzaju paraliżu emocjonalnego. Czyżbym nie zaobserwowała, że te spontaniczne wylewy wielkiej pasji to kwestia wiary? Chyba moja wiara się zachwiała; pozwoliłam *podświadomym lękom* chwilowo mną zawładnąć. Potrzebowałam chwili relaksu. Powinnam pozwolić naturze płynąć swym rytmem. I, na miłość boską, w końcu trochę odpocząć. Wiem, że powiedziałaś dokładnie to samo, bo tak właśnie sobie oznajmiłam w moich myślach. Lęki jednak nie zmniejszyły się - z mojego punktu widzenia wszystko od samego początku poszło źle, nie trzymałam się programu, zawiodłam nas i nasze dziecko. Taka byłam, szczerze mówiąc, dziwna.

Gdy lekarze zabierali się do zszywania rozdarcia, zaproponowałaś, że ponownie weźmiesz Kevina, a ja wiedziałam, że powinnam zaprotestować. Ale nie sprzeciwiałam się. Wdzięczność za uwolnienie mnie od niego rozsadzała mą duszę. Jeśli chcesz znać prawdę, byłam zła. Byłam przerażona i wstydziłam się za siebie, ale jednocześnie czułam się

oszukana. Chciałam mojego przyjęcia niespodzianki. Pomyślałam, że *jeśli* kobieta nie może polegać na sobie w takiej sytuacji, to nie może na nic liczyć; od tego momentu świat stanął na głowie. Wyczerpana, z rozłożonymi nogami, podjęłam postanowienie: o ile jestem w stanie pokazywać moje „prywatne” części ciała całemu światu, to nigdy, nikomu, za żadną cenę nie ujawnię, że narodziny dziecka zupełnie mnie nie wzruszyły. Ty miałeś swoje słynne - „Nigdy nie mów mi, że żałujesz tego dziecka”; teraz ja miałam swoje postanowienie. Opowiadając o tym przeżyciu w towarzystwie, raczej sięgnęłabym po wyrażenie *nie do opisania*. Brian był wspaniałym ojcem. Z chęcią pożyczyłabym sobie jego wrażliwość na ten dzień.

*Eva*

18 grudnia 2000

*Drogi Franklinie,*

Dziś wieczorem mieliśmy w pracy przyjęcie świąteczne, a ściągnięcie na nie sześciu osób, które nie tak dawno skakały sobie do gardeł, było zadaniem dość trudnym. Niewiele mamy wspólnego, ale ogólnie cieszę się z ich towarzystwa, nie tyle z powodu szczerych rozmów przy śniadaniu, ile z codziennych pogawędek o szerokiej ofercie wycieczek na Bahamy (czasami jestem tak wdzięczna za nawał pracy przy rezerwacji lotów, że mogłabym się rozplakać). Ponadto, zwykła bliskość innych osób może zapewnić poczucie wielkiego komfortu.

Bardzo miłą rzeczą ze strony kierowniczką było to, że mnie tu zatrudniła. *Czwartek* zranił w tym rejonie tak wiele osób, że Wanda początkowo martwiła się, iż klienci zaczną unikać jej biura, by mój widok nie przypominał im tych strasznych wydarzeń. Żeby być fair w stosunku do sąsiadów, to muszę powiedzieć, że często wyjątkowo bolesne, codzienne pozdrowienie przypomina mi o tym, że klienci wiedzą, kim jestem. Personel na pewno czuje się rozczarowany. Spodziewali się, że będę w stanie odświeżyć swą pamięć i raczyć ich ekscytującymi opowieściami podczas przerw obiadowych. Nasz związek jest jednak zbyt marginalny, więc wątpię, by ich znajomi byli pod wrażeniem. Większość moich historii jest bardzo zwykła. Tylko jedna jest warta opowiadania, ale tę wszyscy dobrze znali, zanim przysłałam tu do pracy.

Wanda, rozwódka o szerokich biodrach i głośnym śmiechu, miała chyba nadzieję, że szybko się zaprzyjaźnimy. Pod koniec naszego pierwszego wspólnego lunchu zdradziła mi, że jej były mąż podniecał się, patrząc jak sikała, że właśnie wyleczyła hemoroidy oraz że do trzydziestego szóstego roku życia, do niebezpiecznej utarczki z ochroniarzem, była nałogowym złodziejem sklepowym. Ja w odpowiedzi zwierzyłam się, że po sześciu miesiącach mieszkania w moim małym bliźniaku w końcu zdecydowałam się kupić firanki. Widzisz więc, że nie bardzo mogliśmy znaleźć wspólny język, gdyż ja mówiłam o Manhattanie, a ona o koralikach.

Dziś wieczorem Wanda przydybała mnie w kacie, przy faksie. Nie chciała wtrącać się w nieswoje sprawy, ale czy ja wyglądałam na kogoś, kto szuka „pomocy”? Dobrze wiedziałam, o co jej chodzi. Wszyscy uczniowie z Gladstone High School mogli skorzystać z bezpłatnych porad oferowanych przez zarząd szkoły. Nawet obecni pierwszoklasiści, którzy w roku 1999 jeszcze nie byli zapisani do szkoły, twierdzili, że mieli uraz psychiczny i musieli

korzystać z pomocy psychologa. Nie chciałam sprawiać wrażenia osoby wrogo nastawionej, więc szczerze powiem, że nie wiem, jak zwyczajne opowiadanie obcym ludziom o moich kłopotach mogło choćby w minimalnym stopniu zmienić ich sytuację. A takie doradztwo było logiczną ucieczką tych ludzi, których problemy były krótkotrwałymi fantazjami, niezwiązanymi z żadnym historycznym faktem. Sprzeciwiłam się, mówiąc, że moje doświadczenia z zawodem psychologa są raczej gorzkie, grzecznie nie wspominając o tym, iż pomyłki psychiatrów co do mojego syna były przyczyną pewnej głównej wiadomości w całych Stanach. Co więcej, niezbyt rozsądne byłoby też przyznanie się, że jedyną „pomoc” odnalazłam w pisaniu tych listów do Ciebie. I jakoś mam wrażenie, że taka korespondencja nie znajduje się na liście wskazanych terapii. A to przecież Ty jesteś w sercu tych rzeczy, które muszę zostawić za sobą, tak, bym mogła doświadczyć pełnego zamknięcia. Ależ okropna ta terapia...

Nawet w roku 1983 byłam zdziwiona, że tak standardowa, psychiatryczna przypadłość, jak *depresja poporodowa*, miała być czymś pocieszającym. Nasi rodacy chyba bardzo dużą wagę przywiązują do tego, by każdej dolegliwości przykleić odpowiednią etykietkę. Prawdopodobnie posiadanie jakiegoś imienia pociąga za sobą to, że nie jesteśmy sami i otwiera przed nami takie możliwości, jak internetowy czat i grupy wsparcia dla entuzjastów grupowego rżnięcia. Ten ciąg do zrzeszania się przeniknął nawet do codziennych pogaduszek Amerykanów. Nie pamiętam już, kiedy ktoś powiedział mi, że „dużo czasu zajęło mu poranne wstawanie”. Zamiast tego dostaję informację, że ktoś *nie jest rannym ptaszkiem*. Wszyscy moi znajomi podróżnicy, którzy potrzebowali potężnej dawki kawy, by nie zasnąć, czyjaś niechęć do wczesnego wstawania i porannego przebiegnięcia dziesięciu mil musieli odczuwać jako bolesny cios.

Mogłam ponownie docenić moje własne, normalne skłonności, w tym także nierozsądne oczekiwanie, że nosząc w sobie dziecko, będę czuła nawet coś miłego. Ale wcale tak bardzo się nie zmieniłam. Nigdy nie znajdowałam pociechy w byciu taką, jak wszyscy inni. I mimo że doktor Rhinestein oferowała mi *depresję poporodową* prawie jak prezent - tak jakby usłyszenie, że jest się nieszczęśliwym miało przywrócić nam uśmiech - nie płaciłam profesjonalistom za to, by słyseć oczywiste rzeczy, opisane w inny sposób. Ten termin był mniej diagnostyczny, niż tautologiczny: byłam w depresji po urodzeniu Kevina, bo byłam w depresji po urodzeniu Kevina. Wielkie dzięki.

Zasugerowała również, że z powodu uporczywego braku zainteresowania Kevina moją pierśią mogę poczuć się nieco odrzucona. Zarumieniłam się. Zawstydyłam się tym, że

mogę opacznie zrozumieć i wziąć tak do serca upodobania tej małej istotki.

Oczywiście miała rację. Z początku myślałam, że nie kierując jego ust do piersi robiłam coś złego. Ale nie; wkładałam sutek pomiędzy jego wargi. No bo niby gdzie miałam go włożyć? Possał raz lub dwa i rezygnował, a niebieskawe mleko spływało po jego brodzie. Odkasznął i chyba nawet, tak mi się wydawało, dławił się. Gdy poszłam poradzić się doktor Rhinestein, powiedziała mi oschle, że „czasami tak bywa”. Mój Boże, Franklinie, jak można odebrać stwierdzenie „czasami tak bywa”, stając się rodzicem! Oszalałam. W jej gabinecie byłam otoczona ulotkami dotyczącymi budowania systemu odpornościowego małego dziecka. Próbowałam wszystkiego. Nie piłam. Ograniczyłam nabiał. Z ogromnym poświęceniem wyrzekłam się cebuli, czosnku i chili. Ograniczyłam mięso i ryby. Zaordynowałam sobie dietę bezglutenową, która w praktyce ograniczała się do miski ryżu i surowej sałaty.

W końcu zaczynałam odczuwać głód, a Kevin w najlepsze kontynuował swoją surową dietę w postaci butelki podgrzewanej w mikrofalówce, którą przyjmował tylko z Twojej ręki. Nawet z butelki nie chciał pić mojego mleka, wykręcając się od tego bez spróbowania. Pewnie potrafił to wyczuć. Potrafił mnie wyczuć. Mimo to jego testy alergiczne były negatywne, przynajmniej z medycznego punktu widzenia. W tym czasie moje zwykle drobne piersi były nabrzmiące, obolałe i wydzielały mleko. Rhinestein niewzruszenie twierdziła, że nie mogę przestać wydzielać pokarmu, bo ta awersja - dokładnie takiego słowa użyła, Franklinie, *awersja* - nie przemienie. To było tak trudne i bolesne, że nigdy nie mogłam doznać uczucia karmienia dziecka, mimo że poratowałeś mnie, kupując odciągacz pokarmu. Obawiam się jednak, że znenawidziłam ten zimny, plastikowy substytut ciepłego, ssącego niemowlaka. Chciałam dać mu prawdziwe, ludzkie mleko, ale on nie chciał, albo nie chciał go ode mnie.

Nie powinnam odbierać tego tak osobiście, ale jak mogłam się powstrzymać? To nie mleko mu nie smakowało. Tu chodziło o *matkę*. W rzeczywistości byłam przekonana, że nasze małe zawiniątko szczęścia dowiedziało się o moim istnieniu. Niemowlaki mają wielką intuicję, bo to jedyne, co posiadają. Byłam pewna, że mógł wyczuć jakiś sygnał ostrzegawczy w moich sztywnych ramionach, gdy go po raz pierwszy podnosiłam. Byłam przekonana, że mógł wyciągnąć wnioski z mojego głosu, kiedy gaworzyłam i mamrotałam do niego, mógł wtedy wyczuć, że mój głos nie był naturalny, a jego przedwcześnie rozwinięte ucho mogło w natłoku dźwięków wyłapać ukryty, natrętny sarkazm. Co więcej, odkąd czytałam - przepraszam, Ty czytałeś - że niezwykle ważne jest ciągle uśmiechanie się do niemowląt, starałam się robić to przy każdej okazji. Uśmiechałam się, uśmiechałam się aż do bólu twarzy, a ten ból z pewnością zapamiętał najlepiej. Za każdym razem, gdy zmuszałam się do

grymasu, doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie było szczere. Nigdy nie odwzajemniał tej miny. Nie miał okazji, by w swoim życiu oglądać zbyt wiele uśmiechniętych twarzy. Jeśli już, to była to Twoja twarz, ale dzięki temu miał porównanie, że w twarzy *matki* było coś nie tak. Wykrzywiała się fałszywie, a uśmiech wyparowywał, gdy tylko odwracała się od kołyski. Czy to stąd Kevin to wziął? Ten marionetkowy uśmiech, który widziałam w więzieniu, tak jakby ktoś pociągał za sznurki.

Wiem, że mi nie uwierzysz, ale bardzo mocno starałam się zbudować jakiś uczuciowy związek z moim synkiem. Ale uczucia do Ciebie nigdy nie odbierałam jako ćwiczenia, które muszę ciągle powtarzać, jak odgrywanie gamy na fortepianie. Im bardziej *próbowałam*, tym bardziej byłam świadoma, że moje starania podejmowałam z obrzydzeniem. Oczywiście, że te wszystkie czułości, które tak naśladowałam, powinny pojawić się bez żadnego zaproszenia lub starania. Nie tylko Kevin doprowadzał mnie do depresji. Także fakt, że Twoje własne uczucia w coraz większym stopniu kierowały się w jego stronę - sama się przygnębiałam. Byłam winna przestępstwa emocjonalnego.

Ale Kevin dołował mnie bardzo, i mówię Kevin, a nie dziecko. Od samego początku to stworzenie było dla mnie specyficzne, gdy Ty często pytałeś *Jak się miewa dzidzius?* lub *Jak się ma mój chłopczyk?* albo *Gdzie jest bobas?* Dla mnie Kevin nigdy nie był „dzieckiem”. Był wyjątkową, niezwykle przebiegłą jednostką, która przybyła do nas i zamieszkała z nami, i tylko przypadkiem była taka mała. Dla Ciebie był „naszym synem” - a później dałeś mi spokój i mówiłeś do niego „mój syn”. Twoje uwielbienie miało bardzo ogólny charakter, który on z pewnością wyczuwał.

Zanim się uniesiesz, wyjaśniam, że nie mam na myśli krytyki. To musi być ten najważniejszy związek z czymś tak naprawdę abstrakcyjnym, na dobre i na złe, który może być nawet silniejszy niż związek z dziećmi jako ludźmi. W konsekwencji ufasz im nawet wtedy, gdy jako ludzie cię zawiodą. Z mojej strony to była obszerna umowa z „dziećmi-w-teorii”, której mogę nie wypełnić, ale której nie mogłam zerwać, gdy pamiętnego *Czwartku* Kevin naciągnął moje matczyne uczucia do perfekcyjnej, matematycznej granicy. Nie głosowałam na partie, a na konkretnych kandydatów. Moje poglądy były tak ekumeniczne, jak moja spizarnia, wówczas pełna salsy z Meksyku, anchois z Barcelony i liści limonki z Bangkoku. Nie miałam nic przeciwko aborcji, ale nienawidziłam kary śmierci, co chyba oznaczało, że świątynię życia widziałam tylko w dorosłych jednostkach. Moje nawyki były bardzo kapryśne; jednego dnia oszczędzałam wodę jak ekolog, ale później, po doświadczeniu tuzina pryszniców ze śmiechu wartym ciśnieniem europejskiej wody, byłam w stanie leżeć pół godziny pod bieżącym strumieniem. Moja szafka wypełniona była indyjskim

sari, ghańską tuniką i ubiorem wietnamskim. Słownictwo też przepełnione było obcymi naleciałościami - *gemutlich, scusa, hugge, mzungu*. W taki sposób mieszałam tę planetę, że czasami martwiłeś się, iż już nie jestem związana z żadną rzeczą i żadnym miejscem. Oczywiście myliłeś się. Moje związki były po prostu zakrojone na wielką skalę i nieprzyzwoicie wyjątkowe.

Z tego samego powodu nie mogłam pokochać dziecka, musiałam kochać to jedno. Byłam związana ze światem wieloma więzami, a Ty raptem kilkoma grubymi linami. To samo tyczy się patriotyzmu: kochałeś ideę Stanów Zjednoczonych o wiele bardziej niż ten kraj i tylko dzięki specyficznemu ujęciu amerykańskich aspiracji mogłeś przeoczyć fakt, że Twoi jankescy rodzice stali całą noc z termosem zupy rybnej przed dziecięcym supermarketem FAO Schwartz, by kupić limitowaną edycję Nintendo. W szczegółach rozwodzisz się nad tandetą. Ogólnie rozwodzisz się nad wielkością, ponadczasowością, wiecznością. Ziemskie kraje i pojedynczy, złośliwi, mali chłopcy mogą iść do diabła; idea silnych państw i porządnych synów triumfuje po wsze czasy. Mimo że żadne z nas nie chodziło do kościoła, doszłam do wniosku, że byłeś w naturalny sposób bardzo religijną osobą.

W końcu zapalenie gruczołu mlecznego dało kres moim desperackim poszukiwaniom przyczyny, dla której Kevin nie chciał jeść mojego mleka. Byłam skłonna uznać za powód marną jakość pokarmu. To i naciskanie Kevina, by ssał pierś, mogło pokaleczyć sutki tak, że infekcja przeszła z jego ust. Wrogo nastawiony do mojego mleka, wciąż mógł doprowadzić mnie do przekupstwa, tak jakby już w pierwszym roku był bardziej światową częścią naszej dwójki.

Pierwszą oznaką zapalenia sutka było zmęczenie i dziwiłam się później, że nie zaobserwowałam wczesnych symptomów choroby. Kevin męczył mnie już od tygodni. Założę się, że wciąż nie wierzysz w jego napady złości, choć wściekłość, trwająca sześć do ośmiu godzin, bardziej niż atakiem jest stanem naturalnym, przy którym spokojne okresy, których byłeś świadkiem, były jedynie dziwnymi ucieczkami. Nasz syn robił się *spokojny we właściwym czasie*. Może to zabrzmie niemądrze, ale regularność, z jaką Kevin uderzał z niezwykłą siłą, za każdym razem, gdy zostawałam z nim sama, a później, gdy pojawiałeś się Ty, w mgnieniu oka wyłączał nadawanie heavy-metalowej muzyki - wydawała się zamierzona. Cisza wciąż dzwoniła mi w uszach, a Ty pochylałeś się nad naszym zasypiającym aniołkiem, który właśnie zamierzał odespać swoje całodniowe olimpijskie zmagania. Nigdy nie życzyłam Ci takiego bólu głowy, ale wtedy nie mogłam już wytrzymać



nieufności, jaka tworzyła się między nami, gdy Twoje wyobrażenie naszego syna było zupełnie inne niż moje. Czasami bawiły mnie wizje, że Kevin już w kołysce uczył się, jak dzielić i rządzić, by tworzyć intrygi między nami, co znalazło swój finał w terażniejszości. Jego cechy były nienaturalnie ostre jak na dziecko, natomiast moją główną wadą była łatwowierność w stylu Mario Thomasa, tak jakby jeszcze w macicy wypił cały mój spryt.

Będąc bezdzietną, postrzegałam płacz dziecka jako coś w miarę jednolitego. Był głośny - nie był głośny. Ale jako matka odkryłam całą gamę ryków. Mogłam rozróżnić zawodzenie z powodu jakiejś niewypowiedzianej potrzeby, co w efekcie dla niemowlaka znaczy mniej więcej *mokry* albo *jedzenie* albo *szpilka*. Jest też okrzyk przerażenia - że nikogo nie ma w pobliżu i być może nikogo już nigdy nie będzie. Jest też to nużące zawodzenie: *laaa-laaa*, przypominające nawoływania do meczetu na Bliskim Wschodzie lub improwowaną piosenkę - to taki kreatywny płacz, dla zabawy, płacz dzieci, które nie są nieszczęśliwe, jednak nie zdają sobie sprawy z tego, że traktujemy ten odgłos jako oznakę cierpienia. Może najsmutniejszą odmianą jest wyciszone, charakterystyczne kwilenie, które może być nieszczęśliwe, ale które, czy to przez zaniedbanie, czy przez zdolność przewidywania, nie spodziewa się łaski - które już w dzieciństwie pogodziło się z myślą, że żyć to znaczy cierpieć.

Wyobrażam sobie, że jest wiele powodów, dla których nowo narodzone dziecko może płakać, jednak Kevin nie praktykował żadnego z tych łzawych obrzędów. Oczywiście gdy wracałeś do domu, czasami popłakał jak *normalne niemowlę*, które domaga się jedzenia lub zmiany pieluchy, a gdy się nim zająłeś, to kwilenie ustawało. Potem patrzyłeś na mnie, jakbyś chciał powiedzieć „widzisz”?; a ja chciałam Cię trzasnąć.

Przy mnie, gdy już wyszedłeś, Kevin nigdy nie dał się przekupić czymkolwiek tak nieistotnym i krótkotrwałym, jak mleko lub suche pieluchy. Jeśli obawa przed odrzuceniem miała wpływ na poziom decybeli, który rywalizował z hałasem piły tarczowej, to jego samotność manifestowała się wzbudzającą respekt, egzystencjalną czystością. Nie chodziło tylko o to, by zostać uciszonym kołysaniem tej zabiedzzonej krowy, która chce karmić go mdłą wonią białego płynu. I nie spostrzegłam błagalnego zawodzenia, żadnej rozpacz, żadnego lęku. Raczej ciskał swym głosem niczym bronią, płaczem smagając ściany naszego poddasza tak, jakby kijem baseballowym walił po przystanku autobusowym. Jego pięści zaciskały się na brzegach kołyski, kopał kocyk, a ja czasami, po głaskaniu, kołysaniu i przewijaniu, wycofywałam się i z podziwem patrzyłam na ten pokaz czystej siły. To było oczywiste: ten niepowstrzymany silnik napędzany był nieskończonym paliwem *wzburzenia*.

O *vohat'i* też mogłeś zapytać.

Był suchy, nakarmiony i spał. Mogłam okryć go kocem lub nie, nie było mu nigdy ani za ciepło, ani za zimno. Mogło mu się odbić, a ja miałam wewnętrzne przeświadczenie, że to nie jest kolka. Kevin nie płakał z bólu, ale z gniewu. Zabawki wisiały nad jego głową i walały się po łóżeczku. Jego matka wzięła sześć miesięcy urlopu, by każdy dzień spędzić przy nim. Podnosiłam go tak często, że bolały mnie ramiona. Na pewno nie mógłbyś mi zarzucić, że nie poświęcałam mu uwagi. Jak słusznie zauważyły gazety szesnaście lat później, Kevin miał wszystko.

Teoretyzowałam, że większość ludzi można umieścić w najbardziej prymitywnym zakresie skali i to może być pozycja, z którą współgra każdy inny atrybut; jak bardzo chcą tu być, jak bardzo chcą żyć. Myślę, że Kevin tego nienawidził. Moim zdaniem on był poza tą skalą, nienawidził tu być. Może zachował nawet jakieś duchowe wspomnienia sprzed poczęcia i błoga nicość była tym, czego brakowało mu bardziej, niż mojego łona. Kevin był podrażniony tym, że nikt nie konsultował z nim jego przyjścia na świat, skoro w kołysce nie było nic interesującego. Był najmniej ciekawym świata chłopcem, jakiego kiedykolwiek spotkałam, z małymi wyjątkami od tej reguły, na wspomnienie których dostaję dreszczy.

Pewnego popołudnia czułam się bardziej znudzona niż kiedykolwiek, może też trochę roztargniona. Od wielu dni nie byłam w stanie porządnie się ogrzać, a na dworze był koniec maja. Nowojorczycy chodzili w krótkich spodenkach. Kevin rozpoczął wirtuozerski recital. Siedząc na kanapie, przykryta kocem, zastanawiałam się nad faktem, że ostatnio masz dużo więcej pracy. Oczywiście jako wolny strzelec nie chciałeś, by Twoi stali klienci znaleźli sobie innego przedstawiciela do spraw reklamy, ale z drugiej strony moja firma spoczywała na barkach podwładnych i wcale nie zamierzałam się jej pozbywać. Ale to w jakiś sposób oznaczało, że ja tu utknęłam na całe dni, a Ty radośnie podróżowałeś swoim błękitnym pikapem w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na kolejną reklamę. Podejrzywałam, że gdyby nasza sytuacja była odwrotna - Ty prowadziłbyś firmę, a ja byłabym samodzielnym agentem reklamowym - Eva miałaby rzucić swą pracę tak, jakby rzucała kamieniem.

Gdy winda zatrzymała się na naszym piętrze, właśnie zauważyłam, że mała plamka pod moją prawą piersią zrobiła się jasnoczerwona, wrażliwa i dziwnie twarda, upodabniając się do nieco większej, podobnej plamki pod lewą piersią. Otworzyłeś drzwi i podszedłeś prosto do kołyski. Cieszyłam się, że byłeś tak troskliwym ojcem, ale z dwójki pozostałych domowników tylko ja mogłam docenić znaczenie słowa *cześć*.

- *Proszę*, nie obudź go - szepnęłam. - Śpi dopiero od dwudziestu minut, a dzisiaj nieźle szalał. Myślałam, że nigdy nie zaśnie. Prawie zemdlał.

- Nakarmiłaś go? - głuchy na moje złośczenia podniosłeś go, wziąłeś na ręce i szturchałeś lekko zmęczoną twarz. Wyglądał na wniebowziętego. Może we śnie się zapomniał.

- Tak, Franklinie - powiedziałam z nadmierną kontrolą. *Po czterech czy pięciu godzinach* słuchania wrzasków małego Kevina pomyślałam i o tym. - Czemu używasz piecyka?

- Mikrofalówka zabija składniki odżywcze - podczas lunchu w McDonalddie czytałeś książki o małych dzieciach.

- To nie jest takie proste, jak wyliczenie tego, czego chce, a nie może poprosić. Z reguły nie ma pojęcia, o co mu chodzi. - Widziałam: przewróciłeś oczami i popatrzyłeś w sufit, jakbyś chciał powiedzieć „znowu”. - *Myślisz, że przesadzam.*

- Nie powiedziałem tego.

- Myślisz, że jest „zręczliwy”. Czasem jest „niegrzeczny”, bo jest głodny...

- Słuchaj, Eva. Jestem pewny, że ma trochę zły charakter...

- *Widzisz? Trochę zły charakter!* - poczłapałam do kuchni, owinięta kocem. - Nie wierzysz mi! - oblałam się zimnym potem i pewnie zarumieniłam się lub zbladłam. Chodzenie raniło moje stopy, a ból promieniował do lewej ręki.

- Wierzę, że *odbierasz* to jako coś ciężkiego. Ale czego się spodziewałaś? Spaceru po parku?

- Nie beztroskiego spaceru, ale to bardziej przypomina rozbój w parku!

- Słuchaj, to przecież też mój syn. Ja też go widzę każdego dnia. Czasami trochę płacze. I co z tego? Martwiłbym się, gdyby nie płakał.

Najwyraźniej moje dowody zostały odrzucone. Musiałam znaleźć innego świadka.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że John, ten mieszkający pod nami, zamierza się wyprowadzić?

- John to pedał, w dodatku nie lubi dzieci. Cały ten kraj jest antydziecięcy. Właśnie zaczynam to zauważać - ta surowość była zupełnie nie w Twoim stylu, z wyjątkiem momentów, w których mówiłeś o prawdziwym kraju, a nie wymyślonej w Twej głowie pasiasto-gwiaździstej Walhalli. - Widzisz? - Kevin przebudził się na Twoim ramieniu, a potem spokojnie zaczął ciągnąć butelkę, nawet nie otwierając oczu. - Przepraszam, ale jak dla mnie, to zwykle jest bardzo grzeczny.

- On nie jest teraz *grzeczny*, jest wykończony! Ja też jestem wykończona Jestem wykończona i wcale nie czuję się dobrze. Kręci mi się w głowie. Mam dreszcze i chyba mam gorączkę.

- To niedobrze - odparłeś chłodno. - Odpocznij chwilę, a ja zrobię obiad.

Gapiałam się na Ciebie. Ten chłód zupełnie nie był do Ciebie podobny! Miałam zlekceważyć moje dolegliwości, żebyś nie musiał z tego powodu robić zamieszania. Wymuszając na Tobie dawną, pomocną postawę, wzięłam butelkę i przyłożyłam Twą dłoń do mojego czoła.

- Ciepłe - powiedziałeś i szybko cofnąłeś rękę.

Dłużej już nie mogłam wytrzymać, a moja skóra płonęła w każdym miejscu, które dotknęłam kocem. Zatoczyłam się na kanapę, tak jakbym była ogłuszona moim odkryciem: Byłeś na mnie zły. Ojcostwo Cię nie rozczarowało, za to ja tak. Myślałeś, że ożeniłeś się z silną kobietą. A tu okazało się, że Twoja żona to maruda, najbardziej irytujący rodzaj Amerykanina, dla którego codzienne problemy, takie jak trzykrotne awizo o odbiorze przesyłki lub wyprawa po samodzielny odbiór są stresem nie do przewyciężenia, wymagającym kosztownych terapii i farmaceutycznego wspomagania. Staraleś się obwinić mnie nawet o to, że Kevin nie chciał ssać mojej piersi. Pozbawiłam Cię wzorcowego obrazu macierzyństwa, tego przesłodzonego, niedzielnego poranka z maślanymi tostami; malutkim synkiem, promieniejącą żoną i jej piersiami, ułożonymi na poduszce tak długo, dopóki nie zbierzesz się, by wyjść z łóżka po kamerę.

Teraz myślę, że wtedy znakomicie maskowałam moje prawdziwe odczucia w kwestii macierzyństwa, do punktu zaniedbania; tak wiele spraw w małżeństwie polega po prostu na zwykłym przemilczeniu. Powstrzymywałam się przed wyłożeniem na stół, niczym trofeum, tej oczywistej diagnozy depresji poporodowej, ale postanowiłam zachować to dla siebie. Tymczasem przyniosłam do domu mnóstwo roboty wydawniczej, ale byłam w stanie przedrzeć się tylko przez kilka stron. Odżywiałam się kiepsko, źle spałam, a prysznic brałam najwyżej raz na trzy dni. Z nikim się nie spotykałam i bardzo rzadko wychodziłam z domu, bo Kevin wrzeszczał, co sprawiało, że w miejscach publicznych nie byliśmy mile widziani. Codziennie musiałam mierzyć się z purpurowym kłębem furii, przy okazji wmawiając sobie z całkowitym niezrozumieniem: *Powinnam to kochać.*

- Jeśli nie dajesz sobie rady, wymyślimy jakieś rozwiązanie - stanąłeś nade mną ze swoim synem na ręku, jak jedna z tych wiejskich ikon poświęcenia dla rodziny i macierzyństwa z sowieckich obrazków.

- Możemy wynająć niańkę. O, zapomniałam ci powiedzieć - wymamrotałam. - Miałam telefon z firmy. Badamy zapotrzebowanie na naszą afrykańską edycję przewodnika, *AFRIWAP.*

- Nie miałem na myśli tego - pochyliłeś się nade mną, a Twój głos wkręcał się w moje

uszy - by nasze dziecko wychowywała obca osoba, a ty w tym czasie będziesz łapać pytony w Kongu Belgijskim.

- W Zairze - powiedziałam.

- Eva, razem przez to przejdziemy.

- To *dlaczego zawsze stajesz po jego stronie?*

- On ma tylko siedem tygodni! Jest za mały, by mieć jakąś własną stronę!

Szarpnęłam się, by wstać. Mogłeś błędnie pomyśleć, że płakałam, ale moje oczy wilgotniały zgodnie z ich własnym rytmem. Gdy toczyłam się do łazienki, trudniej było mi znaleźć termometr niż zauważyć, że już dawno powinieneś mi go przynieść. Gdy wróciłam z rurką, wystającą z moich ust, nie wiem, czy to tylko moja wyobraźnia, czy ponownie wywróciłeś oczami i spojrzałeś w sufit.

Przy świetle lampy skrupulatnie analizowałam wskazanie słupka rtęci.

- Sam zobacz. Ja nie potrafię dojrzeć tego zbyt wyraźnie.

W roztargnieniu wziąłeś termometr i spojrzałeś na niego przy świetle.

- Evo, chyba go popsułaś. Musiałaś przystawić go zbyt blisko lampy - potrząsałeś termometrem i ponownie włożyłeś go w moje usta, po czym poszedłeś zmienić Kevinowi pieluchę.

Doszurałam do stołu do przewijania i zaoferowałam pomoc. Sprawdziłeś termometr i rzuciłeś mi piorunujące spojrzenie.

- Evo, to nie jest śmieszne.

- O czym ty gadasz? - w moich oczach pojawiły się łzy.

- Nagrzewanie termometru. To głupi żart.

- Nie nagrzewam go. Po prostu trzymam pod językiem.

- Cholera, Evo, przecież to jest prawie czterdzieści stopni Celsjusza.

- Och.

Popatrzyłeś na mnie. Popatrzyłeś na Kevina. Choć raz Twoja lojalność została zmuszona do wyboru. Prędko zgarnąłeś go ze stołu i włożyłeś do kołyski z taką niedbałością, że zapomniał o swym teatralnym rozkładzie i uruchomił wrzask z cyklu „nie-cierpię-całego-świata”. Zignorowałeś go z męskością, którą w Tobie uwielbiałam.

- Przepraszam - jednym pociągnięciem podniosłeś mnie z podłogi i posadziłeś na kanapie. - Naprawdę jesteś chora. Musimy zadzwonić do doktor Rhinestein i zawieźć cię do szpitala...

Zasypiałam, omdlewałam. Ale pamiętam, że myślałam o tym, iż zbyt dużo mnie to kosztowało. Zastanawiałam się, czy dostanę zimną szmatkę na czoło, *lodowatą* wodę i trzy

aspiryny, a także rozmowę telefoniczną z doktor Rhinestein, *jeśli* termometr pokazał tylko 38,5 stopnia Celsjusza.

*Eva*

21 grudnia 2000

*Drogi Franklinie,*

Jestem trochę zszokowana po niedawnej rozmowie telefonicznej. Nie mam pojęcia, skąd ten cały Jack Marlin miał mój zastrzeżony numer telefonu. Twierdził, że robi filmy dokumentalne dla NBC. Dość zabawny tytuł roboczy jego serii to „Zajęcia pozalekcyjne”. Brzmi wystarczająco autentycznie, ponadto szybko odciął się od Męki w Gladstone High, którą pokazała telewizja Fox, a która wyglądała, o czym poinformował mnie Giles, jak jeden wielki płacz i modlitwa. Zapytałam Marlina, dlaczego uważa, że będę miała ochotę wziąć udział w kolejnym sensacyjnym materiale dotyczącym dnia, w którym skończyło się moje życie. Odpowiedział, że być może będę chciała opowiedzieć tę historię z „mojego punktu widzenia”.

- Jaka by to miała być strona? - starałam się przyjąć pozycję z okresu, gdy Kevin miał siedem tygodni.

- Na przykład, czy pani syn nie padł ofiarą przemocy seksualnej? - drażył Marlin.

- *Ofiarą?* Mówimy o tym samym chłopcu?

- A co w związku z prozakiem? - sympatycznie zamruczał. - To była jego linia obrony, w dodatku dość solidnie umotywowana.

- To był pomysł jego adwokata - powiedziałam słabo.

- Może bardziej ogólnie. Uważa pani, że Kevin był dzieckiem niezrozumianym?

Przepraszam, Franklinie. Wiem, że powinnam odłożyć słuchawkę, ale ostatnio, poza biurem, rozmawiam z tak niewieloma osobami. Co ja powiedziałam? Coś w stylu:

- Obawiam się, że rozumiałam mojego syna aż za dobrze - i dodałam - z tego powodu Kevin jest teraz jednym z najlepiej rozumianych chłopców w tym kraju. Czyny mówią wyraźniej niż słowa, nieprawdaż? Moim zdaniem wszedł w swój świat lepiej, niż większość jego rówieśników. Wygląda na to, że powinien pan przeprowadzić wywiad z dziećmi, które nie są w stanie w ten sposób wyrazić samych siebie.

- Co, pani zdaniem, chciał przez to powiedzieć? - zapytał Marlin, podniecony, że złapał prawdziwy przykład rodzicielskiej elity, której członkowie dziwnym trafem nie wykazują zainteresowania pokazywaniem się w telewizji.

Jestem pewna, że ta rozmowa była nagrywana i powinnam pilnować języka. Mimo to wypaliłam:

- Panie Marlin, jakakolwiek była jego *wiadomość*, na pewno była nieprzyjemna.

Dlaczego, do cholery, chciałby pan udostępnić mi jeszcze jedno forum do upublicznienia tego przekazu?

Gdy mój rozmówca zaplątał się w jakieś bezsensowne dywagacje na temat „możliwości przewidzenia”, gdyby coś podobnego miało się zdarzyć w przyszłości, rozłączyłam się.

- Przez szesnaście lat patrzyłam, jak coś podobnego się zbliża, panie Marlin - zgasłam go. - I wiele dobrego z tego nie wyniknęło - odłożyłam słuchawkę.

Wiem, że wykonywał tylko swoją pracę, ale ja nie lubię tego, czym się zajmuje. Mam dość dziennikarzy węszących na progu jak wygłodniałe psy, które wyczuły świeże mięso. Jestem już zmęczona odgrywaniem roli ich posiłku.

Byłam usatysfakcjonowana, gdy doktor Rhinestein, po podkreśleniu, że to bardzo rzadko spotykane, poinformowała mnie, że dorobiłam się zapalenia gruczołów mlecznych w obu piersiach. Pięciodniowa kuracja antybiotykowa w Beth Israel była bolesna, ale zaczęłam cenić fizyczny ból jako tę formę cierpienia, którą rozumiałam, w przeciwieństwie do zaskakującej udręki macierzyństwa. Ulga związana z uczuciem błogiej ciszy była ogromna.

Wciąż jeszcze byłeś w uścisku podniecenia i może - przyznaj to - niechętny, by poddać naszego syna testowi „dobrego zachowania”, wykorzystając tę okazję do zatrudnienia niani. A może powinnam powiedzieć: dwóch niań, bo zanim wróciłam do domu, jedna zdążyła zrezygnować z pracy.

Nie chciałeś mi tego powiedzieć sam od siebie. Gdy jechaliśmy do domu Twoim samochodem, zacząłeś opowiadać o fantastycznej Siobhan, a ja wtedy przerwałam Ci i zapytałam:

- Myślałam, że ma na imię Carlotta.

- A, ona. Wiesz, że wiele dziewczyn to imigrantki, które odchodzą bez słowa, gdy tylko ich wiza straci ważność. W ogóle nie dbają o dzieci.

Przy każdej nierówności, gdy pikap podskakiwał, moje piersi płonęły z bólu. Nie czekałam na potworny proces wydzielania mleka po powrocie do domu, co zresztą miałam robić z religijną żarliwością regularnie, co cztery godziny, nawet jeśli mleko miałoby spływać do ścieku.

- Rozumiem, że Carlotta nie poradziła sobie.

- Powiedziałem jej na samym początku, że to jest dziecko. Robiące kupkę, pierdzące, bekające...

- Wrzeszczące...



- Dziecko. Ona chyba spodziewała się samoczyszczącego się piekarnika lub czegoś podobnego.

- I zwolniłaś ją.

- Niezupełnie. Ale Siobhan jest święta. Pochodzi z Irlandii Północnej. Może tam ludzie są bardziej przyzwyczajeni do bomb i gówno nie jest dla nich aż tak odrażające.

- Czyli Carlotta sama zrezygnowała. Zaledwie po kilku dniach. Bo Kevin był, jak to określić? *Nieznośny!*

- Po jednym dniu, jeśli możesz w to uwierzyć. Gdy zwołałem ją w czasie lunchu i zapytałem, czy wszystko w porządku, poprosiła, bym skrócił jej dniówkę i uwolnił ją od mojego syna. Miałem ochotę nie zapłacić jej ani centa, ale nie chciałem, by agencja umieściła nas na czarnej liście (prorocze słowa: dwa lata później agencja i tak nas tam umieściła).

Siobhan była święta. Na pierwszy rzut oka niezbyt atrakcyjna, z niesfornymi, czarnymi lokami i tą upiornie bladą, irlandzką cerą, miała ciało lalki, które nie zgina się w stawach, a po prostu trochę się marszczy. Mimo że była dość wysoka, to potężnie umięśnione nogi i korpus pozbawiony wcięcia w talii sprawiały wrażenie, że była gruba. Z czasem uznałam ją za dużo ładniejszą, przede wszystkim dlatego, że miała dobre serce. Przyznaję, byłam pełna obaw, gdy na wstępie powiedziała, że jest członkinią chrześcijańskiego Kościoła Alfa-Kurs. Wyobrażałam sobie takich ludzi jako bezmyślnych fanatyków, bojących się przypisania do codziennych obowiązków. Jednego uprzedzenia Siobhan na pewno nie potwierdzała - bardzo rzadko wracała do tematu swojej wiary. Być może ta ekstrawagancka droga religijna miała być jej próbą ucieczki od katolicko-protestanckich bredni, z którymi miała do czynienia w hrabstwie Antrim, o czym zresztą nigdy nie mówiła, a od czego uciekła aż za Ocean Atlantycki.

Naśmiewałaś się ze mnie, że polubiłam Siobhan tylko dlatego, że była fanem moich przewodników *Wing and a Prayer* i często korzystała z nich podczas podróży po Europie. Niepewna powołania, jakie wyznaczy jej Bóg, nie mogła wyobrazić sobie innego zawodu niż profesjonalny podróżnik, wzniecając tym samym moją tęsknotę za życiem, które stawało się coraz bardziej odległe. Miała taką samą nadzieję jak ja, że pewnego dnia Kevin zrozumie, będzie wdzięczny rodzicom i doceni ich zaangażowanie. Dopuszczałam jeszcze czasem do siebie fantazję, w której mój syn ogląda stare zdjęcia i seryjnie zadaje pytania: *Gdzie to jest? Co to jest? Byłaś w Afryce?* Super! Jednak zachwyty Siobhan okrutnie mijały się z prawdą. Kevin tylko raz zajął się moimi zdjęciami - za pomocą nafty.

Po drugiej serii antybiotyków zapalenie gruczołów ustąpiło. Zrezygnowana, że dziecko już na dobre odstawi się od piersi, pozwoliłam by skłębły i wyschły. Siobhan przejęła

część moich domowych obowiązków, a ja mogłam zająć się przewodnikiem, który ostatnio zaniedbałam. Jakąż ulgą była możliwość porządnego ubioru, żwawych, energicznych ruchów, mówienia w dorosłych tonach, ustalania, co kto ma robić i obserwowania, czy wykonuje moje polecenia. Gdy nabierałam nowej ochoty do tego, co wcześniej stało się zwykłą codziennością, skarciłam się też za to, że do tego małego worka chaosu próbowałam wrzucić również takie motywy, jak wbicie klina pomiędzy nas. Źle się z tym czułam. Przystosowanie się do nowego życia było trudniejsze niż przypuszczałam. Odzyskując nieco dawnej energii, z przyjemnością zauważyłam, że powoli wracam do poprzedniej figury. Doszłam do wniosku, że najgorsze już mam za sobą i pomyślałam, że gdy któraś z moich przyjaciółek będzie w ciąży z pierwszym dzieckiem, doskonale będę ją rozumiała.

Często po powrocie do domu zapraszałam Siobhan na filiżankę kawy, ale przyjemność sprawiała mi nie tyle konwersacja z kobietą o połowę młodszą ode mnie, co po prostu możliwość ciekawej rozmowy z kimkolwiek. Zwierzałam się jej, ponieważ nie robiłam tego przed moim mężem.

- Bardzo musiałaś pragnąć Kevina - powiedziała pewnego razu Siobhan. - Zwiedzanie ciekawych miejsc, spotkania ze wspaniałymi ludźmi; i jeszcze ci za to płacili! Nie mogę sobie wyobrazić zrezygnowania z czegoś takiego.

- Nie zrezygnowałam - sprostowałam. - Mniej więcej po roku zamierzam wrócić do pracy.

- Czy Franklin spodziewa się tego?

- Właśnie tego powinien się spodziewać.

- Ale kiedyś wspominał - nie bardzo wiedziała, jak to wyznać - że już nie masz zamiaru wrócić, że już skończyłaś.

- Przez chwilę czułam się wypalona. Brakowało mi czystej bielizny, wkurzały mnie strajki francuskich kolejarzy. Być może źle to zinterpretował.

- Aha, rozumiem - powiedziała zasmucona. Wątpię, by starała się stwarzać jakieś problemy, choć pewnie spodziewała się, że mogą lada chwila nadejść. - Pewnie będzie czuł się samotny, gdy nie będzie cię w domu. A gdy już wrócisz do swoich podróży, Kevin będzie sam musiał zająć się sobą, gdy ja też będę nieobecna. Ale przecież w Ameryce czasami tatuś zostaje w domu, a mamusia idzie do pracy?

- Są Amerykanie i Amerykanie. Franklin na pewno nie jest taki.

- Ale przecież prowadzisz całą firmę. Mogłabyś sobie pozwolić...

- Tylko w kwestiach finansowych. Wystarczająco ciężko jest, gdy żona jest przedstawiana na łamach magazynu „Fortune”, a on jedynie załatwił komuś reklamę na

okładce.

- Franklin mówił, że byłeś w podróży przez pięć miesięcy w roku.

- Oczywiście - powiedziałam ciężko - będę musiała to ograniczyć. Wiesz, Kevin to dość skomplikowana osobowość. Jest... niełatwym dzieckiem. Czasami maluchy z tego wyrastają.

- Czasami nie - stwierdziła ryzykownie.

Uważałeś, że Siobhan jest bardzo związana z naszym synem, ja jednak odbierałam to jako lojalność w stosunku do nas. Rzadko mówiła o Kevinie inaczej, niż w typowo logistycznych kategoriach. Nowe butelki zostały wysterylizowane, zapas pieluszek jednorazowych kończył się. W ustach tej uczuciowej dziewczyny takie słowa brzmiały nienaturalnie. Choć jeden raz zaobserwowała:

- Ma takie lśniące oczy, tak! - śmiała się nerwowo. - Takie intensywne.

- Tak, są przerażające, nieprawdaż? - dodałam tak neutralnie, jak tylko umiałam.

Ale podziwiała nas oboje. Była oczarowana wolnością naszego związku i samozatrudnienia. Mimo ewangelicznego romansu z „wartościami rodzinnymi”, była zażenowana tym, że z pełną świadomością chcemy popsuć tę ekscytującą wolność, wiążąc sobie kulę u nogi w postaci małego dziecka. A może daliśmy jej jakąś nadzieję na przyszłość. Byliśmy w średnim wieku, a jednak słuchaliśmy The Cars i Joe Jacksona. Jeśli nie zaakceptowała przekleństw, to wciąż mogła znaleźć dość otuchy w tym, że dobiegająca czterdziestki kobieta jest w stanie określić podręcznik o wychowywaniu dzieci jako wyjątkowy stek bzdur. W zamian płaciliśmy jej godziwe pieniądze i zaakceptowaliśmy jej religijne zobowiązania. Wręczyłam jej niespodziewany prezent - jedwabny szal z Tajlandii, którym zachwycała się tak bardzo, że aż poczułam się nieco zawstydzona. Uważała Cię za rozbrajająco przystojnego, podziwiała Twą solidną budowę i bujne, jasne włosy. Zastanawiałam się nawet, czy trochę nie podkochiwała się w Tobie.

Mając wiele powodów, by twierdzić, że Siobhan jest zadowolona z pracy u nas, z dużym zdziwieniem zauważyłam, że z czasem zaczęła wyglądać na coraz bardziej wychudzoną. Wiem, że Irlandczycy brzydko się starzeją, ale ona była jeszcze zbyt młoda na to, by jej czoło przecinały szerokie bruzdy. Mogła być zdenerwowana, gdy wracałam z biura i narzekałam, że znów kończy się jedzenie dla dziecka.

- Wiesz, że nie wszystko trafia do jego ust - szybko się usprawiedliwiała i roniła kilka łez, jednak nie wyjaśniała nic więcej.

Coraz rzadziej dawała się namówić na filiżankę kawy, jakby jak najszybciej chciała

wybiec z naszego mieszkania. Byłam zaskoczona jej reakcją, gdy zaproponowałam, by się do nas wprowadziła. Pamiętasz, gdy zaproponowałam, byśmy zabudowali ten narożnik i zrobili tam oddzielną łazienkę? Chciałam, by miała lepsze mieszkanie niż to, które dzieliła w East Village z rozwiążą, niestroniącą od alkoholu, bezbożną kelnerką, za którą, szczerze mówiąc, nie przepadała. Nawet nie zamierzałam jej obniżyć pensji, by mogła sobie zaoszczędzić to, co wydawała na czynsz. Ku mojemu zdziwieniu odrzuciła tę propozycję. Starła się usprawiedliwić, mówiąc, że nie może tak po prostu zerwać umowy najmu w tej ruderze na Alei C. Brzmiało to jak jedna wielka bzdura.

Później zaczęła wykręcać się chorobą. Początkowo raz lub dwa razy w miesiącu. W końcu jednak co najmniej raz w tygodniu dzwoniła i mówiła, że boli ją gardło lub brzuch. Wyglądała jak jedno wielkie nieszczęście; na pewno nie odżywiła się zbyt dobrze, była bardzo wątpa, a ze swą bladą, irlandzką cerą wyglądała jak wyjęta z grobu. Nie byłam pewna, czy mogę zarzucić jej symulowanie. Niepewnie zapytałam, czy może ma jakieś problemy z chłopakiem lub czy coś złego dzieje się z jej rodziną w Carickfergus, albo czy po prostu tęskni za Irlandią Północną.

- Tęsknię za Irlandią Północną - powtórzyła, krzywiąc się. - Tu mnie masz.

W tym momencie zwróciłam uwagę na to, że od dawna nie było jej do śmiechu.

Jej niespodziewane wakacje dla mnie oznaczały duży niepokój, bo zgodnie z Twoją logiką, przeciwstawiającą niepewną pracę wolnego strzelca ogromnej stabilności posady szefa firmy, to właśnie ja miałam być osobą, która zostanie w domu z dzieckiem. Nie tylko musiałabym całkowicie zmienić plan służbowych spotkań lub prowadzić je przez telefon, ale cały dodatkowy dzień miałam spędzać z naszym małym skarbem, co skutecznie zaburzało moje niepewne poczucie równowagi. Dawno nie byłam otoczona bezlitosnym cierpieniem, wynikającym z istnienia Kevina. Czulałam się, jak to nazwała nasza niania, *psychiczna*. Przez ten nieznośny dodatek ponadplanowego dnia po raz pierwszy ja i Siobhan w milczeniu zrozumiałyśmy się wzajemnie.

Oczywiście dzieci Boga mają słać jego chwałę i łaskę bez narzekania, a niezwykła wyrozumiałość Siobhan mogła wynikać jedynie z katechizmu. Żadna ilość pochlebstw nie wydobylaby z niej informacji, co pchało ją do tego, by w każdy piątek stawiała się przy dziecku. A gdy tylko widziałam, że mogę sobie na to pozwolić, żaliłam się.

- Nie żałuję moich podróży - powiedziałam pewnego wieczoru, gdy już szykowałam się do wyjścia. - Ale szkoda, że tak późno poznałam Franklina. Cztery lata we dwójkę to za mało, by się sobą zmęczyć! Chyba lepiej, gdy pozna się swego partnera w wieku dwudziestu kilku lat, wtedy można dłużej żyć ze sobą bez dzieci, można się też trochę znudzić. Wtedy, w

okolicach trzydziestki, nadchodzi czas na zmianę i dziecko jest dobrym rozwiązaniem.

Siobhan popatrzyła na mnie ostro i mimo że oczekiwałam nagany, to zauważyłam tylko lekki niepokój.

- Oczywiście nie masz na myśli tego, że Kevin nie jest mile widziany.

Wiedziałam, że ten moment dopuszczał pospieszne tłumaczenia, ale nie potrafiłam ich z siebie wydobyć. To zdarzało się sporadycznie w kolejnych latach: byłam w stanie powiedzieć to, czego ode mnie oczekiwano, tydzień po tygodniu, bez zająknięcia, dopóki nagle nie uderzyłam w ścianę. Mogłam otworzyć usta, ale słowa: *To naprawdę piękny rysunek, Kevinie;* lub *Jeśli wyrwiemy kwiatki z ogródka to umrą, a przecież nie chcesz, żeby umarły, prawda?;* lub *Panie Cortland, jesteśmy strasznie dumni z naszego syna* - nie były w stanie przejść przez moje gardło.

- Siobhan - powiedziałam niechętnie - jestem trochę rozczarowana.

- Evo, wiem, że słabo się spisywałam...

- Nie tobą - pomyślałam, że doskonale wiedziała, o co mi chodzi, a tylko celowo udała, że nie rozumiała. Nie powinnam obciążać jej moimi sekretami, ale czułam dziwną potrzebę. - Ten ciągły płacz i beznadziejne, plastikowe zabawki... Nie wiem do końca, czego się spodziewałam, ale na pewno nie było to coś takiego.

- Pewnie, że możesz mieć jakieś poporodowe...

- Jakkolwiek to nazwać, to nie czuję się szczęśliwa. I Kevin też nie wygląda na zadowolonego.

- Przecież to dziecko!

- Ma ponad półtora roku. Wiesz, jak ludzie zawsze cmokają, to taki szczęśliwy malec! Cóż, w tym przypadku są też nieszczęśliwe dzieci. I cokolwiek bym robiła, nawet w najmniejszym stopniu się to nie zmienia.

Bawiła się bezmyślnie swoją torbą, wkładając do niej z nadmierną uwagą różne rzeczy. Zawsze przynosiła ze sobą książkę, by czytać w trakcie drzemki Kevina i w końcu zauważyłam, że ciągle przynosi tę samą. Zgadywałam, że była to Biblia, ale był to tylko taki mały test - książka była cienka i miała zniszczoną okładkę - bo sama mówiła, że jest wielką miłośniczką czytania.

- Siobhan, nie radzę sobie z dziećmi. Nigdy nie miałam dobrego kontaktu z maluchami, ale miałam nadzieję... że macierzyństwo uwolni inną stronę mojej osobowości - napotkałam na jedno z tych jej świdrujących spojrzeń. - Ale tak się nie stało.

- Rozmawiałaś kiedykolwiek z Franklinem na temat twoich uczuć?

Zaśmiałam się krótko.

- Wtedy musielibyśmy coś wymyślić. Ale co?

- Nie wiesz, że pierwsze kilka lat jest dość trudne? A potem jest już łatwiej?

Oblizalam wargi.

- Wiem, że to nie zabrzmi zbyt miło, ale wciąż oczekuję na jakąś emocjonalną zapłatę.

- Ale tylko dając, możesz oczekiwać czegoś w zamian.

Zawstydziła mnie, lecz wtedy nie zastanawiałam się nad tym.

- Daję mu każdy mój weekend, każdy mój wieczór. Dałam mu nawet mojego męża, który nie chce rozmawiać o niczym innym, jak tylko o dziecku i nie ma ochoty wspólnie robić nic innego, poza rodzinnymi spacerami po promenadzie parku Bartery. W zamian Kevin patrzy się na mnie okrutnym wzrokiem i nie może znieść, że noszę go na rękach. Zresztą niewiele jest rzeczy, które mu nie przeszkadzają.

Taka przemowa sprawiła, że Siobhan stała się rozdrażniona - to była czysta herezja. Ale coś w niej się łamało i nie potrafiła zachować już takiego radosnego nastawienia. Zamiast przewidywania, jakie to cudowne rzeczy czekają mnie, gdy chłopiec nieco podrośnie, powiedziała ponuro:

- No, wiem, co masz na myśli.

- Powiedz mi, czy Kevin... reaguje na ciebie?

- *Reaguje?* - jej zdziwienie było czymś nowym. - Ty mogłabyś to powiedzieć.

- Gdy jesteś z nim w ciągu dnia, czy się śmieje? Gaworzy? *Śpi?* - zdałam sobie sprawę, że przez wiele miesięcy nie zadawałam jej takich pytań, a teraz chciałam wykorzystać chwilę szczerości.

- Ciągnie mnie za włosy - powiedziała cicho.

- Ale wszystkie dzieci tak robią. Nie wiedzą...

- Ciągnie mnie bardzo mocno. Jest wystarczająco duży, by zdawać sobie sprawę z tego, że to boli. Evo, ten piękny szal z Bangkoku jest w strzępach.

*Bęc! Bęc!* Kevin się obudził. Walił grzechotką w metalowy ksylofon, który przyniosłeś do domu i w najmniejszym stopniu nie wykazywał zdolności muzycznych.

- Gdy jest sam ze mną - starałam się przekrzyczeć ten hałas - Franklin nazywa to pobudzeniem...

- Wyrzuca wszystkie zabawki z kojca i wydziera się, dopóki nie znajdą się w nim z powrotem. Potem znowu je wyrzuca, wrzeszczy i tak w kółko.

*P-p-plang-k-bang-CZANG! PLANK! P-P-P-plankpankplankplank!* Dźwięk był przeraźliwy i domyśliłam się, że Kevin kopał instrument poprzez lukę pomiędzy szczebelkami łóżeczka.

- To może doprowadzić do szału - Siobhan traciła nadzieję. - To samo robi, siedząc na krześle. Rozrzuca Cheerios, owsiankę, ciasteczka... Wszystko wywala na podłogę. Nie mam pojęcia skąd czerpie tyle energii!

- Chyba masz na myśli - dotknęłam jej ręki - że nie wiesz, skąd ty bierzesz tyle siły!

*Mlaaa... Muuaaaaa... Mmmmmuuuuuuuuuuuuuuuuuu... Kevin zaczął buczeć jak kosiarka do trawy. Siobhan i ja spojrzaliśmy sobie w oczy. Muua-eee! EEEeee! EEEEEEEEE! EEEaaEEEEEEI* Żadna z nas nie podniosła się z krzesła.

- Oczywiście - powiedziała Siobhan z nadzieją w głosie. - Pewnie jest zupełnie inaczej, gdy wiesz, że to twoje dziecko.

- Tak - odparłam. - Całkiem inaczej.

*EEaaEEEEEEaaEEEE! EEaaEEEEEEaaEEEE! EEaaEEEEEEaaEEEE!*

- Kiedyś chciałam mieć dużą rodzinę - stwierdziła, odwracając głowę. - Teraz już nie jestem tego pewna.

- Na twoim miejscu - odparłam - przemyślałabym to dwa razy.

Kevin w całości wypełnił ciszę znajdującą się za nami, a ja walczyłam z narastającym uczuciem paniki. Musiałam coś z siebie wydusić, by uprzedzić to, co miało nastąpić, ale nie wiedziałam, jak to powiedzieć, by uniknąć dalszego usprawiedliwiania się.

- Evo - zaczęła Siobhan. - Jestem kompletnie wykończona. Myślę, że Kevin mnie nie lubi. Modliłam się aż do bólu: o cierpliwość, o miłość, o siłę. Myślałam, że Bóg poddaje mnie próbie...

- Gdy Jezus mówił *Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie, nie przeszkadzajcie im* - powiedziałam sucho - na pewno nie miał na myśli niańczenia.

- Nie chcę myśleć, że Go zawiodłam! Albo ciebie! Powiedz, czy jest jakaś szansa? Czy mogę jakoś przydać się w *Wing and a Prayer*? Te przewodniki, mówiłaś, że dużą część pracy wykonują studenci. Proszę, proszę, wyślij mnie do Europy albo do Azji. Będę się starała ze wszystkich sił. Obiecuję!

- To znaczy, że chcesz odejść - podsumowałam.

- Ty i Franklin byliście dla mnie wspaniali, pewnie myślisz teraz, że jestem strasznie niewdzięczna. I tak przecież po przeprowadzce na przedmieścia będziecie musieli poszukać innej niani. Ja bardzo przywiązałam się do centrum Nowego Jorku.

- Ja też! Kto mówi, że się gdzieś przenosimy?

- Franklin oczywiście.

- Nie przeprowadzamy się na żadne peryferie - powiedziałam spokojnie. Siobhan wzruszyła ramionami. Podjęła już decyzję, więc nasze nieporozumienia nie były więcej jej

problemem. - Chcesz zarabiać więcej? - zaoferowałam patetycznie. Mój dłuższy pobyt w tym kraju zaczął zbierać swoje żniwo.

- Płacisz mi wystarczająco. Po prostu nie jestem w stanie dłużej tego robić. Codziennie, gdy wstaję rano...

Wiedziałam dokładnie, co czuła, wstając z łóżka. I nie mogłam dłużej jej tego robić. Myślę, że jestem złą matką, Ty zresztą też tak zawsze sądziłeś. Ale w głębi mojej duszy czaiły się jakieś macierzyńskie uczucia. Siobhan była u kresu wytrzymałości. I choć było to sprzeczne z naszymi interesami, jej ziemskie zbawienie leżało w moim zasięgu.

- Aktualizujemy *NETHERWAP*, nasz przewodnik po Holandii - powiedziałam pośpiesznie. Miałam okropne przeczucie, że jej rezygnacja będzie miała skutek natychmiastowy.

- Podobałoby ci się to? Ocenianie schronisk młodzieżowych i hoteli w Amsterdamie? Rijsttafels są przepyszne.

Siobhan zapomniała się i rzuciła mi się na szyję.

- Może spróbuję jeszcze go uspokoić - zaoferowała się. - Może jego pieluszka...

- Wątpię, to zbyt racjonalne. Odpuść już dzisiaj. I ciesz się wolnym tygodniem. Jesteś wykończona - starałam się ją ugłaskać, by została z nami, dopóki nie znajdziemy kogoś na jej miejsce. Marna szansa.

- Jeszcze jedno - przypomniała sobie Siobhan, wkładając do torebki moją notatkę na temat *NETHERWAP-a*. - Maluchy się różnie rozwijają, ale Kevin chyba powinien już mówić. Przynajmniej kilka słów. Może powinnaś porozmawiać z lekarzem. Albo więcej mówić do Kevina.

Obiecałam, że się tym zajmę, a później odprowadziłam ją do windy, rzucając po drodze przelotne spojrzenie w stronę kołyski.

- Wiesz, to zupełnie inaczej, gdy jest to twoje dziecko. Nie możesz tak po prostu pójść do domu - w rzeczywistości moja ochota do ucieczki była ogromna, a najmocniej ujawniała się wtedy, gdy właśnie byłam u siebie.

Wymieniłyśmy uśmiechy i Siobhan pomachała mi spoza bramy. Obserwowałam przez okno, jak idzie wzdłuż Hudson Street, jak najdalej od naszego mieszkania i *małego Kevina*, tak szybko, na ile pozwalały jej nogi.

Wróciłam do domu i spojrzałam wprost na jego pokręconą wściekłość. Nie zamierzałam brać go na ręce. Nikt nie mógł mnie teraz do tego nakłonić, poza tym i tak nie miałam na to ochoty. Wbrew sugestii Siobhan nie sprawdziłam jego pieluchy i nie podgrzałam mleka w butelce. Pozwoliłam, by płakał i płakał. Oparłam łokcie na brzegach łóżeczka, a brodę położyłam na moich złączonych palcach. Kevin opierał się na wszystkich



kończynach, przyjmując jedną z pozycji zalecanych przy porodzie podczas zajęć w New School: pierwszorzędny wysilek. Większość szkrabów płacze z zamkniętymi oczami, jednak powieki Kevina były szeroko otwarte. Gdy nasze spojrzenia spotkały się, poczułam w końcu jakieś porozumienie. Jego źrenice wciąż były prawie czarne i mogłam zobaczyć w nich obraz mówiący, żeby *matka* nie podniecała się zbyt perspektywą, że cokolwiek ulegnie poprawie.

- Siobhan uważa, że powinnam z tobą częściej rozmawiać - powiedziałam szelmowsko, przebijając się przez hałas. - Kto inny będzie się tobą zajmował po tym, jak wyrzesczałeś ją za drzwi? W czym tkwi twój problem, ty mały gówniarzu? Jesteś dumny z tego, że niszczysz życie swojej matce? - uważnie posługiwałam się ciekawym głosem, jaki zalecają wszyscy eksperci. - Tatusia umiesz oszukać, ale mamusia doskonale wie, jaki z ciebie numer. Jesteś małym śmieciem, prawda?

Kevin podniósł się i stanął, nie przerywając przy tym swojego zawodzenia. Trzymając się poręczy, wydzierał się prosto na mnie, z odległości kilkunastu centymetrów, tak głośno, aż rozboleły mnie uszy. Jego pomarszczona buzia przypominała twarz starca, na której wypisane było wyraźnie „zaraz-cię-dopadnę” z szaleńczym przekonaniem kogoś, kto właśnie rozpoczął kopanie tunelu za pomocą pilnika do paznokci. Moja odległość od niego była ryzykowna, tak jak w zoo, gdy nieuważny zwiedzający podejdzie zbyt blisko klatki. Siobhan nie żartowała w kwestii ciągnięcia za włosy.

- Mamusia była szczęśliwa, zanim pojawił się mały Kevin, wiesz, prawda? A teraz mamusia codziennie budzi się i marzy o tym, by być we Francji. Życie mamusi jest teraz do dupy, czyż nie? Wiesz, że czasem mamusia wolałaby być martwa? Zamiast słuchać twojego ciągłego wrzasku jeszcze przez minutę, wolałaby wdrapać się na most Brooklyński i skoczyć...

Odwrociłam się i zbladłam. Nigdy jeszcze nie widziałam tak lodowatego wyrazu na Twojej twarzy.

- Rozumieją to, co słyszą, na długo przed tym, zanim same nauczą się mówić - powiedziałaś, przepychając się obok mnie, by wziąć go na ręce. - Nie wiem, jak możesz tak stać i patrzeć, jak nasze dziecko płacze.

- Franklin, spokojnie, ja tylko żartowałam - rzuciłam ukradkowe spojrzenie w stronę Kevina. Tylko dzięki jego okropnym, kocim wrzaskom nie usłyszałam windy. - Odreagowuję nieco. Siobhan się zwołniała. Słyszysz? Siobhan odeszła.

- Tak, słyszałam cię. To niedobrze. Będziemy musieli znaleźć kogoś innego.

- Okazało się, że traktowała tę pracę jako współczesną wersję Księgi Hioba - czekaj,

przewinę go.

Wyrwałeś mi dziecko.

- Trzymaj się od niego z daleka, dopóki nie zmądrzejesz. Albo skoczysz z mostu.

Cokolwiek będzie pierwsze.

Podążyłam za Tobą.

- Słuchaj, o co chodzi z tą przewodzątką na przedmieścia? Kiedy ci to przyszło do głowy?

- Odkąd, cytuję: *to małe gówno stało się ruchome*. Winda to śmiertelna pułapka.

- Będziemy zamykali kratę!

- On potrzebuje ogródka - z namaszczeniem wrzuciłeś mokrą pieluszkę do kubła. - Będziemy mogli pograć w baseball, zbudować basen.

Dopało mnie straszne olśnienie, że właśnie przerabialiśmy temat Twojego dzieciństwa, wyidealizowany obraz, który mógł okazać się, tak jak Twoje baśniowe Stany Zjednoczone, jedną wielką udręką. Nie było na świecie rzeczy bardziej skazanej na porażkę, niż walka z wyobraźnią.

- Ale ja kocham Nowy Jork! - zabrzmiało to jak tekst z naklejki na samochód.

- Jest brudny i wszędzie panoszą się zarazki, a przecież układ odpornościowy dziecka w pełni rozwija się dopiero w wieku siedmiu lat. I przy okazji możemy przenieść się do dzielnicy z jakąś dobrą szkołą.

- To miasto ma przecież najlepsze prywatne szkoły w kraju.

- Nowojorskie szkoły są dla snobów i osób bezwzględnych. Dzieciaki w tym mieście zaczynają się martwić, że w wieku sześciu lat będą szły na Harvard.

- A co powiesz na ten drobny szczegół, że twoja żona nie ma ochoty wyprowadzać się z tego miasta?

- Miałaś dwadzieścia lat na to, by robić, co chcesz. Ja tak samo. Poza tym marudziłaś, że chciałybyś wydać nasze pieniądze na coś wartościowego. Teraz masz okazję. Powinniśmy kupić dom. Z ogródkiem i huśtawką zrobioną z opony.

- Moja matka nie podjęła ani jednej decyzji, kierując się moim dobrem.

- Twoja matka na czterdzieści lat zamknęła się w odosobnieniu. Jest obłąkana. Trudno ją stawiać za wzór rodzica.

- Chodzi mi o to, że gdy byłam dzieckiem, to rodzice podejmowali decyzje. Teraz jestem rodzicem, a najwięcej do powiedzenia ma dziecko. Ciągłe tylko wypełniamy polecenia. Nie mogę w to uwierzyć - opadłam na kanapę. - Ja chcę lecieć do Afryki, a ty chcesz jechać do *New Jersey*.

- Co z tą Afryką? Czemu o niej wspominasz?

- Zamierzamy wydać przewodnik *AFRIWAP. The Lonely Planet* i *The Rough Guide* depczą nam po piętach na europejskim rynku.

- A jaki związek z tobą ma akurat to wydanie?

- Kontynent jest wielki. Ktoś musi zebrać wstępne dane o krajach.

- *Ktoś inny niż ty*. Dalej nie rozumiesz? Może myliłaś się, myśląc o macierzyństwie jak o „innym kraju”. Tu nie ma zagranicznych wakacji. To poważna...

- *Przecież mówimy o życiu ludzi*.

Nawet się nie uśmiechnęłaś.

- Jak byś się czuła, gdyby Kevin stracił rękę, wkładając ją do szybu windy? Gdyby złapał astmę z powodu tego całego syfu unoszącego się w powietrzu? Gdyby jakiś szurnięty porywacz wyrwał go z wózka?

- Prawda jest taka, że chcesz mieć nowy dom - zaatakowałam Cię. - *Ty* chcesz mieć ogródek. Ty masz tę popieprzoną wizję Tatusiostwa, jaką przedstawia Norman Rockwell, i to ty marzysz o roli trenera drużyny, występującej w podwórkowej lidze niedzielnej.

- Masz rację - popatrzyłeś z triumfem na stół do przewijania, na Kevina leżącego w świeżutkim pampersie. - Ale nas jest dwóch, a ty jedna.

I z tą proporcją miałam mierzyć się jeszcze wiele razy.

*Eva*

25 grudnia 2000

*Drogi Franklinie,*

Zgodziłam się spędzić święta Bożego Narodzenia z moją matką, dlatego piszę ten list z Racine. Giles, gdy tylko się dowiedział, że przyjadę, w ostatniej chwili zmienił swoje plany i wraz z rodziną postanowił spędzić święta u teściów. Mogłam poczuć się urażona, bo tęskniłam za bratem, choćby dlatego, że często razem żartowaliśmy z naszej matki. Teraz jednak, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, była już tak słabowita, że nasze protekcyjne podejście byłoby nie w porządku. Poza tym byłam w stanie zrozumieć Gilesa. Przy nim, przy jego dzieciach nigdy nie wspominałam o Kevinie, o moim procesie sądowym, nawet o Tobie. Ale podczas pogodnej rozmowy o śniegu lub orzeszkach sosnowych, które miały być dodatkiem do gołąbków, wciąż byłam uosobieniem tragedii, która mimo szczelnie zamkniętych drzwi i okien w domu mojej matki, bez problemu mogła przedostać się do wnętrza.

Giles miał mi za złe, że dodałam sobie łątkę rodzinnej postaci tragicznej. On nigdy nie wyruszył dalej niż do Milwaukee, a przecież dziecko pod ręką jest zawsze czymś powszednim, ja tymczasem przez lata robiłam wszystko, by znaleźć się jak najdalej od Racine. I tak jak firma De Beers ograniczała wydobycie diamentów, tak i ja byłam trudno dostępna, co z punktu widzenia Gilesa było jedynie podstępem, dzięki któremu miałam stać się bardziej wartościowa. Teraz pojawiałam się jeszcze rzadziej, wykorzystując przy tym mojego syna, by wzbudzać współczucie. Jako ktoś, kto całe życie nie wychylał głowy przez okno i nie widział świata, pracując w browarze Budweisera, z niechęcią i trwogą odnosi się do ludzi, o których pisano w gazetach. Wciąż staram się znaleźć jakiś sposób, by wyjaśnić mu, że jest to ten rodzaj taniej, ulotnej sławy, którą każdy przeciętny rodzic jest w stanie zdobyć w ciągu minuty, czyli mniej więcej w czasie, w którym automatyczna strzelba może wystrzelić sto pocisków. Wcale nie czuję się z tym jak ktoś wyjątkowy.

Wiesz, że w domu mojej matki panuje specyficzny zaduch, który ja zaliczałam do smrodu. Pamiętasz, jak upierałam się, że brakowało tam powietrza? Matka bardzo rzadko otwierała drzwi, prawie wcale nie wietrzyła domu, a ja byłam przekonana, że bóle głowy, które odczuwałam zawsze tuż po przyjeździe, były spowodowane najzwyklejszym zatruciem dwutlenkiem węgla. Teraz jednak ta znajoma, trwała mieszanka zleżałego baraniego tłuszczu, kurzu i pleśni, wzmocniona leczniczym smrodem jej kolorowych mikstur, w pewnym stopniu mnie uspokoiła.

Przez lata skreślałam matkę jako osobę nierozumiejącą mojego życia, jednak po *Czwartku* zdałam sobie sprawę, że ja nigdy nie starałam się zrozumieć jej. Bardzo długo byliśmy od siebie oddalone, nie dlatego, że miała lęk przestrzeni, ale dlatego, że ja byłam odległa i bezlitosna. Potrzeba bycia lepszym (teraz jestem lepsza) sprawiła, że rozumiałyśmy się zadziwiająco dobrze. Podczas podróży musiałam sprawiać wrażenie zarozumiałej i patrzącej z wyższością, a nowe pragnienie bezpieczeństwa odbudowało mój status dobrego dziecka. Dzięki temu zrozumiałam - każdy świat jest z definicji zamknięty w sobie i dla swych mieszkańców - że geografia to pojęcie względne. Dla mojej nieustraszonej matki salon mógł być Europą Wschodnią, a moja stara sypialnia Kamerunem.

Oczywiście Internet był najlepszą i najgorszą rzeczą, jaka mogła się jej przytrafić. Teraz dzięki temu może zamówić w sieci wszystko, od rajstop leczących żyłki począwszy, na liściach winogron skończywszy. W konsekwencji mnogość spraw, które mogłam jej załatwić, gdy tylko pojawiałam się w domu, wyparowała, a ja poczułam się trochę bezużyteczna. Chyba dobrze się stało, że technologia zapewniła jej niezależność - jeśli tak to można nazwać.

Matka, tak przy okazji, wcale nie unika rozmów o Kevinie. Dziś rano, podczas otwierania prezentów leżących pod jej chudą choinką (oczywiście zakupioną przez Internet) zauważyła, że wnuczek bardzo rzadko był niegrzeczny w taki tradycyjny sposób, co zawsze dawało jej do myślenia. Wszystkie dzieci bywają nieznośne - mówiła. A mniej się człowiek martwi, jeśli robią to w zwykły sposób. Wspomniała też o naszej wizycie, gdy Kevin miał dziesięć lat - wystarczająco dorosły, by wiedzieć najlepiej, jak to określiła. Skończyła właśnie wtedy partię dwudziestu pięciu oryginalnych kart świątecznych, zamówionych przez jakiegoś bogatego dyrektora Johnson Wax. Byliśmy w kuchni, gdzie przygotowywaliśmy świąteczne ciasteczka z cukrem pudrem, a on w tym czasie systematycznie przerabiał te karty na papierowe płatki śniegu (powiedziałaś - twoja mantra - że „on tylko chciał pomóc”). *Temu chłopcu czegoś brakowało* - wyrecytowała moja matka w czasie przeszłym, tak jakby już nie było go wśród żywych. Starła się mnie pocieszyć, ale ja martwiłam się, że tym, czego brakowało Kevinowi, była matka taka jak moja.

Porównuję obecne kwitnące uczucia do rodzicielki z tym, co byłam w stanie wydusić przez telefon w tamten *czwartkowy* wieczór. Do kogo miałam się wtedy zwrócić, jeśli nie do niej? Prymitywizm tego związku uspokajał mnie. W całym moim życiu nie potrafię sobie przypomnieć sytuacji, by Kevin, po stłuczeniu kolana lub bójkę z kolegą, prosił mnie o pomoc. Z jej spokojnego, oficjalnego powitania: *Dzień dobry, mówi Sonya Khatchadourian* wywnioskowałam, że jeszcze nie widziała wieczornych wiadomości.

*Matko* - tylko tyle byłam w stanie wydusić, żałośnie, niczym uczeń. Powtarzając się, ciężki oddech musiał brzmieć jak odgłos silnika. Nagle poczułam instynkt opiekuńczy. Jeśli bała się wycieczki do Walgreens, to jak poradzi sobie z wiadomością o śmiercionośnym wnuczku? Na litość boską, myślałam, ma siedemdziesiąt sześć lat i kontakt z zewnętrznym światem utrzymuje tylko przez skrzynkę na listy. A po tym wydarzeniu już nawet nie wystawi głowy spod pościeli.

Ale Ormianie mają talent do radzenia sobie z przykrymi doświadczeniami. Wyobrażasz sobie, że nawet nie była tym *zdziwiona*? Była ponura, ale opanowana i w końcu, mimo zaawansowanego wieku, zachowała się jak prawdziwy rodzic. Mogłam na niej polegać, uspokajała mnie, pocieszała, zachowywała się w sposób, jaki dotychczas jedynie mogłam wyśmiewać. Wyglądało to tak, jakby wszelkie jej lęki nagle ustąpiły, jakby w pewnym stopniu odczuła ulgę, że jej uwięziona postać nie była bezpodstawną. Poza tym była już w takiej sytuacji, gdzie wszystkie tragedie świata przyływały do jej brzegu. Może nie opuszczała zbyt często swego domu, ale ze wszystkich członków naszej rodziny to właśnie ona najlepiej zdawała sobie sprawę, że ludzie z sąsiedztwa mogą w beztrudny sposób stworzyć zagrożenie dla tego, co dla nas jest najcenniejsze. Większość jej ogromnej rodziny została zamordowana, mąż został zestrzelony przez Japończyka niczym krążek. Kevin i jego dzieło zniszczenia doskonale wpisywało się w to wszystko. To zdarzenie coś w niej wyzwoliło. Nie tylko miłość, ale także odwagę, choć pewnie w wielu aspektach to są te same rzeczy. Świadoma tego, że policja prosiła mnie, bym nie oddalała się z miasta, musiałam odrzucić jej zaproszenie do Racine. W zamian moja odcięta od świata matka *zapropnowała, że przyleci do mnie*.

Krótko po tym, jak Siobhan opuściła pokład (nigdy już nie wróciła, a ja musiałam wysłać jej ostatni czek do Amsterdamu), Kevin przestał wrzeszczeć. Zaprzestał na dobre. Może wraz z odejściem niani uznał, że misja została zakończona. Może doszedł do wniosku, że ciągle wrzaski nie zawieszają wykonania wyroku dalszego życia w tym samym pokoju, więc takie bezsensowne marnowanie pokładów energii nie miało większego sensu. A może po prostu obmyślał kolejny podstęp, skoro matka uodporniła się na jego wrzaski w taki sposób, w jaki można przyzwyczaić się do uszkodzonego alarmu samochodowego.

Prawie nie narzekałam, ale cisza, która roztaczała się w naszym mieszkaniu, zaczynała być uciążliwa. Po pierwsze, było tu tak zupełnie cicho - nikt nic nie mówił, nie gaworzył, nie kwilił, nie było płaczu ani dziecięcego postękiwania. Po drugie, ta cisza była obojętna, bezwładna, ciężka. Mimo że umiał już chodzić - czego, jak i wszystkich kolejnych

umiejętności, nauczył się samodzielnie - nie buszował po całym mieszkaniu, a pojawiał się dokładnie tam, gdzie zamierzał. Godzinami potrafił siedzieć w kojcu lub na podłodze, a jego przygaszone oczy rozglądały się z wyraźnym zniechęceniem. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nie wrywał chociaż nitki z naszych ormiańskich dywanów i koców. Nawet gdy nie chciał wkładać kolorowych pierścieni na plastikowy patyk lub bawić się swoją aparaturą do wytwarzania hałasu, to obstawiałam go z każdej strony niezliczonymi zabawkami (nie było dnia, byś nie przywłókł czegoś nowego do domu), a on jedynie gapił się na nie, ewentualnie jakąś kopnął. Nie bawił się.

Na pewno bardzo dobrze pamiętasz ten okres, w którym kłóciliśmy się, czy przeprowadzać się na przedmieścia, czy może ja mam polecieć na długą wyprawę do Afryki. Jednak najlepiej pamiętam dni po odejściu kolejnej niani, kiedy to ciągle musiałam siedzieć w domu i o dziwo czas wcale nie mijał szybciej niż wtedy, gdy Kevin nieustannie wrzeszczał.

Przed macierzyństwem wyobrażałam sobie małe dziecko, które trzymałam na ręku. W myślach czułam się tak samo, jakbym posiadała miłego, przyjacielskiego pieska, jednak nasz syn dokładał wszelkich starań, by jego intensywna obecność była odczuwalna w dużo większym stopniu, niż obecność jakiegokolwiek zwierzaka. W każdym momencie miałam przejmującą świadomość tego, że on był w pobliżu. Jego niespotykany flegmatyzm sprawiał, że mogłam w większym stopniu skupić się nad poprawianiem przewodnika, jednak mimo to ciągle czułam się obserwowana. Stawałam się coraz bardziej znerwicowana. Pewnego razu potoczyłam piłkę do jego stóp i zachęciłam go, by potoczył ją z powrotem w moją stronę. Zadowolony, uczynił tak, jak chciałam. Znów popchnęłam piłkę, a on ją odbił do mnie. Ale gdy zabawka po raz kolejny dotarła do niego, patrząc na mnie obojętnym wzrokiem, zatrzymał ją między nogami. Franklinie, zaczęłam wtedy myśleć, że jest bardzo mądry. W minutę zorientował się w sensie zabawy: jeśli będziemy kontynuować, to piłka będzie poruszała się cały czas tym samym torem, więc nie ma sensu tego powtarzać. Nigdy więcej nie udało mi się zachęcić go do tej samej rozrywki.

Jego niezgłębiona jednostajność oraz małowówność, wykraczająca daleko poza podręcznikowe przewidywania co do pierwszych prób mówienia, skłoniły mnie do zasięgnięcia porady pediatry. Doktor Foulke uspokajał mnie, że „normalny” rozwój dziecka może czasami wiązać się z pewnymi specyficznymi opóźnieniami lub skokami, mimo to postanowił poddać naszego syna serii prostych testów. Wyraziłam obawę, że jego obojętność może być spowodowana problemami ze słuchem. Ilekroć wołałam go po imieniu, sposób, w jaki „w dogodnym dla siebie czasie” odwracał głowę, sprawiał, że nie miałam pewności, czy tak naprawdę słyszał mój głos. Okazało się, że słuch jest w porządku, a jedynie syn nie był

*zainteresowany* tym, co do niego mówiłam. Moja teoria o uszkodzeniu strun głosowych wściekłym, długotrwałym wrzaskiem także nie została medycznie udowodniona. Wyraziłam nawet obawę, że jego opóźnienie może wskazywać na wczesne objawy autyzmu, ale jego zachowanie nie wykazywało żadnych symptomów zamknięcia się we własnym świecie. Jeśli Kevin był gdzieś uwięziony, to w tym samym świecie, w którym żyłeś i Ty, i ja. W sumie najbardziej zapamiętałam z tej wizyty stwierdzenie doktora Foulke'a, że Kevin „jest takim zwiotczalym, małym chłopcem, nieprawdaż?”, co miało związek z pewnym fizycznym rozluźnieniem. Lekarz podnosił jego rękę, puszczał ją, a ta bezwładnie opadała, jak nitka ugotowanego makaronu.

Tak nalegałam, by Foulke przypiął naszemu synowi jakąś łątkę z dysfunkcją, by wybił mu na czole znamię jakiegoś amerykańskiego syndromu, że pediatra z pewnością myślał, iż jestem jedną z tych neurotycznych matek, które pragną wyróżnienia swego dziecka, ale którym w okresie zdegenerowania współczesnej cywilizacji unikalność mogły zapewnić jedynie niedorozwój lub inna niedoskonałość. I szczerze mówiąc, naprawdę chciałam, by Foulke coś znalazł w Kevinie. Pragnęłam, by nasz syn miał jakąś małą ułomność lub defekt, by w ten sposób mógł wzbudzić moją sympatię. Nie byłam wykuta z kamienia i gdy tylko widziałam małego chłopca z łaciatym policzkiem lub błoną pławną pomiędzy palcami, siedzącego przed naszym biurem, moje serce roztopiało się ze współczucia i zastanawiałam się, jakiego cierpienia musi doświadczać podczas wakacji. Chciałam przynajmniej współczuć Kevinowi, tak na dobry początek. Czy naprawdę pragnęłam, by między palcami miał błonę? Cóż, Franklinie, jeśli miałyby to coś zmienić, to tak.

Miał lekką niedowagę, w związku z czym nigdy nie był tak pulchny, jak większość dzieci w wieku dwóch, trzech lat, które są wtedy tak fotogeniczne, że nawet niezbyt atrakcyjne maluchy świetnie prezentują się na zdjęciach. Dla odmiany, jego twarz od najmłodszych lat miała ostre, szczerze rysy. Gdyby nic się nie stało, na pewno polubiłabym wpatrywanie się w jego fotografie i zastanawiałabym się nad tym, co poszło nie tak. W zamian fotki, które miałam (Ty zabrałeś prawie wszystkie), dokumentowały jedynie surową nieufność i niepokojące opanowanie. Ta wąska, oliwkowa twarz jest zawsze rozpoznawalna: głęboko osadzone oczy, zwyczajny, lekko zakrzywiony nos, wąskie usta, zaciśnięte w niezrozumiałej determinacji. Te fotografie są rozpoznawalne nie z powodu podobieństwa do zdjęcia klasowego, które ukazało się w każdej gazecie, ale także z powodu podobieństwa do mnie.

A chciałam, żeby Kevin był podobny do Ciebie. Jego cała sylwetka była oparta na trójkącie, podczas gdy Twoja opierała się na kwadracie. W ostrych kątach jest coś



przebiegłego i pełnego aluzji, a w liniach prostopadłych - pewna stabilność i zaufanie. Nie spodziewałam się, że po moim domu będzie biegał mały klon Franklina Plasketta, ale chciałam patrzeć na twarz syna z błyskiem radości w oku, spowodowanym jego podobieństwem do ojca. Nie marzyłam, by jego czoło było płaskie, co początkowo wyglądałoby uderzająco, jednak z wiekiem sprawiałoby wrażenie zapadniętego (powinnam wiedzieć). Byłam usatysfakcjonowana tym, że jego aparycja stała się wystarczająco amerykańska, ale miałam też nadzieję, że Twój krzepki, anglosaski optymizm ożywi niemrawą, pełną żalu krew mojego otomańskiego dziedzictwa, rozjaśniając jego ziemistą cerę naznaczoną siniakami, wyniesionymi z meczów futbolu amerykańskiego, nadając blasku jego czarnym włosom, niczym sztuczne ognie z okazji Dnia Niepodległości. Ponadto ukradkowość jego spojrzeń i tajemniczość milczenia chce skonfrontować mnie z miniaturową wersją mojego własnego fałszu. On obserwował mnie, a ja jego, a w tym pojedynku spojrzeń czułam się podwójnie skrepowana i fałszywa. I gdy odkryłam, że oblicze naszego syna jest zbyt przenikliwe i niezależne, taka sama maska mętności patrzyła na mnie z lustra, podczas mycia zębów.

Byłam przeciwna sadzaniu Kevina przed telewizorem. Nienawidziłam programów dziecięcych - animacja była zbyt szybka, programy edukacyjne miały, nieszczerze i protekcyjne. Ale on potrzebował jakichś bodźców. Dlatego pewnego popołudnia przestałam już bulgotać. *Czas na nasz soczek!* Włączyłam popołudniowe kreskówki.

- Nie lubię tego.

W pośpiechu zostawiłam fasolę, którą kroiliśmy na obiad, pewna, że to zdanie nie dobiegło z serialu „Drużyna A”. Pobiegłam do pokoju, przyciszyłam telewizor, pochyliłam się nad naszym synem i zapytałam:

- Co powiedziałeś?

Powtórzył w ten sam sposób:

- Nie lubię tego.

Z troską większą, niż kiedykolwiek byłam w stanie włożyć w ten związek, chwyciłam go za ramiona i zapytałam:

- Kevin? *A co lubisz?*

Było to pytanie, na które nie miał przygotowanej odpowiedzi. Zresztą do dziś, gdy ma już siedemnaście lat, wciąż nie jest w stanie powiedzieć, co lubi, co zresztą sprawia mu nie lada satysfakcję, choć i tak mniejszą od mojej. Wróciłam więc do pytania o to, *czego nie lubi*, czyli do tematu, który wkrótce miał okazać się nieskończenie pojemnym.

- Kochanie? Chcesz, żebym coś wyłączyła?

Machnął ręką w kierunku telewizora.

- Nie lubię tego. *Wyloncz* to.

Stałam i patrzyłam się na niego zdziwiona. Och, oczywiście zgasłam tę bajkę, myśląc: *Boże, mam syna, który ma całkiem niezły gust*. I tak jak małe dziecko, musiałam przeprowadzić eksperyment z moją interesującą zabawką, nacisnąć jej guziki i zobaczyć, co się zaświeci.

- Kevin, chcesz ciasteczko?

- Nienawidzę ciasteczek.

- Kevin, porozmawiasz z tatą, gdy wróci do domu?

- Jak mi się będzie chciało.

- Kevin, umiesz powiedzieć „mamusia”?

Nie potrafiłam się zdecydować, jak chciałabym być nazywana przez naszego syna. *Mamunia* brzmiało zbyt dziecinnie. *Mamusia* zbyt służalczo. *Mama* kojarzyła mi się z lalką na baterie. *Matula* było zbyt poważne, a *matka* zbyt oficjalne, jak na rok 1986. Teraz zastanawiam się, czy nie byłam nazywana żadnym z tych określeń właśnie dlatego, że mi się nie podobały, a może dlatego, że wtedy ciągle nie chciałam być jedną z nich. Nie miało to jednak znaczenia, bo odpowiedź na moje pytanie była łatwa do przewidzenia: - „Nie”.

Gdy wróciłam do domu, Kevin nie chciał już powtórzyć swojego rozmownego przedstawienia, ale ja opowiedziałam Ci wszystko, co do słowa. Byłeś niezwykle podekscytowany. „Całe zdania, tak po prostu! Czytałem, że dzieci, które wyglądają na opóźnione, mogą w rzeczywistości być bardzo zdolne. Są perfekcjonistami. Nie będą próbować, dopóki nie zyskają pewności, że zrobią to dobrze”.

Ja miałam konkurencyjną teorię: choć od dawna umiał mówić, doskonale się bawił, podsłuchując nieświadomych tego dorosłych - był szpiegiem. I mniejszą wagę przykładalam do jego gramatyki, niż do tego, co mówił. Wiem, że tego typu twierdzenia zawsze Cię denerwowały, ale czasami miałam wrażenie, że z naszej dwójki to ja bardziej interesowałam się Kevinem (w myślach widzę, jak dostajesz apopleksji). Myślę tu o ciekawości, jaki ten chłopiec był naprawdę, a nie o zainteresowaniu nim jako *Twoim synem*, z którego fantastycznym modelem, stworzonym w Twoich myślach, musiał nieustannie walczyć, a który był dla niego bardziej brutalną konkurencją niż Celia. Na przykład tego wieczoru zauważyłam:

- Od wieków czekam na to, by dowiedzieć się, co kryje się za tymi świdrującymi oczami.

- Wężę, ślimaki i psie ogony - zbyłeś mnie.

Widzisz? Kevin zawsze był (i wciąż jest) dla mnie tajemnicą. Ty za to masz w sobie tę chłopięcą beztroskę, która radośnie utwierdzała Cię w przekonaniu, że skoro byłeś na miejscu, to nic nie było tu do ukrycia. Najwyraźniej różniliśmy się w tak podstawowej kwestii, jaką była natura ludzkiego charakteru. Ty uważałeś dziecko za stworzenie niepełne, za prostszą formę egzystencji, która dopiero w przyszłości miała osiągnąć pełną dojrzałość. Ja jednak, od momentu, w którym mały Kevin Khatchadourian został ułożony na mojej piersi, wyczułam jego istnienie wraz z ogromnym, zmieniającym się życiem wewnętrznym, którego subtelność i intensywność na pewno nie miała zamiaru zmniejszać się wraz z upływem czasu. Co najważniejsze, wydawał się ukryty przede mną, podczas gdy Twoje doświadczenia wyraźnie wskazywały na jasny i szeroki dostęp.

W każdym razie od kilku tygodni w ciągu dnia rozmawiał ze mną, a gdy wracałeś do domu, zamykał się w sobie. Gdy tylko słyszeliśmy odgłos windy, Kevin posyłał mi pełne zrozumienia spojrzenie: teraz przestajemy rozmawiać. Czułam nawet nieprzyzwoite zadowolenie z wyłączności na dyskusje z moim synem. Dzięki temu wiedziałam, że Kevin *nie lubi* ryżowego puddingu, niezależnie od tego, czy był z cynamonem, czy bez, że *nie lubi* książek doktora Seussa i *nie lubi* wierszyków dla dzieci, które przynosiłam mu z biblioteki. Kevin używał bardzo wyspecjalizowanego słownictwa, a szczególnie uzdolniony był w zakresie słów na literę N.

Do głowy przychodzi mi tylko jedno, jedyne wspomnienie właściwego dzieciństwa z tamtego okresu. Jest ono związane z jego trzecimi urodzinami. Nalewałam sok do jego filizanki, a Ty mozolnie wstążkami obwiązywałeś prezenty, które i tak za kilka minut miałeś rozpakować. Przyniosłeś do domu trzy warstwowy tort z cukierni Vinierro, znajdującej się na Pierwszej Alei, który udekorowany był motywami baseballowymi z masy kremowej i z dumą postawiłeś go na stole tuż przed dziecięcym fotelikiem. Na dwie minuty spuściliśmy Kevina z oczu, a on w tym czasie doskonalił tę samą umiejętność, którą przejawiał już wcześniej tamtego tygodnia. Metodycznie wpychał wszystko do małej dziury, w której, jak myśleliśmy, jest ukryty jego ulubiony królik. Moją uwagę zwrócił suchy chichot, który mogłam jedynie scharakteryzować jako rozpoczynające się rzenie. Jego ręce przypominały dłonie gipsiarza. Sprawiał wrażenie zachwyconego.

Tak młody solenizant, który nie był jeszcze w stanie w pełni zrozumieć sensu urodzinowych uroczystości, tym bardziej nie miał powodu, by przyswoić sobie ideę *krojenia na plastry*. Śmiałeś się z tego, a po tym, ile się przy tym wszystkim napracowałeś, byłam zadowolona, że potrafiłeś obrócić to nieszczęście w komedię. Gdy wycierałam jego ręce wilgotną szmatką, mój śmiech zgasł. Technika, z jaką Kevin włożył ręce do środka tortu i

szeroko otworzył jego wnętrze jednym, chirurgicznym ruchem, przypominała mi sceny z filmów medycznych, kiedy to pacjent „stygnie”, a jeden z lekarzy krzyczy „kroimy go”. Coraz bardziej krwawe programy, pojawiające się w telewizji pod koniec tysiąclecia, nie zostawiały zbyt wiele miejsca wyobraźni: klatka piersiowa jest rozcinana elektryczną piłą do metalu, zebra odskakują na boki, po czym nasz przystojny chirurg zanurza się w czerwonym morzu. Kevin nie bawił się tortem. On po prostu wyrwał mu serce.

W końcu, oczywiście, doszliśmy do nieuniknionego kompromisu: ja pozwalałam Ci szukać dla nas nowego domu po drugiej stronie rzeki Hudson, a Ty zgodziłeś się na moją rozpoznawczą wyprawę do Afryki. Umowa nie była dla mnie zbyt korzystna, ale zdesperowani ludzie, w zamian za krótkotrwałą ulgę, godzą się na długotrwałe porażki. W ten oto sposób przehandlowałam moje ludzkie prawa za miskę zupy.

Nie mam na myśli tego, że żałuję mojego pobytu w Afryce, ale w szerszym kontekście nie był to odpowiedni czas na taką podróż. Macierzyństwo sprowadziło mnie do myślenia o najbardziej podstawowych rzeczach: jedzeniu i wydalaniu. A przecież, ogólnie rzecz biorąc, taka jest cała Afryka. Można oczywiście dojść do wniosku, że każdy kraj sprowadza się do tych rzeczy, jednak zawsze maskowałam ten fakt, podróżując do bardziej cywilizowanych miejsc, gdzie w łazienkach było różane mydło, a posiłek w najgorszym przypadku był doprawiony cykorią. Brian zalecał dzieci jako wyjątkowe antidotum na znużenie; mówił, że patrząc na świat ich oczami, ponownie docenimy to, czym byliśmy zmęczeni i wszystko będzie znów wyglądało świeżo i ekscytująco. Cóż, to lekarstwo na pewno wyglądało lepiej, niż operacja plastyczna lub recepta na valium. Z bólem muszę jednak przyznać, że ilekroć patrzyłam na świat oczami Kevina, to zawsze ten widok był niezwykle ponury i mroczny. Cały świat widziany z jego perspektywy wyglądał jak jedna wielka Afryka, ludzie łażący bez celu tu i tam, siedzący, a potem kładący się, by umrzeć.

Mimo tak wielkiej, wszechobecnej nędzy, nie byłam w stanie znaleźć firmy organizującej safari, która nie byłaby przeraźliwie droga. Większość podawała jako stawkę kilkaset dolarów za jeden dzień. W dodatku miejsca zakwaterowania były podzielone w ten sposób, że zupełnie nie spełniały wymogów moich klientów: albo luksusowe i bardzo drogie, albo obskurne, odrażająco brudne i bardzo tanie. Różnorodność restauracji włoskich i indyjskich na pewno była dużym plusem, ale za to miejscowe jadłodajnie serwowały głównie surowe kozie mięso. Transport był beznadziejny, pociągi miały skłonność do zatrzymywania się, gdzie popadnie, samoloty rozpadały się, piloci byli świeżo po szkole latania, kierowcy zachowywali się jak kamikadze, autobusy wypełnione były zdecydowanie ponad normę nieustannie gadającymi pasażerami i kurczakami, które bez przerwy trzepotały skrzydłami.

Wiem, że mówię teraz jak ktoś wyjątkowo wybredny. Byłam już kiedyś na tym kontynencie, gdy miałam dwadzieścia kilka lat i byłam oczarowana. Afrykę dało się wyczuć dosłownie *wszędzie*. Od tamtego czasu populacja dzikich zwierząt gwałtownie się zmniejszyła, rozrosła się jedynie populacja ludzi - związany z tym wzrost ubóstwa i nędzy był przerażający. Tym razem, oceniając całe terytorium Afryki moim zawodowym okiem, niektóre kraje musiałam odrzucić w całości, bez dłuższego zastanawiania się. Uganda wciąż była na etapie wyciągania z krokodyli paszczy zwłok, rzuconych gadom na pożarcie przez Amina i Obote. Liberia była rządzona przez krwiożerczego idiotę, Samuela Doe; w Burundi plemiona Hutu i Tutsi także wtedy mordowały się wzajemnie. Mobutu Sese Seko trzymał w garści cały Zair, Mengistu plądrował Etiopię, a Renamo szalał w Mozambiku. Gdybym chciała uwzględnić Republikę Południowej Afryki, cała seria moich przewodników mogła zostać zbojkotowana w Stanach Zjednoczonych. Patrząc na to, jak mało miejsc zostało, mogłeś zarzucić mi, że byłam *nietolerancyjna*, ale ja po prostu nie chciałam brać na siebie odpowiedzialności za niedoświadczonych, młodych Europejczyków i Amerykanów, którzy podróżowali przez te niebezpieczne tereny, uzbrojeni jedynie w mój charakterystyczny, błękitny przewodnik *Wing and a Prayer*. Gdy przeczytałam wiadomość o napadzie w Tsavo, w którym z powodu dwóch tysięcy szylingów, aparatu fotograficznego i przewodnika śmierć poniosły trzy osoby, byłam przekonana, że to moja wina. Jak Kevin określiłby to później: miałam skłonność do brania na siebie odpowiedzialności, prawdziwej bądź wymyślonej.

Zacząłam dochodzić do wniosku, że fachowcy od marketingu mieli pusto w głowach. Zajęli się tylko podażą, w ogóle nie przeprowadzając badań, czy będzie na to popyt. Nie wierzyłam nawet w to, że armia studentów i moich bardzo skrupulatnych pracowników będzie w stanie stworzyć taki przewodnik, który w wystarczającym stopniu ochroni jego użytkowników przed popełnieniem błędów, za które mogli zapłacić najwyższą cenę. Uznałam, że ten kontynent, pełen fantastycznych okazji, wciąż był zbyt kosztowny. Choć raz poczułam w sobie prawdziwe, matczyne uczucia - względem klientów takich jak Siobhan, a ostatnim miejscem, do którego chciałam wysłać pełnych dobroci ludzi jej pokroju, były gorące, okrutne i bezlitosne slumsy w Nairobi. *AFRIWAP* nie znalazł się w naszych planach wydawniczych.

Najbardziej rozczarowałam się jednak samą sobą. Bo choć rezygnacja z pomysłu wydania *AFRIWAP-a* otworzyła mi perspektywę włączenia się po kontynencie bez konieczności sporządzania notatek, to stałam się uzależniona od poszukiwania sensu i celu mojej drogi. Uwolniona od planu podróży, narzuconego dogodnie ułożonymi rozdziałami, czułam się pozbawiona jakiegokolwiek celu. Z jednej strony Afryka jest zbyt paskudnym

miejszem, by człowiek ciągle zastanawiał się, co tam w ogóle robi, ale z drugiej - te cuchnące, niebezpieczne i beznadziejne miasta same zadają nam to pytanie.

Nie mogłam przestać myśleć o Tobie i Kevinie. Tęsknota za Wami przypominała mi o tym, że tak naprawdę brakowało mi Ciebie od momentu narodzin syna. Poza domem wcale nie czułam się wyzwolona. Miałam wrażenie, że coś zaniedbuję, martwiłam się tym, że jeśli nie znajdziesz nowej niani, to będziesz musiał wozić Kevina ze sobą podczas wyszukiwania miejsc na reklamę. Gdziekolwiek bym pojechała, zawsze czułam się obciążona, tak jakbym brnęła przez dziurawe ulice Lagos z trzykilogramowymi ciężarkami u nóg: coś zaczęłam w Nowym Jorku, ale nie udało mi się tego doprowadzić do końca, wykręcałam się od tego, a co gorsza, to, co już zaczęłam, rozwijało się w złym kierunku. Zmagałam się z tym; z tego powodu moje odosobnienie było czymś pozytywnym. Poza tym jedyną rzeczą, od której nie można uciec w Afryce, to dzieci.

W końcowych etapach mojej trzymiesięcznej wyprawy, którą, jak pamiętasz, skróciłam, podjęłam postanowienie. O jeden wyjazd za dużo - ten akurat nie przebiegał w duchu odkrywania, a raczej miał udowodnić, że moje życie *nie* zmieniło się, że wciąż byłam młoda, wciąż ciekawa, wciąż wolna. Udowodnił natomiast, ponad wszelką wątpliwość, że diametralnie się zmieniłam, że w wieku czterdziestu jeden lat nie byłam już wcale młoda, że ciekawość dotycząca innych krajów została już dawno zaspokojona, że było wiele rodzajów wolności, których nie mogłam już doświadczyć bez zatapiania tej małej wysepki stałości, solidności i trwałego pożądanego, którą zdołałam sobie stworzyć na ogromnym, bezwzględny morzu międzynarodowej obojętności.

Siedząc na piaszczystym linoleum pozbawionej ławek poczekalni lotniska w Harare - oczekując na samolot, który był już spóźniony o osiem godzin, ponieważ został zawłaszczony przez żonę jakiegoś ministra, która miała ochotę polecieć na zakupy do Paryża - wyglądałam na osobę, która bezpowrotnie straciła swą dawną, radosną pewność, że niewygodna (jeśli nie zupełna katastrofa) była odskocznią do prawie każdej przygody, doświadczonej podczas zagranicznych wojaży. Nie byłam już pod wpływem starego przysłowia, które znajdowało się we wstępie do każdego przewodnika AWAP, że najgorszą rzeczą, jaka może zdarzyć się na wycieczce jest to, że wszystko idzie zgodnie z planem. W zamian zaczęłam zachowywać się, jak każdy zachodni turysta, narzekałam na brak klimatyzacji i marudziłam, że jedynym dostępnym napojem jest pomarańczowa Fanta, której nie lubiłam. W dodatku lodówka była zepsuta i napoje były prawie wrzące.

To przepecone i przeciągające się oczekiwanie pozwoliło mi dojść do wniosku, że moje zaangażowanie w macierzyństwo przypominało jak na razie zamoczenie palca w

wodzie. Uśmiechnęłam się, gdy uznałam, że jeszcze raz muszę podjąć tę decyzję z roku 1982 i wskoczyć w rodzicielstwo obiema nogami. Musiałam jeszcze raz przeżyć moją ciężą z Kevinem. Zarówno jego narodziny, jak i późniejsze wychowywanie mogło być zachwycającym doświadczeniem, ale tylko wtedy, gdy przestałabym z tym walczyć.

Nauka Kevina była bardzo bolesna i wymagająca (zresztą bez większych efektów), w dodatku rzadko kiedy obiekt twojej uwagi jest tak nudny lub narzucający się. Ale nic nie będzie dla ciebie ciekawe, jeśli się tym nie zainteresujesz. Daremnie czekałam z założonymi rękami, aż chłopiec udowodni, pokaże, że był wart mojego uczucia. Zbyt wiele oczekiwałam od tego małego dziecka, które mogło być przeze mnie kochane tylko tak bardzo, jak bardzo sama tego chciałam. To był jedyny raz, kiedy wraz z Kevinem osiągnęliśmy jakiś kompromis.

Lądując na lotnisku Kennedy'ego, byłam wypełniona determinacją, optymizmem i dobrą wolą. Ale z perspektywy czasu muszę przyznać, że z największą pasją myślałam o naszym synu wtedy, gdy nie było go w pobliżu.

*Wesołych Świąt*

*Eva*

27 grudnia 2000

*Drogi Franklinie,*

Dziś wieczorem moja matka zorganizowała mały świąteczny babski wieczór. Wcześniej pytała mnie, czy nie mam nic przeciwko temu, jednak teraz pewnie żałowała, że zaplanowała to akurat na ten dzień. Wczoraj w Wakefield w stanie Massachusetts bardzo duży, nieszczęśliwy człowiek - inżynier informatyki nazwiskiem Michael McDermott, którego zamiłowanie do literatury science-fiction było już znane w całym kraju tak dobrze, jak upodobanie naszego syna do zbyt małych ubrań - wszedł na teren firmy Edgewater Technology, uzbrojony w strzelbę myśliwską, karabinek automatyczny oraz pistolet i zastrzelił siedmiu swoich współpracowników. Rozumiałam, że pan McDermott był zdenerwowany - przecież byłam już dobrze poinformowana o szczegółach jego sytuacji finansowej, poczynszy od faktu, że stał w obliczu utraty swego sześcioletniego samochodu - bo jego pracodawcy obciążyli pensję zaległymi podatkami.

Nie mogłam powstrzymać się od myślenia o Twoich rodzicach, którzy mieszkali niedaleko Wakefield. Twój ojciec zawsze interesował się, czy jego urządzenia z najwyższej półki mają właściwe wyczucie proporcji, z troską, która z pewnością przekładała się na określone współzależności zachowań, takie jak krzywda i zadośćuczynienie. Teściowie musieli wyobrazić sobie, że absurdalny, groteskowy świat niezanujący *wartości materialnych* coraz bardziej zbliża się do nich.

Mieszkające w okolicy kobiety już dawno dały sobie spokój z zapraszaniem Soni Khatchadourian na wieczorki w ramach rewanżu. Nie chciały słuchać jej zabawnych usprawiedliwień, jakimi raczyła mnie, gdy odmawiała pójścia na premierę szkolnego przedstawienia, w którym brałam udział. Matka zapraszała je stosunkowo często, więc wszystkie już wcześniej próbowały sezamowych ciasteczek i ormiańskiej pizzy, dlatego teraz nie były skłonne do rozwodzenia się nad przekąskami. Zamiast tego trochę nieśmiało, tak jakby był gościem honorowym, nie mogły doczekać się, kiedy będą mogły rozpocząć rozmowę na temat Michaela McDermotta.

Pewna wdowa mówiła ze smutkiem, że potrafi wyobrazić sobie, jak odrzucony mógł poczuć się młody człowiek, przezywany „Mucko”. Moja zrędliva ciotka Aleen mamrotała, że jej stara, bardzo dyskusyjna zaległość podatkowa w wysokości 17 dolarów z powodu stóp procentowych i karnych odsetek rozrosła się już do kwoty ponad 1300 dolarów i sama



zastanawia się nad tym, czy się nie uzbroić. Wszystkie jednak subtelnie spoglądały na mnie jako na eksperta w dziedzinie analizy nerwowego umysłu.

W końcu zostałam zmuszona do przypomnienia tym starym kobietom, że ten opuszczony, otyły samotnik i ja nigdy nie mieliśmy okazji się spotkać. Nagle okazało się, że w obecnych czasach już nikt w tym kraju nie specjalizuje się w zaplanowanych morderstwach w starym stylu, mniej więcej tak samo, jak prawnik nie chciałby studiować nieaktualnego prawa.

Dzisiaj rozróżnialiśmy Masakry w Miejscu Pracy i Szkolne Strzelaniny, co było zupełnie nieznanym dotychczas polem działalności. W pokoju, w którym siedziałyśmy, wyczuwałam ogólną konsternację, tak jakby połączyły się z Działem Sprzedaży, a chciały rozmawiać z Działem Obsługi Klienta. Brak znajomości poglądów innej osoby mógł okazać się niebezpieczny, dlatego ktoś przytomnie skierował rozmowę na tematy kulinarne.

Zresztą, kto mówi, że przestępstwo nie popłaca? Wątpię, by urząd skarbowy odzyskał teraz choćby malutką część pieniędzy „Mucko”. A czterdziestodwuletni oszust podatkowy narazi Wujka Sama na dużo większe koszty sądowe, niż urząd skarbowy kiedykolwiek ściągnął z jego wypłaty.

Właśnie tak teraz o tym myślę. Od momentu, w którym cena sprawiedliwości przestała być dla mnie pojęciem abstrakcyjnym, a została określona za pomocą suchego rachunku dolarów i centów. Bardzo często powracają do mnie wspomnienia z procesu - tego cywilnego procesu. O karnym już prawie zapomniałam.

- Pani Khatchadourian - słyszę w myślach Harveya, zaczynającego swoją serię pytań. - Oskarżenie oparło się na fakcie, że prowadziła pani firmę na Manhattanie, a dziecko zostawiała pod opieką obcych ludzi, a gdy syn miał cztery lata, przez długi czas przebywała pani w Afryce.

- Nie zdawałam sobie wtedy sprawy z tego, że posiadanie własnego życia jest nielegalne.

- Ale po powrocie z Afryki zatrudniła pani kogoś do prowadzenia firmy dlatego, by więcej czasu spędzać z dzieckiem, by być dla niego lepszą matką, tak?

- Tak, zgadza się.

- Nie przejęła pani wówczas obowiązków jego głównej opiekunki? To znaczy, czy to prawda, że poza sporadycznymi przypadkami wynajmowania niani sprzeciwiała się pani zatrudnieniu stałej pomocy z zewnątrz?

- Szczerze mówiąc, zrezygnowaliśmy z zatrudnienia niani, ponieważ żadna nie była w

stanie wytrzymać z Kevinem dłużej niż kilka tygodni.

Harvey wyglądał na przegranego. Jego klient dążył do samozniszczenia. Wyobrażałam sobie, że dzięki temu byłam wyjątkowa, jednak sfatygowane oblicze mojego adwokata sugerowało, że raczej byłam ugotowana.

- Ale zdawała sobie pani sprawę z tego, że konieczna była pewna ciągłość, dlatego skończyła pani z zatrudnianiem kolejnych opiekunek do dziecka. Przestała pani pracować w stałych godzinach, od dziewiątej do siedemnastej.

- Zgadza się.

- Pani Khatchadourian, kochała pani swoją pracę, prawda? Dawała pani osobistą satysfakcję. Zatem ta decyzja była znaczącym poświęceniem i to wszystko zrobiła pani tylko ze względu na dziecko?

- To poświęcenie było ogromne - powiedziałam. - Ale było też daremne.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań - ciężko ćwicyliśmy, kropka; popatrzyl na mnie ze złością.

Czy w roku 1987 już planowałam swoją linię obrony? Choć moje odejście z AWAP, bez konkretnej daty powrotu, było rzeczą bez porównania znaczącą, był to jedynie zabieg kosmetyczny. Myślałam, że będzie to dobrze wyglądało. Nigdy nie uważałam się za kogoś, kto przywiązuje wagę do tego, co myślą inni ludzie, ale osoby tłumiące w sobie mroczne sekrety zwykle zdradzają się swoim zachowaniem.

Dlatego, gdy obaj przyszliscie po mnie na lotnisko Kennedy'ego, w pierwszej kolejności przytulilam Kevina. Wciaz jeszcze przechodzil niepokojaaca faze szmacianej lalki, „zwiotczaly”, nie odwzajemnil mojego uścisku. Ale sila i dlugosc obejmowania synka znamionowala te przemiane, jakiej doswiadczylam na lotnisku w Harare.

- Tak bardzo za toba tęsknilam! - krzyknelam. - Mamusia ma dla ciebie dwie niespodzianki, kochanie! Przywiozlam ci prezent. Ale chce takze obiecac, ze mamusia juz nigdy na tak dlugo nie wyjedzie.

Kevin stal sie jeszcze bardziej zwiotczaly. Wstalam, nieco zawstydzona, i poprawilam jego zmierzwiene wlosy. Staralam sie odgrywac swoja role, ale postronni obserwatorzy z jego nienaturalnego znuzenia mogli wnioskowac, ze zwykle trzymam go w piwnicy, przykutego do kaloryfera.

Pocalowalam Cię. Myslalam, ze dzieci lubia patrzec, jak ich rodzice obsypuja sie czulościami, jednak Kevin tupal zniecierpliwiony, ryczal i szarpal Cię za reke. Moze sie mylilam. Nigdy nie widzialam, jak moja matka caluje ojca. A chcialabym widziec.

Przerwałeś pocałunek i wymamrotałeś:

- Evo, to może chwilę potrwać. Dla dzieci w tym wieku trzy miesiące to wieczność. Wariują. Myślą, że już nigdy nie wrócisz.

Chciałam zażartować, że Kevin bardziej zmartwił się moim powrotem, ale w porę się opanowałam; jedną z naszych pierwszych ofiar, złożonych na rzecz życia rodzinnego, była lekkość serca. - Co to za rzecz, ten *uberr, uherr?* - zapytałam, gdy Kevin nie przestawał Cię szarpać i ryczeć.

- Żelki serowe - powiedziałaś radośnie. - Najnowszy przebój. No, dobra, chłopie! Idziemy. Poszukamy dla ciebie jakiejś torebki wypchanej świeżymi związkami chemicznymi, dzieciaku! - I pognałeś, ciągnąc go za sobą, a ja zostałam sama, z moją walizką na kółkach.

W pikapie musiałam usunąć z fotela pasażera kilka kleistych, na wpół rozpuszczonych żelków. Entuzjazm, z jakim Kevin podchodził do żelkowej diety, sprowadzał się do tego, że ssał je, wysysał świeżące nadzienie i wypełniał wystarczającą ilością śliny, by mogły się rozpuszczać.

- Większość dzieci lubi cukier - wyjaśniłaś radośnie. - Nasze woli sól. - Najwyraźniej sodowy fetysz wziął górę nad miłością do cukierków w każdym aspekcie.

- Japończycy myślą, że są to przeciwieństwa - powiedziałam, wyrzucając moją lepką kolekcję przez okno. Mimo że nasz samochód miał duże i płaskie tylne siedzenie, to dziecięcy fotelik Kevina był wciśnięty pomiędzy nasze przednie fotele. Z tego powodu nie mogłam położyć ręki na Twoim udzie, do czego byłam przyzwyczajona.

- Mamutka puściła bąka - powiedział Kevin, który w ten sposób zbił w jedną całość słowa *Matka* i *Mamusia* (to było całkiem miłe; musiało być). - Śmierdzi.

- Kevin, to nie jest rzecz, którą musisz ogłaszać całemu światu - odparłam ostro. Przed wejściem na pokład samolotu w Norfolk zjadłam tłuczoną fasolę i banany.

- Może wstąpimy do Juniora? - zaproponowałeś. - Jest po drodze i w dodatku są tam przyjaźnie nastawieni do dzieci.

Bardzo się zdziwiłam, że nie wziąłeś pod uwagę tego, iż od piętnastu godzin jestem w drodze z Nairobi, że mogę być trochę zmęczona, opuchnięta od długiego lotu, obżarta samolotowym jedzeniem i zupełnie nie w nastroju do wizyty w wielkim, zatłoczonym barze, w którym można zjeść tylko serowe ciasteczka. Miałam cichą nadzieję, że wynająłeś opiekunkę i sam odbierzesz mnie z lotniska, po czym pojedziemy na drinka do jakiejś ustronnej kafejki, gdzie mogłabym nieśmiało ujawnić moją zmianę podejścia do macierzyństwa. Innymi słowy, chciałam uciec od Kevina, by wyjawić Ci, jak wiele czasu

zamierzam z nim spędzać w najbliższej przyszłości.

- Zgoda - powiedziałam cicho. - Kevin, albo zjesz to serowe świństwo, albo je wyrzucę. Nie rozwalaj tego po całym samochodzie.

- Evo, to normalne, że dzieci nie dbają o porządek - roześmiałaś się. - Wyluzuj!

Kevin posłał mi przebiegły uśmiezek, po czym na kolana wrzucił mi żelkę.

W restauracji nie chciał usiąść w dziecięcym fotelu. Jako że rodzicielstwo w jednej chwili zmienia człowieka w nieznośnego zarozumialca, powiedziałam Kevinowi:

- W porządku, synku. Ale pamiętaj, jeśli chcesz siedzieć jak dorosły, musisz się zachowywać jak na dorosłego przystało.

- YYEE yeee yeee yeee. Yeee yeee-grrrr-yeee: Yeee yeee-yeee yeee-yeee yeee-yeee yeee yeee-yeee yeee-yeee yeee yeee yeee - z nieukrywaną kpina naśladował moją ostrą intonację i łamiący się głos tak perfekcyjnie, że w przyszłości mógłby zostać śpiewakiem.

- Kevin! Przestań - starałam się brzmieć stanowczo.

- Yye-yee yeee, yye-yee!

Odwróciłam się w Twoją stronę. - Jak długo *to* jeszcze będzie trwało?

- Yye-yee yeee YYEE yeee yeee-yeee yeee?

- Miesiąc? To taka faza. Wyrośnie z tego.

- Yeee yeee? Yeee-yeee yeeee. Yeee yeee yeee-yeee-yeee.

- Nie mogę czekać - powiedziałam z narastającą niechęcią do wypowiedziania jakichkolwiek słów, żeby nie prowokować go do parodiowania mnie w swoim *języku* yeee-yeee.

Chciałaś zamówić dla niego krążki cebuli opiekane w cieście, a ja sprzeciwiłam się temu, by nie jadł wyłącznie słonych rzeczy.

- Widzisz - powiedziałeś. - Tak samo jak ty cieszę się, jeśli chce cokolwiek zjeść. Może potrzebuje jakiegoś pierwiastka śladowego, na przykład jodu. Zaufaj naturze, mówię ci.

- Tłumaczenie: ty też lubisz chipsy, chrupki i precelki, łączy was miłość do przekąsek. Zamów mu hamburgerowy pasztecik. Na pewno potrzebuje protein.

Gdy kelnerka odbierała od nas zamówienie, Kevin bez przerwy powtarzał to swoje „yeee-yeee; YYEE-yeee yeee-yeee yeee yeee-yeee yeee yeee-yy-yeee”, co znaczyło mniej więcej „zielona sałata z domowym sosem”.

- Jaki słodki mały chłopczyk - powiedziała, nerwowo spoglądając na wiszący na ścianie zegar.

Gdy Kevin otrzymał swój pasztecik, wziął wysoką, kryształową solniczkę z wielkimi

otworami i sypał sól na swoją wołowinę tak długo, aż zaczęła przypominać Kilimandżaro po ostatnich opadach śniegu. Zdegustowana, sięgnęłam po nóż, by ją zeskrobać, ale zatrzymałeś moją rękę.

- Dlaczego nie pozwoliś mu się pobawić? - skarciłeś mnie cicho. - Sól to też pewien etap, z tego również wyrosnie. A gdy będzie starszy, opowiemy mu o wszystkim i będzie mu się wydawało, że miał dziwaczną osobowość, gdy był małym dzieckiem. To życie. Dobre życie.

- Wątpię, by Kevin miał trudności ze znalezieniem dziwactw - sens mojej matczynej misji, który nakręcał mnie przez ostatnie dni, powoli zanikał, jednak wcześniej obiecałam sobie coś. Kevinowi na lotnisku też coś przyrzekłam, a w związku z tym przysięga dotyczyła także Ciebie. Wzięłam głęboki oddech. - Franklinie, podczas podróży podjęłam bardzo ważną decyzję.

Z idealnym wyczuciem czasu nasza kelnerka przyniosła moją sałatkę i Twój sernik. Jej stopy szurały po linoleum. Kevin wysypał na podłogę całą zawartość solniczki.

- Ta pani ma kupę na twarzy - Kevin wskazywał na znamię długości siedmiu centymetrów, kształtem przypominające Angolę, które kelnerka miała na lewym policzku. Na dużą brązową plamę nałożyła grubą warstwę beżowego pudru, jednak większość makijażu już się starła. Jak to zwykle bywa, próba zatajenia wygląda znacznie gorzej niż szczere ujawnienie skazy - lekcja, jakiej miałam doświadczyć także na sobie. Zanim zdążyłam zareagować, Kevin zapytał ją wprost: - Dlaczego nie umyjesz sobie twarzy? Jest ufajdana.

Wylewnie przeprosiłam dziewczynę, która miała mniej więcej osiemnaście lat i niewątpliwie wiele razy cierpiała z powodu tego oszpececia. Zdobyła się na bolesny uśmiech i obiecała, że za chwilę przyniesie mój sos.

Odwróciłam się do naszego syna.

- Wiesz, że ta plamka to nie była „kupa”, prawda?

- Yyee YYEE yyee yyee-yyee yyee, yyee-yyee yyee? - Kevin wykręcił się od odpowiedzi, opuścił połyskujące oczy. Położył palce na blacie stolika, a nos oparł na jego skraju, ale z tego ostrego, ostrzegawczego spojrzenia mogłam wywnioskować, że pod stolikiem czai się szyderczy uśmiech: szeroki, z zaciśniętymi wargami, dziwnie wymuszony.

- Kevin, wiesz, że to mogło zranić jej uczucia, prawda? - powiedziałam. - Jak byś się czuł, gdyby ktoś powiedział ci, że masz kupę na twarzy?

- Evo, dzieci nie rozumieją tego, że dorośli mogą poczuć się dotknięci uwagami na temat ich wyglądu.

- Jesteś pewny, że tego nie rozumieją? Wyczytałeś to może w jakiejś książce?

- Możemy nie psuć naszego pierwszego wspólnego popołudnia po twoim powrocie? - błagałeś. - Dlaczego ty zawsze uważasz, że on jest najgorszy?

- A skąd ty to wytrzasnąłeś? - zapytałam ze zdumieniem. - Mam wrażenie, że to ty o mnie zawsze myślisz jak najgorzej.

Niewinna mistyfikacja pozostała moją taktyką przez następne trzy lata. Atmosfera się popsowała i nie wiedziałam, jak w tej sytuacji ogłosić moje postanowienie, dlatego zdecydowałam się, by zrobić to tak obcesowo, jak tylko umiałam. Obawiam się jednak, że zabrzmiało to zbyt prowokująco: wsadź sobie to w fajkę i wypal, skoro myślisz, że jestem taką zepsutą matką.

- O kurczę - powiedziałeś. - Jesteś pewna? To poważny krok.

- Pamiętałam, co mówiłeś o Kevinie i o tym, że nie mówi tak długo, ponieważ od razu chce zrobić to poprawnie. Cóż, ja też jestem perfekcjonistką. A teraz nie sprawdzam się ani w roli matki, ani w roli pracownika. W biurze ciągle bez uprzedzenia chodzę na urlop, w efekcie kolejne przewodniki wydawane są z opóźnieniami. W tym czasie Kevin budzi się każdego ranka i nie ma pojęcia, kto się będzie nim zajmował: matka czy jakaś beznadziejna niania, która rzuci tę robotę po tygodniu. Myślę, że powinnam zostać w domu, dopóki Kevin nie pójdzie do szkoły podstawowej. To może nawet przynieść korzyść mojej firmie. Uzyskam nową perspektywę, świeże pomysły. Wydawnictwa są być może zbyt zdominowane przez moje poglądy.

- Ty dominująca? - byłeś zszokowany.

- *YYEEEEEEEE? Yyee-yyee yyeey yyee?*

- Kevin, przestań! Wystarczy. Pozwól porozmawiać mamusi i tatusiowi...

- *YYEE-yyee, YYEEEE yyee...! Yyee yyee-YYEEEE...!*

- Kevin, naprawdę, skończ to swoje *yyee-yyee* albo wychodzimy.

- *Yyee YYEE yyee, yyee yyee, yyee yyee yyee-yyee yyee yyee YYEE-yyee!*

Nie wiem, dlaczego postraszyłam go tym, że wyjdziemy, skoro nie miałam nawet najmniejszego dowodu na to, że on chciałby tam dłużej zostać.

To był tylko przedsmak tego, co miało się stać chronicznym problemem nie do rozwiązania: jak ukarać chłopca, który z filozoficzną wręcz obojętnością traktował wszystkie rzeczy, których mogłam go pozbawić.

- Eva, tylko pogarszasz sprawę...

- A jak proponujesz go uciszyć?

- *Yyee yyee YYEEEE yyhh-yyeehh yyee yyee-yyee yyee yyeeyyyyyy-yyeyyyyyy?*

Trzepnęłam go otwartą dłonią. Niezbyt mocno. Wyglądał na zadowolonego.

- Gdzie się nauczyłaś tej sztuczki? - zapytałeś złowrogo. A rzeczywiście była to sztuczka: po raz pierwszy podczas tego posiłku nie przetłumaczył zasłyszanego zdania na swój język *yyee-yyee*.

- Franklinie, zachowywał się coraz głośniejsze. Ludzie już zaczynali się na niego gapić.

Teraz Kevin zaczął płakać. Moim zdaniem jego łzy były nieco spóźnione. Nie wzruszyło mnie to zupełnie. Nie miałam zamiaru mu przeszkadzać.

- Patrz się, bo go uderzyłaś - powiedziałaś szeptem, podnosząc naszego syna i przytulając go do siebie, bo jego płacz zaczął przeradzać się we wrzask. - Evo, nie rób tego więcej. Nie tutaj. Może nawet złamałaś prawo. To świadomy akt przemocy.

- Uderzyłam własne dziecko i zostanę za to aresztowana?

- Jest przepis, że przemoc nie jest metodą dowodzenia swoich racji. To jest jasne. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek powtórzyła takie zachowanie. *Nigdy więcej*.

Czyli tak: ja uderzę Kevina. Ty uderzysz mnie. Zrozumiałam.

- Możemy stąd wyjść? - zaproponowałam chłodno. Kevin zaczął wyć trochę ciszej, ale bez problemu mógł się wyciszać przez kolejne dziesięć minut. Boże, byliśmy praktycznie w sytuacji bez wyjścia. Ależ z niego mały artysta.

Poprosiłeś o rachunek.

- Na pewno nie są to warunki, w których chciałem coś ogłosić - powiedziałaś, wycierając chusteczką nos Kevina. - Ale ja też mam pewną wiadomość do przekazania. Kupiłem nam dom.

Spojrzałam na Ciebie uważnie i powtórzyłam jeszcze raz.

- *Kupiłeś* nam dom. Nawet nie pomyślałeś o tym, bym zobaczyła go przed zakupem. Już wszystko załatwiłeś.

- Gdybym się nie zdecydował, to pewnie już dawno kupiłby go ktoś inny. Poza tym i tak nie byłaś zainteresowana przeprowadzką. Myślałem, że się ucieszysz z tego, że już wszystko załatwione.

- Cieszę się tylko z tego, że nie muszę się zajmować czymś, co przede wszystkim nie było moim pomysłem.

- I o to chodzi, prawda? Nie możesz wesprzeć czegokolwiek, co nie jest twoim własnym projektem. Gdybyś osobiście nie wymyśliła *SUBURBAP-a*, to byłabyś nim bardzo rozczarowana. Powodzenia przy przekazywaniu obowiązków w biurze. To nie przyjdzie ci zbyt łatwo.

Zostawiłeś bardzo hojny napiwek. Doszłam do wniosku, że te dodatkowe trzy dolary miały pokryć szkody związane z *ufajdaną twarzą*. Twoje ruchy były mechaniczne.

Widziałam, że czujesz się dotknięty. Wszędzie szukałeś tego domu, z niecierpliwością oczekiwałeś chwili, w której podzielisz się ze mną wiadomością i pewnie musiałeś być pod wielkim wrażeniem posiadłości, bo w innym wypadku nie kupiłbyś jej.

- Przepraszam - wyszeptalam, gdy wychodziliśmy, a inni klienci spoglądali ukradkiem na naszą rodzinę. - Po prostu jestem zmęczona. Cieszę się. I nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

- Yyee yyee-yyee. Yyee-yyee yyee. Yyee yyee yyee...

Pomyślałam sobie: *Każdy w tej restauracji odczuwa ulgę, że wychodzimy. I jeszcze: Stałam się jedną z tych osób, którym zawsze współczulam. I dodałam: Dalej im współczuję.*

Bardziej niż kiedykolwiek.

*Eva*



1 stycznia 2001

*Drogi Franklinie,*

Możesz to nazwać noworocznym postanowieniem, gdyż od dawna z trudem powstrzymywałam się przed wyrzuceniem tego z siebie: nienawidziłam tego domu. Od pierwszego spojrzenia. I nigdy nie zrobił na mnie wrażenia. Każdego dnia wstawałam, oglądałam jego gładkie powierzchnie, nowoczesne elementy i rozwiązania dekoratorskie, elegancki profil i szczerze go nienawidziłam.

Przyznaję, że rejon Nyack, zalesiony i położony nad rzeką Hudson, był dobrym wyborem. Bardziej opowiadałeś się za Rockland County w stanie Nowy Jork, niż za jakąś miejscowością w New Jersey, gdzie na pewno było wiele ładnych miejsc, ale mieszkanie tam po prostu zniszczyłoby mnie. Nyack z kolei było miasteczkiem zintegrowanym rasowo, ale na pierwszy rzut oka prowincjonalnym i, podobnie jak Chatham, chaotycznym - jednak w przeciwieństwie do tego ostatniego, jego sfatygowana skromność była tylko iluzją, bo wielu nowych mieszkańców, osiedlających się tu od dziesięcioleci, było ludźmi bardzo bogatymi. Z główną ulicą, wiecznie wypełnioną efektownymi samochodami typu audi lub BMW, z knajpkami serwującymi meksykańskie jedzenie za niebotycznie wygórowane ceny, z pękatymi, drewnianymi domami z dwoma sypialniami, kosztującymi 700 000 dolarów - jedyną ambicją Nyack był jej brak. W przeciwieństwie do Gladstone, stosunkowo nowej dzielnicy, położonej na północy, której maleńkie centrum - z atrapami ulicznych lamp gazowych, z drewnianymi ogrodzeniami i szyldami reklamowymi typu „Ye Olde Sandwich Shoppe” - uosabiało to, co Brytyjczycy nazywają „słodką staroświeckością”.

Szczerze mówiąc, zamarłam, gdy pierwszy raz z dumą przewiozłeś mnie okazałą aleją Palisades Parade. Wcześniej nic nie mówiłeś mi o nowym domu, ponieważ chciałeś, by było to dla mnie zaskoczenie. Cóż, muszę przyznać, że byłam zdziwiona. Płaska, jednopoziomowa powierzchnia szkła i piaskowej cegły na pierwszy rzut oka przypominała swym wyglądem miejsce zbudowane przez kogoś, kto nie wie, co zrobić ze swoimi pieniędzmi, w którym prowadzone są pokojowe negocjacje lub gdzie wręczane są jakieś „pokojowe nagrody” dla Mary Robinson i Nelsona Mandeli.

Nigdy nie rozmawialiśmy o mojej wizji wyśnionego domu? Na pewno zdawałeś sobie sprawę z tego, co mi się podoba. Mój wymarzony dom byłby bardzo stary, w wiktoriańskim stylu. Jeśli miałyby być duże, to na pewno byłby wysokie, trzypiętrowe, ze strychem, pełen zakamarków i miejsc, których pierwotne przeznaczenie już dawno przeszło do historii -

czworaki dla niewolników i magazyny, piwnice do przechowywania warzyw i wędzarnie, małe windy i tarasy na dachach. Dom, który rozpada się na kawałki, nasączony przeszłością, z odpadającymi dachówkami, desperacko oczekujący skomplikowanej, sobotniej naprawy rozklekotanej balustrady, w którym aromatyczna woń ciast chłodzących się w kuchni wędruje schodami i rozlewa się po wyższych piętrach. Umieblowałam go sofami zakupionymi na pchlim targu, których kwieciste obicie byłoby wyblakłe i postrzępione, wiązanymi zasłonami z frędzlami, które kupiłabym na garażowych wyprzedażach, rzeźbionymi, mahoniowymi kredensami, których szklane drzwiczki wyglądałyby jak poplamione. Przy ganku, kołysząc się na wietrze, z trudem wspinałyby się pelargonie, by przerosnąć stare, cynowe wiadro na mleko. Nikt nie obszywałby naszych poszarpanych narzut ani nie licytowałby ich za grube pieniądze jako amerykańskie zabytki; rzucilibyśmy je na łóżko i zdarli do samego końca. Jak wełna, zbierająca w sobie meszek, tak dom gromadziłby rozmaite rupiecie: rower ze zniszczonymi pedałami i przebitą oponą; drewniane krzesła, których szczeble w oparciu wymagały ponownego klejenia; starą, narożną szafkę, zrobioną z porządnego drewna, ale pomalowaną na ohydny, jasnoniebieski kolor, którą ciągle zamierzałam przemalować, ale nigdy nie mogłabym tego zrobić.

Nie będę kontynuowała tej wizji, ponieważ *dokładnie* wiesz, o czym mówię. Mam świadomość, że takie domy bardzo trudno ogrzać i że są nieszczelne. Wiem, że szambo pewnie by przeciekało, a rachunki za elektryczność byłyby bardzo wysokie. Wiem także, że dręczyłoby Cię to, iż stara studnia na tyłach domu może być niebezpieczna dla okolicznych dzieciaków, ale ten obraz jest w moim umyśle tak żywy, że byłabym w stanie zamknąć oczy i zanurzyć się w naszym zarośniętym chwastami ogrodzie.

Gdy zawracałeś i zatrzymywałeś pikapa na półkolistym, betonowym podjeździe przed naszym nowym lokum, pomyślałam, że *mieszkanie* to nie jest właściwe słowo. Mój idealny dom był przytulny i stanowił zamknięty świat; tu wychodzące na rzekę Hudson (muszę przyznać, że widok był naprawdę ładny) szerokie okna z walcowanego szkła sprawiały wrażenie, że jest to wiecznie otwarta przestrzeń. Betonowe ścieżki ułożone z płyt, udekorowane różowymi kamyczkami, rozkładały się przed gośćmi niczym wielka, powitalna mata. Front budynku i główny chodnik były obsadzone karłowatymi krzewami. Nie żadnymi czarnymi orzechami czy bezładną kotłowaniną nawłoci i mchu, ale po prostu *krzewami*. A co je otaczało? Trawnik. I to nawet nie jakiś fajny, przyjemny gatunek, którego jasne źdźbła prowokują do leniuchowania z lemoniadą i pszczołami, ale ten sprężysty, szorstki, przypominający zielone, nieprzyjemne zmywaki do naczyń.

Szeroko otworzyłeś drzwi wejściowe. Przedpokój przechodził w salon wielkości

boiska do koszykówki, a dalej znajdowały się dwa niskie stopnie, za którymi była jadalnia, częściowo wydzielona z kuchni, z małą ścianką działową, przez którą podawano jedzenie - bez wątpienia jakiś wymysł związany z *suszonymi pomidorami*. Spojrzałam na drzwi. Spanikowałam i pomyślałam: *Tu nie ma się gdzie schować*.

- Powiedz, że nie jesteś wstrząśnięta - powiedziałeś.

- Zatkalo mnie - przyznałam szczerze.

Zawsze myślałam, że małe dziecko „spuszczone ze smyczy” w ogromnej, nieumeblowanej przestrzeni błyszczących, drewnianych podłóg, połyskujących w promieniach słońca, będzie dziarsko ślizgać się w skarpetkach po korytarzu, śmiać się i szaleć, kompletnie nic nie robiąc sobie z pustkowia - tak, Franklinie, pustkowia - na które zostało rzucone. Tymczasem Kevin mocno trzymał Twoją dłoń i dopiero naleganie wymogło na nim, by „poszedł na zwiady”. Powoli doczłapał do środka salonu i usiadł. Wiele razy czułam się mocno oddalona od mojego syna, ale wtedy - jego szeroko otwarte oczy Małej Sierotki Annie były matowe, jakby pokryte woskiem, a ręce klepały po podłodze niczym ryba rzucona na beton - nie mogłam czuć się z nim bardziej spokrewniona.

- Musisz zobaczyć główną sypialnię - powiedziałeś, biorąc mnie za rękę. - Widok przez okna w suficie jest niesamowity.

- Okna w suficie! - wykrzyknęłam radośnie.

Wszystkie kąty w naszej potężnej sypialni były przekrzywione, a sufit pochyły. W efekcie wszystko klóciło się ze sobą, pozbawione ufności w tradycyjne linie równoległe i prostopadłe, tak jakby cały budynek niepokoił się koncepcją zawartych w nim pokoi i w związku z tym nie czuł się bezpiecznie.

- Coś innego, nie?

- Coś innego! - w pewnym nieokreślonym momencie lat dziewięćdziesiątych przestrzenie wypełnione drewnem tekowym wyszły z mody. Wtedy jeszcze nie byliśmy w latach dziewięćdziesiątych, ale ja miałam przeczucie, że tak właśnie się stanie.

Zademonstrowałeś mi wbudowany kosz na pranie, który mógł również służyć jako ławka, bo jego pokrywa była wysłana radosnym, żółtym materiałem. Odsunąłeś drzwiczki szafki, które osadzono na kółkach. Ruchome części domu przesuwały się bezszelestnie, a ich powierzchnie były gładkie. Drzwi szafki nie miały żadnych uchwytów. Rzeczy zrobione z drewna nie miały żadnych dodatków. Szuflady ozdobione były delikatnymi tłoczeniami. Szafki kuchenne otwierały się i zamykały jedynie z cichutkim stuknięciem. Franklinie, cały ten dom był na środkach antydepresyjnych.

Przez szklane, rozsuwane drzwi wyprowadziłeś mnie na pokład. Pomyślałam: mam

*pokład*. Nigdy nie krzyknę: „Jestem na werandzie!”, ale będę się wydzierać: „Jestem na *pokładzie*”. Wmawiałam sobie, że to tylko zwykłe słowo. Mimo to platforma aż się prosiła, by zorganizować na niej grilla z sąsiadami, czego, szczerze mówiąc, nie lubiłam. Steki z miecznika po minucie byłyby jeszcze surowe, a po kolejnej już zbyt mocno przysmażone. I czuwanie nad nimi przypadłoby mnie.

Kochanie, wiem, że mówię jak osoba niewdzięczna. Staraleś się bardzo mocno, by znaleźć odpowiedni dla nas dom. Podszedłeś do tego z taką powagą, jakbyś szukał miejsca reklamowego dla Gillette. Teraz już zdaję sobie sprawę z tego, jak trudno trafić w tej okolicy na jakąś sensowną nieruchomości. Wierzę, że każdy inny dom, który oglądałeś, był po prostu paskudnie pospolity. Ten taki nie był. Jego budowniczy nie żałował pieniędzy. Biada tym, którzy *nie żałują pieniędzy*. Powinnam to wiedzieć, skoro są na świecie podróżnicy gardzący moimi przewodnikami, a wakacje w obcych krajach z *A Wing and Prayer* uważają za śmiertelne niebezpieczeństwo. Drewno było bardzo drogie - więcej, niż w jednym tego słowa znaczeniu - krany powlekane złotem. Poprzedni właściciele stworzyli ten dom zgodnie ze swoimi ściśle określonymi upodobaniami. Kupiłeś po prostu czyjś Wymarzony Dom.

Widziałam to doskonale. Nasza niezmordowana para tuła się od wynajętych tandetnych mieszkań do najzwyklejszych piętrowych domków, aż w końcu - otrzymują spadek, koniunktura na rynku się poprawia, trafiają na promocję - Wreszcie są w stanie od podstaw zbudować *dom, który sobie wymarzyli*. Para ślęczy nad projektami, zastanawiając się, gdzie starannie ukryć każdą szafkę, jak wdzięcznie przejść z części mieszkalnej do sypialni („DRZWIAMI!” - chciałam wykrzyknąć, ale teraz było już za późno na moją poważną radę). Wszystkie te innowacyjne kąty na papierze wyglądały bardzo dynamicznie. Nawet krzaki na kartce wyglądały uroczo.

Ja jednak mam swoją teorię o Wymarzonych Domach. Z jakiegoś powodu „kaprys” oznacza zarówno *nieroztropny błąd*, jak i *kosztowny, ozdobny budynek*. Myślę tak, bo jeszcze nigdy nie widziałam Wymarzonego Domu, który byłby naprawdę wyśniony. Tak jak nasz, niektóre były prawie wymarzone, choć równie często można rozpatrywać je w kategorii katastrofy. Problem w tym, że niezależnie od tego, ile pieniędzy zapłacimy za dębowe listwy przypodłogowe, to dom pozbawiony historii zawsze będzie tani w pewnym wymiarze. W innych przypadkach problem tkwi w samej naturze piękna, zadziwiająco ulotnej jakości i rzadkości, której nie można kupić za pieniądze. Śmieje się w twarz wszelkim takim próbom. Docenia zwyczajność i najczęściej przejawia się *przypadkiem*. Podczas moich podróży stałam się zagorzałą zwolenniczką sztuki odnalezionnej: snopy światła rozjaśniające zniszczoną fabrykę broni z 1914 roku, porzucony billboard pokryty kolażem reklam Coca-Coli,

Chevroleta i Burma Shave, tanie pensjonaty, do których doskonale pasowały podniszczone poduszki i trzepotliwe, wyblakłe zasłonki.

Co zaskakujące, to Xanadu z Gladstone, belka po belce, zmaterializowałyby się wówczas w niszczące duszę rozczarowanie. Czy budowlańcy specjalnie poobcinali rogi, czy może jakiś arogancki architekt pozwolił sobie na tak drobiazgowo plany? Nie, nie. Patrząc z bólem na nagie szafki kuchenne, można było odnieść wrażenie, że projekt został wykonany dokładnie tak, jak powinien. To mauzoleum na Palisades Parade zostało stworzone zgodnie z zamierzeniami projektanta i właśnie to było w tym wszystkim takie przygnębiające.

Żeby być fair, przestrzeń pomiędzy zdolnością do tworzenia piękna a zdolnością do tworzenia brzydoty i późniejszego odróżniania tych rzeczy u większości ludzi jest tak szeroka, jak Ocean Atlantycki. Tak więc, na przekór wszystkim dowodom, pierwotni właściciele mogli mieć dobry gust; tym większa szkoda, jeśli tak właśnie było. Oczywiście fakt, że tamta para wybudowała ten koszmar, nie zaprzeczał mojej teorii, ponieważ oni także dobrze wiedzieli, że wzniesli właśnie takie okropieństwo. Co więcej, byłam przekonana, że ani mąż, ani żona nigdy nie dali po sobie poznać, jak dołująca była ta mdła i pusta okropność, którą oboje uważali za dom swoich marzeń. I pewnie od momentu zamieszkania w tym domu każde z osobna obmyślało przeprowadzkę.

Powiedziałeś, że dom ma tylko trzy lata. *Trzy lata?* Tyle to pewnie zajęło samo wybudowanie! Kto sprawia sobie tyle kłopotu tylko po to, by się natychmiast wyprowadzić? Może Pan Właściciel został wysłany do pracy w Cincinnati. Co innego mogło go wygnąć z własnego domu, jeśli nie odraza, jaką wzbudzało w nim jego dzieło? Kto byłby w stanie żyć na co dzień z solidnym i namacalnym dowodem braku własnej wyobraźni?

- Jak to się stało - zapytałam, gdy oprowadzałeś mnie po ogrodzie udekorowanym rzeźbami - że ludzie, którzy wybudowali ten dom, tak szybko go sprzedali? Przecież jest dziełem bardzo... ambitnym.

- Odniosłem wrażenie, że w pewnym sensie wybierali się w inne strony.

- Rozwodzili się.

- Ale to przecież nie oznacza, że ta nieruchomość jest przeklęta czy coś w tym stylu.

- Ja przecież nie powiedziałam, że jest - popatrzyłam na Ciebie z ciekawością.

- Gdyby domy zatrzymywały w sobie takie rzeczy - obruszyłeś się - w całym kraju nie byłoby bezpiecznego schronienia dla szczęśliwego małżeństwa.

Przeklęta? Oczywiście wyczułeś, świadomy tej ucieczki na przedmieścia - wielkie parki, świeże powietrze, dobre szkoły - że zatrważająco zбочyliśmy na manowce. Teraz to, co mnie uderza, to nie Twoje przecucie, ale łatwość, z jaką je zignorowałeś.

Ja nie miałam żadnych przeczuć. Byłam po prostu oszołomiona tym, że po Łotwie i Gwinei Równikowej wylądowałam w Gladstone w stanie Nowy Jork. Czułam się jak surfer na Far Rockaway, którego zaskoczyła fala ścieków. Z trudem wytrzymywałam kolejne uderzenia czystej, fizycznej brzydoty, jakimi raczył mnie nasz nowy nabytek. *Dlaczego tego nie widziałeś'?*

Może dlatego, że zawsze miałeś skłonność do *zaokrąglania*. W restauracjach, jeśli 15 procent dawało 17 dolarów, Ty zostawiałeś napiwek w wysokości 20. Gdy po męczącym spotkaniu z nowymi znajomymi ja nie chciałam ich więcej widzieć, Ty pragnąłeś dać im drugą szansę. Gdy młoda Włoszka dwa razy pojawiła się na naszym poddaszu, a przy okazji zniknął Twój zegarek, wściekałam się; a Ty po prostu nabrałeś przekonania, że zostawiłeś go na sali gimnastycznej. Lunch z Brianem i Louise powinien być zabawny? I był zabawny. Sprawiałeś wrażenie, że jesteś w stanie zmrużyć oczy i zamazać wszystkie ostre powierzchnie. Gdy oprowadzałeś mnie po naszym nowym domu, Twoje twarde przyzwyczajenia sprzedawcy powierzchni reklamowych kontrastowały z ujmującym spojrzeniem. Gadałeś bez przerwy, tak jakbyś był czymś przejęty, a odrobina hysterii zdradzała Twoje podejrzenia, że Palisades Drive 12 nie był doniosłym dziełem architektonicznym, a jedynie okazałą kłapą. Nawet w tej sytuacji, mieszając optymizm, pragnienia i brawurę, starałeś się to wszystko *zaokrąglić*. Bardziej brutalną nazwą tego procesu jest po prostu *kłamstwo*, choć niektórzy pewnie uznaliby, że złudzenie jest jedną z odmian szczerości. Poza tym w stosunku do Kevina praktykowałeś to swoje *zaokrąglanie* od dnia jego narodzin.

Ja jestem pedantyczna. Wolę ostre i wyraźne zdjęcia. Rzykując tautologię, lubię ludzi tylko tak bardzo, jak bardzo ich lubię. Prowadzę życie emocjonalne z taką arytmetyczną precyzją, do dwóch lub trzech miejsc po przecinku, że chętnie ustanowiłabym stopnie sympatyczności własnego syna. Innymi słowy, Franklinie: zostawiam 17 dolarów.

Mam nadzieję, że to przekonało Cię, iż naprawdę myślałam, że ten dom jest ładny. To była pierwsza poważna decyzja, którą samodzielnie podjąłeś w naszym imieniu, a ja nie zamierzałam Cię za to atakować tylko dlatego, że perspektywa mieszkania tutaj sprawiała, iż chciałam podciąć sobie żyły. Wytłumaczyłam sobie, że kupiłeś go nie z powodu wyjątkowego poczucia piękna lub jego braku; po prostu jesteś podatny na sugestie. Nie było mnie przy Tobie i nie mogłam szeptać Ci do ucha o małych windach. Podczas mojej nieobecności miałeś gust bardzo podobny do dobrego smaku moich teściów. Albo jego zaktualizowaną wersję. Dom przy Palisades Parade starał się za wszelką cenę być właśnie w

tym typie - dom, który Twoi rodzice postawili w Gloucester w stanie Massachusetts był tradycyjnym budynkiem, jakie były wznoszone w Nowej Anglii. Ale tego stylu, niezałużającego żadnych kosztów, niewinnej wiary w Przyjemność, nie można było pomylić z niczym innym.

Rozkosz, jaką dawało mi motto Twojego ojca: „Dobra materialne są wszystkim”, nie dotyczyła jedynie jego wydatków. W istocie dostrzegałam wartość ludzi, którzy tworzą jakieś rzeczy, w dodatku w najwyższej jakości: Herb i Gladys zbudowali własny dom, wędzili własnego łososa, warzyli własne piwo. Nigdy jednak nie spotkałam ludzi, którzy do tego stopnia egzystowali wyłącznie w trzech wymiarach. Ekscytację u Twojego ojca widziałam tylko przy okazji kominkowego, klonowego zegara lub mocnego portera z grubą czapą piany, ale myślę, że w tych przypadkach uszczęśliwiała go fizyczna perfekcja tych rzeczy; siedzenie przy kominku i picie piwa było już tylko następstwem. Twoja matka z kolei gotowała z precyzją chemika i podczas wizyt jedliśmy bardzo smaczne dania. Jej malinowe ciasto przykryte bezą wyglądało jak wycięte z magazynu kulinarnego, jednak miałam wrażenie, że ciasto było celem samym w sobie, a jedzenie go, dłubanie w jej wytworze było pewnym rodzajem wandalizmu (można by powiedzieć, że trupioblada, chuda Gladys jest wspaniałą kucharką, a nie ma apetytu). Jeśli „linia produkcyjna towarów” brzmi mechanicznie, to takie właśnie wrażenie można było tam odnieść. Zawsze czułam pewną ulgę, gdy stamtąd wyjeżdżaliśmy. A przecież byli dla mnie tacy mili, tak namacalnie mili, że aż czułam się jak grubianka.

W ich domu wszystko było wypolerowane na wysoki połysk, który swoim blaskiem miał ukryć to, że wewnątrz było pusto. Nie czytali - w domu było kilka książek, zestaw encyklopedii (ciemnoczerwone grzbiety ocieplały pomieszczenie), ale używane były tylko poradniki z cyklu „Zrób to sam”, książki kucharskie i podniszczone o *działaniu rzeczy*, część pierwsza i druga. Nie potrafili zrozumieć, dlaczego ktoś może chcieć zobaczyć film, który nie ma szczęśliwego zakończenia lub kupuje brzydki obraz. Posiadali odtwarzacz stereo z najwyższej półki, wartości tysiąca dolarów, ale przy tym mieli zaledwie kilka płyt: *Arie operowe; Największe przeboje muzyki klasycznej*. To brzmi, jakby byli leniwi, ale sprawa była bardziej beznadziejna: Nie wiedzieli, do czego służy muzyka.

To samo można by powiedzieć o całym życiu Twojej rodziny: nie byli pewni, po co ono jest. Są świetni z tematu „mechanika życia”; wiedzieli, co robić, żeby wszystkie koła zębate sprawnie współdziałały, ale podejrzewali, że cały mechanizm działa jedynie dla samego siebie, tak jak jedna z tych zabawek stawianych na biurku, której srebrzyste metalowe kulki uderzają o siebie tak długo, aż tarcie je zmęczy. Twój ojciec był bardzo niezadowolony, gdy ukończyli budowę domu. Nie dlatego, że coś było nie tak, ale właśnie dlatego, że

wszystko było w porządku. Wysokociśnieniowy prysznic i hermetyczna szklana kabina zostały idealnie zamontowane, a gdy wyruszył po nieistotny zestaw najlepszych płyt, by nakarmić swoje wypasione stereo, wyobrażałam sobie, że będzie w stanie codziennie biegać w kurzu, żeby tylko dać rację bytu nowemu prysznicowi. Z tego powodu ich dom jest tak miły, błyszczący i nieskazitelny, wypełniony różnymi gadżetami i krajalnicą, która rozmraża i kroci pieczywo, że chyba nawet nie potrzebuje mieszkańców. I tak naprawdę to jego rzygający, srający, rozlewający kawę lokatorzy są jedynymi oznakami nieporządku w tej niepokalanej, samowystarczalnej biosferze.

Rozmawialiśmy o tym podczas naszych wizyt - wyczerpująco, odkąd obzarci i oddaleni o czterdzieści minut drogi od najbliższego kina, chcieliśmy dla rozrywki pociąć moich teściów. Zmierzam do tego, że gdy Kevin..., *Czwartek...*, wiesz, nie byli na to przygotowani. Nie kupili odpowiedniej maszyny takiej, jak ta niemiecka drylownica do malin, która pozwoliłaby im przejść przez ten proces i w pełni go zrozumieć. To, co zrobił Kevin, nie było racjonalne. Dzięki temu silnik nie chodził ciszej, a koło efektywniej; nie warzyło to piwa ani nie wędziło łososia. Nie rachowało; było *idiotyczne z fizycznego punktu widzenia*.

Jak na ironię, mimo że dziadkowie zawsze ubolewali nad tym, iż nasz syn nie chodzi do kościoła, to wbrew pozorom oboje mieli z nim więcej wspólnego, niż ktokolwiek inny. Jeśli oni nie wiedzieli, po co jest życie, to Kevin też nie wiedział. Co interesujące, zarówno oni, jak i Twój pierworodny, nienawidzili *czasu wolnego od zajęć*. Nasz potomek zawsze go krytykował, co musiało być pewnego rodzaju odwagą. Nigdy się nie oszukiwał, nawet jeśli coś w wolnym czasie robił, że zajmuje się czymś pożytecznym. Nie, nie - pamiętasz, że siedział godzinami zduszony, rzucający groźne spojrzenia i nie robił nic, tylko przeklinał każdą sekundę, każdą minutę swojego sobotniego popołudnia.

Dla Twoich rodziców perspektywa braku zajęcia była po prostu przerażająca. W przeciwieństwie do Kevina, nie mają tak mocnego charakteru, by zmierzyć się z pustką. Dziadek ciągle się gdzieś plątał, oliwiąc urządzenia codziennego użytku, a gdy skończył, ta dodatkowa wygoda obciążała go jeszcze bardziej znienawidzonym *wolnym czasem*. Co więcej, montując w ogrodzie zmiękczac wody lub system nawadniania, sam nie wiedział, co chce ulepszyć. Twarda woda oferowała perspektywę regularnego zluszczenia osadów z kuchennego zlewu, a w dodatku wołał podlewać ogród własnoręcznie. Różnica polega na tym, że on zainstalowałby zmiękczac bez żadnego sensownego powodu, a Kevin nie. Bezsensowność nigdy nie była rzeczą, którą przejmował się Twój ojciec. Dla niego życie składało się z komórek i elektrycznych impulsów, a to *jest* właśnie materiał, dlatego *dobra*



*materialne są wszystkim.* W tej prozaicznej wizji żyje - lub żył - Twój ojciec. To właśnie jest kontrast: Kevin też podejrzewał, że dobra materialne są wszystkim. On jednak się nimi zupełnie nie przejmował.

Nigdy nie zapomnę, gdy po raz pierwszy po *Czwartku* pojechałam odwiedzić teściów. Przyznałam, że wolałabym odłożyć tę wizytę, czym okazałam słabość. Jestem pewna, że wszystko byłoby zupełnie inaczej, gdybyś pojechał razem ze mną, ale na przeszkodzie stało Ci *nieodwracalne załamanie*. Sama, nawet bez fragmentu ich syna, zostałam postawiona przed faktem, że nic już nas nie łączy i mam wrażenie, że oni czuli dokładnie to samo. Gdy Twoja matka otworzyła drzwi, jej twarz poszarzała, ale gdy zapraszała mnie do środka, zachowywała się tak, jakby wprowadzała sprzedawcę akcesoriów do Hoovera.

Nazwanie jej sztywniakiem byłoby trochę niesprawiedliwe, ale bardzo nadaje się na spotkania towarzyskie. Lubi wiedzieć, co ma w danym momencie zrobić i co się stanie później. Dlatego jest taką miłośniczką długich posiłków. Znajduje odpoczynek w ustawianiu dań, zupa przed rybą, i nie przeszkadzają jej, w przeciwieństwie do mnie, problemy związane z przygotowaniem, podaniem i zmywaniem po trzydziuowym obiedzie, które zajmowały cały dzień, od rana do wieczora. Doskonale radzi sobie, nie tak jak ja, z narzuconą konwencją, jest osobą o dobrych chęciach, ale pozbawioną wyobraźni, a do tego doskonale przestrzega zasad. Ale, niestety, nie ma tam jeszcze zakodowanej regułki popołudniowej kawy z byłą synową po tym, jak wnuk dokonał masowego morderstwa.

Posadziła mnie w pokoju gościnnym, a nie w części mieszkalnej, co potraktowałam jako błąd - surowość wielkich krzeseł z wysokimi oparciami tylko podkreślała to, że Zasady są w rozsypce. Kolory pluszu, morska zieleń i blady róż tak odbiegały od rażącego, wściekłego podtekstu mojej wizyty, że wyglądały na zbutwiałe lub nieco mdłe; były kolorami pleśni. Twoja matka czmychnęła do kuchni. Byłam bliska płaczu z powodu jej nieczułości, ponieważ naprawdę nie byłam w stanie nic jeść, jednak zdałam sobie sprawę z tego, że odmówienie jej jedynej przyjemności byłoby okrutne. Nawet zmusiłam się do skosztowania jednego ciasteczka, ale bardzo szybko mój żołądek zaczął wywracać się na lewą stronę.

Gladys jest osobą tak nerwową i wrażliwą, że jej kruchość - i nie uważam, że nie jest ciepła czy miła - jej cielesna kruchość sprawiała, iż wyglądała ciągle tak samo. Prawda, że teraz linie na jej czole sprawiały wrażenie nieustannej konsternacji, jej oczy rozglądały się na wszystkie strony z większym poruszeniem niż zwykle, a gdy nie wiedziała, że się jej przyglądam, na twarzy miała wymalowane zagubienie, co przypominało mi o tym, jak mogła wyglądać, gdy była małą dziewczynką. Ogólny efekt był taki, że sprawiała wrażenie kobiety ciężko doświadczonej, ale elementy składające się na ten obraz były tak delikatne, że kamera

filmowa mogłaby ich nie uchwycić.

Gdy Twój ojciec wyszedł z piwnicy (słyszałam jego kroki na schodach i walczyłam ze strachem - mimo siedemdziesięciu pięciu lat wciąż był bardzo żywotnym człowiekiem, a jego ruchy były zbyt wolne i zbyt ciężkie), zmiana nie była już tak subtelna. Bawełniane ubranie robocze wisiało na nim mocno pofałdowane. Minęło tylko sześć tygodni i byłam w szoku, że tak szybko można aż tyle stracić na wadze. Jego wyblakła twarz zapadła się, dolne powieki obwisły, ukazując czerwone obwódki, policzki oklapły niczym u buldoga. Czułam się winna, zżerana przez przekonanie Mary Woolford, że ktoś musi być za to odpowiedzialny. Okazało się, że podobne przekonanie wyrażał Twój ojciec. Nie jest mściwą osobą, ale jako emerytowany konstruktor elektronicznych maszyn (zbyt idealne, że robił maszyny, które robiły maszyny), z najwyższą powagą rozpatrywał tę sprawę w kategoriach odpowiedzialności firmowej i praktyk biznesowych. Kevin okazał się wadliwy, a to ja byłam producentem.

Kręcąc filiżanką po pozłacanym spodku, czułam się niezręcznie. Zapytałam go o ogród. Popatrzył na mnie zdziwiony, tak jakby zapomniał, że go ma.

- Jagody - przypomniał sobie boleśnie - zaczynają rodzić. - Słowo *rodzić* zawisło w powietrzu. Krzewy może tak, ale Twój ojciec na pewno nie wyda żadnych owoców.

- A groch? Zawsze hodowałeś taki wspaniały groch.

Mrugnął oczami. Zegar wybił godzinę czwartą. Nigdy nie odpowiedział mi na pytanie o groch, a w pokoju zapanowała okropna cisza. Wyszło na jaw, że za każdym razem, gdy wcześniej pytałam o groch, to wcale mnie to nie obchodziło, a gdy on odpowiadał, to wcale nie kierował swoich słów do mnie.

Opuściłam oczy. Przeprosiłam, że wcześniej ich nie odwiedziłam. Nie byli z tego powodu źli, wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, co zaszło. Nie zareagowali w *żaden* sposób, nawet się nie *odezwali*, więc kontynuowałam moją wypowiedź.

Powiedziałam, że chciałam iść na wszystkie pogrzeby, gdybym tylko była tam mile widziana. Nie byli zdumieni tym, że nikt mnie nie chciał zaprosić. Rozmawialiśmy o *Czwartku* od chwili, gdy Twoja matka otworzyła drzwi. Przyznałam, że nie chciałam być niewrażliwa, więc wcześniej zadzwoniłam do rodziców zastrzelonych dzieci; część po prostu odłożyła słuchawkę. Inni prosili, bym trzymała się z daleka, moja obecność byłaby *niestosowna*, jak określiła to Mary Woolford.

Później mówiłam o Thelmie Corbitt - pamiętasz, jej syn Denny był szczuplutkim, rudowłosym chłopcem, początkującym aktorem - która była tak miła, że aż się zawstydziałam. Naraziłam się Twojej matce, mówiąc, że tragedia wyzwala w ludziach zupełnie

niespodziewane zachowania. Niektórzy (myślałam tu o Mary) zamykają się niczym w plastikowym, próżniowym opakowaniu, tak jak jednorazowe porcje obiadowe, i nie robią nic innego, tylko mordują się we własnym piekle. Inni z kolei mają zupełnie odwrotny problem, tak jakby katastrofa zanurzyła ich w kwasie, zdzierając z nich zewnętrzną powłokę, która chroniła przed nadmierną bliskością innych ludzi. Dla nich przejście przez ulicę i bliskość obcych stawała się torturą, niczym uderzenie bólu właśnie rozwiedzonego mężczyzny i kobiety, która choruje na raka krtani. Oni też byli w piekle, ale to było ogólnodostępne piekło, wielkie, bezbrzeżne morze toksycznych odpadów.

Wątpię, czy przedstawiłam to tak jak teraz, ale powiedziałam, że Thelma Corbitt była typem kobiety, której prywatne cierpienie stawało się przewodnikiem dla męczeństwa innych ludzi. Oczywiście nie relacjonowałam przebiegu całej rozmowy telefonicznej, ale bardzo wyraźnie słyszałam całą konwersację: Thelma natychmiast z podziwem wyraziła się o mojej odwadze, jaką musiałam mieć, by podnieść słuchawkę. Zaprosiła mnie na pogrzeb Denny'ego, o ile oczywiście nie będzie to dla mnie zbyt bolesne przeżycie. Przyznałam, że obecność na pogrzebie może pozwoli mi lepiej przeżyć mój własny smutek i zdałam sobie sprawę z tego, że mówię dokładnie to, czego ludzie ode mnie oczekują. Później Thelma wyjaśniła mi, że Denny otrzymał imię na cześć sieci restauracji, w której wraz z mężem spotkała się na pierwszej randce. Prawie przerwałam jej wypowiedź, bo im mniej wiedziałam o tym chłopcu, tym lepiej, ale ona upierała się, że dla nas obu będzie korzystniej, jeśli będziemy miały świadomość, kogo zamordował mój syn. Powiedziała, że Denny przygotowywał się do przesłuchań do szkolnego przedstawienia, sztuki Woody'ego Allena *Nie pij wody*, która miała być wystawiana wiosną, a ona pomagała mu w nauce tekstu.

- Rozśmieszał nas do łez - wspominała.

Powiedziałam, że widziałam Denny'ego w sztuce *Tramwaj* i był wspaniały (nieco naciągnęłam prawdę). Sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej, że jej syn nie był dla mnie jedynie suchą statystyką, nazwiskiem w gazecie lub torturą. Później powiedziała, że zastanawia się nad tym, czy nie jest mi ciężiej, niż im wszystkim. Wycofałam się. Odparłam, że to nie jest fair; przecież mimo wszystko ja wciąż mam swojego syna, a później ona rzekła coś, co wywarło na mnie duże wrażenie.

- Tak? Naprawdę go masz?

Nie odpowiedziałam na to pytanie, ale podziękowałam za jej troskę i uprzejmość, a później obie zaczęłyśmy głośno szlochać.

Powiedziałam Twoim rodzicom, że w końcu poszłam na pogrzeb Denny'ego. Siadłam w ostatnim rzędzie, ubrana na czarno, mimo że w obecnych czasach to już dość staroświeckie.

Później, po odczekaniu na swoją kolej do składania kondolencji, podałam Thelmie moją dłoń i powiedziałam: - Przykro mi z powodu mojej straty. - Dokładnie to powiedziałam. Przejęzyczenie, gafa, ale pomyślałam, że jeszcze gorzej wypadnę, jeśli sprostuję to i powiem - *twojej* straty, oczywiście. Dla Twoich rodziców byłam skończona. Gapili się na mnie.

W końcu uciekłam w logistykę. System prawny jest sam w sobie maszyną, a ja mogłabym opisać jej działanie dokładnie tak, jak kiedyś poetycko wyjaśnił to Twój ojciec: jako działanie katalizatora. Powiedziałam, że Kevin został oskarżony i uwięziony bez możliwości wyjścia za kaucją. Miałam nadzieję, że ta telewizyjna terminologia przyniesie skutek, ale przeliczyłam się (oczywiście, mocne, twarde szkło ekranu - widzowie nie chcą, by te wszystkie programy bez pytania wchodziły do ich domów, dokładnie tak samo, jak nie chcą u siebie ścieków z toalet innych ludzi). Powiedziałam, że wynajęłam najlepszego prawnika, jakiego mogłam znaleźć - czyli możliwie najdroższego. Pomyślałam, że teść mnie w tym poprze, skoro zawsze starał się o rzeczy z najwyższej półki. Znow się pomyliłam.

- Po co? - zapytał znudzony.

Nigdy nie słyszałam, by zadał takie pytanie. Z uznaniem przyjąłem tę zmianę. Ty i ja zawsze obgadywaliśmy ich za plecami, że są duchowo wypaleni.

- Nie jestem pewna, ale chyba tak trzeba... Żeby Kevin dostał możliwie najniższy wyrok, tak mi się wydaje - powiedziałam pochmurnie.

- Tego chcesz? - zapytała Twoja matka.

- Nie... Chciałabym cofnąć czas. Chciałabym, żeby nigdy się nie urodził, jeśli miałyby to coś zmienić. Nie mogę dostać tego, czego chcę.

- Ale chciałabyś, żeby poniósł karę? - naciskał Twój ojciec. Nie mówił z gniewem, po prostu nie miał już na tyle siły.

Chyba się roześmiałam. Taki krótki wybuch śmiechu. Mimo wszystko nie było to właściwe zachowanie.

- Przepraszam - usprawiedliwiłam się. - Życzę mu powodzenia. Przez większą część tych szesnastu lat starałam się go ukarać. Nic, co mu odbierałam, nie było dla niego ważne. Co robi mu stanowy system zwalczania przestępczości nieletnich? Zamknie go w jego pokoju? Próbowałam już tego. Nie korzysta praktycznie z niczego, poza swoim pokojem, wewnątrz zresztą też nie, więc co za różnica? Nie sprawią, że będzie miał poczucie wstydu. Cierpieć mogą tylko ludzie, którzy mają sumienie. Ukarać można tylko ludzi, którym w jakiś sposób można odebrać ich nadzieje lub odciąć od czegoś, co jest dla nich ważne, którzy martwią się tym, co myślą o nich inni. Ukarać można tylko ludzi, którzy mają w sobie choć odrobinę dobra.

- Ale może przynajmniej powinien być trzymany z dala od innych, by nie mógł już nikogo skrzywdzić - zauważył Twój ojciec.

Uszkodzony produkt jest wycofywany z rynku.

- Cóż, ludzie starają się o to, by był sądzony jak dorosły i skazany na karę śmierci - powiedziałam wyzywająco.

- Co ty o tym sądzisz, co czujesz? - zapytała Twoja matka.

Nie ma to jak dobry smutek. Pytali mnie też, czy AWAP wejdzie na giełdę, czy gadzety do prasowania działają na spodnie tak samo, jak żelazko. Nigdy jednak nie pytali mnie o to, co *czuję*.

- Kevin jeszcze nie jest dorosły. Ale czy byłby inny, gdyby już nim był? Może to inne specjalizacje, ale Masakra w Miejscu Pracy jest po prostu Szkolną Strzelaniną dla Dorosłych. Szczerze mówiąc, czasami chciałabym - beznamiętnie patrzyłam w okno - żeby został skazany na karę śmierci. Miałabym to za sobą. Ale może tylko w ten sposób chcę się zerwać z haczyka.

- Kochanie, nie powinnaś się obwiniać! - teściowa nieco nerwowo starała się mnie pocieszyć; gdybym się obwiniała, ona nie chciałaby tego słuchać.

- Gladys, nigdy go zbyt nie lubiłam - nasze spojrzenia spotkały się, jak matki z matką. - Zdaję sobie sprawę z tego, że naturalną rzeczą jest mówienie swoim dzieciom „Kocham cię”, ale nie zawsze cię „*lubię*”. Co to jest za miłość? Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to „Nie zapominam o tym, co robisz - to znaczy, wciąż możesz ranić moje uczucia - ale nie mogę wytrzymać, gdy jesteś w pobliżu”. Kto chciałby być *kochany* w taki sposób? Gdybym miała wybór, mogłabym zerwać więzy krwi i uspokoić się, by być lubianą. Zastanawiam się, czy bardziej nie wzruszyłoby mnie, gdyby moja matka przytuliła mnie do siebie i powiedziała „*Lubię* cię”. Nie jestem pewna, czy radość z towarzystwa własnego dziecka nie jest ważniejsza.

Zaskoczyłam ich. Co więcej, zrobiłam dokładnie to, przed czym Harvey mnie przestrzegał. Później oboje zeznawali, a urywki tej małej, upiornej przemowy były cytowane słowo w słowo. Nie wydaje mi się, by Twoi rodzice celowo chcieli mnie obciążyć, ale byli szlachetnymi mieszkańcami Nowej Anglii, a ja nie dałam im żadnego powodu do tego, by mieli mnie chronić. I chyba nawet nie chciałabym tego.

Gdy zaczęłam szykować się do wyjścia, odstawiłam zimną herbatę, oboje odczuli ulgę, choć nerwowo przymykali oczy. Musieli zdawać sobie sprawę z tego, że te nasze pogawędki przy herbacie będą wydarzeniami bardzo rzadkimi i może później, przed snem, będą rozmyślać o pytaniach, które mogli mi zadać. Byli uprzejmi, zapewnili, że zawsze będę

tu mile widziana. Twoja matka powiedziała, że niezależnie od tego, co się stało, wciąż traktuje mnie jak *członka rodziny*. Ich świat był mniej zamknięty, niż sześć tygodni wcześniej. W tym czasie jednak perspektywa włączenia w jakąkolwiek rodzinę była dla mnie równoznaczna z utknięciem w windzie między piętrami.

- Jeszcze jedna rzecz - Twój ojciec złapał mnie za ramię i jeszcze raz zadał pytanie, jakiego unikał przez całe życie. - Czy wiesz, dlaczego?

Obawiam się, że moja odpowiedź jedynie wyleczyłaby go z takich pytań, bo odpowiedzi na nie zwykle są niezadowolające.

*Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie.*

*Eva*

6 stycznia 2001

*Drogi Franklinie,*

Kolegium Elektorów właśnie zatwierdziło republikańskiego prezydenta i pewnie jesteś z tego powodu niezwykle zadowolony. Jednak mimo Twojej seksistowskiej pozy i konserwatywnego patriotyzmu, w roli ojca byłeś dobrym, małym liberałem, którego stosunek do kar cielesnych i zabawek niezwiązanych w żadnym stopniu z przemocą był dokładnie taki, jakiego wymagały tamte czasy. Nie naśmiewam się teraz, a jedynie zastanawiam czy Ty też wracasz myślami do podjętych przez nas środków ostrożności i rozważasz, gdzie popełniliśmy błąd.

Mój własny obraz wychowywania Kevina był związany z wyuczonymi regułkami prawnymi.

- Pani Khatchadourian - Harvey męczył mnie podczas przesłuchania. - Czy kierowała się pani zasadą, zgodnie z którą dzieci nie mogły bawić się zabawkowymi pistoletami?

- Bez żadnej gwarancji, tak.

- I monitorowała pani programy telewizyjne i filmy wideo, które oglądają dzieci?

- Staraliśmy się trzymać Kevina z daleka od wszelkich rzeczy związanych z przemocą lub seksem, szczególnie wtedy, gdy był mały. Niestety, to znaczyło, że mój mąż nie mógł oglądać większości swoich ulubionych programów. Dlatego postanowiliśmy uczynić jeden wyjątek.

- Jaki to wyjątek? - znów irytacja, to nie było zaplanowane.

- Kanał historyczny - zachichotałam. Odgrywałam swoje przedstawienie dla ubogich.

- Chodzi o to - Harvey cedził przez zęby - że za wszelką cenę starała się pani doprowadzić do tego, by syn nie znajdował się w nieodpowiednim otoczeniu, czy tak?

- W domu - odpowiedziałam. - To jedynie sześć akrów wyjętych z tej planety. A nawet tam ja sama nie byłam chroniona przed jego złym wpływem na mnie.

Harvey zatrzymał się i głęboko wciągnął powietrze. Wyczułam, że to pewnie jakiś fachowiec od medycyny alternatywnej nauczył go tej techniki.

- Innymi słowy, nie była pani w stanie kontrolować tego, czym bawił się Kevin, lub co oglądał w domach innych dzieci?

- Szczerze mówiąc, inne dzieci rzadko zapraszały go częściej niż raz.

- Pani Khatchadourian, proszę odpowiedzieć na pytanie - zainteresowała sędzia.

- Raczej nie - podporządkowałam się; zaczynałam się nudzić.

- A co z Internetem? - kontynuował Harvey. - Czy pani syn miał nieograniczony

dostęp do wszelkich stron, także tych zawierających przemoc i treści pornograficzne?

- Zainstalowaliśmy niezbędne oprogramowanie zabezpieczające, ale pewnego dnia Kevin złamał hasła - lekceważąco machnąłam ręką. Harvey ostrzegał mnie, żebym nigdy nie dawała najmniejszej nawet oznaki niepoważnego traktowania procesu, ale w tym przypadku odezwała się moja skłonność do perwersji. Po powrocie do stołu obrony opuściłabym powieki i spuściła głowę. Aby się otrzeźwić, dodałam niepotrzebny komentarz, po którym sędzia - świętoszkowata i ostra kobieta, przypominająca mi doktor Rhinestein - ponownie zwróciła mi uwagę.

- Wysoki Sądzie - kontynuowałam - w wieku jedenastu czy dwunastu lat było już za późno. Odcięcie od przemocy w telewizji, blokady na komputerze... Dzieci żyją w tym samym świecie, co dorośli. Nabieranie samych siebie, że jesteśmy w stanie je przed tym ochronić, jest nie tylko naiwnością, ale jest także bezcelowe. Chcemy być w stanie powiedzieć sobie, jakimi dobrymi rodzicami jesteśmy, że robimy *wszystko, co w naszej mocy*. Gdybym miała przechodzić to jeszcze raz, to pozwoliłabym Kevinowi na dowolną zabawkę; nie miał wielkich wymagań. I zniosłabym zakaz oglądania brutalnych programów telewizyjnych i filmów dla dorosłych. To tylko robiło z nas głupków. Podkreślało jedynie naszą bezsilność i sprawiało, że nami gardził.

Mimo że miałam możliwość poprowadzenia monologu na sali sądowej, w głowie bardzo sobie to skróciłam. Teraz już nie cierpię na prawniczą irytację, więc pozwól, że rozwinę swoją myśl.

Tym, co budziło w Kevinie pogardę, nie była, tak jak sugerowałam, nasza nieumiejętność chronienia go przed Wielkim Złym Światem. Nie, dla Kevina tematem żartów była sama istota, a nie nieskuteczność ochrony przed tematami tabu. Seks? Och, wykorzystał to, gdy odkrył, że się tego boję, a raczej boję się tego w związku z nim, ale w innym przypadku? To było nudne. Nie obraż się, z Tobą znajdowałam w tym dużą przyjemność, ale ogólnie seks *jest* nudny. Jak zabawki, którymi Kevin gardził, gdy był małym szkrabem, okrągły palik wchodzi do okrągłej dziury. Tajemnica polega na tym, że nie ma żadnej tajemnicy. Poza tym pieprzenie w jego szkole średniej było tak powszechne i codzienne, że wątpię, by go to jakoś specjalnie podniecało. Alternatywne okrągłe dziury dostarczały jedynie chwilową nowość, której ulotność Kevin dostrzegł bardzo szybko.

Co do przemocy, to tutaj sekret jest trochę bardziej skomplikowany.

Pamiętasz, gdy postanowiliśmy znieść reguły, by zobaczyć kilka porządnych filmów i oglądaliśmy *Waleczne Serce*, że tak powiem, całą *rodziną*? W finałowej scenie Mel Gibson jest rozciągnięty na łożu tortur, a wszystkie kończyny ma przywiązane do jego rogów. Za



każdym razem, gdy angielscy oprawcy naciągali liny, włókna jęczały i ja też. Gdy kat wpechnął swój zakrzywiony nóż w brzuch Mela i szarpnął go w górę, przycisnęłam dłonie do skroni i cicho zakrzyknęłam. Ale gdy przez ramię spojrzałam na Kevina, on niewzruszony wpatrywał się w ekran. Na wpół uniesione, zgorzkniałe usta były jego normalną reakcją na resztę świata. Nie rozwiązywał krzyżówki w „Timesie”, a raczej beznamiętnie wypełniał mazakiem białe pola.

Filmowe tortury i zadawanie bólu jest trudne do zniesienia tylko wtedy, gdy uwierzysz, że to właśnie ty jesteś im poddawany. W rzeczywistości to dość ironiczne, że takie widowiska mają tak fatalną reputację wśród piewców Biblii. Tym bardziej, że makabryczne efekty specjalne pozytywnie wpływają na chrześcijańskie współczucie dla bliźniego, bo przecież możemy wcielić się w jego skórę. Kevin jednak odkrył cały sekret: nie tylko, że to nie było prawdziwe, ale także *to nie był on*. Przez lata obserwowałam, jak ogląda ścinanie głów, patroszenie ludzi, ćwiartowanie ciał, odzieranie ze skóry, wbijanie na pal, wydłubywanie oczu, krzyżowanie i nigdy nie widziałam, żeby się skrzywił. Bo zrozumiał, na czym polega trik. Jeśli nie będziesz się z tym identyfikował, to krojenie ludzi będzie wywierało takie samo wrażenie, jak matka przygotowująca boeuf Strogonow. Przed czym my w ogóle staraliśmy się go chronić? Możliwości stosowania przemocy są niczym podstawy geometrii, a prawa, jakimi się ona rządzi, zbliżone są do gramatyki, jak szkolna definicja przyminka. Przemoc jest czymś, co samolot może zrobić chmurom. Nasz syn był więcej niż przeciętny z geometrii i gramatyki. W *Walecznym Sercu*, *Wściekłych psach* czy *Laleczce Chucky II* niewiele było rzeczy, których sam by nie wymyślił.

No i w końcu było to coś, czego Kevin nigdy nam nie wybaczył. Nie miał pretensji o to, że chcemy grubą kurtyną oddzielić go od okropności świata dorosłych, które czają się po drugiej stronie. Czuł się bardzo dotknięty tym, że prowadziliśmy go ogrodową alejką - że mamiliśmy go perspektywą egzotyki (czy ja sama nie karmiłam się przypadkiem wymysłem, że w końcu wyląduje w kraju, który był *gdzieś indziej?*). Kiedy ukrywaliśmy nasze wymyślone tajemnice, na które Kevin był zbyt młody, jasno postanowiliśmy, że gdy nadejdzie właściwy czas, opuścimy zasłonę i ujawnimy - no właśnie, co? W przeciwieństwie do niejasnego świata emocji, jakiego spodziewałam się po urodzeniu dziecka, wątpię, by Kevin stworzył sobie jakiś żywy obraz czegoś, do czego nie pozwoliliśmy mu się zbliżyć. Jedno jest pewne: nie wyobraził sobie tego, że po drugiej stronie naszych głupich reguł nie było *nic*. Dosłownie *nic*.

Prawda jest taka, że próżność opiekuńczych rodziców, którą przytaczałam w sądzie, jest czymś więcej, niż tylko postawą „spójrz na nas, jakże odpowiedzialnymi opiekunami

jesteśmy”. Nasze zakazy sprawiają, że czujemy się ważniejsi. Umacniają konstrukcję, którą my, wszyscy dorośli, tworzymy. Przez swą pychę uzyskaliśmy dostęp do niepisanego Talmudu, którego wstrząsającą zawartość chronimy przed „niewinnymi” dla ich własnego dobra. Schlebując mitowi naiwności, służymy swojej własnej legendzie. Prawdopodobnie spojrzeliśmy w twarz *Przerażenia*, tak jakbyśmy ujrzeli nagie oko słońca, wyrażające się w niespokojnych, zepsutych kreaturach, które nawet dla nas są tajemnicą. Obrzydzeni tym objawieniem, gdybyśmy tylko mogli, cofnęlibyśmy czas, ale teraz nie ma już powrotu do błęgiego, beztroskiego świata dzieciństwa. Nie mamy wyboru, musimy dźwigać to brzemie, którego głównym celem jest ochrona naszych maluchów przed wzrokiem z otchłani. To poświęcenie w tragiczny sposób schlebia naszej próżności.

Ostatnią rzeczą, jaką chcemy przyznać, jest to, że zakazany owoc, który obgryzamy od momentu przekroczenia magicznej bariery dwudziestu jeden lat, jest tym samym daniem, co Złoty Przysmak, który pakujemy do dziecięcych pojemników na drugie śniadanie. Nie chcemy być świadomi, że sprzeczka w piaskownicy perfekcyjnie zapowiada machinacje dokonywane w sali konferencyjnej, że nasza społeczna hierarchia jest jedynie rozwinięciem tego, kto kogo wybierze do drużyny piłkarskiej i że dorośli także dzielą się na awanturników, grubasów i mazgajów. Co dziecko ma odkryć? Prawdopodobnie górujemy nad nim *prawem* do seksu, ale i tak te pozory boleśnie zderzają się z faktami, że pewnie wynikają z jakiejś zbiorowej amnezji. Do dziś jedno z moich najbardziej intensywne wspomnień związanych z seksem przypada na moment, kiedy miałam dziesięć lat, z czego zwierzyłam Ci się w jednym z poprzednich listów. Nie, dzieci też mają seks. Tak naprawdę jesteśmy jedynie większą, bardziej chciwą wersją tego samego jedzącego, wydalającego i rutynowo postępującego tłumu, nieustannie udającego kogoś, kim nie jest, bo przecież od trzeciego roku życia wszystko, co robimy, to jedzenie, wydalanie i inne rutynowe czynności. *Tajemnicą jest brak tajemnicy*. To właśnie chcemy ukryć przed naszymi dziećmi, a ograniczenia tym spowodowane są prawdziwym spiskiem dorosłości, paktem, który zawarliśmy, Talmudem, który chronimy.

Jasne, że gdy Kevin miał czternaście lat, przestaliśmy kontrolować, jakie filmy ogląda, o której godzinie wraca do domu, co czyta. Ale patrząc na te wszystkie głupie filmy i strony internetowe, pijąc napoje alkoholowe, całując te głupie tyłki, obściskując durne dziewczyny, Kevin musiał czuć się oszukany. A w *Czwartek*? Założę się, że wciąż czuł się oszukany.

W tym czasie na twarzy Harveya mogłam dostrzec przejaw wyrozumiałości, ponieważ uznał moją małą mowę za wyjątkowo destrukcyjny brak umiaru. Nasza sprawa - a w zasadzie jego sprawa - opierała się na twierdzeniu, że byłam normalną matką, z normalnymi uczuciami

macierzyńskimi, która zastosowała standardowe środki ostrożności, by uzyskać pewność, że wychowa zdrowe psychicznie dziecko. To, czy byliśmy ofiarami pecha, złych genów czy niewłaściwej kultury, było tematem do badań dla szamanów, biologów lub antropologów, a nie dla sądu. Harvey zamierzał odwołać się do ukrytego strachu każdego rodzica, który obawia się, że mimo zupełnie właściwego procesu wychowania dziecka, pewnego dnia usłyszy koszmarną wiadomość, od której nie ma żadnej ucieczki. Moim zdaniem to podejście było głupie, ale teraz, gdy minął już rok, jestem nieco zażenowana swoją ówczesną kłótnością.

Podobnie jak bezosobowy znaczek z napisem „depresja poporodowa”, nasza linia obrony pod hasłem „na-chwałę-Pana” spowodowała, że za wszelką cenę chciałam odróżnić się od tych wszystkich normalnych matek, choćby nawet jako marna matka, nawet za potencjalną cenę 6,5 miliona dolarów (oskarżyciele policzyli wartość mojej firmy). Franklinie, ja już straciłam wszystko, wszystko poza firmą, której posiadanie w takich okolicznościach sprawiało głupie wrażenie. Prawdą jest, że od tamtego momentu czasami tęskniłam za biznesem, prowadzonym teraz przez obcych ludzi, ale w tamtym momencie było mi wszystko jedno. Nie obchodziło mnie, czy przegram sprawę, bo w trakcie procesu, choć trochę byłam pobudzona, nie interesowało mnie, czy stracę swoje pieniądze. Nawet modliłam się o to, bym musiała sprzedać nasz obrzydliwy dom. *Nic mnie nie obchodziło.* W apatii jest wolność, dzikie, odurzające wyzwolenie, którym prawie można się upić. Możesz robić wszystko. Zapytaj Kevina.

Jak zwykle niosłam swój krzyż dla przeciwnej strony (uwielbiali mnie, chętnie powołaliby mnie na swojego świadka), więc skończyłam swoje zeznania. Schodząc, zatrzymałam się i powiedziałam: - Coś mi się jeszcze przypomniało.

- Chciałaby pani poprawić swoje zeznanie?

- Pozwoliliśmy Kevinowi na to, by miał jeden własny pistolet (Harvey westchnął ciężko). Pistolet na wodę, gdy miał cztery lata. Mój mąż uwielbiał takie zabawki, gdy był mały, więc zrobiliśmy ten jeden wyjątek.

Był to wyjątek od reguły, który na początku uznałam za głupi. Jednak dzieci, trzymane z dala od replik broni, zaczęły mierzyć do ciebie drewnianym patykiem, a ja nie widzę znaczącej różnicy pomiędzy plastikową zabawką na baterie, hałasującą *rat-a-tat-tat*, a wycelowanym patykiem i dzieckiem krzyczącym „pif-paf!”. Przynajmniej Kevin lubił tę zabawkę, a na pewno od momentu, w którym zorientował się, że jest irytująca. W czasie całej naszej przeprowadzki z Tribeca moczył rozporzki robotników, a później oskarżał ich, że

„sikają w majtki”. Myślałam, że to całkiem niezłe, jak na chłopca, który wciąż nic sobie nie robi z naszych nieśmiałych sugestii, by „sikał do nocniczka, jak mamutka i tatuś”, tym bardziej, że większość dzieci już dwa lata wcześniej umiała spuszczać wodę. Na twarzy miał drewnianą maskę, którą przywiozłam mu z Kenii, z poszarpanymi, nastroszonymi sizalowymi włosami, wąskimi szparami na oczy, otoczonymi wielkimi, białymi kołami i strasznymi, trzycalowymi zębami z ptasich kości. Na tle jego wychudzonego ciała ta ogromna maska nadawała mu wygląd lalki wudu w pieluchach. Nie wiem, o czym myślałam, gdy mu ją kupowałam. Ten chłopiec wcale nie potrzebował maski. Przecież jego twarz była nieprzeniknioną tajemnicą, a wymalowany obraz mściwej wściekłości sprawiał, że miałam ciarki. Noszenie ciężkich pudeł z mokrymi spodniami na pewno nie było lekką pracą. Ale to byli mili faceci, nie narzekali i byli bardzo ostrożni. Gdy tylko zobaczyłam nerwowe skurcze na ich twarzach, powiedziałam Kevinowi, żeby przestał. W tym momencie zwrócił swoją maskę w moja stronę, by upewnić się, że na niego patrzę, i wystrzelił z wodnego pistoletu prosto w tyłek jednego z pracowników.

- Kevin, powiedziałam, żebyś przestał. Nie oblewaj tych miłych panów, którzy przecież starają się nam pomóc, *mówię poważnie* - oczywiście dałam tym do zrozumienia, że za pierwszym razem nie mówiłam poważnie. Inteligentne dziecko do granic możliwości wykorzystuje powiedzenie „tym-razem-mówię-poważnie” i dochodzi do wniosku, że wszystkie ostrzeżenia są nic niewarte.

Tak więc przeszliśmy całą procedurę. Plask-plask-plask. *Kevin, tym razem już przestań.* Plask-plask-plask. *Kevin, więcej nie będę tego powtarzać.* A potem (plask-plask-plask) nieuniknione: *Kevin, jeśli jeszcze raz to zrobisz, to zabiorę ci pistolet.* W efekcie usłyszałam: Yyee-yyee? Yyee yyee yyee YyEE-yyee-yyee-yyee yyee yyyyy, yyee yye-yye yye YyE-yye yye-yyeeyeee.

Franklinie, co takiego dobrego było w tych wszystkich książkach dla rodziców, którymi się zaczytywałeś? Następną rzeczą, jaką pamiętam było to, że przykucnąłeś za naszym synem i pożyczyłeś jego durną zabawkę. Słyszałam tylko jakieś szepty o *mamutce*, a potem *Ty oblałeś mnie*.

- Franklinie, to nie jest miłe. Powiedziałam mu, żeby przestał. Nie pomagasz mi w tym.

- YyEE-yyee? YyE yyyyy yyyyy. Yyee yyee-yyhh yyee yyee. Yyee yyyyy yyyyy-yyee!  
- o dziwo *to yyee-yyee* wyszło z Twoich ust, po tym, jak trafiłeś mnie prosto między oczy. Kevin krzyknął (wiesz, do dzisiaj nie nauczył się śmiać). Gdy oddałeś mu pistolet, strzelił we mnie, a moja twarz była cała mokra.

Wyrwałam mu pistolet.

- Aaaaa! - zapłakałeś. - Eva, przeprowadzka to przy okazji bardzo bolesne przeżycie! -  
*Przy okazji*, tak właśnie rozmawialiśmy. - Nie możemy się trochę zabawić?

Miałam w ręku pistolet na wodę i najłatwiejszym wyjściem z tej sytuacji było odwrócenie ról: mogłam strzelić prosto w Twoją twarz, a później mielibyśmy hałaśliwą rodzinną kotłowaną, w której wyrwałbyś mi pistolet i oddał go Kevinowi... Śmiałybyśmy się przy tym do łez i pewnie przez wiele lat byłoby to jedno z najmiłszych wspomnień. Później dziecko wróciłoby do swej zabawy w oblewanie robotników. Mogłam też uciąć wszelką radość, co zresztą zrobiłam, i schować pistolet do torebki, co też uczyniłam.

- Robotnicy nasikali w spodnie - powiedziałeś do Kevina - ale mamutka zepsuła zabawę.

Oczywiście, że słyszałam od innych rodziców o niesprawiedliwym podziale na „dobrego i złego policjanta”. Ten dobry zawsze był ulubieńcem dziecka, a na złego kierowały się wszelkie negatywne emocje. Pomyślałam wtedy, dlaczego, do cholery, to się przytrafia akurat mnie? Ja w najmniejszym stopniu nie jestem tym *zainteresowana*.

Przekłęte *alter ego* Kevina zlokalizowało pistolet, znajdujący się w mojej torebce. Większość chłopców w takiej sytuacji zaczęłaby płakać. On jednak cicho zwrócił swoje okraszone ptasimi kośćmi oblicze w stronę matki. Od najmłodszych lat był intrygantem. Potrafił cierpliwie czekać na właściwy moment.

Biorąc pod uwagę, że uczucia dziecka są bardzo wrażliwe, jego przywileje niewielkie, a codzienne rzeczy marne, nawet jeśli rodzice nie odmawiają mu niczego, miałam okazję, by zrozumieć, że karanie własnego dziecka jest bardzo bolesne. Tak naprawdę jednak, gdy zabrałam Kevinowi pistolet, miałam poczucie okrutnego zadowolenia. Gdy tak jechaliśmy za przeprowadzającą nas ciężarówką do Gladstone, posiadanie ulubionej zabawki syna napępniało mnie taką rozkoszą, że wyjęłam ją z torebki, trzymając palec na spuście. Uwięziony między nami na przednim siedzeniu, chłopiec przeniósł wzrok z moich kolan na deskę rozdzielczą z teatralną obojętnością. Z jego zachowania niewiele można było wywnioskować, ciało miał rozluźnione, jednak zdradzała go maska. W środku kipiał z wściekłości. Nienawidził mnie całym sobą, a ja byłam z tego powodu szczęśliwa jak diabli.

Myślę, że wyczuł moje zadowolenie i postanowił zemścić się za to w przyszłości. Już wtedy zaczął zdawać sobie sprawę, że załącznik - nawet, jeśli to tylko pistolet na wodę - czynił go podatnym na zranienie. Odkąd mogłam pozbawić go wszystkiego, czego chciał, najmniejsze żądanie wiązało się z odpowiedzialnością. I jakby chcąc podkreślić wagę tego odkrycia, rzucił maskę na podłogę samochodu i kopnął ją, bezwiednie łamiąc przy okazji

kilka zębów. Nie wyobrażam sobie, że był tak wcześnie rozwiniętym chłopcem - takim potworem - że już w wieku czterech i pół roku zaspokoił każde swoje ziemskie pragnienie. Wciąż chciał dostać w swoje ręce ulubiony pistolet na wodę. Ale obojętność w końcu przeistoczyła się w niszczycielską broń.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, dom wyglądał nawet bardziej ohydnie, niż to zapamiętałam. Zaczęłam się zastanawiać, czy będę w stanie spędzić w nim pierwszą noc, nie zalewając się łzami. Wyskoczyłam z kabiny. Kevin sam się wyplątał z uwięzi, odmawiając przyjęcia pomocy. Stał na progu, uniemożliwiając zamknięcie drzwi.

- Oddaj mi mój pistolet - powiedział. Nie była to prośba, a raczej ultimatum. Nie przewidywał dla mnie drugiej szansy.

- Zachowywałeś się jak kretyn - odparłam żwawo, łapiąc go za ramiona i stawiając na ziemi. - Zabawki nie są dla kretynów - dodałam. I pomyślałam przy tym, że bycie rodzicem nie jest takie złe. W tamtej chwili było nawet zabawne.

Pistolet trochę przeciekał, więc nie chciałam zbyt długo trzymać go w torebce. Robotnicy zaczęli rozładowywanie samochodu, a Kevin w tym czasie poszedł za mną do kuchni. Wsparłam się na blacie i końcami palców wsunęłam pistolet na górną szafkę.

Byłam zajęta kierowaniem, co gdzie ma zostać wniesione, i do kuchni wróciłam mniej więcej po dwudziestu minutach.

- Nie ruszaj się, mój panie - powiedziałam. - *Stop*.

Kevin wpakował właśnie pudełko na dwie skrzynki i stworzył sobie schody do blatu, gdzie jeden z robotników położył pudełko z naczyniami, które miało służyć za kolejny stopień. Mój syn czekał, aż usłyszy odgłos moich kroków i dopiero wtedy zaczął się wspinać do góry. W jego pojęciu nieposłuszeństwo niewidziane przez nikogo jest stratą czasu. Gdy doszłam do kuchni, jego tenisówki zanosły go już na trzeci stopień. Lewą dłońią wspierał się na chwiejącej się szafce, a prawą był już o dwa cale od swojego pistoletu na wodę. Nie musiałam nawet krzyknąć *Stój!* Ustawił się tak, jakby czekał, aż ktoś zrobi mu zdjęcie.

- Franklinie! - wrzasnęłam nerwowo. - Chodź tutaj, proszę! Szybko! - Nie byłam aż tak wysoka, by zdjąć Kevina na podłogę. Gdy stałam poniżej, przygotowana do łapania, gdyby się pośliznął, zmierzyliśmy się wzrokiem. Jego źrenice wrzały czymś, co mogło być dumą, radością lub żalem, o *Boże*, pomyślałam. Ma dopiero cztery lata, a już ze mną wygrywa.

- Cześć, łobuziaku! - zaśmiałeś się i zdjąłeś go na podłogę, ale wcześniej jeszcze zdążył zabrać swój pistolet. Franklinie, miałeś takie piękne ramiona. - Mały młodzieniec uczy

się latać!

- Kevin zachowywał się bardzo, bardzo źle! - syknęłam. - Teraz zabierzemy mu pistolecik na bardzo, bardzo długo!

- O nie, przecież sam go sobie wywalczył, prawda, maluchu? Cóż za odwaga, żeby tak się wspiąć. Prawdziwa mała małpka, nieprawdaż?

Cień przebiegł przez jego twarz. Może i myślał, że mówisz do niego, a jeśli tak, to protekcjonalność w Twoim głosie bardzo mu pasowała.

- Jestem małą małpką - powiedział z kamienną miną. Dumnie odmaszerował z pistoletem kołyszącym się przy jego boku z arogancją, która kojarzyła mi się z porywaczami samolotów.

- Najzwyczajniej mnie upokorzyłeś.

- Evo, przeprowadzka dla nas jest trudna, a dla dzieci to bardzo traumatyczne przeżycie. Daj mu trochę luzu. Słuchaj, mam złe wiadomości na temat twojego bujanego fotela...

Na pierwszą uroczystą kolację w naszym nowym domu, którą zorganizowaliśmy następnego dnia, kupiliśmy steki, a ja założyłam moją ulubioną, białą suknię, kupioną w Tel-Awiwie. Tego samego wieczoru Kevin nauczył się napełniać swój pistolet sokiem z winogron. Twoim zdaniem to było bardzo śmieszne.

Dom odrzucał mnie w każdym fragmencie w takim stopniu, w jakim ja go odrzucałam. Nic nie pasowało. Było tam tak mało prostych kątów, że zwykła komoda, ustawiona w rogu, zawsze zostawiała trójkątną, pustą przestrzeń. Moje meble były poobijane, jednak w Tribeca zniszczone, ręcznie robione pudełko na zabawki, fałszujące dziecięce pianino, wygodna, zapadająca się kanapa, z której poduszek wypadał puch, sprawiały wrażenie nieszablonowych. Nagle w naszym nowym, wzorcowym mieszkaniu te sprzęty wyglądały jak śmieci. Było mi szkoda rzeczy, tak samo jak żałowałam moich prostych, ale dobrodusznych przyjaciół szkolnych z Racine, wmieszanych w awanturę na przyjęciu, a także nowojorczyków, jak Eileen i Belmont.

To samo dotyczyło się mebli kuchennych: stojąc na lśniącym blacie z zielonego marmuru, mój mikser z lat czterdziestych zmienił się z osobliwości w obrzydlistwo. Później przyszedłeś do domu z robotem kuchennym w kształcie pocisku, a ja zabrałam mój starożytny mikser do Armii Zbawienia, tak jakby ktoś trzymał go na muszce. Gdy rozpakowałam powgniatane garnki i patelnie z zaskorupiałego aluminium, z rączkami posklejаныmi taśmą, wyglądało to tak, jakby jakaś bezdomna osoba zagnieździła się w mieszkaniu podczas

nieobecności właścicieli, którzy w tym czasie polecili do Rio. Naczynia też wyrzuciłam, a Ty kupiłeś w Macy nowy zestaw, emaliowany na czerwono. Nawet nie zauważyłam, że moje sprzęty kuchenne były już takie stare, choć muszę przyznać, że świadomie tego nie dostrzegałam.

W sumie mogłam być bardzo bogata, ale nigdy nie miałam wielu rzeczy, a poza jedwabnymi zasłonami z południowo-wschodniej Azji, kilkoma rzeźbami z Afryki i ormiańskimi tkaninami od mojego wujka, w większości obywaliśmy się resztkami wyniesionymi z mojego dawnego życia w Tribece. Nawet zagraniczne pamiątki przybierały nieautentyczną aurę, tak jakby były kupione w sklepie w najlepszej dzielnicy. A odkąd nasza estetyczna wizja zbiegła się w czasie z moją przerwą w pracy w AWAP-ie, czułam się, jakbym usychała.

Dlatego właśnie praca nad powstającym projektem była dla mnie taka ważna. Zdaję sobie sprawę, że ten incydent uosabia moją nietolerancję, surowość i brak zgody na dzieci. Ale dla mnie znaczy to coś zupełnie innego.

Na pracownię wybrałam jedyny pokój, w którym nie było drzewa. Miał tylko jedno okno w suficie i był *prawie* prostokątny - niewątpliwie został zaprojektowany na końcu, gdy dzięki Bogu wizja Domu Marzeń okazywała się nietrafiona. Większość ludzi uznałaby zaklejenie drogiego drewna za świętokradztwo, ale my wręcz pływaliśmy w drewnie tekowym. Chciałam, aby choć jeden pokój dawał mi poczucie, że jestem w domu: całą pracownię okleiłam mapami. Miałam ich mnóstwo: plany miast Porto i Barcelony z zakreślonymi na czerwono hotelami i pensjonatami, które chciałam opisać w *IBERWAP-ie*; mapy Doliny Rodanu z leniwie wijącą się żółtą trasą mojej podróży, całe kontynenty z zaznaczoną siatką międzynarodowych połączeń lotniczych.

Jak wiesz, zawsze uwielbiałam wszelkiego rodzaju mapy. Czasami miałam nawet wrażenie, że w przypadku konfliktu atomowego prawdziwą władzę będą mieli nie biali najeźdźcy z pistoletami czy mormoni z puszkowanymi sardynkami, a ludzie potrafiący posługiwać się mapami, którzy będą wiedzieli, że ta właśnie droga prowadzi w góry. Dlatego pierwszą rzeczą, jaką robię po przybyciu do nowego miejsca, jest odszukanie mapy. Bez niej czuję się upośledzona i zagubiona. Gdy już zdobędę plan, mogę poznać miasto dokładniej, niż jego mieszkańcy, którzy w większości kompletnie gubią się poza zasięgiem piekarni, masarni i własnego domu. Jestem bardzo dumna z mojej umiejętności nawigacji, bo znacznie lepiej niż większość ludzi radzę sobie w terenie, gdzie mogę określić położenie geograficzne za pomocą rzek, torów kolejowych i słońca. Przepraszam, ale czym innym mogę się teraz chwalić? Starzeję się, starzej wyglądam. Pracuję w biurze podróży, a mój syn jest mordercą.



Zawsze kojarzyłam mapy z mistrzostwem i mogłam mieć nadzieję, że dosłowne znaczenie właściwego kierunku, jaki zawsze wskazywały, pomoże mi zorientować się w zupełnie nowym życiu matki mieszkającej na przedmieściach. Bardzo pragnęłam jakiegoś fizycznego wzoru siebie z przeszłości, który przypominałby mi, że porzuciłam tamto życie z własnej woli i w każdej chwili mogę do niego wrócić, jeśli tylko będę chciała. Nosłam w sobie bardzo wątłą nadzieję, że gdy Kevin dorośnie, to z ciekawością będzie wskazywał palcem na Majorkę i zapyta, jak tam było. Byłam dumna z własnego życia, a gdy powiedziałam sobie, że dzięki wykształconej matce mój syn będzie mógł być z siebie dumny, chciałam prawdopodobnie, by był dumny ze mnie. Wciąż nie miałam pojęcia, jak trudne byłoby to zadanie dla każdego rodzica.

Z fizycznego punktu widzenia moje zadanie było wyczerpujące. Mapy były w różnych rozmiarach, a ja musiałam zaprojektować wzór, który nie mógł być symetryczny ani systematyczny, ale by mimo wszystko stanowił sensowne połączenie kolorów i mieszankę planów miast z mapami całych kontynentów. Musiałam nauczyć się korzystania z kleju do tapet, który bardzo brudził, w dodatku niektóre starsze, sfatygowane plany wymagały prasowania; papier szybko zbrązowiał. W domu wciąż było jeszcze wiele do zrobienia, nieustannie też konsultowałam się z Louisem Role, nowym wydawcą w AWAP-ie, dlatego oklejanie mojego pokoju zajęło mi kilka miesięcy.

Właśnie to miałam na myśli, mówiąc wcześniej o cierpliwości Kevina. Obserwował oklejanie gabinetu i doskonale zdawał sobie sprawę, jak pracochłonne było to zajęcie; osobiście zatroszczył się o to, by było jeszcze bardziej uciążliwe, roznosząc klej do tapet po całym mieszkaniu. Być może nie rozumiał, co przedstawiają te plany, wiedział jednak, że znaczą coś dla mnie.

Gdy zakleiłam ostatni kąt przy oknie topograficzną mapą Norwegii, usianą fiordami, zesłam z drabiny i obracając się, oceniłam cały efekt. To było wspaniałe! Dynamiczne, dziwaczne i mocno sentymentalne. Odcinki biletów kolejowych, plany muzeów i rachunki hotelowe nadały temu efektownemu kolażowi osobistego znaczenia. Sprawiałam, że jeden skrawek tego pustego, głupiego domu coś dla mnie znaczył. Włączyłam *Wielki świat* Joe Jacksona, zamknęłam puszkę z klejem, zwinęłam płótno, które chroniło moje biurko, i rozpakowałam ostatnie pudełko. Ustawiłam na blacie stare pióra na naboje, buteleczki czerwonego i czarnego atramentu, taśmę Scotcha i inne akcesoria - alpejski dzwonek ze Szwajcarii, terakotowego pokutnika z Hiszpanii.

W tym czasie z entuzjazmem, w stylu Virginii Woolf, powiedziałam Kevinowi:

- Każdy potrzebuje swojej przestrzeni. Wiesz, ty masz swój pokój, a to jest pokój

mamutki. Każdy chce, żeby jego pokój był wyjątkowy. Mamutka była w wielu różnych miejscach, a te wszystkie mapy przypominają mi o podróżach. Widzisz, kiedyś pewnie też będziesz chciał, żeby twój pokój był wyjątkowy, a ja ci w tym pomogę, jeśli będziesz chciał...

- Co to znaczy *wyjątkowy*? - powiedział, trzymając się za łokieć. W wolnej ręce trzymał pistolet na wodę, który coraz bardziej przeciekał. Mimo że wciąż był dość drobny, jak na swój wiek, to rzadko kiedy można było spotkać kogoś, kto w takim stopniu wypełnia metafizyczną przestrzeń. Kapryśna grawitacja nigdy nie pozwalała zapomnieć o tym, że jest w pobliżu, a jeśli niewiele mówił, to na pewno zawsze uważnie obserwował.

- To znaczy, że pokój będzie oddawał twoją osobowość.

- Jaką osobowość?

Byłam pewna, że już wcześniej wyjaśniałam mu znaczenie tego słowa. Ciągłe starałam się wzbogacać jego słownictwo, tłumaczyłam, kim był Szekspir; edukacyjna paplanina wypełniała pustkę. Miałam wrażenie, że chce, abym się zamknęła. Nie zamierzał przestać zadawać pytań, na które nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

- Tak jak pistolet na wodę, który też jest częścią twojej osobowości - wyjaśniłam i powstrzymałam się od dodania, że sposób, w jaki zniszczył moją suknię, też jest częścią jego osobowości. Albo że sranie w pieluchy w wieku prawie pięciu lat *też jest* częścią jego osobowości. - Dobra, Kevin, jesteś uparty. Wiesz, o co mi chodzi.

- Muszę przykleić śmieci na ściany - zabrzmiał, jakby poczuł się wykorzystany.

- Chyba, że nie będziesz chciał.

- *Nie* będę chciał.

- Świetnie, znaleźliśmy kolejną rzecz, której nie chcesz zrobić - powiedziałam. - Nie lubisz chodzić do parku, nie lubisz słuchać muzyki, nie lubisz jeść i nie lubisz bawić się klockami lego. Założę się, że nie mógłbyś wymyślić kolejnej rzeczy, której nie lubisz, nawet gdybyś chciał.

- Wszystkie te papierowe kwadraty - odpowiedział szybko. - Są durne. - Po „niełubietego”, *durny* było jego drugim ulubionym słowem.

- O to właśnie chodzi we własnym pokoju, Kevin. Nikogo to nie powinno obchodzić. Nieważne, że nazywasz moje mapy durnymi. Ja je lubię. - Rozłożyłam parasol przeciwko jego nieposłuszeństwu. Nie zamierzał atakować tym razem. Mój pokój wyglądał wspaniale, był cały mój, mogłam siedzieć przy biurku i pracować. I nie mogłam się doczekać, kiedy będę mogła zaryglować drzwi. Tak, wynajęłam miejscowego stolarza, a on zrobił dla mnie *drzwi*.

Kevin jednak nie pozwolił, by sprawa się zakończyła w ten sposób. Chciał mi jeszcze coś powiedzieć.

- Nie rozumiem tego. Wszystko było fajne. Teraz przepadło na zawsze. Wszystko wygląda durnowato. Co za różnica. Czemu się wtrącasz - tupnął nogą. - To jest *durne*!

Kevin opuścił fazę zadawania pytania *dlaczego*, która pojawia się zwykle w wieku około trzech lat, ponieważ wtedy praktycznie nic nie mówił. Mimo że faza ta może wyglądać jak nienasycona chęć zrozumienia przyczyn i skutków, na placach zabaw nasłuchiwałam się wystarczająco dużo (Czas na obiad, kochanie! *Dlaczego?* Bo jesteśmy głodni! *Dlaczego?*), by wiedzieć lepiej. Trzylatki w ogóle nie są zainteresowane procesem trawienia; po prostu używają tego magicznego słowa, po którym zawsze następuje odpowiedź. *Kevin przechodził prawdziwą fazę „dlaczego”*. Uważał moją tapetę za niezrozumiałą stratę czasu, zresztą wszystko, co robili dorośli było dla niego absurdalne. Nie był tym zaintrygowany, ale po prostu rozwścieczało go to, a dotychczasowe doświadczenia wskazywały, że jego faza nie jest przejściowa, a ciągła.

Przyklęklam. Popatrzyłam w jego nachmurzoną, zawziętą twarz i położyłam rękę na jego ramieniu.

- Ponieważ uwielbiam mój nowy projekt. Kocham te mapy. Kocham to wszystko.

Ale mogłam nawet mówić w języku urdu.

- Są *durne* - powiedział lodowato.

Wstałam. Opuściłam rękę. Zadzwoił telefon.

Oddzielna linia w mojej pracowni jeszcze nie była podłączona, więc wyszłam, by odebrać telefon w kuchni. Dzwonił Louis, który poinformował mnie o kolejnym problemie związanym z *JAPWAP-em*, którego rozwiązanie zajęło mnóstwo czasu. Więcej niż raz *wolałam* Kevina, by wyszedł, żebym mogła go widzieć. Miałam jednak ważne sprawy do załatwienia, a nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak męczące jest pilnowanie małego dziecka codziennie, przez całą dobę? Bardzo współczuję tym wzorowym matkom, które na mgnienie oka odwracają uwagę - zostawiają dziecko w wannie, by otworzyć drzwi i odebrać paczkę, a po powrocie odkrywają, że ich pociecha uderzyła głową w kran i utonęła w głębokiej na pięć centymetrów wodzie. Pięć centymetrów. Czy ktoś doceni w takiej sytuacji to, że kobieta przez dwadzieścia trzy godziny i pięćdziesiąt siedem minut chroniła swoje dziecko niczym jastrzęb? Te miesiące, lata stracone na *nie wkładaj tego do buzi, kochanie* i *ups, znowu prawie się przewróciliśmy?* O nie. Oskarżamy takich ludzi o coś, co nazywamy „kryminalnym niedopełnieniem obowiązków rodzicielskich” i ciągnemy ich po sądach, gdzie wylewają publicznie łzy własnego żalu i smutku. Bo liczą się tylko te trzy minuty, tylko te trzy fatalne minuty, które wystarczyły, by wydarzyła się tragedia.

W końcu przestałam rozmawiać. W korytarzu zauważyłam, że Kevin odkrył

przyjemności, jakie daje pokój z drzwiami: pracownia była zamknięta.

- Hej, dzieciaku - zawołałam, naciskając klamkę. - Denerwuję się, gdy jesteś tak cicho...

Moja tapeta była obryzgana czerwonym i czarnym atramentem. Na bardziej chłonnych fragmentach papieru robiły się wielkie plamy. Sufit również był obryzgany, bo tam też nakleiliśmy tapetę; stanie na drabinie wykończyło moje plecy. Krople atramentu z sufitu kapwały na jeden z najbardziej wartościowych dywanów, który w prezencie ślubnym dostałam od wujka. Cały pokój był tak popryskany, jakby włączył się alarm przeciwpożarowy, który jednak zamiast wody pluje benzyną, ponczem i sokiem morwowym.

Z przejściowych plam w kolorze mdłej purpury mogłam wywnioskować, że najpierw napełnił swój pistolet czarnym atramentem, a później zajął się czerwonym. Kevin jednak nie pozostawił mi zbyt wiele pola do domysłów: wciąż jeszcze przelewał czerwony atrament do pojemnika, wbudowanego w pistolet. Dokładnie tak, jak pozował w kuchni podczas ściągania zabawki, tak teraz ostatnie krople atramentu zostawił po to, by wykorzystać je podczas mojego wejścia. Stał na moim krześle, skoncentrowany do granic możliwości, nawet nie spojrzał na mnie. Dziurka służąca do napełniania zbiornika była bardzo mała i mimo że nalewał bardzo uważnie, lśniący, dębowy blat mojego biurka był kompletnie pochłapany. Dłonie też miał całe od atramentu.

- Teraz - ogłosił cicho - jest *wyjątkowy!*

Wyrwałam mu pistolet, rzuciłam na ziemię i rozdeptałam na kawałeczki. Miałam na sobie bardzo ładne, żółte, włoskie czółenka. Atrament zniszczył je zupełnie.

*Eva*

13 stycznia 2001

*Drogi Franklinie,*

Tak, dziś druga sobota miesiąca i ponownie raportuję z Bagel Café. Znowu nawiedza mnie obraz tego strażnika o twarzy upstrzonej pieprzykami, który patrzył dziś na mnie z rutynową mieszaniną smutku i wstrętu. Mniej więcej to samo czuję, patrząc na jego twarz. Pieprzyki są wielkie i pulchne, niczym najedzone kleszcze, cętkowane i galaretowate, a cała twarz przypomina muchomora z kropkami, które zaczynają właśnie odpadać. Zastanawiałam się, czy ma obsesję na punkcie swojej przypadłości, a w Claverack pracuje po to, by zaoszczędzić na operację, lub może darzy ją swoistą miłością. Ludzie są w stanie przywyknąć do wszystkiego, a przystosowanie od przywiązania dzieli bardzo niewiele.

Niedawno czytałam, że wynaleziono metodę operacji neurologicznych, które mogą częściowo wyleczyć osoby chore na chorobę Parkinsona. Operacje są tak skuteczne, że kilku pacjentów popełniło samobójstwo. Tak, dobrze czytasz: popełnili samobójstwo. Nie trzęsą się, nie ma drgania rąk w restauracji, wino nie wylewa się z kieliszków. Ale także nie ma już tej sympatii w oczach obcych ludzi, nie ma też oznak czułości i wybaczenia różnych niezdarnych zachowań. Wyleczeni popadali w depresję. Nie mogli sobie dać z tym rady: z byciem takimi, jak wszyscy inni.

Między nami mówiąc, zaczęłam się martwić, że w pewnym sensie przywiązałam się do oszpececia mojego własnego życia. Obecnie tylko dzięki złej sławie rozumiem, kim jestem i jaką rolę odgrywam w dramatach innych. Jestem matką „jednego z tych dzieciaków z Columbine” (ależ smuciło Kevina, że Littleton zyskało większy rozgłos niż Gładstone). Cokolwiek bym zrobiła lub powiedziała, nie mogło przesłonić tego faktu, który sprawia, że człowiek chce przestać walczyć i po prostu poddać się. To pewnie wyjaśnia, dlaczego niektóre matki w takiej sytuacji jak moja nie potrafią wrócić do życia, które wiodły wcześniej jako dyrektorki lub architektki i zaczynają udzielać się w grupach wsparcia lub organizują Marsz Miliona Matek. Być może to właśnie jest to, co Siobhan nazywała „powołaniem”.

Rzeczywiście, rozwinęłam w sobie poważny respekt dla tego zdarzenia, dla jego ogromnej dominacji nad wszelkim wytłumaczeniem. Żadna interpretacja wydarzeń, którą Ci przedstawiałam, nie miała najmniejszej szansy przyćmienia aktualności *Czwartku* i może to był ten cud, który tamtego popołudnia odkrył Kevin. Mogę mówić o tym do utraty tchu, ale to, co się stało, zawsze będzie się czaiło, triumfując niczym trzy wymiary nad dwoma. Niezależnie od tego, ile farby wandalę wylali na nasze okna, dom zawsze pozostał domem, a

z *Czwartkiem* jest dokładnie tak samo. Mogę go zamalowywać, ile razy będę chciała, ale jego fizyczny ogrom zawsze będzie miał taki sam kształt, niezależnie od koloru.

Franklinie, dzisiaj w więziennej poczekalni dla odwiedzających złapałam się na *otwieraniu się*. A tak przy okazji, byłabym ostatnią osobą, która mogła narzekać na warunki. Niedawno zbudowana, w odpowiedzi na zapotrzebowanie rozkwitającego sektora rynku, instytucja w Claverack nie była jeszcze przepełniona. Dach nie przeciekał, toaleta błyszczała czystością. *Przewodnik po Młodzieżowych Zakładach Poprawczych A Wing and a Prayer (JWIEWAP)* wysoko oceniłby to miejsce. Zajęcia w Claverack być może lepiej przygotowują do życia, niż popularne teraz szkoły na przedmieściach, gdzie czas wypełniony jest zajęciami z literatury Eskimosów i szkoleniami ze Świadomości Zagrożeń Molestowania Seksualnego. Jednak poza tym kolorystycznie odstającym od reszty pokojem dla odwiedzających, Claverack było raczej surowe i niemiłe - puste i gołe. Jeśli już zakosztowałeś życiowych uciech, to tutaj *zostało* przerażająco niewiele. Ściany z białych pustaków, groszkowe linoleum bez żadnych wzorów, *brak* rozrywki w pokoju dla gości - niewinny plakat reklamujący wycieczki do Belize, jeden numer „Glamour” - tak jakby z premedytacją chciano dać do zrozumienia, co to za miejsce. Jest to pokój, który nie życzy sobie żadnych niejasności, tak neutralny, jak poczekalnia u dentysty lub biuro sprzedaży biletów lotniczych. A samotny poster dotyczący zapobiegania AIDS z pewnością nie występuje jako dekoracja, a raczej jako zarzut.

Dziś obok mnie usiadła drobna, spokojna czarna kobieta, która była ode mnie o pokolenie młodsza, ale bez wątplenia była też matką. Z podziwem spojrzałam na jej włosy splecione w spiralę, która wydawała się nie mieć końca. Mój podziw zmagał się z nadętymi przecuciami klasy średniej dotyczącymi tego, kiedy ostatnio ta kobieta myła swoje warkocze. Jej spokojna rezygnacja była charakterystyczna dla czarnych krewnych, którzy bardzo często odwiedzają ten pokój. Przyjrzałam się dokładnie i stwierdziłam, że białe matki osadzonych, statystycznie rzadziej przychodzące, mają tendencję do denerwowania się, a jeśli są spokojne, to są totalnymi sztywniakami, z zaciśniętymi ustami, zwieszonymi głowami, tak jakby czekały na poważne badanie lekarskie. Jeśli z tej niezbyt wielkiej liczby białych kobiet można wysnuć jeszcze jakiś wniosek, to z reguły siadają tak, by po obu stronach były co najmniej dwa wolne krzesła. Często przynoszą ze sobą gazety. Nie chcą z nikim rozmawiać. Wniosek jest prosty: coś zaburzyło ich kontinuum czasoprzestrzeni. Nie należą do tego miejsca. Często wyczuwam oburzenie, charakterystyczne dla Mary Woolford, tak jakby te matki rozglądały się po pokoju w poszukiwaniu kogoś, kogo można by pozwać do sądu. W przeciwnym razie dostaję jasny sygnał, mówiący *to-nie-może-być-prawda*. Niedowierzenie

tak bojowe, że w pokoju można wyczuć hologram równoległego wszechświata, w którym Billy lub Johnny wrócił ze szkoły o tej samej porze, co zwykle, było kolejne, normalne popołudnie, wypił mleko, pobawił się i odrobił lekcje. My, biali ludzie, tak kurczowo trzymamy się przeświadczenia o stałości rzeczy, że gdy coś jest nie tak, nie potrafimy opuścić tego boleśnie słonecznego, idiotycznie radosnego wcielenia świata, na który zasługujemy, w którym życie jest piękne.

Dla odmiany czarne matki będą siedziały obok siebie, nawet jeśli cały pokój jest praktycznie pusty. Może nawet nie będą ze sobą rozmawiały, ale w ich bliskości *jest* przypuszczenie pewnej wspólnoty, grupowa solidarność przypominająca klub książki, którego członkowie z mozołem przedzierają się przez te same, długie pozycje klasyki. Nigdy nie sprawiają wrażenia złych, obrażonych lub zdziwionych, że znalazły się w tym właśnie miejscu.

Siedzą w tym samym wszechświecie, w którym zawsze się znajdowały. Poza tym czarni ludzie mają chyba bardziej skomplikowane pojęcie natury wydarzeń. Wszechświaty równoległe to dla nich fikcja, a Johnny - lub Jamille - nie wrócił dziś popołudniu do domu, tak? Koniec historii.

Co nas łączy, to milczące zrozumienie pomiędzy wszystkimi członkiniami tego kręgu, by nie wchodzić w szczegóły złego zachowania, które przywiodło tu syna kobiety siedzącej obok ciebie. I choć to przestępstwo, zawarte w pytaniu, jest dla wielu rodzin największą publiczną manifestacją, w tym pokoju w jasny sposób spoza okładek „Timesa” i „Posta” zmawiamy się, że jest to prywatna sprawa. Och, nieliczne matki od czasu do czasu będą zwierzały się swoim sąsiadkom, że Tyrone nigdy nie ukradł tego discmana lub trzymał ten kilogram dla kolegi, ale wtedy inne matki patrzą na siebie z wymownym uśmiechem i Panna Będziemy Się Odwoływać kończy rozmowę na ten temat. Kevin mówi mi, że wewnątrz nikt nie twierdzi, że jest niewinny. Przeciwnie, każdy zmyśla rozmaite przestępstwa, za które nigdy nie został złapany.

- Gdyby połowa tych palantów mówiła prawdę - wymamrotał ze znużeniem miesiąc temu - większość mieszkańców naszego kraju byłaby martwa. - Faktycznie, Kevin więcej niż raz mówił o *Czwartku*, a nowi aresztanci nie uwierzyli, że to zrobił: A ja jestem Sidney *Poitier*, gościu! Najwyraźniej zawlókł jednego z takich sceptyków za włosy do biblioteki, by potwierdzić mu swoje referencje, dokładnie opisane w starym egzemplarzu „Newsweeka”.

Jak więc pisałam, byłam pod wielkim wrażeniem spokoju tej kobiety. Zamiast nerwowego czyszczenia paznokci lub przebierania starych rachunków w torebce, siedziała wyprostowana, z dłońmi złożonymi na kolanach. Patrzyła prosto przed siebie i może po raz

setny czytała informacje z plakatu dotyczącego przeciwdziałania AIDS. Mam nadzieję, że nie brzmię rasistowsko - w dzisiejszych czasach nigdy nie wiem, co może być uznane za obraźliwe - ale czarni ludzie są niesamowicie dobrzy w czekaniu, tak jakby wraz z krwią dziedziczyli gen odpowiedzialny za cierpliwość. Zauważyłam to także podczas pobytu w Afryce, gdzie wiele osób siedziało lub stało przy drodze w oczekiwaniu na autobus, albo nawet nie czekali na nic szczególnego i nigdy nie wyglądali na zdenerwowanych lub poirytowanych. Nie wyrywali źdźbeł trawy i nie żuli końcówek przednimi zębami, nie malowali nic nieznaczących obrazków podeszwami sandałów na suchej, czerwonej ziemi. Byli spokojni i obecni. To zdolność egzystencjalna, umiejętność, by po prostu być, z taką głębią, jaka nie była osiągalna dla wielu dobrze wykształconych ludzi.

W pewnym momencie podeszła do ustawionego w rogu automatu ze słodyczami. Lampka, informująca o braku drobnych, musiała być aktywna, ponieważ kobieta podeszła do mnie i zapytała, czy mam rozmiąć dolara. Przeszukałam każdą kieszeń mojego płaszcza, każdy zakamarek portmonetki i torebki, więc zanim wygrzebałam drobne, pewnie zdążyła pożałować, że mnie o to zapytała. Z obcymi ludźmi rozmawiam teraz tak rzadko - wciąż wolę pracować na zapleczu, przy rezerwacji biletów lotniczych - że panikuję podczas załatwiania najdrobniejszych spraw. Być może byłam zdesperowana, by wyrzucić pozytywny wpływ na czyjeś życie, nawet jeśli chodziło tylko o pomoc w zakupie batonika Mars. Przełamało to pierwsze *lody* i w zamian za pomoc i fatywę, gdy powróciła na swoje miejsce, odezwała się do mnie.

- Chyba powinnam przynieść mu jakieś owoce - patrzyła przepraszająco na torebkę M&M's, którą trzymała w dłoni. - Ale, Boże, dobrze wiesz, że nigdy by *ich* nie zjadł.

Wymieniłyśmy sympatyczne spojrzenia, bez słowa zgadzając się, że dzieci, popełniające przestępstwa typowe dla dorosłych, wciąż uwielbiają dziecięce przysmaki.

- Mój syn twierdzi, że jedzenie w Claverack to karma dla świń - wypaliłam.

- Och, mój Marion też ciągle narzeka. Mówi, że nie można tego nazwać jedzeniem dla ludzi. A słyszałaś, że w rogalach zapiekają saletrę?

Ta stara plotka, rodem z letniego obozu, z pewnością wynikała z młodzieńczej próżności: lubieżne, niezaspokojone żądze nastolatków są tak wywrotne, że wymagają tłumienia na wszelkie możliwe sposoby.

- Nie, karma dla świń to wszystko, co z niego wyciągnęłam na ten temat - przyznałam.

- Ale Kevin nigdy zbytnio nie interesował się jedzeniem. Gdy był mały, bałam się, że będzie głodował, dopóki nie zorientowałam się, że je tylko wtedy, gdy na niego nie patrzę. Nie lubił, gdy widziałam, że chce coś zjeść, tak jakby *głód* był oznaką słabości. Zostawiałam więc



kanapkę w miejscu, gdzie z łatwością mógł ją znaleźć, i odchodziłam. To było jak karmienie psa. Zza rogu widziałam, jak pochłania ją w dwóch lub trzech kęsach, rozglądając się wokół, czy aby nikt go nie widzi. Raz przyłapał mnie na podglądaniu i wypluł kanapkę. Na wpół przeżutą mieszankę chleba i sera rozmazał na szklanych drzwiach. Przylepiło się, a ja długo tego nie sprzątałam. Sama nie wiem, dlaczego.

Oczy mojej towarzyszki, po uprzednim sygnale alarmowym, zaczęły się zwężać. Nie miała powodu, by być zainteresowaną kulinarnymi przyzwyczajeniami mojego syna, a nagle wyglądała, jakby żałowała, że rozpoczęła tę rozmowę. Przykro mi, Franklinie - to dlatego, że przez wiele dni prawie nic nie mówię, a później, gdy już zacznę, to wszystko wylatuje ze mnie niczym wymiociny.

- W każdym razie - kontynuowałam z nieco większą ostrożnością - ostrzegłam Kevina, że kiedy trafi do więzienia dla dorosłych, jedzenie będzie tam jeszcze gorsze.

Oczy kobiety zwężyły się jeszcze bardziej.

- Twój syn nie wyjdzie w wieku osiemnastu lat? A to wstyd - dotykając zakazanego tematu w więziennej poczekalni miała na myśli to, że Kevin musiał zrobić coś bardzo złego.

- Nowy Jork jest bardzo pobłażliwy wobec nieletnich przestępców w wieku poniżej szesnastu lat - powiedziałam. - Ale nawet w tym stanie za morderstwo dzieciak musi odsiedzieć minimum pięć lat - tym bardziej, jeśli zabił siedmiu kolegów i nauczyciela języka angielskiego - dodałam, a wyraz jej twarzy zmienił się całkowicie. - Och, i jeszcze pracownik bufetu. - Może Kevin miał inny stosunek do jedzenia, niż myślałam.

- KK - wyszeptała.

Niemal słyszałam tryby w jej głowie, pracujące na pełnych obrotach, by przypomnieć sobie to wszystko, co do tej pory mówiłam, a ona zbyt pobieżnie słuchała. Teraz miała dobry powód, by interesować się sekretami apetytu mojego syna, jego „muzycznymi” upodobaniami do cichego szumu pracującego komputera, pomyslową grą, w którą grał, wymyślając szkolne eseje z wyrazów składających się jedynie z trzech liter. To, co zrobiłam, mogłam porównać do triku z przyjęcia. Nagle nie wiedziała, co powiedzieć, nie dlatego, że ją znudziłam, ale dlatego, że stała się onieśmielona. Gdyby tylko mogła wygrzebać pełny kubeł brudów i najdrobniejszych szczegółów z naszej rozmowy, to następnego dnia z radością w telefonicznej rozmowie zaprezentowałaby go swojej siostrze, niczym świąteczny kosz prezentów.

- Nikt inny - powiedziałam. - Śmieszne, że KK oznaczało wcześniej Kruche Krakery.

- To musi być... - zawahała się.

Przypomniałam sobie, jak pewnego razu dostałam w promocji bilet pierwszej klasy i

siedziałam w samolocie tuż obok Seana Connery'ego. Z odrętwiałym językiem nie mogłam powiedzieć nic innego, jak tylko „Pan jest Sean Connery”, czego zresztą z pewnością miał świadomość.

- To musi być w-wyjątkowo ciężki krzyż do noszenia - wyjąkała.

- Tak - przyznałam. Już nie musiałam się starać, by zdobyć jej uwagę. Już ją zdobyłam. Mogłam całkowicie kontrolować przebieg rozmowy, która zawstydzała mnie kilka minut wcześniej. Doświadczyłam uczucia równoznacznego z nieprawdopodobnym komfortem, jaki zapewniał mi mój pomarańczowy, doskonale dopasowany fotel. Wszelkie zobowiązania, by zapytać o sytuację jej syna, zniknęły. Teraz ja byłam radosną stroną, o której względy należało zabiegać. Czułam się prawie jak królowa.

- Twój syn - zapytała. - Jak sobie daje radę?

- Och, Kevinowi się tu podoba.

- Jak to? Marion ciągle przeklina to miejsce.

- Kevin nie ma zbyt wielu zainteresowań - powiedziałam, dając mojemu synowi kredyt, bo wątpiłam, by miał jakiegokolwiek zainteresowania. - Nigdy nie wiedział, co ze sobą zrobić. Czas po lekcjach i weekendy wisiały na nim mocno pofałdowane niczym zbyt duży płaszcz. Właśnie, tutaj jego dzień jest ściśle kontrolowany, od śniadania do zgaszenia świateł. Teraz żyje w świecie, gdzie bycie odrzuconym jest czymś normalnym. Myślę, że czuje tu swego rodzaju wspólnotę - zatrzymałam się na chwilę. - Może nawet nie z kolegami. To raczej ich dominujące nastroje - obrzydzenie, wrogość, szyderstwo - są jak jego starzy znajomi.

Inni goście bez wątpienia przysłuchiwali się tej rozmowie. Widać to było w ich oczach, zwróconych w stronę naszych krzeseł. W oczach, które poruszały się niczym język jaszczurki. Mogłam nieco przyciszyć głos, ale szczerze mówiąc, cieszyłam się z tak liczego grona słuchaczy.

- Zastanawiał się kiedyś nad tym, co zrobił? Czuł może, no wiesz...

- Wyrzuty sumienia? - odpowiedziałam sucho. - A czego mógł tak na dobrą sprawę żałować? Teraz wreszcie jest *kimś*, nieprawdaż? *Odnalazł siebie*, jak to się mówiło w moich czasach. Teraz nie musi martwić się tym, czy jest dziwakiem, czy palantem, kujonem, atletą czy oferumą. Nie musi się obawiać, czy przypadkiem nie jest gejem. Jest mordercą. To cudownie jednoznaczne. I co najważniejsze - wstrzymałam oddech - wyrwał się spod mojej opieki.

- Brzmi dość optymistycznie - trzymała się może o cal lub dwa dalej niż kobiety, które przywykłe są do szczerych rozmów, spoglądając na mnie odchylona pod kątem mniej więcej

trzydziestu stopni. Te subtelne uniki wyglądały prawie naukowo. Ja byłam wzorcem. - Tak jakbyś ty też oderwała się od niego.

Bezradnie wskazałam gestem na poczekalnię.

- Niezupełnie - przyznałam.

Moja rozmówczyni spojrzała na zegarek Swatcha, wykazując przy tym narastającą świadomość, że to może być jej ostatnia okazja, by przygotować jedno pytanie, które zawsze chciała zadać matce KK. Wiedziałam, co teraz nastąpi.

- Czy kiedykolwiek dowiedziałaś się, co go do tego skłoniło? Dowiedziałaś się, *dlaczego?*

Tylko o to wszyscy zawsze chcieli mnie zapytać - mój brat, Twoi rodzice, moi współpracownicy, autorzy filmów dokumentalnych, psychiatra Kevina, autorzy strony internetowej gladstone\_carnage.com, ale, co ciekawe, nigdy moja matka. Gdy już byłam gotowa, by przyjąć łaskawe zaproszenie Thelmy Corbitt na kawę, mniej więcej tydzień po pogrzebie jej syna (mimo że nigdy nie spytała wprost, za każdym razem większość czasu poświęcała na czytanie jego wierszy oraz pokazywanie setek zdjęć, przedstawiających syna podczas szkolnych przedstawień), miarowo zaczęła to wyrzucać z siebie, kurczowo trzymając się mojej sukienki: pragnienie zrozumienia, które graniczyło z histerią. Jak wszyscy inni rodzice, tak i ona była zmiażdżona świadomością, że to całe krwawe zamieszanie, którego lepkie fragmenty będziemy obie nosić w sobie do końca życia, było *niepotrzebne*. Zupełnie. *Czwartek* był nadobowiązkowy, tak jak zajęcia z rysunku lub języka hiszpańskiego. Ale ta nieustająca udreka, powtarzający się refren *dlaczego, dlaczego, dlaczego* - to jest rażąco niesprawiedliwe. Dlaczego po tym wszystkim, co przeszłam, jestem odpowiedzialna za zorganizowanie tego chaosu? Nie wystarczy, że cierpię pod samym tylko ciężarem faktów, bez ponoszenia nieuzasadnionej odpowiedzialności za ich znaczenie? Jestem pewna, że ta młoda kobieta w Claverack nie miała zamiaru mnie zranić, ale jej tak znajome pytanie sprawiło, że poczułam się rozgoryczona.

- Podejrzewam, że to moja wina - powiedziałam wyzywająco. - Nie byłam dobrą matką - zimną, osądzającą, samolubną. Ale mimo wszystko nie można powiedzieć, że nie zapłaciłam za to.

- No cóż - wycedziła, zbliżając się do mnie i niwelując tę trzydziestostopniową odległość, popatrzyła prosto w moje oczy. - Możesz winić swoją matkę, a ona może winić swoją. Tak czy siak, prędzej czy później wina spadnie na kogoś, kto już nie żyje.

Powściągliwa w braniu na siebie odpowiedzialności, niczym dziewczynka trzymająca mocno swojego króliczka, nie odpowiedziałam.

- Greenleaf? - krzyknął strażnik. Moja towarzyszka schowała cukierki do torebki, po czym wstała. Widziałam, że zastanawia się nad tym, czy ma jeszcze wystarczająco dużo czasu, by zadać mi jakieś pytanie lub podzielić się myślą. Z Seanem Connerym zawsze jest dylemat: wyciskać informacje lub wycofać się. Ona wybrała tę drugą opcję, czym w pewien sposób mi zaimponowała.

- To zawsze jest wina matki, prawda? - powiedziała łagodnie, podnosząc płaszcz. - Ten chłopak stał się zły, bo jego matka piła lub ćpała. Pozwoliła mu na to, by stał się taki okropny, nie nauczyła go, co jest dobre, a co złe. Nigdy nie było jej w domu, gdy wracał ze szkoły. Nikt nigdy nie powie, że ojciec pił lub nie było go w domu popołudniami. I nikt nigdy nie powie, że niektóre dzieci po prostu takie są. Nie wierz w te wszystkie brednie. Nie pozwól, by obciążali cię tym całym zabijaniem.

- *Loretta Greenleaf!*

- Ciężko jest być matką. Nikt nigdy nie ustanowił prawa, mówiącego „jeśli jesteś w ciąży, musisz być idealna”. Wiem, że starasz się najlepiej, jak potrafisz. Jesteś tutaj, w *tym* śmietniku, w sobotnie popołudnie? Wciąż się starasz. Teraz powinnaś zacząć martwić się o siebie. I nie mów więcej takich głupot.

Loretta Greenleaf złapała mnie za rękę i ścisnęła ją mocno. Moje oczy zrobiły się wilgotne. Ścisnęłam jej dłoń tak mocno i tak długo, że pewnie zaczęła się bać, że nigdy jej nie puszczę.

Och, kochanie. Kawa już wystygła.

(godz. 21.00)

Gdy wróciłam do mojego mieszkania, poczułam się zawstydzona. Nie musiałam obnosić się z tym, że jestem matką Kevina. Loretta Greenleaf i ja mogłyśmy po prostu porozmawiać o jedzeniu w Claverack: *Kto mówi, że saletra zmniejsza popęd płciowy* lub nawet *A co to, do diabła, jest „saletra”!*

Chciałam nawet napisać „Nie wiem, co we mnie wstąpiło”, ale obawiam się, że wiem. Brakowało mi towarzystwa, a z łatwością wyczułam jej słabość. Miałam moc, by przykuć jej uwagę i w całości to wykorzystałam. Oczywiście tuż po wydarzeniach *Czwartku* chciałam jedynie wczolgać się do muszli klozetowej i opuścić klapę. Tęskniłam za brakiem rzucania się w oczy, tak jak mój brat, lub za popadnięciem w niepamięć, o ile nie był to zwykły synonim błagania o śmierć. Ostatnią rzeczą na świecie, o którą się wtedy martwiłam, było moje poczucie inności. Jednak zdolność duszy do regeneracji jest zatrważająca. Tak jak mówiłam,

jestem wygłodzona, a zwykły kurczak nie jest w stanie zaspokoić moich pragnień. Czego bym nie oddała, by wrócić do tamtych dni, w których przesiadywałam z obcymi ludźmi i miałam wspaniałe wspomnienia, ponieważ założyłam dobrze prosperującą firmę lub intensywnie podróżowałam po Laosie. Z nostalgią wspominam te czasy, gdy Siobhan, klaszcząc w dłonie, z podziwem w głosie powiedziała mi, że używała przewodników *Wing and a Grayer* w swoich podróżach po Europie. To była sława, jaką dla siebie wybrałam. Wszyscy jednak jesteśmy niezwykle zaradni i potrafimy korzystać ze wszystkiego, co wpadnie nam w ręce. Odatka z firmy, bogactwa, przystojnego męża, zgarbiona wstąpiłam na mój jedyny pewny skrót, do bycia *kimś*.

Matka nędznego Kevina Khatchadouriana - tylko tym teraz jestem, tożsamość, która jest kolejnym małym triumfem mojego syna. AWAP i nasze małżeństwo zostały zdegradowane do roli przypisów, interesujących na tyle, na ile wyjaśniały moją rolę matki dziecka, które każdy uwielbia nienawidzić. Na najbardziej prywatnym poziomie miałam do mojego potomka wielki żal, ponieważ pozbawił mnie mojego dotychczasowego życia. Przez całą pierwszą część było ono moim własnym, autorskim dziełem. Już od ponurego i zamkniętego dzieciństwa formowałam w sobie energiczną, ekspansywną, dorosłą osobę, która z grubsza znała tuzin języków i mogła swobodnie przemierzać nieznane ulice obcych miast. Ten pogląd, że człowiek jest własnym tworem, jest typowo amerykański, co zresztą pospiesznie byś podkreślił. Teraz jednak patrzę na to z perspektywy europejskiej: Jestem zlepkim historii innych ludzi, wytworem zbiegu okoliczności. To raczej Kevin wziął do siebie tę agresywną i optymistyczną, typowo jankeską chęć kształtowania siebie.

Może i byłam nawiedzana przez to ciągle pytanie *dlaczego*, ale zastanawiam się teraz, czy w ogóle próbowałam na nie kiedykolwiek odpowiedzieć. Nie jestem pewna, czy chciałam zrozumieć Kevina, czy chciałam sięgnąć w głąb siebie i gdzieś na dnie znaleźć wytłumaczenie, że to, co zrobił, miało jakiś sens. Jednak kroczone po kroczeniu, kawałek po kawałku, kopiąc i krzycząc, poznawałam sens *Czwartku*. Mark David Chapman do dziś dostaje listy od fanów, jakich nie może otrzymywać John Lennon; Richard Ramirez, „Nocny Łowca”. Pewnie wielu kobietom zniszczył nadzieję na małżeńskie szczęście, ale mimo to, w więzieniu, wciąż dostaje listy z matrymonialnymi propozycjami. W kraju, który nie odróżnia sławy od niktowości, ta druga cecha wydaje się po prostu łatwiejsza do osiągnięcia. Od tego momentu nie jestem już zdziwiona częstotliwością publicznych napadów szału z użyciem pistoletów maszynowych, ale tym, że nie każdy amerykański obywatel wchodzi do centrum handlowego, obładowany magazynkami pełnymi amunicji. To, co Kevin zrobił w *Czwartek*, i to, co ja zrobiłam dzisiaj w poczekalni zakładu poprawczego w Claverack, różni

się tylko skałą działania. Tak bardzo pragnęłam poczuć się *wyjątkowa*, że za wszelką cenę starałam się przyciągnąć czyjąś uwagę. Nawet, jeśli musiałam wykorzystać do tego morderstwo dziewięciu osób.

Nic dziwnego, że Kevin czuł się w Claverack tak jak w domu. Jeśli w szkole średniej był niezadowolony, to miał w tym ogromną konkurencję; bardzo wielu chłopców walczyło o pozycję gburowatego śmiecia, wyrzuconego na tył klasy. A teraz sam dla siebie stworzył niszę.

I ma kolegów, w Littleton, w Jonesboro, w Springfield. Bo tak jak w większości dyscyplin, tak i tutaj rywalizacja współzawodniczy z bardziej koleżeńskim poczuciem wspólnego celu. Podobnie jak wielu wybitnych ludzi, Kevin jest bardzo surowy w stosunku do współczesnych mu osób, oceniając ich według bardzo rygorystycznych standardów. Wyśmiewa się z mazgajów, takich jak Michael Carneal z Paducah, który wypierał się tego, co zrobił, który kala czystość dokonań tchórzliwą skruchą. Podziwia styl - na przykład Evana Ramsaya, który popełnił swoją zbrodnię podczas lekcji matematyki w Bethyl na Alasce. - To na pewno lepsze od algebry, nieprawdaż? - Docenia rozsądne planowanie: Carneal włożył zatyczki do uszu, a dopiero później odpalił swojego Lugera; Barry Loukatitis w Moses Lake wraz ze swoją matką odwiedził aż siedem sklepów, zanim znalazł odpowiednio długi czarny płaszcz, pod którym mógł ukryć swoją myśliwską strzelbę. Kevin miał również wyrafinowane poczucie ironii, gdyż wyjątkowo doceniał fakt, że nauczyciel, zastrzelony przez Loukatitisa, wcześniej napisał w jego dzienniczku „Miło mieć takiego ucznia w klasie”. Jak wielu zawodowców, narzekał na brak kompetencji, jaki wykazał John Sirota, czternastolatek z Redlands w Kalifornii, który w roku 1995 strzelił w twarz swojemu dyrektorowi, po czym sam popełnił samobójstwo. I tak jak wielu uznanych ekspertów, Kevin z podejrzliwością patrzy na parweniuszy, którzy łokciami chcą wybić sobie drogę do jego specjalności, nie posiadając odpowiednich kwalifikacji - tak jak w przypadku tego trzynastolatka, który wypatroszył swoje ofiary. Trudno *wywrzeć* na nim wrażenie.

Podobnie jak John Updike przewyższa pisarsko Toma Wolfe'a, tak Kevin w równym stopniu gardzi Luke'em Woodhamem, „Crackerem” z Pearl w stanie Mississippi. Docenia jego podstawy ideologiczne, ale gardzi pompatycznym moralizatorstwem, tak jak każdym aspirującym do Szkolnej Strzelaniny, niepotrafiącym ukryć własnych zamiarów - najwyraźniej tuż przed zgładzeniem swojej dawnej dziewczyny Woodham nie mógł się powstrzymać przed napisaniem notki do klasowego kolegi o takiej treści (gdybyś tylko mógł usłyszeć interpretację swojego syna): „Zabiłem, bo ludzie tacy, jak ja, są codziennie źle traktowani. Zrobiłem to, by pokazać uciskającemu nas społeczeństwu, że potrafimy

zareagować”. Kevin potępił też biadolenie Woodhama w programie *Prime Time Live*, gdy łyżeczki leciały na jego pomarańczowe ubranie i uznał je za *zupełnie nie na miejscu*. „Jestem normalną osobą! Nie jestem tyranem. Nie jestem zły i mam serce, mam uczucia!”. Woodham przyznał się, że w ramach rozgrzewki pobił pałką swojego psa, Sparky'ego, włożył go do plastikowej torby, podpalił i słuchał jego skomlenia, a dopiero później wrzucił go do pobliskiego stawu. Po starannym rozważeniu tego faktu Kevin stwierdził, że torturowanie zwierząt wyszło już z mody. I na koniec, nasz syn w największym stopniu potępił sposób, w jaki te nędzne kreatury próbowały zrzucić z siebie odpowiedzialność, obwiniając za wszystko kult satanistyczny. Cała ta historia ma wielki rozmach, ale Kevin przyznał, że odrzucenie własnego dzieła jest nie tylko pozbawione godności, ale także trzeba to uznać za zdradę pewnej społeczności.

Znam Cię, kochanie i wiem, że jesteś niecierpliwy. Nigdy nie interesujesz się moim wstępem i od razu chcesz, bym pisała Ci o wizycie - w jakim był nastroju, jak wyglądał, co mówił. W porządku. I z góry ostrzegam, sam tego chciałeś.

Wygląda dość dobrze. Choć wciąż jeszcze jego cera ma zbyt niebieskawy odcień, odznaczające się żyły na skroniach świadczą jednak o pewnej wrażliwości. Włosy ma obcięte bardzo nierówno, co uznałam za objaw zdrowej dbałości o własny wygląd. Pionowa zmarszczka, rysująca się w prawym kącie ust, zaczyna się powiększać i coraz bardziej zbliżać do policzka, nie znikając nawet wtedy, gdy Kevin krzywi się niezadowolony. Po lewej stronie ust nie ma takiej zmarszczki, przez co asymetria twarzy staje się niepokojąca.

Obecnie w Claverack nie obowiązują już te śmieszne, pomarańczowe stroje spadochroniarzy. Dzięki temu Kevin może bez problemu ubierać się tak, jak to sobie wymyślił w wieku czternastu lat, kiedy to postanowił być w opozycji do dominującego stylu, polegającego na noszeniu zbyt dużych ubrań - gangsterski styl z Harlemu, bokserki wystające ponad spodnie, szerokie dżinsy z krokiem w okolicy kolan, z nadmiarem materiału wystarczającym na ozagłowanie małej łodzi. Jeśli odmienny od tego stylu wygląd Kevina miał coś przekazać, mogę się jedynie domyślać, o co mu chodziło.

Gdy po raz pierwszy, w wieku ośmiu lat, zaprezentował swój nowy styl, myślałam, że te przyciasne koszulki, opinające jego ramiona i klatkę piersiową, są jego ulubionymi, dlatego postanowiłam kupić mu takie same, ale w większym rozmiarze. Tych nowych nigdy nawet nie dotknął. Teraz już rozumiem, że ogrodniczki, których nie mógł dopiąć, były bardzo starannie wybrane. Podobnie jak wiatrówki mocno opinające jego ręce, krawaty dyndające trzy cale nad paskiem, gdy już zmusiliśmy go do eleganckiego ubioru, koszule, ze strzelającymi guzikami, pękające w szwach.

Powiem nawet, że te za małe ciuchy zmieniły bardzo wiele. Na pierwszy rzut oka

wyglądał w nich jak biedak, a ja nieraz musiałam powstrzymać się od komentarzy, że „ludzie będą myśleć”, iż nie zarabiamy zbyt wiele i nie stać nas na nowe spodnie dla dorastającego syna. Nastolatki są bardzo chciwe na sygnały świadczące o tym, że ich rodzice bardzo przejmują się statusem społecznym. Poza tym, dokładniejsza kontrola ujawniła, że wszystkie zbyt małe ubrania były najwyższej jakości, tak jakby chciały puścić oczko do wszystkich podejrzewających brak pieniędzy. Wskazówka prania w bardzo wysokiej temperaturze nasuwała myśl o komicznej niedorzeczności, a zbyt mała kurtka czasami sprawiała, że jego ramiona były nienaturalnie ułożone, co przypominało pawiana. Na tyle mógł wpisać się w szablon konwencjonalnej krytyki. Nikt, z kim rozmawiałam na jego temat, nie uważał, by w ten sposób był zabawny. Przykrótkie nogawki spodni, odsłaniające skarpety, sprawiały głupie wrażenie, współgrające z jego zamiłowaniem do zgrywania kretyna. W jego postawie było coś więcej, niż sugestia Piotrusia Pana - odmowa dorośnięcia - mimo to nie wiem, jak to wytłumaczyć, skoro w trakcie swojego dzieciństwa sprawiał wrażenie, że potrafi się w nim odnaleźć. Miotał się w nim tak samo, jak ja miotalam się po naszym nowym, ogromnym domu.

Doświadczalna polityka zakładu w Claverack, pozwalająca osadzonym na dowolność ubioru, pozwoliła Kevinowi odtworzyć swój styl także wewnątrz ośrodka. Chłopcy z Nowego Jorku, noszący zbyt duże ciuchy, z daleka sprawiali wrażenie małych dzieci, natomiast Kevin w swoich ciasnych ubraniach dawał zupełnie odwrotny efekt - wyglądał na większego, bardziej dorosłego. Jeden z jego terapeutów oskarżył mnie nawet, że nie zareagowałam na jego styl, który mógł wzbudzać strach i agresję, ciasne spodnie uwydatniały jądra Kevina, a pod pomalowaną koszulką widać było jego sterczące sutki. Być może. Z pewnością bluzy z ciasnymi rękawami, napiętymi kołnierzykami i paskiem, mocno opinającym jego ciało, przypominały mi niewolnicze więzy.

Wyglądał, jakby było mu niewygodnie i strój w tym sensie był bardzo odpowiedni. Kevinowi *jest* niewygodnie; ciasne ciuchy powielają tylko stan, jaki odczuwa we własnej skórze. Odczytywanie jego duszącego kostiumu jako odpowiednika szaty pątniczej może być nieco naciągane, ale pasek powodował otarcia, a kołnierzyk drapał szyję. Jego dyskomfort rodził poczucie niepewności u innych, a to pewnie jest częścią planu. Często łapie się na tym, że gdy jestem z Kevinem, pociągam się za ubranie, dyskretnie wyciągając szew pomiędzy pośladków lub rozpinam dodatkowy guzik mojej bluzki.

Obserwując drobne zmiany przy sąsiednich stolikach, zauważyłam, że część chłopców z Claverack zaczęła naśladować ekscentryczny styl ubioru Kevina. Dostrzegłam, że ciasna koszulka stała się niezwykle cenną własnością, a Kevin sam wspominał dyskretnie, że



kurduple są pozbawiani swoich ciuchów. Doprowadził swych naśladowców do śmieszności, ale nie został w żaden sposób doceniony za to, że zapoczątkował ten kaprys. Gdyby w podobnym stopniu demonstrował swoją oryginalność dwa lata temu, siedmiu uczniów, którzy stali się jego celem, teraz składałoby dokumenty do wymarzonych szkół wyższych.

A dzisiaj? Wszedł do pokoju odwiedzin ubrany w spodenki, które musiały być jedną ze zdobyczy na kurduplach, bo nie pamiętam, bym mu takie kupowała. Mała bluza w kratę, którą miał na górze, była zapięta tylko na dwa guziki i odsłaniała jego brzuch. Teraz nawet jego tenisówki były zbyt małe. Pewnie nie chciałby słyszeć, jak mu to mówię, ale jest pełen wdzięku. W jego ruchach jest pewna ociężałość, podobnie jak w sposobie mówienia. I jak zwykle jest przekrzywiony, tak jakby chodził bokiem, niczym krab. Wystawiając lewe biodro nieco do przodu, sprawia wrażenie, jakby był modelką na wybiegu. Gdyby zdał sobie sprawę z tego, że zauważyłam w nim oznaki zniewieścienia, wątpię, by się o to obraził. Docenia dwuznaczność, uwielbia zmuszać cię do domysłów.

- Cóż za niespodzianka - powiedział łagodnie, ciągnąc krzesło. Tylne nogi siedziska straciły plastikowe wykończenia i aluminium głośno zaszurało po cementowej podłodze. Okropny dźwięk sprawił, że Kevin poweselał. Oparł łokcie na blacie stołu, a pięściami podparł skronie, przyjmując charakterystyczną, nachyloną pozycję. Starłam się powstrzymać, ale zawsze, kiedy siada przede mną w ten sposób, odruchowo cofam się.

Naprawdę drażni mnie, że to właśnie ja zawsze muszę rozpoczynać rozmowę. Przecież jest już na tyle dorosły, że może sam wymyślić temat do konwersacji. W dodatku, odkąd uwięził mnie w moim własnym życiu, tak samo jak siebie uwięził w swoim, zawsze cierpimy na brak świeżych tematów. Często mówimy według tego samego scenariusza.

- Jak się czujesz? - pytam z brutalną prostotą.

- Pewnie chcesz, żebym powiedział: *w porządku*?

- Chcę, żebyś powiedział cokolwiek - odparłam.

- To ty się chcesz ze mną widzieć - przypomniał mi. I może tak siedzieć bez słowa przez całą godzinę. A w rywalizacji o palmę pierwszeństwa pod względem odporności na nudę nie mam żadnych szans. Potrafił całymi sobotami przesiadywać przed telewizorem i oglądać kanał z prognozą pogody.

Dzisiaj postanowiłam nawet opuścić fazę zdawkowych pytań, zgodnie z teorią mówiącą, że ludzie odrzucający rozmowy o niczym wciąż są zależni od ich wygodnego prowadzenia, ale nauczyli się, jak sprawić, by to inni wykonali za nich całą robotę. A ja w dodatku byłam pod wpływem spotkania z Loretta Greenleaf. Może zmuszenie własnej matki do chełpienia się związkiem z jego koszmarnym okrucieństwem sprawi mu trochę satysfakcji.

Ale najwyraźniej mój mesjanistyczny impuls, by wziąć na siebie winę za *Czwartek*, Kevin potraktował jako swoistą próbę kradzieży.

- W porządku - powiedziałam rzeczowo. - Muszę to wiedzieć. Obwiniasz mnie? Masz prawo tak powiedzieć, jeśli oczywiście tak myślisz. Czy to właśnie powiedziałeś swojemu terapeutycie albo on zasugerował to tobie? Wszystko wskazuje na twoją matkę.

- *Czemu miałybyś zgarnąć wszystkie zasługi?* - powiedział ostro.

Spodziewałam się, że ta rozmowa zajmie nam całą godzinę, jednak już po dziewięćdziesięciu sekundach było po wszystkim. Siedzieliśmy.

- Kevin, czy dobrze pamiętasz swoje wczesne dzieciństwo? - przeczytałam gdzieś, że ludzie z bolesnym dzieciństwem zwykle nic z niego nie pamiętają.

- A co miałbym pamiętać?

- Cóż, chociażby to, że do szóstego roku życia nosiłeś pieluchy.

- I co z tego? - odburknął.

Jeśli chciałam go jakoś zawstydzić, to zupełnie nie trafiłam.

- To musiało być nieprzyjemne.

- Dla ciebie.

- Dla ciebie też.

- Czemu? - zapytał spokojnie. - Dzięki temu było mi cieplej.

- Nie na długo.

- Nie siedziałem w tym zbyt długo. Byłaś dobrą mamuszką.

- A dzieci w przedszkolu nie śmiały się z ciebie? Martwiłam się o to wtedy.

- Tak, i pewnie z tego powodu nie mogłaś zasnąć.

- Martwiłam się - powiedziałam stanowczo.

- A czemu mieliby się ze mnie śmiać? - Wzruszył ramieniem. - Mnie coś uchodziło płazem, a im nie.

- Zastanawiałam się po prostu, czy teraz mógłbyś rzucić trochę światła na twoje opóźnienia. Twój ojciec dawał wystarczająco dużo dowodów.

- *Kevineczku* - gaworzył cienkim głosem - *Kochanie, skarbie! Popatrz na tatusia! Zobacz, jak siusia do nocniczka. Nie chciałbyś tak, Kevinusiu? Nie byłoby fajnie być takim jak tatuś, siusiając do ubikacyjki?* Po prostu wzorowałem się na twoim własnym, opóźnionym w rozwoju pólgłówku.

Zainteresowało mnie to, że pozwolił sobie na poważne słownictwo; zwykle starał się nie pokazywać, że ma mózg.

- Zgodę - powiedziałam. - Nie chciałeś korzystać z toalety sam dla siebie, dla mnie też

tego byś nie zrobił. Ale dlaczego nie chciałeś tego zrobić dla twojego ojca?

- *Jesteś teraz dużym chłopcem!* - kontynuował. - *Jesteś moim dużym chłopcem! Jesteś moim małym mężczyzną!* Boże. Co za duppek.

- *Nigdy więcej* tak nie mów - podniosłam się. - *Nigdy więcej* tego nie mów. Nie waż się tak więcej mówić, ani razu!

- Bo co? - powiedział spokojnie, a jego oczy tańczyły.

Usiadłam. Nie powinnam mu pozwolić, by tak się do mnie odnosił. Zwykle nie pozwalałam. Wciąż każda uwaga na Twój temat...

A może powinnam się cieszyć, że zachowywał się tak częściej. Choć ostatnio na swój sposób zawsze tak robi. Przez większość dzieciństwa jego ograniczone, kanciaste rysy szydziły ze mnie podobieństwem do mnie. Ale w ostatnich latach twarz Kevina stała się pełniejsza i z czasem coraz wyraźniej dostrzegałam w niej Twoje rysy. Kiedyś desperacko poszukiwałam w jego obliczu odbicia Ciebie, a teraz walczę z głupim wrażeniem, że robi to celowo, by zwiększyć moje cierpienie. Teraz już nie chcę widzieć podobieństwa. Nie chcę widzieć tych samych gestów, ruchów rąk, machnięć na nieistotne rzeczy, tak jak odprawiałeś sąsiada, który nie pozwalał swym dzieciom bawić się z naszym synem. Widząc podobną do Twojej, wyraźnie zarysowaną brodę, sterczącą wyzywająco, ten sam szeroki uśmiech, mam wrażenie, że oglądam Ciebie.

- A co ty byś zrobił? - zapytałam. - Co zrobiłbyś z małym chłopcem, który robił w majtki tak długo, dopóki nie poszedł do pierwszej klasy?

Kevin przesunął łokcie i jego biceps dotknął blatu stołu. - Wiesz, co się robi z kotami, prawda? Jeśli załatwiają się na podłodze, ludzie wycierają gównem ich mordkami. Koty tego nie lubią. Od razu załatwiają się w pudełku - powiedział i z satysfakcją oparł się o krzesło.

- To całkiem niedaleko tego, co ja zrobiłam - powiedziałam ciężko. - Pamiętasz? Do czego mnie doprowadziłeś? Co w końcu wymyśliłam, żeby przekonać cię do łazienki?

Troskliwie potarł małą białą bliznę znajdującą się na przedramieniu nieopodal łokcia, tak jakby głaskał zwierzaka.

- Pewnie - powiedział, a ja wyczułam, że w tym wyznaniu była zupełnie inna jakość; pamiętał to doskonale, a inne wspomnienia nie były tak wyraźne. - Byłem z ciebie dumny - wycodził przez zęby.

- Byłeś dumny z siebie - powiedziałam. - Jak zwykle.

- Hej - znów się nachylił. - To była najbardziej szczerą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłaś.

Zmieszałam się i sięgnęłam po torebkę. Może kiedyś chciałam zyskać jego uznanie,

ale na pewno nie za to; za wszystko, tylko nie za to.

- Poczekaj - dodał. - Odpowiedziałem na twoje pytanie. Teraz ja mam jedno do ciebie.

To było coś nowego.

- W porządku - odparłam. - Strzelaj.

- Tamte mapy - powiedział.

- Co z nimi? - zapytałam.

- *Czemu zostawiłaś je na ścianach?*

Kevin pamiętał ten incydent tylko dlatego, że przez wiele lat nie pozwoliłam zerwać tych map, nie zgodziłam się też na ich pomalowanie, co Cię ogromnie złościło. Kevin był wtedy, jak to często określałeś, okropnie młody.

- Zostawiłam je dla własnego spokoju - powiedziałam. - Potrzebowałam czegoś, co przypominałoby mi to, co mi zrobiłeś. Jakiś namacalny dowód. Dowód, że nie wymyśliłam sobie zła siedzącego w tobie.

- Tak - przyznał, ponownie masując bliznę. - Wiem, o co ci chodzi.

Obiecuję, że wyjaśnię Ci to później. Teraz po prostu nie mogę.

*Eva*

17 stycznia 2001

*Drogi Franklinie,*

Przepraszam, że tak długo trzymałam Cię w niepewności, ale wyjaśnienie zawsze napawało mnie przerażeniem. Gdy jechałam dziś rano do pracy, ponownie dopadły mnie wspomnienia z procesu. Z technicznego punktu widzenia popełniłam krzywoprzysięstwo. Po prostu nie myślałam, że sędzinie o przepełnionym złem spojrzeniu (wrodzone zaburzenie, którego wcześniej nigdy nie widziałam - niezwykle małe źrenice, które nadawały jej ten nieprzytomny, bezduszny wygląd bohaterki kreskówki, która właśnie została uderzona patelnią) powinnam powiedzieć to, co przez całą dekadę skrywałam przed własnym mężem.

- Pani Khatchadourian, czy kiedykolwiek pani lub pani mąż uderzyliście swojego syna? - Prawnik Mary złowrogo nachylił się nad barierką dla świadków.

- Przemoc jedynie pokazuje dziecku, że siła fizyczna jest akceptowanym sposobem stawiania na swoim - wyrecytowałam.

- Sąd nie może się z tym nie zgodzić, pani Khatchadourian, ale bardzo ważne jest, byśmy uściślili pewne sprawy na potrzeby dokumentacji sądowej: czy kiedykolwiek użyliście siły fizycznej przeciwko własnemu dziecku?

- Oczywiście, że nie - powiedziałam stanowczo, a później powtórzyłam, by wyrzeć dobre wrażenie: - Oczywiście, że nie. - Żałowałam tej powtórki. W powtarzanych zapewnieniach zwykle czai się coś podejrzanego.

Gdy opuszczałam stanowisko dla świadków, stopą zaczepiłam o gwóźdź wystający z podłogi, zrywając obcas mojego czółenka. Wróciłam do swojego krzesła, rozmyślając, że w sumie lepiej było złamać obcas niż nos.

Dochowanie tajemnicy wymaga wielkiej dyscypliny. Nigdy nie uważałam się za dobrego kłamczucha, ale po zdobyciu pewnej praktyki, zaczęłam stosować motto krętaczy, że z dobrym oszustwem trzeba się ożenić. Doskonałe kłamstwo, po wprowadzeniu w życie, nie może zostać lekkomyślnie porzucone; jak każdy udany związek, musi być pielęgnowane z większą troską niż prawda, która pozostaje prawdą także bez żadnej pomocy. Dla kontrastu, moje kłamstwo potrzebowało mnie w takim samym stopniu, jak ja potrzebowałam jego, dlatego niezbędna była niemal małżeńska wierność i trwałość: dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Zdaję sobie sprawę z tego, że pieluchy Kevina zawstydzają Cię, nawet jeśli w żadnym stopniu nie krępowało to naszego syna. Używaliśmy już rozmiaru XL; jeszcze trochę i musielibyśmy zamawiać specjalną wielkość, używaną w szpitalach dla ludzi obłożnie chorych. I choć przeczytałeś wiele bardzo tolerancyjnych podręczników dla rodziców, to wychowałeś się w staroświeckim poczuciu męskości, które z pewnym zdziwieniem uznałam za atrakcyjne. Nie chciałeś, żeby Twój syn był maminsynkiem, by był łatwym celem dla naśmiewających się rówieśników lub by publicznie prezentował swój talizman niemowlęstwa, gdyż wyrzucenie pod spodniami nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

- Jezu - narzekałeś pewnego razu, gdy Kevin leżał już w łóżku - dlaczego nie może po prostu ssać kciuka?

W pewnym momencie zaangażowałeś się w walkę z Twoją wymagającą matką, dotyczącą splukiwania, ponieważ toaleta już raz przebrała i za każdym razem, gdy później spuszczałeś wodę, bałeś się, że bryły ekskrementów będą nieustannie wypływały z muszli na podłogę, jak w skatologicznej wersji *Ucznia czarnoksiężnika*. Ja zgodziłam się, że sposób, w jaki dzieci trzymają się neurotycznego przywiązania do sikania i robienia kupki, jest tragiczny i nieco tchórzliwy. W związku z tym postępowałam zgodnie z nową teorią, mówiącą o tym, by uczyć pociechy korzystania z nocnika dopiero wtedy, gdy będą „gotowe”. Mimo to oboje powoli wpadaliśmy w paranoję. Zacząłeś przepytywać mnie, czy w ciągu dnia Kevin widział, jak korzystam z toalety (nie byliśmy pewni, czy w ogóle powinien widzieć takie rzeczy), czy może powiedziałam coś, co odstraszyło go od tego tronu cywilizowanego życia, w porównaniu z którym udogodnienia takie, jak *proszę* i *dziękuję*, były zbędne niczym podkładki pod ciasto. Na zmianę zarzucałeś mi, że robię w tym celu zbyt dużo lub zbyt mało.

Niemożliwe, żebym zrobiła zbyt mało, tym bardziej, że ta faza dziecięcego rozwoju, którą nasz syn najwyraźniej opuścił, terroryzowała moje życie. Będiesz wspominał, że to tylko dzięki tej nowej metodzie edukacji, opartej na patologicznej neutralności (nie ma rzeczy dobrych i złych, są tylko rzeczy różne), oraz paralizującemu strachowi (przerażeniu, w którym Amerykanie coraz bardziej niechętnie robią cokolwiek, od pomocy tonącym ludziom poczawszy, na zwolnieniu niekompetentnych podwładnych skończywszy), Kevin nie został wyrzucony z bardzo drogiego przedszkola w Nyack tylko dlatego, że przetrzymuje swoje gówno w jednym kawałku. W dodatku nauczycielka nie zamierzała robić niczego, by wpłynąć na zmianę jego zachowania, ponieważ nie chciała zostać oskarżona o molestowanie seksualne. Gdy dyskretnie poinformowałam Carol Fabricant o tej małej ekscentryczności Kevina, popatrzyła na mnie podejrzliwie i wygłosiła miażdżącą opinię, że ten rodzaj *zachowania odbiegającego od normy jest czasami wołaniem o pomoc*. Nie powiedziała tego

głośno, ale przez następny tydzień żyłam w strachu, że usłyszę pukanie do drzwi, a w oknie zobaczę błyskające niebieskie światło. Do przedszkola „Miłość i Nauka” odwoziłam go około godziny dziewiętej rano, a już około wpół do dwunastej musiałam stawiać się tam ponownie, z moją przygnębiającą torbą na pieluchy.

Jeśli był suchy, udawałam, że wpadłam poprawić mu włosy i zapytać, co rysuje, i choć wystarczająco dużo jego „obrazków” było przyklejonych do naszej lodówki, był to całkiem niezły pomysł. Inne dzieci osiągnęły już etap malowania okrągłych twarzy i widoczków z małym skrawkiem niebieskiego nieba na górze, a Kevin wciąż gryzmolił bezkształtne, postrzępione plamy w odcieniu czerni i purpury. Zbyt często południowy spokój był przerywany dzwonkiem telefonu: panna Fabricant dzwoniła, by poinformować mnie, że Kevin narobił w pieluchę, a inne dzieci skarżą się, że śmierdzi. „Czy mogłaby pani...?”. Nie mogłam odmówić. W ten sposób, odbierając go około godziny czternastej, miałam w rozkładzie cztery wyprawy do „Miłości i Nauki” dziennie. Gdy Kevin zaczął szkołę, miałam nagle tak dużo wolnego czasu dla siebie, że wróciła mi wiara w to, iż wkrótce będę mogła wrócić do pracy jako dyrektorka AWAP-u.

Gdyby Kevin był uległym, miłym chłopcem, który ma tylko ten jeden nieprzyjemny problem, panna Fabricant mogłaby nawet mu współczuć. Ale jej relacje z naszym synem nie były kwitujące z innych powodów.

Być może popełniliśmy błąd, wysyłając go do przedszkola Montessori, gdzie filozofia i podejście do natury ludzkiej było co najmniej optymistyczne. Tamtejsza nadzorowana, ale niezorganizowana edukacja - dzieci były umieszczone w „stymulującym” otoczeniu, z zabawkami zawierającymi litery alfabetu, liczydłami i sadzonkami grochu - zakładała, że nasze pociechy są urodzonymi samoukami. Z mojego doświadczenia wiem, że ludzie pozostawieni sami sobie osiągną jedną z dwóch rzeczy: nic więcej lub nic dobrego.

Początkowy raport na temat „postępów” Kevina w listopadzie wspominał, że jest on „zbyt mało towarzyski” i „może potrzebować pomocy w inicjowaniu określonych zachowań”. Panna Fabricant niechętnie krytykowała swych podopiecznych, więc musieliśmy mocno ciągnąć ją za język, by w końcu powiedziała, że pierwsze dwa miesiące Kevin spędził, siedząc na stołku na środku pokoju i gapiąc się beznamiętnie na pałętające się dzieci. Znałam to spojrzenie, wyjątkowo dojrzałe, zielono-niebieskie oczy skrzyły się tylko sporadycznym blaskiem pogardliwej nieufności. Gdy naciskano go, by bawił się z innymi, zawsze odpowiadał, że to, co robią jest „durne”, mówiąc z wymuszonym znużeniem, w taki sposób, że później w szkole średniej jego nauczyciel historii był przekonany, iż Kevin jest wiecznie pijany. Nigdy jednak nie zrozumiałem, w jaki sposób udało jej się wybić mu z głowy te

mroczne, wściekle rysunki.

Dla mnie podziwianie malowanej szarpaniny było bardzo męczącym wyzwaniem. Szybko zaczęło brakować mi pomysłów na komplementy (*Kevin, w tym jest tak wiele energii!*) i pomysłowe interpretacje (*Czy to burza, kochanie? A może namalowałaś obrazek kotłowaniny mydła i włosów, którą wyciągamy z odpływu wanny!*). Z trudem zachwyciałam się jego idealnym doborem kolorów, tym bardziej, że używał wyłącznie czerni, brązu i fioletu. Nie mogłam się w końcu powstrzymać i zasugerowałam nieśmiało, że taki abstrakcyjny ekspresjonizm wyszedł z mody w latach pięćdziesiątych i może powinien spróbować namalować drzewo lub ptaka. Jednak dla panny Fabricant pozbawione sensu życie Kevina było pozytywnym dowodem na to, że metody Montessori mogły zdziałać cuda z nieużytecznymi urządzeniami.

Mimo to nawet Kevin, który posiadał dar bycia nieużytecznym, nie mógł wytrzymać zbyt długo bez robienia rzeczy, które urozmaicają życie, co bardzo jasno zademonstrował w *Czwartek*. Pod koniec roku szkolnego panna Fabricant pewnie z rozrzewnieniem wspominała dni, w których Kevin nie robił zupełnie nic.

Chyba nawet nie trzeba mówić, że sadzonki grochu zwiędły, podobnie jak i kielkujące awokado. W tym samym czasie zorientowałam się, że brakuje mi jednej butelki wybielacza. Nie brakowało też rzeczy tajemniczych: pewnego dnia w styczniu, gdy za rękę wprowadziłam Kevina do sali, mała dziewczynka z lokami w stylu Shirley Temple zaczęła płakać. Jej zawodzenie z dnia na dzień stawało się coraz gorsze, aż pewnego dnia w lutym nie pojawiła się w przedszkolu i później już nigdy nie wróciła. We wrześniu inny chłopiec, agresywny i hałaśliwy, jeden z tych, którzy zawsze szturchają cię w nogę i popychają innych w piaskownicy, nagle stał się cichy i zamknięty w sobie. Ni stąd, ni zowąd doznał ostrych ataków astmy i panicznie bał się szafy na ubrania, a gdy tylko zbliżył się do niej na odległość kilku kroków, zaczynał charczeć. Czy to miało coś wspólnego z Kevinem? Nie mam pojęcia, być może nic. Niektóre incydenty były bezbolesne, tak jak ten, kiedy mały Jason włożył nogi do swych jasnoczerwonych kaloszy, w których znajdowały się kawałki szarlotki niezjedzonej podczas przerwy na posiłek. Możemy przyjąć, że to była zwykła dziecięca zabawa - jeśli to była *naprawdę* zabawa.

Pannę Fabricant najbardziej dotknął jednak fakt, że jej pozostali podopieczni, jeden po drugim, zaczęli się cofać, jeśli chodzi o załatwianie swoich potrzeb fizjologicznych. Na początku roku obie z nadzieją oczekiwałyśmy, że Kevin weźmie przykład z pozostałych dzieci i zacznie normalnie załatwiać się podczas przerw na siusianie. Obawiam się jednak, że sprawy przybrały całkowicie przeciwny obrót, gdyż przy końcu roku do przedszkola w



pieluchach chodził nie tylko mój syn, ale także trzech lub czterech innych sześciolatków.

Jeszcze bardziej niespokojna stałam się z powodu kilku przelotnych zdarzeń.

Pewnego poranka bardzo drobna istota o przydomku Muffet przyniosła do przedszkola komplet do herbaty, by go zaprezentować pozostałym i opowiedzieć o nim kilka słów. To nie był zwykły serwis, tylko bogato zdobiony, złożony zestaw, którego elementy pasowały do odpowiednich wgłębień w wyłożonym atlasem, mahoniowym pudełku. Jej matka później wkurzała się, że to była rodzinna pamiątka, którą Muffet mogła pokazać tylko przy szczególnej okazji. Nie ulega wątpliwości, że serwis nigdy nie powinien być zabrany do przedszkola, ale mała dziewczynka była bardzo dumna z tych efektownych rzeczy, w dodatku nauczyła się obchodzić z nimi bardzo ostrożnie, delikatnie ustawiając filiżanki na talerzykach, prezentując je koleżankom i kolegom siedzącym przy stolikach. Gdy już nalała wszystkim „herbaty” (wszechobecny sok ananasowo-grejpfrutowy), Kevin podniósł swą filiżankę, wznosił toast - i upuścił ją na podłogę.

Zaraz za nim podobnie postąpiło pozostałych jedenastu amatorów herbaty. Zanim panna Fabricant zdołała zareagować, wszystkie spodki i łyżeczki podzieliły los filiżanek. Później, gdy matka odbierała łkającą Muffet z przedszkola, powiedziała, że z bezcennego zestawu w jednym kawałku został tylko czajniczek.

Jeśli kiedykolwiek żywiłam nadzieję, że mój syn będzie wykazywał zdolności przywódcze, na pewno nie to miałam na myśli. Gdy później w ten sposób odniosłam się do wydarzenia z serwisem do herbaty, panna Fabricant nie była w nastroju do żartów. Miałam wrażenie, że jej typowa dla dwudziestolatki radość z kształtowania tych małych lalek w świadomych wielokulturowości, odpowiedzialnych za środowisko wegetarian, chcących naprawiać niesprawiedliwości Trzeciego Świata, zaczynała się chwiać. To był jej pierwszy rok farby odpadającej z brwi, chodzenia spać ze słonym posmakiem makaronu w ustach i odganiania dzieciaków, by znaleźć chwilę wolnego czasu, bo inaczej nie miałyby dla siebie wolnej chwili. Mimo to, podczas naszego pierwszego spotkania powiedziała, że „po prostu *kocha* dzieci”. Taka deklaracja zawsze wzbudza we mnie wątpliwość. W ustach takiej kobiety, jak panna Fabricant, z zaokrąglonym, zadartym nosem przypominającym ziemniak, z biodrami jak stan Idaho, to nierealne twierdzenie zawierało ukrytą wiadomość „chcę wyjść za mąż”. Ja osobiście, posiadając nie jakieś dziecko, a właśnie to konkretne, nie potrafię zrozumieć, jak ktoś może mówić, że ogólnie *kocha* dzieci? Podobnie jak ktoś inny mógłby powiedzieć, że *kocha* ludzi w wystarczająco szerokim zakresie, by objąć Pol Pota, Dona Ricklesa i sąsiada z góry, który o trzeciej nad ranem puszcza muzykę tak głośno, jak to tylko możliwe.

Po zakończeniu tej strasznej opowieści, mówionej szeptem, panna Fabricant jasno dała mi do zrozumienia, że powinnam pokryć koszty zniszczonego serwisu do herbaty. Z finansowego punktu widzenia było mnie na to stać bez najmniejszego problemu, ale nie mogłam pozwolić sobie na to, by w całości obarczono mnie winą za to zdarzenie. To coś dla Ciebie, Franklinie. Byłeś bardzo wrażliwy na to, gdy ktoś wskazywał na Twojego syna lub, jak to nazywałeś, *prześladował* go. Z technicznego punktu widzenia Kevin stłukł tylko jedną część zastawy i pokrycie jednej dwunastej wartości serwisu było największą ceną, jaką mógłbyś za to zapłacić. Ja zaoferowałam również, że porozmawiam z Kevinem na temat „szanowania własności innych osób”, ale panna Fabricant nie była zbyt wzruszona tym zapewnieniem. Może intuicyjnie wyczuła, że moje tłumaczenia mają takie znaczenie, jak rytmiczne wyliczanki, przy których dziewczynki skaczą na skakance.

- Kevin, to nie było miłe - powiedziałam w samochodzie. - Nie powinieneś niszczyć serwisu do herbaty Muffet - nie miałam pojęcia, dlaczego my, rodzice, upieramy się przy tym, że nasze dzieci pragną uchodzić za *mile*, tymczasem my sami, gdy mówimy o naszych krewnych, że są *bardzo mili*, mamy na myśli to, że są nudni.

- Głupio się nazywa.

- Ale to nie znaczy, że zasługuje na to...

- Wypadło mi z ręki - powiedział nieprzekonująco.

- Panna Fabricant mówiła coś innego.

- A skąd ona może wiedzieć? - ziewnął.

- A jak ty byś się czuł, dzieciaku, gdybyś miał coś, na czym bardzo ci zależy, przyniósł to do przedszkola, by pokazać innym i ktoś by to zniszczył?

- Na przykład co? - zapytał z niewinnością zabarwioną samozadowoleniem.

Szybko przeszukałam moją pamięć, ale nie znalazłam żadnej rzeczy, która miała dla Kevina jakiegoś wyjątkowe znaczenie. Gdy z większą uwagą zaczęłam się nad tym zastanawiać, miałam wrażenie, że przeszukuję wszystkie swoje kieszenie, by w końcu stwierdzić, że ta, w której zwykle trzymam portfel, była pusta. To było nienaturalne. W moim niezbyt efektownym dzieciństwie byłam bardzo przywiązana do każdej, nawet najmniejszej pamiątki, od trzynożnej strasznej małpy o imieniu Cloppity, do pustych butelek po płynie kolorującym jedzenie.

I wcale nie chodzi o to, że Kevin nie miał żadnych rzeczy, bo przecież zasypywałeś go zabawkami. Czułabym się niedobrze, wytykając, że ignorował większość pospolitych maskotek. Muszę jednak oddać Ci to, że Twój rozmach sygnalizował świadomość, iż Kevin nie przyjął żadnego z Twoich poprzednich prezentów. Być może Twoja hojność

zaowocowała tym, że rzeczy, którymi wypełniałeś jego pokój, w jego pojęciu były plastikowymi śmieciami, a może doszedł do wniosku, że komercyjne prezenty były dla nas bardzo wygodne, bo nawet jeśli były drogie, to przy naszych zarobkach nie odczuwaliśmy tego.

Spędziłam tygodnie na własnoręcznym wytwarzaniu zabawek, które przynajmniej hipotetycznie miały *coś znaczyć*. Upewniałam się, że Kevin widział, jak nad nimi pracuję, tak by miał świadomość, że powstały z miłości. Największą ciekawością, jaką kiedykolwiek wykazał, było irytujące pytanie, czemu po prostu nie *kupię* książki z bajkami. Poza tym, moja ręcznie malowana książka dla dzieci była oprawiona w twardą, malowaną okładkę, miała wywiercone dziurki i związana była kolorowym sznurkiem. Czytałam ją na głos, a Kevin w tym czasie bezcelowo gapił się w okno. Przyznaję, że fabuła była bardzo oklepana. Opowiadała o małym chłopcu, który zgubił swego ukochanego psa Snippy'ego, oszalał z tęsknoty i szukał go wszędzie. Na końcu oczywiście Snippy szczęśliwie się znalazł - chyba w dużej części wzorowałam się na *Lassie*. Nigdy nie udawałam, że byłam utalentowaną pisarką, a w dodatku farby wodne brudziły dłonie; cierpiałam, łudząc się, że to ma jakieś znaczenie. Jednak bez względu na to, ile opisałam podobieństw do małego chłopca o ciemnych włosach i brązowych oczach, nigdy nie udało mi się doprowadzić do tego, by Kevin identyfikował się z bohaterem mojej książki. Pamiętasz, gdy chciałeś kupić Kevinowi psa? Błagałam Cię, żebyś tego nie robił. Byłam Ci wdzięczna, że nie chciałeś, bym wyjaśniła powody mojego sprzeciwu, gdyż tak naprawdę sama nie byłam pewna, dlaczego protestuję. Wiem tylko, że kiedykolwiek wyobrażałam sobie naszego krzepkiego czarnego labradora lub ufnego setera irlandzkiego, za każdym razem byłam wypełniona strachem. Tylko raz zainteresował się moją książką. Zostawiłam go na pewien czas samego i poszłam przygotować obiad. Gdy wróciłam, zastałam książkę na każdej stronie pomazaną flamastrem - tak wyglądała pierwsza *interaktywna edycja*. Później swego pluszowego misia wypchanego skarpetami, z oczami z guzików, stosownie utopił w Jeziorze Niedźwiedzim; kilka kawałków mojej czarno-białej mozaiki w kształcie zebry wrzucił do rynsztoka.

Wróciłam do pewnej starej historii.

- Pamiętasz swój pistolet na wodę?

Wzruszył ramionami.

- Pamiętasz, jak mamutka straciła panowanie nad sobą i rozdeptała go na kawałki? - Musiałam zastosować dziwny zabieg odnoszenia się do siebie w trzeciej osobie; być może już zaczęłam się oddzielać od siebie, a „mamutka” stawała się moim szlachetnym alter ego, sympatycznie puszystą ikoną macierzyństwa, z posypanymi mąką dłońmi, podtrzymującą

ogień w piecu, rozwiązującą sąsiedzkie sprzeczki, opowiadającą bajki i piekąca ciasteczka. Tymczasem Kevin całkowicie odrzucił *mamutke*, przy okazji sprowadzając znaczenie neologizmu jedynie do głupiego określenia mojej osoby. W samochodzie z niepokojem zauważyłam, że przestał nazywać mnie w jakikolwiek sposób. To prawie niemożliwe, bo dzieci zwykle używają naszych imion, gdy czegoś chcą, nawet *gdy tylko* chcą zwrócić na siebie uwagę. Kevin jednak niechętnie prosił mnie o cokolwiek, nawet zwykłym odwróceniem głowy.

- Nie podobało ci się to, prawda?

- Miałem to w nosie - odburknął.

Moje ręce zjechały po kierownicy z pozycji dziesiąta-druga na pozycję siódma-piąta. Jego pamięć była bardzo dokładna. Według Ciebie, niszcząc moje mapy, Kevin *tylko chciał pomóc*, dlatego w zamian za pistolet na wodę kupiłeś mu pudełko zabawek, których jednak nie dotknął. Pistolet służył określonej celowi. Naprawdę miałam straszne przecucie, gdy skończyłam wgniatać lufę w podłogę - miałam wrażenie, że był z tego zadowolony.

Gdy mówiłam Ci o zestawie do herbaty, miałeś zamiar to zbagatelizować, ale wtedy posłałam Ci ostrzegawcze spojrzenie. Rozmawialiśmy wtedy o konieczności prezentowania jednakowego stanowiska.

- Hej, Kev - powiedziałeś spokojnie. - Wiem, że filiżanki do herbaty są dla dziewczynek i sztywniaków, ale nie niszc ich, dobrze? To jest *niemodne*. To co, może porzucamy frisbee? Mamy trochę czasu do obiadu, więc możemy potrenować twój rzut.

- Pewnie, tato! - pamiętam, jak wtedy obserwowałam Kevina, błyskawicznie dopadającego do szafki, wyciągającego frisbee. Zaciśnięte pięści, równo unoszące się łokcie, wyglądał wtedy zupełnie normalnie, jak zwykle, żywotne dziecko, cieszące się z możliwości zabawy ze swoim ojcem. Z wyjątkiem tego, że jego zachowanie było *zbyt* normalne, jakby wyuczone. Nawet to „Pewnie, tato!” miało w sobie wydźwięk jego wkurzającego *yee-yee*, dlatego nie potrafiłam w to uwierzyć. Tego samego, przyprawiającego o mdłości uczucia doświadczałam w weekendy, gdy Kevin ostro jęczał - *tak, ostro jęczał* - „Kurczę, tato, znowu sobota. Możemy iść zobaczyć kolejne pole bitwy?”. Byłeś tak oczarowany, że nie mogłam oprzeć się wrażeniu, iż specjalnie Cię nabiera. Ponadto wyglądałam przez okno jadalni i jakoś nie mogłam uwierzyć, że po tym wszystkim Kevin był tak nieprawdziwy, rzucając frisbee. Wciąż podrzucał dysk na swojej stronie, kręcąc obręczą na środkowym palcu i rzucając go dziesięć jardów od Ciebie. Byłeś cierpliwy, ale obawiałam się, że to prowokowało Kevina, by sprawdzić twoją wytrzymałość.

Nie pamiętam wszystkich incydentów, które wydarzyły się w tamtym roku, ale na

pewno było kilka takich, które zbywałeś, mówiąc: - Evo, każdy chłopak ciągnie dziewczyny za warkocze. - Oszczędzałam Cię kilka razy, bo uważałam, że opowiadanie o złym zachowaniu własnego syna jest zwykłym *donoszeniem* na niego. W efekcie odbijało się to na mnie, bo jego wybryki przerzucałam na siebie. Gdybym była jego siostrą, potrafiłabym to zauważyć, ale czy matka mogła być skarżypytą? Najwyraźniej.

Jednak widok, jaki ujrzałam - chyba to był marzec - cóż, nie wiem, dlaczego tak bardzo wytrącił mnie z równowagi, ale nie mogłam zatrzymać tego tylko dla siebie. Pojechałam jak zwykle po południu odebrać Kevina, ale nikt nie wiedział, gdzie on może być. Twarz panny Fabricant była coraz bardziej wynędzniała i jeśli Kevin został uprowadzony przez pedofilów morderców, którzy mogli czaić się za każdym krzakiem, podejrzewałam, że to ona mogłaby ich wynająć. Zaginione dziecko było naszym synem i dopiero po dłuższej chwili ktoś wpadł na pomysł przeszukania łazienek, które były najmniej prawdopodobnym miejscem kryjówki.

- Tutaj jest! - wykrzyknęła nauczycielka przy drzwiach do dziewczęcej toalety. I zamarła.

Wątpię, by Twoje wspomnienie tej historii było tak wyraźne, więc pozwól, że odświeżę Ci pamięć. Była tam szczupła, ciemnowłosa dziewczynka o imieniu Violetta, o której już pewnie wcześniej wspominałam, ponieważ bardzo mnie wzruszyła. Była cicha, zamknięta w sobie; chowała się za spódnicą panny Fabricant i bardzo długo musiałam namawiać ją do tego, by powiedziała mi, jak ma na imię. Bardzo ładna, naprawdę, ale trzeba było się jej dokładnie przyjrzeć, by dostrzec to, czego inni ludzie nie widzieli. Nie umieli przebić się przez egzemę.

To było okropne. Calutka była pokryta dużymi plamami, czerwonymi i łuszczącymi się, czasami pękniętymi lub zaschniętymi. Miała to na rękach, nogach, a najwięcej na twarzy. Jej pomarszczona skóra przypominała gada. Słyszałam, że gorszy stan skóry był związany z negatywnymi emocjami; może byłam zbyt podatna na najnowsze domniemania, bo zaczęłam się zastanawiać, czy Violetta nie jest przypadkiem źle traktowana lub czy może jej rodzice nie są w trakcie rozwodu. W każdym razie zawsze, gdy na nią patrzyłam, coś we mnie pękało i z trudem zwalczałam impuls, by ją przytulić. Nigdy nie życzyłam naszemu synowi zbyt rozległych wyprysków, ale to był właśnie ten rodzaj chwytającej za serce skazy, jakiej łaknęłam u doktora Foulke: jakaś czasowa przypadłość, którą można wyleczyć, ale która w tym czasie będzie we mnie wzbudzała uczucie sympatii do naszego syna. Taką samą sympatią darzyłam Violetkę, zupełnie obce dziecko.

Miałam tylko jeden przypadek egzemy, na brodzie, tylko przedsmak, ale

wystarczający do tego, by wiedzieć, że swędzi jak cholera. Podśluchałam kiedyś matkę Violetty, która cichutko przypominała dziewczynce o tym, by się nie drapała, i o tubce oleju węzowego łagodzącego swędzenie; nigdy nie zauważyłam, by egzema Violetty zmniejszała się. Na szczęście kremy przeciwświądowe są teraz dość skuteczne, w dodatku byłam pod wielkim wrażeniem samokontroli tej małej dziewczynki. Gdy tylko zaczynała delikatnie skrobać paznokciem po ramieniu, łapała swą dłoń drugą ręką, tak jakby trzymała ją na smyczy.

W każdym razie, gdy panna Fabricant stanęła zamurowana, ja podeszłam do niej. Kevin stał tyłem do nas i coś szeptał. Gdy pchnęłam drzwi trochę mocniej, przestał i wycofał się. Przed nami przy umywalkach stała Violetta. Na jej twarzy malował się wyraz czegoś, co mogę jedynie opisać jako błogość. Miała zamknięte oczy, ramiona skrzyżowane tak, jakby leżała w trumnie, sprawiała wrażenie, że zemdląca. Jestem pewna, że po części nawet zazdrościlibyśmy jej tej ekstazy wymalowanej na twarzy, gdyby nie fakt, że była cała pokryta krwią.

Nie chcę jednak być zbyt melodramatyczna. Wkrótce, gdy panna Fabricant wrzasnęła i pchnęła Kevina, by przyniósł papierowe ręczniki, okazało się, że otarcia Violetty nie były takie groźne, jak wyglądały na pierwszy rzut oka. Przytrzymałam jej rękę, by nie drapała ramion, a nauczycielka przykładła wilgotne chusteczki do jej rąk, nóg i twarzy, desperacko próbując ją umyć, zanim przyjedzie jej matka. Ja chciałam wytrzeć jej granatowy sweter, który pokryty był białym pyłkiem, ale fragmenty skóry mocno przyłgnęły do materiału. Z pewnością nie było już czasu na to, by wyszorować zabrudzone krwią, koronkowe mankiety i bufiaste rękawy jej bluzki. Większość zranień była płytka, ale pokrywały całe ciało, a panna Fabricant nie była w stanie wytrzeć wszystkiego - płonącego kolorami od bladego fioletu do jaskrawej czerwieni - zanim ponownie nie zaczęło się skraplać i sączyć.

Słuchaj, nie chcę się znowu kłócić o to samo. Zgadzam się, że Kevin być może nawet jej nie dotknął. Mogę nawet uznać, że rozdrapała się sama, bez niczyjej pomocy. Swędziało ją, więc zaczęła się drapać, a skrobanie paznokciami po czerwonych strupach musiało być świetną zabawą. Wyczuwałam nawet pewną mściwość w rozmiarze uszkodzeń lub może niewłaściwe przekonanie, że jeśli z chirurgiczną precyzją usunie swoją przypadłość, to pozbędzie się jej raz na zawsze.

Nigdy nie zapomniałam wyrazu jej twarzy, jaki ujrzałam w pierwszym momencie, wyrazu przedstawiającego radość nie tylko czystą, ale także dziką, bardziej prymitywną, prawie pogańską. Wiedziała, że później to będzie boleło, była pewna, że w ten sposób tylko pogorszy stan swojej skóry, miała świadomość, że matka będzie przy niej i to właśnie

sprawiło, że jej wyraz był tak mocny, że nadawał tej pięcioletniej dziewczynce nutkę obsceniczności. Niezależnie od konsekwencji, potrafiła poświęcić się dla tej jednej chwili rozkoszy. I to te groteskowe konsekwencje - krwawienie, pieczenie, nerwowy powrót do domu, wielkie strupy obklejające jej ciało w następnych tygodniach - leżały u podstaw jej rozkoszy.

Tego wieczoru wpadłeś w furię.

- *Więc* jakaś mała dziewczynka podrapała się? Co to ma wspólnego z moim synem?

- Był tam! Ta biedna dziewczynka żywcem obdzierała się ze skóry, a on *nic* nie zrobił!

- Nie jest jej opiekunem. Evo, przecież on jest jednym z dzieciaków!

- Mógł kogoś zawołać, prawda? Zanim to zaszło tak daleko.

- Być może, ale przecież dopiero w przyszłym miesiącu kończy sześć lat. Nie możesz oczekiwać, że będzie na tyle pojętny, by zorientować się, że coś zaszło za daleko, jeśli ona ciągle tylko się drapie. W najmniejszym stopniu nie wyjaśnia to, dlaczego pozwalasz Kevinowi plątać się po całym domu, jeśli przez całe popołudnie obklejony jest gównem! - Rzadka pomyłka. Zapomniałeś powiedzieć *kupka*.

- Ale to dzięki *Kevinowi* jego pieluchy śmierdzą, bo to tylko dzięki *sobie* je nosi. - Wykąpany przez swego zdenerwowanego ojca Kevin spał teraz w pokoju, ale ja byłam świadoma tego, że usłyszy mój głos. - Franklinie, jestem na skraju szaleństwa! Kupiłam te wszystkie podręczniki w stylu „*kupka to nic złego*”, a on uważa, że są głupie, bo dotyczą dwuletnich dzieci. Mieliśmy czekać, aż wykaże *zainteresowanie*, ale nie wykazuje żadnego! Ale czemu miałby wykazywać, skoro matka zawsze wszystko po nim posprząta? Jak długo będziemy to tolerować? Aż pójdzie na studia?

- No dobrze, zgodzę się na delikatne zaostrenie naszego stanowiska w tej sprawie. To zwróci jego uwagę...

- To nie zwykła sprawa, ale wojna. A nasze siły są w rozsypce. Brakuje nam amunicji, naruszono nasze granice.

- Może ustalimy to wprost? To twoja nowa teoria nauki korzystania z nocnika pozwala mu taplać się we własnym gównie i rozmazywać je na białej sofie? To jest edukacyjne? A może jest to forma kary? Bo jakoś ta ostatnia metoda wygląda jak efekt twojego wzburzenia tym, że jakieś inne dziecko się podrapało.

- *On ją do tego nakłonił.*

- Na Boga!

- Doskonale radziła sobie z egzemą, nie ruszała i nie drapała jej w ogóle. Nagle znajdujemy ją w łazience z nowym małym przyjacielem, a on nachyla się nad nią i nakłania

do zdrapywania strupków... Mój Boże, Franklinie, szkoda, że jej nie widziałeś! Przypomniała mi o tej strasznej historii, która krążyła w latach sześćdziesiątych, o jakimś facecie, który oblał sobie ręce kwasem, ponieważ myślał, że ma pluskwy.

- A nie pomyślałaś o tym, że scena była tak okrutna, iż dla Kevina było to bardzo traumatyczne przeżycie? Może potrzebuje teraz kogoś, z kim mógłby porozmawiać? Może nie powinien być karany za to, że nie potrafi powstrzymać swojego pęcherza? Boże, za mniejsze przewinienia zabierają dzieci do rodziców zastępczych.

- Powinam się cieszyć - wymamrotałam.

- Eva!

- Żartowałam!

- Co się z tobą dzieje? - zapytałeś zdziwiony.

- Nie wywołało to u niego żadnego urazu. Był zadowolony z siebie. W drodze do domu jego oczy iskrzyły się radośnie. Nie widziałam go tak zadowolonego z siebie od czasu, gdy rozwałił urodzinowy tort.

Opadłeś na jeden koniec naszej niepraktycznej białej sofy i złapałeś się za głowę; nie mogłam do Ciebie dołączyć, bo na drugim krańcu wciąż były brązowe smugi. - Ja też jestem na skraju wytrzymałości - powiedziałaś, masując skronie. - Ale nie z powodu Kevina.

- To pogrożka?...

- To nie jest pogrożka...

- O czym ty mówisz?

- Eva, proszę, uspokój się. Nigdy nie rozbiję naszej rodziny.

W tym momencie zamiast tego mogłeś powiedzieć, że *nigdy nie będę miała Ciebie*. Twoja prostolinijna deklaracja zawierała w sobie pewność, że nieustanne zapewnienia o wiecznej miłości są słabe. Zastanawiałam się później, dlaczego Twoje całkowite oddanie *naszej rodzinie* zasmuciło mnie.

- Ubieram go - powiedziałaś - karmię go, jeśli mi na to pozwala, wożę go wszędzie. Piekę mu ciasteczka do przedszkola, od rana do wieczora jestem na każde jego skiniecie. Zmieniam mu pieluchy sześć razy dziennie, a ciągle słyszę o tym jednym popołudniu, kiedy tak bardzo mnie zdenerwował, przeraził mnie tak bardzo, że nie mogłam się do niego zbliżyć. Nie chciałam go ukarać. Ale w łazience wyglądał tak... - miałam na myśli trzy lub cztery przymiotniki, ale w końcu odpuściłam. - Przewijanie go było zbyt intymne.

- Posłuchaj, co mówisz. Bo ja nie wiem, które dziecko masz na myśli. Mamy szczęśliwego, zdrowego syna. A ja zaczynam uważać, że jest też bardzo zdolny. - Powstrzymałam się, by nie wypalić: *I tego się właśnie obawiam*. - Jeśli czasem trzyma coś w



sobie, to tylko dlatego, że jest zamyślony, pełen zadumy. Kiedy indziej bawi się ze mną, tuli mnie na dobranoc, czytam mu książki. Kiedy jesteśmy sami, wszystko mi opowiada...

- Wszystko, czyli co?

Uniosłeś dłonie.

- Co malował, co mieli na drugie śniadanie...

- A ty myślisz, że *mówi ci wszystko*.

- Oszalałaś? Ma dopiero pięć lat. Co jeszcze miałby mi mówić?

- Na początek może to, co wydarzyło się w zeszłym roku. Matki po kolei zabierały dzieci z jego grupy. Oczywiście, zawsze było jakieś wytłumaczenie - Jordan ciągle się przeziębiał, Tiffany czuje się niezbyt dobrze jako najmłodsza. W końcu, gdy zostają tylko ja i dzieci Lorny, zaczyna się dyskusja na temat rozwiązania grupy. A kilka tygodni później, gdy bez zapowiedzi odwiedziłam Lornę, by wręczyć jej świąteczny prezent? Cała poprzednia grupa była w jej salonie. Lorna była dość zakłopotana tą sytuacją, ale skoro Kevin mówi ci o wszystkim, to dlaczego nie poprosisz go o wyjaśnienie, co mogło sprawić, że wszystkie matki wypisały swoje dzieci, po czym w sekrecie stworzyły nową grupę w takim samym składzie, wyłączając naszego szczęśliwego, zdrowego syna.

- Nie pytałbym go o to, bo ta niemiła historia mogłaby zranić jego uczucia. I nie widzę w tym niczego tajemniczego - plotki, małomiasteczkowość i nietolerancja. Typowe zachowanie matek, które całymi dniami przesiadują w domach i mają zbyt wiele wolnego czasu.

- Ja jestem jedną z takich siedzących w domu matek. Przypominam ci, że to duże poświęcenie, a ostatnia rzecz, jaką mamy, to wolny czas.

- A zatem został przez nich odrzucony! Dlaczego nie złościsz się na nich? Dlaczego przyjmujesz, że to nasz syn zrobił coś złego, a nie jakaś neurotyczna kura domowa z wrzodami na tyłku?

- Bo jestem świadoma tego, że Kevin *nie mówi mi wszystkiego*. Aha, i zapytaj go, dlaczego niejedna opiekunka nie przyszła na drugi dzień do pracy.

- Nie muszę. Większość nastolatków dostaje kieszonkowe w wysokości stu dolarów tygodniowo. *Jedynie* dwanaście dolarów za godzinę nie jest zbyt zachęcającą stawką.

- To może chociaż przekonasz swojego słodkiego, małego chłopczyka, by wyznał ci, *co dokładnie powiedział do Violetty*.

Na pewno jednak nie kłóciliśmy się tak przez cały czas. Po prostu kłótnie są tym, co najlepiej zapamiętałam. Śmieszne, że zwykły, normalny dzień jest pierwszą rzeczą, która ulatuje nam z pamięci. Nie jestem typem człowieka, który żyje zamieszanem - potrafię

współczuć. Byłabym jednak zadowolona, gdybym mogła zdrapać naszą codzienną zgodność, tak jak Violetta zdrapała swoje strupy. Chciałam znów dojrzeć coś jasnego i poczuć powietrze przepływające pomiędzy palcami. Bałam się tego, co kryło się pod spodem. Bałam się, że w głębi duszy nienawidziłam swojego życia, nienawidziłam bycia matką, a chwilami nawet nienawidziłam bycia Twoją żoną, ponieważ zmieniłeś moje dni w niekończące się pasmo gówna, sikania i ciasteczek, których Kevin nawet nie chciał jeść.

Tymczasem problemu pieluch nie mogliśmy rozwiązać nawet największą ilością krzyku. W rzadkiej zamianie naszych ról Ty twierdziłeś, że jest to bardzo złożony i skomplikowany problem, a moim zdaniem sprawa była niezwykle prosta: chcieliśmy, by Kevin korzystał z ubikacji, dlatego z niej nie korzystał. Jeśli nie zamierzaliśmy zaprzestać zmuszania go do korzystania z łazienki, moja opcja przegrywała.

Nie miałaś wątpliwości, że słowo *wojna*, którego wcześniej użyłam, było niedorzeczne. Ale zaganiając Kevina do stołu służącego do przewijania - teraz już zbyt małego, gdyż jego nogi zwisały z podniesionego blatu - często przypominałam sobie partyzanckie ataki, podczas których słabo wyposażone oddziały rebeliantów potrafiły zadać niespodziewanie wielkie straty potężnym armiom. Pozbawieni szerokiego asortymentu broni, rebelianci musieli nadrabiać sprytem. Ich ataki, zwykle słabe, były bardzo częste, a nieustanne zdenerwowanie może być bardziej demoralizujące, niż kilka efektownych, bardzo krwawych potyczek. Niedobór broni sprawiał, że partyzanckie oddziały wykorzystywały wszystko, co wpadło im w ręce: znajdując materiały, niszcząc rzeczy codziennego użytku. Dowiedziałam się, że na przykład można zrobić bomby z nawozu na bazie metanu. Kevin dobrze odgrywał swoją rolę, prowadząc regularną operację militarną. Nauczył się również tworzyć broń z własnych odchodów.

Przewijaniu poddawał się jednak bardzo ochoczo. Wyglądało to tak, jakby rozkoszował się tym rytuałem i być może moją narastającą werwę traktował jako swego rodzaju nagrodę, a oczyszczanie jego małych jąder, gdy miał już prawie sześć lat, stawało się nieco ryzykowne.

O ile Kevin lubił te nasze schadzki, to ja ich nie cierpiałam. Nigdy nie dałam sobie wmówić, że dzieci są tak słodkie, że nawet ich odchody ładnie pachną; odchody przedszkolaka na pewno takie nie są. Te Kevina stawały się coraz bardziej solidne i lepkie, a w pokoju dziecinnym panował taki zaduch, jak w tunelu metra, w którym zagnieździli się bezdomni. Coraz bardziej przerażała mnie ilość niezbyt ekologicznych pampersów, które dostarczaliśmy na lokalne wysypisko śmieci. A najgorsze w tym wszystkim było to, że Kevin potrafił zatrzymać część w sobie, by w każdej chwili ponowić atak. Był po prostu wirtuozem

sztuki kontrolowania swoich zwieraczy.

Opisuję w tym miejscu okoliczności, ale nie próbuję usprawiedliwić tego, co stało się w lipcu; na to jest już za późno. Ale bardzo chcę, byś mnie zrozumiał.

Kevin w czerwcu zakończył edukację przedszkolną i całe lato byliśmy na siebie skazani. Działaliśmy sobie na nerwy w takim samym stopniu. Mimo sporych sukcesów panny Fabricant z ilustracjami Drano, metody Montessori w naszym domu nie działały cudów. Kevin wciąż nie nauczył się bawić. Pozostawiony samemu sobie, siedział jak bryła na podłodze, był w złym humorze, zupełnie odklejony od świata, napełniał cały dom złowrogą atmosferą. Próbowałam zachęcić go do pomocy w moich zajęciach, przynosząc do pokoju przedzę, guziki, klej i kawałki kolorowych materiałów, z których chciałam zrobić maskotki wypchane skarpetami. Siadałam obok niego na dywanie i naprawdę całkiem miło spędzałam czas. Dopiero na końcu, gdy robiłam oskubanego królika z czerwonymi ustami, niebieskimi uszami i długimi wąsami, Kevin dłonią upaść go w kleju. Nie oczekiwałam, że nasze dziecko będzie artystycznie uzdolnione, ale przynajmniej mógł spróbować.

Chciałam również przygotować go do szkoły podstawowej i nauczyć pewnych podstaw. - Pobawmy się trochę z liczbami! - zaproponowałam.

- Po co?

- Po to, żebyś w szkole mógł być najlepszy z arytmetyki.

- A co dobrego jest w arytmetyce?

- Pamiętasz, gdy wczoraj mamutka płaciła rachunki? Musisz umieć dodawać i odejmować, żeby płacić rachunki i wiedzieć, ile jeszcze pieniędzy ci zostało.

- Używałaś kalkulatora.

- Tak, ale musisz umieć arytmetykę, by mieć pewność, że kalkulator dobrze liczy.

- To czemu miałabyś go używać, jeśli nie zawsze dobrze działa.

- Zawsze działa - wyjaśniłam.

- Więc nie potrzebujesz arytmetyki.

- Żeby korzystać z kalkulatora - powiedziałam podenerwowana - musisz przecież wiedzieć, jak wygląda piątka, prawda? No dobrze, to potrenujmy liczenie. Co jest po trójce?

- Siódemka - odparł Kevin.

Kontynuowaliśmy w podobnym stylu tak długo, aż po jednej z równie głupich odpowiedzi (Co jest przed dziewiątką? - Trzydzieści pięć.) popatrzył na mnie beznamiętnie i wyrecytował monotonicznie: - Razdwatrzycztery pięć sześć siedem osiem dziewięć dziesięć jeden aście... - pauzując dwa lub trzy razy, ale mógł tak mówić chyba do stu. - Możemy już przestać? - A ja poczułam się jak głupia.

Entuzjazmu dla literatury też nie wzbudziłam. - Nawet tak nie mów - uciełam pewnego razu, gdy odrzucił perspektywę czytania.

- *Po co? Co w tym dobrego?*

- Dobrze, powiem ci. Czasami będziesz się nudził i jedyną rzeczą, jaką będziesz mógł zrobić, będzie czytanie książki. Zawsze możesz czytać, nawet w pociągu lub autobusie.

- A jeśli książka jest nudna?

- Wtedy możesz wziąć inną. Jest ich tyle na świecie, że nawet nie znajdziesz czasu, by je wszystkie przeczytać.

- A jeśli wszystkie książki są nudne?

- To raczej nie jest możliwe - powiedziałam sucho.

- A ja myślę, że jest - nie zgodził się ze mną.

- Poza tym, gdy dorośniesz, będziesz musiał znaleźć sobie pracę, a wtedy już na pewno będziesz musiał umieć czytać i pisać, bo w innym wypadku nikt cię nie zatrudni - pomyślałam jednak, że gdyby to była prawda, to większość kraju byłaby na bezrobociu.

- Tata nie pisze. Jeździ po okolicy i robi zdjęcia.

- Są też inne zawody...

- A co, jeśli nie będę chciał pracować?

- Wtedy będziesz musiał iść na *zasilek*. Rząd da ci tyle pieniędzy, żebyś po prostu nie umarł z głodu, ale nie będzie cię stać na zabawę.

- A jeśli nie będę chciał nic robić?

- Założę się, że będziesz chciał. Jeśli będziesz zarabiał pieniądze, będziesz mógł chodzić do kina i restauracji, a nawet jeździć do innych krajów, tak jak mamutka zawsze jeździła - przy *zawsze jeździła* skrzywiłam się.

- Chyba pójde na *zasilek* - wiele razy słyszałam taką wypowiedź z ust rodziców podczas wesołej dyskusji przy obiedzie, ale jakoś nie potrafiłam znaleźć w tym nic śmiesznego.

Nie wiem, jak dają sobie radę rodziny, które uczą dzieci w domach. Kevin nigdy nie potrafił poświęcić mi swojej uwagi, tak jakby słuchanie kogoś było zniewagą. Zdaje się, że sam, za moimi plecami, nauczył się tego, co jest mu potrzebne. Uczył się tak samo, jak jadł - potajemnie, po cichu, zagarniając informacje tak jak kanapki z serem, gdy nikt nie widział. Nienawidził przyznawać, że czegoś nie wie, a jego udawanie głupka miało jedynie pokryć ewentualne luki w edukacji. W umyśle Kevina symulowanie ignorancji nie było wstydlive, a ja nigdy nie mogłam odróżnić, kiedy gra głupiego, a kiedy naprawdę czegoś nie wie. Dlatego, jeśli przy obiedzie rolę Robina Williamsa w filmie *Stowarzyszenie Umarłych Poetów* uznałam

za banalną, poczułam się w obowiązku wyjaśnić Kevinowi, że to słowo znaczy mniej więcej „tak jak wcześniej robili to inni ludzie”. On jednak przyjął tę definicję skromnym *umh-umh*. Słowo *banalny* poznał w wieku trzech lat, kiedy jeszcze podobno nie umiał mówić. Możesz mi to wyjaśnić?

Za każdym razem, gdy przez kilka tygodni wojowniczo partaczył alfabet (Jakie litery są po R? *El-em-en-o*), przerywał moje krytyczne uwagi - o tym, że nie może siedzieć i czekać, aż wiedza sama wleci mu do głowy - śpiewając piosenkę o alfabecie bezbłędnie od początku do końca, aczkolwiek z agresywnym fałszowaniem, którego nawet niewprawne ucho nie mogłoby znieść, głosem przypominającym kadisz. Przypuszczam, że tej piosenki uczyli w „Miłości i Nauce”. Gdy zakończył szyderczo *Wyśpiewałem abecadło, teraz powiedz, jak wypadło*, krzyknęłam z furją: - Myślę, że jesteś małym, złośliwym chłopcem, który cieszy się, gdy marnuje czas własnej matki! - a Kevin uśmiechnął się przesadnie, obiema stronami ust.

Niezupełnie był nieposłuszny, co zwykle jest błędnie interpretowane w niedzielnych magazynach. W rzeczywistości potrafił wykonywać swoje zadania zgodnie z wytycznymi, realizowanymi z zimną precyzją. Po obligatoryjnym okresie małej nieudolności - uszkodzone, niedomknięte P spływało poniżej linii, tak jakby było zastrzelone - jak na komendę potrafił się i napisać idealnie w liniach swej książki do ćwiczeń: „Patrz, Sally, patrz. Idź. Idź. Idź. Biegnij. Biegnij. Biegnij, Sally, biegnij”. Nie byłam w stanie wyjaśnić, dlaczego to było dość okropne, poza tym, że demonstrował mi podstępny nihilizm pierwszoklasisty. Nawet sposób, w jaki kształtował te litery, sprawiał, że byłam zaniepokojona. Nie miały żadnego charakteru. Chodzi mi o to, że Kevin na dobrą sprawę nie rozwinął w sobie umiejętności *kaligrafii* w takim sensie, w jakim my to rozumiemy, odciskającej osobiste piętno na zestandaryzowanym tekście. Od momentu, w którym przyznał, że potrafi, jego pismo bezbłędnie kopiowało przykłady zapisane w książce, bez żadnych dodatkowych ogonków lub zawijasów; jego T było przekreślone, I miało kropczkę, nigdy wcześniej zamknięte powierzchnie B, O i D nie zawierały w sobie tak wiele pustego miejsca.

Moim zdaniem, mimo że był posłuszny, nie znosił nauki. Gdy wracałeś do domu, mogłeś zauważyć jego niesamowite postępy, nigdy jednak nie miałam do czynienia z tymi nagłymi przełomowymi momentami, w których mogłam wykrzyknąć *Eureka!* Nie czułam, że jego rozwój ma coś wspólnego z moim poświęceniem i straconym czasem. Uczenie dziecka, które tego odmawia, w tradycyjny sposób, nie daje żadnej satysfakcji, gdyż Kevin wolał, by proces ten był podawany tak jak jedzenie: na talerzu w kuchni, gdy nikt na niego nie patrzy. Najpewniej celowo chciał pozbawić mnie tej satysfakcji. Z determinacją godną podziwu

starał się, bym czuła się niepotrzebna i bezużyteczna. I choć nie byłam do końca tak przekonana jak Ty, że nasz syn jest geniuszem, na pewno był - cóż, chyba dalej jest, o ile taką rzecz można powiedzieć o chłopcu, który kurczowo trzyma się oznak kompletnej głupoty - bardzo mądry. Jednak moje codzienne doświadczenia w roli nauczyciela *wyjatkowego dziecka* upewniały mnie, że ta osobliwość z roku na rok stawała się coraz bardziej niewłaściwym określeniem *kretyna*. Nieustannie powtarzałam pytanie: ile to jest dwa plus trzy, aż w końcu, gdy lojalnie i złośliwie odmówił: *powiedz pięć*, posadziłam go, nagryzmołam:

12 387

6 945

138 964

3 987 234

Podkreśliłam to wszystko linią i powiedziałam: - Masz! Dodaj to wszystko! A potem pomnóż przez dwadzieścia pięć, skoro myślisz, że jesteś taki mądry!

Brakowało mi Ciebie przez cały dzień, tak samo jak brakowało mi mojego starego życia, w którym nie miałam czasu na to, by za Tobą tęsknić. Bardzo dobrze zapoznałam się z historią Portugalii, z chronologią władców i mordowaniem Żydów w czasie inkwizycji na czele, a teraz recytowałam alfabet. Nie cyrylicę, nie alfabet hebrajski, ale najzwyczajniejszy, normalny *alfabet*. Nawet jeśli Kevin okazał się pilnym uczniem, dla mnie ten rygor bez wątpienia był wyraźną degradacją, która często atakowała moje myśli. Nagle siedzę z tyłu klasy, połamanym ołówkiem rozwiązuję test i w dodatku jestem bez majtek. Mimo wszystko byłabym w stanie przywyknąć do tej skromnej roli, gdyby nie fakt, że stanowiło to kolejne upokorzenie w moim życiu, od sześciu lat unurzany po łokcie w gównie.

Dobrze - już wystarczy.

Wtedy nastąpiło lipcowe popołudnie, podczas którego Kevin tradycyjnie narobił w pieluchę. Gdy został przebrany i wyczyszczony stosownymi kremami, balsamami i talkiem, po dwudziestu minutach ponownie zarządził porządku w swoich wnętrznościach. Mniej więcej po dwudziestu minutach. Tym razem jednak przeszedł samego siebie. To było tego samego popołudnia, kiedy nalegałam, by napisał w zeszycie sensowne zdanie dotyczące swojego życia. Sensowne, a nie kolejne drażniące głupie zdanie o Sally. Napisał wówczas: „W pszczołku wszyscy mówią, że moja matka wygląda bardzo staro”. Poczzerwieniałam jak burak i wtedy właśnie wciągnęłam nosem kolejny zdradziecki podmuch. Kolejny, po wcześniejszym *dwukrotnym* przewijaniu Kevina. Mały siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, a ja chwyciłam go wpół i postawiłam, otwierając przy okazji jego pieluchę, by upewnić się, że jest pełna. Poniosło mnie. - Jak ty *to* robisz? - wykrzyknęłam. -

Prawie nic nie *jesz*. Skąd ty to wszystko bierzesz?

Fala gorąca zalała moje ciało i ledwie zauważyłam, że Kevin wierzgał nogami nad dywanem. Miałam wrażenie, że prawie nic nie waży, tak jakby to chude, małe ciało wypełnione niewyczerpanymi pokładami gówna, było zamiast tego wypchane styropianem. Inaczej się tego nie da opisać. Rzuciłam go w poprzek pokoju dzieciennego. Tępo uderzył głową w brzeg stołu do przewijania, wykonanego z nierdzewnej stali. Jego głowa nienaturalnie przekrzywiła się, tak jakby coś go w końcu *zainteresowało*, po czym bardzo powoli osunął się na podłogę.

*Eva*

19 stycznia 2001

*Drogi Franklinie,*

No to teraz już wiesz.

Gdy do niego podbiegłam, łudziłam się, że wszystko było w najlepszym porządku - wyglądał tak, jakby nic mu się nie stało - dopóki nie odwróciłam go i nie zobaczyłam ramienia, na które upadł. Gdy nasz syn, jak to kiedyś nazwałeś w żartach, uczył się fruwać, jego przedramię musiało uderzyć w kant stołu do przewijania. Ręka mocno krwawiła, pośrodku była nienaturalnie skrzywiona i wybrzuszona, a z rany wystawało coś białego. Zrobiło mi się niedobrze. *Przepraszam, przepraszam, przepraszam!* - szeptałam. Mimo że poczułam drobne wyrzuty sumienia, to jednak w gruncie rzeczy upajałam się tą chwilą, która, być może, zadawała kłam mojemu pokazowemu niezrozumieniu *Czwartku*. W głębi duszy byłam przerażona, ale uczuciem, które wychodziło na pierwszy plan, była rozkosz. Uderzając naszego małego chłopca, lekkomyślnie poddałam się, tak jak Violetta, która zaczęła rozdrapywać chroniczne, nieznośne swędzenie.

Zanim mnie całkowicie potępisz, błagam Cię, byś po prostu zrozumiał, jak bardzo starałam się być dobrą matką. Ale same starania o to, by nią być, mogą stać się tak odległe od rzeczywistości, jak próba dobrej zabawy od prawdziwej. Od momentu, w którym Kevin został położony na mojej piersi, nie ufałam swoim impulsom. Postanowiłam działać zgodnie z reżimem, według którego średnio trzy razy dziennie przytulałam mojego małego chłopca, co najmniej dwa razy podziwiałam coś, co zrobił lub powiedział i recytowałam *Kocham cię, dzieciaku* lub *Wiesz, że tatuś i ja kochamy cię bardzo* z przewidywalną jednostajnością, charakterystyczną dla liturgicznego wyznania wiary. Jednak zbyt rygorystycznie przestrzegana, większość sakramentów staje się nieszczerą i jałową. Co więcej, przez sześć lat każdą swoją wypowiedź wygłaszałam z pięciosekundowymi opóźnieniami, tak jak w radiu, by upewnić się, że nie przekazuję niczego obscenicznego, oszczerczego lub niezgodnego z polityką informacyjną firmy. Wraz z tym przyszła czujność. Stałam się oddalona, niepewna i nieporadna.

Gdy podnosiłam Kevina w tym emocjonalnym uniesieniu, choć raz poczułam wdzięczność, bo w końcu odkryłam nieskrępowaną jedność pomiędzy tym, co czułam, i tym, co robiłam. Niezbyt przyjemnie jest to przyznać, ale przemoc domowa może być pożyteczna. Tak naturalna i wolna, zrywa rzuconą między nas zasłonę cywilizacji w takim stopniu, że umożliwia nam życie. Marny substytut tego rodzaju pasji, jaki chyba chcemy wychwalać, ale



przecież prawdziwa miłość ma więcej wspólnego z nienawiścią i wściekłością niż z dobrocią i grzecznością. Przez dwie sekundy czułam się wreszcie, jak prawdziwa matka Kevina Khatchadouriana. Czułam, że jestem blisko niego, że jestem sobą - prawdziwą, nieskrępowaną sobą - i poczułam, że wreszcie się jakoś dogadujemy.

Gdy odgarnęłam bujną czuprynę z jego spoconego czoła, zauważyłam, że mięśnie twarzy Kevina pracowały na najwyższych obrotach; oczy miał rozbiegane, a usta wykrzywione w grymasie przypominającym słaby uśmiezek. Nawet gdy pobiegłam po „New York Timesa” z tamtego dnia, by podłożyć go pod jego ramię, nie płakał ani przez moment. Trzymając gazetę pod ramieniem - wciąż pamiętam nagłówek wystający mu spod łokcia: *Wzrost autonomii krajów nadbałtyckich wzbudza niepokój w Moskwie* - pomogłam mu wstać, pytając przy tym, czy coś jeszcze go boli. A Kevin tylko przecząco potrząsnął głową. Chciałam go podnieść i znów doznałam wstrząsu; siedł sam. Razem doczłapał się do telefonu. Możliwe, że ukradkiem ocierał łzy, gdy nie patrzyłam w jego stronę, ale Kevin nie okazywałby oznak cierpienia, jeśli nie mógłby na tym skorzystać.

Nasz miejscowy pediatra, doktor Goldblatt spotkał się z nami w małej, przytulnej izbie przyjęć szpitala w Nyack, w której miałam wrażenie, że wszyscy wiedzą, co zrobiłam. Informacja na temat telefonu zaufania dla ofiar przemocy domowej sprawiała wrażenie, jakby była wywieszona specjalnie dla mojego syna. Gadałam zbyt dużo, a niewiele powiedziałam; paplałam pielęgniarkę o tym, co się stało, a nie mówiłam o tym, jak się to wszystko stało. W tym czasie nienaturalna samokontrola Kevina przybrała postawę służbisty: stał wyprostowany z podniesioną brodą, w dodatku odwracał się pod kątem prostym. Sam zajął się gazetą podtrzymującą jego ramię i pozwolił doktorowi Goldblattowi trzymać się za rękę podczas wędrowki przez korytarz. Przy okazji puścił moją dłoń. Gdy wszedł do gabinetu lekarskiego, odwrócił się w drzwiach i rzucił energicznie w moją stronę: - Sam mogę wejść do gabinetu i porozmawiać z lekarzem.

- Nie chcesz, bym dotrzymała ci towarzystwa na wypadek, gdyby mocno bolało?

- Możesz poczekać na zewnątrz - nakazał, a jego mięśnie pulsowały wokół zaciśniętej szczęki, sugerując, że cały czas bardzo bolało.

- Eva, masz naprawdę dzielnego młodego człowieka - rzekł doktor Goldblatt. - Wygląda na to, że masz rozkaz - dodał i ku mojemu przerażeniu zamknął drzwi.

Chciałam, naprawdę bardzo chciałam tam być razem z Kevinem. Desperacko pragnęłam odbudować swój obraz rodzica, któremu można zaufać. Miałam ochotę pokazać, że nie jestem potworem, który będzie nim rzucał po pokoju, co wyglądało jak scena wyjęta z filmu *Duch*. Ale także chciałam tam być, bo bałam się, że Kevin powie chirurgowi lub

Benjaminowi Goldblattowi o tym, co zrobiłam. Przecież są na to odpowiednie paragrafy. Mogłam zostać aresztowana. O tej sprawie na pewno szeroko by napisano w „Rockland County Timesie”. I tak jak kiedyś niesmacznie żartowałam, że cieszyłabym się z tego, mogłam stracić Kevina naprawdę. Co najmniej mogłabym spodziewać się comiesięcznych wizyt pracownika socjalnego, który sprawdzałby, czy Kevin przypadkiem nie ma żadnych siniaków. Mimo że solidnie zapracowałam na naganę, to jednak wolałam powolne, palące, ale prywatne samookaleczenie się niż gorący bicz publicznego potępienia.

I tak, patrząc tępo na wyłożoną szkłem skrzynkę do przechowywania listów zadowolonych pacjentów do personelu, starałam się wymyślić jakieś sensowne wytłumaczenie tego wszystkiego. *Och, panie doktorze, pan wie, jak chłopcy potrafią wyolbrzymiać. Rzuciłam go? Biegł korytarzem w ogóle nie patrząc przed siebie, a ja wychodziłam z sypialni i przypadkowo wpadłam na niego... Odbił się ode mnie i przewrócił się, hmmm, oczywiście, na - na stojącą lampę!* Sama siebie napawałam obrzydzeniem, a każde kłamstewko, jakie wymyślałam, brzmiało niedorzecznie. Miałam dużo czasu na to, by kisić się we własnym sosie, siedząc na twardym, zielonym krześle w poczekalni; pielęgniarka poinformowała mnie, że mój syn został poddany operacji, by „oczyścić końcówki kości”, a ja cieszyłam się, że nie potrafię sobie wyobrazić, jak ta procedura wygląda.

Na szczęście, gdy po trzech godzinach Kevin pojawił się z oślepiająco białym gipsem, doktor Goldblatt klepnął naszego syna w plecy i przyznał, że wychowałam bardzo dzielnego młodego człowieka. W tym czasie ortopeda bezosobowo opisywał mi charakter złamania, niebezpieczeństwa związane z infekcjami i konieczność dbania o czystość opatrunku gipsowego. Powiedział też, kiedy Kevin powinien pojawić się w celu rehabilitacji. Obaj lekarze byli na tyle mili, by nie wspomnieć o fakcie, że personel szpitala musiał zmieniać pieluchy Kevina - nasz syn już nie śmierdział. Głupio potrząsałam głową w górę i w dół, dopóki nie spotkałam się wzrokiem z Kevinem. Patrzył na mnie czystym, błyszczącym spojrzeniem, oznaczającym perfekcyjny współdział.

Byłam jego dłużniczką. Wiedziałam, że byłam jego dłużniczką. Miałam nią być przez bardzo długi czas.

W drodze do domu paplałam bez ustanku (*To, co mamutka zrobiła, było bardzo, bardzo niedobre i teraz jest jej bardzo, bardzo przykro* - choć pewnie wypowiedanie się w trzeciej osobie mogło rzucić cień wątpliwości na moje przeprosiny, tak jakbym obwinięła za to jakąś wymaginowaną przyjaciółkę). Kevin w ogóle się nie odzywał. Z powściągliwym wyrazem twarzy, prawie arogancki, z palcami prawej, zagipsowanej ręki zaciśniętymi na koszulce, wyglądał jak Napoleon. Siedział na przednim siedzeniu i patrzył na świat niczym

generał, który w triumfalnym pochodzie z dumą prezentuje tłumowi gapiów swoją wojenną ranę i pławi się w radosnych okrzykach uwielbienia.

Ja niestety nie mogłam się delektować tym nastrojem. Może udało mi się uciec policji i służbom socjalnym, ale przede mną stało jeszcze jedno poważne wyzwanie. Dałabym radę opowiedzieć doktorowi Goldblattowi bujdcę o tym, że przypadkiem wpadłam na Kevina. Nie potrafiłam jednak wyobrazić sobie, że zamykam oczy i próbuję wcisnąć Ci jakąś bezsensowną historyjkę.

- Cześć! Gdzie się podziewaliście? - zapytałeś głośno, gdy wchodziliśmy do kuchni. Stałeś tyłem do drzwi, ponieważ kończyłeś właśnie smarować krakersa masłem orzechowym.

Serce waliło mi jak oszalałe i wciąż nie miałam pojęcia, co ci powiedzieć. Dotychczas nie zrobiłam rozmyślnie żadnej rzeczy, która mogłaby zagrozić naszemu małżeństwu - lub *naszej rodzinie* - ale byłam pewna, że jeśli cokolwiek miałyby nas postawić na krawędzi, to było właśnie to.

- Boże, Kev! - krzyknąłeś z pełnymi ustami, połykając w pośpiechu duże kawałki krakersów. - Co, u licha, ci się stało?

Nerwowo otrzepałeś ręce i przyklęknąłeś przed Kevinem. Po całym moim ciele przeszedł dreszcz, tak jakby ktoś włączył prąd, a ja byłabym elektrycznym pastuchem. Doznałam tego charakterystycznego przecucia, że po sekundzie lub dwóch już nic nie będzie takie, jak wcześniej, tak jakbym miała świadomość, że z przeciwka nadjeżdża wielkie auto, ale jest już zbyt późno, by zmienić *swój* tor jazdy.

Tym razem jednak w ostatniej chwili udało się uniknąć czołowego zderzenia. Zwykle dawałeś większą wiarę wersjom wydarzeń przedstawianym przez Twojego syna, więc od razu zapytałeś jego. Tym razem jednak się pomyliłeś. Gdybyś zapytał mnie, obiecuję - a przynajmniej tak myślę - że ze zwieszoną głową powiedziałabym Ci prawdę.

- Złamałem rękę.

- To widzę. Jak to się stało?

- Upadłem.

- Gdzie upadłeś?

- Miałem brudne majtki. Mamutka poszła po nowe chusteczki. Spadłem ze stołu do przewijania. Upadłem na - na moją ciężarówkę Tonka. Mamutka zabrała mnie do doktora Goldbutta.

Był dobry. Był naprawdę bardzo, bardzo dobry; pewnie nawet nie wiesz, jak bardzo. Z łatwością ułożył wiarygodną historię. Żaden z detali nie był sprzeczny lub bezpodstawny; Kevin odrzucał ekstrawaganckie fantazje, jakimi większość dzieci w jego wieku próbuje

zamaskować rozlane mleko lub stłuczone lustro. Nauczył się tego, żeby rejestrować wszystkie szczegóły, tak jak kłamcy, którzy chcą na tym zrobić karierę: zawsze wkładać w to tyle prawdy, ile tylko jest możliwe. Dobrze skonstruowane kłamstwo jest w dużej mierze zbudowane z faktów, które z łatwością posłużą za platformę, na której można zbudować całą piramidę. Naprawdę miał brudne majtki. Dobrze zapamiętał też to, że przy drugiej zmianie pieluchy skończyły mi się nawilżane chusteczki. Mniej więcej spadł ze stołu do przewijania. Jego ciężarówka Tonka rzeczywiście - co zresztą sprawdziłam późnym wieczorem - stała na podłodze w pokoju dzieciennym. Ponadto zadziwił mnie tym, iż doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że upadek z wysokości niespełna metra na podłogę nie wystarczy, by złamać rękę; musiał upaść na jakiś twardy, metalowy obiekt. I choć krótka, jego historia była utkana bardzo eleganckim ścięciem: wykorzystując *mamutkę* w celu uniknięcia zbytnej cukierkowości, nadawał swej historii milutki, bardzo uczuciowy ton, który fantastycznie ukrywał prawdziwe wydarzenia. *Doktor Goldbutt* był zabawnie skatologiczny, z łatwością uspokajając Cię - Twój *szczęśliwy, zdrowy chłopak* prawie wrócił do normalności. Największe wrażenie wywarło jednak to, że w przeciwieństwie do tego, co zrobił w poczekalni, nie spojrzał na mnie tak wymownie, by nie zdradzić tego, że wszystko to tylko gra.

- Kurczę - krzyknąłeś. - To musiało naprawdę bardzo boleć!

- Ortopeda mówi, że to otwarte złamanie - powiedziałam. - Kość przebiła skórę, ale było dość czyste, więc powinno się szybko goić - teraz Kevin i ja spojrzeliśmy na siebie, wystarczająco długo, by przypieczętować nasz pakt. Zaprzedałam duszę sześciolatкови.

- Pozwolisz mi podpisać się na twoim gipsie? - zapytałeś. - Wiesz, to taka tradycja. Przyjaciele i rodzina podpisują się i życzą ci, byś jak najszybciej wyzdrowiał.

- Pewnie, tato! Ale najpierw muszę iść do łazienki - odmaszerował, machając zdrową ręką.

- Dobrze słyszałem? - zapytałeś cicho.

- Chyba tak - odparłam. Sztywna od wielu godzin - strach to bardzo równomierne i intensywne ćwiczenie - byłam wykończona, a ostatnią rzeczą, o której chciałam myśleć, była teraz nauka korzystania z toalety.

Objąłeś mnie ramieniem i powiedziałeś: - Ależ musiałaś się bardzo przestraszyć.

- To wszystko moja wina - powiedziałam, wykręcając się.

- Żadna matka nie jest w stanie pilnować dziecka w każdej sekundzie.

Wolałabym, żebyś nie był aż tak wyrozumiały.

- Tak, ale powinnam...

- Ciii - uniosłeś palec wskazujący, a z ubikacji doszedł delikatny odgłos cienkiej strużki ciecicy: muzyka dla uszu rodziców. - Jak myślisz, czy to szok spowodował ten przełom? - wyszeptaleś. - A może po prostu nie chce już trafić na stół do przewijania.

Wzruszyłam ramionami. Wbrew pozorom nie wierzyłam, że moim atakiem wściekłości z powodu kolejnej brudnej pieluchy doprowadziłam do tego, że nasz syn zaczął korzystać z toalety. Ale w porządku, wszystko było związane z naszą bójką w pokoju dziecięcym. *Zostałam nagrodzona.*

- To mamy powód do świętowania. Idę pogratulować naszemu małemu mężczyźnie...

Położyłam rękę na Twoim ramieniu.

- Nie zapieszaj. Niech to zrobi w spokoju. Nie czyn z tego wielkiego wydarzenia. Kevin woli, by takie zmiany nie odbywały się w świetle jupiterów.

Mówiąc to, zdawałam sobie sprawę, że sikanie do nocniczka nie jest po prostu przyznaniem się do porażki. Wygrał większą bitwę - korzystanie z toalety było swego rodzaju drobnym ustępstwem, jakie wspaniałomyślny i protekcyjny triumfator może uczynić względem swego pokonanego rywala. Nasz sześciolatek skutecznie zmusił mnie do złamania wszelkich reguł, którymi się kierowałam. Popełniłam zbrodnię wojenną - zbrodnię, za którą, gdyby nie milczenie mojego syna, mój mąż bez oporów postawiłby mnie przed trybunałem haskim.

Gdy Kevin wrócił z łazienki, jedną ręką podtrzymując swoje majtki, zaproponowałam, byśmy zrobili na kolację wielką misę popcornu, dodając uniżenie - *z dużą ilością soli!* Spijając muzykę normalnego życia, której doświadczyłam przed pocałunkiem na dobranoc: Twoje hałaśliwe stukanie garnkami, dźwięk trąby wydobywany z naszej nierdzewnej misy, radosny klekot ziaren kukurydzy - miałam złe przeczucie, że ten radosny nastrój będzie trwał tylko do momentu, w którym Kevin wyjawí naszą tajemnicę.

Dlaczego nic o tym nie powiedział? Chyba chciał w ten sposób chronić swoją matkę. Zgoda. Pozwalałam na to. Mimo to rachunek zysków i strat najwyraźniej zawierał taką pozycję. Na długo przed terminem utraty ważności, sekret przynosił zyski tylko wtedy, gdy pozostawał sekretem. Ujawniony zdaniem: *Tato, wiesz jak naprawdę złamałem rękę?* w przyszłości, mógł przynieść dużo większe korzyści. W dodatku tak długo, jak potencjalne korzyści trzymał w swoim ręku, mógł na to konto zaciągać swego rodzaju pożyczki. Tym bardziej, że wykorzystanie wszystkiego za jednym razem ograniczyłoby jego dochody do kieszonkowego w wysokości pięciu dolarów tygodniowo.

Ponadto po moich wszystkich monotonnych, świętoszkowatych tekstach (Jak byś się czuł...?) dałam mu niezwykłą okazję do moralnego poczucia wyższości - dzięki któremu mógł

zyskać inną perspektywę, nawet jeśli nie było to terytorium, które spełniało jego oczekiwania.

Pan Dziel-i-Rządź mógł również zdawać sobie sprawę, że sekrety w zupełny sposób wiążą i dzielą wszystkich, którzy są wtajemniczeni. Moja rozmowa z Tobą o tym, że Kevin powinien raczej korzystać z wanny niż z prysznica, żeby nie zamoczyć gipsu, była sztucznie pogodna i napuszona; gdy pytałam Kevina, czy chce parmezan na popcornie, moje słowa były pełne błagalnego tonu, przerażenia i niewolniczej uległości.

Z jednego powodu byłam wzruszona: myślę, że doświadczył bliskości ze mną, swego rodzaju więzi, której nie chciał utracić. Nie tylko byliśmy w tym razem, ale także w trakcie ukrywania naszego sekretu Kevin mógł czuć się przywiązany do tego życia niezwykle wytrzymałą i mocną niczym sizalowy sznur pępowiną. Choć raz mogłam się uważać za jego matkę. W ten sam sposób Kevin mógł, niczym Piotruś Pan żeglujący po pokoju dziecięcym, poczuć się jak mój syn.

Wspomnienie tamtego lata budziło moje gawędziarskie ciągoty. Gdybym pisała scenariusz filmowy o potężnej wiedźmie wpadającej w ślepią furję, w trakcie której stawiała się nadludzko silna, widziałabym też jej małego synka, na paluszkach chodzącego po domu, posyłającego jej nerwowe, nieszczerze uśmiechy, desperackie gesty uciszania i ogólnie szurającego i kulącego się. Robiącego cokolwiek, byle tylko ukryć się przed niespodziewanym zwiedzaniem pokoi bez dotykania podłogi.

Ale wystarczy już o filmach. *Ja* chodziłam na paluszkach. *Mój* uśmiech był drżący i niepewny. *Ja* szurałam i kuliłam się tak, jakbym była na przesłuchaniu do programu telewizyjnego.

Może porozmawiajmy o władzy. Zgodnie z mitami dotyczącymi rodziny, krążącymi w społeczeństwie, rodzice są obdarzeni nieproporcjonalnie wielką ilością władzy. Ja nie jestem tego taka pewna. Dzieci? One mogą złamać nasze serca, to tak na początek. Mogą nas zawstydić, mogą sprawić, że zbankrutujemy, a ja osobiście mogę zapewnić, że umieją również sprawić, iż będziemy żałować, że się w ogóle urodziliśmy. Co możemy zrobić? Zabronić im chodzenia do kina. Ale jak? Czym możemy podeprzeć nasze zakazy, skoro dziecko wojowniczo zmierza w stronę drzwi? Okrutna prawda jest taka, że rodzice są jak rządy - utrzymujemy swój autorytet dzięki zagrożeniu, otwartości lub bezwzględności siły fizycznej. Dziecko robi to, co chcemy - nie dlatego, że to jest fajne - tylko dlatego, że możemy złamać mu rękę.

Biały gips Kevina stał się teraz jasnym symbolem nie tego, co mogłam mu zrobić, ale tego, czego nie mogłam. Sięgając po najdrastyczniejsze środki, pozbawiłam się tej

możliwości. Odkąd nie mogłam już z umiarem używać siły, zostałam z niegroźnym arsenałem, bezużyteczną bronią, tak jakbym miała stos bomb atomowych, których nie można już używać. Doskonale wiedział, że już nigdy nie podniosę na niego ręki.

Tak więc, gdybyś martwił się, że w roku 1989 przeistoczyłam się w neandertalskiego brutala, zupełność, rzeczywistość i bezpośredniość, jaką odkryłam, wykorzystując Kevina do treningu pchnięcia kulą, wyparowała w ciągu nowojorskiej minuty. Pamiętam, że poczułam się fizycznie skurczona. Moja postura zmarniała. Głos stał się słaby. W stosunku do Kevina każdą moją prośbę wygłaszałam w formie niezobowiązującej sugestii: *Kochanie, może chciałbyś wsiąść do samochodu? Nie masz nic przeciwko temu, byśmy poszli do sklepu? Może dobrym pomysłem byłoby to, żebyś nie zdejmował skórki ze środka świeżego ciasta.* Postanowiłam więc powrócić do wychowawczych metod Montessori.

Na początku przegonił mnie przez różnorodność kroków, jakby tresował cyrkowego niedźwiedzia. Domagał się czegoś czasochłonnego na obiad, na przykład domowej pizzy, a później, gdy już poświęciłam całe przedpołudnie na ugniatanie ciasta i gotowanie sosu, zdjął dwa kawałki pepperoni ze swoich części, po czym z reszty uformował lepką piłkę baseballową i rzucił do zlewozmywaka. Bardzo szybko jednak znudził się traktowaniem matki jak maskotki, podobnie jak innymi zabawkami, dzięki czemu miałam chyba sporo szczęścia.

W rzeczywistości, gdy narzucałam się Kevinowi z mocno solonymi chrupkami i prażynkami wcześniej wydzielanymi w małych porcjach, moje napraszanie się szybko zaczęło mu działać na nerwy. Miałam tendencję do krążenia wokół niego, a Kevin posyłał mi przeszywające spojrzenia. Patrzył na mnie tak, jak się patrzy na obcą osobę, która w pociągu siada tuż obok ciebie, mimo że wagon jest prawie cały wolny. Udowadniałam mu, że nie jestem wartościowym przeciwnikiem, a każde kolejne zwycięstwo, odniesione nad strażnikiem już sprowadzonym do tak służalczego i uległego stanu, musiało wydawać się nieistotne.

Choć z temblakiem było to dość skomplikowane, Kevin postanowił samodzielnie się kąpać, a gdy wchodziłam do łazienki, by okryć go świeżym ręcznikiem, udawał zawstydzonego i sam się nim owijał. W rzeczywistości natychmiast po odzwyczajeniu się od zmiany pieluch i czyszczenia jąder, rozwinął w sobie niespotykaną skromność i w ciągu miesiąca zakazał mi wchodzenia do łazienki w czasie, gdy on akurat tam przebywa. Ubierał się samodzielnie i w ukryciu. Z wyjątkiem dwóch doniosłych tygodni, kiedy w wieku dziesięciu lat był chory, nie pozwalał, bym oglądała go nagiego do czasu, gdy miał czternaście lat - wtedy jednak radośnie zrzekłam się tego przywileju.

Strumień mojej czułości był niepowstrzymany, był jednak splamiony przeprosinami, dlatego też dla Kevina nie miał żadnego znaczenia. Gdy całowałam go w czoło, zaraz wycierał to miejsce. Gdy czesałam jego włosy, odganiał mnie i tarł fryzurę. Gdy go przytulałam, zimno oznajmiał, że boli go ramię. A gdy powiedziałam *Kocham cię, dziecko* - już bez brzmienia charakterystycznego dla wyznania wiary, ale raczej z gorączkową, bezmyślną prośbą w stylu *Zdrowaś Mario* - przybrał bardzo uszczypliwy wyraz, dzięki któremu zmarszczka w lewym kąciu jego ust mogła stać się stałym elementem twarzy. Pewnego dnia, gdy ponownie powiedziałam mu *Kocham cię, dziecko*, Kevin wypalił w odpowiedzi *yeee YEEyyee, yeee-yyeeee!*, a ja dałam sobie spokój.

Był przekonany, że mnie rozgryzł. Obserwował mnie z ukrycia i żadna ilość cmokania i przekąsek nie była w stanie spowodować, by ten obraz był przynajmniej tak trwały, jak pierwsze spotkanie z seksem rodziców. Zaskoczyło mnie natomiast to, jak bardzo prawdziwy obraz matki - jej okrucieństwo i skłonność do przemocy - sprawiał mu radość. Gdybym miała jakiś własny numer, to z pewnością zainteresowałby go dużo bardziej, niż dwójki i trójki z naszych arytmetycznych utarczek, które toczyliśmy przed „wypadkiem”. Teraz kątem oka patrzył na swoją rodzicielkę z całkiem nowym - nie nazwałabym tego szacunkiem - *zainteresowaniem*. Tak.

Jeśli chodzi o Ciebie i o mnie, to do tamtego lata przyzwyczajałam się do ukrywania przed Tobą wielu rzeczy, przede wszystkim różnych występków - okropną pustkę przy narodzinach Kevina, awersję do naszego domu. Do pewnego stopnia wzajemnie chroniliśmy się przed kakofonią obaw kłębiących się w naszych głowach, ale nawet te trudne do opisanie niedopowiedzenia sprawiały, że odczuwałam ból i smutek. Ale jedną rzeczą było trzymanie się własnych rad dotyczących strachu, jaki ogarniał mnie, gdy nadchodziła pora odbierania naszego syna z przedszkola, a inną - celowe unikanie mówienia, że, och, tak przy okazji, złamałam mu rękę. Myśli, nawet szalone, zdawały się omijać moje ciało, z kolei trzymanie w sobie tak wielowymiarowego sekretu było porównywalne z połknięciem armaty.

Zdawałeś się być tak odległy. Nocą patrzyłam na Twoje nagie ciało z upiorną nostalgią, oczekując, że gdy będę Cię mijać w drodze do łazienki, przenikniesz przez moje ciało tak łatwo, jakbyś przechodził przez światło księżyca. Patrząc, jak w ogródku uczysz Kevina trzymać piłkę baseballową w rękawicy łapacza, prawą ręką - choć tak naprawdę to znacznie lepiej wychodziło mu to z pizzą - przyłożyłam dłoń do nagrzaną promieniami słonecznymi szyby, jakby to była jakaś duchowa bariera, kluta przez to samo przyprawiające o zawroty głowy i bolesne poczucie wykluczenia, które śmiertelnie mnie tortuowało. Nawet gdy kładłam ręce na Twojej klatce piersiowej, nie miałam zbyt okazji, by Cię dotknąć, bo



za każdym razem, gdy zrzuciłaś ubranie, zostawiałaś na sobie podkoszulek L.L. Bean.

W tym czasie ani razu nie wyszliśmy z domu tylko we dwoje - by zobaczyć *Zbrodnie i wykroczenia*, by zjeść coś w River Club w Nyack, by pofolgować sobie trochę w Union Square Café w centrum miasta. To prawda, że mieliśmy kłopoty z opiekunkami do dziecka, ale zbyt łatwo zgadzałaś się na to, by wieczory spędzać w domu, poświęcając je na trenowanie z Kevinem końcówek czwartej kwarty, goli za trzy punkty i szczegółowych przepisów baseballu. Twoja ślepotą na fakt, że nie przejawiał on ani zainteresowania, ani talentu do żadnej z tych gier nieco mnie drażniła, ale dużo bardziej byłam rozczarowana tym, że nawet nie chciałaś w *równie udany* sposób spędzać czasu ze swoją żoną.

Nie ma sensu mówić o tym w kółko. Byłam zazdrosna. I byłam samotna.

Pod koniec sierpnia nasz najbliższy sąsiad z niebywałą siłą i intensywnością nacisnął nasz dzwonek przy drzwiach wejściowych. Słyszałam z kuchni, że poszedłeś otworzyć.

- Powiedz swojemu dzieciakowi, że to wcale nie jest śmieszne! - krzyczał Roger Corley.

- Spokojnie, Rog, nie tak nerwowo - powiedziałaś. - Jeśli krytykujesz czyjeś poczucie humoru, to najpierw powiedz, o jaki dowcip ci chodzi - dodałaś. Mimo żartobliwego tonu nie zaprosiłaś go do środka, a gdy wychyliłam się zza rogu, zauważyłam, że drzwi otworzyły się tylko do połowy.

- Trent właśnie zjeżdżał na rowerze ze sporej góry na Palisades Parade, stracił kontrolę i wylądował w krzakach! Jest niezłe potłuczony!

Staralam się utrzymać przyjacielskie stosunki z Corleyami, których syn był o rok lub dwa starszy od Kevina. Jednak mimo początkowej ochoty do organizowania wspólnych zabaw, entuzjizm Moiry Corley niespodziewanie osłabł, bez żadnego wyjaśnienia. Swego czasu była bardzo zainteresowana moim ormiańskim pochodzeniem, a ja raptem dzień wcześniej dałam jej spory kawałek świeżo upieczonego *katah* - brakuje Ci tego czasem? - lekko słodkiego, bardzo maślanego chleba, którego wypieku nauczyła mnie matka. Sympatyczne stosunki z sąsiadami to jeden z niewielu pozytywów mieszkania na przedmieściach i obawiałam się, że Twoje zachowanie przy drzwiach wejściowych zaczynało wyglądać nieprzyjemnie.

- Roger - powiedziałaś, stojąc za Tobą i wycierając ręce o kuchenny ręcznik - może wejdiesz do środka i spokojnie o tym porozmawiamy. Wyglądasz na zdenerwowanego.

Gdy szliśmy do salonu, zauważyłam, że strój Rogera był nieco niefortunny. Był zbyt gruby na obcisłe, kolarskie spodenki z lycry, w których chodził jak gołąb. Stałaś za

fotelem, kładąc ręce na oparciu tak, jakby miała to być militarna fortyfikacja.

- Bardzo mi przykro z powodu wypadku Trenta - powiedziałaś. - Może to dobra okazja, by pomówić o podstawowych sprawach z zakresu bezpieczeństwa jazdy na rowerze.

- Dobrze zna podstawy - odparł Roger. - Na przykład takie jak ta, że nie zostawia się *otwartej* dźwigni szybkozamykacza!

- Myślisz, że tak właśnie się stało? - zapytałam.

- Trent mówił, że przednie koło zaczęło się chybotać. Sprawdziliśmy rower i okazało się, że szybkozamykacz nie tylko był otwarty, ale także znacznie odkręcony, co poluzowało widelec. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, by dojść do wniosku, że to sprawka Kevina!

- Zaraz, zaraz. Poczekaj chwilę! - wtrącił się. - To przecież do cholery jest...

- Trent jeździł na rowerze wczoraj rano i nie było żadnego problemu. Od tamtego momentu nikogo u nas nie było, z wyjątkiem Ewy i waszego syna. Przy okazji chciałbym podziękować za chleb, który przyniosłaś - powiedział, obniżając ton. - Był naprawdę pyszny i doceniamy twą troskliwość. Ale nie pozwalamy na majsterkowanie Kevina przy rowerze Trenta. Gdyby nasz syn jechał trochę szybciej albo w ruchu ulicznym, to wypadek mógłby się skończyć nawet jego śmiercią.

- Stawiasz poważne zarzuty - warknął. - Zamknięcie koła mogło przecież poluzować się podczas wypadku.

- Nie ma takiej możliwości. Sam jestem rowerzystą i mam na koncie niejednego upadek. Szybkozamykacz nigdy sam nie odkręca się tak bardzo - prędzej otworzy się i poluzuje piastę.

- Nawet jeśli Kevin to zrobił - powiedziałam, a Ty rzucił mi mroczne spojrzenie - to może nie wiedział, do czego ta dźwignia służy. Nie wiedział, że jej otwarcie może być tak niebezpieczne.

- To jedna z teorii - chrząknął Roger - że twój syn jest głupi. Ale Trent raczej nie opisywał go w ten sposób.

- Słuchaj - rzucił - może Trent sam bawił się dźwignią, a teraz nie chce się do tego przyznać. Ale to wcale nie znaczy, że mój syn ma wziąć odpowiedzialność na siebie. A teraz wybacz, ale mamy trochę pracy w ogrodzie.

Gdy Roger wyszedł, ogarnęło mnie smutne przecucie, że Moira nigdy nie upiecze dla mnie irlandzkiego chleba sodowego, który obiecała mi w zamian za mój podarunek.

- Czasami myślę, że masz rację - powiedziałaś, przyspieszając. - Wystarczy, że dzieciak skaleczy się w kolano, a ludzie od razu muszą za to kogoś obwiniać. Ten kraj kompletnie zapomniał o czymś takim, jak wypadek. Gdy Kevin złamał rękę, czy obwiniałem ciebie? Czy to musiała być czyjaś *wina*? Nie. Zdarza się.

- Chcesz porozmawiać z Kevinem o rowerze Trenta? - zapytałam. - Czy ja mam się tym zająć?

- Po co? Przecież on nic nie zrobił.

- Twoim zdaniem nigdy nic nie robi - powiedziałam, wypuszczając powietrze.

- A twoim zdaniem zawsze - odparłeś spokojnie.

Standardowa wymiana - nawet nie jakaś wyjątkowo zjadliwa - więc nie wiem, dlaczego coś we mnie wywróciła, tak jak szybkozamykacz Trenta Corleya. Może dlatego, że *był* to już standard, a kiedyś było zupełnie inaczej. Zamknęłam oczy, trzymając się oparcia fotela, którym odgradzałeś się od niecodziennych oskarżeń wygłaszanych przez Rogera Corleya. Szczerze mówiąc nie wiedziałam, co chcę powiedzieć, dopóki tego nie powiedziałam.

- Franklinie, chcę mieć drugie dziecko.

Otworzyłam oczy i mrugnęłam. Sama siebie zaskoczyłam. To był chyba pierwszy przypadek mojej spontaniczności od sześciu lub siedmiu lat.

Odwróciłeś się. Twoja odpowiedź była równie spontaniczna. - Chyba *nie* mówisz *poważnie*.

To nie była właściwa pora, by przypominać Ci o tym, że ubolewałeś nad Johnem McEnroe, który Twoim zdaniem był marnym sportowcem. - Chciałabym, żebyśmy teraz zaczęli starać się o to, bym zaszła w ciążę.

To była najmniej spodziewana rzecz. Byłam bardzo pewna, nie bałam się, osiągając stan ducha, który mógł zdradzać zwariowany kaprys lub szalony pomysł na spokojnej powierzchni naszego spokojnego małżeństwa. Czułam się opanowana. To była szczerza decyzja, o którą modliłam się w trakcie naszej przewlekłej dyskusji o rodzicielstwie, a której brak doprowadził nas do tak abstrakcyjnych kwestii jak „przewrócenie strony” lub „odpowiadanie na Wielkie Pytanie”. Nigdy niczego nie byłam tak pewna, jak tego, że chcę teraz zająć się w ciążę, dlatego byłam zażenowana, że Twoim zdaniem nie było to takie oczywiste.

- Evo, zapomnij o tym. Masz czterdzieści cztery lata. Urodziłabyś jakiegoś trzygłowego potworka lub coś podobnego.

- Wiele kobiet w obecnych czasach rodzi dzieci po czterdziestce.

- Przestań! Myślałem, że wraz z momentem, w którym Kevin rozpocznie naukę w szkole, ty zamierzasz wrócić do pracy w AWAP-ie! Co z twoimi wielkimi planami, by wyruszyć do postkomunistycznej Europy Wschodniej? Chciałaś tam być wcześniej, by wyprzedzić *The Lonely Planet*.

- Rozwazałam mój powrót do AWAP-u. Wciąż mogę tam wrócić. Przecież mogę pracować przez resztę mojego życia. Jak kiedyś zdołałeś z ogromną troską zauważyć, jest tylko jedna rzecz, którą mogę wykonywać dłużej, niż przez chwilę.

- Niewiarygodne. Nie mogę w to uwierzyć! Mówisz poważnie. Jesteś poważnie poważna!

- *Chciałabym zająć w ciążę* brzmi jak marny dowcip, Franklinie. Nie chciałbyś, by Kevin miał się z kim bawić? - Prawdę mówiąc, to ja także chciałam mieć kogoś, z kim mogłabym się bawić.

- Od tego są *koledzy z klasy*. A rodzeństwa zwykle się nienawidzą.

- Tylko wtedy, gdy różnica wieku nie jest duża. Byłaby młodsza od Kevina przynajmniej o siedem lat.

- Ona? - wymówienie tego słowa zjeżyło ci włosy.

Uniosłam brwi.

- Hipotetycznie.

- Wszystko dlatego, że chcesz mieć dziewczynkę. Chcesz ją ubierać w małe sukienki? Evo, to nie w twoim stylu.

- Nie, chęć ubierania dziewczynki w małe sukienki nie jest w moim stylu. Dlatego nie miałeś powodu, by to powiedzieć. Słuchaj, dostrzegam twoje obawy, ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego perspektywa mojej ciąży sprawia, że jesteś tak wkurzony.

- To nie jest oczywiste?

- Oczywiście, że nie. Miałam wrażenie, że podoba ci się bycie rodzicem.

- Jasne, podoba mi się! Ale Evo, skąd wzięłaś ten pomysł, że nawet jeśli będziesz miała wspaniałą córkę, to wszystko się zmieni?

- Nie rozumiem - pociągnęłam temat, wykorzystując podstawy udawania głupa, których nauczyłam się od Kevina. - Dlaczego miałabym chcieć, by wszystko się zmieniło?

- Co cię opętało, by po tym wszystkim ponownie chcieć mieć dziecko?

- Po czym wszystkim? - spytałam neutralnie.

Szybko rzuciłam okiem przez okno, by upewnić się, że Kevin wciąż raz z jednej, a raz z drugiej strony rzucał piłką przywiązaną do tyczki - lubił monotonię.

- Nigdy nie chciałaś, żeby z nami gdziekolwiek wychodził. Zawsze pragnęłaś znaleźć kogoś, komu można było podrzucić dziecko, byśmy mogli bawić się sami, co twoim zdaniem miało przypominać nam stare, dobre czasy.

- Nie przypominam sobie, bym coś takiego mówiła - powiedziałam lodowatym tonem.

- Nie musisz. Mogę ci powiedzieć, że byłaś rozczarowana za każdym razem, gdy

sugerowałem, byśmy poszli gdzieś, gdzie Kevin będzie mógł bawić się razem z nami.

- To pewnie wyjaśnia, dlaczego ty i ja spędziliśmy niewiarygodnie dużo długich wieczorów w drogich restauracjach, w których Kevin gasł na widok obcych ludzi.

- Widzisz? Masz pretensje. A co z tym latem? Chciałaś jechać do Peru. Zgodziłem się, ale zaproponowałem, że zrobimy z tego rodzinne wakacje. Zacząłem się zastanawiać, jak długi spacer może wytrzymać sześciolatek. Powinnaś wtedy widzieć swoją twarz. Opadła jak ołowiany balon. Jak tylko w planach wyjazdu do Peru znalazł się Kevin, od razu straciłaś zainteresowanie tym urlopem. Przykro mi, ale ja nie chciałem dziecka po to, by pozbywać się go przy każdej okazji.

Zaczęłam się obawiać, do czego zmierzała ta rozmowa. Wiedziałam, że kiedyś będziemy musieli porozmawiać o wszystkich rzeczach, których do tej pory nie wyjaśniliśmy, ale na razie nie byłam na to gotowa. Potrzebowałam jakiegoś balastu. Potrzebowałam dowodu wsparcia, który wzrastałby przez dziewięć miesięcy.

- Jestem z nim przez cały dzień - powiedziałam. - To chyba nic dziwnego, że bardziej niż ty chciałabym mieć przerwę...

- I ciągle muszę wysłuchiwać, jak ogromnie się poświęcasz.

- Przykro mi, że to dla ciebie ma tak małe znaczenie.

- Nie chodzi o to, by to miało znaczenie dla mnie. To powinno znaczyć coś dla niego.

- Franklinie, nie rozumiem, gdzie...

- To typowe, nieprawdaż? Zostajesz z nim w domu, żeby *wywrzeć na mnie wrażenie*.

On nigdy się nie liczy, prawda?

- Skąd ty to wszystko bierzesz? Chciałam tylko powiedzieć, że chcę mieć drugie dziecko. Chciałam, byś się tym ucieszył albo chociaż zaczął oswajać z tą myślą.

- Czepiasz się go - powiedziałeś. Rzuciłeś kolejne spojrzenie na podwórko, by zobaczyć, co z Kevinem, a ja miałam wrażenie, że dopiero zaczynasz swoją wypowiedź. - Winisz go za wszystko, co złego dzieje się wokół tego domu. I w przedszkolu. Narzekasz na to biedne dziecko przy każdej okazji. Najpierw, że płacze zbyt dużo, a potem, że jest zbyt cicho. Stworzył swój mały, własny język i to ci przeszkadza. Nie bawi się w odpowiedni sposób - czyli nie bawi się tak, jak *ty*. Nie traktuje zabawek tak, jakby były muzealnymi eksponatami. Nie klepie cię po plecach za każdym razem, gdy uczy się literować nowe słowo, a odkąd całe sąsiedztwo odmawia podpisania jego kartki, ty czujesz się w obowiązku, by przedstawiać go jako pariasa. Zgoda, sprawił jeden poważny problem psychologiczny, związany z korzystaniem z toalety - to nie jest takie niezwykle, ale może być dla dziecka bardzo bolesne - a ty traktujesz to jako jakiś dziwny, osobisty pojedynek pomiędzy tobą i nim.

Ulżyło mi, że sobie w końcu z tym poradził, ale z twoim nastawieniem nie jestem wcale zdziwiony, że to trwało tak długo. Robię, co mogę, by poradzić sobie z twoją - przykro mi, jeśli urazi to twoje uczucia, ale nie wiem, jak inaczej to nazwać - oziębłością. Miłości matki nie można niczym zastąpić, a ja nie pozwolę, byś uczuciowo zamroziła kolejne moje dziecko.

Byłam zszokowana. - Franklinie...

- *Koniec* dyskusji. Mówienie tego nie sprawiło mi żadnej przyjemności i mam nadzieję, że wszystko może być dobrze. Wiem, że twoim zdaniem się starasz - cóż, być może w twoim pojęciu to są starania - ale jak na razie - to nie wystarcza. Próbujmy wszyscy dalej. - Hej, sportowcu! - Złapałeś Kevina, który wchodził do domu, i podniosłeś go nad głowę, tak jakbyś pozował do reklamy z okazji Dnia Ojca. - I co, wykończony?

Gdy go posadziłeś, powiedział:

- Zawinałem piłkę około 843 razy.

- Wspaniale! Założę się, że następnym razem będziesz w stanie ją zawinąć 844 razy!

Próbowałeś dokonać niezdarnej przemiany po tej kłótni, która sprawiła, że czułam się jak rozjechana przez ciężarówkę, ale nie mogę powiedzieć, bym przejmowała się hollywoodzkim obrazem nowoczesnego rodzica.

Kevin sprawiał za to wrażenie, jakby traktował Cię jak brata.

- Jeśli będę się mocno starał - odparł poważnie. - Czy to nie wspaniale mieć jakiś cel?

- Kevin - zawołałam go. - Twój przyjaciel Trent miał wypadek. Na szczęście nic poważnego mu się nie stało i szybko dojdzie do siebie. Może napiszemy do niego kartkę z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, taką, jaką przysłała ci babcia Sonya, gdy złamałeś rękę.

- No dobrze - rzucił, odchodząc. - Wydaje mu się, że jest taki super z tym swoim rowerem.

Napięcie musiało być tu zbyt duże; stanęłam i potarłam ramiona. Nie pamiętam, żebym cokolwiek wspomniała o rowerze.

*Eva*

1 lutego 2001

*Drogi Franklinie,*

Z jakiegoś powodu wyobrażam sobie, że pocieszysz Cię wiadomością, iż wciąż kupuję „Timesa”. Wydaje mi się jednak, że teraz źle wybieram artykuły, które są warte przeczytania. Klęski głodu i rozwody gwiazd Hollywood są równie żywotne i równie błahe. W zależności od nastroju, pożeram całą gazetę lub rzucam ją pod drzwi bez większego zainteresowania zawartością. W tamtych dniach miałam rację - Stany Zjednoczone bardzo łatwo radziły sobie beze mnie.

Przez ostatnie dwa tygodnie wyrzucałam nieprzeczytane gazety, ponieważ, jeśli mnie pamięć nie myli, zapowiedź pompatycznej inauguracji kadencji każdego nowego prezydenta nie wywierała na mnie żadnego wrażenia, nawet wówczas, gdy potrafiłam odczuwać entuzjazm i awersję. Dla odmiany, dzisiaj rano przeczytałam wszystko, łącznie z artykułem na temat nadmiernej liczby nadgodzin amerykańskich robotników. Być może to jest interesujące, choć nie potrafię tego udowodnić, że w Kraju Wolności pracę stawia się ponad czasem wolnym.

Przejrzałam też tekst o młodym elektryku, który wkrótce miał wziąć ślub, a który w swej gorliwej pogoni za pieniędzmi, niezbędnymi do założenia rodziny, w ciągu ostatnich ponad dwóch dni spał raptem pięć godzin. Przez dwadzieścia cztery godziny, bez przerwy, wspinał się na słupy wysokiego napięcia. Podczas niedzielnego śniadania otrzymał kolejne wezwanie do pracy. Około południa, podtrzymywany przez odpowiednie pasy bezpieczeństwa, wspiął się na dziesięciometrowy słup i sięgnął do kabla pod napięciem o natężeniu 7200 woltów. Wcześniej zapomniał jednak założyć rękawicę izolującą. Nastąpił błysk, a pan Churchill zawisł bez ruchu na swych pasach. Ojciec młodego elektryka, który przyjechał na miejsce zdarzenia, zanim zjawił się tam samochód z drabiną, myśląc, że syn może jeszcze żyć, przez godzinę stał pod słupem, błagając, by ktoś pomógł zdjąć jego dziecko.

Nie mam nic przeciwko nadgodzinom, wśród krewnych nie mam żadnych elektryków. Wiem jednak, że ten obraz - ojca błagającego o pomoc, bezsilnego jak wszyscy, którzy byli świadkami tego zdarzenia, podczas gdy jego syn dyndał na wietrze niczym wisielec - sprawił, że się rozplakałam. Ojcowie i synowie? Smutek i zmarnowana pracowitość? Są pewne związki. Ale plakałam również z powodu prawdziwego ojca tego młodego człowieka.

Widzisz, to siedziało we mnie, odkąd mogłam mówić - półtora miliona moich

rodaków było zamordowanych przez Turków; ojciec zginął w wojnie przeciwko najgorszym z ludzi, a w miesiącu, w którym się urodziłam, musieliśmy wykorzystać właśnie ich, by to pokonać. *Czwartek* był kleistą dekoracją na tej imprezie węży, a ja nie byłabym zupełnie zdziwiona, gdybym miała serce z kamienia. Jednakże, mimo wszystko, bardzo łatwo się wzruszyłam, można nawet powiedzieć, że rozrzewniłam się. Być może oczekiwania moich przodków były zredukowane do tak podstawowych rzeczy, że nawet najmniejsza uprzejmość zawstydziała mnie, tak jak *Czwartek*, jako coś niepotrzebnego. Holokausty mnie nie zadziwiają. Gwałty i przemoc w stosunku do dzieci mnie nie zadziwiają. I Franklinie, wiem, że Ty czujesz inaczej - Kevin też mnie nie zadziwia. Zdumiewa mnie natomiast, gdy na ulicy upuszczę rękawiczkę, a nastolatek biegnie za mną dwie przecznice tylko po to, by mi ją oddać. Zdumiewa mnie, gdy kasjerka wręcza mi resztę z promiennym uśmiechem na twarzy, podczas gdy moja twarz nie wyraża nic miłego. Zagubione portfele zwracane właścicielom; obcy ludzie pokazujący nam właściwy kierunek drogi; sąsiedzi podlewający nasze grządki - to mnie zdumiewa. Celia mnie zdumiewała.

Zgodnie z Twoimi instrukcjami, nie poruszałam już więcej tego tematu. A oszukiwanie Cię nie sprawiało mi żadnej przyjemności. Jednak ta upiorna pewność, która ogarnęła mnie w sierpniu, nigdy nie ustąpiła, a Ty nie zostawiłeś mi wyboru.

Gips Kevina został ściągnięty dwa tygodnie wcześniej, ale przestałam się czuć winna już przy okazji rowerowego wypadku Trenta Corleya. Tak po prostu. Nie było żadnej równowartości pomiędzy tym, co zrobiłam, a tym, co zamierzałam uczynić - to było całkowicie irracjonalne - ale wyglądało na to, że miało być idealnym antidotum lub pokutą. Chciałam poddać się testowi. I tak do końca nie byłam pewna, czy dam sobie radę z kolejną ciążą.

Zauważyłeś, że stałam się „małą, wyuzdaną bestyjką”, w dodatku wyglądałeś na zadowolonego z tego pożądania, które od pewnego czasu zniknęło, mimo że bezpośrednio nie czyniliśmy żadnych aluzji na temat seksualnej oziębłości. Przed pójściem spać jedno z nas zwykle teatralnie ziewało, w efekcie z normy codziennego seksu zeszliśmy do średniej amerykańskiej i kochaliśmy się raz w tygodniu. Moja ponownie rozniecona pasja nie była udawana. Pragnęłam Cię dużo bardziej, niż w ostatnich latach, a im częściej się kochaliśmy, tym bardziej byłam nienasycona. W ciągu dnia nie potrafiłam spokojnie usiedzieć przy biurku i musiałam nawet pocierać wewnętrzne strony swych ud. Cieszyłam się również, że nasza namiętność była dowodem na to, iż nie wpadliśmy bezpowrotnie w otchłań mechanicznej, łóżkowej rutyny, która wiele osób zaprowadziła w objęcia nieznajomych, przygodnych



kochanków.

Za każdym razem, gdy nasz syn spał w swoim pokoju, zachowywałeś się w łóżku tak cicho, że często przerywałam i pytałam „Co...? Przepraszam?”. Pilnowanie, by nie powiedzieć czegoś zbyt głośno, było ciężkim zadaniem, dlatego z czasem ograniczyliśmy się do własnych trójwymiarowych seksualnych projekcji. Nieokraszone Twoją improwizacją - a miałeś prawdziwy dar deprawacji; szkoda, że taki talent się marnował - moje własne fantazje zaczęły być nudne, w związku z tym dałam się ponieść obrazom, niezbyt erotycznym w żadnym sensie, za to zawsze zdominowanym przez określoną strukturę i barwę. Z czasem jednak moje wizje stały się gryzące jak strup lub geologiczne jak ilustracje zastygłej magmy. Innym razem nawiedzały mnie obrazy brudnych pieluch i odkrytych, naprężonych jąder, więc może zrozumiesz, dlaczego ograniczyłam nasze zbliżenia do jednego w tygodniu. Być może najgorsze ze wszystkiego było to, że wibrujące purpury i błękity, które pojawiały się w mojej głowie, gdy kochaliśmy się przed narodzinami Kevina, stały się zabłocone i straciły swój urok. Do czasu, gdy wytwory wewnętrznej części moich powiek zmieszały się z wściekłą smołą i ciemnobrązowym kolorem obrazków przyklejonych do drzwi lodówki.

Odkąd wkładkę antykoncepcyjną zaczęłam zostawiać w niebieskim pudełku, obrazy w moim umyśle, które tworzyły się w trakcie seksu, stały się jaśniejsze. Tam, gdzie do tej pory zamykały się granice mojej wyobraźni, widziałam więcej i przejrzysiej, tak jakbym patrzyła na świat ze szczytu góry Ararat lub oglądała Pacyfik z lotu ptaka. Badawczo przyglądałam się długim korytarzom, które ciągnęły się w nieskończoność, ich błyszczącym marmurowym posadzkom, słońcu odbijającemu się w oknach. Wszystko, co widziałam, było jasne: suknie ślubne, kwiaty, pola szarotek. Proszę, nie śmiej się ze mnie - wiem, że to, co opisuję, brzmi jak reklama tamponów. Ale to było naprawdę piękne. W końcu czułam się porwana uniesieniem. Mój umysł otworzył się, a przecież do tej pory sprawiał wrażenie, jakby zapadał się do coraz mniejszej i ciemniejszej dziury. Te szerokoekranowe projekcje nie były przesłodzone i rozmyte, lecz ostre, wyraźne i żywe. Pamiętam je doskonale. Spałam jak dziecko. A raczej jak *niektóre* dzieci, o czym miałam się później przekonać.

Oczywiście nie byłam wtedy w trakcie najbardziej płodnego okresu w życiu i starania o dziecko zajęły mi rok. Gdy w końcu nie dostałam okresu, zaczęłam sobie podśpiewywać. Tym razem nie jakieś pompatyczne pieśni z amerykańskich musicali, a ormiańskie przyśpiewki ludowe, które często śpiewała moja matka, takie jak *Soode Soode* („To kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo, wszystko to jest kłamstwo, na tym świecie wszystko jest kłamstwem!”). Gdy zorientowałam się, że zapomniałam części tekstu, zadzwoniłam do niej i poprosiłam, by napisała mi to na kartce. Była uradowana, że może wyświadczyć mi

przysługę, bo dla niej wciąż byłam małą dziewczynką, która traktowała jej lekcje ormiańskiego jako dodatkową, niepotrzebną pracę domową. Napisała mi słowa moich ulubionych piosenek - *Kele Kele*, *Kujn Ara* i *Gna Gna* Komitasa Vardapeta - wewnątrz kartki pocztowej ozdobionej widokiem górskiej wioski i wzorami charakterystycznymi dla ormiańskich dywanów.

Kevin zauważył moją zmianę i jeśli nie cieszył się widokiem matki pełzającej po domu niczym robak, to tym bardziej nie był uradowany, gdy zrzuciła swój kokon i stała się pięknym motylem. Zawahał się ponuro i czepiał się: „Ale fałszujesz” lub rozkazującym tonem wypowiadał zdanie, którego nauczył się w wieloetnicznej szkole: „Może będziesz mówić po *angielsku*”. Wy tłumaczyłam mu spokojnie, że ormiańskie piosenki były *polifoniczne*, a gdy udawał, że rozumie, zapytałam go, czy wie, co to znaczy. „To znaczy, że są głupie”. Chciałam nauczyć go piosenki lub dwóch, przypominając mu, że też jest Ormianinem, ale nie miał na to ochoty. „Jestem Amerykaninem” - przypomniał mi tonem, który brzmiał, jakby mówił: „Jestem człowiekiem, a nie mrówkojadem”.

Coś wisiało w powietrzu. Mamutka nie załamywała się, nie powłóczyła nogami, nie mówiła cieniutkim głosem, nawet nie przypominała tej mamutki z czasów przed złamaniem ręki: żwawa, dynamiczna kobieta, która maszerowała przez macierzyństwo niczym żołnierz na paradzie. Nie, ta mamutka zajmowała się swoimi obowiązkami z energią wartkiego strumyka, a jakkolwiek kamień, rzucony w jej nurt, tonął, nie wyrządzając żadnych szkód. Poinformowana o tym, że zdaniem jej syna wszyscy koledzy z klasy są opóźnieni, a to, czego się teraz uczą, on już dawno wie, ta nowa mamutka nie upominała go, że *wkrótce dowie się, iż jeszcze nie wie wszystkiego* i nie miała pretensji, że tak mówi o kolegach. Po prostu się śmiała.

Mimo że byłam z natury panikarą, nawet w najmniejszym stopniu nie przejęłam się zagrożeniami, którymi zarzucał nas Departament Stanu w związku z iracką inwazją na Kuwejt.

- Zwykle bardzo się przejmujesz takimi sprawami. Nie martwi cię to? - zapytałeś w listopadzie. Nie, nie byłam zmartwiona. Nic mnie nie martwiło.

Gdy ominęłam trzeci okres, Kevin zaczął mi wypominać, że robię się coraz grubsza. Szturchnął mnie w brzuch i pytał:

- Jesteś *olbrzymem*?

Zwykle nie interesował się moją figurą. Odparłam radośnie:

- Zgadza się. Mamutka jest wielką świnią.

- Wiesz, chyba trochę przytyłaś w pasie - zauważyłeś w końcu pewnego grudniowego wieczoru. - Powinniśmy ograniczyć trochę jedzenie ziemniaków, co? Może przy okazji i ja

stracę zbędne kilogramy?

- Mmmm - mruknęłam i musiałam prawie włożyć pięść do ust, by nie wybuchnąć śmiechem. - Nie mam nic przeciwko mojej wadze. Dodatkowy tłuszcz i tak rozkłada się po całym ciele.

- Boże, co to, *dojrzałość*? Zwykle, gdy zwracam ci tak uwagę, to od razu wpadasz w szal! - Umyłeś zęby i dołączyłeś do mnie w łóżku. Wpadłeś na trop tajemnicy, gdy jedną rękę położyłeś na kołdrze, a drugą przysunąłeś do napuchniętej piersi. - Może masz rację - wymamrotałeś. - Więcej seksownej Evy to całkiem dobry pomysł - upuściłeś książkę na podłogę i odwróciłeś się do mnie. - Prawda?

- Mmmm - ponownie mruknęłam twierdząco.

- Twoje sutki są powiększone - zauważyłeś i otarłeś się o nie nosem. - Czas na okres? Przecież chyba niedawno powinnaś mieć.

Wtuliliś głowę w moje piersi i nagle uniosłeś się. Popatrzyłeś mi prosto w oczy z bardzo poważnym wyrazem twarzy. Nagle zbladłeś.

Moje serce waliło jak oszalałe. Muszę powiedzieć, że to było gorsze, niż mogłabym przypuszczać.

- Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? - zapytałeś oziębło.

- Wkrótce. W zasadzie od dawna chciałam ci o tym powiedzieć, ale jakoś nigdy nie było okazji.

- Nie rozumiem, dlaczego nie było okazji - powiedziałeś. - Masz zamiar powiedzieć, że to był przypadek?

- Nie, to nie był przypadek.

- Myślałem, że to omówiliśmy.

- Właśnie nie omówiliśmy. Wygłosiłeś monolog. Nie chciałeś mnie słuchać.

- Dlatego postanowiłaś zrobić to sama, tak po prostu, nagle, jak jakiś napad rabunkowy. Tak, jakby to nie miało ze mną nic wspólnego.

- To wszystko jest z tobą związane. Ale to ja miałam rację, a ty się myliłeś - popatrzyłam prosto na Ciebie. Powiedziałbyś, że byliśmy my dwoje i ty jeden.

- To jest najbardziej bezczelna... arogancka rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłaś.

- Tak, chyba masz rację.

- Teraz, gdy już to, co myślę, nic nie znaczy, zamierzasz może wyjaśnić mi, o co w tym wszystkim chodzi? Słucham - ale wcale nie wyglądałeś na kogoś, kto chce słuchać.

- Muszę się czegoś dowiedzieć.

- Czego? Jak daleko możesz się posunąć, zanim ja nie zareaguję?

- Czegoś o - zdecydowałam nie przeproszać za to słowo - o mojej duszy.

- Czy w twoim wszechświecie jest ktoś inny?

Przecząco potrząsnęłam głową.

- Chciałabym, żeby był.

- A co z Kevinem?

- A co z nim ma być?

- To będzie dla niego trudne.

- Czytałam gdzieś, że inne dzieci mają siostry i braci.

- Nie bądź złośliwa. Przyzwyczał się do tego, że poświęcamy mu całą uwagę.

- Czyli, inaczej rzecz ujmując, jest rozpieszczony. Lub może się taki stać. To najlepsza rzecz, jaka może przydarzyć się chłopcu.

- Wydaje mi się, że będzie patrzył na to w taki sposób.

Chwilę zajęło mi, zanim zorientowałam się, że od pięciu minut rozmawiamy o naszym synu.

- Może to będzie dobre także dla ciebie. Dla nas.

- Mówisz, jakbyś była redaktorką rubryki z poradami małżeńskimi. Najgorszą z możliwych prób scementowania rozchwianego związku jest ciąża.

- Nasze małżeństwo się chwieje?

- Ty nim właśnie wstrząsnęłaś - odpaliłaś i przewróciłaś się na swoją stronę łóżka.

Zgasiłam światło i położyłam się na poduszce. Nie dotykaliśmy się. Zaczęłam płakać. Gdy mnie objąłeś, poczułam wielką ulgę i zaczęłam płakać jeszcze mocniej.

- Hej - zagadnąłeś. - Naprawdę tak myślisz? Naprawdę czekałaś tak długo, żeby było zbyt późno? Faktycznie wydaje ci się, że poprosiłbym cię o to? Żebyś usunęła nasze dziecko?

- Oczywiście, że nie - wysapałam.

Jednak gdy się uspokoiłam, ponownie stałaś się bardziej ostry.

- Popatrz, ja w tym jestem choćby dlatego, że muszę. Ale ty masz już czterdzieści pięć lat. Evo, obiecaj mi, że zrobisz test.

„Ten test” miał na celu głównie odstraszenie nas od ciąży. Od *naszego dziecka*. Nic dziwnego, że czekałam tak długo, by Ci powiedzieć, że jestem brzemienna.

Nie wykonałam testu. Oczywiście powiedziałam Ci, że go zrobiłam, a nowa ginekolog, do której poszłam (była wspaniała i w przeciwieństwie do doktor Rhinestein - nie traktowała kobiet w ciąży jako własności publicznej), powiedziała, że nie będzie naciskać. Stwierdziła jednak, że ma nadzieję, iż będę kochała i opiekowała się tym, kogokolwiek -

miała na myśli cokolwiek - urodzę. Powiedziałam, że nie mam romantycznego podejścia do wychowywania upośledzonych dzieci. Byłam chyba jednak zbyt dokładna w wybieraniu rzeczy - i osób - które kocham. Dlatego chciałam ufać. Choć raz, tak jak powiedziałam. Mieć ślepią wiarę - nie chciałam twierdzić, że w *życie*, *przeznaczenie* lub *Boga* - w siebie.

Nigdy nie było żadnych wątpliwości co do tego, że nasze drugie dziecko jest moje. W efekcie nie wykazywałeś żadnych oznak traktowania ciąży jak swej własności, czym tyranizowałeś mnie przed narodzinami Kevina. Tym razem sama nosiłam to dziecko. Nie marudziłeś, gdy nalewałam sobie czerwonego wina, które piłam w stosownie niewielkich ilościach. Narzuciłam sobie reżim treningowy, włączając w to bieganie, rytmikę i nawet trochę squasha. Zawarliśmy jasną i milczącą zgodę: wszystko, co robiłam, to była moja prywatna sprawa. I podobało mi się to rozwiązanie.

Kevin wyczuł już obecność zdrady i perfidii. Nie ufał mi bardziej niż dotychczas. Podglądał mnie zza rogu, sok w szklance próbował tak, jakby spodziewał się w nim arszeniku, babrał się we wszystkim, co podałam mu do jedzenia, często rozbijając to na części pierwsze i rozmazując po talerzu - może nawet szukał tam kawałków szkła. W sekrecie odrabiał zadania domowe, tak jakby były to jakieś tajne, więzienne grypsy, w których opisywał złe traktowanie i wysyłał do Amnesty International.

Ktoś musiał mu o tym powiedzieć, i to szybko - ciąża była coraz bardziej widoczna. Zasugerowałam więc, by przy okazji wyjaśnić mu pewne rzeczy na temat seksu. Niezbyt chętnie do tego podszedłeś. Chciałeś, bym po prostu powiedziała, że spodziewam się dziecka. Twoim zdaniem wcale nie musiał wiedzieć, jak do tego dochodzi. Miał dopiero siedem lat. Nie powinniśmy zachować jego niewinności jeszcze na kilka lat? Zaprotestowałam, że to dość nietypowa definicja niewinności, która ignorancję seksualną przyrównuje do wolności od grzechu. A niedocenianie świadomości seksualnej własnych dzieci jest największym błędem, zawsze opisywanym w fachowych książkach.

Istotnie tak było. Delikatnie zasugerowałam temat podczas przygotowywania kolacji, gdy Kevin zapytał wprost:

- To coś o pieprzeniu?

To była prawda: uczniowie drugich klas nie są teraz tacy, jak kiedyś.

- Lepiej nazwać to seksem. To drugie słowo może kogoś obrazić.

- Ale wszyscy to tak nazywają.

- Wiesz, co to znaczy?

Przewracając oczami, Kevin wyrecytował:

- Chłopczyk wkłada siusiaka do dziurki dziewczynki.

Przebrnęłam przez te wszystkie bzdury o „nasionach” i „jajeczkach”, którymi w dzieciństwie tłumaczono mi, że kochanie się to coś pomiędzy sadzeniem ziemniaków i hodowaniem kurcząt. Kevin w tym przypadku nie był zbyt tolerancyjny.

- Wiedziałem to wszystko.

- Cóż za niespodzianka - wymamrotałam. - Masz jakieś pytania?

- Nie.

- Żadnych? Zawsze możesz zapytać mnie lub ojca o cokolwiek związanego z chłopakami lub dziewczynami, seksem lub twoim ciałem, jeśli czegoś nie będziesz rozumiał lub wiedział.

- Myślałem, że chcecie powiedzieć mi coś *nowego* - stwierdził ponuro i wyszedł z pokoju.

Czułam się dziwnie zawstydzona. Pobudziłam jego oczekiwania, a później je zniszczyłam. Gdy zapytałeś, jak poszła rozmowa, odparłam, że chyba dobrze, a kiedy chciałeś wiedzieć, czy był przestraszony, zawstydzony lub skrepowany, stwierdziłam, że w zasadzie *nie wywarło to na nim żadnego wrażenia*. Zaśmiałeś się, a ja powiedziałam smętnie, że jeśli to na nim nie wywarło wrażenia, to chyba nic nie jest w stanie tego dokonać.

Wciąż jednak druga faza *Prawdy o Życiu* wydawała się być dużo trudniejsza niż pierwsza.

- Kevin - zaczęłam kolejnego wieczoru. - Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem? O seksie. Mamutka i tatuś też czasem to robią.

- Po co?

- Po pierwsze po to, żebyś mógł dotrzymywać nam towarzystwa. Ale może byłoby ci miło, gdybyś też miał jakieś towarzystwo. Nigdy nie chciałeś mieć tu kogoś, z kim mógłbyś się bawić?

- Nie.

Pochyliłam się nad stołem służącym do zabawy, na którym Kevin systematycznie łamał kredki ze swojego zestawu Crayola 64. - Cóż, będziesz miał towarzystwo. Małego braciszka lub małą siostrzyczkę. I może okaże się, że ci się to spodoba.

Patrzył na mnie przed dłuższą chwilę z lekko nadaśana miną, choć nie wyglądał na specjalnie zdziwionego.

- A co się stanie, jeśli mi się nie spodoba?

- Wtedy będziesz musiał się przyzwyczaić.

- Bo jeśli się do czegoś przyzwyczaisz, to wcale nie znaczy, że to lubisz - dodał, łamiąc purpurową kredkę. - Ty też się do mnie przyzwyczaiłaś.

- Tak! - powiedziałam. - A za kilka miesięcy przyzwyczajamy się do kogoś nowego! - Coraz krótszą kredkę jest trudniej złamać, a Kevin właśnie zaczął mocować się z jednym takim małym kawałkiem.

- Będziesz żałować.

W końcu kredka się złamała.

Próbowałam wciągnąć Cię w rozmowę na temat ewentualnych imion dla naszego dziecka, ale pozostałeś niewzruszony. Właśnie zaczęła się wojna w Zatoce Perskiej i nie było szans, by odciągnąć Cię od CNN. Gdy Kevin przysiadł się do Ciebie na kanapie, zauważyłam, że cały zestaw generałów nie wywarł na nim wrażenia większego, niż piosenka *ABC*, choć mimo wszystko w pewnym stopniu docenił naturę „bomby atomowej”. Zniecierpliwiony wolnym tempem walki, toczony na potrzeby telewizji, zaczął narzekać:

- Tato, nie wiem, dlaczego siły sprzymierzone przejmują się tymi śmieciami. Zrzućmy na nich bombę atomową. To nauczy tych Irakijczyków, kto tu rządzi - Twoim zdaniem było to urocze.

W duchu fair play przypomniałam Ci o naszej starej umowie, zgodnie z którą drugie dziecko otrzyma nazwisko Plaskett. Zbyłeś mnie, twierdząc, że jestem śmieszna. Nie oderwałeś nawet wzroku od telewizora, na którym oglądałeś raketę Patriot. Dwoje dzieci, dwa różne nazwiska? Ludzie pomyślą, że jedno z nich adoptowaliśmy. W kwestii imion byłeś równie obojętny. Powiedziałeś, że w całości zdajesz się na mnie. I jest Ci wszystko jedno, jakie imię wymyślę.

W takim razie dla chłopca zaproponowałam *Frank*. Dla dziewczynki na pewno odrzuciłam imiona *Karru* i *Sophia*, które były popularne w rodzinie mojej matki, i sięgnęłam po jedno z imion z Twojej rodziny.

Śmierć ciotki Celi, bezdziejnej siostry Twojej matki, dotknęła Cię bardzo, gdy miałaś dwanaście lat. Często was odwiedzająca, dziwaczna ciotka była amatorką okultyzmu. Wręczyła Ci magiczną bilę numer osiem, która miała zapewniać szczęście w życiu, a wraz z Twoją siostrą przeprowadzała mroczne i tajemnicze seanse, zupełnie nieakceptowane przez waszych rodziców. Widziałam jej zdjęcie. Szczerze mówiąc, nie była zbyt piękna. Miała szerokie usta, cienkie wargi, a jej oczy były przenikliwe i jasnowidzące. Równocześnie była odważna i lekko przestraszona. Tak jak ja lubiła przygody, a zginęła niezamężna w młodym wieku, wspinając się na górę Waszyngton z młodym przewodnikiem. Przyczyną śmierci było wyziębienie, gdyż nagle znaleźli się w środku potężnej burzy śnieżnej. Ty jednak przyjąłeś to imię z nieukrywaną irytacją, jakbym chciała usidlić Cię, korzystając z nadprzyrodzonych

zdolności ciotki Celi.

Kolejna ciąża była dużo mniej restrykcyjna niż pierwsza, w dodatku Kevin był już w drugiej klasie, więc mogłam w większym wymiarze poświęcić się pracy w AWAP-ie. W dodatku z dzieckiem w łonie czułam się mniej samotna i gdy mówiłam na głos podczas waszej nieobecności, nie czułam się tak, jakbym gadała do siebie.

Oczywiście drugi raz zawsze jest łatwiejszy. Wiedziałam wystarczająco dużo, żeby poprosić o znieczulenie, choć później okazało się, że Celia była tak mała, iż prawdopodobnie poradziłabym sobie bez środków przeciwbólowych. Miałam też świadomość, jakich uczuć mogę się spodziewać w momencie narodzin. Dziecko to dziecko. Każde na swój sposób jest cudem. Ale żądanie natychmiastowej transformacji w momencie porodu było zbyt wielkim zadaniem, zarówno dla malutkiego, zaskoczonego zawiniątka, jak i dla wykończonej matki w średnim wieku. I gdy postanowiła przyjść na świat dwa tygodnie przed terminem, 14 czerwca, wraz z nią dzieliłam to pragnienie. Podobnie, jak w przypadku ciąży Kevina, również czułam wraz z nią ochotę do zwłoki i opóźnienia porodu o dwa tygodnie.

Czy niemowlęta mają jakieś uczucia, nawet w pierwszej godzinie swego życia? Z moich doświadczeń z dwójką dzieci wynika, że tak. Choć jeszcze nie potrafią ich nazwać, a bez oddzielnych etykiet prawdopodobnie doświadczają mieszaniny emocji, która zawiera w sobie wiele sprzeczności. Ja mogłabym ocenić, że czuję się *niespokojna*, podczas gdy małe dziecko równie dobrze w takiej sytuacji może powiedzieć, że czuje się zarówno zaniepokojone, jak i zrelaksowane. Podczas narodzin dwójki moich dzieci natychmiast mogłam rozróżnić dominujący ton emocji, tak jakby był to wiodący instrument lub kolor wyraźnie kontrastujący z tłem obrazu. W przypadku Kevina wyczuwałam ostry, wysoki ton krzyku gwałconej kobiety, kolor pulsował krwistą czerwienią, a uczuciem dominującym była wściekłość. Odgłos i natężenie tej złości były nie do wytrzymania, a wraz z jego dorastaniem stawały się nieskończonym rykiem samochodowego klaksonu. Obraz w tle stawał się coraz mniejszy, jego barwa tężała w czerniejącej purpurze, charakterystycznej dla wątroby, a przeważającymi emocjami były niespokojny gniew i spokojne, ustępujące oburzenie.

Z kolei gdy urodziłam Celię, być może na pierwszy rzut oka miała pomarszczoną twarz i była umazana we krwi, jednak jej aura miała kolor jasnoniebieski. Zostałam opanowana przez ten sam odcień błękitu nieba, który widziałam podczas naszych miłosnych uniesień. Nie płakała, gdy się urodziła, a jeśli wydawała jakieś dźwięki, to był to cichy, wędrujący głos włóczki, który z dala od domu cieszy się wyprawą i nie dba o to, czy ktoś go teraz słyszy, czy nie. Dominującą emocją, jaką wywoływało to małe, jeszcze niewidzące stworzenie - rączkami nie chwytala powietrza, a tylko jakby się nim zachwycała; jej usta, gdy



znalazły się przy sutku, od razu zaczęły ssać - była *wdzięczność*.

Nie jestem pewna, czy od razu zauważyłbyś różnicę, choć gdy Celia została nakarmiona, owinięta, wymyta i przekazana ojcu, dość szybko mi ją oddałeś. Może wciąż byłeś poirytowany moimi przypuszczeniami, a może perfekcja Twojej nowej córki niepokoiła Cię jeszcze bardziej, jako żywy dowód, że moje oszustwo było rzeczą słuszną. W każdym razie następne lata upewniły mnie w początkowych przewidywaniach: wyraźnie widziałeś różnicę i bardzo mocno Cię ona denerwowała. Wyobrażam sobie, jak z takim samym oporem jeżysz się w sytuacji, gdy po latach mieszkania w naszym fatalnym, zupełnie przeciętnym *Wymarzonym Domu*, wchodzisz do wielkiego, wiktoriańskiego gmachu ze wspianym gankiem, małą windą i mahoniowymi balustradami i dowiadujesz się, że był na sprzedaż. Chciałbyś nigdy go nie widzieć, a cząstka Ciebie nienawidziłaby go. W drodze powrotnej do naszej banalnej katedry z tekowego drewna straciłbyś skalę porównawczą i widziałbyś tylko wielką hałdę pretensji, bo niesamowita zdolność do *zaokrąglania* upośledzała całe Twoje życie.

To jedyne sensowne wyjaśnienie chłodu, z jakim wzięłeś Celię na rękę. Sprawiałeś przy tym wrażenie, że za wszelką cenę chcesz uniknąć zbyt długich spojrzeń, podczas których, jak to mówił Brian, rodzice *zakochują się* w swoich pociechach. Myślę, że napelniała Cię strachem. I chyba zainteresowanie okazywane własnej córce traktowałeś jako swego rodzaju zdradę.

Cały poród przebiegł tak gładko, że w szpitalu spędziłam tylko jedną noc, a następnego dnia, wraz z Kevinem, przyjechaliście i odebraliście nas ze szpitala w Nyack. Byłam dość zdenerwowana, ponieważ doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że dla pierwszego dziecka sytuacja, w której słaba i bezbronna istotka wchodzi na jego miejsce, może być bardzo denerwująca. Jednak gdy Kevin wszedł za Tobą do szpitalnego pokoju, z trudem wskoczył na łóżko, prawie przyduszając poduszką moją córeczkę, którą właśnie karmiłam. Miał na sobie koszulkę z napisem „Jestem Starszym Bratem” z okrągłą, śmiejącą się buzią umieszczoną pod napisem. Świeże kwadratowe zgięcia i metka wystająca przy szyi wskazywały na to, że kupiłeś ją przed momentem, prawdopodobnie w sklepiku znajdującym się w holu szpitala. Nasz syn przysiadł zgarbiony na podkurczonej nodze, po czym przespacerował się na drugą stronę i z bukietu, który przyniosłeś, wyjął jedną cynię. W milczeniu zaczął wrywać kolejne płatki. Prawdopodobnie najprostszym wnioskiem było to, że Celia mu się już znudziła.

- Kevin - powiedziałaś. - Może chciałbyś zobaczyć swoją siostrę?

- Po co miałbym ją oglądać? - odparł z wyraźnym znużeniem. - Przecież jedzie z nami

do domu. To znaczy, że będę ją *widział* codziennie!

- To przynajmniej powinieneś poznać jej imię, prawda? - delikatnie odsunęłam dziecko od piersi, co do której Kevin swego czasu nie przejawiał żadnego zainteresowania, choć Celia dopiero co zaczęła jeść. W takiej sytuacji większość noworodków zaczęłaby wrzeszczeć, ale ona od początku traktowała niedostatek jako coś normalnego, przyjmując każdy drobniaczek ze szczerym zakłopotaniem. Odwinęłam kocyk i uniosłam dziecko tak, jakby miało zostać poddane jakiejś inspekcji.

- Kevin, to jest Celia. Wiem, że na razie nie będzie się z tobą bawić, ale gdy dorośnie, to na pewno będzie twoją najlepszą przyjaciółką - powiedziałam i zaczęłam się zastanawiać, czy wie, co znaczy to słowo. Dotychczas żaden z jego kolegów z klasy nie przyszedł do naszego domu.

- To znaczy, że będzie włączyć się bez przerwy za mną i moimi znajomymi. Widziałem już coś takiego. To boli - skomentował Kevin.

Położyłeś swoje dłonie na ramionach syna i trochę nim potrząsałeś. Jego twarz wykrzywiła się.

- No cóż, to wszystko jest częścią bycia starszym bratem - powiedziałeś. - Wiem coś o tym. Sam miałem młodszą siostrę. Nigdy nie zostawiała mnie samego! Chcesz się bawić ciężarówkami, a one zawsze domagają się, żebyś bawił się z nimi ich małymi lalkami!

- Ja bawiłam się ciężarówkami - zaprotestowałam, przy okazji rzucając Ci znaczące spojrzenie; musieliśmy w domu porozmawiać o tych staroświeckich stereotypach dotyczących płci.

Szkoda, że choć Ty i twoja siostra Valerie byliście urodzeni rok po roku - ona, pedantyczna dziewczynka, z której wyrosła nadgorliwa kobieta męcząca się w granicach własnego domu; podczas naszych krótkich wypadów do Filadelfii zwykle organizowała wycieczki do zabytkowych miejsc - nie byliście ze sobą zbyt blisko.

- Nie możesz z góry zakładać, co Celia będzie lubiła, tak samo, jak nie możesz teraz przewidzieć, czy Kevin nie polubi zabawy lalkami.

- Nigdy w życiu! - zapewniłeś z ojcowską troską.

- Wojownicze żółwie Ninja? Spiderman? Wszystkie te figurki są lalkami.

- Wspaniale, Evo - wymamrotałeś. - Wpędź naszego chłopca w kompleksy.

Tymczasem Kevin niepostrzeżenie przysunął się do łóżka i włożył rękę do szklanki z wodą, która stała na szafce nocnej. Przyglądając się niemowlakowi, trzymał dłoń nad jej twarzą i pozwolił, by krople kapały na Celię. Zaniepokojona przekreśliła główkę, ale ten nietypowy chrzest najwyraźniej nie przeszkadzał jej, choć później uznałabym fakt, że moja

córka nie płakała i nie narzekała, za nieistotny. Twarz Kevina wyrażała poruszające, wręcz kliniczne zaciekawienie. Ponownie zamoczył dłoń i pozwolił, by kilka kropel spadło na nos i usta siostry. Nie byłam pewna, co powinnam w tej sytuacji zrobić. Chrzest dokonany przez Kevina nasunął mi na myśl baśnie, w których rozżalony krewny niespodziewanie przybywa, by przekląć księżniczkę leżącą w kołysce. Na razie Kevin nie robił Celi żadnej krzywdy, a ja nie chciałam żadną reprimendą zepsuć tego wstępu. Dlatego, gdy po raz trzeci zamoczył dłoń, postanowiłam przesunąć się nieco na łóżku i zasłaniając kocem twarz Celi sprawiłam, że była poza jego zasięgiem.

- Hej, Kev! - zatarłeś ręce. - Twoja matka musi się ubrać. Poszukajmy czegoś *naprawdę tłustego* i *naprawdę słonego* w tych automatach, które stoją na korytarzu!

Gdy wyszliśmy razem ze szpitala, powiedziałaś, że pewnie jestem zmęczona, skoro zamiast spać, kilka razy w ciągu nocy musiałam zrywać się i karmić Celię.

- Nie, i to jest najdziwniejsza rzecz - wyszeptałam. - Wstawiałam kilka razy na karmienie, ale musiałam ustawiać alarm. Franklin - ona w ogóle nie płacze.

- Cóż. Ale nie oczekuj, że tak będzie zawsze.

- Nigdy nie wiadomo. Wiesz, jak to jest z dziećmi - każde jest inne.

- Dzieci muszą płakać - powiedziałaś żywo. - Leżą w łóżku, cały dzień śpią, a ty spełniasz dla nich funkcję wycieraczki.

Gdy wróciliśmy do domu, zauważyłam, że ramka ze zdjęciem przedstawiającym mnie w wieku dwudziestu kilku lat, stojąca na stoliku w przedpokoju, gdzieś zniknęła. Zapytałam, czy to Ty ją przeniosłeś. Powiedziałaś, że nie, wzruszając przy tym ramionami, a ja nie drążyłam dalej tematu. Uznałam, że prędzej czy później na pewno się znajdzie. Nie znalazła się. Trochę się tym przejęłam. Nie wyglądałam już tak ładnie, a dowody na to, że kiedyś byliśmy młodszy i piękniejsi, z czasem stają się bardzo cenne. Fotografia była zrobiona na mieszkalnej łodzi w Amsterdamie, a z jej kapitanem łączył mnie krótki, przelotny romans. Bardzo lubiłam to zdjęcie i moją postawę, którą zdołał na nim uchwycić: ekspansywna, zrelaksowana i ciepła. Łączyło to w sobie wszystko, czego wtedy oczekiwałam od życia: unoszenie się na wodzie, lekkie białe wino i przystojny mężczyzna. Ten portret łagodził surowość charakterystyczną dla większości moich fotografii, na których marszczę brwi. Kapitan mieszkalnej łodzi przesłał mi to zdjęcie pocztą i nie miałam negatywu. No cóż. Pewnie w trakcie mojego pobytu w szpitalu Kevin wziął odbitkę, by wbijać w nią szpilki.

Mniejsza z tym. Nie byłam w nastroju, żeby teraz martwić się jednym głupim zdjęciem. Choć obawiałam się, że wojenna metafora może być zbyt prowokująca, to gdy wносиłam Celię do domu, miałam wrażenie, że teraz nasze siły nabrały zdrowych proporcji.

Wtedy jednak nie mogłam wiedzieć, że jako wojenny sojusznik ufna dziewczynka jest gorsza niż nic, tak jak zupełnie bezbronne lewe skrzydło.

*Eva*

18 lutego 2001

*Drogi Franklinie,*

Wiesz, właśnie myślałam, że mogłabym łatwo poradzić sobie ze wszystkim - *Czwartkiem*, procesami, nawet z naszą separacją - jeśli tylko miałabym możliwość zostania z Celią. Mimo to (co może Cię trochę zdziwić) lubię wyobrażać sobie Was dwoje razem. Cieszę się, że w końcu możecie się lepiej poznać. Byłeś dla niej dobrym ojcem - nie chcę Cię krytykować - ale zawsze byłeś przewrażliwiony możliwością zaniechania Kevina. Ciągle zapewniałeś go, że jesteś po jego stronie. Miałeś do niej pewien dystans. A gdy dorastała, stawała się taka śliczna, prawda? W niepewny i nieśmiały sposób, ze swoimi pięknymi, złotymi włosami opadającymi na twarz. Wydaje mi się, że niejako w imieniu Kevina miałeś o to pretensje - inni ludzie się nią zachwycali, podczas gdy w stosunku do naszego syna byli bardzo ostrożni i przesadnie serdeczni lub fałszywi, a czasami nawet wyraźnie zadowoleni, że nie przyprowadzaliśmy go ze sobą, gdy przychodziliśmy z wizytą. Twoim zdaniem to nie było fair. I przypuszczam, że w jakiś ogólny, uniwersalny sposób faktycznie nie było to sprawiedliwe.

Być może moja miłość do Celi była zbyt łatwa. Być może w moim pojęciu było w tym trochę oszustwa po tym, jak całe życie starałam się przezwyciężyć trudności, poradzić sobie z panicznym strachem. Celia była po prostu ukochana. Nie potrafię przypomnieć sobie kogoś, kto nie uważałby jej za uroczą, choć zastanawiałam się, czy nie jest nieco opóźniona w rozwoju. Sąsiedzi praktycznie nie lubili Kevina, nawet jeśli byli zbyt grzeczni, by powiedzieć to wprost. Ale na pewno dobrze go pamiętali. Nasze rodziny również podzielały to nastawienie. Twoja siostra Valerie zawsze była przeciwna zostawianiu Kevina samego w jej drobiazgowo udekorowanym domu i by kontrolować jego zachowanie - zносиła mu kanapki, których wcale nie chciał. Za każdym razem, gdy nasz syn brał w ręce cukierniczkę lub gdy manipulował przy frędzlach narzuty, zawsze doskakiwała do niego i przerywała zabawę. Na długo, zanim zaburzenia Kevina stały się informacją o znaczeniu krajowym, mój brat, gdy pytał o niego, sprawiał wrażenie, jakby zarzucał sieci na wiadomości potwierdzające jego prywatne uprzedzenia. Chłopiec niezbyt dawał się lubić, jeszcze trudniej było go kochać, ale w tym sensie powinien być idealnie dopasowany do osób podobnych jego matce.

Kevina było tak trudno kochać, jak trudno było dobrze zjeść w Moskwie, znaleźć tanie noclegi w Londynie lub umieścić reklamę Laundromatu w Bangkoku. Ale ja wróciłam do Stanów Zjednoczonych, stałam się miękka. Gdy czasami, ze względów praktycznych,

zamawiałam kurczaka curry w sezamie na wynos, zamiast samodzielnie przyrządzać go, stojąc godzinami przy kuchence, wybierałam komfort uległego, już wychowanego dziecka zamiast tego, by przez długi czas męczyć się z kształtowaniem pociechy, która wymaga wiele uwagi i poświęceń. Życie cały czas stawiało przede mną różne wyzwania. Byłam zmęczona, a później nawet można powiedzieć - sflaczała; natomiast w duchowym sensie straciłam swój kształt.

Jednak podążanie po linii najmniejszego oporu jest naturalne tylko w przypadku bieżących emocji. Ku mojemu zdziwieniu, gdy kładłam Celię spać, od razu zasypiała. Powoli wydawało mi się, że rzeczywiście zaczynamy wychowywać „wycieraczkę”. Kevin zwykle wrzeszczał przy okazji każdej, nawet najmniejszej potrzeby, Celia za to w takiej sytuacji najzwyczajniej w świecie kwiliła lub była ożywiona, w dodatku mogła godzinami leżeć w mokrej pieluszce, chyba że postanowiłam przy okazji ją sprawdzić. Nigdy nie płakała, gdy chciała jeść, choć zawsze chętnie ssała moją pierś. Dlatego musiałam pamiętać, by karmić ją według ściśle wyznaczonego harmonogramu. Prawdopodobnie byłam nawet pierwszą matką w historii, która uważała, że jej dziecko zbyt rzadko płacze.

Ponure dzieciństwo Kevina zmieniło się w nieustanną nudę; Celia była pod wrażeniem nawet najmniejszej błyskotki. Niezależnie od tego, czy było to zrobione z kolorowych kawałków papieru, czy drogiej masy perłowej, wzbudzało w niej taką samą, nieopisaną fascynację rzeczami, które miała w zasięgu ręki, a które u Twoich przełożonych z Madison Avenue wywołałyby spore zakłócenia w postrzeganiu świata. Co ciekawe, jak na dziewczynkę, której potrzeby tak łatwo zaspokoić, niezwykle trudno było kupić jej jakiś prezent - była bardzo zakochana w swoich zabawkach. Z czasem wyrobiła w sobie tak wielkie przywiązanie do potarganych pluszowych zwierzaków, że prezenty w postaci nowych, lśniących maskotek wprawiły ją w zakłopotanie - chyba tak jak jej ojciec obawiała się, że powiększenie jej małej rodziny mogło zburzyć poprzednie, bardziej prymitywne związki. Nowsze zabawki mogły towarzyszyć jej w łóżku tylko wtedy, gdy udowodniły swoje zasługi, na przykład tracąc ucho lub dołączając do omylnego, śmiertelnego świata, przechodząc chrzest w postaci plamy z brokułów. Gdy już zaczęła mówić, przekonywała mnie, że uważała na to, by codziennie bawić się z każdym członkiem swojej nietypowej menażerii, tak, aby żaden z nich nie poczuł się zazdrosny lub pominięty. Jej ulubionymi i najzacieklej bronionymi zabawkami były te, które (dzięki Kevinowi) były uszkodzone.

Bardzo możliwe, że dla Ciebie była zbyt dziewczęca, a jej kobieca nieśmiałość i delikatność nawet mnie wydawały się obce. Być może wolałbyś porywczą, nieustraszoną chłopczycę, która napęniałaby Cię dumą, podbijając sale gimnastyczne, siłując się na ręce z

kolegami i mówiąc naszym gościom, że zamierza zostać kosmonautką - skaczącą z miejsca na miejsce awanturnicę, chodzącą po domu w kowbojskich spodniach umazanych olejem silnikowym. Pewnie ja też cieszyłabym się taką dziewczyną, ale nie była to córka, którą właśnie mieliśmy.

W zamian za to Celia uwielbiała ubierać się w koronkowe kostiumy, a na wargi nakładała sobie szminkę, z której ja bardzo rzadko korzystałam. Ale jej dziewczęcość nie ograniczała się jedynie do zafascynowania moją biżuterią czy koślawego chodzenia w moich butach na wysokim obcasie. Wyrażało się to także w większej słabości, uległości i ufności. Miała tak wiele wspaniałych cech, ale nie miała śmiałości. Była pełna obaw, nie tylko przed ciemnością. Bała się także odkurzacza, piwnicy i studzienki ściekowej. Chętnie spełniała wszelkie prośby, dlatego też z nocniczka zaczęła korzystać w wieku niespełna dwóch lat, ale jeszcze w przedszkolu była przerażona, gdy sama miała iść do toalety. Kiedyś zauważyła, jak otwieram i wyrzucam spleśniały jogurt Columbo, a później przez wiele tygodni bała się zbliżać do lodówki i nie dotykała żadnych substancji, nawet budyniu waniliowego i farby, które z wyglądu przypominały jogurt. Jak wiele dzieci, była przewrażliwiona na punkcie mnóstwa rzeczy i choć tolerowała błoto, pomstowała na, jak to nazywała, „suchybrud”, co wymawiała jako jedno słowo: mulistą ziemię, kurz na podłodze, a nawet zwykłą mąkę. Gdy po raz pierwszy uczyłam ją, jak zagniatą ciasto, stała spanikowana na środku kuchni, z ubrudzonymi mąką dłońmi, rozcapierzonymi palcami i szeroko otwartymi oczami. Celia zawsze przeżywała przerażenie w ciszy.

Jeśli chodzi o jedzenie, to chwilę zajęło mi, zanim odkryłam rzeczy, w stosunku do których odczuwała silną awersję. Nie chcąc wyglądać na wybredną, była w stanie zmusić się do zjedzenia wszystkiego, co jej podano, chyba że zauważyłam jej podkurczone ramiona i nikłe oznaki dławienia. Nie lubiła tych potraw, które zawierały w sobie „grudki” (tapioka, pumpernikiel z rodzynekami), „śluz” (róża chińska, pomidory, sosy zagęszczane mąką kukurydzianą), lub „skórę” (brązowy kożuch na kakao, nawet nieobrana brzoskwinia). Ulżyło mi, że mam dziecko, które rozróżnia smaki - dla Kevina mogłabym nawet przygotowywać jedzenie z kolorowego wosku - jednak Celia, trzęsąc się na widok tych artykułów spożywczych, stawała się blada i przestraszona, tak jakby jedzenie mogło zjeść ją. Dla niej całe otoczenie było ożywione, a każde ziarno tapioki miało gęstą i mdłą duszyczkę.

Wiem, że to mogło być frustrujące, zawsze musiałam pamiętać, by zostawiać zapalone światło w korytarzu lub wstawać w środku nocy, by wraz z nią iść do toalety. Więcej niż raz zarzuciłeś mi, że ją rozpieszczęm, że w ten sposób karmię strach, który w niej siedzi. Ale co miałam zrobić, gdy o trzeciej w nocy w korytarzu spotkałam roztrzęsioną czterolatkę,

marznącą w swej koszulce nocnej, przebijającą nóżkami, jeśli nie prosić, by obudziła kogoś z nas, jeśli boi się sama iść do ubikacji? Poza tym bała się tak wielu rzeczy, że możliwe jest, iż w swoim pojęciu była nawet odważna. Nie wiemy przecież, ilu problemom, których się obawiała, sama stawiała czoła.

Przestałam Cię słuchać, gdy pewnego razu powiedziałeś, że się „przylepia”. To brzydkie słowo, nieprawdaż? Uznałeś w ten sposób moją ukochaną córeczkę za jakąś lepka, kleistą substancję, której nie da się zmyć. A jeśli ta kleistość nie jest zwyczajnym określeniem pożądanego najcenniejszej rzeczy na ziemi, to na pewno niesie w sobie niewybaczalną i nieustającą żądzę uwagi, aprobaty i gorliwości oczekiwanej w zamian. Ale Celia nie błagała nas o nic. Nie zrzędziła, byśmy poszli zobaczyć do jej pokoju, co zbudowała, nie ciągnęła nas za rękaw, nie szturchała, gdy próbowaliśmy czytać książkę. Zawsze, gdy ją tuliłam, odwzajemniała moje uściski z dziękczynną dzikością, która skrywała w sobie niegodność. Gdy wróciłam do pracy w AWAP-ie, nigdy nie narzekała, że nie ma mnie w domu, choć jej twarz nieraz szarzała ze smutku, gdy wychodziłam, a promieniała jasnością, gdy wracałam do domu.

Celia nie *kleiła się*. Po prostu była uczuciowa. Czasami w kuchni oplatała ramionami moją nogę, przyciskała policzek do kolana i mówiła z uwielbieniem: „Jesteś moją przyjaciółką!”. Ty jednak byłeś na tyle twardy, że jakkolwiek trudno Ci jej przyjście na świat, to nigdy, w żaden sposób tego nie okazałeś. Twoim zdaniem coś takiego byłoby zbyt rzewne. Faktycznie, zapewnienie, że byliśmy jej *przyjaciółmi*, było dla niej dużo ważniejsze, niż abstrakcyjne oznaki rodzicielskiej miłości. I choć wiedziałam, że Twoim zdaniem Kevin jest mądrzejszy i zdolniejszy niż Celia, to jednak nasz syn przyszedł na ten świat kompletnie niezainteresowany tym, co jest i dlaczego. Natomiast Celia wkroczyła w życie z nieskrywaną ciekawością i pewnością tego, czego chce, i tego, co czyni życie wartościowym: ta maż, której nie da się zmyć. Na pewno to tworzy swego rodzaju inteligencję.

No dobrze, w szkole nie radziła sobie najlepiej. Ale tylko dlatego, że zbyt mocno się starała. Tak bardzo martwiła się tym, by zrobić wszystko dobrze, by nie zawieść rodziców i nauczycieli, że często nawet nie potrafiła skupić się na samym zadaniu. I przynajmniej nie gardziła tym, czego wszyscy ją uczyli.

Starałam się jakoś do niej dotrzeć. Pewnie pamiętasz okres spędzony w stolicy Florydy, Tallahassee. Wierzyła w tajemnice w takim samym stopniu, jak jej imienniczka. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że coś mogło być tak proste. Doszukiwała się magicznych sztuczek i wątpiła w siebie do tego stopnia, że na teście ze stolic stanów natychmiast odpowiedziałyby



„Tallahassee” tylko dlatego, że akurat to wpadło jej do głowy. Kevin nigdy nie miał żadnych problemów z tajemnicami. Cały świat przypisywał jednej i tej samej prostocie, a pytanie nigdy nie polegało na tym, czy potrafi się czegoś nauczyć, a na tym, czy warto to robić. Wiara Celi, tak wyraźna w stosunkach z innymi ludźmi, jakby cierpiała na brak relacji ze sobą, zapewniała ją, że nikt nigdy nie będzie twierdził, iż uczy się rzeczy niepotrzebnych. Cynizm Kevina za to w równym stopniu zapewniał go, że złośliwa i sadystyczna pedagogika karmi go wyłącznie plewami.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Celia nie mogła mnie w żaden sposób zdenerwować lub rozdrażnić. Tak samo jak Kevina bardzo trudno ją było ukarać. Choć muszę przyznać, że powodów do karcenia jej miałam naprawdę niewiele, nie licząc rzeczy, za które została ukarana, a których tak naprawdę nie zrobiła. Zawsze brała sobie do serca nawet najmniejszą uwagę, więc każde poważne upomnienie było niczym zabijanie muchy wielkim młotem. Przy najdrobniejszej nawet sugestii, że w jakiś sposób mogła nas rozczarować, była niepoczyszona i od razu zaczynała przeproszać, nawet jeśli jeszcze nie zdążyliśmy jej powiedzieć, o co dokładnie chodzi. Jedno ostre słowo sprawiało, że wiała się jak w ukropie, a ja muszę przyznać, że odczuwałam ulgę, gdyby po krzyknięciu: „Celia, powiedziałam ci, żebyś nakryła stół!” (rzadko była nieposłuszna, ale za to bardzo często myślami była w innym miejscu) moja córka nie wpadała w niekończącą się lawinę wyrzutów sumienia.

Moja początkowa irytacja była spowodowana innymi rzeczami. Rozsądnie analizując, można dojść do wniosku, że strach jest bardzo przydatnym narzędziem samoobrony. Studzienka ściekowa nie mogła wyskoczyć i jej ugryźć, ale Celia była tak przepełniona obawami, że wystarczyło na niebezpieczeństwa, które mogły ją ugryźć. W naszym domu znajdowała się jedna rzecz, przed którą jej obawa byłaby w pełni usprawiedliwiona, a Celia ją uwielbiała.

W tej kwestii nie przyjmuję żadnych argumentów i zamierzam bezwzględnie wykorzystać moją przewagę polegającą na tym, że musisz oprzeć się na mojej ocenie. Nie chcę udawać, że znam całą historię, ponieważ wydaje mi się, że o niektórych jej szczegółach nie dowiemy się nigdy. Z trudem przypominam sobie moje dzieciństwo na Enderby Avenue, gdzie sojusz pomiędzy mną i bratem był dużo bardziej nietrwały. Giles i ja większość naszego życia spędziliśmy poza polem widzenia matki. Jedno z nas mogło czasem pobiec do niej, by rozwiązała nasz spór (traktowaliśmy to jako oszustwo), ale najczęściej nasze kłótnie, kłótnie i wzajemne przykrości odbywały się, jeśli nie poza jej wzrokiem, to na pewno w tajemnicy. Do tego stopnia byłam zanurzona w świecie innych małych ludzi, że moje wspomnienia sprzed dwunastego roku życia praktycznie nie zawierają dorosłych. Może w

przypadku Twoim i Valerie wyglądało to inaczej, gdyż niezbyt przepadaliscie za sobą. Ale wiele, pewnie zdecydowana większość braci i sióstr dzieli swój mały świat, naszpikowany życzliwością, zdradą, zemstą, pojednaniem i wykorzystaniem siły w taki sposób, że rodzice nie mają o tym pojęcia.

Nie byłam ślepa, a miarą rodzicielskiej niewinności jest całkowity brak zainteresowania. Jeśli wchodziłam do pokoju dziecinnego i znajdowałam córkę leżącą na boku, z kostkami nóg związanymi skarpetami, rękami skrepowanymi kokardą do włosów, ustami zaklejonymi taśmą, a mojego syna nie było w okolicy, mogłam pomyśleć, że nasze dzieci „bawią się w porywaczy”. Mogłam nie wchodzić do tej tajemniczej dziecięcej sekty, ale dobrze znałam moją córkę i byłam pewna, że mimo przeciwnych twierdzeń, nigdy nie trzymałaby głowy swego ulubionego konika nad zapalonym palnikiem kuchenki. A jeśli była alarmująco uległa w kwestii potraw, nie zdawałam sobie sprawy, że nie mogła tego znieść, przecież nie była masochistką. W ten sposób, gdy zauważyłam, że jest przywiązana do swojego krzeselka stojącego przy stoliku całym pokrytym wymiocinami, mogłam dojść do wniosku, że stojąca przed nią miska majonezu, dżemu truskawkowego, pasty curry, kisielu i *grudek* w postaci poklejonego chleba nie była jej osobistym pomysłem.

Przyznałbyś oczywiście - tak jak wtedy - że starsze rodzeństwo tradycyjnie dręczy to młodsze, a nieistotne prześladowania, uskuteczniane przez Kevina, Twoim zdaniem mieściły się w zakresie *idealnej normalności*. Mógłbyś teraz zaprotestować, że wyszukuję tylko te incydenty typowego dziecięcego okrucieństwa, o których dowiedziałam się po fakcie. W tym samym czasie miliony dzieci żyły w rozmaitych rodzinach, biły się na pięści, awanturowały, ale często było to dla nich nauką pewnej hierarchii ważności, której doświadczały później jako dorośli. Wielu z tych jednorazowych tyranów stało się kochającymi, wrażliwymi mężami, pamiętającymi o wszelkich ważnych rocznicach, podczas gdy ich ofiary wyrosły na pewne siebie kobiety, które spełniały się zawodowo i miały jasno sprecyzowane poglądy na temat praw kobiet. Moja obecna pozycja daje mi wystarczająco dużo dodatkowych korzyści, a *naprawdę* wiele zyskałam dzięki tej wiedzy *post factum*, o ile zysk jest tu właściwym słowem.

Gdy w ostatni weekend jechałam do Chatham, zastanawiałam się, czy ja też mogłabym jakoś skorzystać z przykładu chrześcijańskiego wybaczenia, jakim kierowała się nasza nieśmiała, wrażliwa córka. Ale zaskakująca nieumiejętność Celi do chowania urazy mogła sugerować, że zdolność do wybaczenia jest związana z temperamentem, a niekoniecznie jest trikiem znanym doświadczonym ludziom. Poza tym, opierając się na własnym doświadczeniu, nie wiem, czego wymaga „wybaczenie” Kevinowi. Na pewno nie

wchodzi w to zmiatanie *Czwartku* oficjalnie pod dywan lub uznawanie, że nic się nie stało, co nie mogło być w jego moralnym interesie. Nie potrafię wyobrazić sobie tego, że miałabym *przejść nad tym do porządku dziennego*, przeskakując nad tym jak nad małym betonowym murkiem. Jeśli *Czwartek* był jakąś barierą, to na pewno był zrobiony z drutu kolczastego, przez który nie potrafiłabym przeskoczyć. Rozbiłabym się na nim i rozerwała na drobne części, a po drugiej stronie byłabym tylko w tymczasowym znaczeniu. Nie mogę udawać, że tego nie zrobił, nie mogę udawać, że nie chciałam, żeby tak się stało, a jeśli porzuciłabym ten szczęśliwy, równoległy wszechświat, którego kurczowo trzymają się moje towarzyszki z poczekalni zakładu karnego w Claverack, rezygnacja z moich prywatnych domysłów wynikałaby bardziej z ograniczonej wyobraźni, niż z pogodzeniem się z tym, co się stało. Szczerze mówiąc, gdy Carol Reeves w stacji CNN formalnie „wybaczyła” naszemu synowi zamordowanie jej chłopca Jeffreya, który był tak zdolnym gitarzystą klasycznym, że jedną nogą był już w szkole muzycznej Juilliard, nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. Czyżby w swojej głowie zamknęła Kevina w jakimś pudle, wiedząc, że mieszkała tam tylko wściekłość? Nasz syn był dla niej jedynie miejscem, do którego jej umysł po prostu nie chciał wchodzić? W najlepszym przypadku wnioskowałam, że udało jej się uprzedmiotowić go do postaci godnego pożałowania, naturalnego zjawiska, które przeszło przez jej rodzinę niczym huragan lub wyrwa powstała po trzęsieniu ziemi, dochodząc do wniosku, że człowiek nie może w żaden sposób odgrodzić się od jakiegokolwiek klęski żywiołowej. Z drugiej strony człowiek nie może odseparować się od praktycznie żadnych okoliczności, a jednak wielu z nas to nie powstrzymuje.

Celia była inna. Nie potrafię jej sobie wyobrazić, zamykającej w takim pudełku lub degradującej do roli ulewnego deszczu dnia, w którym Kevin, z wrażliwością obiecującego entomologa, zabrał gniazdo larw z białego dębu rosnącego w naszym ogrodzie i włożył do jej plecaka. Później, gdy sięgała na lekcji po książkę, wyjęła ją całą oklejoną gąsienicami - takimi, jakie Kevin przerabiał na zieloną maź na naszym tarasie - kilka z nich weszło na jej dłoń, a później także na sparaliżowane strachem przedramię. Niestety, Celia nie była obdarzona krzykiem, który mógłby przyspieszyć ewentualną pomoc. W zamian za to blokowała się - przyspieszony oddech, rozszerzone nozdrza, źrenice ogromne niczym spodki - a w tym czasie jej nauczycielka wyjaśniała na tablicy wymowę słowa *cukierek*. W końcu dziewczęta siedzące w ławce obok zaczęły wrzeszczeć i tak rozpoczęła się ogólna panika.

Niezależnie od tego, jak wyraziste było wspomnienie tych larw, dwa tygodnie później nie było widać żadnych oznak pamięci. Kevin zaproponował Celi „wyprawę” na swych plecach i razem weszli na biały dąb. Gdy byli na górze, Celia zeszła z jego karku. Bez

wątpienia była zdziwiona, gdy Kevin powiedział, by sama weszła na wyższą gałąź, a gdy wykonała jego prośbę, zszedł na dół. Pewnie nawet wtedy, gdy piszczała „Kevin, Kevin, nie mogę zejść!”, na pewno mocno wierzyła, że po zostawieniu jej na wysokości kilku metrów i spokojnym wejściu do domu po kanapkę, Kevin jednak wróci i pomoże jej zejść na dół. Czy to jest wybaczenie? Tak jak Charlie Brown wykonujący kolejne pchnięcie na piłce Lucy, niezależnie od tego, jak wiele pluszowych zwierzątek zniszczył i jak wiele ulubionych zabawek popsuł, Celia nigdy nie straciła wiary w to, że w głębi duszy jej starszy brat był dobrym chłopcem.

Możesz nazwać to niewinnością, a równie dobrze łatwowiernością, ale Celia popełniała najczęstszy błąd ludzi o dobrym sercu: zakładała, że każdy inny człowiek był taki, jak ona. Dowodu na przeciwną tezę nie można umieścić w żadnym miejscu, tak jak książki na temat teorii chaosu w bibliotece, w której nie ma działu fizycznego. Nigdy nie wymyślała żadnych historii, a bez wyraźnego potwierdzenia często niemożliwe było przypisanie jej nieszczęść Kevinowi. W konsekwencji, od momentu narodzin swej siostry Kevin Khatchadourian, przynajmniej symbolicznie, uniknął morderstwa.

Przyznaję, że w pierwszych latach życia Celi Kevin odsunął się ode mnie, wykonując dwa wielkie kroki w tył, niczym w zabawie *Szymon mówi*. Małe dzieci chłoną wszystko, a on właśnie przyswoił sobie wojowniczą niezależność. Ty wtedy byłeś tak dobry i często zabierałeś go na mecze lub do muzeów w Twoim wolnym czasie, dzięki czemu ja mogłam nieco od niego odetchnąć. Przez to stałam się Twoją dłużniczką, dlatego poczułam się wyjątkowo niezręcznie, obserwując, że te dwa kroki wstecz jeszcze bardziej rzucały się w oczy.

Franklinie, nasz syn rozwijał w sobie osobowość porównywalną z czarno-białym ciasteczkiem. To wszystko zaczęło się w przedszkolu, o ile nie wcześniej, i wciąż narastało. Co irytujące, wszyscy jesteśmy ograniczeni do poznawania tego, jacy są ludzie, stale mieszając w to własną obecność, dlatego szansa na ujrzenie ukochanej osoby wędrującej chodnikiem może być taka cenna. Powinieneś zatem wierzyć mi na słowo - choć wiem, że nie będziesz - że gdy nie było Cię w domu, Kevin był zgorzkniały, skryty i sarkastyczny. Nie tylko momentami, podczas jakiegoś złego dnia. Dla niego każdy dzień był zły. Jego lakoniczna, wyniosła i niedostępna osobowość była prawdziwa. Może to nie była jedyna rzecz, która była w nim prawdziwa, ale te inne nie pojawiły się w całej okazałości.

W przeciwieństwie do - Franklinie, czuję się z tym podle, tak jakbym chciała zabrać ci coś, z czego bardzo się cieszysz - zachowania Kevina podczas Twojej nieobecności, gdy

wchodziłeś do domu, jego twarz momentalnie się zmieniała. Unosił brwi, żwawo ruszał głową, na jego zaciśniętych ustach pojawiał się uśmiech, a wargi unosiły się, ukazując górne ząbki. Łącznie te przybrane cechy tworzyły nieustanne wrażenie spontanicznej radości, którą można zobaczyć na twarzach starzejących się gwiazd po zbyt wielu operacjach plastycznych. *Cześć tato!* krzyczał na Twój widok. *Jak było w pracy, tato? Robiłeś zdjęcia jakichś fajnych miejsc? A może jakiejś krowy? Jakies miejsca wypełnione wielkimi budynkami albo domami bogatych ludzi?* Ty wtedy z wielkim entuzjazmem opisywałeś miejsca przy drodze, które właśnie sfotografowałeś, a on zachwycał się: *Kurczę, to wspaniale! Kolejna reklama samochodowa! Powiem wszystkim w szkole, że mój tata robił zdjęcia dla Oldsmobile'a!* Pewnego wieczoru przyniosłeś do domu nowy numer „Atlantic Monthly”, przewracając szybko strony na reklamę Colgate, na której była widoczna nasza własna łazienka wyłożona różowym marmurem.

- Jejku, tato! - krzyknął Kevin - Jeśli nasza łazienka jest w reklamie pasty do zębów, to znaczy, że jesteśmy sławni?

- Tylko trochę sławni - przyznałeś i przysięgam, że w myślach dopowiedziałam: Żeby być naprawdę sławnym w tym kraju, trzeba kogoś zabić.

Muszę przyznać, że byłeś nieprawdopodobnie łatwowierny; Kevin oszukiwał Cię i mydlił Ci oczy przez wiele lat. Wciąż mam, dzięki Tobie zresztą, mnóstwo jego zadań domowych. Jako miłośnik historii Stanów Zjednoczonych byłeś rodzinnym kronikarzem, fotografem i twórcą albumów, tymczasem dla mnie cenniejszą pamiątką było nabyte doświadczenie. Tak więc nie jestem do końca pewna, co skłoniło mnie, by spośród niepotrzebnych rzeczy, które wyrzucałam przy okazji przeprowadzki, zachować właśnie plik esejów pisanych przez Kevina.

Czy zostawiłam te teksty tylko z powodu pisma podobnego do Twojego, ciasnej kursywy pierwszoklasisty? Nie wydaje mi się. Przebrnęłam przez dwa procesy sądowe, o ile to, co je poprzedzało, nie zostanie uznane za trzeci, i nauczyłam się myśleć w kategoriach dowodów rzeczowych. Dlatego tak bardzo przyzwyczyłam się do przekazywania sterów mojego życia innym ludziom - dziennikarzom, sędziom, twórcom stron internetowych, rodzicom zamordowanych dzieci i w końcu także Kevinowi - że nawet teraz niechętnie zagląbam się w eseje mojego syna, żeby nie wywołać zaskarżalnej ingerencji.

Mniejsza z tym, jest niedzielne popołudnie i zmuszam się do przeczytania kilku z nich. Zdajesz sobie sprawę z tego, że mogłabym je sprzedać? I to nie za jakieś małe pieniądze. Okazuje się, że jest to tak chodliwy towar, iż na aukcjach eBaya osiągnąłby cenę liczoną w tysiącach dolarów, tak jak krajobrazy malowane przez Adolfa Hitlera. Ich

niewinny, fizyczny przejaw jest rozbrajający: grube, pozbawione jakiegokolwiek charakteru pismo, delikatny, pożółkły papier. Cóż za nuda, pomyślałam na początku; nie dowiem się niczego poza tym, że odrabiał lekcje jak bardzo pilny uczeń. Ale gdy czytałam, czułam się coraz bardziej osaczona, pogrążona w nerwowej fascynacji, która prowadzi do rozgrzebywania i wyciskania powstającej cysty lub wyrywania świeżo wyrosniętego włosa.

Doszłam do wniosku, że Kevin wykazywał skłonność do zasypywania swych nauczycieli upiornym brakiem uczuć, a nie całkowicie udawanym, powierzchownym optymizmem, którym witał Cię, gdy wracałeś z pracy. Pisemne prace Kevina zawsze, co do litery, wypełniały polecenie nauczyciela. Nie dodawał nic od siebie, a jeśli pojawiały się jakieś uwagi, to dotyczyły tylko tego, że prace były zbyt krótkie. Nie było w nich nic złego. Są rzeczowe. Pisownia wyrazów jest właściwa. Sporadycznie nauczyciele czynili ogólne uwagi sugerujące, że może „spróbowałby podejść do materiału bardziej osobiście”. Nie potrafili wskazać, czego tak naprawdę brakowało w jego esejach:

Abraham Lincoln był prezydentem. Abraham Lincoln miał brodę. Abraham Lincoln uwolnił afroamerykańskich niewolników. W szkole uczyliśmy się o sławnych afroamerykańskich Amerykanach przez cały miesiąc. Jest wielu sławnych afroamerykańskich Amerykanów. W zeszłym roku znów uczyliśmy się o tych samych afroamerykańskich Amerykanach podczas Miesiąca Historii Afroamerykańskiej. W przyszłym roku będziemy uczyć się o tych samych afroamerykańskich Amerykanach podczas Miesiąca Historii Afroamerykańskiej. Abraham Lincoln został zastrzelony.

Jeśli pozwolisz, to choć raz stanę po stronie Kevina. Ty i jego nauczyciele przez całą szkołę podstawową uważaliście, że potrzebuje pomocy w zakresie swych zdolności organizacyjnych, ale ja uznałam, że były one najwyższej jakości. Od pierwszej klasy te zadania pokazywały intuicyjne docenienie przypadkowości, odrętwiającej mocy powtarzania i absurdalnych możliwości omijania związku przyczynowo-skutkowego. Co więcej, jego automatyczne deklaracje nie dopuszczały błędów u mistrza dokładności prozy; one *były* jego stylem, udoskonalonym z całą skrupulatnością H.L. Menckena. Przekazywane nam na wywiadówkach informacje o tym, że „Kevin nie wkłada w naukę całego serca”, były dla nas trudne. Ale wbrew temu, Kevin *naprawdę* wkładał w naukę całe serce, całe serce i całą duszę. Zobacz to wypracowanie napisane w czwartej klasie na temat „Poznaj moją matkę”:

Moja matka gdzieś wychodzi. Moja matka śpi w innym łóżku. Moja matka je inne jedzenie. Moja matka przychodzi do domu. Moja matka śpi w domu. Moja matka

je w domu.

Moja matka mówi innym ludziom, żeby gdzieś poszli. Inni ludzie śpią w innym łóżku. Inni ludzie jedzą inne jedzenie. Inni ludzie wracają do domu. Inni ludzie śpią w domu. Inni ludzie jedzą w domu. Moja matka jest bogata.

Wiem, co sobie teraz myślisz, a może wiem, co wtedy myślałeś. Twoim zdaniem to z mojego powodu Kevin przybierał gburowatą i zamkniętą w sobie pozę, podczas gdy w Twojej obecności był zrelaksowany i mógł pokazać swoje prawdziwe, rześkie i energiczne oblicze. Myślałeś, że wszechobecna sztuczność jego pisemnych prac ujawniała powszechną różnicę pomiędzy jego myślami a umiejętnością ich wyrażania. Chcę w tym momencie przyznać, że jego ukryte zniżanie się do mojego poziomu było tylko sztuczką, nawet jeśli jego nadzwyczajna cierpliwość, którą pokazał przy okazji konfiskaty pistoletu na wodę, wydawała się prawdziwa. Ale nikt nie był bardziej fałszywy od Kevina. Przyrównując go do gry w „trzy kubki”: Kevin był taką odmianą, w której zawsze wszystkie pojemniczki były puste.

Popatrzyłam właśnie na to, co napisałam dotychczas, i zdałam sobie sprawę, że tworzę okropne sprawozdanie z co najmniej siedmiu ostatnich lat naszego wspólnego życia. Co więcej, znacząca jego część dotyczy Celi. Wstyd mi za to, naprawdę, ale jeśli pamiętam sposób, w jaki obchodziliśmy jej każde kolejne urodziny, to moje wspomnienia związane z Kevinem w wieku od ośmiu do czternastu lat zdają się zanikać.

Och, kilka fragmentów wciąż pamiętam, szczególnie moją fatalną próbę podzielenia się entuzjazmem z zawodowego życia. Zaprosiłam Ciebie i trzynastoletniego Kevina (uznałeś, że Celia jest zbyt mała i została z moją matką) do Wietnamu. Celowo wybrałam ten kraj, gdyż jest to miejsce, które dla każdego Amerykanina, co najmniej dla czterech pokoleń, nieuchronnie coś znaczy. Dzięki temu państwo to nie zostało zepchnięte na margines uczuć „gdzieś indziej” lub „kogo to obchodzi”, którymi ludzie obdarzają kraje, do których przyjeżdżają po raz pierwszy, a do których Kevin ciągnął w naturalny sposób. W dodatku Wietnam dopiero niedawno otworzył się na turystykę, dlatego sama też nie mogłam odmówić sobie tej przyjemności. Uważałam jednak, że ten rodzaj związku pomiędzy rzeczami, obarczony winą bliskości z polami ryżowymi i pomarszczonymi kobietami w słomianych kapeluszach, dotyczy przede wszystkim Ciebie i mnie. Jako dwudziestolatka maszerowałam na Waszyngton, podczas gdy Ty błagałeś komisję poborową, by nie odrzucała Cię z powodu płaskostopia; spotkaliśmy się trzy lata po upadku Sajgonu, jednak wciąż nieraz kłóciliśmy się z powodu tej wojny. Kevin nie był z tym w żaden sposób związany, więc może, mimo mych

starań, faktycznie wzięłam go „gdzieś indziej” i do „kogo to obchodzi”. Mimo to nigdy nie zapomnę tego ogromnego upokorzenia, gdy nasz syn - a któżby inny, zawsze szybko się uczył - przespacerował się pomiędzy skuterami na ulicy Hanoi i wykrzykiwał, by „żółtki” zeszyły mu z drogi.

Jedno ze wspomnień wyraźnie rysuje się na tle pozostałych, bardzo mglistych. I nie jest to, mój drogi Franklinie, kolejny solidny przykład tego, że nasz syn od urodzenia pozbawiony był serca.

Nawiązuję tu do tych dwóch tygodni, kiedy był chory. Miał wtedy dziesięć lat. Przez chwilę doktor Goldblatt nawet martwił się, czy to nie jest przypadkiem zapalenie opon mózgowych, ale na szczęście punkcja wykazała, że to nie było to. Mimo słabego apetytu, Kevin generalnie był zdrowym chłopcem, a to był jedyny przypadek, gdy nasz syn był tak długo chory.

Gdy pojawiły się pierwsze symptomy, zauważyłam, że ton, z jakim wtrącał się w przyrządzanie posiłków, nie był już tak szyderczy; patrzył w swój talerz i zapadał się, tak jakby poniósł porażkę. W rzeczywistości, odkąd przyzwyczał się - tak jak jego matka - do walki z własnymi impulsami tak samo, jak z siłami zewnętrznymi, nie starał się, by zniszczyć moją *sarmę* z baraniny, tylko od razu się poddał. Nie czyhał na mnie w cieniu ani nie maszerował po korytarzach niczym żołnierz, ale zaczął się zataczać, objając się o meble. Surowy wyraz jego twarzy złagodniał, a szelmowski uśmieszek błakający się w kącikach ust - zniknął. W końcu znalazłam go leżącego na ormiańskim dywanie w mojej pracowni. Byłam zdziwiona, że nie stawiał żadnego oporu, gdy zanosłam go do łóżka. Franklinie, nawet *zarzucił mi ręce na szyję*.

W sypialni pozwolił mi się rozebrać, a gdy zapytałam, którą pidżamę chce włożyć, wyjątkowo nie przewracał oczami, mówiąc, że *wszystko jedno*. Pomyślał przez chwilę i cichym głosem odpowiedział: „Tę kosmiczną. Lubię małą w rakiecie”. To był pierwszy raz, gdy usłyszałam, że lubi jakąś rzecz, która należy do niego. Gdy okazało się, że ta pidżama jest akurat w pralni, byłam bardzo strapiona i pospieszyłam ich, by na następny dzień była gotowa. Spodziewałam się, iż Kevin powie, że już go to nie obchodzi, ale w zamian usłyszałam - także po raz pierwszy - „Dziękuję”. Gdy położyłam go do łóżka, słodko przytulił się do kołdry i gdy włożyłam mu termometr do ust - głowę miał rozpaloną - ssał szkło rytmicznymi skurczami, tak jakby w końcu w wieku dziesięciu lat nauczył się ssać pierś. Jak na dziecko miał dość wysoką temperaturę - a gdy przyłożyłam do jego czoła mokrą chusteczkę, westchnął cicho.

Nie jestem w stanie powiedzieć, czy w trakcie choroby jest się bardziej sobą, czy



mniej. Ale te dwa tygodnie były dla mnie wyjątkowym objawieniem. Gdy siedziałam na brzegu jego łóżka, Kevin opierał nogi na moim udzie; gdy przekonałam się, że nie szykuje nic specjalnego, położyłam jego głowę na moich kolanach, a on wtulił się w mój sweter. Kilka razy zwymiotował, zanim zdążył dobiec do ubikacji, a gdy posprzątałam i mówiłam, by się nie martwił, nie przejawiał żadnych oznak samozadowolenia, charakterystycznego dla okresu, w którym jeszcze nosił pieluchy. Powtarzał, że bardzo mu przykro i mimo moich słów uspokojenia, wyglądał na zawstydzonego. Wiem, że w trakcie choroby zmieniamy się w jedną bądź drugą stronę, ale Kevin nie był po prostu zmęczony lub drażliwy. On był zupełnie inną osobą. I tak oto przekonałam się, jak wiele energii i zaangażowania trzeba mu zabrać, by wywołać tego drugiego chłopca (lub chłopców). Nawet jeśli przyznałeś, że Kevin jest nieco „wrogo nastawiony” do swej siostry, to gdy nasza dwulatka weszła do jego pokoju, pozwalał jej nawet lekko klepać się po głowie. Gdy zaoferowała, że narysuje dla niego kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia, nie uznał tego za coś głupiego, nie wykorzystywał tego, że jest chory i nie mówił jej żadnych niemiłych rzeczy, nie nalegał, by go zostawiła w spokoju. Ku mojemu zdziwieniu powiedział cicho: „To bardzo ładny obrazek, Celio. Może narysujesz dla mnie jeszcze jeden?”. Myślałam, że jego dominujący, emocjonalny ton, obecny od urodzenia, był niezmienny. Możesz to nazwać złością lub urazą, ale dla mnie była to tylko kwestia poziomu. Jednak poniżej poziomu złości ze zdziwieniem dostrzegłam leżący tam dywan rozpaczy. Nie był szalony. Był smutny.

Inna rzecz, która mnie zaskoczyła, to jego nietypowa awersja do Twojego towarzystwa. Być może nie pamiętasz, ale gdy odrzucił Cię raz czy dwa - wykręcając się tym, że musi już iść spać lub odkładając na podłogę prezent w postaci rzadkiej kolekcji komiksów - byłeś tak zraniony, że się wycofywałeś. Może nie czuł się na siłach, by wziąć udział w cotygodniowych zmaganiach we frisbee, które organizowaliście sobie w ogródku, ale na przykład niektóre rzeczy zwykle traktował jako program obowiązkowy, który wykonywał wraz z ojcem. Uspokajałam Cię, mówiąc, że dzieci zawsze w trakcie choroby wolą matkę, ale Ty wciąż czuleś się trochę zazdrosny. Kevin łamał dotychczasowe reguły, burzył harmonię i równowagę. Celia była moja, a Kevin Twój. Ty i Kevin byliście *blisko* siebie, *zawierzał się Tobie, polegał na Tobie* w trudnych momentach. Ale myślę, że miał swoje powody, w związku z którymi Cię odrzucał: Twoje natręctwo, osaczanie, żądza, przymilanie się i przyjacielskie tatusiowanie. Tego było zbyt wiele. Nie miał na tyle energii - nie, żeby dać Ci tyle bliskości, ile oczekiwałeś, ale by to wytrzymać. Kevin tworzył się dla Ciebie, a w tym bardzo wystawnym pozorowaniu i fabrykowaniu siebie, gdzieś głęboko tkwiła bolesna chęć sprawiania radości. Ale czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, że Twoje bezkrytyczne

przyjmowanie maski jako czegoś prawdziwego musiało go rozczarowywać?

Drugą gałęzią rodzinnego przemysłu, której nie mógł już dłużej wytrzymać, była apatia - mimo że uważałeś, iż jest ona czymś naturalnym w przypadku gorączki. W zamian za to, małe wysepki nieśmiałego pożądanego zaczęły pojawiać się jak guzy na spalonej słońcem ziemi po zimnym, cofającym się morzu. Pewnego razu, gdy chciał coś zjeść, zapytałam, na co ma ochotę. Przyznał mi, że bardzo lubił moją zupę z małży. Był na tyle precyzyjny, że powiedział również o tym, iż bardziej smakuje mu ta na bazie mleka niż na pomidorach. Zażył sobie nawet opieczonej kromki *katah*, podczas gdy wcześniej gardził wszystkim, co w jakiś sposób związane było z Armenią. Wyznał też, że zaprzyjaźnił się z jednym z pluszowych zwierzaków Celi (z gorylem), którego nasza córka uroczyście delegowała na poduszkę Kevina, tak jakby przypadł mu w udziale szczególny honor - co zresztą było zgodne z prawdą. Gdy zapytałam go, co mogę mu przeczytać podczas długich popołudni i wieczorów - oczywiście w pracy wzięłam sobie urlop - był trochę zagubiony, ale chyba tylko dlatego, że gdy wcześniej któreś z nas zaczynało czytać mu książki, on natychmiast przestawał słuchać. Instynktownie - wydawało mi się to dobrą książką dla chłopca - sięgnęłam po *Robin Hooda i jego sherwoodzką drużynę*.

Uwielbiał to. Prosił mnie, bym ciągle czytała mu *Robin Hooda*, tak długo, aż pewnie nauczył się całych fragmentów na pamięć. Do dziś nie wiem, czy właśnie ta książka tak go wciągnęła dlatego, że czytałam ją wręcz w idealny sposób - miał wystarczająco dużo siły, by się skupić, ale był jeszcze zbyt słaby na to, by stworzyć silne pole obojętności - lub może było w niej coś, co w takim stopniu przyciągnęło jego uwagę. Jak wiele dzieci, którym narzucono bezmyślną pogoń za cywilizacją, która oddaliła się już na znaczną odległość, mógł znaleźć komfort i spokój w świecie, którego mechanizm potrafił zrozumieć. Wozy konne, łuki, strzały są dla dziesięciolatka bardzo łatwe do zgłębienia. Być może podobała mu się idea zabierania bogatym i dawania biednym, ponieważ miał wrodzony dar doceniania antybohaterów, lub - tak jak zażartowałaś pewnego razu - może po prostu był obiecującym demokratą, który nakłada podatki i rozdziela pieniądze.

I jeśli nigdy nie zapomnę tych dwóch tygodni, to tak samo trwała jest chwila, w której był na tyle silny, by wstać z łóżka, informując mnie, że sam się ubierze, prosząc przy okazji o to, bym opuściła jego pokój. Spełniłam prośbę, starając przy tym ukryć moje ogromne rozczarowanie, a gdy później wróciłam i zapytałam, co chciałby na lunch, złośliwie wykrzywił głowę i powiedział: „Obojętnie” - co dla jego pokolenia było kluczowym słowem.

- Grillowana kanapka z serem?

- Wali mnie to - odpowiedział zdaniem, które, niezależnie od tego, co fachowcy

mówią o szybkim dorastaniu młodzieży, wprawiło mnie w osłupienie, tym bardziej, że wypowiadał je dziesięcioletek. Wycofałam się, ale wcześniej zdążyłam zauważyć, że kącik jego ust ponownie był wykrzywiony. Powiedziałam sobie, że powinnam się cieszyć z tego, że czuł się lepiej. *Lepiej?* Cóż, na pewno nie dla mnie.

Jego gorączka nigdy nie była tak wysoka, by na popiół wysuszyć ziarna małej, rodzącej się *ciekawości*. W następnym tygodniu przyłapałam go na czytaniu *Robin Hooda*. Później pomogłam wam obu zakupić zestaw łuczniczy, po czym w ogródku skonstruowaliście małą strzelnicę, modląc się, by kwiat zachwyty kwitnący w naszym pierwotnym wytrzymał przez cały czas trwania tego przedsięwzięcia. Poświęciłam się temu w całości.

*Eva*

24 lutego 2001

*Drogi Franklinie,*

Gdy dzisiaj zobaczyłam Kevina, jego lewy policzek był obity, a dolna warga spuchnięta; na pięściach miał strupy. Zapytałam, czy wszystko jest w porządku, a on odpowiedział, że skaleczył się przy goleniu. Może w więzieniu najmniejsze uwagi prowadzą do takich zachowań. Odmawianie mi dostępu do swoich prywatnych spraw sprawiało mu wyraźną przyjemność, w dodatku - kim ja byłam, żeby przeszkadzać mu w nielicznych przyjemnościach? Postanowiłam więc nie kontynuować tego tematu. Poza tym mogłam złożyć skargę do władz więzienia, że nie potrafią zapewnić mojemu synowi dostatecznego bezpieczeństwa, ale rozważywszy, co Kevin mógł w zamian zrobić swojemu rówieśnikowi, uznałam, że protest przeciwko kilku siniakom będzie co najmniej niewłaściwy.

Dałam sobie spokój z dalszymi mowami wstępnymi. Uspokajanie Kevina podczas moich wizyt stawało się dla mnie coraz bardziej obojętne, tym bardziej, że wszelkie jego próby koncentrowały się jedynie na zbiciu mnie z tropu.

- Czuję się, jakby na mnie polowano - powiedziałam bez ogródek. - Prawie rozumiem ten niewybredny szal, który daje upust twoim frustracjom na każdej napotkanej osobie. Tak jak ten cichy, skromny człowiek z Hawajów, który trzepnął...

- Bryan Uyesugi - podpowiedział Kevin. - On polował.

- Siedmiu współpracowników?

Kevin klasnął w dłonie z pozorowanym aplauzem.

- To był Xerox, a on był mechanikiem kserokopiarek. Dziewięćmilimetrowy Glock.

- Cieszę się - powiedziałam - że twoje doświadczenie stawia cię w roli eksperta.

- Mieszkał na ulicy Łatwej - odnotował Kevin. - To była ślepa uliczka.

- Zmierzam do tego, że Uyooghi...

- Uyeee-suuuu-giiiiii - poprawił mnie Kevin.

- Nie miało żadnego znaczenia, kim byli współpracownicy...

- Facet był członkiem Hawajskiego Związku Miłośników Karpia. Może myślał, że to dawało mu prawo do narzekania.

Kevin dawał przedstawienie, a ja poczekałam jeszcze chwilę, by się upewnić, że ten minirecital się zakończył.

- Ale twoje spotkanie w sali gimnastycznej - zauważyłam - było Tylko Dla Wtajemniczonych.

- Wszyscy moi *koledzy* są wybredni. Weźmy na przykład Michaela McDermotta, grudzień zeszłego roku, Wakefield w stanie Massachusetts, w firmie Edgewater Tech-AK, dwunastomilimetrowa strzelba. Określone cele. Księgowi. Każdy, który miał coś wspólnego z obcięciem jego pensji o dwa tysiące dolarów...

- Nie chcę rozmawiać o Michaelu McDermocie...

- Był gruby.

- Ani o Eriku Harrisie czy Dylanie Kleboldzie...

- Kretyni. Psują reputację masowych morderców.

Mówiłam Ci, Franklinie, że ma obsesję na punkcie tych dzieciaków z Columbine, które raptem dwanaście dni później pobiły jego wynik o sześć ofiar. Jestem pewna, że wspomniałam o nich tylko po to, by go wkurzyć.

- Przynajmniej Harris i Klebold byli na tyle uprzejmi dla podatników, że oszczędzili ich pieniądze i przy okazji zastrzelili również siebie - zaobserwowałam chłodno.

- Gamonie, które chciały w ten sposób podnieść liczbę swoich ofiar.

- Dlaczego ty nie chciałaś?

Nie poczuł się urażony.

- A po co wszystkim ułatwiać życie?

- Wszystkim takim jak ja.

- Tobie też - powiedział łagodnie. - Na pewno.

- Ale dlaczego Dana Rocco, a nie inny nauczyciel, dlaczego te konkretne dzieciaki? Dlaczego byli dla ciebie tacy wyjątkowi?

- Heh - powiedział Kevin. - Nie lubiłem ich.

- Ty nikogo nie lubisz - wytknęłam mu. - Co, wygrali z tobą w kickball? A może po prostu nie lubisz czwartków?

W kontekście nowej specjalności Kevina moje obowiązkowe nawiązanie do Brendy Spencer kwalifikowało się jako klasyczna aluzja. Brenda zabiła dwoje dorosłych i zraniła dziewięcioro uczniów w swojej szkole średniej w San Carlos w Kalifornii tylko dlatego, że, tak jak później potwierdziła to piosenka zespołu Boomtown Rats *I Don't Like Mondays* - nie lubiła poniedziałków. Fakt, że to nowatorskie okrucieństwo zdarzyło się w roku 1979, czyni z tej szesnastolatki dziewczynę znacznie wyprzedzającą swoje czasy. Dzięki swojej aprobacie dla jego infantylnego panteonu zasłużyłam na coś, co u innych dzieci można by nazwać uśmiechem.

- To musiało być nie lada zadanie - powiedziałam. - To układanie listy.

- Potężne - zgodził się uprzejmie. - Na początku było około pięćdziesięciu,

sześćdziesięciu kandydatów. Ambitne - rzekł i potrząsnął głową - ale niepraktyczne.

- No dobrze, mamy jeszcze czterdzieści pięć minut - powiedziałam. - Dlaczego Denny Corbitt?

- ...Marny aktorzyzna - powiedział, jakby sprawdzał listę zakupów przy kasie.

- Pamiętasz nazwisko mechanika kserokopiarek z Hawajów, ale nie jesteś pewny nazwisk osób, które zamordowałaś.

- Uyesugi faktycznie coś zrobił. Corbitt, o ile dobrze pamiętam, po prostu siedział z oczami wpatrzonymi w ścianę, tak jakby czekał na swojego reżysera, aż ten zabarykaduje scenę.

- Chodzi mi o to, że Denny był marnym aktorem. Co z tego?

- Widziałaś, jak ten oryginał grał Stanleya w *Tramwaju*? Nawet pod wodą mówiłbym lepiej z południowym akcentem.

- Co ty odgrywasz? Gburowatość, zarozumiałość? Skąd to wzięłaś? Od Brada Pitta? Wiesz, ty też nabrałaś trochę południowego akcentu. I też nie jest najlepszy.

Jego kumple z więzienia są w większości czarni, a jego sposób mówienia zaczął być mocno zwichrowany. Zawsze mówił ze szczególną powolnością, z taką trafnością i precyzją, jakby musiał wyciągać słowa z ust za pomocą łopaty. Dlatego ekonomiczny sposób wyrażania się i obcinanie końcówek, charakterystyczne dla ludzi z miejskiego getta, stały się dla niego naturalnie zaraźliwe. Byłam z siebie zadowolona. Chyba udało mi się go zdenerwować.

- Nie odgrywam żadnej roli. Ja jestem rolą - powiedział nerwowo. - Brad Pitt powinien grać mnie!

A więc słyszał o nim; ten film już trafił do dystrybucji w Miramaksie.

- Nie bądź śmieszny - odparłam. - Brad Pitt jest za stary, żeby grać jakąś miernotę chodzącą do drugiej klasy szkoły średniej. A nawet, gdyby był w odpowiednim wieku, to żadna widownia nie kupi tego, że facet, który wygląda tak porządnie, mógłby zrobić coś tak kretyńskiego. Czytałam, że mają problemy ze skompletowaniem obsady. Nikt w Hollywood nie chce tknąć twej brudnej, plugawej roli nawet długim wiosłem.

- Byle tylko nie był to DiCaprio - mruknął Kevin. - To głupek.

- Do rzeczy - oparłam się. - Jaki problem stwarzał ci Ziggy Randolph? Na pewno nie możesz oskarżyć go o obrazę twoich uczuć artystycznych, co zrobiłaś w przypadku Denny'ego. On akurat miał szansę na profesjonalną karierę w balecie.

- Profesjonalną karierę to mogła zrobić jedynie jego dupa - odparł.

- Został bardzo dobrze przyjęty, gdy wygłosił swoją mowę, w której przyznał się, że

jest gejem i jest z tego dumny. Ty nie dałbyś rady, prawda? Cała uczniowska społeczność zachwycała się jego *odwagą*.

- A tobie jak się to może podobać? - zdziwił się Kevin. - Owacja na stojąco za branie do dupy.

- Ale naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego na twojej liście znalazła się Greer Ulanov - powiedziałam. - Dziewczynka o kędzierzawych włosach, niska, z wystającymi zębami.

- Końskimi zębami - poprawił mnie. - Wyglądała jak koń.

- Generalnie skupiłeś się na tych, którzy niewiele robili.

- Wszystko, żeby tylko się zamknęła i przestała w końcu trąbić o tej swojej „ogromnej konspiracji prawicy”.

- Aha, to była ona - wywnioskowałam. - Petycja. - Nie wiem, czy pamiętasz, ale pełna wzburzenia petycja do nowojorskich kongresmenów krążyła po szkole w Gladstone w okresie, gdy próbowano odwołać Clintona.

- Musisz przyznać, *Mamuska*, że podkochiwanie się w prezydencie nie popłaca.

- *Ja* myślę - zaryzykowałam - że nie lubisz ludzi, którzy zakochują się w jakikolwiek sposób w jakiejś rzeczy.

- Jeszcze jakieś teorie? Bo *ja* myślę - odparł - że ty musisz dostać życie.

- Miałam jedno. Zabrałeś mi je.

Popatrzyliśmy na siebie.

- Teraz ty jesteś moim życiem - dodałam. - Tylko tyle mi pozostało.

- To jest - powiedział - patetyczne.

- Ale czy to nie był twój plan? Tylko ty i ja, w końcu mający okazję się dobrze poznać.

- *Kolejne teorie!* Czyż nie jestem fascynujący?

- Soweto Washington - miałam długą listę do przebrnięcia, a musiałam trzymać się programu. - Czytałam, że będzie mógł znowu chodzić. Jesteś rozczarowany?

- A czemu miałbym się tym przejmować?

- A dlaczego się kiedykolwiek przejmowałeś? Na tyle, by starać się go zabić?

- Nie starałem się go zabić - lojalnie zapewnił mnie Kevin.

- O tak, rozumiem. Zostawiłeś go z dziurami w obu udach i to dokładnie był twój cel.

Nie ma możliwości, by Pan Idealny Psychopata mógł chybić.

Kevin podniósł ręce.

- Hej, hej! Popełniałem błędy! Pozwolenie temu małemu maniakowi filmowemu na wyjście bez szwanku było ostatnią rzeczą, jaką miałem na myśli.

- Joshua Lukronsky - przypomniałam sobie. - Słyszałeś, że twój przyjaciel Joshua został zatrudniony na planie filmu wytwórni Miramax jako konsultant do spraw scenariusza? Chcą być w zgodzie z historią. Dla „maniaka filmowego” to spełnienie marzeń.

Oczy Kevina rozbiegły się. Nie lubił, gdy niezwiązane z nim osoby zarabiały na jego dokonaniach. W porównywalnym stopniu był urażony, gdy Leonard Pugh założył stronę internetową *KK's\_best\_friend.com*, na którą było tysiące wejść po to, by poznać najciemniejsze sekrety naszego syna za cenę dwóch kliknięć myszką. *Gównu, a nie najlepszy przyjaciel* - skomentował Kevin, gdy strona zaczęła działać. - *Lenny był bliżej swojego chomika niż mnie.*

- Jeśli to poprawi ci humor - dodałam cierpko - to koszykarska kariera Soweto już nie jest taka wspaniała.

- Cóż, tak, w gruncie rzeczy dzięki temu czuję się lepiej. Ostatnia rzecz, jakiej świat potrzebuje, to kolejny czarnuch, który chce robić karierę w NBA. Pomówmy o starych sprawach.

- Pomówmy o starych sprawach! A co to? Kolejne szaleństwo szkoły średniej?

Kevin odparł, czyszcząc swoje paznokcie.

- Wolę myśleć o tym jak o *tradycji*.

- Media podtrzymują stanowisko, że wybrałeś Soweto tylko dlatego, że był czarny.

- To ma sens - przyznał Kevin. - Dziewięcioro dzieciaków zamkniętych w sali gimnastycznej i tylko jedno z nich jest czarne. No tak, to na pewno było morderstwo na tle rasowym.

- No tak. To było morderstwo na tle rasowym - powiedziałam cicho.

- Dokładnie tak - odparł, uśmiechając się lekko.

- To samo mówili o Miguelu Espinozie. Uznali, że zabiłeś go, bo był Latynosem.

- Nieprawdopodobne. Zestawiam całą *paletę kolorów*, a oni mówią, że dyskryminuję.

- Ale prawdziwy powód jest taki, że był nieprzeciętnie inteligentny i zdolny, prawda? Przeskoczył jedną klasę. I zawsze miał zawrotnie wysokie wyniki na sprawdzianach i stanowych testach sprawdzających zdolności uczniów szkoły średniej.

- Zawsze, gdy do kogoś mówił, okazywało się, że chciał tylko użyć „eszelonu” w zdaniu.

- Ale ty wiesz, co znaczy „eszelon”. Znasz znaczenie wielu rzadkich słów. To właśnie dlatego uważałeś, że takie ciekawe było układanie esejów wyłącznie z trzyliterowych wyrazów.

- Zgoda, czyli *zazdrość* odpada. Do czego ty, jeśli założę, że jestem na trzecim



poziomie *nudy*, właśnie zmierzasz.

Odczekałam chwilę; Kevin *naprawdę* wyglądał na znudzonego. Twórcy filmów dokumentalnych, tacy jak Jack Marlin, kryminologowie tworzący bestsellery, dyrektorzy, nauczyciele i księża przepytывani w wiadomościach; Twoi rodzice, Thelma Corbitt, Loretta Greenleaf - wszyscy ci ludzie byli opętani myślą o tym, *dlaczego KK to zrobił*. Wszyscy, z wyjątkiem naszego syna. To była kolejna rzecz, którą Kevin się nie interesował: on sam.

- Pracownik kawiarni - powróciłam do tematu. - On nie pasuje do wzoru. (Zawsze czułam się głupio, gdy zapominałam jego nazwisko.) Nie było go na liście, prawda?

- Skutek uboczny - powiedział Kevin sennym tonem.

- A znam twój sekret, związany z Larą Woolford - stwierdziłam zdecydowana, by jakoś go ożywić. - Była piękna, nieprawdaż?

- Oszczędziłam jej kłopotu - rzucił niezbyt wyraźnie. - Przy pierwszej zmarszczce sama i tak by się zabiła.

- Bardzo, bardzo piękna.

- Tak, ale jej lusterko było mocno zużyte.

- *A ty się w niej zakochałeś!*

Jeśli miałam co do tego jakieś wątpliwości, to teatralnie głośny śmiech Kevina pozbawił mnie złudzeń. Zwykle tego nie robił, ale wtedy uchylił mi rąbka tajemnicy. Dojrzewające dzieci bardzo łatwo w tych sprawach rozgryźć.

- Uwierz w to - uśmiechnął się szyderczo - że mam lepszy gust. Ta Barbie była jednym wielkim dodatkiem.

- Ale zawstydziała cię nieco, prawda? - szturchnęłam go lekko. - Kredka do oczu, Calvin Klein, eleganckie fryzury. Pończochy i błyszczące buty. To nie był lodowaty, mizantropijny styl *KK*.

- Nie wyglądała tak pięknie, gdy skończyłam.

- To najstarsza opowieść książkowa - dręczyłam go nadal. *Po mrocznym wyznaniu przyjacielowi, że „jeśli ja jej nie będę miał, to nikt inny jej nie posiada”... Charlie Schmoie otworzył ogień...* Czy właśnie to miało przykryć to całe zamieszanie? Kolejny pryszczaty nastolatek, odrzucony przez nieosiągalną królową, dostaje szału?

- Chyba śnisz - odparł Kevin. - Chcesz zrobić z tego jakiś romans w stylu Harlequina, ale to twoja skarłala wyobraźnia, a nie moja.

- Luke Woodham był beznadziejnie zakochany, prawda? Mieszkał w Pearl? Wiesz, „Malkontent”.

- Umówił się z Christy Menefee tylko trzy razy, a pokłóceni byli wtedy od roku.

- *Laura odrzuciła cię, nieprawdaż?*

- *Ja nigdy nawet na milę nie zbliżyłem się do tej cipy. A co do tego tłustego, pierdołowatego Woodhama, to wiesz, że jego matka chodziła z nim na każdą randkę? Nic dziwnego, że zarznął ją tasakiem.*

- *Co się stało? W końcu zmusiłeś się do tego, by przyprzeć ją do szafki podczas przerwy na lunch? Spoliczkowała cię? Zaśmiała ci się prosto w twarz?*

- *To bajeczka, którą sama chcesz sobie wmówić - powiedział, pocierając swą odsłoniętą przeponę. - Nie będę ci przeszkadzał.*

- *Powiedz to także innym ludziom. Nie tak dawno nachodził mnie pewien twórca filmów dokumentalnych. Ogromnie zależało mu na tym, by usłyszeć relację z mojej strony. Może powinnam do niego oddzwonić. Mogłabym mu wyjaśnić co nieco o nieodwzajemnionej miłości. Mój syn był zakochany po uszy w dziewczynce, która w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Poza tym, jak zginęła Laura? Być może reszta ofiar była tylko tłem i przykrywką, ale Laura została trafiona *prosto w serce* przez naszego Kupidyna z Gladstone High. Pozostali biedni uczniowie służyli tylko za kamuflaż, byli - jak on to nazwał? *Skutkiem ubocznym*.*

Kevin pochylił się do przodu i dyskretnie zniżył ton głosu.

- *A jak bardzo interesowałaś się, jakie dziewczyny lubię, a jakich nie, zanim kilku nie zerznąłem? Jak bardzo interesowałaś się tym, co było w mojej głowie, dopóki nie ujrzało to światła dziennego?*

Niestety, w tym momencie nieco się zagubiłam.

- *Chcesz, żeby było mi przykro z twojego powodu?* - powiedziałam donośnym głosem, a pryszczaty strażnik spojrział w naszą stronę. - *Cóż, w pierwszej kolejności współczuję Thelmie Corbitt i Mary Woolford. Fergusonom, Randolphom, Ulanowom i Espinozom. Moje serce zapłacze też nad nauczycielem, który starał się dotrzeć do twojego umysłu, nad koszykarzem, który prawie nie chodzi, nawet nad pracownikiem kawiarni, którego nigdy w życiu nie spotkałam, a potem dopiero zobaczę, czy został mi jeszcze jakiś żal, który mogłabym poczuć dla ciebie. Może coś zostanie, ale to będą tylko resztki z mojego stołu. Choć i w takim przypadku powinieneś czuć się szczęśliwy.*

- *Yyee yyee yyee yyee yyee yyee-yyee yyee-yyee!*

A potem się roześmiał. Och, Franklinie. Moje zdenerwowanie zawsze sprawia mu ogromną satysfakcję.

Przyznaję, dzisiaj starałam się go doprowadzić do szału. Zależało mi na tym, by poczuł się mały. Nie ciemnym, niezgłębionym i tajemniczym członkiem Naszego

Tymczasowego Stowarzyszenia, ale ośmieszonym, wyszydzonym, *wciągniętym we własne sidła*. Bo za każdym razem, gdy po raz kolejny czuje się jak Zło Wcielone, to jego mniemanie o sobie rośnie. Każde złe słowo rzucone w jego kierunku - *nihilistyczny, pozbawiony moralności, zdeprawowany, zdegenerowany* lub *upadły* - wypełniało jego wychudłą postać znacznie lepiej, niż kanapki z serem, które mu przygotowywałam. Nic dziwnego, że przybiera na wadze. Krytykę, płynącą z całego świata w jego kierunku, zjada na śniadanie. Cóż, nie chciałam, żeby poczuł się niedoścignioną, ogromną alegorią pokoleniowego zniechęcenia; nie pozwalałam mu zakrywać tych nędznych szczegółów jego lepkich, obrzydliwych, tandetnych i wtórnych wyczynów wielkim płaszczem Pozbawionej Sensu Życia Dzisiejszej Młodzieży. Chciałam, by poczuł się jak jeszcze jeden nieszczęśliwy, zbyt zrozumiały kawałek prostego, głupiego dzieciaka. Chciałam, żeby poczuł się jak tępy, nieistotny i biadolący smarkacz, a ostatnią rzeczą na świecie, którą chciałam zdradzić, jest to, jak bardzo każdego dnia staram się odkryć, co wkurza tego dzieciaka.

To wbijanie szpilek na temat jego uczuć do Laury było jedynie moimi domysłami. I choć sugestia, że jego ogromne okrucieństwo było spowodowane marnym, złamanym sercem mogła go urazić, to szczerze mówiąc nie wiem, czy jakieś uczucia Kevina do Laury Woolford miały cokolwiek wspólnego z *Czwartkiem*. Na pewno wiem tylko to, że starał się jej zaimponować.

Przestudiowałam jednak dokładnie jego ofiary, niezależnie od tego, czy on sam zadał sobie tyle trudu, by zastanowić się nad tą listą. Na pierwszy rzut oka była to przypadkowa grupa osób, tak różnorodna, że ich nazwiska mogły zostać wyciągnięte z kapelusza: koszykarz, pilny Latynos, maniak filmowy, gitarzysta klasyczny, wrażliwy aktor, haker komputerowy, gej uczący się baletu, domorośla aktywistka polityczna, nastoletnia piękność, pracownik kawiarni i oddany nauczyciel angielskiego. Przekrój społeczny; przypadkowa zbieranina jedenastu postaci, wylosowanych z grona około pięćdziesięciu osób, których Kevin nie lubił.

Ale niezadowolenie Kevina nie było jedyną rzeczą, która połączyła wszystkie ofiary. Chyba spokojnie można z tej listy usunąć pracownika kawiarni, który znalazł się tam przez przypadek. Kevin miał systematyczny umysł i na pewno chciał mieć zamkniętą grupę dziesięciu osób. W dodatku każda z tych osób coś *lubiła*. Nieważne, czy wielka pasja miała jakieś podstawy w talencie. Niezależnie od tego, co mówili jego rodzice, moim zdaniem Soweto Washington nie miał szans na karierę zawodowego koszykarza, Denny (wybacz mi, Thelmo) był żalonym aktorem, a przygotowywanie przez Greer Ulanov petycji do nowojorskich kongresmenów w sprawie odwołania Clintona było zwykłą stratą czasu. Nikt

nie chce dziś tego przyznać, ale obsesja Joshuy Lukronsky'ego na punkcie kina dawała się we znaki nie tylko naszemu synowi - zawsze cytował jakieś fragmenty dialogów z filmów Quentina Tarantino i odgrywał męczące scenki podczas lunchu, kiedy reszta osób, siedzących przy tym samym stoliku, wołała negocjować zamianę kanapek z wołowiną na kawałki ciasta, niż wymieniać filmy z udziałem Roberta de Niro w kolejności chronologicznej. Mimo wszystko jednak Joshua kochał filmy i nawet jego drażliwość nie powstrzymała Kevina przed odnalezieniem w tym prawdziwej namiętności. Jaka to była namiętność - nie miało to dla niego znaczenia. Soweto Washington kochał sport i złudzenie przyszłości w New York Knicks; Miguel Espinoza - naukę (w przyszłości bez wątpienia Harvard); Jeff Reeves kochał Telemanna, Denny Corbitt Tennessee Williamsa, Mouse Ferguson był zakochany w procesorze Pentium III, Ziggy Randolph uwielbiał *West Side Story*, nie wspominając o innych ludziach; Laura Woolford kochała siebie, a Dana Rocco - niezapomniana - kochała Kevina.

Zdałam sobie sprawę z tego, że Kevin nie uważał awersji za coś złego. Dla niego te dziesięć ofiar było po prostu bardzo żalonymi ludźmi. Każdy z nich czymś się ekscytował, najczęściej drobiazgami, a ich entuzjazm był komiczny. Ale tak jak w przypadku map na mojej ścianie, niezgłębiona pasja nigdy nie bawiła Kevina. Od wczesnego dzieciństwa wzbudzała w nim wściekłość.

Pewnie większość dzieci wykazuje skłonności do kradzieży. Jednak mówienie o niektórych rzeczach jest dużo łatwiejsze, niż ich wykonywanie. Jakkolwiek staranne były jego przygotowania do *Czwartku*, to na pewno nie były dla niego tak trudne, jak skomplikowane byłoby zaprzyjaźnienie się z tymi wszystkimi osobami. Zniszczenie jest w pewnym sensie przejawem lenistwa i wygody. W dodatku zapewnia satysfakcję z działania: niszczyć, więc jestem. Poza tym dla większości ludzi struktura jest ciasna, zbyt skoncentrowana i zwarta, podczas gdy wandalizm daje uwolnienie; musisz być nie lada artystą, by zrezygnować z pozytywnych wrażeń. W dodatku w niszczeniu jest władza, poczucie własności i intymność. W tym sensie Kevin przytulił do swej piersi Denny'ego Corbitta i Laurę Woolford, wchłonał ich serca i zainteresowania w całości. Zniszczenie może być napędzane niczym bardziej skomplikowanym, niż chęcią posiadania, rodzajem źle nakierowanej chciwości.

Przez większość życia Kevina obserwowałam, jak psuje przyjemności innych ludzi. Nie potrafię zliczyć, jak często wyłapywałam słówko *ulubiony* podczas wygłaszanych przez różnej maści ekspertów krytycznych wykładów na temat macierzyństwa - czerwone kalosze, wypchane ciastkami w przedszkolu, były *ulubionymi* butami Jasona. Kevin mógł z łatwością podsłuchać, że biała suknia, obłana sokiem winogronowym, była moją *ulubioną* długą suknią. Wracając do tematu, każda nastoletnia tarcza strzelecka w tamtej sali gimnastycznej była

*ulubionym* uczniem jakiegoś nauczyciela.

Sprawiał wrażenie, jakby przeklinał szczególnie te przyjemności, które moim zdaniem były niewinne. Na przykład notorycznie przeszkadzał ludziom, którzy chcieli zrobić zdjęcie i za każdym razem celowo wchodził im przed obiektyw. Zaczęłam nawet obawiać się naszych wycieczek do muzeów, choćby tylko z powodu zmarnowanych klisz japońskich turystów. Po co światu potrzebne są setki zdjęć różnych miejsc z natarczywym profilem *KK*, wysuwającym się na pierwszy plan?

Innych przykładów jest mnóstwo; przytoczę Ci tylko jeden.

Gdy Kevin skończył czternaście lat, w połowie roku szkolnego zostałam poproszona o pomoc w organizacji wiosennego balu dla ósmoklasistów. Byłam zdziwiona, że Kevin zamierza wybrać się na tę imprezę, ponieważ zawsze bojkotował większość zorganizowanych zajęć szkolnych. Z perspektywy czasu widzę, że być może powodem chęci pójścia na zabawę była Laura Woolford, która, tańcząca w króciutkiej sukieneczce, miała pewnie setki adoratorów. To wydarzenie, kończące rok szkolny, było najważniejszą datą w uczniowskim kalendarzu, a większość kolegów Kevina z niecierpliwością oczekiwała momentu wejścia w szeregi seniorów, odkąd ukończyli szóstą klasę. Główną ideą było umożliwienie tym dzieciakom stania się prawdziwymi nastolatkami i pozwolenie im na puszenie się i zadzieranie nosa na chwilę przed rozpoczęciem nauki w szkole średniej i ponowną degradację do roli nowicjusza.

Ostatecznie powiedziałam, że to zrobię, nie dlatego, że chciałam zabierać dzieciakom puszki z piwem. Bardzo ceniłam sobie wspomnienie moich własnych, ukradkowych łyków z piersiówki, którą opróżnialiśmy za kulisami sceny szkoły średniej Williama Horlicka w Racine. Nigdy nie widziałam się w roli ochroniarza na dziecięcej imprezie i zastanawiałam się, czy przypadkiem nie będę namawiała ich do złego, jeśli będą dyskretnie i nie upiją się.

Oczywiście byłam naiwna, a piwo w puszcze było najmniejszym zmartwieniem organizatorów. Na spotkaniu przygotowawczym, które odbyło się tydzień przed bale, poinstruowano opiekunów, w jaki sposób rozpoznawać fiołki z narkotykami. Wszystko dlatego, że grono pedagogiczne wciąż miało w pamięci kilka podobnych incydentów z początku roku kalendarzowego. Dzieci, kończące ósmą klasę, mają *dopiero* czternaście lat, ale Tronneal Manguni miał *tylko* trzynaście, gdy w styczniu tamtego roku w West Palm Beach, na oczach innych uczniów, zastrzelił swojego kolegę z klasy, bo ten był mu winny czterdzieści dolarów. Tylko trzy tygodnie później w Betel na Alasce (to zenujące, Franklinie, ale wciąż pamiętam to wszystko, dzięki rozmowom w Claverack, w których Kevin często

nawiązywał do swoich ulubionych opowieści) Evan Ramsey zabrał do szkoły dwunastomilimetrową strzelbę i zabił miejscowego sportowca, ranił kilka osób, a później zamordował dyrektora - w moich czasach uczono nas, że dyrektor jest kimś bardzo ważnym, obecnie uważa się go za swojego kumpla.

Statystycznie rzecz biorąc, w kraju, w którym jest około pięćdziesięciu milionów uczniów, te morderstwa oczywiście nie są regułą. Pamiętam też, że wracając do domu, uważałam, iż organizatorzy balu zdecydowanie przesadzają. Ubolewali nad tym, że w szkolnym budżecie jest zbyt mało pieniędzy, by zakupić wykrywacz metalu, w zamian jednak postanowili przeszkolić opiekunów, jak przeszukiwać dzieci przy wejściu na salę. Pozwoliłam sobie wówczas na lekkie wzburzenie dotyczące ograniczania swobody (co zawsze Cię denerwowało).

- Pewnie, że *czarne* dzieciaki i *latynoskie* dzieciaki od zawsze strzelały do siebie w jakiejś zapchlonej szkole w Detroit - powiedziałam podczas kolacji. - I taka jest kolej rzeczy. Kilkoro *białych* dzieciaków, ze *średniej klasy*, wychowywanych w ciepłarnianych warunkach, z prywatnymi liniami telefonicznymi, posiadających telewizory, bawi się pistoletami i nagle robi się z tego narodowy problem. Franklinie, szkoda, że nie widziałeś, jak ci rodzice i nauczyciele się tym przejęli - moja pieczona pierś z kurczaka robiła się już zimna. - Nigdy nie widziałeś tak wielkiej ilości zarozumiałości. A gdy pozwoliłam sobie na żart, od razu zgasili mnie krótkim *to nie jest śmieszne*, tak jak ochrona lotniska reaguje na żart o bombie. Wszyscy kochają być na pierwszej linii, chcą robić coś niebezpiecznego, zamiast zwykłej opieki nad tańczącymi nastolatkami. Na miłość boską, chcą być najważniejsi w kraju i dołączyć do ogólnonarodowej hysterii. Mogę przysiąc, że w pewnym sensie wszyscy są zazdrośni, ponieważ w Moses Lake, Palm Beach i Betel coś takiego się już wydarzyło, a skoro w Gladstone nic się nie stało, to coś musi być nie tak. Tak samo, jak wszyscy po cichu liczyli na to, że nie będzie żadnych kłopotów, dzieci będą grzecznie tańczyć, a po wszystkim będą mogli zasiąść przed telewizorem i posłuchać wiadomości.

Chyba trochę przesadzałam. Obawiam się, że zbyt dużo dałam się ponieść emocjom i nie myślałam o tym, co mówię. Kevin prawdopodobnie wszystko słyszał. Ale wątpię, by w Stanach Zjednoczonych był jakiś dom, w którym w jakiś sposób nie rozmawiano o tych strzelaninach. A ludzie potępiający „politykę hysterii”, tak jak ja, uderzali w czułe miejsce.

Jestem pewna, że potańcówka okazała się dla mnie wielką ulgą przede wszystkim z powodu miejsca, w którym się odbyła. Mimo wszystko to dość nieistotne wspomnienie; czy to z powodu rozczarowanych, bądź nie, rodziców, bo wieczór minął gładko, czy to z powodu jednej uczennicy, dla której impreza była totalną porażką. Zresztą nawet nie pamiętam jej

imienia.

Sala gimnastyczna. To działo się w sali gimnastycznej.

Gimnazjum i szkoła średnia znajdowały się w tym samym kampusie i z tego powodu często dzieliły niektóre budynki. Wyposażenie było tu na wysokim poziomie, ale w końcu ta szkoła była jednym z powodów, dla których przeprowadziliśmy się do pobliskiej dzielnicy. Ku Twojej rozpaczy Kevin rezygnował z uprawiania sportów, nigdy nie chodziliśmy na jego mecze koszykówki, więc udzielanie się w roli opiekunki do dziecka w całości wypełniało mój czas. Szkoła stała w wyodrębnionym miejscu, była ogromna i przestronna, więcej niż dwupiętrowa, schludna i droga - chyba nawet znajdowało się tam lodowisko do hokeja. Jaka szkoda, że władze szkoły w Nyack podjęły decyzję o wyburzeniu sali gimnastycznej; uczniowie odmawiali uczestnictwa w zajęciach z wychowania fizycznego, twierdząc, że sala jest przeklęta. Tamtego wieczoru jej ogrom był znakomitym miejscem dla DJ-a. Wszystkie sprzęty sportowe zostały uprzątnięte i choć zawiodłam się, bo nie było kolorowych balonów, które mile wspominałam z mojej imprezy w roku 1961, to na środku zawieszono wielką lustrzaną kulę.

Może byłam zepsutą matką - nic nie mów, to prawda - ale nie byłam aż tak żalosna, by na szkolnej imprezie stać bez przerwy obok mojego czternastoletniego syna. Ustawiłam się więc po przeciwnej stronie sali, obserwując Kevina podpierającego ścianę. Byłam ciekawa; rzadko kiedy miałam okazję obserwować go w kontekście większej grupy społecznej. Jedynym uczniem stojącym obok niego był Leonard Puch, młody chłopak o łasicowatej twarzy, od którego nawet z odległości stu metrów można było wyczuć unізoność i podległość, chichoczącą służalczość, która za każdym razem wyglądała tak, jakby była wypełniona odorem nieświeżej ryby. Lenny niedawno przekłuł sobie nos i wokół tego miejsca przyplątała się jakaś infekcja - jedno nozdrze było jasnoczerwone i o połowę większe niż drugie; plama kremu odkażającego odbijała światło. Coś w tym dzieciaku zawsze przywodziło mi na myśl brązowe smugi na majtkach.

Kevin zaczął wtedy wprowadzać w życie swój styl ubierania się w zbyt małe ciuchy, który Lenny (co było typowe) zaczął naśladować. Czarne dzinsy Kevina byłyby na niego dobre wtedy, gdy miał jedenaście lat. Nogawki sięgały do połowy łydek, odkrywając czarne włosy na goleniach; krok, w którym nie dopinał rozporka, doskonale uzupełniał jego wygląd. Luźne, bawełniane spodnie Lenny'ego wyglądały okropnie i prawie pasowały na niego. Obaj byli też ubrani w białe, przyciasne podkoszulki Fruit of the Loom, nieco odsłaniające ich gołe brzuchy.

Być może to była kwestia mojej wyobraźni, ale gdy koledzy z klasy przechodzili obok

tej dwójki, starali się trzymać od nich z daleka. Powinnam się zmartwić, że nasz syn jest izolowany przez rówieśników i przejęłam się, choć jego koledzy z klasy nie chichotali na jego widok tak, jakby był wyrzutkiem społecznym. Jeśli inni uczniowie z czegoś się śmiali, to na pewno już przestali. Faktycznie, przechodząc obok tej dwójki wszyscy przestawali ze sobą rozmawiać, a ponawiali konwersację w momencie, gdy byli poza zasięgiem ich słuchu. Dziewczyny przechodziły obok nich wyprostowane, tak jakby wstrzymywały oddech. Aby tylko nie zwrócić na siebie uwagi brygady w zbyt małych ciuchach, nawet najbardziej harde osoby patrzyły prosto przed siebie i rzucały jedynie przelotne spojrzenie, gdy już oddaliły się na bezpieczną odległość. Tymczasem ósmoklasiści zeszli z parkietu i stanęli przy ścianach sali gimnastycznej, jednak po obu stronach mojego syna były kilkumetrowe przerwy. Żaden z jego kolegów nie kiwał do niego głową, nie uśmiechał się ani nie wykonywał innych gestów, tak jakby chcieli uniknąć ryzyka - ale czego?

Przewidywałam, że muzyka podczas tej imprezy sprawi, iż poczuję się staro - zespoły, których nigdy wcześniej nie słyszałam, których hałaśliwe jęki mogły rozwalić cały budynek. Jednak gdy włączono system nagłośnienia, zaczęłam rozpoznawać ponadczasowe przeboje wykonawców z mojej młodości, których oboje słuchaliśmy, gdy mieliśmy po dwadzieścia lat: The Stones, Credence, The Who, Hendrix, Joplin i The Band, Franklinie, nawet Pink Floyd! Nie bardzo miałam co ze sobą zrobić, w dodatku byłam zniesmaczona czerwonym ponczem (który błagał o większą ilość wódki). Widząc niepewne spojrzenia Kevina zaczęłam się zastanawiać, czy przeboje zespołów Crosby, Stills, Nash & Young, The Grateful Dead i nawet The Beatles czyniły naszą epokę szczególnie wybitną lub jego epokę wyjątkowo ubogą. Gdy zabrzmiały pierwsze dźwięki *Stairway to Heaven* - to był przebój! - musiałam powstrzymać się od śmiechu.

Nigdy nie oczekiwałam, że Kevin będzie tańczył; to byłoby *durne*, a przecież w pewnym sensie ten chłopak w ogóle się nie zmienił od czasu, gdy miał cztery lata. Opór reszty grupy przed wejściem na parkiet był nieco udawany; my byliśmy tacy sami, nikt nie chciał być pierwszy, by ściągać na siebie nadmierną i niekoniecznie miłą uwagę. W moich czasach każdy bez końca patrzył na każdego, dodając sobie odwagi za kulisami, aż w końcu odrywaliśmy się od ścian, gdy liczba chętnych do zabawy osiągała bezpieczny, dwucyfrowy wynik. Dlatego byłam pod wrażeniem, gdy na pokrytej odbłaskami świąteł, odbijających się od lustrzanej kuli, podłódze pojawiła się jedna, samotna dusza. Nie wybrała ukrytego miejsca w kącie, a sam środek parkietu.

Dziewczynka o bladej, półprzezroczystej skórze, miała nie tylko jasne włosy, ale także rzęsy i brwi, a na pierwszy rzut oka wyglądała, jakby była wyprana. Jej broda także była



oryginalna - mała i spiczasta - i głównie z powodu tej cechy nigdy nie będzie uznana za ładną (jak niewiele trzeba, by nas oszpecić). Kolejnym problemem były jej ciuchy. Większość dziewcząt była ubrana w jasne dżinsy, a nieliczne sukienki, jakie wypatrzyłam, były albo z czarnej skóry, albo lśniące, zdobione cekinami i doskonale, tak jak w przypadku Laury Woolford. Ale ta czternastolatka - dla ułatwienia nazwijmy ją Alice - była ubrana w sukienkę do kolan i związaną z tyłu wielką kokardą. Sukienka była kraciasta i brązowa. Miała bufiaste rękawy. We włosach miała kokardę, a na nogach skórzane buciki. Z pewnością była ubrana przez matkę, która miała nieco przygnębiającą wizję tego, jak dziewczynka powinna ubrać się na „imprezę”, niezależnie od tego, który mamy rok. Nawet ja od razu rozpoznałam, że Alice nie była *na czasie* - słowo, którego nieprawdopodobna popularność wśród naszego pokolenia świadczy jedynie o ponadczasowości tego pojęcia. To, co *jest* na czasie, ciągle się zmienia; ale bycie na czasie jest niezmiennie. W okresie naszego dojrzewania przeciętny kujon doceniany był za to, że stał nieruchomo i przepraszał, patrząc się przy tym na własne buty. Jednak obawiam się, że biedna istota o nieładnej brodzie nie miała na tyle inteligencji społecznej, by żałować swojej bufiastej, kraciastej, brązowej i związanej kokardą sukienki. Gdy jej matka przyniosła ten strój do domu, dziewczynka pewnie zarzuciła ręce na jej szyję w geście kretyńskiej wdzięczności.

To właśnie utwór *Stairway to Heaven* zachęcił ją do dumnej prezentacji swojej osoby. Choć pewnie wszyscy mamy dla tego standardu Led Zeppelin wiele miejsca w naszych sercach, to jest to mimo wszystko spokojny utwór i osobiście wspominam go jako kompletnie nienadający się do tańca. To jednak nie powstrzymało Alice. Rozłożyła ramiona i z zamkniętymi oczami zataczała coraz szersze koła. Całkowicie dała się porwać muzyce, nieświadoma tego, że przy entuzjastycznych obrotach było widać jej majtki. Gdy zabrzmiały dźwięki gitary basowej, jej ruchy straciły cechy rockandrollowego kołysania i przeszły w coś pomiędzy nietypowym baletem i tańcem sufijskim.

I jeśli brzmie złośliwie, to zapewniam Cię, że byłam pod wielkim wrażeniem. Nasza mała kopia Isadory Duncan była tak nieskrępowana, tak żywiołowa! Może nawet trochę jej zazdrościłam. Z wielką tęsknotą wspominałam wtedy moje spontaniczne tańce w Tribece, które wykonywałam przy utworze Talking Heads, gdy byłam w ciąży z Kevinem. Zasmuciło mnie to, że już nie robię takich rzeczy. I choć ta dziewczyna była dobre osiem lat starsza od Celi, gdy tak falowała i kręciła się od jednego końca sali do drugiego, miała w sobie coś, co przypominało mi o mojej córce. Niczym niespodziewana ekshibicjonistka, wyglądała tak, jakby weszła na parkiet po prostu dlatego, że była to jej ulubiona piosenka - znów to słowo - i dlatego, że pusta przestrzeń pozwalała jej na zataczanie szerokich kręgów. Prawdopodobnie w

taki sam sposób zachowywała się przy tej piosence w swoim pokoju i nie widziała powodu, dlaczego nie miałyby podobnie tańczyć w obecności dwustu nastolatków, stojących po bokach sali.

Zawsze wydaje mi się, że ta piosenka będzie trwała wiecznie, ale powoli *Stairway to Heaven* dobiegała końca; czyli miała trwać jeszcze dwie minuty. Ale nie. Poczulałam nagły przyływ strachu, gdy Kevin leniwie oderwał się od ściany i zaczął iść prosto w kierunku Alice, niczym pocisk Patriot kierujący się na raketę Scud. Nagle zatrzymał się dokładnie pod lustrzaną kulą, precyzyjnie obliczając miejsce, w którym Alice zatoczy piruet tak, że jej lewe ucho znajdzie się na wysokości jego ust. Już. Kontakt. Nachylił się nieco i coś szepnął.

Nigdy nie dowiedziałam się, co jej wtedy powiedział. Jednak obraz był podobny do rekonstrukcji *Czwartku*, które czyniłam w swojej wyobraźni. Alice zamarła. Jej twarz, przed momentem przepełniona pewnością siebie, w jednej chwili stała się podejrzenie nieobecna. Jej oczy nerwowo rozglądały się na prawo i lewo, jednak nie potrafiła znaleźć żadnego miejsca, w którym mogłaby odetchnąć. Nagle zdała sobie sprawę, że na oczach wszystkich zrobiła z siebie idiotkę i musiała przyjąć na siebie wszelkie obowiązki z tym związane; piosenka jeszcze się nie skończyła, w związku z tym Alice postanowiła zachować twarz i chciała wykonać jeszcze kilka obrotów. Przez kolejne czterdzieści sekund wyginała się tak, jakby w zwolnionym tempie przedstawiała makabryczny taniec śmierci, tak jak Faye Dunaway pod koniec filmu *Bonnie i Clyde*.

DJ płynnie przeszedł do kolejnej piosenki, którą był *White Rabbit* Jeffersona Airplane'a. Alice złapała w dłonie swą kraciastą sukienkę i upchnęła ją między swoje nogi. Kuśtykając do mrocznego kąta, przycisnęła łokcie do pasa, tak jakby obie ręce walczyły o miejsce pod sobą. Wyczułam w pewnym nieprzyjemnym sensie, że w ciągu poprzedniej minuty właśnie dorosła. Teraz wiedziała już, że jej sukienka była głupia, a broda brzydka. Że jej matka ją zdradziła. Że była nie *na czasie*. Że nigdy nie będzie piękna. I co najważniejsze, że nigdy nie powinna tańczyć na pustym parkiecie - prawdopodobnie na żadnym parkiecie - do końca swojego życia.

Nie było mnie tam w *Czwartek*. Ale dwa lata wcześniej byłam świadkiem zapowiedzi *Czwartku*, gdy dokonano zamachu na samotną absolwentkę gimnazjum w Gladstone.

*Eva*

2 marca 2001

*Drogi Franklinie,*

Ricky, mój współpracownik, podszedł dziś do mnie po pracy, a jego propozycja dotyczyła spraw, o których nikt nie mówi: zaprosił mnie do swojego kościoła. Byłam nieco zakłopotana i podziękowałam mu, ale powiedziałam bardzo ogólnikowo: „Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł”. Nie poprzestał na tym i zapytał, dlaczego. Cóż miałam mu odpowiedzieć - że to jedna wielka bzdura? Zawsze byłam nieco protekcyjna w stosunku do religijnych ludzi, w taki sam sposób, w jaki oni byli protekcyjni w stosunku do mnie. Odpowiedziałam więc, że chciałabym, chciałabym wierzyć i czasami nawet bardzo staram się wierzyć, ale wydarzenia z ostatnich kilku lat mojego życia w żaden sposób nie przekonują mnie do tego, że jakaś istota jest na tyle uprzejma, by się mną przejmować. Ricky wspomniał jeszcze o *tajemniczych ścieżkach życia*, ale na żadnym z nas nie wywarło to większego wrażenia. „Tajemnicze” - powiedziałam. Teraz możesz powiedzieć to jeszcze raz.

Często wracałam do uwagi, jaką wypowiedziałeś w parku Riverside, zanim jeszcze staliśmy się rodzicami - że dziecko jest przynajmniej odpowiedzią na Wielkie Pytanie. Denerwowało mnie wtedy bardzo, że całe Twoje życie z niespotykanym uporem stwarzało pozory odpowiedzi na to Wielkie Pytanie. Nasz bezdzielny okres na pewno miał braki, ale przypominam sobie też, co ja powiedziałam w tamtej rozmowie, że być może jesteśmy „zbyt szczęśliwi”. Było to stwierdzenie chyba znacznie bardziej prawdziwe, niż nadmiar nieprzyjemnej pustki. Może jestem płytką, ale byłeś dla mnie wystarczający. Lubiłam szukać Twojej twarzy na hali przylotów po tych wszystkich moich dalekich podróżach, które znosiłeś trudniej niż ja. Lubiłam też długi sen, na który mogłam sobie pozwolić następnego dnia. To mi wystarczało. Ale dla Ciebie nasza dwójka to było za mało. Być może z nas dwojga byłeś bardziej rozwinięty duchowo, ale w ten sposób zraniłeś moje uczucia. I jeśli nie ma powodu, by żyć bez dzieci, to jaki jest powód, by je mieć? Odpowiedź, że po to, by po jednym życiu nastąpiło kolejne, jest jedynie przerwaniem pytania na kolejne pokolenie; to przeniesienie jest tchórzliwym i potencjalnie nieskończonym opóźnieniem. Odpowiedź Twoich dzieci prawdopodobnie również dotyczyłaby zapewnienia ciągłości gatunku, a w ten sposób znów przeczuciliby swą własną bezcelowość na swoje potomstwo.

Podniosłam tę kwestię, ponieważ pomyślałam, że oczekiwałeś od Kevina, że to właśnie on będzie odpowiedzią na Twoje Wielkie Pytanie i że będzie mógł wyczuć te fantastyczne oczekiwania już od wczesnych lat. Jak? Dzięki drobnostkom. Agresywna

serdeczność Twego głosu, pod którą kryła się nieśmiała desperacja. Dzikość Twoich uścisków, które mógł odbierać jako nieco przytłaczające. Postanowienie, w którym zadeklarowałeś, że każdy weekend będziesz miał wolny, by być do jego dyspozycji, odebrałam jako dość dziwne. Spodziewałam się, że dzieci woła, jeśli rodzice są zajęci; nie chcą wypełniać naszego planu dnia swoimi marnymi potrzebami, chcą być zapewniane o tym, że na świecie istnieją inne rzeczy; w danym momencie ważniejsze niż one same.

Nie pochwałam zaniedbywania. Ale on był tylko małym chłopcem, który sam miał odpowiedzieć na Wielkie Pytanie, z którym nie potrafił sobie poradzić jego dorosły ojciec. Doprawdy, ogromne brzemie zostało rzucone na tego nowego mieszkańca naszej planety! Co gorsza, dzieci, tak samo jak dorośli, drastycznie różnią się od siebie pod względem tego, co mogą nazwać religijnymi potrzebami. Celia była bardziej podobna do mnie: przytulenie, kredka, ciasteczko i już była zaspokojona. Kevin z kolei sprawiał wrażenie, jakby niczego nie chciał. Teraz jednak zdaje sobie sprawę, że był duchowo wygłodniały.

Oboje byliśmy niepraktykujący, więc nie było sensu wychowywać dzieci ani w duchu ormiańskiego Kościoła katolickiego, ani Kościoła prezbiteriańskiego. I choć niechętnie przyznawałam, że dzisiejsza młodzież powinna zapoznać się ze Starym Testamentem, do porządku przywoływało mnie to, że dzięki Tobie Kevin chyba ani razu nie był wewnątrz kościoła. Fakt, że Ty i ja byliśmy wychowani w czymś, od czego można było odejść, był chyba dla nas korzystny, ponieważ wiedzieliśmy, co zostawiamy za sobą i kim nie byliśmy. Dlatego zastanawiam się, czy Kevin byłby lepszy, gdybyśmy karmili go różnymi pierdołami i bzdurnymi tekstami, których naiwność mógłby później wykrzycheć nam w twarz - tymi fantastycznymi historiami o dziewicach rodzących dzieci, o przykazaniach na szczycie góry, które stoją dzieciom kością w gardle. Jestem niepraktyczna; wątpię, czy bylibyśmy w stanie dla naszych dzieci udawać wiarę, tym bardziej, że one i tak wiedziałyby, że pozujemy. Tym niemniej, odrzucenie ewidentnych śmieci w postaci przewodników turystycznych i reklam Oldsmobile'a musi być niezbyt satysfakcjonujące.

Kevin bardzo narzekał, że jego nauczyciele - z wyjątkiem Dany Rocco - nigdy go nie rozgryźli, woląc diagnozować naszego małego, przeciętnego ucznia jako przykładową ofiarę braku zainteresowania ze strony dorosłych. Chcieli znaleźć w nim jakiś mechaniczny defekt, ponieważ zepsute urządzenia stosunkowo łatwo naprawić. Łatwiej było zajmować się bierną niezdolnością, niż mierzyć się z bardziej przerażającą kwestią dzikiego braku zainteresowania. Zdolność Kevina do skupiania uwagi była ogromna - widziałam jego bolesne i skrupulatne przygotowania do *Czwartku* lub jego obecne, jasne i stanowcze sporządzanie honorowej listy zasłużonych złoczyńców. Nie kończył zadań nie dlatego, że nie

potrafił, ale właśnie dlatego, że potrafił.

To jego nienasycenie może w jakimś stopniu wyjaśnia okrucieństwo, które między innymi musiało być niestosowną próbą uczestnictwa. Nie widząc sensu - w niczym - musiał czuć się brutalnie odrzucony. Spice Girls są *durne*, Sony Play Station jest *durne*, *Titanic* jest *durny*, zakupy w centrum handlowym są *durne*, ale jak mogliśmy się z tym nie zgodzić? I dalej, robienie zdjęć klasztoru jest *durne*, taniec przy *Stairway to Heaven* pod koniec lat dziewięćdziesiątych jest *durny*. A gdy Kevin zbliżył się do wieku szesnastu lat, te przekonania stały się niebezpieczne.

Nie chciał odpowiadać na Twoje Wielkie Pytanie, Franklinie. On domagał się odpowiedzi od Ciebie. Gloryfikowana mitręga, która przeradza się w owocną egzystencję była dla Kevina już od kołyski tak pusta, że jego zdanie, wypowiedziane w ostatnią sobotę, że w *Czwartek* wyświadczył Laurze Woolford „przysługę”, mogło być prawdziwe i szczerze.

Ja za to jestem powierzchowna. Nawet jeśli chodzi o moje podróże, to prawdopodobnie mogłabym dalej jeść te same zagraniczne potrawy i mieć taką samą zagraniczną pogodę do końca życia, tak długo, jak tylko wpadałabym w Twoje ramiona na lotnisku Kennedy'ego przy okazji moich powrotów do domu. Nie chciałam niczego więcej. To Kevin postawił przede mną Wielkie Pytanie. Zanim przyszedł na świat, byłam zbyt zajęta prowadzeniem świetnie prosperującej firmy i wspaniałym małżeństwem, by mieć czas na zastanawianie się, do czego to wszystko prowadzi. A gdy tylko na długo utknęłam z wiecznie znudzonym dzieckiem w bardzo brzydkim domu, od razu zaczęłam zadawać sobie pytanie, jaki był sens tego wszystkiego.

A od *Czwartku*? Zabrał mi wszystkie łatwe odpowiedzi, drobne oszustwa i niedbałe uproszczenia wyjaśniające, do czego prowadzi życie.

Po raz ostatni zostawiliśmy Kevina samego, gdy miał czternaście lat, ale na samą myśl o tym robię się niespokojna. Może rozwodziłam się nad jego wczesnymi latami życia, by powstrzymać się od przypominania starych incydentów, które tak bardzo nas poróżniły. Niewątpliwie oboje obawialiśmy się rozgrzebywania wydarzeń z przeszłości, których jedyną pozytywną cechą jest to, że się skończyły. Ale nie skończyły się. Nie dla mnie.

W czasie, gdy Kevin był na drugim semestrze dziewiątej klasy w roku 1997, w kraju wydarzyły się kolejne dwie szkolne strzelaniny: w Pearl w stanie Mississippi i w Paducah w stanie Kentucky, obie w małych miasteczkach, o których nigdy nie słyszałam, a które teraz stały się w całym kraju synonimami szalejących nastolatków.

Fakt, że Luke Woodham w Pearl nie tylko postrzelił dziesięcioro dzieci, w tym troje z

nich ze skutkiem śmiertelnym, ale zabił także własną matkę - pchnął ją siedem razy nożem i pogruchotał jej szczękę aluminiowym kijem baseballowym - najwyraźniej zapewnił mi dodatkową, prywatną pauzę. Istotnie, zauważyłam to, gdy wiadomości na temat tej masakry zaczęły pojawiać się w mediach. „Zobacz, w kółko gadają o tym, w jaki sposób zabił te dzieci. A później, och, przy okazji, zamordował także swoją matkę. *Przy okazji?* To oczywiste, że wszystko, co się tam stało, miało związek z jego matką”. W dosłownym znaczeniu ta obserwacja w terminologii prawniczej mogła kwalifikować się jako *zeznanie na własną niekorzyść*. Nie jestem jednak tak pretensjonalna, bym w tamtym okresie wpędzała się w jakieś głębokie, osobiste czarnowidztwo, tak jakbym chciała traktować te powtarzające się tragedie jako nieubłagane odliczanie do momentu naszego rodzinnego nieszczęścia. Nic z tych rzeczy. Jak wszystkie inne wiadomości, tak i te traktowałam jako niemające nic wspólnego ze mną. Chciałam czy nie, z niezależnego podróżnika przeistoczyłam się w kolejną białą, zamożną matkę z przedmieścia i nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko poczuć bezsilność wobec śmiercionośnych napadów obłądu. Porachunki przestępcze i mafijne zbrodnie w Detroit i Los Angeles działały się na innej planecie; Pearl i Paducah działały się na mojej.

Naprawdę czułam ogromną niechęć do tych chłopców, którzy nie potrafili pogodzić się z niewierną dziewczyną, dokuczającym kolegą z klasy lub z brakiem zainteresowania ze strony samotnie ich wychowującego, pracującego rodzica. Którzy nie umieli spędzić swego marnego czasu w marnej szkole publicznej w sposób, w jaki robiła to reszta ludzi - bez wkraczania ze swymi drobnymi problemami do życia innych rodzin. To była ta sama błaha próżność, która prowadziła trochę bardziej rozsądnych rówieśników tych chłopców do wydrapywania swoich imion na miejscach pamięci narodowej. I rozczulanie się nad sobą! Ta krótkowzroczna kreatura, Woodham, zanim popełnił tę zbrodnię z użyciem strzelby myśliwskiej swego ojca, przesłał jednemu ze swoich kolegów list: „Przez całe moje dotychczasowe życie byłem poniżany. Zawsze byłem bity i nienawidzony. Czy społeczeństwo może mnie winić za to, co zrobiłem?”. A ja pomyślałam: „Tak, jak najbardziej, ty mały gnojku! Z całego serca!”.

Michael Carneal w Paducah był podobnym typem - z nadwagą, wyśmiewany, tarzający się w swym małym cierpieniu tak, jakby chciał wykapać się w kałuży. Wcześniej nie sprawiał żadnych problemów wychowawczych; największym wykroczeniem, na jakim go do tamtego momentu przyłapano, było oglądanie kanału filmowego Playboya. Carneal zasłużył się tym, że otworzył ogień do grupy modlitewnej. Zdołał zabić trzech uczniów, a pięciu innych ranił, ale sądząc po nawołujących do nadstawiania drugiego policzka

nabożeństwach żałobnych i miłosiernych kartkach, przylepionych do szkolnych okien - jedna z nich zawierała nie tylko zdjęcia ofiar, ale także i samego Carneala w sercu - wybaczenie pomogło poradzić sobie z tą sytuacją tym, którzy przeżyli.

W październikowy wieczór, gdy po raz pierwszy pojawiła się wiadomość o Pearl, wybuchnęłam w trakcie wspólnego oglądania programu Jim Lehrer Newshour. - Boże, kilkoro dzieci nazywało go paskudą lub szturchało na korytarzu i nagle jest uch, uch, wystrzelam całą szkołę. Zrzucę z siebie tę straszną presję! Od kiedy amerykańskie dzieci stały się takie wrażliwe?

- No, powinnaś zapytać siebie - zgodziłeś się - czy wszystko, co dzieje się na placu zabaw, należy tak poważnie traktować?

- Można załatwić to rękami - powiedziałam i zawołałam do Kevina, który właśnie zmierzał do kuchni; podsłuchiwał, jak zwykle zresztą, gdyż zdecydowanie bardziej wołał to, niż udział w rodzinnych rozmowach. - Kevin, czy chłopcy w twojej szkole rozwiązują jeszcze swoje kłótnie za pomocą staroświeckiej walki na pięści?

Kevin zatrzymał się i popatrzył na mnie; zawsze musiał się zastanowić, czy pytanie, które mu zadaję, jest warte tego, by na nie odpowiadać.

- Wybór broni - powiedział w końcu - to połowa walki.

- Co masz na myśli?

- Woodham jest słaby, sflaczały i niezbyt lubiany. Walka na pięści w jego przypadku to mała szansa na sukces. Taki pączus ma znacznie większe szanse z kalibrem trzydzięści milimetrów. Dobry wybór.

- Nie taki dobry - powiedziałam impulsywnie. - Ma szesnaście lat. W wielu stanach jest to granica, od której może być sądzony jak dorosły. Wtedy już nie ma wyjścia. Kluczyk jest wyrzucony.

W istocie, Luke Woodham został skazany na trzykrotne dożywocie i dodatkowe 140 lat więzienia na wszelki wypadek.

- No to co? - skwitował Kevin. - Jego życie i tak jest już skończone. Miał w trakcie strzelaniny więcej frajdy, niż większość z nas doświadczy przez całe życie. Na pewno jest zadowolony.

- Spokojnie, Evo - wtrąciłeś się, bo ja zaczynałam już gotować się w środku. - Twój syn tylko droczy się z tobą.

Przez większość jego życia problemy Kevina także nie były zbyt wielkie. Był zdolny, ale nienawidził szkoły; miał kilku przyjaciół, a jeden, którego znaleźmy, był służalczy; przez

dłuższy czas wydarzyło się wiele niejasnych incydentów, od Violetty poczynając, a na naszej Alice kończąc, które uruchamiały sygnał alarmowy słyszalny chyba tylko przeze mnie. W końcu charakter wyraża się poprzez doskonałą jednolitość, czy to na polu bitwy, czy to w supermarkecie. Dla mnie wszystkie rzeczy związane z Kevinem były takie same. Żeby moje teorie o jego egzystencjalnym usposobieniu nie wyglądały zbyt pretensjonalnie, zredukujmy je do jednego, kluczowego słowa: *złośliwość*. W rezultacie, gdy pewnej grudniowej nocy w roku 1997 dwóch policjantów zapukało do naszych drzwi, wlokąc za sobą Kevina i niesmacznego Leonarda Pugha, byłś zszokowany, a ja odebrałam tę policyjną wizytę jako spóźnioną.

- Czym mogę służyć, panowie? - usłyszałam.

- Pan Khatadourian?

- Plaskett - sprostowałeś, nie po raz pierwszy. - Ale jestem ojcem Kevina.

Pomagałam w tym czasie Celi przy odrabianiu zadania domowego, ale wymknęłam się od niej i stanęłam za Tobą w przedpokoju, kipiąc z ciekawości.

- Otrzymaliśmy telefoniczną skargę od pewnego kierowcy i obawiam się, że chodziło o pańskiego syna i jego kolegę. Znaleźliśmy ich na przejściu dla pieszych nad drogą 9W. Musieliśmy ich gonić, ale w tej sytuacji oczywiste jest, że to właśnie oni byli dziećmiakami rzucającymi kamienie na ulicę.

- Na samochody? - zapytałeś. - Czy może tylko na pustą jezdnię?

- Na pustą jezdnię nie byłoby to takie zabawne - warknął drugi policjant.

- To były tylko baloniki z wodą, tato! - powiedział Kevin stojący za policjantami.

Wiedziałałam, że jego głos akurat się zmieniał, ale i tak zawsze, gdy mówił do Ciebie, podnosił go o oktawę.

- Kierowca raczej nie mówił o balonach napęcznionych wodą - wtrącił drugi, bardziej krępy policjant, który wyglądał na wzburzonego. - To były kamienie. Sprawdziliśmy autostradę po obu stronach przejścia - była wręcz zasypana kawałkami cegieł.

Szybko włączyłam się do rozmowy.

- Ktoś został ranny?

- Dzięki Bogu nie trafili bezpośrednio w żaden samochód - powiedział pierwszy oficer. - Dlatego obaj mają naprawdę wielkie szczęście.

- Nie wiem, czy to takie szczęście - biadolili Lenny - jeśli łapie cię policja.

- Pewnie, że to szczęście, dzieciaku - powiedział ten wzburzony policjant. - Ron, dalej mówię, że powinniśmy...

- Widzi pan, panie Plastik - wtrącił się pierwszy funkcjonariusz - sprawdziliśmy



pańskiego syna w naszym komputerze i jego kartoteka jest czysta. Z tego, co widzę, to pochodzi z dobrej rodziny. - *Dobra* znaczyło oczywiście, że bogata. - Na razie skończy się to dla tego młodego człowieka tylko ostrzeżeniem. Ale następnym razem potraktujemy taką sprawę bardzo poważnie...

- Cholera - dorzucił drugi - kilka lat temu jakiś debil rzucił ćwierćdolarówkę przed samochód kobiety jadącej około 75 mil na godzinę. Roztrzaskał przednią szybę i trafił ją prosto w głowę!

Ron posłał swojemu partnerowi wymowne spojrzenie oznaczające, że powinni już pójść do samochodu.

- Mam nadzieję, że przemówicie dzieciakowi do rozsądku.

- I to jak - powiedziałam.

- Podejrzewam, że nie wiedział, jakie mogą być konsekwencje takiego zachowania - dodałeś.

- Pewnie - burknął ostro gliniarz numer dwa. - Toż to przecież cały urok rzucania kamieni z kładki dla pieszych. To się wydaje takie niewinne.

- Doceniam pańską wyrozumiałość - rzucił Kevin w kierunku pierwszego policjanta. - Z pewnością wyciągnąłem odpowiednie wnioski. To się już więcej nie powtórzy.

Na policjantach jego skrucha nie zrobiła większego wrażenia.

- *Wyrozumiałość* już więcej się nie zdarzy, przyjacielu - zapewnił drugi policjant. - Jestem tego pewny jak cholera.

Kevin popatrzył na wybuchowego przedstawiciela władzy i spotkał się z jego wzrokiem; wyglądało to tak, jakby się zrozumieli. Mimo że był wtedy po raz pierwszy (o ile wiem o wszystkim) w życiu zatrzymany przez policję, nie wykazywał żadnych oznak niepokoju.

- I dziękuję za podwiezienie do domu. Zawsze chciałem przejechać się radiowozem.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział żwawo funkcjonariusz, tak jakby żuł gumę. - Ale coś mi podpowiada, że to nie jest twoja ostatnia przejażdżka policyjnym wozem, *przyjacielu*.

Po tym pokojowym nastawieniu z naszej strony, policjanci oddalili się. A gdy tylko zeszli ze schodów, usłyszałam, jak Lenny skamle:

- Prawie wam uciekliśmy, wiecie, bo jesteście tacy, tacy beznadziejni...!

Sprawiałeś wrażenie bardzo spokojnego i kulturalnego w trakcie tej rozmowy, więc gdy odwróciłeś się od drzwi, byłam bardzo zdziwiona, że Twoja twarz była sina i przepełniona wściekłością. Złapałeś naszego syna za ramię i krzyknąłeś:

- Mogłeś spowodować wypadek samochodowy, pieprzoną katastrofę!

Upojona makabryczną satysfakcją, wycofałam się i zostawiłam Cię sam na sam z Kevinem. *Przeklinanie*, nic innego! Zakładając, że jeden z tych kamieni naprawdę trafiłby w samochód i zbił jakąś szybę, z łatwością porzuciłabym to małe świętowanie i od razu ogarnęłoby mnie ogromne cierpienie, które później nieraz miałam okazję przećwiczyć. Ale bez żadnego nieszczęścia mogłam spokojnie cieszyć się słowami piosenki znanej z dzieciństwa, zatytułowanej *Będziesz miał kłopoty*. Byłam cholernie rozdrażniona! Niekończący się ciąg nieszczęść, który towarzyszył Kevinowi, jeśli się nad tym dłużej zastanowić, chyba nigdy nie miał zamiaru go skrzywdzić. W końcu jakiś plotkarz za moimi plecami - policja, której republikanin Reagan musiał wierzyć - złapał nasze wieczne niewiniątko na gorącym uczynku i ja zamierzałam się z tego cieszyć. Co więcej, byłam zadowolona, że Ty też będziesz mógł doświadczyć uczucia dziwnej beznadziejności bycia tym teoretycznie wszechmogącym rodzicem, a mimo to zupełnie zakłopotanym tym, jak nałożyć karę, by była choć w minimalnym stopniu odstrasżająca. Chciałam, byś zrozumiał bezcelowość dawania temu czternastolatkowi „szlabanu”, banalnej przewidywalności „uziemienia”, w przypadku, gdy nie było żadnego miejsca, do którego chciałby pójść. Pragnęłam, byś zrozumiał również dramatyczną perspektywę, że jeśli mimo Twojego zakazu wyjdzie z domu, by pobawić się na naszej łuczniczej strzelnicy, będziesz musiał zdecydować, czy użyć siły fizycznej, by zmusić go do dalszego odbywania kary. Franklinie, witaj w moim życiu, pomyślałam. *Baw się dobrze*.

Celia nie była przyzwyczajona do tego, że tak ostro obchodzisz się ze swoim synem i zaczęła płakać. Zabrałam ją z przedpokoju i zaprowadziłam do stołu, przy którym odrabiała zadanie domowe, tłumacząc po drodze, że policjanci to nasi przyjaciele i chcą tylko się upewnić, że jesteśmy bezpieczni. W tym czasie Ty prowadziłeś korytarzem naszego syna do jego pokoju.

Tak zdenerwowana miałam problemy z koncentracją, gdy nakłoniłam Celię do ponownego zajęcia się czytanką o zwierzętach domowych. Wrzaski skończyły się zadziwiająco szybko; z pewnością nie wypalałeś się tak nagle, gdy byłeś wściekły na mnie. Prawdopodobnie postanowiłeś zmienić ton na ponure rozczarowanie, które do wielu dzieci przemawia skuteczniej, niż gwałtowny wybuch gniewu, choć ja od jego narodzin próbowałam używać ostrej powagi. Ale było to kolejne bezowocne doświadczenie, które, ku mojej radości, dane Ci było przeżyć. Dlatego jedyne, co mogłam zrobić, to podsłuchiwać przez lekko uchylone drzwi.

Gdy w końcu wyszedłeś, drzwi do pokoju Kevina zamknąłeś z ministerialną powagą,

a wyraz twarzy, z jakim wkroczyłeś do jadalni, był interesująco spokojny. Domyślałam się, że taka dawka wstydu i obrzydzenia musiała być dla Ciebie oczyszczająca, a gdy mijales mnie w drodze do kuchni, spodziewałam się, że wyjaśnisz mi, jak ukarałeś Kevina, bym wiedziała, czego mu nie wolno. Miałam nadzieję, że wymyśliłeś jakąś nową, natychmiastowo wykonaną karę, która trafiła naszego syna w to miejsce - nigdy nie znalazłam takiego - które go mogło zboleć. Wątpiłam, by miał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia z powodu rzucania kamieni na ulicę, ale być może przekonałeś go chociaż, że takie bezsporne wykroczenie było błędem taktycznym.

- Słuchaj - wyszeptales. - Cała ta afera była pomysłem Lenny'ego, a Kevin wziął w tym udział, bo Lenny początkowo mówił tylko o małych balonikach wypełnionych wodą. Myślał, że balony po prostu się rozprysną, a wiesz, jaką to sprawa frajdę dzieciakom. Powiedziałem mu, że nawet małe, rozbijające się na asfalcie lub samochodzie baloniki mogą przestraszyć kierowcę i stać się niebezpieczne. Powiedział, że teraz już zdaje sobie z tego sprawę.

- A co - powiedziałam - co z kamieniami?

- Cóż, baloniki im się skończyły. Kevin powiedział, że zanim się zorientował, Lenny zdążył już rzucić kamieniem, być może był to kawałek cegły, przed nadjeżdżającym samochodem. Kevin mówił też, że zwrócił Lenny'emu uwagę na to, że jest to niebezpieczne i może komuś zrobić krzywdę.

- Jasne - powiedziałam twardo. - To na pewno brzmi jak słowa Kevina.

- Chyba Lenny zdążył jeszcze rzucić kilka kamieni, zanim Kevin zmusił go, by skończył z tą głupią zabawą. To musiało być już wtedy, gdy ktoś zadzwonił na policję. Prawdopodobnie wciąż jeszcze tam siedzieli, po prostu obserwując drogę, gdy pojawili się gliniarze. To było wyjątkowo głupie, to też przyznał, ale dla dziecka, które nigdy nie miało problemów z prawem, te migające, niebieskie światła muszą być naprawdę przerażające i bez zastanowienia...

- Zawsze mówisz, że Kevin to bystry chłopak - wszystko, co teraz wychodziło z mych ust, było ciężkie i oczerniające. - Wydaje mi się, że bardzo często się *zastanawia*.

- Mamusiu...?

- Kochanie, wracaj i zajmij się zadaniem domowym, dobrze? - powiedziałam. - Tatuś opowiada mamusi bardzo ciekawą historię, a mamusia nie może się doczekać, jaki będzie jej koniec.

- W każdym razie - kontynuowales - zaczęli uciekać. Nie odbiegli zbyt daleko, ponieważ Kevin szybko doszedł do wniosku, że ucieczka nie ma sensu. Złapał Lenny'ego za

kurtkę, by ten przestał biec. I teraz dochodzimy do sedna: wygląda na to, że nasz przyjaciel Lenny Pugh jest już notowany w policyjnej kartotece - dosypał komuś cukier do paliwa, czy coś takiego. Powiedziano mu wtedy, że jeśli zostanie przyłapany jeszcze raz, to wniosą oskarżenie. Kevin zdawał sobie sprawę, że z jego czystym kontem prawdopodobnie ujdzie mu to na sucho i skończy się jedynie na ostrzeżeniu. Dlatego powiedział policjantom, że to on był prowodyrem i tylko on rzucał kamienie. Muszę przyznać, że gdy już wyłożył na stół całą historię, zrobiło mi się głupio, że potraktowałem go w taki sposób.

Popatrzyłam na Ciebie z kretyńskim podziwem.

- Przeprosiłeś go?

- Pewnie - wzruszyłeś ramionami. - Każdy rodzic powinien umieć przyznać się do błędu.

Po omacku odnalazłam drogę do krzesła stojącego przy kuchennym stole; musiałam usiąść. Nalałam sobie szklankę soku jabłkowego, a ja odmówiłam (co się z Tobą stało, że nie potrafiłeś nawet powiedzieć, iż musisz sobie zrobić *mocnego drinka?*). Przyciągnąłeś do siebie krzesło, usiadłeś i pochyliłeś się przyjaźnie, tak jakby to całe *nieporozumienie* miało nas bardzo mocno związać ze sobą, niczym wspierającą się wzajemnie rodzinę.

- Coś ci powiem - zacząłeś i pociągnąłeś łyk soku. - Właśnie odbyliśmy fantastyczną rozmowę o zawłóściach lojalności, wiesz? Kiedy powinniśmy być po stronie przyjaciół, kiedy powinniśmy powiedzieć dość, gdy naszym zdaniem robią coś złego, jak bardzo powinniśmy osobiście poświęcać się dla kumpla. Bo ostrzegłem go, że mógł się przeliczyć, biorąc całą winę na siebie. Mógł zostać ukarany. Doceniam jego gest, ale powiedziałem mu, że nie jestem pewny, czy Lenny wart jest takiego poświęcenia.

- O rany - odparłam - wszystkie chwytły dozwolone.

Odwróciłeś głowę.

- Czy to był sarkazm?

Skoro nie musiałeś jechać na pogotowie, postanowiłam nalać sobie lampkę wina. Wróciłam na miejsce i jednym łykiem upiłam połowę.

- To była bardzo szczegółowo opowiedziana historia. Pozwól jednak, że wyjaśnię ci kilka rzeczy.

- Strzelaj.

- Lenny - zaczęłam. - Lenny jest zerem. W zasadzie jest nawet dość głupi. Trochę czasu mi zajęło, zanim zorientowałam się, jakie to ma znaczenie, dla Kevina oczywiście. W końcu odkryłam to. Znaczenie jest takie, że Lenny jest głupim, uległym i upokarzającym się robakiem.

- Zaraz, zaraz. Ja też nie bardzo go lubię, ale upokarzający się robak...?

- Mówiłam ci, że nakryłam ich kiedyś razem, a Lenny miał wówczas opuszczone majtki?

- Eva, chyba wiesz, jacy są chłopcy w okresie dojrzewania. To może sprawiać, że nie czujesz się komfortowo, ale oni lubią eksperymentować...

- Kevin nie miał opuszczonych majtek. Był kompletnie ubrany.

- No ale co to ma oznaczać?

- To, że Lenny nie jest jego *przyjacielem*, Franklinie! Lenny jest jego niewolnikiem! Lenny robi wszystko, czego Kevin od niego zażąda, a im bardziej jest to poniżające, tym lepiej! Tak więc obraz tego nędznego, chichoczącego i ryjącego nosem w ziemi szarego ptaszka, który proponuje, by coś zrobić, jest swego rodzaju „prowodyrem” jakiegoś paskudnego i niebezpiecznego psikusa, wciągając w to naszego biednego, niepotrafiącego się przeciwstawić Kevina, cóż, jest kompletnie bezsensowny!

- Możesz się trochę uspokoić? Chyba już nie powinnaś pić kolejnej lampki wina.

- Masz rację. Tak naprawdę powinnam wlać sobie setkę dżinu, ale będzie musiał wystarczyć mi ten Merlot.

- Zobacz. Może zrobił coś wątpliwego, niedobrego, ale on i ja przedyskutowaliśmy ten temat. Poza tym wzięcie na siebie odpowiedzialności wymagało sporej odwagi, a ja jestem teraz cholernie dumny...

- *Cegły* - przerwałam Ci - są cholernie ciężkie. Są wielkie. Robotnicy budowlani nie trzymają przecież cegieł na kładkach dla pieszych. Skąd je tam wzięli?

- Kawałki. Przecież mówiłem, że kawałki cegły.

- Tak - opuściłam ramiona. - Jestem pewna, że Kevin też tak powiedział.

- Eva, to jest nasz syn. Dlatego powinniśmy mu choć trochę wierzyć.

- Ale policjanci mówili... - urwałam w połowie zdania, ponieważ straciłam ochotę na kontynuowanie tego tematu. Czułam się jak zawzięty adwokat, który zdaje sobie sprawę, że sympatia ławy przysięgłych została już zaprzepaszczona, ale który wciąż musi wykonywać swoją pracę.

- Większość rodziców - powiedziałaś - stara się *zrozumieć* swoje dzieci, a nie obwiniać przy każdej, nawet najmniejszej okazji...

- *Staram się go zrozumieć* - moja srogość musiała być widoczna; po drugiej stronie przepierzenia Celia zaczęła płakać. - Chciałabym, żebyś ty też się starał!

- Już dobrze, idź, zajmij się Celią - mruknąłeś, gdy ja podnosiłam się z krzesła. - Idź i otrzyj jej oczy, uczesz jej śliczne, złote włosy, odrób za nią zadanie domowe, bo Bóg zabronił

jej, by nawet najprostszą rzecz zrobiła samodzielnie. Nasz syn został zatrzymany przez policję za coś, czego nie zrobił, jest z tego powodu mocno wstrząśnięty, a ty się tym nie przejmujesz, bo Celia potrzebuje mleczka i ciasteczka.

- Dokładnie tak - odparłam. - Bo jedno z naszych dzieci uczy się literować nazwy zwierząt gospodarskich, a drugie w tym czasie rzuca cegły pod koła nadjeżdżających samochodów. Najwyższy czas, żebyś zaczął dostrzegać tę różnicę.

Byłam bardzo zła z powodu tamtego wieczoru i dlatego następnego dnia zmarnowałam większość czasu w AWAP-ie, pytając samą siebie, jak mogłam wyjść za mąż za *kompletnego głupka*. Przykro mi. To było podłe z mojej strony, ale nigdy nie powiedziałam Ci o tym, na co natknęłam się tamtego popołudnia. Może byłam zawstydzona, a może po prostu byłam zbyt dumna.

Poza tym, że moja złość i frustracja nie pozwalały mi zrobić nic konstruktywnego, wykorzystałam przywilej należny szefowi firmy i wyszłam wcześniej do domu. Gdy wróciłam i zluzowałam Roberta, opiekuna Celi, usłyszałam głosy dochodzące z głębi korytarza. Wyglądało na to, że *glupi, uległy i upokarzający się robak* nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by przez kilka dni po tamtym zdarzeniu nie pokazywać się w naszym domu. Bez trudu rozpoznałam nosowy, wiecznie niezadowolony pisk dobywający się z koszmarnie ciasnej sypialni Kevina. Co ciekawe, drzwi były uchylone, no ale przecież zgodnie z planem przez najbliższe dwie godziny nie powinnam zjawić się w domu. Gdy szłam w kierunku łazienki, nie wydawało mi się, że podsłuchuję, ale - och, chyba starałam się ich skontrolować. Pragnienie podsłuchiwania przy drzwiach ogarnęło mnie już zeszłego wieczoru i jeszcze nie zniknęło.

- Hej, widzisz grube dupsko tego gliniarza wystające z majtek? - wspominał Lenny. - Jak uśmiech pracującego człowieka, szeroki od ucha do ucha! Założę się, że gdyby ten facet dłużej pobiegał, to mógłby pozbyć się brzucha.

Kevin raczej nie miał ochoty przyłączyć się do gderania Lenny'ego.

- No tak, masz szczęście, że Pan Plastik trzyma moją stronę. Ale żałuj, że nie słyszałeś, co tutaj się działo, Pugh. Normalnie jak w *Jeziorze marzeń*. Cholernie mdłe. Choć zdążyłem rozplakać się przed przerwą na reklamę naszych sponsorów.

- Hej, słyszę was! Kurde, tak jak z tymi glinami, tak, kurde, gładko ci poszło. Myślałem, że ten tłusty wieprz zabierze cię do jakiegoś małego pokoiku i wykopie ci całe gówno z dupy. Nieźle go wkurzałeś! *Muszę stanowczo zaprotestować, że to nie byłem mnie...*

- To nie byłem *ja*, gramatyczny półgłówku! I pamiętaj, matole, że jesteś moim

dłużnikiem.

- Jasne, bracie. Mam u ciebie dług. Wziąłeś wszystko na siebie. Jak jakiś superbohater. Normalnie jak - jakbyś był Jezusem!

- Mówię poważnie, koleś. To cię będzie drogo kosztowało - powiedział Kevin. - Bo ten twój nieistotny wyczyn mógł znacznie popsuć moją reputację. Mam pewne zasady. Każdy wie, że mam pewne zasady. Tym razem ocaliłem ci dupę, ale nie oczekuj, że następnym razem będzie tak samo. „Ratowania Dupy II” na pewno nie będzie. Nie chcę mieć z tym gównem nic wspólnego. *Skaly spadające z kładki dla pieszych*. To takie oklepane. Nie ma w tym żadnej klasy. Cholernie *banalne*.

*Eva*

3 marca 2001

*Drogi Franklinie,*

Sprytnie ułożyłeś to w jedną całość: czułam się zawstydzona z powodu fałszywych oskarżeń wobec Kevina, dlatego postanowiłam poprosić go, byśmy wyszli gdzieś we dwoje - takie wspólne wyjście matki i syna. Uważałeś, że to dziwny pomysł. A gdy tak ochoczo przyznałeś, że Kevin i ja powinniśmy częściej decydować się na takie rzeczy, wiedziałam, że ta idea nie spodobała Ci się. Szczególnie, gdy wbiłeś mi szpilę, mówiąc, żebyśmy lepiej unikali kładek dla pieszych, bo wiesz, Kev pewnie miałby nieodpartą chęć wrzucania wielkich mebli na drogę.

Byłam bardzo zdenerwowana perspektywą wspólnego wyjścia. Zmusiłam się jednak do tego, myśląc, że nie ma powodu narzekać na to, że twój nastolatek wcale z tobą nie rozmawia, skoro ty nigdy nie rozmawiasz z nim. Zdałam sobie sprawę z tego, że wycieczka do Wietnamu, którą zorganizowaliśmy sobie poprzedniego lata, była tą kroplą, która przelała czarę goryczy - trzy długie tygodnie nieustannych bliskich spotkań z rodzicami, podczas gdy żaden trzynastolatek nie chce być widziany ze swoimi starymi, nawet przez komunistów. Jeden dzień na pewno byłby łatwiejszy. Poza tym przed tamtą wycieczką wmusiłam w Kevina mój własny entuzjazm, zamiast postarać się zrobić to, na co on miał ochotę - cokolwiek by to było.

Moje niepewne przymiarki do zadania pytania sprawiły, że czułam się jak nieśmiała uczennica, która chciałaby zaprosić naszego syna na koncert rockowy. Gdy w końcu przyparłam go do muru - a tak naprawdę, to przyparłam siebie - w kuchni, poradziłam sobie z tym wyzwaniem, mówiąc:

- A tak przy okazji, chciałabym zaprosić cię na randkę.

Kevin popatrzył nieufnie.

- Po co?

- Tak po prostu. Żeby zrobić coś razem. Coś zabawnego.

- Zrobić co, na przykład?

To była ta część, której najbardziej się obawiałam. Próbę wymyślenia czegoś „zabawnego”, co można było zrobić razem z naszym synem, da się porównać z myśleniem o wspaniałej wycieczce, na którą jedzie się z kulą u nogi. Nienawidził sportów i obojętnie podchodził do większości filmów; jedzenie było sieczką, a przyroda denerwująca, rozpatrywana jedynie w kategoriach ciepła lub zimna i much. Wzruszyłam ramionami.



- Może zrobimy świąteczne zakupy, może zjemy razem kolację? - A potem wyjęłam mojego najlepszego asa z rękawa, idealnie trafiając w jego absurdalne wymagania: - I zagramy partię lub dwie w *minigolfa*.

Na jego twarzy pojawił się kwaśny półuśmiech, a ja w ten sposób zapewniłam sobie towarzystwo na sobotę. Teraz moim zmartwieniem był strój, jaki powinnam założyć na tę okazję.

W tej zamianie miejsc, przypominającej królewicza i żebraka, ja miałam wcielić się w rolę kochającej, troskliwej matki Kevina, a Ty tego dnia miałeś się stać opiekunem Celi.

- Jejku - wygłosiłeś ciętą uwagę - muszę wymyślić coś, co jej nie będzie przerażało. Odkurzanie chyba mogę wybić sobie z głowy.

Gdybym powiedziała, że naprawdę chciałam spędzić całe popołudnie i wieczór z moim drażliwym trzynastolatkiem, byłoby to sporą przesadą, ale prawdą jest, że ze wszystkich sił chciałam chcieć - o ile to w ogóle ma jakiś sens. Zdawałam sobie sprawę, że czas może nam się dłużyć, dlatego postanowiłam zaplanować dzień bardzo dokładnie: minigolf, zakupy na Main Street w Nyack, a na końcu porządna kolacja w miłej restauracji. To, że zupełnie nie interesowały go świąteczne prezenty i eleganckie jedzenie, nie stało przecież na przeszkodzie, by pokazać mu, że są to rzeczy, które robią wszyscy ludzie. Co do sportowej części naszej wyprawy, to chyba nikt nie interesuje się minigolfem. Pewnie dlatego był to dla niego najlepiej dobrany fragment dnia.

Przed wyjściem Kevin stawiał się w przedpokoju z wyrazem ponurej wyrozumiałości, tak jak skazany, który ma być przewieziony na miejsce odbywania kary (choć dwa lata później w dokładnie takich okolicznościach jego twarz pozostawała spokojna, zarozumiała i zbyt pewna siebie). Jego śmieszny, za mały, zrobiony z dzianiny strój golfisty miał kolor wścieklej pomarańczy, charakterystycznej dla ubrań więźniów - niezbyt twarzowy dla niego kolor, o czym mogłam później się jeszcze dobitnie przekonać - a mocno spięte ramiona sprawiały wrażenie, jakby był skuty kajdankami. Nisko zwisające gacie koloru khaki, które nosił od siódmej klasy, już wychodziły z mody: obecnie zapowiadały renesans długich do połowy łydki, obcisłych spodni.

Wskoczyliśmy do mojego nowego volkswagena luno w żółtym, metalicznym kolorze.

- Wiesz, w czasach mojej młodości - zaczęłam rozmowę - te garbusy były wszędzie. Rozklekotane, zwykle w niezbyt dobrym stanie, pełne biednych, długowłosych ćpunów, z piosenkami grupy Three Dog Night dobiegającymi z wnętrza. Kosztowały jakieś dwa tysiące pięćset dolarów. Współczesna wersja jest dziesięć razy droższa; wciąż mieści dwoje

dorośli i kota, ale teraz jest luksusowym samochodem. Nie wiem jak to nazwać - śmieszne, ironiczne.

Cisza. W końcu z trudem powiedział:

- To znaczy, że wydasz dwadzieścia pięć tysięcy tylko po to, by się okłamywać, że wciąż masz dziewiętnaście lat i wciąż nie potrzebujesz bagażnika.

- Cóż, chyba męczę cię tymi opowieściami z przeszłości - powiedziałam. - Tak jak remaki filmów *Grunt to rodzinka* i *Flintstonowie*. Ale gdy po raz pierwszy zobaczyłam to auto, zakochałam się. Luna nie kopiuje oryginału, a jedynie nawiązuje do niego. Poza tym stary garbus był niewygodny. Luna jest co prawda dość głośna podczas jazdy, ale mimo to jest zadziwiająco pięknym autem.

- Jasne - odparł Kevin. - Już kiedyś to mówiłaś.

Zarumieniłam się. To była prawda. Już to mówiłam.

Pojechaliśmy na małe, sympatyczne pole golfowe, zwane „9W Golf”. Zauważyłam, że Kevin nie wziął kurtki. Robiło się chłodno, a niebo było zachmurzone.

- Dlaczego nie włożyłeś kurtki! - wypaliłam. - Nigdy nie będzie ci wystarczająco nieprzyjemnie, prawda?

- Nieprzyjemnie? - zapytał. - Z moją własną matką?

Mocno zamknęłam drzwi, jednak solidna niemiecka robota sprawiła, że nie trzasnęły, a wydały jedynie stłumiony odgłos stuknięcia.

Bóg jeden wie, co sobie wtedy myślałam. Minigolf był całkowicie absurdalny, a ja chyba miałam nadzieję, że nada naszej wycieczce jakiś zachęcający element fantazji. A może zamiast tego spodziewałam się jakiegoś emocjonalnego przewrotu, bo przecież to, co dla mnie miało jakieś znaczenie, dla Kevina było bezwartościowe, a to, co dla mnie było bezwartościowe, dla niego miało jakieś znaczenie. Zawsze coś było nie tak. Zapłaciliśmy za bilety i przeszliśmy do pierwszego dołka - wanny ze zwiędłymi chwastami, chronionej przez gipsową żyrafę, która wyglądała jak kucyk z wykręconą szyją. Prawdę mówiąc, wszystkie modele stojące na torze były tandetne i niechlujnie wykonane, przez co nadawały temu miejscu atmosferę, jakby to Kevin powiedział, z dupy szczura. Na 9W było dość głośno i tłoczno, a Kevin tymczasem dostał gęziej skórki. Było mu zimno, a ja nie miałam nic przeciwko temu, ponieważ miałam wątle przekonanie, że jesteśmy na wspólnym wypadzie i, do cholery, będziemy się dobrze bawić.

Oczywiście każdy bez najmniejszego problemu mógł trafić piłką pomiędzy nogi wanny, gdyż odległość między nimi wynosiła prawie metr. Ale gdy z czasem tor stawał się trudniejszy - pod pociskiem, nad latarnią morską, pod wiszącym mostem, wokół baniek na

mleko, przez drzwi modelu budynku straży pożarnej Sparkhill-Palisades - Kevin odkładał na bok wyuczoną nieumiejętność rzucania frisbee w naszym ogródku, pokazując w zamian świetną koordynację i celność, o której nieraz wspominał jego instruktor łucznictwa. Jednak nie potrafiłam zrozumieć, skąd wzięła się jego miłość do tej gry; nie potrafiłam robić nic innego, jak tylko wspominać, że w wieku dwóch lat nudził się minigolfe po trzech uderzeniach piłki na podłodze. Jeśli chodzi o mnie, to wielka głupota minigolfa stała się tak rażąca, że ogarnęła mnie apatia i nie umiałam trafić do dołków. Nie mówiliśmy nic, a czas przejścia całego toru był stosunkowo krótki; nieustannie patrzyłam na zegarek. „Tak to jest być Kevinem”, pomyślałam. Minuta po minucie upływająca w żółwym tempie: na tym przez cały czas polega bycie Kevinem.

Na koniec gry Kevin stanął ze swoim kijem niczym wytworny dżentelmen, wciąż milczący, ale już z wyrazem twarzy mówiącym *i co teraz?*, tak jakby chciał dać mi do zrozumienia: „Dobrze, zrobiłem co chciałaś i mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowana”.

- Cóż - powiedziałam ponuro. - Wygrałeś.

Nalegałam, by wrócić do domu po jego kurtkę, choć tak wczesny powrót nieco mnie krępował - wyglądałaś na zdezorientowanego - a jazda z Nyack do Gladstone i ponownie do Nyack na zakupy wprowadzała jeszcze większą niezręczność. Swoją drogą, teraz, gdy Kevin już zniweczył mój jedyny, niekonwencjonalny pomysł na to popołudnie - obracając to w mechaniczną, lodowatą farsę - wyglądał na bardziej zadowolonego. Gdy zaparkowaliśmy (dość daleko od centrum, ponieważ ruch w połowie grudnia, jak zwykle o tej porze roku, był ogromny i nawet powinniśmy się cieszyć, że udało nam się znaleźć to miejsce), ku mojemu zaskoczeniu Kevin z własnej woli coś powiedział.

- Nie rozumiem, dlaczego obchodzicie *Boże Narodzenie*, skoro nie jesteście *chrześcijanami* - przeciągnął słowo *chrześcijanie* tak, by podkreślić znaczenie chrztu.

- Tak - przyznałam - to prawda, że twój ojciec i ja nie wierzymy, że jakiś wygadany młody człowiek, żyjący dwa tysiące lat temu, był synem Boga. Ale to przecież fajnie mieć wolne dni, prawda? Dzięki temu ta część roku jest szczególna, jest czymś, na co się czeka. Studiując antropologię w Greek Bay, nauczyłam się, że obserwowanie rytuałów kulturowych jest istotną rzeczą.

- Tak długo, jak długo są puste - Kevin podsumował energicznie.

- Myślisz, że jesteśmy hipokrytami.

- Ty to powiedziałaś - dodał. Ślizgał się wzdłuż Runcible Spoon, a później skręcił na Main Street, przykuwając uwagę kilku starszych nastolatków, wałęsających się przy Long Island Drum Center. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by uwagę dziewcząt zwróciła jego

ciemna, ormiańska cera. To raczej leniwa elegancja ruchów i w równym stopniu ubiór: ruszał się w jednostajnym tempie, jakby jechał na rolkach. W takim stylu jego wystające kości biodrowe na pewno nie mogły zostać zranione.

- To znaczy - powiedział, zręcznie mijając pieszych - chcesz zachować prezenty i pyszny ajerkoniak, ale odrzucasz modlitwy i nudne przygotowania do Wigilii. Chcesz cieszyć się dobrymi stronami, nie tracąc nic przez rzeczy związane z tą mniej zabawną stroną świąt.

- Można tak powiedzieć - zgodziłam się przezornie. - W szerszym sensie staram się tak robić przez całe moje życie.

- Fajnie, ale tylko wtedy, jeśli ci się to udaje - powiedział zagadkowo. - Nie wiem tylko, czy to jest zawsze możliwe - dodał i zakończył temat.

Rozmowa znów przygasła, a gdy prawie zostałam potrącona przez jakiegoś nastolatka, zaproponowałam na głos, że można by kupić Celi w prezencie świątecznym jedną z tych superlekkich, aluminiowych hulajnóg, które w ostatnim czasie stały się bardzo popularne.

- Wiesz, gdybyś kilka lat temu kupiła dzieciakowi na Boże Narodzenie taką hulajnogę, to rozpląkałby się, a później nawrzeszczał na ciebie.

Skorzostałam z okazji, by znów porozmawiać.

- Masz rację. To jedna z rzeczy, które niszczą ten kraj, ciągle zmieniająca się moda. Tak samo było z łyżworolkami, prawda? Nagła potrzeba. Coś, co trzeba było mieć. Ciągle... - ugryzłam się w język, patrząc na kolejnego dzieciaka mijającego nas na takiej hulajnodze. - Nie chciałabym, by Celia poczuła się zapomniana.

- Mamusiu. Pomyśl realnie. Celia będzie przecież cholernie przerażona. Będziesz musiała trzymać ją za rączkę wszędzie, gdzie pojedzie, albo będziesz musiała *nieść* ją, hulajnogę i całą resztę. Jesteś na to gotowa? Na mnie nie licz.

No dobrze. Nie kupiliśmy hulajnogi.

W zasadzie nie kupiliśmy niczego. Kevin doprowadził mnie do takiego stanu, że wszystko, co zaproponowałam, wydawało mi się bezsensowne. Patrzyłam na szaliki i czapki i nagle wydały mi się głupie lub niepotrzebne. Mieliśmy szaliki. Mieliśmy czapki. Nie wiem, czemu się nad tym zastanawiałam.

Choć żałowałam, że stracimy dobre miejsce parkingowe, to jednak byłam zadowolona z szansy zachowywania się jak prawdziwa matka i powiedziałam surowo, że wrócimy do domu i on przebierze się w *rzeczy o normalnym rozmiarze*, by odpowiednio wyglądał na kolacji. Jego beztraska odpowiedź „Skoro tak mówisz” uświadomiła mi bardziej ograniczenia mojej władzy, niż jej potęgę. Gdy w drodze do samochodu mijaliśmy Runcible Spoin, przy stoliku, przy oknie siedziała tęga kobieta, a jej deser lodowy był w takiej ogromnej,

amerykańskiej skali, której Europejczycy w równym stopniu nam zazdroszczą i którą dyskredytują.

- Zawsze, gdy widzę grubych ludzi, to oni akurat coś jedzą - powiedziałam ostrożnie, by nie dotarło to do uszu kobiety. - Nie wierzę, że to kwestia genów lub niewłaściwego metabolizmu. To po prostu jedzenie. Są tłuści, bo źle się odżywiają, jedzą zbyt dużo i cały czas.

Jak zwykle bez odpowiedzi, czy nawet mruknięcia lub potwierdzenia. Jednak chwilę później Kevin powiedział:

- Wiesz, może jesteś zbyt surowa.

Byłam tak zdziwiona, że zatrzymałam się.

- To chyba bardziej tyczy się ciebie.

- Pewnie. Zgadnij, od kogo się uczę.

W drodze do domu, za każdym razem, gdy chciałam coś powiedzieć - o bezczelnych i aroganckich kierowcach dużych samochodów, o jaskrawych świątecznych dekoracjach w Nyack - zdałam sobie sprawę z tego, że ciągle narzekałam i wygłaszałam jakieś uwagi. Byłam najwyraźniej typem człowieka, który, kierując się zasadą głoszącą *jeśli nie możesz powiedzieć czegoś miłego...*, najprawdopodobniej nie powiedziałaby nic. Nasza głucha cisza w lunie dawała przedsmak tego, czego mieliśmy doświadczyć wiele razy podczas spotkań w Claverack.

W domu Ty i Celia przez całe popołudnie pracowaliście nad ręcznie robionymi, świątecznymi dekoracjami, a Ty dodatkowo pomogłeś jej wpleść błyszczący łańcuch we włosy. Byłeś w kuchni i przygotowywałeś mrożone paluszki rybne, gdy z impetem wpadłam tam z sypialni, prosząc o zapięcie górnego guziczka mojej różowej, jedwabnej sukienki.

- No proszę - powiedziałaś. - Zupełnie nie wyglądasz na matkę.

- Chcę stworzyć odpowiednią atmosferę - wyjaśniłam. - Bardzo lubię tę sukienkę.

- Pewnie. Nadał mi się podoba - przyznałeś, zapinając guzik. - To rozcięcie na udach jest całkiem interesujące. Nie chcesz chyba, by poczuł się skrepowany.

- Kogoś krępuję, to pewne.

Wysłałam poszukać odpowiednich kolczyków i delikatnie spryskać się moimi perfumami Opium. Gdy wróciłam do kuchni, zauważyłam, że Kevin choć raz posłuchał mych prośb, gdyż ubrany był w garnitur w odpowiednim dla niego rozmiarze. Stał przy zlewie, odwrócony tyłem do mnie, ale nawet w takiej sytuacji mogłam zobaczyć, że jego czarne spodnie ze sztucznego jedwabiu leżały bardzo dobrze na wąskich biodrach i elegancko opadały na skórzane buty. Nie kupowałam mu tej białej koszuli; z długim rękawem i z

wdzięcznymi fałdami wyglądała jak strój szermierza.

Byłam wzruszona, naprawdę wzruszona i już miałam powiedzieć, jak pięknie wygląda, gdy nie nosi ubrań dla ośmiolatka, ale właśnie wtedy się odwrócił. W dłoniach trzymał kawał zimnego kurczaka. A raczej to, co z tego kurczaka zostało, gdyż piersi i jedną nogę zdążył już zjeść, a w tej chwili obgryzał drugie udko.

Prawdopodobnie zbladłam.

- Właśnie zamierzam zabrać cię na kolację. Dlaczego zjadasz prawie całego kurczaka tuż przed wyjściem?

Kevin otarł dłonią odrobinę tłuszczu z kącika ust, skrywającego przebiegły uśmiezek.

- Byłem głodny - przyznał. Był to rzadko spotykany akt przyznania się, jednak równie dobrze mógł to być podstęp. - Wiesz, w końcu dorastam, rozwijam się.

- Odlóż to natychmiast i bierz płaszcz.

Oczywiście, gdy tylko usiedliśmy w Hudson House, nasz *dorastający chłopak* dorósł już wystarczająco dużo w ciągu dnia, a wieczorem cały jego apetyt zniknął. Mogliśmy zjeść coś razem tylko w przenośnym sensie, ponieważ nie chciał jeść ani dania głównego, ani nawet przystawki, a od razu wolał zająć się koszykiem z bułeczkami. Rozdrobnił je na małe kawałki, jednak nie wydaje mi się, żeby zjadł choć jedną.

Wyzywająco zamówiłam dla siebie sałatkę i gołębią pierś na przystawkę, łososia i całą butelkę Sauvignon Blanc, którą chyba miałam zamiar opróżnić w całości.

- Więc - zaczęłam rozmowę, walcząc ze zmieszaniem, w jakie wprawiało mnie ascetyczne spojrzenie Kevina, który przyglądał się, jak jem sałatkę; byliśmy w restauracji, więc dlaczego miałabym się czuć winna z powodu jedzenia? - jak tam w szkole?

- Jakoś idzie - odparł. - Nie umiesz zapytać o nic więcej?

- Mogę zapytać cię o większą ilość szczegółów.

- Chcesz poznać mój plan lekcji?

- Nie - bardzo nie chciałam się zdenerwować. - Ale możesz powiedzieć mi, jaki jest twój ulubiony przedmiot w tym semestrze? - Zbyt późno przypomniałam sobie, że słówko *ulubiony* było według niego związane z tym rodzajem entuzjazmu, który starał się niszczyć.

- Możesz wywnioskować, że lubię wszystkie.

- Cóż - odparłam, mając kłopoty z ułożeniem na widelcu odpowiednio małego kawałka sałaty, by nie pobrudził mojej brody sosem miodowo-musztardowym. - Myślałeś o tym, by wziąć udział w jakichś zajęciach pozalekcyjnych?

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem, jakie później towarzyszyło moim pytaniom o menu stołówki w Claverack. Być może fakt, że nie raczył odpowiedzieć na to pytanie sprawił,

iż byłam zadowolona.

- A co możesz powiedzieć mi o swoich nauczycielach? Czy są wśród nich jacyś, wiesz, wyjątkowo...

- I jakich zespołów słuchasz w dzisiejszych czasach? - zapytał poważnie. - Możesz jeszcze zachęcić mnie do powiedzenia, czy w pierwszym rzędzie siedzi jakaś słodka, mała cipka, która mnie kręci. Sposób, w jaki możesz płynnie przechodzić między pytaniami, zależy tylko ode mnie, ale zanim opowiem o zaczepianiu dziewczyn na korytarzu, mogę zdecydować, że *poczekam*, aż będę *gotowy*. Koło deseru pewnie zapytałabyś o narkotyki. Ostrożnie, bo przecież nie chciałabyś mnie spłoszyć, bym się nie zamknął przed tobą. Zapytałabyś, jak *eksperymentowałem* z narkotykami, ale to wcale nie znaczyłoby, że w ogóle powinienem *eksperymentować*. W końcu, gdy już wypiłabyś całą butelkę wina, zadowolona, mogłabyś wrócić do domu i z błyszczącymi oczami powiedzieć, jak to wspaniale jest spędzić ze sobą *tak udany* wieczór. Później jeszcze przysunęłabyś się do mnie na fotelu i dała temu wyraz, *tuląc* mnie do siebie.

- No dobrze, Panie Szyderco - zostawiłam w spokoju moją sałatę. - O czym *ty* chcesz rozmawiać?

- To był twój pomysł. Ja nigdy nie mówiłem, że chcę rozmawiać o jakiegokolwiek pieprzonej rzeczy.

Przyjęliśmy pozycje do walki i patrzyliśmy na siebie nad moją gołębią piersią i konfiturą z czerwonej porzeczki. Zaczęłam kroić mięso. Kevin miał cudowny dar zmieniania przyjemności w bardzo ciężką pracę. Po trzech czy czterech minutach ciszy odezwał się, ale wywnioskowałam z tego jedynie to, że ulitował się nade mną. Później, w Claverack, nigdy nawet nie mrugnął pierwszy, ale przecież w Hudson miał dopiero czternaście lat.

- No dobra, mam *temat* - zaproponował figlarnie, wyciągając czerwoną kredkę z jednej z dekoracyjnych szklanek, wszechobecnych niczym te aluminiowe hulajnogi. - Zawsze narzekasz na ten kraj i mówisz, że chciałabyś być w Malezji czy gdzieś indziej. Co ci się tu nie podoba? Tak naprawdę to amerykański materializm!

Podobnie jak Kevin, gdy proponowałam tę randkę, spodziewałam się jakiejś pułapki, ale miałam przed sobą jeszcze danie główne i dwie trzecie butelki wina, a nie chciałam spędzić wieczoru, rysując kwadraciki na jednorazowych serwetkach.

- Nie, wydaje mi się, że to nie to - odpowiedziałam szczerze. - Zresztą, jakby to powiedział twój dziadek...

- *Materiały są wszystkim*. Więc w czym problem?

Z pewnością Cię to zaskoczy, ale w tamtym momencie nie potrafiłam wymyślić

żadnej złej rzeczy na temat Stanów Zjednoczonych. Często nie wiem, co powiedzieć w takich sytuacjach. Podobnie, gdy w samolocie odłożę książkę, a jakiś nieznajomy zapyta mnie, jakie inne powieści lubię czytać: patrzę z takim zdziwieniem, że mój sąsiad może dojść do wniosku, że to, co odłożyłam, to pierwsza powieść, jaką czytam w całym moim życiu. Moje nieufne podejście do Stanów Zjednoczonych było dla mnie bardzo cenne - nawet, jeśli, dzięki Tobie, przekonałam się do tego, by dać temu krajowi skąpy dowód uznania przynajmniej za bycie tak uduchowionym, zdolnym do improwizacji miejscem, które pomimo pozornej wygody skupiało w sobie imponującą liczbę zupełnych szaleńców. Nagle nie byłam zdolna wskazać choćby jednej negatywnej cechy tego kraju, którego tak nie lubiłam. Przez chwilę zaczęłam się nawet martwić, że może nie trzymam Stanów Zjednoczonych na dystans z powodu mojego skomplikowanego kosmopolityzmu, a jedynie z powodu jakichś błahych uprzedzeń.

Mimo wszystko na pokładzie samolotu zwykle udaje mi się wykrztusić, że uwielbiam powieść Paula Bowlesa *Pod osłoną nieba*. Później przypominam sobie o *Zakręcie rzeki* V.S. Naipaula, która przypomina mi o *Zabawie dziewczynek* Paula Therouxa i znów odzyskuję swą wiedzę na temat literatury.

- Jest brzydki - stwierdziłam.

- Co? Bursztynowe fale zboża?

- Kult fast foodów. Cała ta plastikowa rzeczywistość. Ciągnie się to przez cały kraj jak zaraza ziemniaczana.

- Mówiłaś, że podoba ci się Chrysler Building.

- Jest stary. Większość nowoczesnej amerykańskiej architektury jest straszna.

- Czyli ten kraj to dziura. Dlaczego niby w innych miejscach jest lepiej?

- Na razie nie miałeś okazji zobaczyć innych krajów.

- Wietnam to było zadupie. Jezioro w Hanoi strasznie śmierdziało.

- A nie wydawało ci się, że ludzie byli tam fantastyczni? Nawet po prostu fizycznie fantastyczni.

- Zabrałaś mnie do Azji, żebym popatrzył na tych żółtych popaprańców? To mogłem sobie wykupić jakąś wycieczkę przez Internet.

- Dobrze się bawisz? - zapytałam oschle.

- Bywało lepiej - odpowiedział i wrzucił do koszyka kulkę ulepioną z bułki. - Trafiony. Wszyscy faceci wyglądali tam jak dziewczyny.

- Ale, moim zdaniem, było przyjemnie nad jeziorem - upierałam się - nawet, jeśli nie pachniało zbyt dobrze. Interesujące było obserwowanie, jak Wietnamczycy płacą



właścicielom łaźniokowych wag za możliwość zważenia się, z nadzieją, że przytyli kilka kilogramów. Z biologicznego punktu widzenia to dość rozsądne.

- Postaw tych żółtków przy ogromnym zbiorniku z frytkami na odpowiednio długi czas i roztyją się tak, że będą szersi niż wyżsi, tak jak szczury mieszkające w supermarkecie w New Jersey. Myślisz, że tylko Amerykanie są zachłanni? Nie interesuję się zbytnio historią Europy, ale nie wydaje mi się.

Gdy podano łososa, na którego, szczerze mówiąc, już nie bardzo miałam apetyt, zaczęłam stukać palcami po stole. Szeroki na całą ścianę obraz morza w Hudson House sprawiał, że w tej śnieżnobiałej koszuli z szerokimi rękawami, podniesionym kołnierzem i dekoltem w serek Kevin mógłby pozować na Errola Flynna w filmie *Kapitan Blood*.

- Akcent - powiedziałam. - Nienawidzę go.

- To przecież także i twój akcent - odparł.

- Uważasz, że jest pretensjonalny.

- A ty nie?

Zaśmiałam się przez chwilę.

- No dobrze, jest pretensjonalny.

Coś się rozluźniało, a ja pomyślałam, że może to wspólne „wyjście” nie było takim złym pomysłem. Może do czegoś dojdziemy. Zaczęłam kontynuować rozmowę, już bez żartów.

- Chcesz usłyszeć jedną rzecz, której nie mogę ścierpieć w tym kraju? To brak odpowiedzialności. Wszystko, co jest złego w życiu Amerykanina, jest winą jakiegoś innego człowieka. Wszyscy palacze, którzy pozywają producentów papierosów i domagają się milionowych odszkodowań, od *czterdziestu lat* doskonale zdają sobie sprawę z ryzyka. Nie potrafią rzucić palenia? Najlepiej zrzucić winę na koncern Phillip Morris. Kolejna rzecz, o której dobrze wiesz, to grubasy, które będą pozywać do sądu sieci restauracji typu fast-food, bo zjedli za dużo Big Maców! - przerwałam na chwilę, zdając sobie sprawę z tego, co mówię.

- Wiem, że już to kiedyś słyszałeś.

Kevin nakręcał mnie jak zabawkę. Intencje i złośliwy wyraz twarzy miał taki sam, jak chłopak, którego ostatnio widziałam w parku Tallmana. Dzieciak za pomocą zdalnego sterowania tak kierował swoim samochodzikiem, by ten spadł ze skały.

- Raz czy dwa razy - przyznał Kevin z wymuszonym uśmiechem.

- Wyczynowi piechurzy - powiedziałam.

- Co z nimi?

- Wkurzają mnie - odparłam. Oczywiście to też już słyszał. Ale nie w całości, bo do tej

chwili nie wyłożyłam swej myśli. - Tutejsi ludzie nawet nie potrafią zwyczajnie *pójść na spacer*. Nawet to muszą robić według ściśle określonego programu. I wiesz co, być może to jest tym, co leży u podstaw *mojego problemu*. Wszystkie te nieuchwytnie, niematerialne wartości związane z życiem, naprawdę dobre, ale ulotne rzeczy, które nadają życiu jakąś wartość. Amerykanie sprawiają wrażenie, jakby wierzyli, że można to otrzymać, zapisując się do jakiejś grupy, wykupując subskrypcję, stosując dietę lub przechodząc aromaterapię. I nie tylko to, że sądzą, iż mogą kupić wszystko; uważają też, że jeśli postępujesz zgodnie ze wskazówkami zawartymi na etykiecie, to produkt musi działać. A gdy produkt nie działa i dalej są nieszczęśliwi, mimo że prawo do szczęścia zapisane jest w Konstytucji, winy za ten stan rzeczy szukają wszędzie, tylko nie u siebie.

- Co masz na myśli, mówiąc *nieuchwytnie*? - zapytał Kevin.

- *Cokolwiek*, jak to mówią twoi koledzy. Miłość, radość, zrozumienie. - Do Kevina równie dobrze mogłam mówić o zielonych ludzikach mieszkających na Księżycu. - Rzeczy, których nie można zamówić w Internecie, nauczyć się na jakimś kursie lub przeczytać w podręczniku. To nie jest takie łatwe, choć może i jest łatwe... tak proste, że próbowanie, postępowanie zgodnie ze wskazówkami... Nie wiem.

Kevin bazgrał coś kredką na papierowym obrusie.

- Coś jeszcze?

- Oczywiście, że tak - powiedziałam, czując przyływ natchnienia, tak jakbym podczas podróży samolotem przypominała sobie moją wiedzę o literaturze i mówiła o *Pani Bovary*, *Judzie nieznanym* i *Drodze do Indii*. - Amerykanie są grubzi, nie potrafią się wysłowić i są ignorantami. Są pożądlivi, władczy i zepsuci. Są zadufani w sobie, zapatrzeni w swoją ukochaną demokrację i protekcyjnie odnoszą się do innych narodowości, bo uważają, że to właśnie oni mają rację. Nie wspominając o tym, że połowa dorosłych wcale tu nie głośuje. I są też samochwałami. Wierzysz lub nie, ale w Europie nie akceptuje się natychmiastowego narzucania się nowym znajomym i opowiadania im, że skończyłeś Harvard, masz wielki dom, ile on kosztował i jakie słynne osobistości pojawiają się u ciebie na kolacji. Amerykanie nie dopuszczają do siebie także tego, że w pewnych miejscach opowiadanie o analnym seksie z osobą znaną od pięciu minut może zostać uznane za prostackie i ordynarne, bo cała koncepcja prywatności w tym kraju już od dawna przestała istnieć. Wszystko dlatego, że wierzą w winę i niewinność w sposób, który jest bardzo głupi. I co najgorsze, nie mają pojęcia, że cała reszta świata ich nie znosi.

Mówiłam zbyt głośno, jak na tak małe pomieszczenie i tak nieprzyjemne tematy, ale byłam niezwykle podekscytowana. Po raz pierwszy w życiu mogłam normalnie porozmawiać

ze swoim synem i miałam nadzieję, że przekroczymy Rubikon. W końcu mogłam zwierzyć się z rzeczy, w które szczerze i mocno wierzyłam, a nie były one tylko tradycyjnym wykładem: *proszę, nie wyrywaj nagrodzonych róż Corleyów*. Zaczęłam w dzieciństwie naiwny sposób, pytając o szkołę, jednak on wolał poprowadzić rozmowę niczym znający się na rzeczy dorosły, który zabawia konwersacją swego towarzysza. W konsekwencji jednak byłam z niego bardzo dumna. Zamierzałam właśnie wygłosić jakąś pochwałę, gdy Kevin, który uważnie i szybko coś pisał kredką na papierowym obrusie, popatrzył na mnie, po czym z uznaniem spojrział na zapisaną serwetę.

- No, no - powiedział. - Całkiem sporo przymiotników.

*Zaburzenia uwagi i brak nadpobudliwości ruchowej* w pigułce. Gdy tylko chciał, Kevin był pilnym i zdolnym uczniem, a tym razem nie bazgrał na obrusie; robił notatki.

- Popatrzmy - rzekł, spoglądając w zapiski i podkreślając równocześnie niektóre słowa czerwoną kredką. - *Zepsuci*. Jesteś bogata. Nie jestem pewny, co robisz, gdy nie jestem przy tobie, ale założę się, że mogłabyś równie dobrze funkcjonować bez tych rzeczy. *Władczy*. Całkiem dobry opis wystąpienia, które wygłosiłaś przed momentem; na twoim miejscu nie zamawiałbym deseru, bo możesz być pewna, że kelner smarknie ci gluta do malinowego sosu. Nie potrafią się wysłowić! Co my tu mamy... - Przejrzał zapiski na serwecie i przeczytał głośno - *To nie jest takie łatwe, choć może i jest łatwe... Nie wiem*. Moim zdaniem to nie jest Szekspir. W dodatku wydaje mi się, że siedzę naprzeciwko kobiety, która wygłasza długie tyrady o reality-show, a sama nigdy nie oglądała nawet jednego odcinka. A to jest jedno z twoich ulubionych słów, mamusiu, właśnie *ignorancja*. Dalej: *samochwały*. A czym jest to twoje tamci-głupi-debilni-skretyniali-idioci-a-ja-jestem-dużo-lepsza-od-nich, jeśli nie przykładem zbyt wysokiego mniemania o sobie? Dokładnie tak jak ktoś, kto *uważa, że to właśnie on ma rację*, a cała reszta jest w błędzie. *Wiara... nie mają pojęcia, że cała reszta świata ich nie znosi* - podkreślił to, a później popatrzył mi w oczy z nieukrywanym wstrętem.

- Cóż. O ile się nie mylę, to jedyną rzeczą, która sprawia, że nie można wrzucić cię do jednego worka z tymi durnymi Amerykanami, jest to, że nie jesteś *thusta*. A właśnie dlatego, że jesteś chuda, jesteś *zadufana w sobie, protekcyjnalna* i *wyniosła*. Może lepiej, gdyby moja matka była grubą krową, która przynajmniej nie myślałaby, że jest lepsza niż wszyscy inni w tym pieprzonym kraju.

Zapłaciłam rachunek i wyszliśmy. Do czasu spotkań w Claverack nie organizowaliśmy już żadnego wspólnego wyjścia matki i syna.

Zniechęcona do zakupu hulajnoży, sprawiłam sobie nie lada kłopot, gdyż w końcu jako

święteczny prezent kupiłam Celi „ryjoscoczka krótkouchego”. Gdy kiedyś zwiedzaliśmy pawilon małych ssaków w zoo na Bronksie, Celia była zachwycona tym nietypowym, różniącym się od reszty otoczenia zwierzątkiem, które wyglądało jak skrzyżowanie słonia z kangurem, doprawione kilkoma pokoleniami myszy. Import prawdopodobnie był nielegalny - jeśli nawet niebezpośrednio zagrożony karą. Ten mały zwierzak rodem z Republiki Południowej Afryki w zoo był opisany jako „gatunek zagrożony wyginięciem” - co raczej nie pomagało mi w zakupie, w dodatku Ty stawałeś się coraz bardziej zniecierpliwiony. W końcu udało nam się zamknąć sprawę. Miałaś zająć się swoimi sprawami, ponieważ znalazłam w Internecie sklep zoologiczny specjalizujący się w „niezwykłych” zwierzętach, a ja swoimi, gdyż kupiłam Kevinowi na Gwiazdkę kuszę.

Nigdy nie powiedziałam Ci, ile zapłaciłam za prezent dla Celi. Teraz też raczej Ci nie powiem. Wystarczy, że przyznam, iż raz na jakiś czas przyjemnie jest poczuć się bogatym. Ryjoscoczek krótkouchy był bardzo interesującym zwierzątkiem z długimi, odstającymi uszami, nieproporcjonalnie dużymi w porównaniu z resztą ciała. Był też bez wątpienia najbardziej udanym prezentem, jaki kiedykolwiek komuś wręczyłam. Celia byłaby zaskoczona paczką dropsów, ale nawet nasza ugodowa córka potrafiła wyrażać różne stopnie euforii. A gdy odpakowała duże terrarium, oczy wyszły jej z orbit. Zaraz po tym wpadła w moje ramiona i zalała mnie szerokim strumieniem podziękowań. Bez przerwy wstawiała od świętecznej kolacji, by sprawdzić, czy w terrarium jest wystarczająco ciepło lub by nakarmić zwierzątko suszonymi borówkami. Natychmiast zaczęłam się martwić. Dzikie zwierzęta nie zawsze dobrze radzą sobie w obcych środowiskach, a tak łatwo psujący się prezent dla tak wrażliwego dziecka był prawdopodobnie nierozważnym pomysłem.

W sumie jednak mogłam kupić jej tego Nosacza, jak nazywała go Celia, dla niej i dla mnie choćby z tego powodu, że jego głębokie oczy, delikatność i wrażliwość przypominały mi Celię. Długie, puszyste futro przywodziło mi na myśl jej włosy, a ponadto ta trzykilogramowa kula kłaków wyglądała tak, jakby miała zamiar rozprysnąć się na wietrze niczym dmuchawiec. Balansując na poślawkach, które bardziej przypominały wątle szczudła, przyjmując pozycję pionową, Nosacz wyglądał niepewnie. Jego charakterystyczny pyszczek w kształcie trąbki wędrował po wysypanym piaskiem terrarium w sposób jednocześnie śmieszny i ujmujący. Zwierzę częściej skakało niż biegło, a jego przywiązanie do ograniczonego świata terrarium było radosne i przepełnione optymizmem, z jakim Celia miała wkrótce stawić czoła swoim przeciwnościom losu. Choć ryjoscoczki krótkouchy nie są typowymi wegetarianami - jedzą różnego rodzaju owady - ogromne, brązowe oczy nadawały Nosaczowi bojaźliwy, strachliwy wygląd, zupełnie niepodobny do drapieżnika. Z punktu

widzenia budowy ciała Nosacz, podobnie jak Celia, był raczej ofiarą.

Zdając sobie sprawę, że jej zwierzątko nie powinno być otaczane nadmierną opieką, córka nerwowo wkładała palec przez drzwiczki terrarium, by dotknąć jego żółtobrazowego futra. Gdy przychodzili do niej znajomi, zamykała drzwi do sypialni i pozwalała im bawić się tylko tymi bardziej wytrzymałymi zabawkami. Być może zaczęła się uczyć, o co zresztą się modliłam, jacy tak naprawdę mogą być inni ludzie. Celia była lubiana częściowo z tego powodu, że zapraszała do domu dzieci, które były odrzucone przez innych - takie jak rozpuszczona, wrzaskliwa Tia, której matka miała czelność doradzić mi, że lepiej byłoby „gdyby Tia wygrywała w grach planszowych”. Celia doskonale zdała sobie z tego sprawę bez mojej ingerencji, gdyż pewnego razu po wyjściu przyjaciół zapytała mnie wprost:

- Czy to dobrze oszukiwać, by przegrać w grze?

Przypatrując się, w jaki sposób nasza córka opiekuje się Nosaczem, w jej zachowaniu, wyrażaniu emocji doszukiwałam się jakiejś stanowczości, mocy, która wskazywałaby na to, że potrafi również chronić samą siebie.

Niechcący zaczęłam też rozważać możliwość śmierci zwierzaka, ale Celia, ku mojej ogromnej radości, troszczyła się o niego w imponujący sposób. Miała dopiero sześć lat, ale ja zaczęłam się martwić o to, że nigdy nie będzie piękna - że nie będzie w stanie równie pieczołowicie zająć się sobą. Miała Twoje usta, zbyt szerokie na jej małą główkę; jej wargi były wąskie i praktycznie bezbarwne. Drżąca twarz roztaczała wokół niej aurę ostrożności. Włosy, tak jedwabiste i cienkie, rosły prosto, bez żadnych loków i fal, a ich złoty kolor zapowiadał, że gdy będzie miała kilkanaście lat, staną się bladymi, wypłowiałymi włosami w kolorze blond. Ale czy to nie prawda, że piękność jest nieco tajemnicza? Celia była zbyt prostoduszna, by cokolwiek zataić. Miała bardzo szczerą twarz, a w wizerunku osoby, która jest w stanie wszystko ci powiedzieć, jest coś bezwzględnie nieinteresującego. Cóż, już sobie wyobrażałam: stałaby się taką nastolatką, która zakocha się w przewodniczącym rady uczniowskiej, nawet niemającym pojęcia, że ona istnieje. Celia zawsze bez trudu odkryłaby swoje karty. Później - w zbyt młodym wieku - zamieszkałaby ze starszym od niej mężczyzną, który skrzywdziłby jej dobroduszną naturę, który zostawiłby ją dla innej, bardziej dorodnej kobiety wiedzącej, jak się ubrać. Ale przynajmniej zawsze przyjeżdżałaby do nas na święta, a w dodatku miałyby możliwość stania się dużo lepszą matką niż ja.

Kevin raczej unikał Nosacza, uznając, że to imię jest czymś, co znieważa nastoletniego chłopca. Zdecydowanie bardziej wolał łapać pająki i świerszcze, a później wrzucać żywy pokarm do klatki - typowe dla chłopca, a dla Kevina było to zajęcie idealne, tym bardziej, że Celia była zbyt wrażliwa. Ale chłodne, śmiertelnie poważne dokuczanie było

bezlitosne. Na pewno doskonale pamiętasz ten wieczór, gdy podałam przepiórkę, a on przekonywał ją, że ten kawałek mięsa na jej talerzu był wiesz kim.

Wiem, Nosacz był tylko zwierzakiem, bardzo drogim zwierzakiem i jakiś niezbyt radosny koniec jego życia był nieunikniony. Powinnam pomyśleć o tym wcześniej, zanim dałam jej to małe stworzenie, choć z drugiej strony nie mam wątpliwości, że unikanie obawy przed utratą czegoś jest równocześnie unikaniem życia. Miałam nadzieję, że Nosacz będzie dłużej towarzyszył Celi, ale to i tak nie sprawiłoby, że nieszczęście zniosłaby łatwiej.

Ta noc w lutym 1998 roku to jedyny przykład, który pamiętam, gdy Celia coś ukrywała. Latała po całym domu, czołgała się po podłodze, podnosiła narzutę kanapy, zaglądała pod sofę, ale gdy zapytałam jej, czego szuka, odpowiedziała bardzo lakonicznie: - Niczego. Wędrowała na czworakach po wszystkich pokojach także po godzinie, po której powinna być już w łóżku. Wciąż nie chciała powiedzieć, co się stało, ale błagała, by mogła pobawić się jeszcze trochę. W końcu uznałam, że już wystarczy tego dobrego i mimo protestów zapędziłam ją do łóżka. Takie zachowanie zupełnie nie było w jej stylu.

- Jak się miewa Nosacz? - zapytałam, próbując jednocześnie odwrócić jej uwagę, gdy włączałam światło.

Jej ciało zeszywniało, a gdy położyłam ją na materacu, nawet nie spojrzała na klatkę.

- W porządku - szepnęła.

- Nie widzę go w klatce - zauważyłam. - Ukrywa się?

- Tak, ukrywa się - odparła jeszcze ciszej.

- Może odszukasz go dla mnie?

- *Ukrywa się* - powtórzyła, wciąż nie spoglądając na klatkę.

Ryjoskoczek rzeczywiście spał czasami wciśnięty w róg lub pod gałęzią, ale gdy zaczęłam szukać go w terrarium, nie zauważyłam nawet włosa.

- Nie pozwoliłaś Kevinowi bawić się z Nosaczem, prawda? - zapytałam ostro. Tym tonem mogłam równie dobrze zapytać o to, czy nie włożyła Nosacza do robota kuchennego.

- To wszystko moja wina! - wykrzyknęła i zaczęła szlochać. - My-myślałam, że zamknęłam drzwiczki, ale chyba za-za-za-zapomniałam! Bo gdy przyszłam tu po kolacji, to były otwarte, a jego nie było! Szukałam wszędzie!

- Ciii, spokojnie, znajdziemy go - próbowałam ją uspokoić, ale bez skutku.

- Jestem głupia! Kevin tak mówi i ma rację. Jestem głupia! Głupia, głupia, głupia! - Tak mocno uderzyła się zaciśniętą pięścią w skroń, że musiałam złapać ją za rękę.

Miałam nadzieję, że jej płacz samoistnie się skończy, ale smutek małych dziewczynek ma niesamowitą moc trwania, w dodatku siła jej samoobwiniania była tak wielka, że skłoniła

mnie do złożenia fałszywych obietnic. Zapewniłam ją, że Nosacz na pewno nie odszedł zbyt daleko i z pewnością wróci do klatki jeszcze tej nocy. Wierząc w moje perfidne obietnice, Celia wzdrygnęła się, a później spokojnie zasnęła.

Szukaliśmy chyba do trzeciej nad ranem - i tu znowu muszę podziękować Ci za pomoc. Rano miałeś wykonać kolejne zlecenie i oboje musieliśmy pójść do pracy niewyspani. Przeszukaliśmy chyba wszelkie możliwe zakamarki; odsunąłeś nawet suszarkę, a ja dokładnie przejrzałam kosz na śmieci. Mruczając dobrotliwie „Gdzie jest ten mały rozbójnik?”, zdjąłeś wszystkie książki z dolnych półek, podczas gdy ja szukałam go w koszu na pranie.

- Nie chcę pogarszać sprawy stwierdzając: „a nie mówiłem” - powiedziałeś, gdy oboje w salonie padliśmy na sofę z kłębami kurzu we włosach. - Naprawdę uważam, że był uroczy. Ale to rzadkie, delikatne zwierzątko, a ona jest dopiero w pierwszej klasie.

- Ale była taka skrupulatna. Nigdy nie zapomniała, by dać mu wody, nigdy nie karmiła go zbyt dużą ilością jedzenia. A teraz miałyby zapomnieć zamknąć drzwiczek?

- Eva, ona jest roztargniona.

- Masz rację. Chyba mogłabym zamówić kolejnego...

- Zapomnij o tym. Jedna lekcja śmiertelności w ciągu roku wystarczy.

- Myślisz, że wyszedł na zewnątrz?

- Jeśli tak, to na pewno już umarł z zimna - powiedziałeś wesoło.

- Dzięki.

- Lepiej *niż psy*...

To była historia, którą następnego dnia przygotowałam dla Celii: Nosacz wyszedł pobawić się na zewnątrz, gdzie był znacznie szczęśliwszy, miał świeże powietrze i dużo zwierzęcych przyjaciół. No bo dlaczego miałabym tego nie wykorzystać? Celia uwierzyłaby w każde kłamstwo.

Było mi wszystko jedno. Zamierzałam przypomnieć sobie troski naszej córki z tamtego tygodnia, ale nie te codzienne, zwykłe. W tych okolicznościach mam jednak dobry powód, by przypomnieć o dziecięcej, weekendowej kąpieli. Janis miała wolne do poniedziałku, a ja wykorzystywałam każdą okazję, by samodzielnie zająć się domem. Tak więc wlałam do odpływu kilka kropel płynu Lkjuid-Plumr, rozpuszczonego w szklance wody, i pozwoliłam, by osiadł, zgodnie z instrukcją. Później spłukałam wszystko wodą. Poważnie wyobrażałeś sobie, że po tak długim czasie zmienię moją opowieść? *Odłożyłam ją.*

*Eva*

8 marca 2001

*Drogi Franklinie,*

Mój Boże, była kolejna. Powinnam się zorientować w poniedziałek po południu, gdy wszyscy moi współpracownicy nagle zaczęli mnie unikać.

Standardowa sytuacja. Na przedmieściach San Diego piętnastoletni Charles „Andy” Williams - chudy, skromnie wyglądający biały chłopak o cienkich wargach i zmierzwionych włosach przypominających udeptany dywan - do Santana High School w plecaku przyniósł pistolet, popularną dwudziestkę dwójkę. Schował się w męskiej toalecie i tam zastrzelił dwie osoby. Wyszedł na korytarz i zaczął strzelać do wszystkiego, co się rusza. Dwóch uczniów zginęło, a trzynaścioro zostało rannych. Później znów ukrył się w toalecie. Policja znalazła go tam, trzęsącego się na podłodze z pistoletem przyłożonym do głowy. Skomlał, zupełnie niestosownie do sytuacji, „To tylko ja”; aresztowano go bez żadnych problemów. Teraz już nawet nie trzeba mówić, że dopiero co zerwał ze swoją dziewczyną - dwunastolatką.

Co ciekawe, w poniedziałkowych wiadomościach wieczornych kilku uczniów ze szkoły opisywało strzelca tak jak zwykle, jako „wytykanego palcami”, prześladowanego „dziwaka, palanta i ofiarę życiową”. Kilkoro innych dzieci przyznało jednak, że Andy miał wielu znajomych, na pewno nie był osobą niepopularną lub jakoś wyjątkowo niechlujną. Ich zdaniem był raczej miłym i lubianym chłopcem. Późniejsze relacje z pewnością zaskoczyły widzów, bo gdy Jim Lehrer po raz kolejny przedstawiał dziś wieczorem tę historię, stawiając ponownie pytania *dlaczego, dlaczego, dlaczego*, wszystkie opisy podobne do „lubianego” były usunięte. Jeśli Andy Williams nie był „zastraszony”, nie wpisywał się w modną obecnie interpretację „zemsty ofiary”, która miała przekonać obywateli nie do ograniczenia dostępu do broni palnej, a do zastanowienia się nad cierpieniami młodzieży zepchniętej na margines.

W związku z tym, gdy „Andy” Williams jest teraz prawie tak znany, jak jego opiewany odpowiednik, wątpię, by w całym kraju znalazł się choć jeden widz wiadomości, który byłby w stanie wymienić nazwiska dwóch uczniów zamordowanych przez niego - dwóch nastolatków, którzy nigdy nie zrobili niczego złego poza tym, że na przerwie poszli do ubikacji. Jak później relacjonowali ich koledzy, obaj nie chcieli wychodzić z lekcji geometrii: Brian Zuckor i Randy Gordon. Z powodu, jak to sobie tłumaczyłam, obywatelskiego obowiązku, zapamiętałam te dwa nazwiska.

Przez całe życie miałam wiele okazji, by słuchać opowieści rodziców o przerażających



wydarzeniach, w których coś się stało ich dzieciom: chrzest dokonany za pomocą garnka z gotującym się gulaszem z indyka lub pościg śladami krnąbrnego kota, który wyskoczył z okna mieszkania na trzecim piętrze. Przed rokiem 1998 zwykle twierdziłam, że wiem, o czym mówili - lub o czym nie mówili, bo bardzo często wokół takich historii stoi odpowiednio wysoki płot prywatności, do której pełny dostęp, tak jak na oddziale intensywnej terapii, ma tylko najbliższa rodzina. Zawsze w pełni respektowałam te ograniczenia. Jakikolwiek osobiste katastrofy innych ludzi są zastrzeżone, a ja byłabym wdzięczna za tabliczkę z napisem „Zakaz wstępu”, za którą mogłabym ukryć ulgę, że moi ukochani są bezpieczni. Wciąż tylko mogłam sobie wyobrazić, że z grubsza wiedziałam, co kryje się po drugiej stronie. Czy to córka, czy dziadek, cierpienie to cierpienie. Cóż, przepraszam za moje przypuszczenia. Nie miałam pojęcia.

Gdy jesteś rodzicem, nieważne, co się stało, nieważne, jak daleko właśnie byłeś i jak niewiele mogłeś zrobić, by temu zapobiec, każde nieszczęście swego dziecka traktujesz jako swoją winę. Dla dzieci jesteś wszystkim, co mają, a ich poczucie, że zawsze będziesz je chronił, jest zaraźliwe. To tak na wszelki wypadek, Franklinie, gdybyś pomyślał, że znów chcę zrzucić z siebie odpowiedzialność. Ogólnie rzecz biorąc, to ciągle czuję się winna i ogólnie rzecz biorąc, wtedy też czułam się winna.

Chciałam choćby w minimalnym stopniu utrzymać kontrolę nad wychowywaniem naszego potomstwa. Zatrudniliśmy Roberta, studenta sejsmologii z Ziemińskiego Obserwatorium Lamonta-Doherty'ego, który miał odbierać Celię ze szkoły i być z nią w domu, dopóki któreś z nas nie wróci z pracy. I tak powinno zostać. Wbrew wszystkiemu, udało nam się zatrzymać Roberta - choć groził, że odejdzie - ponieważ wytłumaczyliśmy mu, że Kevin jest na tyle dorosły, że potrafi zadbać sam o siebie, a jego obowiązkiem jest jedynie opiekowanie się Celią. Ty jednak zaczęłaś swoje wykłady na temat odpowiedzialności. Kevin miał czternaście lat, tyle, ile wielu opiekunów do dziecka w naszym sąsiedztwie. Jeśli Kevin miał się stać osobą godną zaufania, musiał przejść próbę; jasne, brzmiało dobrze. W związku z tym powiedziałeś naszemu opiekunowi, że gdy Kevin skończy dziewiątą klasę i będzie wystarczająco dojrzały, by opiekować się Celią, Robert będzie mógł odejść. To rozwiązało problem, który się pojawiał, gdy utknąłeś w korku, a ja musiałam dłużej zostać w pracy, tymczasem Robert mógł wpaść w kłopoty (mimo że był świetnie zorganizowany), siedząc na Palisades Parade, zamiast być w obserwatorium, gdzie powinien prowadzić badania.

Gdy staram się przypomnieć sobie wydarzenia z tamtego poniedziałku, mój umysł miotał się, niczym mocno rzucona kula na uwięzi. Wspomnienie krąży wokół mnie, a gdy tak stoję w środku, mocno uderza mnie w głowę.

Znów trochę dłużej zostałam w pracy. Nowe ustalenia z Robertem sprawiły, że nie czułam się już tak winna, zostając godzinę dłużej, tym bardziej, że AWAP zaczął tracić przodownictwo w sektorze przewodników proponujących tanie podróże. Mieliśmy już dużo większą konkurencję niż wtedy, gdy zaczynałam - *The Lonely Planet* i *The Rough Guide* rozwijały się szybko; w dodatku, przy sporym wzroście zamożności Amerykanów, zainteresowanie naszymi naprawdę tanimi wycieczkami, w których się specjalizowaliśmy, mocno spadło. Pracowałam więc nad propozycją nowej serii, *Wing and a Prayer dla Młodzieży Lat 50*, która miała być skierowana do osób dość zamożnych, z dostępem do Internetu, prawdopodobnie nieco otyłych, z nostalgią wspominających swoje pierwsze wycieczki do Europy w latach sześćdziesiątych, z przewodnikiem AWAP-u w dłoni, przekonanych, że duchem wciąż są młodzi, przyzwyczajonych do win za 30 dolarów, ale równocześnie próżnych, żadnych przygód i komfortu, o ile nie było to równoznaczne z tym, co opisywał nudny *Blue Guide*, którym posługiwali się ich rodzice - gdy zadzwonił mój telefon.

Powiedziałeś, bym jechała ostrożnie. Dodałeś też, że już jest w szpitalu i nic więcej nie mogę zrobić. Zapewniłeś mnie, że jej życie nie jest zagrożone. Powtarzałeś to kilka razy. To wszystko była prawda. Później powiedziałaś, że „wszystko będzie dobrze”, co już nie było prawdą, choć dla większości osób, przekazujących złe wiadomości, chęć wypowiedzenia tego nieprawdziwego zdania jest niemożliwa do odparcia.

Nie miałam wyboru i musiałam jechać powoli, ponieważ ruch na moście Waszyngtona był tak duży, że prawie stałam w miejscu. Gdy w końcu w poczekalni zobaczyłam Twoją zasmuconą twarz, zdałam sobie sprawę z tego, że jednak ją kochasz i zaraz zbeształam się za to, że czasami miałam wątpliwości. Kevina nie było z Tobą. Ulżyło mi, bo byłam w stanie wydrapać mu oczy.

Twój uścisk rzadko kiedy miał w sobie tak niewiele pocieszenia. Tuliłam Cię mocniej i mocniej, by coś z tego wycisnąć, tak jakbym do ostatniej kropli wyciskała tubkę kremu do rąk.

Już na wstępie wyjaśniłeś mi, że była na sali operacyjnej. Gdy jechałam do szpitala, zawiozłeś Kevina do domu, bo w gruncie rzeczy nie było nic do roboty, poza czekaniem. Nie było więc sensu, by dla jej brata sytuacja stała się jeszcze trudniejsza. Zastanawiałam się jednak, czy nie zabrałeś go z poczekalni po to, by ochronić go przede mną.

Siedzieliśmy na takich samych zielonych metalowych krzesłach jak wtedy, gdy z przerażeniem oczekiwałam na to, czy Kevin powie lekarzom prawdę o swoim złamaniu. Być może, przypuszczałam ze smutkiem, przez ostatnie osiem lat *czekał na swój moment*.

- Nie rozumiem tego, co się stało - powiedziałam. Byłam cicha; nie krzyczałam.

- Przecież ci mówiłem. Przez telefon - odparłeś.

- Ale to nie ma sensu - mój głos w żadnym wypadku nie brzmiał kłótliwie. Po prostu był bezradny. - Dlaczego miałaby - co chciała z tym zrobić?

- Dzieciaki - wzruszyłeś ramionami. - Pewnie chciała się tym pobawić.

- Ale ona, och... - W głowie miałam pustkę. Musiałam odtworzyć sobie to wszystko, co chciałam powiedzieć, powtarzając w myślach całą rozmowę, gdzie byliśmy, co się stało później... Łazienka. Tak. - Teraz do łazienki będzie chodziła sama - podsumowałam. - Ale przecież nie podoba jej się to miejsce. Nigdy nie lubiła łazienki. Na pewno nie *bawiłaby* się tam - powiedziałam. Narastająca uporczywość mojego głosu musiała brzmieć dość groźnie; odsunęliśmy się od parapetu. Celia wciąż była na sali operacyjnej. Nie kłóciliśmy się, a Ty trzymałeś mnie za rękę.

Miałam wrażenie, że lekarz pojawił się po wielu godzinach. Dwa razy dzwoniłeś do domu z telefonu komórkowego, poza zasięgiem mojego słuchu, tak jakbyś coś chciał ukryć. Kupiłeś mi kawę w automacie stojącym pod ścianą, która już pokryła się pomarszczonym kożuchem. Gdy pielęgniarka wskazała nas chirurgowi, nagle zrozumiałam, dlaczego ludzie tak wielbią swoich lekarzy, a także dlaczego lekarze mają skłonność do poczucia boskości. Ale jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło mi, by zobaczyć, że on na pewno nie czuje się bosko.

- Przykro mi - powiedział. - Robiliśmy, co w naszej mocy. Obrażenia były jednak zbyt poważne. Niestety, nie udało się uratować oka.

Zalecono nam, byśmy pojechali do domu. Celia była na silnych środkach przeciwbólowych i miała pozostać w tym stanie przez jakiś czas. Niezbyt długo, pomyślałam. Wywlekliśmy się z poczekalni.

- Przynajmniej mówi - stwierdziłeś drętwą - że drugie oko powinno być zdrowe. - A ja tego dnia właśnie wzięłam pod uwagę fakt, że nasza córka ma dwoje oczu.

Na parkingu było potwornie zimno; w pośpiechu zapomniałam zabrać płaszcza z biura. Do domu mieliśmy wracać dwoma samochodami, co sprawiło, że poczułam jeszcze większy chłód. Wyczułam, że byliśmy na swego rodzaju rozdrożu i obawiałam się, że jeśli rozstaniemy się w odrębnych, samochodowych wszechświatach, to w tym samym miejscu znajdziemy się tylko w banalnym, geograficznym sensie. Ty chyba miałeś dokładnie tę samą potrzebę upewnienia się, że jesteśmy, jak to moi współpracownicy powtarzają kilka razy dziennie, *po tej samej stronie*. Zaprosiłeś mnie do swojego auta, by porozmawiać jeszcze

chwilę i przy okazji ogrzać się nieco.

Brakowało mi Twojego błękitnego pikapa, który zawsze kojarzył mi się z okresem naszego narzeczeństwa, z ryczącym silnikiem, opuszczoną szybą i hałaśliwą muzyką, jakby był żywą piosenką Bruce'a Springsteena. Poza tym pikap bardziej pasował do Ciebie, do tego dawnego Ciebie: był klasyczny, szczerzy i rodzinny. Był idealny. I nawet Edward Hopper nigdy nie namalowałby wielkiej krowy z napędem na cztery koła, która zastąpiłaby pikapa. Pojazd wyposażony w nienaturalnie grube, szerokie opony, jego karoseria miała tępe i wyłupiaste kontury, tak jakby był nadmuchiwany pontonem. Jego potężne błotniki i nadęta postura przypominały mi o tych małych, biednych jaszczurkach, których jedyną bronią jest udawanie kogoś większego i silniejszego. A przerysowana, kreskówkowa męskość tego pojazdu sprawiła, że pozwoliłam sobie na żartobliwe wspomnienia lepszych czasów.

- Franklinie, gdybyś sprawdził podwozie, z pewnością znalazłbyś tam bardzo małego fiutka - zauważyłam. Przynajmniej się roześmiałeś.

Ogrzewanie działało bardzo dobrze, nawet zbyt dobrze, bo siedzieliśmy w samochodzie od kilku minut, a już zaczęło się robić duszno. Wnętrze było większe niż w fordzie, ale w tamtym błękitnym pikapie nigdy nie czułam się tak klaustrofobicznie, gdy w środku byliśmy tylko we dwójkę.

W końcu oparłeś głowę o sterczący zagłówek i zacząłeś wpatrywać się w sufit.

- Nie mogę uwierzyć, że to tam zostawiłaś - powiedziałaś.

Byłam tak zaskoczona, że nie potrafiłam odpowiedzieć.

- Myślałem, że nie będę o tym mówił - kontynuowałeś. - Ale gdybym trzymał to w sobie i nie mówił nic, gdybym przez wiele tygodni o tym nie porozmawiał, to czułbym się z tym coraz gorzej.

Oblizalam wargi. Zaczęłam drzeć.

- Nie zostawiłam tego w tym miejscu.

Zwiesiłeś głowę, a później westchnąłeś.

- Eva, nie zmuszaj mnie do tego. W sobotę używałaś tego Liquid-Plumr. Pamiętam doskonale, bo mówiłaś coś o tym, że z rur w dziecięcej łazience śmierdzi. Później ostrzegłaś nas, by przez godzinę nie wlewać wody do tamtego zlewu, ponieważ wlałaś płyn do udrażniania rur.

- Odłożyłam go na miejsce - powiedziałam. - Do tej wysokiej szafki z zamknięciem, do której dzieci nigdy nie miały możliwości zajrzeć. Celia nawet nie byłaby w stanie dosięgnąć jej, stojąc na krześle!

- Więc jak to się znalazło w ich rękach?

- Dobre pytanie - powiedziałam chłodno.
- Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że zwykle jesteś bardzo ostrożna z substancjami żrącymi i zamykasz je automatycznie. Ale ludzie to nie maszyny...
- Franklinie, pamiętam, jak go *odkładałam*.
- A *pamiętasz*, jak dzisiaj zakładałaś buty, *pamiętasz*, czy zamykałaś drzwi za sobą, gdy wychodziłaś z domu? Jak często zdarzało nam się, że byliśmy już w samochodzie, a wracaliśmy do domu sprawdzić, czy wyłączyliśmy kuchenkę? A przecież wyłączanie palników mamy już w naszej naturze.
- Ale kuchenka nie jest włączona na stałe, prawda? To przecież stało się już niczym wróżba z ciasteczka szczęścia: Kuchenka Nigdy Nie Jest Włączona.
- Powiem ci, kiedy jest włączona: *tylko wtedy*, gdy nie chce ci się sprawdzać drugi raz. A to *właśnie wtedy* cały pieprzony dom idzie z dymem.
- Po co w ogóle prowadzimy tę pustą rozmowę? Przecież nasza córka jest w szpitalu.
- Chcę, byś przyznała mi rację. Nie mówię, że ci nigdy nie wybaczę. Wiem, że musisz czuć się okropnie. Ale by przez to przejść, musisz się z tym zmierzyć...
- Janis była u nas rano. Może to *ona* zostawiła - wtrąciłam. Szczerze mówiąc, nawet przez moment nie pomyślałam, by Janis mogła być taka niechlujna, ale dążyłam do tego, by zatrzymać z dala od siebie myśl, która zaczęła formować się w mojej głowie, gdy pomyślałam o bardziej wiarygodnym sprawcy.
- Janis nie miała powodu, by wyciągać ten płyn. Rury były przetkane.
- No dobrze - powiedziałam, przygotowując się na najgorsze. - W takim razie zapytaj *Kevina*, w jaki sposób butelka wydostała się z szafki.
- Wiedziałem, że do tego dojdziemy. Najpierw, och, jakie to tajemnicze, potem gosposia, a kto zostaje na końcu? I okazuje się, cóż za niespodzianka, że Eva, która nigdy nie zrobiła niczego złego, wskazuje palcem na własnego syna!
- Podobno miał się nią opiekować. Ty mówiłeś, że jest już wystarczająco dorosły...
- Tak, miał to wśród swoich obowiązków. Ale ona była w łazience. Mówił, że drzwi były zamknięte, a my raczej nie zachęcaliśmy naszego syna do tego, by towarzyszył swej siostrze także w ubikacji.
- Franklinie, to się nie trzyma kupy. Zapomnij na razie o tym, dlaczego butelka znalazła się poza szafką, dobrze? Zapomnij o tym. I zastanów się, dlaczego Celia miałaby wlać płyn do udrażniania rur do *własnego oka*?
- Nie mam pojęcia! Może dlatego, że dzieci są nie tylko niemądre, ale i bardzo kreatywne, a kombinacja tych składników może być śmiertelna. Niby dlaczego trzymaliśmy

ten płyn pod kluczem? Ważne jest to, że Kevin zrobił wszystko, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Mówi, że gdy Celia zaczęła krzyczeć, od razu przybiegł do łazienki i obmył jej twarz wodą i opłukał oko najlepiej, jak umiał. *Po chwili* wezwał karetkę, nawet zanim zadzwonił do mnie - co było właściwym postępowaniem, w odpowiedniej kolejności, był bohaterem!

- Do mnie nie zadzwonił - powiedziałam.

- Cóż - odrzekłeś. - Ciekawe, dlaczego?

- Obrażenia... - szepnęłam i głęboko wciągnęłam powietrze - są poważne, prawda. Musiały być naprawdę bardzo, bardzo poważne... - zaczęłam płakać, ale siłą woli powstrzymałam się, ponieważ chciałam od razu przez to przebrnąć. - Jeśli straciła oko, a chirurdzy są obecnie dużo bardziej zaawansowani w tych sprawach, niż kiedyś - to znaczy, że było paskudnie. To trwa, to trochę trwa - zamilkłam, wsłuchując się w pracującą klimatyzację. Powietrze stało się suche, a moja ślina lepka. - Trochę trwa, zanim płyn zaczyna działać. Dlatego na etykiecie jest napisane, by poczekać, aż dobrze osiadzie.

Instynktownie przycisnęłam opuszki palców do moich oczu, masując przypominające papier powieki, chroniące delikatne i wrażliwe gałki oczne.

- Co ty chcesz powiedzieć? Bo moim zdaniem wygląda to tak, jakbyś chciała oskarżyć go o zaniedbanie...

- Lekarz mówi, że będą spore blizny! Mówi, że była poparzona na całej jednej stronie twarzy! Czas, to musiało trwać sporo czasu! Może i obmył jej twarz, ale *kiedy!* Kiedy już *skończył!*

Złapałeś moje ręce, podniosłeś je na wysokość głowy i popatrzyłeś mi prosto w oczy.

- Skończył co? Zadanie domowe? Trening strzelecki?

- Skończył - wydusiłam z siebie - skończył z *Celią*.

- Nigdy więcej tak nie mów! Nikomu! Nawet mnie!

- Pomyśl! - uwolniłam dłonie. - Celia oblewa się kwasem? Celia boi się wszystkiego! I ma sześć lat, a nie *dwa*. Wiem, że nie uważasz jej za zbyt mądrą, ale nie jest opóźniona w rozwoju! Wie, że nie może dotykać kuchenki, nie je wybielacza. Kevin natomiast jest w stanie dosięgnąć do szafki i nawet we śnie potrafiłby otworzyć taki zamek. On na pewno nie jest jej *wybawcą*. On to zrobił! Och, Franklinie, on to zrobił...

- Wstyd mi za ciebie, wstyd! - rzuciłeś w moim kierunku, gdy odwróciłam się w stronę drzwi. - Demonizujesz własne dziecko tylko dlatego, że nie chcesz przyznać się do własnego niedbalstwa. To nawet gorsze niż tchórzostwo. To jest chore. Miotasz się i rzucaś w jego kierunku *szokujące* oskarżenia, a jak zwykle nie masz żadnego dowodu. Ten lekarz mówił coś o tym, że wersja Kevina nie pasuje do obrażeń Celi? Nie, nie, nie mówił. Tylko

jego matka może wykryć znamię niewypowiedzianego zła, ponieważ jest ekspertem medycznym, tak jak może uważać się za eksperta w zakresie chemii, bo kiedyś posprzątała mieszkanie.

Jak zwykle nie krzyczałeś na mnie, gdy płakałam.

- Posłuchaj - prosiłeś. - Nie wiesz, co mówisz, bo jesteś bardzo zdenerwowana. Nie jesteś sobą. To trudna sytuacja, a będzie jeszcze trudniejsza, bo będziesz musiała stanąć z nią twarzą w twarz. Celia będzie cierpiała i przez jakiś czas będzie wyglądała paskudnie. Jediną rzeczą, która może to ułatwić, będzie zmierzenie się ze swoją rolą w tym wszystkim. Celia, nawet *Celia*, w związku z ryjokoczką przyznaje, że to jej wina. Zostawiła otwartą klatkę! I to właśnie jest częścią tego. Najbardziej boli nie to, że coś złego się stało, ale to, że gdybyśmy zrobili coś inaczej, to ta sytuacja by się nie zdarzyła. Ona wzięła na siebie odpowiedzialność za ryjokoczkę, a ma dopiero sześć lat! *Dlaczego ty nie możesz przyznać się do błędu?*

- Chciałabym móc wziąć za to odpowiedzialność - wyszeptałam, a mój oddech zaznaczył się mgiełką na bocznej szybie. - Chciałabym powiedzieć, że zabiję się za to, że zostawiłam butelkę z płynem tam, gdzie Celia mogła ją znaleźć. Nie widzisz, jak bardzo ułatwiłoby to sprawę? Dlaczego miałabym być taka zdenerwowana? Gdyby to była moja wina, *tylko* moja wina? W takim przypadku nie miałabym się czego obawiać. Franklinie, to poważna sprawa, to już nie jakaś mała dziewczynka zdrapująca swą egzemę. Nie wiem, w jaki sposób stał się taki, ale jest przerażający i w dodatku *nienawidzi jej...*

- Dosyć! - Twój komunikat miał liturgiczną nieodwołalność, był głęboki i potężny niczym dźwięczne *Amen* w błogosławieństwie. - Niezbyt często ustanawiam jakieś prawa. Ale Kevin ma za sobą bardzo traumatyczne przeżycie. Jego siostra już nigdy nie będzie wyglądała tak, jak do tej pory. Zachował zimną krew w sytuacji kryzysowej i chcę, by był z tego dumny. W tamtej chwili był jedynym opiekunem Celi i na pewno będzie się martwił, że to wszystko stało się z jego winy. W związku z tym obiecasz mi teraz, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, by zapewnić go, że *to nie była jego wina!*

Pociągnęłam za kłamkę i lekko uchyliłam drzwi. Pomyślałam, że muszę się stąd wydostać, że muszę uciec.

- Nie odchodź, jeszcze nie teraz - powiedziałaś, łapiąc mnie za ramię. - Chcę, żebyś mi to obiecała.

- Mam ci obiecać, że będę milczeć, czy może to, że uwierzę w jego wymyśloną historyjkę? Mogę dodać, że to kolejna bajeczka, którą cię karmi.

- Nie mogę sprawić, byś uwierzyła we własnego syna. Choćbym nie wiem jak bardzo się starał.

W jednym punkcie miałeś rację: nie miałam żadnego dowodu. Tylko twarz Celi. Czyż nie miałam racji? Przecież już nigdy nie będzie piękna.

Wygramoliłam się z samochodu i popatrzyłam na Ciebie przez otwarte drzwi. Chłodny wiatr rozwiewał moje włosy, stałam na baczność, krucha niczym zawieszenie broni zawarte przez niegodnych zaufania generałów pośrodku jałowego pola bitwy.

- No dobrze - powiedziałam. - Uznamy, że to był wypadek. Możesz mu nawet powiedzieć, że podejrzewasz, iż jego matka zapomniała w sobotę schować Liquid-Plumr do szafki. Poza tym dobrze wiedział, że przetykałam rury. Ale w zamian ty też mi coś obiecasz: nigdy więcej nie zostawisz Kevina samego z Celią. Nawet na pięć minut.

- Zgoda. Zresztą założę się, że Kevin też nie bardzo będzie miał ochotę bawić się w nianię.

Odparłam, że spotkamy się w domu, zmuszając się do oschłego pożegnania.

- Eva - zawołałeś, gdy szłam do swojego samochodu. Odwróciłam się. - Wiesz, że zwykle nie jestem zwolennikiem psychoanalityków. Ale może powinnaś z kimś porozmawiać. Myślę, że potrzebujesz pomocy. Nie traktuj tego jak zarzutu, ale chyba masz jakąś obsesję. To się staje coraz bardziej poważne. I obawiam się, że ja sobie z tym nie poradzę.

Rzeczywiście tak było.

Następne tygodnie w naszym domu były niesamowicie ciche, gdyż Celia wciąż dochodziła do zdrowia w szpitalu. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Pytałam, co chciałbyś na kolację; odpowiadałeś, że jest Ci wszystko jedno. Jeśli chodzi o Celię, to do odwiedzin podchodziliśmy z logistycznego punktu widzenia - kiedy które z nas ma pojechać. Choć bardziej rozsądne wydawało się odwiedzanie jej pojedynczo, by więcej czasu spędzała w towarzystwie, to jednak żadne z nas nie chciało jeździć Twoim przegranym samochodem. Po powrocie do domu dyskutowaliśmy o szczegółach stanu jej zdrowia i choć te szczegóły były niepokojące - infekcja, która wdała się po wyluszczeniu, lekcja słownictwa, którą mogłam opuścić, jeszcze bardziej uszkodziła nerwy i uniemożliwiła transplantację - stwarzały między nami przepaść. Szukając okulisty, który pomógłby jej wrócić do normalności, na Upper East Side natrafiłam na doktora Krikora Sahatjiana.

- Ormianie zawsze starają się trzymać razem - zapewniłam Cię. - Potraktuje nas w szczególnie sposób.

- Tak samo jak doktor Kevorkian - zauważyłeś, świadomy tego, że ojciec chrzestny eutanazji był jedynym Ormianinem, do którego moja konserwatywna społeczność nie chciała



się przyznać. Mimo wszystko byłam wdzięczna za tę zmianę, którą można było potraktować jako żart.

Pamiętam, że zachowywałam się najlepiej, jak tylko potrafiłam, nigdy nie podnosiłam głosu, nie protestowałam, gdy prawie nie tknąłeś posiłku, którego przygotowanie zajęło mi wiele czasu. Gotując, starałam się nie hałasować, tłumiąc odgłos stukających garnków. Szanując niesamowicie pogodne usposobienie Celi w szpitalu w Nyack, dusiłam w sobie wiele słów podziwu, gdyż wydawały mi się niestosowne. Jej niezwykła dobroduszość była nietaktem w stosunku do zwykłych śmiertelników, którzy po prostu zawodzili z bólu i byli bardzo drażliwi w trakcie rekonwalescencji. W naszym domu moje pochwały wobec Celi były odbierane tak, jakbym sama siebie chwaliła. Przez cały czas starałam się zachowywać normalnie, co wraz z próbami dobrej zabawy i bycia dobrą matką możemy dołączyć do listy zadań, które są właściwie skazane na niepowodzenie.

Uwaga, którą zrobiłeś na temat tego, że „potrzebuję pomocy”, zaniepokoiła mnie. Tak wiele razy przypomiinałam sobie moment, w którym odkładałam Liquid-Plumr, że wspomnienie stało się tak niewyraźne, iż nie wiedziałam, czy mogę mu wierzyć. Analizowałam moje podejrzenia i czasami nie były... cóż, nic już nie było oczywiste. Czy *na pewno* odstawiłam tę butelkę? Czy obrażenia były poważniejsze, niż wynikałoby to z relacji Kevina? Czy byłam w stanie zebrać choćby najmniejszy solidny dowód, który mogłabym obronić w sądzie? Nie chciałam „rozmawiać z kimkolwiek”, ale oddałabym wszystko, by porozmawiać z Tobą.

Minęło raptem kilka dni od wypadku, kiedy zwołałeś rodzinne spotkanie przy naszym stole. Zjedliśmy kolację, o ile można to tak nazwać; Kevin swoją porcję zjadł prosto z kuchenki. Rozśmieszając Cię, podszedł do stołu swym ponurym, kołyszającym się krokiem. Wbrew swej woli wezwana na to zebranie, sama poczułam się jak dziecko, które w wieku dziewięciu lat musiało oficjalnie przeprosić pana Wintergreena za kradzież orzechów z drzewa rosnącego w jego ogrodzie. Rzucając okiem na Kevina, chciałam powiedzieć: *Idź, załóż jakąś koszulkę, która nie jest na ciebie za mała o kilka rozmiarów, bo przebywanie w jednym pokoju z tak ubraną osobą sprawia, że dostaję wysypki*. Ale nie mogłam. W zwyczajach naszej rodziny takie pospolite rodzicielskie napomnienia, szczególnie z mojej strony, były niedopuszczalne.

- Jeśli jesteś zdenerwowany, Kev - zacząłeś (choć w moich oczach wcale nie wyglądał na zdenerwowanego) - to nie jest dochodzenie. Przede wszystkim chcemy ci powiedzieć, jak wielkie wrażenie wywarło na nas twoje zachowanie. Kto wie, gdybyś w porę nie zadzwonił po pogotowie, to Celia mogła odnieść jeszcze bardziej poważne obrażenia.

„Jak? - pomyślałam. - Chyba tylko wtedy, gdyby się w tym wykapała”.

- Twoja matka też chciałaby ci coś powiedzieć.

- Chciałabym ci podziękować - zaczęłam, unikając wzroku Kevina - za dostarczenie twojej siostry do szpitala.

- Powiedz mi to, co mi powiedziałaś - nalegałeś. - Pamiętasz, mówiłaś, że obawiasz się, iż może się czuć...

Ta część była łatwa. Popatrzyłam mu prosto w oczy.

- Pomyślałam, że możesz czuć się za to odpowiedzialny.

Bez oporów odwzajemnił moje spojrzenie i ujrzałam mój własny szeroki nos, wąską szczękę, opadające brwi i śniadą cerę. Patrzyłam jak w lustro, ale nie miałam pojęcia o tym, co myśli moje odbicie.

- Niby dlaczego?

- Ponieważ miałeś się nią zaopiekować!

- Ale chciałaś mi przypomnieć - wtrąciłeś się - że nigdy nie oczekiwaliśmy od niego, by spędzał przy Celi każdej minutę. Wypadki się zdarzają, więc to *nie była* jego wina. To właśnie mi powiedziałaś. Pamiętasz. Wtedy, w samochodzie.

To było to samo, co przeproszenie pana Wintergreena. Gdy miałam dziewięć lat, chciałam wyznać, że *większość orzechów i tak była robaczywa lub zgnita, ty stary dziadu*, ale zamiast tego obiecałam, że zbiorę pełne wiaderko jego marnych orzechów i zwrócę je dokładnie wyłuskane.

- Nie chcemy, byś się obwiniał - mój ton był dokładnie taki sam, jak ton Kevina, gdy rozmawiał z policją - tak, proszę pana, oczywiście, proszę pana. - To ja jestem winna wszystkim. Nie powinnam zostawiać tego płynu poza szafką.

Kevin wzruszył ramionami. - Przecież nigdy nie mówiłem, że czuję się winny - powiedział i wstał od stołu. - Mogę odejść?

- Jeszcze jedno - rzekłeś. - Twoja siostra będzie potrzebowała twojej pomocy.

- Dlaczego? - zapytał, wchodząc do kuchni. - Przecież to tylko jedno oko. Nie będzie potrzebowała psa przewodnika albo białej laski.

- Pewnie - wtrąciłam. - Szczęściara z niej.

- Będzie potrzebowała twojego wsparcia - powiedziałaś. - Będzie miała protezę...

- Fajnie - odparł. Wrócił z torebką liczi, którą znalazł w lodówce. Był luty, więc akurat był na nie sezon.

- W miejsce uszkodzonego oka dostanie szklane - powiedziałaś - ale będziemy ci wdzięczni, jeśli wesprzesz ją, gdyby dzieci z sąsiedztwa jej dokuczały...

- Niby jak? - zapytał, uważnie zdejmując z owoców łuski w kolorze łososiowym i odkrywając blad różowy miąższ. - *Czy Celia nie wygląda jak dziwadło?* - Gdy biała, półprzezroczysta kula została już obrana, włożył ją do ust, possał chwilę i wyjął.

- Cóż, jakkolwiek...

- To prawda, *tato!* - metodycznie rozgryzał liczi i oddzielał miąższ od delikatnych brązowych pestek. - Chyba już nie pamiętasz, jak to jest być dzieckiem - ponownie włożył do ust pogryziony owoc. - Celia będzie musiała sobie z tym jakoś poradzić.

Mogłam wręcz poczuć, jak wypełnia Cię duma. Oto był nastolatek, który uosabiał archetypową, nastoletnią hardość, za którą skrywał zmieszanie i sprzeczne uczucia, dotyczące wypadku swej siostry. To była gra, Franklinie, przesłodzone barbarzyństwo, odgrywane specjalnie dla Ciebie. Był bardzo zmieszany i rozdarty, ale jeśli popatrzyłeś prosto w jego źrenice, były one rozszerzone i gorące, niczym rozgrzana smoła. Jego nastoletnia obawa na pewno nie była *słodka*.

- Hej, panie Plastik - zaferował Kevin - może chcesz jedną? - ale Ty odmówiłeś.

- Nie wiedziałam, że lubisz liczi - powiedziałam z naciskiem, gdy zabrał się za drugą.

- No tak - odpowiedział, obierając owoc, po czym zaczął bawić się nim, turlając go palcem po stole. Owoce miał upiornie białe, mleczny kolor katarakty.

- Pewnie dlatego, że są bardzo delikatne - rzekłam z przejęciem. Zgniółł owoc przednimi zębami.

- Nazywaj to, jak chcesz - siorbnął. - *To nabyte upodobanie.*

Niewątpliwie zamierzał zjeść całą torebkę. Wyszedłam z pokoju, a on zaczął się śmiać.

W dniach, w których odwiedzałam Celię we wczesnych godzinach popołudniowych, pracowałam w domu; autobus szkolny często przywoził Kevina w tym samym czasie, gdy ja wracałam ze szpitala. Gdy po raz pierwszy mijalam go, przechadzającego się ospale po Palisades Parade, zatrzymałam swoją lunę i zaferowałam, że podwożę go pod stromą ulicę prowadzącą do naszego domu. Pomyślałbyś pewnie, że przebywanie w samochodzie z własnym synem było całkiem normalną rzeczą, szczególnie, jeśli miało trwać dwie minuty. Jednak Kevin i ja rzadko decydowaliśmy się na tak duszną bliskość. Na ulicy czekało też kilka innych samochodów ludzi, którzy chcieli oszczędzić swoim dzieciom nawet dziesięciometrowego spaceru. Zapamiętałam też to, że każdy samochód był M-2. Powiedziałam to, zanim zorientowałam się, że Kevin nie lubi, gdy tak określam samochody sportowo-użytkowe - kolejna zamierzona gafa, która miała podtrzymać mit, że naprawdę nie pasowałam do tego kraju.

- Wiesz, to jakby metafora określająca cały ten kraj - kontynuowałam. Wcześniej już zorientowałam się, że ten rodzaj rozmowy doprowadza mojego syna do szaleństwa, ale być może właśnie dlatego pociągnęłam ten wątek. W ten sam sposób drażniłam go w Claverack, wspominając Dylana Klebolda i Erica Harrisa. - Stoją na drodze i myślą, że są więksi i straszniejsi niż wszyscy inni, i mają więcej mocy, niż ktokolwiek jest w stanie sobie wyobrazić. Nawet ich profil - zawsze przychodzi mi na myśl grubych klientów, przewalających się w centrach handlowych w krótkich, kwiecistych spodenkach i tenisówkach na grubej podeszwie, zapychających się cytrynowymi bułeczkami.

- Jasne. Jechałaś kiedyś takim autem? - Przyznałam, że nie. - Więc skąd możesz wiedzieć?

- Wiem, że zajmują zbyt wiele drogi, pożerają mnóstwo paliwa, czasami przewracają się na zakrętach...

- Czemu przejmujesz się tym, że się przewracają? Przecież i tak nienawidzisz tych ludzi.

- Nie nienawidzę...

- Mieszkanie jednopokojowe - potrząsnął głową i z hukiem zamknął za sobą drzwi mojego volkswagena. Następnym razem, gdy zaproponowałam, że go podrzucę do domu, jedynie pomachał mi na pożegnanie.

Godziny, w których on i ja byliśmy razem w domu, były w dziwny sposób nie do zniesienia. Czasami wprost nie mogłam się doczekać, aż usłyszę hałas silnika Twojego samochodu, wjeżdżającego do garażu. Twoim zdaniem nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów, siedząc we dwoje w tym wielkim pudle z drewna tekowego, ale niezależnie od tego, gdzie przebywaliśmy, ja zawsze miałam świadomość jego obecności, a on, jak się domyślam, mojej. Brak Ciebie i Celi w roli buforów sprawiał, że do głowy przychodziło mi słowo *nagi*. Prawie wcale ze sobą nie rozmawialiśmy. Gdy szedł do swojego pokoju, nie pytałam go o pracę domową; gdy przychodził do niego Lenny, nie pytałam, co robią, a gdy Kevin wychodził z domu, nie pytałam, dokąd idzie. Wmawiałam sobie, że rodzice nie powinni ingerować w prywatność nastolatka, ale z drugiej strony wiedziałam, że jestem tchórzem.

Uczuciu nagości towarzyszyła też rzeczywistość. Po prostu wiem, że czternastoletni chłopcy są naładowani hormonami. Wiem, że masturbacja jest czymś naturalnym, daje uczucie ulgi i radosną rozrywkę, która nie powinna być traktowana jako coś złego. Ale myślałam też, że dla czternastolatków - mówię poważnie, dla wszystkich czternastolatków - ta rozrywka jest czymś intymnym i oddają się jej w ukryciu. Wszyscy to robimy (lub

robiliśmy - tak, kiedyś przez pewien okres, a co myślałeś?), wszyscy wiemy, że wszyscy to robią, ale raczej nikt nie mówi:

- Kochanie, możesz rzucić okiem na sos do spaghetti, bo ja teraz będę się masturbował.

Musiało mi się to przytrafić więcej niż raz, zanim w końcu postanowiłam o tym wspomnieć, ponieważ po sprzeczce na szpitalnym parkingu przez kilka miesięcy nie skarżyłam się na niego.

- Zostawia otwarte drzwi do łazienki - powiedziałam niechętnie, gdy pewnego wieczoru leżałam już w łóżku, a Ty w tym momencie właśnie zacząłeś czyścić swoją maszynkę do golenia. - Z korytarza można zobaczyć całą ubikację.

- Pewnie zapomina zamknąć - uznałeś.

- Nie zapomina. Czeka, aż będę szła do kuchni po filiżankę kawy, żeby miał pewność, że go zobaczę w drodze powrotnej do pracowni. Robi to rozmyślnie. W dodatku jest przy tym dość... głośny.

- W jego wieku pewnie onanizowałem się trzy razy dziennie.

- Na oczach twojej matki?

- Za rogiem, za drzwiami. Myślałem, że robię to dyskretnie, ale na pewno wiedziała.

- Za drzwiami - zauważyłam. - Drzwi. Są dość ważne - No, no. Golarka musiała być tego wieczoru kompletnie zapchana zarostem. - Moim zdaniem podnieca go świadomość, że mogę go zobaczyć.

- Cóż, niezależnie od tego, jak *zdrowe* podejście będziesz chciała mieć do tego tematu, to każdy wykazuje w nim trochę szaleństwa.

- Chyba nie rozumiesz, o co mi chodzi. Wiem, że się onanizuje, ale nie to jest problemem. Po prostu nie chcę, żeby mnie do tego mieszał. To jest nieodpowiednie. - To słowo było w tamtym okresie bardzo często używane. Miesiąc wcześniej wybuchł skandal z Moniką Levinsky w roli głównej, a prezydent Clinton później wprowadził w życie to określenie, nazywając ich relacje *nieodpowiednimi*.

- To dlaczego nie zwrócisz mu uwagi? - powiedziałaś.

Odniosłam wrażenie, że już chyba jesteś zmęczony ciągłymi interwencjami.

- A gdyby Celia masturbowała się na twoich oczach? Porozmawiałbyś z nią, czy wolałbyś, żebym ja to uczyniła?

- Więc co mam mu powiedzieć? - zapytałeś ze znużeniem.

- Że przez niego czuję się nieco skrępowana.

- O, to coś nowego.

Opadłam na łóżko i chwyciłam książkę, której i tak nie byłam w stanie czytać.

- Po prostu powiedz mu, żeby zamykał te cholerne drzwi.

Nie powinno mnie to obchodzić. Ale tak, przyznałeś mi później, że powiedziałeś mi to, o co Cię prosiłam. Wyobraziłam sobie, jak wchodzisz do jego pokoju i mówisz coś jowialnie i umownie na temat „małych włosków rosnących na palmie”, w staroświecki sposób, którego on na pewno nie zrozumie. Potem rzucasz coś jakby od niechcenia: *I pamiętaj, że to prywatna sprawa, zgoda?* Mówisz dobranoc i wychodzisz. Ale nawet, jeśli zamiast tego przeprowadziłbyś długą, szczerą i srogą rozmowę, uświadomiłbyś mu jedynie to, że uraził mnie. A mówienie mu takich rzeczy było zawsze błędem.

Następnego popołudnia po twojej „rozmowie” szłam do swej pracowni z filiżanką kawy i w korytarzu usłyszałam ostrzegawcze pojękiwania. Miałam nadzieję, że dotarło do niego to, co mówiłeś i pomiędzy mną a wchodzącym w dorosłość synem będzie cienka, ale jakże istotna drewniana bariera z drzwi. Pomyślałam: Nie licząc łazienek, w całym cholernym domu jest czworo czy pięcioro drzwi, więc niech się w końcu na coś przydadają. Ale gdy pokonałam kolejne dwa stopnie, poziom hałasu był tak wysoki, że nie miałam złudzeń, iż drzwi nie są zamknięte.

Przycisnęłam sobie gorącą kawę pomiędzy oczy, by złagodzić narastający ból głowy. Byłam mężatką od dziewiętnastu lat i doskonale wiedziałam, jak wyglądają mężczyźni, więc nie było powodu do obaw. Ale jęki dochodzące z korytarza sprawiły, że znów poczułam się jak dziesięcioletnia dziewczynka, która posłana na zakupy przez matkę, musiała przejść przez park, patrząc nerwowo, czy jacyś starsi chłopcy z otwartymi rozporkami nie schowali się w krzakach. Poczulałam się osaczona w moim własnym domu, nerwowa, zaszczuta i wyśmiewana. Nie będę Ci o tym opowiadać, bo strasznie mnie to denerwuje.

W końcu ośmieliłam się, tak jak wracałam do domu w dawnych czasach, gdy musiałam iść bardzo szybkim krokiem. Maszerowałam przez korytarz, stukając obcasami o podłogę, stuk, stuk. Gdy dotarłam do dziecięcej łazienki, przez szeroko otwarte drzwi ujrzałam naszego pierwotnego w całej okazałości, łącznie z pryszczami, które czerwieniły się na plecach. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z wygiętymi w łuk plecami, lekko odwrócony od muszli, tak bym widziała, jak pracuje dłonią - purpurowy i błyszczący, aż pomyślałam, że posmarował go moim żelem nawilżającym, ale srebrne opakowanie na podłodze wskazywało na niesolone masło - i w ten sposób zapoznałam się z faktem, że naszemu synowi wyrosły nietypowo proste włosy łonowe. Większość chłopców onanizuje się z zamkniętymi oczami, ale Kevin patrzył na mnie tępym wzrokiem. W rewanżu ja spojrzałam na jego penisa - niewątpliwie tak właśnie powinnam postąpić w parku, zamiast odwracać

wzrok, ponieważ gdy się spojrzy na ten fragment ciała, to w bezpośredniej konfrontacji nie wywiera on żadnego wrażenia. Do tego stopnia, że człowiek zaczyna się zastanawiać, o co tyle hałasu. Chwyciłam za klamkę i z hukiem zamknęłam drzwi.

Korytarz zadudnił suchym trzaskiem. Poszłam ponownie do kuchni. Rozlałam kawę na spódnicę.

Wiem, że pewnie się zastanawiasz, dlaczego po prostu nie odeszłam? Nic przecież nie mogło powstrzymać mnie przed zabranie jednookiej Celi i przeprowadzeniem się do Tribeca. Mogłam zostawić Cię z Twoim synem i tym okropnym domem - cóż za fantastyczny zestaw. W dodatku to ja miałam wszystkie pieniądze.

Być może mi nie uwierzysz, ale nawet przez moment nie myślałam o tym, by odejść. Wystarczająco długo przebywałam blisko Ciebie, by zarazić się Twoim żarliwym przekonaniem, że szczęśliwa rodzina nie jest jakimś nierealnym mitem, a jeśli nawet jest, to lepiej umrzeć, starając się to osiągnąć, niż być biernym i cynicznie zrezygnować, co bardzo często wytykałeś innym ludziom. Nienawidziłam porażek; jeśli w ciąży z Kevinem stawiałam czoła własnemu wyzwaniu, to radzenie sobie z nim w codziennym życiu wymagało jeszcze większej siły. Zresztą, moja wytrwałość miała też praktyczny aspekt. Kevin zbliżał się do piętnastych urodzin. Nigdy nie mówił o studiach - nigdy nawet nie mówił o swojej dorosłej przyszłości; nigdy nie przejawiał żadnego zainteresowania jakimkolwiek zawodem lub profesją. Z tego, co wiedziałam, ciągle trzymał się tego, co powiedział w wieku pięciu lat: że pójdzie na zasiłek dla bezrobotnych. Ale teoretycznie nasz syn miał opuścić dom za mniej więcej trzy lata. Później mieliśmy zostać tu w trójkę - Celia, Ty i ja, a wtedy Twoje marzenia o szczęśliwej rodzinie mogłyby się spełnić. Te trzy lata już prawie minęły, a jeśli okazały się najdłuższymi latami w moim życiu, to wtedy nie miałam możliwości tego przewidzieć. W końcu, i to może wydać Ci się zbyt prostym uproszczeniem, kochałam Cię, kochałam Cię, Franklinie. I wciąż Cię kocham.

Tym niemniej naprawdę czułam się osaczona. Moja córka została na wpół oślepią, mój mąż podawał w wątpliwość moje zdrowie psychiczne, a syn śmiał mi się prosto w twarz, trzymając w dłoni wysmarowanego masłem penisa. I gdy z każdej strony spodziewałam się ataku, właśnie w tym momencie Mary Woolford postanowiła po raz pierwszy odwiedzić nasz dom - i ostatni, jak się później okazało, gdyż po raz kolejny spotkałyśmy się w sądzie.

Wtedy była jeszcze szczupłą niczym chart wyścigowy, jej ciemne włosy lśniły na całej długości, więc nawet nie miałam pojęcia, że są ufarbowane; sposób ich upięcia także był dość wyjątkowy. Nawet podczas zwykłej sąsiedzkiej wizyty była elegancko ubrana w kostium

Chanel, a niezbyt duża, ale cenna broszka z powagą połyskiwała w klapie. Kto by pomyślał, że raptem za trzy lata ta kobieta będzie człapać po sklepie Nyack Grand Union w pogniecionym ubraniu, które prosiło się o prasowanie, i niszczyła jajka leżące w koszyku innej kobiety.

Przedstawiła się krótko i, pomimo chłodu, odmówiła wejścia do środka. - Moja córka Laura to piękna dziewczyna - powiedziała. - Matka naturalnie zawsze tak myśli, ale jej urok jest zauważalny także dla innych osób. Z dwoma wyjątkami: nią samą i pani młodym człowiekiem.

Chciałam zapewnić tę kobietę, że mój gburowaty syn nie zauważa niczyjej atrakcyjności, ale wyczułam, że to był dopiero wstęp. Może to zabrzmie niezbyt miło, tym bardziej, że rok później mój syn zabił córkę tej kobiety, ale od pierwszej chwili nie lubiłam Mary Woolford. Poruszała się bardzo żwawo, a oczami świdrowała na wszystkie strony, jakby w naszym domu szukała jakiegoś wewnętrznego niepokoju. Niektórzy ludzie przesadnie rozdmuchują swoje cierpienia, tak jak inni przesadzają, karmiąc swoje małe pieski ogromnymi ilościami jedzenia. Mary od razu wydała mi się osobą, której moja postawa podpowiadała, że Szukam Problemów - raczej była marnym detektywem, bo z doświadczenia wiem, że większość problemów raczej szuka człowieka.

- Mniej więcej przez ostatni rok - kontynuowała Mary - Laura cierpiała z powodu błędnego przekonania, że jest zbyt gruba. Jestem pewna, że słyszała pani o podobnym zachowaniu. Opuszcza posiłki, wyrzuca drugie śniadanie do kosza i kłamie, że jadła u przyjaciółki. Środki przeczyszczające, pigułki na odchudzanie - to wystarczy, by dojść do wniosku, że to jest bardzo niebezpieczne. We wrześniu była tak słaba, że wylądowała w szpitalu. Była pod kroplówką, ale wyciągała ją, gdy nikt nie patrzył. Może to sobie pani wyobrazić?

Wymamrotałam anemicznie kilka słów współczucia. Normalnie chętnie wysłuchałabym jej opowieści, ale nie mogłam przestać myśleć o tym, że moja córka także jest w szpitalu, ale nie dlatego - byłam tego pewna - że sama zrobiła sobie coś głupiego. Poza tym nasłuchiwałam się już wystarczająco dużo takich historii od Karen Carpenter, w dodatku zbyt często przyjmowały one formę przechwałek. Prestiżowa diagnoza anoreksji była pożądana nie tyle przez uczennice, co przez ich matki, które prześcigały się w tym, czyja córka je mniej. Nic dziwnego, że biedne dziewczyny miały pomieszane w głowach.

- Teraz już robimy postępy - ciągnęła dalej Mary. - Od kilku miesięcy zjada już swoją porcję podczas rodzinnych posiłków, na które jest zobowiązana przychodzić. W końcu odzyskała trochę wagi - co zresztą pani syn zauważył *bardziej niż chętnie!*



Westchnęłam. Na tle naszego gościa musiałam wyglądać mizernie. Na pewno nie sprawiałam wrażenia zdziwionej, a to, że z przerażeniem nie powiedziałam „O Boże, co ten nasz syn narobił”, wzburzyło ją ogromnie.

- Ostatniej nocy przyłapałam moją córkę na tym, jak wymiotuje kolację! Zmusiłam ją, by powiedziała, o co chodzi, a ona odparła, że rzyga już od tygodnia. *Dlaczego?* Bo jeden z kolegów szkolnych ciągle powtarza jej, że jest *gruba!* Waży niecałe pięćdziesiąt kilogramów, a została okrzyknięta „tuczniakiem”! Niełatwo było wyciągnąć z niej nazwisko tego chłopca, później błagała mnie, bym tu nie przychodziła. Ale chyba nadszedł czas, by rodzice wzięli odpowiedzialność za złe zachowanie swoich dzieci. Mój mąż i ja robimy wszystko, co w naszej mocy, by powstrzymać Laurę przed robieniem sobie krzywdy. Może więc pani i pani mąż zrobicie coś, by wasz syn też jej nie krzywdził!

Moja głowa kiwała się jak pieskowi wyglądającemu przez szybę samochodu. - Ale jak? - zapytałam przeciągle. Możliwe, że pomyślała sobie, że jestem pijana.

- Nie obchodzi mnie to, jak...!

- Chce pani, żebyśmy z *nim porozmawiali?* - zmusiłam się, by ściągnąć kąciuki ust, aby nie pojawił się na nich szyderczy uśmieszek, taki, jaki zwykle pojawia się na ustach Kevina.

- No, tak właśnie myślę!

- Powiem mu, by był *wrażliwy na uczucia innych ludzi* i by pamiętał o *Złotej Regule* - opierałam się o futrynę drzwi z chytrym spojrzeniem, a Mary przezornie cofnęła się odrobinę.

- Albo mój mąż przeprowadzi z nim *męską rozmowę* i nauczy naszego syna, że *prawdziwy mężczyzna* nie jest okrutny i agresywny, ale delikatny i współczujący.

Musiałam przestać na chwilę, by nie wybuchnąć śmiechem. Nagle wyobraziłam sobie, jak wchodzisz do kuchni, by zdać mi relację z tej rozmowy. *Cóż, kochanie, to było wielkie nieporozumienie! Kevin twierdzi, że ta chuda jak szczapa Laura po prostu źle go zrozumiała! Wcale nie nazwał jej otyłą, a przemiałą! I wcale nie powiedział, że ona jest żartokiem, tylko że jej dowcip był wysokiem!* Na mojej twarzy mimowolnie musiał pojawić się uśmiech, bo Mary stała się purpurowa i wypaliła - Na miłość boską, nie rozumiem, co panią tak śmieszy!

- Pani Woolford, czy ma pani jakichś synów?

- Laura to nasze jedyne dziecko - odpowiedziała dostojnie.

- Więc proszę się cofnąć do czasów szkolnych i zastanowić, *jacy są mali chłopcy.* Chciałabym pani pomóc, ale proszę pomyśleć. Jeśli Franklin i ja powiemy cokolwiek Kevinowi, to konsekwencje dla pani córki mogą być w szkole jeszcze gorsze. Może lepiej będzie, jeśli nauczy pani Laurę - jak to mówią dzieci? *Olewać to.*

Później wiele bym dała za tę odrobinę realizmu, choć nigdy nie przypuszczałam, że

moja gorzka rada będzie za dwa lata, podczas procesu cywilnego w sądzie, uznana na korzyść Mary - z lekkim upiększeniem, na wszelki wypadek.

- No to bardzo dziękuję za pomoc!

Gdy patrzyłam, jak Mary idzie chodnikiem, zreflektowałam się, że Ty, nauczyciele Kevina i teraz Mary Woolford wmawiali mi, iż jako matka muszę *zaakceptować moją odpowiedzialność*. Sprawiedliwe podejście. Ale jeśli byłam całkowicie odpowiedzialna, to dlaczego czułam się tak bezsilna?

Celia wróciła do domu na początku marca. Kevin ani razu nie poszedł odwiedzić jej do szpitala; na wszelki wypadek nigdy go do tego nie zachęcałam. Ty wnioskowałeś, że czuł się zaproszony, ale nie mógł przezwyciężyć traumatycznych przeżyć związanych z tym wydarzeniem. Wiesz, nawet nie zapytał, jak ona się czuje. Gdyby ktoś słyszał jego słowa, nigdy nie pomyślałby, że ma siostrę.

Zrobiłam duży postęp w przyzwyczajaniu się do jej nowego wyglądu. Poparzenia pokrywające jej policzki i wdzierające się także na skroń, choć zaczynały się goić, wciąż były pokryte strupami, a ja błagałam ją, by ich nie zrywała, bo blizny mogą być jeszcze gorsze. Dobrze sobie z tym radziła, a ja przy okazji pomyślałam o tej biednej Violetcie. Dotychczas nie miałam do czynienia z jednookimi ludźmi, dlatego spodziewałam się, że jej opaska, zakrywająca oczodół, będzie czarna, a wspomnienie Shirley Tempie, śpiewającej piosenkę z filmu *Jasne oczy* sprawiło, że zaczęłam myśleć o mojej małej blond piratce. Chyba nawet wolałabym czarną opaskę, bo wtedy mogłabym kupić jej trójkątny kapelusz i spróbować zmienić tę makabrę w zabawę przebierańców. Być może dzięki temu oderwałyby się nieco od wszystkiego.

Jasny kolor samoprzylepnej opaski 3M Opticlude nadał jednak lewej stronie jej twarzy jeszcze bledszy odcień. Opuchlizna zacierała jakiegokolwiek rysy określające policzki. Wyglądała, jakby jej twarz nie miała już trzech wymiarów, a raczej przypominała pocztówkę ze zdjęciem na jednej stronie i pustym, białym papierem na drugiej. Gdy złapałam wzrokiem jej prawy profil, na moment moja zadowolona laleczka wracała; gdy złapałam lewy - wszystko się kasowało.

Ta „widzisz-mnie, nie-widzisz-mnie” jakoś jej oblicza sprawiła, że w bolesny sposób uświadomiłam sobie, iż dzieci były łatwo psującym się towarem. Choć nie myślałam, że kiedykolwiek będę bardziej wolała jedno dziecko od drugiego, to po jej powrocie do domu bardzo wyraźnie dawałam tego dowody. Nigdy już nie pozwoliłam jej oddalić się ode mnie. Pozwalałam jej, by nieustannie towarzyszyła mi w domu, zabierałam ją ze sobą, gdy

wychodziłam. Jestem pewna, że miałaś rację, by nie trzymać jej zbyt długo poza szkołą, a im prędzej przywyknie do swego kalectwa w miejscach publicznych, tym lepiej. Ja jednak wzięłam jeszcze dwa tygodnie wolnego i Celia mogła być w domu przez ten dodatkowy okres. W tym czasie straciła nieco umiejętności, które wcześniej posiadała, na przykład wiązania butów. Musiałam znów robić to za nią i ponownie rozpocząć naukę.

W pobliżu Kevina obserwowałam ją jak jastrząb. Przyznaję, że nie bała się go. A on od razu powrócił do wydawania jej niezliczonej ilości nudnych poleceń. Nawet, gdy była już wystarczająco duża, by biegać i nosić rzeczy, traktował ją jak zwierzątko domowe, zdolne do ograniczonej ilości sztuczek. Ale również w wykonywaniu prostych, nieszkodliwych czynności, takich jak podanie krakersa czy rzucenie pilota telewizyjnego, wydawało mi się, że zauważyłam u Celi chwilowe wahania, lekki dreszcz, tak jakby miała w ustach coś trudnego do przełknięcia. I choć raz prosiła mnie, by mogła nieść jego kołczan i dostąpić zaszczytu wyciągnięcia strzał z tarczy, a Kevin po raz pierwszy zasugerował, że już kiedyś to robiła, nie pozwoliłam. Wiem, że być może byłam zbyt ostrożna, ale Celia miała tylko jedno oko i nie powinna się zbliżać do strzelnicy. Spodziewałam się, że będzie z tego powodu płakać. Zawsze desperacko chciała udowodnić mu swoją przydatność i uwielbiała patrzeć, gdy przyjmuje pozycję wodza Hiawathy i wypuszcza strzały idealnie w środek tarczy. Zamiast tego posłała mi jedynie wdzięczne spojrzenie, a na jej czole zauważyłam drobne kropelki potu.

Byłam zaskoczona, gdy Kevin zaprosił ją do gry we frisbee - zabawa z siostrą, to było coś nowego - i nawet zrobiło to na mnie wrażenie. Powiedziałam, że nie ma problemu, pod warunkiem, że założy swoje ochronne okulary; moja troska o jej dobro zaczęła przybierać histeryczne rozmiary. Ale gdy kilka minut później wyjrzałam przez okno, zobaczyłam, że Kevin *bawił się* raczej sam ze sobą. Wycucie odległości u Celi nie było jeszcze zbyt dobre, dlatego starała się łapać frisbee, zanim jeszcze do niej doleciało. Nie udawało jej się to, a zabawka uderzała ją w klatkę piersiową. Bardzo śmieszne.

Oczywiście na początku najtrudniejszą rzeczą było zajmowanie się tą dziurą w głowie Celi, która miała być często przemywana szamponem dla dzieci i nawilżana płynem Q-Tip. Doktor Sahatjian zapewniał nas, że wydzielina nie będzie się już pojawiać, gdy proteza trafi na swoje miejsce, a proces gojenia się zakończy. Jednak początkowo jama nieustannie wydzielala żółtawą maź, a czasami rano musiałam czyścić ją chusteczkami, bo, zaschnięta podczas snu, sklejała jej powiekę. Powieka oczywiście opadła - *sulcus*, jak nazwał to jej okulista - i także była nabrzmiąta, gdyż została uszkodzona i częściowo zrekonstruowana kawałkiem skóry z uda Celi. (Najwyraźniej uzupełnianie powieki stało się sztuką na

wysokim poziomie, a to z powodu zapotrzebowania, jakie w Japonii wywołała chęć nadania sobie cech europejskich, co moim zdaniem można złożyć na karb siły przekonywania zachodnich reklam). Opuchlizna i lekkie zaczerwienienie sprawiały, że Celia wyglądała jak pobite dziecko z plakatu, który miał zachęcać ludzi do wzywania policji, jeśli w sąsiedztwie dzieje się coś podejrzanego. Z jedną powieką zapadniętą i jednym okiem otwartym sprawiała wrażenie, jakby puszczała oczko, tak jakby chowała jakiś sekret.

Powiedziałam Sahatjianowi, że nie jestem pewna, czy dam radę czyścić jej ranę codziennie, on jednak odparł, że przyzwyczaję się do tego. Na dłuższą metę miał rację, ale gdy po raz pierwszy palcem odsunęłam opaskę, poczułam, jak zbiera mi się na wymioty. O ile rzeczywiście nie było to tak przerażające, jak początkowo sądziłam, to na pewno było uciążliwe w inny sposób. W domu nie było nikogo. Efekt przypominał mi te migdałowe oczy, które Modigliani malował postaciom na swoich obrazach, nadając im łagodność i spokój, choć przy okazji także nutkę bolesności i głupoty. Otwór przechodził od koloru różowego na obrzeżach, po czerń w głębi, ale gdy spojrzałam pod światło, by włożyć pigułki z antybiotykami, mogłam ujrzeć ten niepasujący do reszty, plastikowy stabilizator, który podtrzymywał oczodół. Czułam się, jakbym patrzyła na lalkę.

Wiem, że miałeś do mnie pretensje za zbytne rozczulanie się nad Celią. Wiem też, że czuleś się źle, potępiając moje zachowanie. W ramach rewanżu byłeś szczerze oddany Celi, brałeś ją na kolana, czytałeś jej książki. Ja zbyt dobrze rozpoznawałam rozmyślność takich prób - to było nic innego, jak *staranie się, by być dobrym ojcem* - ale wątpię, czy dla Kevina było to czymś innym, niż się wydawało. Bez wątpienia uraz jego młodszej siostry przysporzył jej jedynie więcej zainteresowania - więcej: *Czy chcesz jeszcze jeden kocyk, kochanie?* więcej: *Chcesz jeszcze jeden kawałek ciasta?* więcej: *Może pozwolimy jeszcze Celi zostać, przecież to program o zwierzętach.* Gdy obserwowałam rodzinną scenkę w salonie: Celia spała w Twoich ramiona, a Kevin oglądał *Moja babcia ma dziecko z moim chłopakiem* Terry'ego Springera, pomyślałam, *Czy nasz mały fortel nie spali na panewce?*

Na wypadek, gdybyś się zastanawiał, to nie wypytywałam Celi bez przerwy o szczegóły zdarzenia, w którym straciła oko - nie miałam śmiałości, by o tym rozmawiać, Celia zresztą też nie, poza tym żadna z nas nie chciała wracać do tych strasznych przeżyć. Pewnego razu jednak - nie chciałam, by traktowała to jak tabu, w dodatku rozmowa o tym mogłaby pomóc w terapii - zapytałam przypadkiem - Jak się poparzyłaś? Co się stało?

- Kevin - powiedziała i potarła nadgarstkiem powiekę; swędziało, ale żeby nie przesunąć stabilizatora, nauczyła się pocierać w stronę nosa. - Coś wpadło mi do oka. Kevin pomógł mi je przemyć.

To było wszystko, co kiedykolwiek powiedziała.

*Eva*

11 marca 2001

*Drogi Franklinie,*

Wygląda na to, że Andy Williams znalazł wielu naśladowców, którzy kontynuowali jego dzieło. Ale z drugiej strony, przecież oni wszyscy są swoimi imitacjami, zgadzasz się?

Wiosną 1998 roku odnotowano kolejne cztery szkolne strzelaniny. Bardzo dobrze pamiętam moment, kiedy kraj obiegnęła wiadomość o pierwszej z nich, ponieważ tego samego dnia doktor Sahatjian robił przymiarki do protezy dla Celi, a później pobrał też miarę jej oczodołu. Celia była oczarowana, gdy starannie, ręcznie malował tęczę jej zdrowego oka; dziwiłam się, że nie skanowano jej za pomocą komputera, ale muszę przyznać, że obraz był fantastycznie wykonany farbami wodnymi. Malowanie tęczy to prawdziwa sztuka, tym bardziej, że są one tak unikatowe, jak odciski palców: białka oczu mają różne odcienie, a ich siateczka czerwonych żyłek jest u każdego człowieka inna. Z pewnością był to jedyny element tego bolesnego procesu, przy którym można było pozwolić sobie na odrobinę radości.

Podobnie w przypadku robienia odlewu, zapewniono nas, że będzie to bezbolesne, choć Celia może odczuwać pewien „dyskomfort” - ulubiony termin medyczny, który chyba jest synonimem cierpienia spowodowanego obcym ciałem w naszym organizmie. Mimo że wypełnianie oczodołu białą substancją było niewątpliwie nieprzyjemne, tylko trochę pojękiwała, tak naprawdę nigdy nie płakała. Jej odwaga była wyjątkowo nieproporcjonalna. Wykazywała stoicki spokój w sytuacji, gdy straciła oko, a wydierała się wniebogłosy, gdy na zasłonie prysznicu ujrzała pleśń.

Gdy asystent doktora umieścił w oczodole odpowiedni materiał i założył świeży opatrunek, zapytałam Krikora Sahatjiana, dlaczego wybrał taki właśnie zawód. Chętnie opowiedział mi, że w wieku dwunastu lat, idąc na skróty przez podwórko sąsiada, wdrapał się na ostro zakończony płot; spadł, a ostrze spiczasto zakończonego bolca w kształcie strzały...

Na szczęście całą resztę tej historii pozostawił mojej wyobraźni.

- Byłem tak zafascynowany procesem tworzenia mojej własnej protezy, że uznałem, iż to będzie moje powołanie - powiedział. Niewiarygodne. Ponownie spojrzałam w jego głębokie, brązowe oczy, przypominające mi Omara Sharifa. - Wyglądasz na zaskoczoną - dodał przyjaźnie.

- Nie zauważyłam - przyznałam szczerze.

- Przyzwyczaisz się do tego - powiedział. - Gdy proteza będzie już włożona na

właściwe miejsce, większość ludzi nawet się nie zorientuje, że jedno oko jest sztuczne. Poza tym jest wiele sposobów ukrywania tego - odwracanie całej głowy, a nie tylko oczu, jeśli chce się na kogoś spojrzeć. Nauczę ją tego wszystkiego, gdy już będzie gotowa.

Byłam wdzięczna. Po raz pierwszy jej *wyłuszczenie* nie wyglądało jak koniec świata, a ja nawet zaczęłam się zastanawiać, czy odmienność, jaką niosła ta ułomność i moc, jaką może ze sobą nieść, pomogą Celi stać się silniejszą.

Gdy wróciłyśmy z Upper East Side, byłś już w domu i wraz z Kevinem siedziałeś przed telewizorem. Oglądaliście jakiś odcinek serialu *Szczęśliwe dni*, opowiadającego o wyidealizowanej rodzinie Cunninghamów. Zaraz po wejściu skomentowałam:

- Ach, te wymyślane lata pięćdziesiąte. Wciąż czekam, aż ktoś powie Ronowi Howardowi o Sputniku, maccartyzmie i wyścigu zbrojeń - i dodałam smutno - choć widzę, że wy dwaj jesteście do tego *przywiązani*.

W tamtych dniach zawsze z ponurą ironią podchodziłam do bardzo modnych amerykańskich wyrażen, tak jakbym podnosiła je gumowymi rękawicami. W tym duchu wytłumaczyłam nauczycielowi angielskiego, który uczył Kevina, że niewłaściwe zastosowanie słowa „dosłownie” było „jedną z moich cech” z przesadnym mrugnięciem i skinieniem zakłopotanej kobiety. Zawsze myślałam o amerykańskiej kulturze w kategoriach sportu dla widzów, który osądzałam z wysokiej trybuny mojego internacjonalizmu. Ale teraz już przyłączam się do małpowania reklamy piwa, gdy moi współpracownicy zawodzą jednym głosem *Ssssooo jjjeessst*, używam wstrząsu jako czasownika przechodniego i omijam pedantyczne cudzysłowy. Prawdziwej kultury nie obserwujesz, a doświadczasz jej całym ciałem. Żyję tu. I jak miałam wkrótce przekonać się ponad wszelką wątpliwość, nie można się stąd wypisać.

Nasz syn jednak potrafił wyczytać wszystko, a nawet jeszcze więcej, niż kryje się w mojej pogardliwej wymowie słówka *przywiązanie*.

- Czy jest coś lub ktoś - zapytał, patrząc mi w oczy - wobec czego nie czujesz się lepsza?

- Byłam wobec ciebie szczerą, opowiadając o tym, co mi się nie podoba w tym kraju - powiedziałam twardo, nie zostawiając zbyt wielu wątpliwości, że ta szczerota była źródłem żalu i pewną aluzją do fatalnej kolacji w Hudson House. - Ale nie wiem, skąd wzięłeś pomysł, że czuję się lepsza niż inni.

- Zauważam, że nigdy nie mówisz o Amerykanach „my” - powiedział. - To zawsze są „oni”. Tak jakbyś mówiła o Chińczykach albo o kimś równie odległym.

- Większość dorosłego życia spędziłam poza krajem, być może to dlatego...

- Tak, tak, tak - Kevin przestał patrzeć w moje oczy i spojrzał na parawan. - Chciałem tylko wiedzieć, dlaczego uważasz się za tak *wyjatkową*.

- Eva, weź krzesło i przyłącz się do zabawy! - powiedziałaś. - To ten odcinek, w którym Richie idzie na randkę w ciemno z córką szefa, w ten sposób spotyka Potsie...

- Pewnie widziałeś to już ze dwadzieścia razy - powiedziałam radośnie, wdzięczna za ratunek. Ile już odcinków z rzędu oglądaliście? Trzy czy cztery?

- To jest pierwszy! Po nim będzie jeszcze pięć!

- Zanim zapomnę, Franklinie: doktor Sahatjian zgodził się na szkło - gładząc włosy Celi, która wsparła się na mojej nodze, nie powiedziałam, o jaką szklaną rzecz chodzi. Dotarło do mnie dziś rano, by nie rozbudzać nadziei naszej córki, która mogłaby pomyśleć, że wraz z nowym okiem odzyska także i wzrok.

- Ee-va - zaśpiewałaś radośnie. Widać nie byłeś w nastroju do kłótni. - Polimer byłby dziełem sztuki.

- Tak samo jak niemiecki kriolit.

- Mniej infekcji, mniejsza szansa na uszkodzenie...

- Polimer to po prostu ładniejsza nazwa plastiku. Nienawidzę plastiku - zakończyłam sprzeczkę. - *Materiały są wszystkim*.

- Popatrz na to - pokazałaś Kevinowi. - Richie narzeka na randkę, a potem okazuje się, że to niezła laska.

Nie chciałam popsuć Ci zabawy, ale misja, z której właśnie wróciłam, była dość ponura i nie mogłam tak od razu włączyć się do Twoich telewizyjnych śmieci. - Franklinie, już prawie siódma. Możemy przełączyć na wiadomości?

- Są nudne - jęknąłeś.

- Ostatnio nie są nudne - afera związana z Moniką Levinsky rozwijała się coraz bardziej lubieżnie. - Ostatnio są dość pikantne. Kevin? - grzecznie zwróciłam się do naszego syna. - Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, byśmy po tym odcinku przełączyli na wiadomości?

Kevin siedział w fotelu z współzamkniętymi oczami.

- Obojętnie - powiedział. Ty natomiast zaczęłaś śpiewać piosenkę tytułową *Poniedziałek, wtorek, szczęśliwe dni...!*, a ja schyliłam się, by poprawić Celi opaskę na oku. O pełnej godzinie przełączyłam na wiadomości, prowadzone przez Jima Lehrera. To była główna informacja. Tym razem nasz prezydent musiał zamknąć rozporek i ustąpić miejsca dwóm niezadowolonym chłopcom, mieszkającym w jego rodzinnym stanie. Starszy miał trzynaście lat, a młodszy jedenaście.



Jęknęłam i wskoczyłam na skórzaną kanapę.

- Tylko nie następna.

Nieopodal szkoły średniej Westside w Jonesboro w stanie Arkansas Mitchell Johnson i Andrew Golden w ukryciu oczekiwali na wyjście wszystkich uczniów po tym, jak wcześniej włączyli alarm przeciwpożarowy. Gdy nauczyciele i uczniowie opuścili budynek, obaj chłopcy otworzyli ogień z pistoletu ruger kaliber 44 i sztucera myśliwskiego. Zastrzelili cztery dziewczyny i jednego nauczyciela, a jedenastu innych uczniów zostało rannych. Starszy z chłopców także się postrzelił. Powodem było prawdopodobnie rozczarowanie miłosne. Przypuszczalnie jednak ostrzegł jednego ze swoich kolegów, któremu dzień wcześniej miał powiedzieć filmowym cytatem „Muszę trochę pozabijać”. Z kolei młodszy, Andrew Golden, miał powiedzieć, że planuje zabić „wszystkie dziewczyny, które go rzuciły”. W całym zajściu rany odniósł tylko jeden chłopak. Piętnaście pozostałych poszkodowanych osób to uczennice.

- Popierdoleni idioci - krzyknęłam.

- Hej, Eva! - oburzyłeś się. - Uważaj, co mówisz.

- Jeszcze więcej użalania się nad sobą! - powiedziałam. - *Och nie, moja dziewczyna już mnie nie kocha, dlatego zamierzam zabić pięć osób!*

- A co z tym całym amerykańskim gównem? - zapytał Kevin, patrząc na mnie kamiennym wzrokiem. - *Och nie, tak jak, dajmy na to, milion lat temu. Turcy byli wielkimi łajdakami, a teraz nikt o tym nie pamięta.* To nie jest użalanie się nad sobą?

- Nie przyrównywałamby ludobójstwa do bycia odrzuconym przez dziewczynę - odparłam.

- Yyee yyee-yyee yyee YYEE-yyee-yyee yyee-yyee yyee yyee-yyee YYEE-yyeee! - Kevin przedrzeźniał mnie po swojemu. - Boże, weź już daj sobie spokój.

- A co z chęcią *zabicia wszystkich dziewczyn, od których dostało się kosza?* - dociełam Kevinowi.

- Mogłabyś się *zamknąć?* - odparł.

- Kevin! - upomniałeś go.

- No co, próbowałam oglądać serial, a ona powiedziała, że chce oglądać wiadomości - Kevin często mówił o swej matce tak, jak ja mówiłam o Amerykanach. Oboje preferowaliśmy trzecią osobę.

- Ale ten bachor ma jedenaście lat! - nienawidziłam ludzi, którzy gadali w trakcie wiadomości, ale nie potrafiłam się powstrzymać. - Ileż on mógł mieć dziewczyn?

- Średnio? - powiedział nasz domorosły ekspert. - Około dwudziestu.

- Jak to - odparłam. - A ty ile miałeś?

- Ze-ro - Kevin już tak zapadł się w fotelu, że prawie leżał, a jego głos miał chropowatą barwę, którą wkrótce miał stosować cały czas. - Zaliczasz i wyrzucasz.

- No, to ci Casanova - powiedziałeś. - Tak się kończy zdradzanie tajemnicy życia dziecku w wieku siedmiu lat.

- Mamusiu, a kto to jest Zaliczacz i Wyrzucacz? Czy są tacy sami jak Tweedledum i Tweedledee?

- Celio, kochanie - odparłam naszej sześciolatniej córce, której seksualna edukacja na pewno nie była pilną sprawą. - Może pójdziesz pobawić się do pokoju? Oglądamy wiadomości, a one na pewno nie są dla ciebie interesujące.

- Dwadzieścia siedem kul, szesnaście trafień - Kevin policzył z uznaniem. - Ponadto ruchome cele. Wiesz, jak na małe dzieci *to jest* całkiem niezła skuteczność.

- Nie, ja chcę zostać z tobą - wtrąciła Celia. - Jesteś moim przyjacicieeelem.

- Ale ja chcę obrazek, Celio. Przez cały dzień nie narysowałaś mi obrazka!

- No dobrze - powiedziała, ociągając się i mnąc w dłoniach sukienkę.

- No, ale najpierw musisz mnie uściskać - przyciągnęłam ją do siebie i zarzuciła mi ręce na szyję. Nie pomyślałabym, że sześciolatka może przytulić się tak mocno, a oderwanie jej palców od mojego ubrania było nie lada wyczynem. Nie chciała odejść. Gdy już wychodziła z pokoju, zatrzymała się na chwilę pod łukiem i pomachała nam ręką, a ja zauważyłam, że patrzysz na Kevina.

W tym czasie reporter na ekranie telewizora przeprowadzał wywiad z dziadkiem Andrew Goldeną, któremu skradziono kilka sztuk broni, w tym także potężne strzelby, cztery pistolety i mnóstwo amunicji. - To straszna tragedia - powiedział łamiącym się głosem. - My przegraliśmy. Oni przegrali. Życie nas wszystkich legło w gruzach.

- Możesz powiedzieć to jeszcze raz - stwierdziłam. - A co innego miało się stać, jeśli nie to, że ich złapano, aresztowano i będą odrzuceni na wieczność? Co oni myśleli?

- Problem w tym, że nie myśleli - uznałam.

- Żartujesz? - wtrącił się Kevin. - Coś takiego musi być dobrze zaplanowane. - Oczywiście, że myśleli. Prawdopodobnie nigdy wcześniej w swoim marnym życiu nie myśleli bardziej intensywnie - od pierwszego zdarzenia Kevin bardzo interesował się tym tematem, a gdy kiedykolwiek takie informacje pojawiały się w mediach, on przyjmował pozę eksperta i w ten sposób działał mi na nerwy.

- Nie myśleli o tym, co nastąpi później - powiedziałam. - Być może pomyśleli o swoim głupim ataku, ale nie myśleli nad tym, co stanie się pięć minut później - o kolejnych

pięćdziesięciu latach nie mówiąc.

- Nie byłbym taki pewny - odparł Kevin, sięgając po garść chipsów nachos o smaku sera. - Nie słuchałaś, jak zwykle, bo Celia musiała dostać swoją porcję przytulania. Mają przecież mniej niż czternaście lat, a zgodnie z prawem obowiązującym w Arkansas, niczym Batman i Robin powrócą do swojego Batmobila w wieku osiemnastu lat.

- To skandal!

- Akta już zapieczętowane. Założę się, że każdy w Jonesboro z niecierpliwością na to czeka.

- Ale chyba nie wyobrażasz sobie, że przed strzelaniną obaj chłopcy poszli do biblioteki, by grzebać w książkach prawniczych.

- Mhm - Kevin mruknął wymijająco. - A skąd wiesz? Poza tym może to durne tak ciągle myśleć o przyszłości. Odlóż terażniejszość na jakiś czas, a potem do niej wróć, tak jakby nic się nie stało. Wiesz, o co mi chodzi?

- Dla młodocianych przestępców są niższe wyroki - włączyłeś się do rozmowy. - Te dzieciaki nie wiedziały, co robią.

- Chyba tak nie myślisz - odrzekł Kevin uszczypliwie.

Jeśli czuł się obrażony moimi drwinami na temat lęków nastolatków, to chyba nawet bardziej dotknęło go Twoje współczucie.

- Żaden jedenastolatek nie jest w stanie dostatecznie zrozumieć śmierci - stwierdziłeś.

- Nie ma jeszcze wyrobionego pojęcia o innych ludziach, nie wie, że czują ból, nawet że istnieją. A jego własna, dorosła przyszłość jest dla niego czymś nierealnym. Dlatego łatwiej to odrzucić.

- Może on zdaje sobie sprawę ze swojej przyszłości - odparł Kevin. - Może to właśnie jest problem.

- Oj, przestań, Kevin - kontynuowałaś. - Wszystkie dzieci, biorące udział w tych strzelaninach, pochodzą z klasy średniej, a nie z jakichś podmiejskich rynsztoków. Ci chłopcy mieli przed sobą przyszłość z kredytem hipotecznym, samochodem, pracą na szczeblu kierowniczym i corocznymi wakacjami na Bali, czy gdzie tam by chcieli.

- No właśnie - wyjaśnił Kevin. - Dokładnie tak, jak mówię.

- Wiesz co - zabrałam głos - kogo to obchodzi. Kogo obchodzi, czy strzelanie do ludzi jest dla nich realne, czy nie, kogo obchodzi ich bolesny rozpad związku z dziewczyną, która jeszcze nawet nie ma cycków. Kogo to obchodzi. Problemem są pistolety. Pistolety, Franklinie. Gdyby pistolety nie walały się po ich domach niczym miotły, to żaden z nich...

- O nie, znowu to samo - powiedziałaś.

- Słyszałeś, że w Arkansas nawet posiadanie przez nieletnich nie jest zabronione?

- Ukradli je...

- Bo była taka możliwość. W dodatku obaj chłopcy mieli też własne strzelby. To jakiś absurd. Gdyby nie pistolety, to te dwa odrażające typy poszłyby kopnąć kota lub - twój pomysł na rozwiązywanie problemów - walnęłyby swoje byłe dziewczyny w twarz. Krwawiący nos; wszyscy rozchodzą się do domów. Te strzelaniny są tak głupie, że chyba byłbyś wdzięczny, gdybyś znalazł w nich choćby kawałek gównianej nauczki.

- Zgoda, rozumiem, że chciałybyś automatycznego zakazu posiadania broni - powiedziałeś tonem kaznodziei, który był dla mnie nieszczęściem rodzicielstwa. - Ale pistolety zostają bez zmian. Są wielką częścią naszego kraju, strzelania do celu, polowania, o obronie własnej nie wspominając... - przestałeś mówić, gdyż zauważyłeś, że wcale Cię już nie słucham.

- Odpowiedzią, jeśli w ogóle jakaś istnieje, są *rodzice* - podsumowałeś, przemierzając pokój i przekrzykując telewizor, w którym Monica Levinsky po raz kolejny mizdrzyła swą wielką, tłustą i konającą z miłości twarz. - Możesz postawić wszystkie swoje dolary na to, że ci chłopcy nie mieli się do kogo zwrócić. Nikomu tak naprawdę nie mogli się zwierzyć ze swoich problemów, nie mieli nikogo, komu mogli zaufać. Gdy kochasz dzieci, gdy jesteś po ich stronie, spędzasz z nimi czas, zabierasz na wycieczki do muzeów i na miejsca historycznych bitew, wierzysz w nie i interesujesz się tym, co myślą, *to właśnie wtedy* taki smutny koniec ich problemów nigdy nie nastąpi. A jeśli mi nie wierzysz, to *zapytaj Kevina!*

Choć raz Kevin nie ukrywał swojego szyderstwa.

- Oczywiście, *tato!* To dla mnie naprawdę wielka różnica, że mogę tobie i mamie powiedzieć o wszystkim, szczególnie wtedy, gdy jestem pod *presją rówieśników!* Zawsze pytacie, w jakie *gry komputerowe* gram lub czy odrobiłem *zadanie domowe* i zawsze wiem, że mogę się do was zwrócić *w potrzebie!*

- Cóż, gdybyś nie mógł zwrócić się do nas, łobuziaku - mruknąłeś - to nie myślałbyś, że to jest tak cholernie śmieszne.

Celia właśnie wyłoniła się ze swojej sypialni i stanęła w progu, machając kartką papieru. Gestem wskazałam jej, by wróciła do siebie. Zawsze sprawiała wrażenie bezbronnej, ale ta unizoność i pokora były czymś nowym. Miałam nadzieję, że to tylko jakiś krótki etap. Ponownie skleiliśmy jej końce opaski Opticlude i posadziłam ją na swych kolanach, by podziwiać namalowany obrazek. Był zniechęcający. Białe fartuch doktora Sahatjiana narysowała w takim rozmiarze, że głowa wychodziła poza kartkę, a autoportret Celi sięgał raptem do kolan lekarza. Choć jej obrazki zwykle były jasne, zgrabne i drobiazgowo, w

miejscu, gdzie powinno znajdować się jej lewe oko, namalowała bezkształtne gryzmoły, które wychodziły poza jej policzek.

Ty tymczasem pytałeś Kevina.

- Kev, teraz poważnie - czy jacyś uczniowie w twojej szkole sprawiają wrażenie nieźrównoważonych? Czy ktoś mówi o pistoletach lub pełnych przemocy grach lub filmach? Myślisz, że coś takiego może się stać w twojej szkole? Czy chociaż są tam jacyś profesjonalni psychologowie, do których mogą się zwrócić nieszczęśliwi uczniowie?

Z grubsza prawdopodobnie chciałeś uzyskać odpowiedzi na te pytania, ale ich intensywność, charakteryzująca troskliwego tatusia, zdawała się być głównym celem. Kevin przejrzał Cię, zanim odpowiedział. Dzieci doskonale potrafią wyczuć różnicę pomiędzy dorosłym, który jest zainteresowany, a dorosłym, który tylko udaje zainteresowanego. Za każdym razem, gdy po odebraniu z przedszkola pytałam go, co robił - nawet w wieku pięciu lat mógł poznać, że nie byłam tym zainteresowana.

- Wszystkie dzieci w mojej szkole są nieźrównoważone, tato - odpowiedział. - Ciągłe grają w gry komputerowe naładowane przemocą i oglądają krwawe filmy. Do psychologa idzie się tylko po to, by zerwać się z lekcji, a wszystko, co jej mówisz, to bzdury. Coś jeszcze?

- Przykro mi, Franklinie - wtrąciłam się, sadzając Celię obok siebie - ale nie wydaje mi się, by kilka szczerych rozmów miało zatrzymać to, co staje się chwilową modą. To się rozprzestrzenia tak jak Teletubisie, tylko że zamiast chęci posiadania gumowej lalki z telewizorem w brzuszku każdy nastolatek chce wystrzelać całą szkołę. Tegoroczne hity dla dzieciaków to telefon komórkowy z *Gwiezdnych wojen* i półautomatyczny karabin z *Królem Lwem*. Och, i jeszcze jakaś towarzysząca temu historyjka o byciu wyszydzanym lub odrzuconym przez jakąś ładną dziewczynkę.

- Wykaż trochę współczucia - zgañiłeś mnie. - To są chłopcy z problemami. Potrzebują pomocy.

- Są też chłopcy *naśladowcy*. Myślisz, że nie słyszeli o Moses Lake lub West Palm Beach? O Betel, Pearl i Paducah? Dzieci chłoną to, co podaje telewizja, słyszą rozmowy rodziców. Doceń moje słowa, każdy taki niespodziewany napad szału z użyciem broni palnej jedynie zwiększa prawdopodobieństwo kolejnych, podobnych zdarzeń. Cały ten kraj się pogubił, każdy kopiuje każdego, każdy chce być sławny. Jediną nadzieją jest to, że te strzelaniny staną się tak powszechne, iż przestaną być głównymi wiadomościami. Dziesięcioro dzieci zginęło w jakiejś strzelaninie w Des Moines, a informacja o tym pojawia się gdzieś na szóstej stronie. W końcu każde takie zjawisko przestaje być modne. I dzięki

Bogu, w którymś momencie modne trzynastolatki nie będą chciały być bohaterami wiadomości z pistoletem w ręku. Do tego momentu, Kevin, będę uważnie przyglądała się twoim kolegom, którzy w zakamuflowany sposób zaczną się uzalać nad sobą.

Gdy przypominam sobie tę przemowę, bardzo wyraźnie widzę lekcję, jaka z niej płynęła: jeśli Szkolne Strzelaniny nieuchronnie mają stać się oklepane, ambitna młodzież, która wykaże chęć znalezienia się w głównych wiadomościach, zrobi wszystko, by ich działania były wyjątkowe.

Nieco ponad miesiąc później w Edinboro w stanie Pensylwania czternastoletni Andrew Wurst obiecał, że jego bal na zakończenie ósmej klasy będzie *niezapomnianym* przeżyciem. I rzeczywiście był. Na patio Nicks Place, około godziny dwudziestej drugiej, gdy 240 uczniów szkoły średniej tańczyło przy piosence *My Heart Will Go On* z filmu *Titanic*, Wurst strzelił prosto w głowę czterdziestoosmioletniemu nauczycielowi, który zginął na miejscu. Wurst strzelał z pistoletu swojego ojca, kaliber 25. Później oddał jeszcze kilka strzałów do tańczącej młodzieży, poważnie raniąc dwóch chłopców. Inny nauczyciel został lekko draśnięty. Podczas panicznej ucieczki został zatrzymany przez właściciela lokalu Nicks Place, który strzelbą zmusił napastnika do poddania się. Jak później nieco żartobliwie zauważyli dziennikarze, w tamtej chwili salę wypełniały dźwięki utworu *Yve Had The Time of My Life* z filmu *Dirty Dancing*.

Każdy z tych incydentów wyróżniał się osobnym przykładem uzalania się nad sobą. Wurst w szkole miał przydomek „Szatan”, co odbiło się szerokim echem w związku z przypadkiem Luke'a Woodhama z Pearl, który miał być zaangażowany w jakiś demoniczny kult. Wurst był wielkim fanem dwupłciowego wokalisty heavymetalowego zwanego Marilynem Mansonem, człowieka, który skakał po scenie w fatalnie nałożonym tuszu do rzęs. Tak więc piosenkarz, który jedynie chciał nieźle zarobić na złym guście młodzieży, w mediach został okrzyknięty główną przyczyną tragedii. Ja osobiście byłam nieco zmieszana moimi szyderstwami, biorąc pod uwagę ostrzeżenie, jakiego Kevin udzielił nam rok wcześniej, podczas imprezy kończącej ósmą klasę. Co do motywacji strzelca, to raczej brzmiała ona niezbyt wyraźnie. - Nienawidził swojego życia - powiedział jeden z jego przyjaciół. - Nienawidził świata. Nienawidził szkoły. Jedyna rzecz, którą lubił, dzięki której był szczęśliwy, to rozmowa z lubianą przez niego dziewczyną - musieliśmy dojść do wniosku, że odchylenia od tej normy będą naprawdę sporadyczne.

Być może szkolne strzelaniny już zaczynały wychodzić z mody, ponieważ historia osiemnastoletniego Jacoba Davisa z Fayetteville w stanie Tennessee, która zdarzyła się w

połowie maja, przeszła bez większego echa. Davis dopiero co otrzymał stypendium naukowe i nigdy nie sprawiał żadnych problemów. Jak później opowiadał reporterowi jego przyjaciel - prawie wcale się nie odzywał. Ale chyba właśnie to są potencjalni sprawcy takich zdarzeń. Niepozorni, małomówni. Nieopodal szkolnego budynku, trzy dni przed rozdaniem świadectw, Davis doszedł do swego rówieśnika, który chodził z jego byłą dziewczyną, i trzykrotnie strzelił do niego ze swojej strzelby, kaliber 22. Rozstanie chyba bardzo go dotknęło.

Być może byłam już zbyt poirytowana melodramatycznymi przypadkami nastolatków przeżywających miłosne dramaty, ale na tle innych zabójców Davis był prawdziwym dżentelmenem. W samochodzie zostawił krótki list, w którym zapewniał rodziców i byłą dziewczynę, że bardzo ich wszystkich kocha. Gdy już dokonał dzieła zniszczenia, odłożył pistolet, usiadł obok i schował głowę w dłoniach. Siedział tak aż do przyjazdu policji, a prasa relacjonowała, że „poddał się bez stawiania oporu”. Tym razem, co było nienormalne, byłam wzruszona. Widziałam to tak: Davis wiedział, że zrobił coś bardzo złego, i wiedział to już wcześniej, zanim popełnił przestępstwo. Te dwa fakty niewątpliwie sprawiają, że przez resztę swego życia w więziennej celi będzie prawdziwą ludzką łamigłówką.

Tymczasem w Springfield w stanie Oregon młody Kipland Kinkel przygotował śmiertelną lekcję, która dla jednego z jego kolegów z pewnością nie była drogą do nieśmiertelności. Zaledwie trzy dni po tym, jak Jacob Davis złamał serca swych ukochanych rodziców, ten chudy piętnastolatek o łasicowatej twarzy dorzucił się do puli. Około godziny ósmej rano, gdy jego koledzy ze szkoły Thurston High kończyli śniadanie, Kinkel spokojnie wszedł do szkolnej kawiarenki z ukrytym pod wojskowym płaszczem arsenałem w postaci pistoletu kaliber 22, 9-milimetrowego glocka i półautomatycznego karabinka kaliber 22. Najpierw wykorzystał najbardziej skuteczną broń i zaznaczył swoje przybycie strzelbą. Wypalił do okien, a uczniowie w przerażeniu chowali się pod stoły, by ukryć się przed szaleńcem. Dziewiętnastu uczniów znajdujących się w kawiarence zostało rannych, a czterech kolejnych odniosło obrażenia w trakcie panicznej ucieczki. Jeden zginął na miejscu, a druga ofiara strzelaniny zmarła w szpitalu. Kipland zabiłby także trzecią osobę, ale gdy przystawił jej pistolet do głowy, iglica wydała tylko suchy trzask, *klik, klik, klik*. Gdy Kinkel zaczął się szamotać przy wymianie magazynka, szesnastoletni Jake Ryker - członek szkolnej drużyny zapasniczej, który został postrzelony w klatkę piersiową - rzucił się na niego. Kinkel zdołał wyciągnąć pistolet z płaszcza. Ryker złapał go i wykręcając, zarobił jeszcze postrzał w dłoń. Młodszy brat Rykera skoczył na strzelca i pomógł przewrócić go na podłogę. Gdy inni uczniowie także rzucili się na napastnika i przygnietli go do ziemi, Kinkel krzychał: „Zastrzelcie mnie, zastrzelcie mnie natychmiast!”. Biorąc pod uwagę okoliczności, jestem

raczej zdziwiona, że go nie zastrzelili.

Och, tak przy okazji: gdy Kinkel był już w areszcie, doradził policjantom, by sprawdzili jego mieszkanie - śliczny dwupoziomowy dom bogato ozdobiony wysokimi jodłami i rododendronami - gdzie odkryli zastrzelonych: kobietę i mężczyznę. Obie ofiary były w średnim wieku. Co najmniej dzień lub dwa w prasie przewijały się spekulacje, kim mogą być ofiary. Sprawa się wyjaśniła dopiero wtedy, gdy babcia Kinkela zidentyfikowała zwłoki. Muszę przyznać, że byłam zażenowana faktem, iż w domu mordercy policja spodziewała się kogoś innego, niż jego rodziców.

Teraz, po pewnym czasie, gdy znanych jest sporo szczegółów, morał tej historii wydaje się oczywisty. Mały Kipland wysyłał wiele „sygnałów ostrzegawczych”, które nie zostały potraktowane z należytą powagą. W szkole średniej został uznany za „Najbardziej Prawdopodobnego Sprawcę Trzeciej Wojny Światowej”. Całkiem niedawno wygłosił w klasie prezentację poświęconą problemom skonstruowania domowej bomby. Ogólnie rzecz biorąc, rozmiar jego inklinacji w kierunku rozmaitych rodzajów przemocy był ogromny i widoczny w większości nieszkodliwych zadań szkolnych. - Gdyby ćwiczenie polegało na opisanu czynności, jakie można wykonywać w ogrodzie - powiedział jeden z uczniów - Kipland napisałby o masakrowaniu ogrodników. - Co za upiorny zbieg okoliczności, inicjały Kipa Kinkela to również „KK”, Kinkel był tak nielubiany przez kolegów ze szkoły, że nawet po jego występie w kawiarence nie chcieli nadać mu żadnego pseudonimu. A już najbardziej godne potępienia było to, że dzień przed strzelaniną został zatrzymany za posiadanie skradzionego pistoletu i z aresztu oddano go pod dozór rodziców. W ten sposób świat zorientował się, że niebezpieczni uczniowie zdradzają się swoim zachowaniem. Można ich zdemaskować, a co za tym idzie, można ich powstrzymać.

Szkoła Kevina działała w tym celu przez większość roku szkolnego, choć informacja o każdej kolejnej strzelaninie wynosiła ogólną paranoję na jeszcze wyższy poziom. Gladstone High roztoczyła wokół siebie wojenną atmosferę, pomijając przekonanie, charakterystyczne dla maccartyzmu, że wróg czai się wewnątrz. Nauczyciele zostali wyposażeni w listę nienormalnych zachowań, na które mają być wyczuleni, a uczniów poinstruowano, by nawet najmniejszą oznakę niebezpieczeństwa niezwłocznie zgłaszać pracownikom szkoły, nawet jeśli to zdarzenie „wyglądało jak żart”. Prace pisemne były skrupulatnie przeczesywane w poszukiwaniu oznak niezdrowych zainteresowań Hitlerem i nazizmem, przez co lekcje europejskiej historii XX wieku stały się dość zabawne. Równie wielka była nadwrażliwość na punkcie satanizmu, przez co jeden ze starszych uczniów, Robert Bellamy, który był także znany jako „Bobby Belzebub”, został wezwany do gabinetu dyrektora, by wyjaśnił - i przy



okazji zmienił - swój przydomek. Do wszystkiego podchodzono bardzo dosłownie, więc gdy jakaś pobudliwa drugoklasistka krzyknęła „zabiję cię” do swojej koleżanki, która podczas gry w siatkówkę źle zaserwowała, została natychmiast wezwana do gabinetu psychologa i do końca tygodnia zawieszona w prawach ucznia. Teraz nawet mówienie metaforami nie było bezpieczne. Gdy żarliwy baptysta z klasy Kevina na lekcji angielskiego napisał wiersz *Me serce jest niczym pocisk, któremu Bóg wyznacza cel*, nauczyciel natychmiast udał się do dyrektora szkoły i odmówił prowadzenia zajęć, dopóki uczeń ten nie zostanie przeniesiony. Nawet w szkole podstawowej, do której uczęszczała Celia, paranoja osiągnęła kolosalne rozmiary: chłopiec z pierwszej klasy został zawieszony na trzy dni tylko za to, że udkiem z kurczaka wycelował w nauczyciela i powiedział „puk, puk, puk”.

W całym kraju było tak samo, tak jakby te kłopotliwe, krótkie artykuły w „New York Timesie” nie miały zamiaru się skończyć. W Harrisburgu w stanie Pensylwania czternastoletnia dziewczyna została poddana drobiazgowej kontroli, ze zdejmowaniem ubrania włącznie - *ze zdejmowaniem ubrania włącznie*, Franklinie - a później zawieszona, gdy podczas klasowej dyskusji na temat Szkolnych Strzelanin powiedziała, że jest w stanie wyobrazić sobie, iż dzieci, które są szykanowane, mogą w końcu wybuchnąć. W miasteczku Ponchatuola w Luizjanie dwunastolatek został na dwa tygodnie zamknięty w zakładzie poprawczym, ponieważ w kolejce po lunch powiedział swym kolegom z piątej klasy, że „ich dopadnie”, jeśli nie zostawią mu wystarczającej ilości ziemniaków. Jego słowa zostały potraktowane jako „zagrożenie terrorystyczne”. Na stronie internetowej [buffythevampireslayer.com](http://buffythevampireslayer.com) uczeń z Indiany umieścił swą teorię, która pewnie od czasu do czasu przebiega przez myśl wszystkim uczniom, że jego nauczyciele byli wyznawcami diabła; niezadowoleni ze zbyt małej kary zawieszenia, nauczyciele oskarżyli chłopca i jego matkę o zniesławienie, szkody moralne i narażenie na nadmierny stres. Inny trzynastolatek został zawieszony na dwa tygodnie, ponieważ podczas wycieczki do Muzeum Atomowego w Albuquerque zadał pytanie „Czy nauczą nas tutaj, jak zbudować bombę?”, podczas gdy inny uczeń dostał dobrą ocenę tylko za to, że jednemu z pracowników szkoły przyniósł książkę z chemii. W całym kraju dzieci były wydalane ze szkoły za noszenie wojskowych płaszczy, takich, jaki miał Kipland Kinkel, lub po prostu za noszenie czarnych ubrań. Moim faworytem w tym głupim wyścigu był dziewięciolatek, który został zawieszony po klasowym projekcie dotyczącym azjatyckiej kultury. Młody chłopiec we wróżbie z chińskiego ciasteczka szczęścia napisał „Umrzesz zaszczytną śmiercią”.

Zwykle Kevin nie mówił nam zbyt wiele o tym, co dzieje się w jego szkole, jednak pewnego dnia postanowił opowiedzieć o smaczkach narastającej hysterii. Ten swoisty raport

miał jeden cel: Ty bardziej obawiałeś się, że coś *mu* się stanie, ja bardziej obawiałam się, że on komuś coś zrobi. Poczucie, że sprawia wrażenie niebezpiecznego, cieszyło go bardzo wyraźnie, ponadto jasno określił szkolne restrykcje jako śmieszne.

- Dalej to podtrzymują - przyznał kiedyś i w tym momencie był bardzo bystry - chcą karmić dzieci jakimiś *ideami*!

To był wieczór na krótko przed zakończeniem ostatniej klasy, a zarazem zakończeniem okresu dzieciństwa, co najstarszym uczniom zawsze kojarzy się z pewnego rodzaju apokalipsą. Taka sytuacja mogła wprowadzać nerwowość nawet i bez pomocy Kipa Kinkela. Po swej tradycyjnej kolacji - zwierzęce myszkowanie w otwartej lodówce - Kevin spokojnie rozsiadł się w fotelu i podzielił z nami najnowszymi wiadomościami: wszyscy uczniowie przez cztery przerwy zostali zamknięci w klasach, a w tym czasie policja przeszukiwała każdą szafkę i sprawdzała korytarz z pomocą psów tropiących.

- Czego szukali, narkotyków? - zapytałam.

- Może wierszy? - Kevin odpowiedział żartobliwie.

- To przez te nonsensy z Jonesboro i Springfield - uznałeś. - Na pewno szukali broni.

- Co mnie najbardziej dobija - powiedział Kevin, ważąc słowa i wypuszczając je niczym papierosowy dym - jeśli wybaczyście to wyrażenie - to fakt, że każdemu nauczycielowi wysłali informację o procedurze przeszukania. Ten głupek, nauczyciel teatru, Pagorski zostawił swoją kopię na biurku i Lenny ją zobaczył - byłem pod wrażeniem, nie wiedziałem, że umie czytać. Zresztą nieważne. Tak czy siak, informacja rozeszła się po całej szkole. Wszyscy wiedzieli, że coś takiego nastąpi. Dzieciak, który trzymał w szafce karabinek maszynowy, bez problemu mógł znaleźć dla niego dużo lepszy schowek.

- Kevin, czy ktoś z twoich kolegów lub koleżanek był przeciwny takiemu przeszukaniu? - zapytałam.

- Kilka dziewczyn protestowało po pewnym czasie - powiedział beztrząsco. - Nikt nie mógł nawet wyjść się wysikać. To fakt - Kevin zaśmiał się astmatycznie. - Ta ośła gęba, Ulanow, złała się w majtki.

- Czy cokolwiek jakoś wyjątkowo zaalarmowało administrację szkoły? Czy to po prostu odbyło się na zasadzie „Och, dzisiaj środa. Może pobawimy się z psami tropiącymi?”.

- Prawdopodobnie jakiś anonimowy donos. Utworzyli teraz specjalną linię telefoniczną, więc można bez problemu wkopać kolegów. Mógłbym dzięki temu urywać się z lekcji przyrody w dowolny dzień tygodnia.

- Anonimowy donos? Od kogo? - zapytałam.

- *Halo-halo*. Gdybym ci powiedział, to nie byłby już taki anonimowy, prawda?

- A po tym całym zamieszaniu w ogóle coś znaleźli?

- Pewnie, że tak - burknął Kevin. - Wielką kupę zbyt długo przetrzymanych książek z biblioteki szkolnej. Trochę frytek, które zaczęły już śmierdzieć. Jeden naprawdę soczysty i mroczny wiersz, który okazał się słowami utworu kapeli Big Black: *To jest Jordan, robimy to, na co mamy ochotę...* O, i jeszcze jedna rzecz. Lista.

- Jaka to była lista?

- Lista hitów. Nie „Moje ulubione piosenki”, ale coś innego. Wiesz, z wielkim, rzucającym się w oczy nagłówkiem *ONI WSZYSCY POWINNI UMRZEĆ*.

- Boże - wstałeś z kanapy. - W tych dniach to nie jest śmieszne.

- Pewnie, że nie. Oni zresztą też tak pomyśleli.

- Mam nadzieję, że odbędą z tym dzieckiem poważną rozmowę - powiedziałaś.

- Ooo, myślę, że to będzie coś znacznie lepszego, niż *rozmowa!*

- No dobrze, kto to był? - zapytałam. - Gdzie to znaleźli?

- W jego szafce. To właśnie jest najzabawniejsze. Ostatnia osoba, po której się tego spodziewałaś.

- Kev - powiedziałaś ostro. - Ostrzegałem cię, byś uważał na to, co mówisz.

- Wybacz. Chodzi o seniora Espinozę. Zdaje się, że właśnie odczuwa etniczną gościnność i stłumioną złość w imieniu ludzi pochodzenia latynoskiego.

- Zaraz - wtrąciłam się. - Czy on przypadkiem nie wygrał w ubiegłym roku jakiejś poważnej nagrody akademickiej?

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam - odparł radośnie Kevin. - Ale trzytygodniowe zawieszenie wpłynie bardzo negatywnie na jego dotychczasowe osiągnięcia. Czy to nie jest wstyd? Boże, i myślisz, że znasz ludzi...

- Jeśli wszyscy wiedzieli, że przeszukania się odbędą - stwierdziłam - dlaczego Espinoza miałby trzymać tak oczywistą listę w swojej szafce, skoro mógł to przewidzieć?

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Może dlatego, że jest totalnym amatorem.

Zaczęłam stukać palcami po stoliku kawowym.

- Te szafki. Te, które były w szkołach za moich czasów, miały otwory na górze. Miały służyć wentylacji. Te wasze mają takie otwory?

- Pewnie - powiedział, wychodząc z pokoju. - Dzięki temu frytki lepiej się trzymają.

Zawieszono najlepszego ucznia; Greer Ulanow zsikała się w majtki. Zawieszono poetów, sportowców, w gorącej wodzie kąpanych i ludzi w podejrzanych ciuchach. Każdy, kto miał nietypowy pseudonim, ekstrawagancki wygląd lub nie był bardzo lubiany, automatycznie trafiał do grona podejrzanych. Na ile mogłam się zorientować, to właśnie

trwała Wojna z Dziwakami.

Tyle, że ja identyfikowałam się z dziwakami. Gdy miałam kilkanaście lat, miałam mocne, ormiańskie rysy, co wśród moich rówieśników nie uchodziło za okaz piękna. Miałam śmieszne nazwisko. Mój brat był bardzo cichy, nie miał wielu znajomych, więc nie torował mi drogi do towarzyskich elit nastolatków. Matka od lat żyła w zamknięciu, nigdy nie pokazywała się ze mną publicznie ani nie brała udziału w szkolnych spotkaniach, ciągle wykręcając się koniecznością produkcji świątecznych kartek; a ja byłam marzycielką, która nieustannie fantazjowała o ucieczce nie tylko z Racine, ale z całych Stanów Zjednoczonych. Marzyciele nie patrzą w przeszłość, nie oglądają się za siebie. Gdybym była uczniem w Gladstone High w roku 1998, z pewnością napisałabym jakiś szokujący tekst na lekcję angielskiego na temat wyciągnięcia mojej rodziny z tego mizernego świata, wysadzając mroczny sarkofag, znajdujący się przy Enderby Avenue 112 i kierując go prosto do królestwa niebieskiego. Mogłabym też napisać projekt o „różnorodności”, zawierający szczegóły dotyczące ludobójstwa Ormian, który zdradzałby moje *niezdrowe* zainteresowanie przemocą. W dodatku wyrażałabym niepożądaną sympatię do biednego Jacoba Davisa siedzącego obok swego pistoletu z głową ukrytą w dłoniach, lub też nietaktownie określiłabym test z łaciny jako *zabójczy* - tak czy inaczej, na pewno zostałabym zawieszona w prawach ucznia.

Kevin natomiast nie. Kevin nie był dziwakiem. Na pewno nie w sposób dający się zauważyć. Ubierał się w zbyt małe rzeczy, ale przecież nie ubierał się na czarno i nie chodził w wojskowym płaszczu; „zbyt małe ubrania” nie były na oficjalnej liście „zakazanych znaków”. Jego oceny były dość dobre, ale nikt poza mną nie uważał, że to dziwne. Uważałam go za bardzo zdolnego ucznia, którego stać na najwyższe oceny, Ty z kolei myślałeś, że piątkę mógłby dostać jedynie *przez przypadek*. Ale nie, Kevin wykorzystywał swą inteligencję do tego, by się nie wychylać. Myślę jednak, że przesadzał z tym. Chodzi mi o to, że jego prace były nudne, pozbawione życia i tak monotonne, jakby były pisane na granicy obłąkania. Ty twierdziłeś, że ktoś na pewno by zauważył, że te szarpane, śmieszne zdania (Paul Revere jechał konno. Powiedział, że Brytyjczycy się zbliżają. Powiedział: - Brytyjczycy się zbliżają, Brytyjczycy się zbliżają) są na zbyt niskim poziomie. Ale igrał z nauczycielem tylko wtedy, gdy na historii Afryki napisał pracę zawierającą często powtarzające się słowo czarny.

W kwestii towarzyskiej, Kevin kamuflował się wystarczającą liczbą „przyjaciół”, by nie uchodzić za niepokojąco samotnego i izolującego się ucznia. Wszyscy jego „przyjaciele” byli przeciętni - wyjątkowo przeciętni, o ile można tak powiedzieć - lub po prostu byli idiotami, tak jak Lenny Pugh. Wszyscy prezentowali minimalistyczne podejście do edukacji i

unikali wszelkich kłopotów. Wszyscy mogliby z powodzeniem prowadzić poza szkołą drugie życie, ale właśnie jedyną rzeczą, która nie była powodem do alarmu, była podejrzana bezbarwność. Maski, którą włożyli na siebie, była perfekcyjna.

Czy Kevin brał narkotyki? Nigdy nie byłam pewna. Męczyło Cię bardzo, jak podejść do tego tematu, czy przeprowadzić rzetelne szkolenie i ukazać wszelkie środki odurzające jako prostą drogę do szaleństwa, czy może zagrać nawróconego diabła, przedstawiając długą listę zakazanych substancji, które wcinałeś jak cukierki, dopóki nie zorientowałeś się, że mogą zniszczyć Ci życie. (Prawda jest taka, że nie wyczyściliśmy szafki z lekami, ale oboje próbowaliśmy nieraz miękkich narkotyków, nie tylko w latach sześćdziesiątych, ale nawet na rok przed jego urodzeniem; dzięki życiu z pomocą tych środków chemicznych żadne z nas nie trafiło do szpitala psychiatrycznego lub na salę operacyjną; a to, że te kolorowe, karnawałowe jazdy na lekkim haju były raczej źródłem miłych wspomnień niż wyrzutów sumienia - było *nie do zaakceptowania*). Każda ścieżka kryje w sobie jakieś pułapki; pierwsza naznaczyłaby Cię piętnem zramolałego tatuśka, który nie ma pojęcia, o czym mówi; następna z kolei zalatywałaby hipokryzją. Pamiętam, że w końcu wypracowałeś pośrednie stanowisko, przyznałeś się do palenia trawki i dla podtrzymania sensu wypowiedzi powiedziałeś mu, że nie masz nic przeciwko temu, jeśli i on będzie chciał tego spróbować, ale pod żadnym pozorem nie może dać się złapać. A jeśli ktoś go o to zapyta, to ma mówić, że jest bardzo przeciwny jakimkolwiek narkotykom. Ugryzłam się w język. Szczerze mówiąc, uważałam, że nic nie zrobiłoby temu dzieciakowi lepiej, niż kilka tabletek extasy.

Co do seksu, to precyzja określenia „zaliczasz i wyrzucasz” wciąż jest do wzięcia. Jeśli przyznałabym, że z naszej dwójki to ja znam Kevina lepiej, mogłabym przez to powiedzieć jedynie tyle, że wiem, iż jest przewrotny. Wiem, że go nie znam. Możliwe, że wciąż jest prawiczkim; pewna jestem tylko jednej rzeczy. Jeśli uprawiał seks, to na pewno było to bardzo ponure zjawisko - krótkie, miarowe; i ubieramy się. (Mógł też seksualnie wykorzystywać Lenny'ego Puga. Bardzo łatwo mogę to sobie wyobrazić). Skutkiem tego Kevin mógł nawet uznać Twoją poradę, że jeśli będzie już gotowy na seks, to niech zawsze używa prezerwatywy, choćby tylko po to, by ten cienki kawałek gumy zagwarantował przelotnym przygodom większą przyjemność. Wnioskowałam, że nie było sensu mówienia o pięknie i brzydocie, bo Kevin już dawno wyrobił w sobie właściwy gust. Prawdopodobnie w byciu pięknym jest tak wiele odcieni, że umysł, przepełniony złym urokiem, uniemożliwi wydobyć odpowiedniej subtelności.

Pod koniec dziewiątej klasy była jeszcze jedna sprawa, o której dotychczas Ci nie mówiłam, ale teraz Ci to wyjawię, by po prostu mieć to już za sobą.

Na pewno pamiętasz, że na początku czerwca komputery w AWAP-ie zostały zaatakowane wirusem. Nasz personel techniczny doszedł do tego, że źródłem wirusa był e-mail sprytnie zatytułowany „UWAGA: Nowy niebezpieczny wirus pojawił się w sieci”. Nikt nie zachowywał swych danych na płytach lub dyskietkach, a gdy okazało się, że wirus zaatakował także nasze kopie zapasowe, efekty były katastrofalne. Dostęp do większości plików był zablokowany, inne przestały istnieć lub pokazywały się na monitorach w postaci kwadracików i różnych, nic nieznaczących znaczków. Cztery wydawnictwa musieliśmy odłożyć co najmniej o pół roku, zachęcając stałych sprzedawców naszych przewodników, by zaczęli zamawiać *The Rough Guide* i *The Lonely Planet*, bo *Wing and a Prayer* nie był w stanie zrealizować złożonych zamówień. (Nie mogliśmy też nawiązać nowych kontaktów, bo wirus rozprzestrzenił się do wszystkich skrzynek, które znajdowały się w naszej poczcie). Nigdy w pełni nie odzyskaliśmy pozycji rynkowej, którą straciliśmy w ciągu tamtego lata. W efekcie w roku 2000 musiałam sprzedać firmę za mniej niż połowę jej wartości sprzed dwóch lat. Z mojego punktu widzenia przyczyną było wyłącznie zniszczenie komputerów w roku 1998.

Nigdy nie mówiłam Ci o tym, co było przyczyną tego wstydu. Zawsze mówiłeś mi, bym nie wtykała nosa w nieswoje sprawy. Powinam pamiętać o tych wszystkich podręcznikach dla rodziców, które nakazywały uszanowanie prywatności pokoju dziecięcego. Jeśli poniosłam konsekwencje, to sama byłam temu winna. To jedna z najstarszych prawd przekazywanych w książkach i jednocześnie ulubiona rzecz niewiernego świata: jeśli ludzie odkrywają coś obwiniającego, szperając w miejscach dla nich niedozwolonych, natychmiast stawiasz tezę, że za takie węszenie powinna być odpowiednia kara.

Nie wiem, co skusiło mnie, by tam wejść. Nie poszłam tego dnia do pracy, ponieważ miałam zabrać Celię na kolejną wizytę u okulisty, który miał sprawdzić, jak jej oczodół przyzwyczajają się do protezy. W pokoju Kevina nie było zbyt wielu interesujących rzeczy, ale może właśnie to sprawiło - ta tajemnicza pustka - że poczułam nagłą ochotę, by tam zajrzeć. Gdy otworzyłam drzwi, od razu dobitnie przekonałam się, że nie powinno mnie tam być. Kevin był w szkole, Ty szukałeś kolejnego miejsca na reklamę, Celia męczyła się nad zadaniem domowym, które powinno zająć jej dziesięć minut, a w efekcie zajęło dobre dwie godziny, tak więc szansa na to, że zostanę przyłapana, była minimalna. Mimo to moje serce łomotało, a oddech był przyspieszony. Wmawiałam sobie, że to głupie. Przecież byłam we własnym domu, a gdyby ktoś niespodziewanie mi przeszkodził, mogłam zawsze powiedzieć, że szukałam brudnych naczyń.

Prawdopodobieństwo, że znajdę je akurat w tym pokoju, było naprawdę nikłe. Był

nieskazitelnie czysty; zachęcałeś Kevina, by dbał o porządek, ale on był prawdziwym czyszcioszkiem. Łóżko było pościelone z wojskową precyzją. Oferowaliśmy mu nakrycie z wyścigowymi samochodami lub z postaciami z gry Dungeons & Dragons; on jednak wolał zwykły beż. Ściany były zupełnie nieudekorowane; żadnych plakatów Oasis lub Spice Girls, żadnego Marylina Mansona. Półki były prawie puste: kilka książek szkolnych, jeden egzemplarz *Robin Hooda*; książki, które podarowaliśmy mu na święta i na urodziny gdzieś zniknęły. Miał swój własny telewizor i wieżę stereo, ale jedyną „muzyką”, jaką słyszałam z jego pokoju, było coś w stylu Philipa Glassa - jakieś komputerowo wygenerowane dźwięki na podstawie matematycznych równań; bez formy, bez wzlotów i upadków, coś w stylu podkładu dźwiękowego na kanale prezentującym pogodę. I znowu, płyty, które mu podarowaliśmy, próbując wy badać, jaki rodzaj muzyki mu się spodoba, także gdzieś zniknęły. Na komputerze miał tapetę w postaci kropek, mimo że dostępne są śliczne widoki skaczących delfinów lub efektownych statków kosmicznych.

Zastanawiałam się, czy podobnie wyglądają jego myśli. A może sam pokój też był pewnego rodzaju komputerową tapetą lub wygaszaczem ekranu? Wystarczyło dodać nad łóżkiem obrazek przedstawiający nadmorską plażę i można by poczuć się jak w pustym pokoju hotelu Quality Inn. Przy łóżku nie było żadnej fotografii, na biurku nie stał przybornik - powierzchnie były śliskie i jakby nieobecne. Znacznie bardziej wolałabym wejść do jakiejś piekielnej nory dudniącej heavy metalem, oklejonej rozkładówkami z „Playboya”, śmierdzącej przepoconymi koszulkami, zaśmieconej starymi puszkami z tuńczykiem. To byłby pokój nastolatka, który potrafiłabym zrozumieć, gdzie mogłabym odkryć jakieś małe sekrety w postaci pudełka zużytych durexów schowanego pod skarpetkami lub paczki marihuany wciśniętej między ubrania. Dla odmiany sekretów tego pokoju nie mogłam odkryć, tak jak nie mogłam nadażyć za moim synem. Rozglądając się wokół pomyślałam - *Mógłby być kimkolwiek.*

Ja jednak nie uwierzyłam w zarozumiałą przejrzystość tego pokoju. Nie dałam się nabrać. Gdy na półce ponad komputerem ujrzałam stos dyskietek, postanowiłam je przejrzeć. Tytuły opisane pozbawionym charakteru idealnym pismem przypominającym komputerowy wydruk były niezrozumiałe: „Nostradamus”, „Kocham Cię”, „D4-X”. Z dziwnym uczuciem wyjęłam jedną z nich, odłożyłam resztę i wyszłam z pokoju.

W mojej pracowni włożyłam dyskietkę do komputera. Nie potrafiłam rozpoznać rozszerzeń plików, ale na pewno nie były to typowe pliki tekstowe, co szczerze mówiąc rozczarowało mnie trochę. Miałam nadzieję, że znajdę jakiś sekretny dziennik lub pamiętnik, w którym mogłabym nie tyle odnaleźć jego myśli, co przekonać się, że w ogóle ma jakieś

przemyslenia. Nie zamierzałam się zbyt łatwo poddać, dlatego włączyłam Explorera i załadowałam jeden z plików; ku mojemu zdziwieniu otworzył się Microsoft Outlook Express i w tym momencie Celia zawołała, bym jej pomogła rozwiązać zadanie. Wysłałam na mniej więcej piętnaście minut.

Gdy wróciłam, komputer był wyłączony. Wyłączył się sam, co wcześniej mi się nigdy nie zdarzyło. Włączyłam go ponownie, ale poza informacjami o błędach na ekranie nie ukazywało się nic więcej, nawet gdy już wyjęłam dyskietkę.

W tym temacie jesteś lepszy ode mnie. Następnego dnia zabrałam komputer do pracy, by poprosić o pomoc ludzi z obsługi technicznej, ale już w drzwiach zauważyłam, że w biurze wrze niczym w ulu. Nie było to jakieś piekło, bardziej przypominało to imprezę, na której zabrakło alkoholu. Wydawcy plotkowali bezcelowo w swoich pokojach. Nikt nie pracował. Nie mogli. Żaden terminal nie działał. Później prawie mi ulżyło, gdy George poinformował mnie, iż twardy dysk mojego komputera był tak zainfekowany, że najlepiej byłoby kupić nowy. Być może po usunięciu niebezpiecznych obiektów nikt z pracowników się nie dowie, że wirus został wprowadzony z komputera dyrektora wykonawczego.

Wściekła na Kevina za to, że trzyma współczesny odpowiednik skorpiona, przez kilka dni przetrzymywałam dyskietkę jako dowód rzeczowy. Nie chciałam tak od razu zwracać jej na półkę. Gdy już nieco ochłonęłam, musiałam jednak przyznać, że to nie Kevin skasował wszystkie dane w mojej firmie. Ta mała katastrofa to była wyłącznie moja wina. Pewnego wieczoru zapukałam do jego pokoju, weszłam do środka i zamknęłam drzwi. Siedział przy biurku. Ekran komputera mrugał w chaotyczny sposób - kropka tu, kropka tam.

- Chciałam cię zapytać - powiedziałam pokazując dyskietkę - co to jest?

- Wirus - odpowiedział pewnie. - Chyba go nie otwierałaś?

- Oczywiście, że nie - odrzekłam pospiesznie, odkrywając przy okazji, że okłamywanie dziecka jest takim samym uczuciem, jak okłamywanie rodziców; moje policzki zarumieniły się, tak samo jak wtedy, gdy w wieku siedemnastu lat, dzień po utracie dziewictwa zapewniałam matkę, że spędziłam noc u koleżanki, której ona nie zna. Matka jednak wiedziała lepiej. Kevin też. - To znaczy - poprawiłam się boleśnie - tylko raz.

- W zupełności wystarczy.

Oboje wiedzieliśmy, że niezbyt korzystne dla mnie jest wkradanie się do jego pokoju i wnoszenie dyskietki, którą później zrujnowałam swój komputer i sparaliżowałam pracę całego biura. W dodatku jeszcze w myślach oskarżyłam go o sabotaż. Dlatego nasza rozmowa musiała przebiec w spokojnym tonie.

- Po co ci to? - zapytałam z powagą.



- Robię sobie taką kolekcję.
- Czy to nie dziwna rzecz do kolekcjonowania?
- Nie lubię znaczków pocztowych.

W tej samej chwili wyobraziłam sobie, co Kevin mógłby Ci powiedzieć, gdybyś zapytał go, *czemu, do cholery*, trzyma kolekcję komputerowych wirusów na swoim biurku: *Cóż, po obejrzeniu Milczenia owiec postanowiłem, że chcę być agentem FBI! Wiesz, że mają tam specjalny wydział zajmujący się wirusami komputerowymi i śledzą hakerów, którzy rozsyłają je po całym świecie? Z tego względu uczę się wszystkiego na ten temat, bo czytałem, że dla współczesnej gospodarki to bardzo wielki problem, w dodatku z uwagi na globalizację zagrożone mogą być nawet systemy obronne kraju..*, Kevin jednak nie odstawił takiego przedstawienia - po prostu kolekcjonował wirusy komputerowe, koniec historii. I co z tego? W dziwny sposób schlebiali mi to.

Zapytałam więc nieśmiało. - Ile ich masz?

- Dwadzieścia trzy.
- Czy... trudno je znaleźć?

Popatrzył na mnie odważnie z tym starym wyrazem niezdecydowania, ale jednak jakiś kaprys sprawił, że postanowił porozmawiać ze swoją matką. - Trudno je złapać, *jeśli akurat są aktywne* - powiedział. - Pojawiają się i atakują. Trzeba wiedzieć, jak się z nimi obchodzić. Wiesz - tak jak lekarz. Bada choroby w laboratorium, ale sam nie chce się nimi zarazić.

- To znaczy, że trzeba trzymać je z dala od własnego komputera.
- Tak. Mouse Ferguson nauczył mnie tych rzeczy.
- Skoro już je zbierasz. Może wyjaśnisz mi - dlaczego ludzie tworzą wirusy? Nie rozumiem tego. Nic przecież nie osiągają. Jaki jest ich cel?
- Nie rozumiem, czego nie rozumiesz.
- Rozumiem włamywanie się do firmy telekomunikacyjnej po to, by załatwić sobie darmowe rozmowy, rozumiem kradzież numerów kart kredytowych, by robić zakupy w Internecie. Ale taki rodzaj komputerowego przestępstwa - nikt na tym nie korzysta. O co więc chodzi?
- Właśnie o to.
- Dalej nie rozumiem - przyznałam.
- Wirusy - to coś eleganckiego, wytwornego, rozumiesz? Prawie niepokalane. Coś jakby - działalność charytatywna, rozumiesz? To bezinteresowne.
- Ale przecież to niewiele różni się od wytwarzania AIDS.
- Może ktoś to stworzył - powiedział mile. - Wyobraź sobie, co by było w innym

przypadku? Piszesz na komputerze i idziesz do domu, przywożą ci lodówkę, inny komputer wypłuka twój rachunek, idziesz spać i coraz więcej rzeczy robisz za pomocą komputera... równie dobrze możesz być martwa.

- Więc o to chodzi... Coś jakby, tak, przypomnienie o tym, że się żyje. By pokazać innym ludziom, że jednak cię nie kontrolują. By udowodnić, że coś potrafisz, nawet jeśli można za to trafić do aresztu.

- No, mniej więcej - powiedział z uznaniem. W jego oczach zyskałam na wartości.

- Och - powiedziałam, oddając mu dyskietkę. - Dzięki za wyjaśnienie.

Gdy zbierałam się do wyjścia, Kevin rzucił w moim kierunku:

- Twój komputer jest rozpieprzony, prawda?

- Tak, jest rozpieprzony - przyznałam. - Chyba na to zasłużyłam.

- Wiesz, jeśli jest ktoś, kogo nie lubisz - zaoferował się - i jeśli masz jego adres mailowy, to po prostu daj mi znać.

Zaśmiałam się.

- Świetnie. Na pewno tak zrobię. Może kiedyś. Gdy lista ludzi, których nie lubię, będzie wystarczająco długa.

- Lepiej ostrzeż ich, że masz przyjaciół w niższych sferach - powiedział.

- To się nazywa *przywiązanie* - odparłam i zamknęłam za sobą drzwi.

*Eva*

16 marca 2001

*Drogi Franklinie,*

To już kolejna piątkowa noc, podczas której przygotowuję się do jutrzejszej porannej wizyty w Chatham. Światłówki znowu drgają, migoczą - zupełnie jak moje stoickie postanowienie, że będę dobrym żołnierzem i przeżyję to, co mi pozostało z życia ze względu na jakąś nienazwaną powinność. Siedzę tu już od ponad godziny, zastanawiając się na tym, co pozwala mi jeszcze funkcjonować, a przede wszystkim zaś - czego właściwie chcę od Ciebie. Nie ma chyba potrzeby mówić, że chcę, byś wrócił. Objętość tej korespondencji - mimo iż jest zdecydowanie jednostronna, czyż nie? - zdecydowanie o tym świadczy. Ale cóż jeszcze? Czy pragnę, byś mi wybaczył? A jeśli tak, to co dokładnie miałbyś wybaczyć?

Mimo wszystko, czułam się nieswojo z nieproszoną falą wybaczenia, która przetoczyła się nad naszą rodziną po wydarzeniach z *Czwartku*. Oprócz poczty obiecującej albo wybić mu z głowy to wszystko, albo też urodzić mu dzieci, Kevin otrzymał tony listów deklarujących gotowość dzielenia z nim jego bólu, przepraszających za to, że społeczność go zawiodła, nie dostrzegając jego duchowego cierpienia oraz udzielających mu pełnej moralnej amnestii za to, czego teraz musi bardzo żałować. Czytał mi na głos wybrane fragmenty, wyraźnie rozbawiony.

To staje się już jakąś parodią - wybaczyć nieskruszonemu grzesznikowi. Zresztą, mogę mówić tylko za siebie. Ja również otrzymałam mnóstwo maili (mój adres został zamieszczony na stronach partnersprayer.org i beliefnet.com, mimo iż nie udzieliłam na to zgody), gdy usiłowałam oczyścić się z zarzutów, że nie jestem dobrą matką. Większość z nich odwoływała się do Boga, w którego wierzyłam wówczas mniej niż kiedykolwiek. Mogę tylko przypuszczać, że ci wszyscy ludzie o dobrych intencjach byli poruszeni moją trudną sytuacją. Jednak dręczyło mnie to, że prawie wszystkie ułaskawienia zostały mi nadane przez nieznanomych, zupełnie za nic, a podświadome wrażenie oczyszczenia zdradzało mi, że okazana łaska stała się religijną wersją szpanerskiego samochodu. W przypadku mojego brata Gilesa było odwrotnie - był po chrześcijańsku niezdolny do wybaczenia nam szumu, jakiego wokół własnej rodziny narobił nasz niesforny syn. Byłam zatem prawie zdecydowana oznaczyć kopertki adnotacją „Odeślij do nadawcy”, jak w przypadku noży Gensu, których nie zamawiałam. Przez kilka pierwszych miesięcy, jak z nieustającą dusznicą bolesną, wołałam raczej oddychać świeżym powietrzem pariasa, niż przebywać w zamkniętej, duszącej atmosferze chrześcijańskiego miłosierdzia. Mściwa nienawiść w moich mailach była

czerwona jak surowe mięso, podczas gdy życzliwość kondolencji jawiła się jako pastelowa, przemielona papka ze słoiczka z jedzeniem dla niemowląt. Po przeczytaniu kilku listów od ludzi pełnych współczucia, miałam wrażenie, że właśnie wyczołgałam się ze zbiornika z jakąś płynną miazgą. Chciałam wstrząsnąć tymi ludźmi i głośno krzyknąć: „Wybaczenie nam! Czy zdajecie sobie sprawę z tego, co on zrobił?”.

Ale patrząc wstecz, chyba najbardziej drażniło mnie, że całe to wielkie durne rozgrzeszanie, tak modne ostatnio, jest udzielane wybiórczo. Słabe charaktery spotykane na co dzień - fanatycy, seksiści, fetyszyści - nie muszą się wcale starać. KK - morderca, zbiera żniwo współczucia; zepsuta nauczycielka dramy, zbyt desperacko szukająca sympatii innych, jest odrzucona na resztę życia. Za wszelką cenę starałam się zrozumieć zabójców, takich jak Luke Woodham z Pearl czy mały Mitchell i Andrew z Jonesboro. Czemu nie zostawiłam odrobiny sympatii dla Vicki Pagorski?

Pierwszy semestr drugiej klasy Kevina w 1998 został zdominowany przez ten skandal. Plotki krążyły od tygodni, ale do nas w jakiś sposób nie dotarły. Pierwszy raz usłyszeliśmy o całej sprawie, gdy administracja szkoły rozesłała list do rodziców uczniów uczestniczących w zajęciach dramy, prowadzonych przez panią Vicki Pagorski. Byłam zaskoczona, że Kevin wybrał dla siebie kurs dramy. W tamtym czasie raczej unikał świateł reflektorów. Z drugiej strony - jego pokój sugerował, że Kevin może być kimkolwiek, możliwe zatem, że aktorstwo interesowało go od lat.

- Franklin, zerknij na to - powiedziałam w pewien listopadowy wieczór, gdy Ty nad artykułem w „Timesie” zrzędziłeś, że Clinton to „kłamliwy gnojek”. Podałam ci list. - Nie wiem, co z tym zrobić.

Gdy poprawiałeś okulary do czytania, doznałam jednego z tych niespodziewanych, wstrząsających doświadczeń - uświadomiłam sobie nagle, że twoje włosy zmieniły kolor z blond na siwy.

- Wydaje mi się - stwierdziłeś - że ta kobieta może lubić chłopców.

- Cóż, taki wniosek się nasuwa - powiedziałam. - Ale jeśli ktoś sformułował wobec niej zarzuty, to ten list jej nie broni. „Jeśli Państwa syn lub córka wspominali o czymś niewłaściwym lub niestosownym... Prosimy o rozmowę z dzieckiem...”. Oni próbują znaleźć coś brudnego!

- Muszą się jakoś zabezpieczać. Kevin! Chodź tu do nas na chwilę!

Kevin, nie spiesząc się, podszedł do nas, ubrany w za mały szary dres, którego elastyczne ściągacze były zaciśnięte pod kolanami.

- Kev, to odrobinę niezręczne - zacząłeś - nie zrobiłeś nic złego. Ani trochę. Chodzi o nauczycielkę dramy, panią... Pagorski. Lubisz ją?

Kevin ciężko usiadł naprzeciw drzwi.

- Chyba jest w porządku. Ona jest trochę...

- Trochę jaka?

Kevin rozejrzał się dookoła.

- Dziwna.

- Co to znaczy? - zapytałam.

Kevin uważnie przyglądał się swoim niezasnurowanym adidasom, zerkając na nas spod rzęs.

- Ona nosi śmieszne ubrania i w ogóle. Nie jak nauczycielka. Obcisłe dzinsy, a czasem jej bluzka... - wiercił się i drapał stopą w kostkę. - To znaczy, guziki na górze, one nie są... Wiecie, wszyscy są podekscytowani, kiedy ona ustawia scenę, a potem... To trochę krępujące.

- Czy ona nosi biustonosz? - zapytałeś wprost.

Kevin odwrócił twarz, tłumiąc uśmiech.

- Nie zawsze.

- Zatem ubiera się swobodnie, a czasem wręcz prowokująco - powiedziałam. - Coś jeszcze?

- To właściwie nic wielkiego, ale używa dużo brzydkich słów, wiecie? Znaczy, to nic takiego, ale jak nauczyciel tak mówi, to jest - no wiecie - dziwne.

- Brzydkie jak „cholera”? - ponaglałeś. - Czy mocniejsze?

Kevin bezradnie wzruszył ramionami.

- Tak... Przepraszam, mamuś...

- Daj spokój, Kevin - powiedziałam niecierpliwie; jego zmieszanie wydawało się raczej przesadzone. - Jestem dorosła.

- Na przykład „pieprzyć” - powiedział, napotykać mój wzrok. - Mówi na przykład: „Pieprzyć to, to było naprawdę dobre przedstawienie” albo mówi do jakiegoś chłopaka: „Popatrz na nią, jakbyś naprawdę chciał ją wypieprzyć, jakbyś chciał ją pieprzyć tak długo, aż zacznie kwiczeć jak świnia!”.

- Trochę nie na miejscu, Eva - powiedziałaś, unosząc brwi.

- Jak ona wygląda? - zapytałam.

- Ma duże, hmm - pokazał gestem melony - i naprawdę szeroki... - tym razem nie mógł powstrzymać uśmiechu - ten... no, tylek. Jest stara i w ogóle. Taka czarownica właściwie.

- To dobra nauczycielka? - spytałam.

- Na pewno bardzo zaangażowana.

- Jak bardzo? - zapytałeś.

- Zawsze próbuje nas zachęcić, byśmy zostali po lekcjach i przećwiczyli z nią nasze sceny. Większość nauczycieli po prostu chce już iść do domu. Ale nie Pagorski. Nigdy nie ma dość.

- Niektórzy nauczyciele - powiedziałam ostro - podchodzą do swojej pracy z wielką pasją.

- Ona właśnie taka jest - powiedział Kevin. - Prawdziwa pasjonatka.

- Wygląda na to, że jest trochę niekonwencjonalna - powiedziałeś - albo nieco szalona. To nawet dobrze. Ale pewne rzeczy nam się nie podobają. Musimy to wiedzieć. Czy kiedykolwiek cię dotykała? W zalotny sposób? Poniżej pasa? W jakikolwiek niekomfortowy dla ciebie sposób.

Wiercenie się przybrało na sile, Kevin drapał się po brzuchu, jednak miałam wrażenie, że nic go nie swędziało.

- To zależy, co rozumiesz przez „niekomfortowy”, prawda?

Zrobiłeś się czujny.

- Synu, jesteśmy tu sami. Ale to bardzo poważna sprawa, jasne? Jeżeli cokolwiek się wydarzyło - musimy wiedzieć.

- Czekaj - odpowiedział z zawstydzeniem - bez obrazy, mamuś, masz coś przeciw temu? Chciałbym sam porozmawiać z tatą.

Szczerze mówiąc - tak, miałam coś przeciw temu. Jeśli proszono mnie o zaufanie w tej sprawie, to chciałam również usłyszeć całą historię. Ale w tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak wycofać się do kuchni i tam się martwić.

Kwadrans później przyszedłeś wkurzony. Nalałam ci kieliszek wina, ale nie mogłeś usiedzieć na miejscu.

- Coś ci powiem, Eva. Ta kobieta przekroczyła dopuszczalne granice - wyszeptałeś pospiesznie i przekazałeś mi najważniejsze fakty.

- Zamierzasz to zgłosić?

- Zaklinam się na wszystko, że to zgłoszę. Powinni ją zwolnić. Cholera, powinni ją aresztować. On jest niepełnoletni.

- Czy chcesz... czy chcesz, żebyśmy zrobili to razem? - spytałam, chociaż właściwie miałam ochotę zapytać: „Wierzysz mu?”, ale tego nie zrobiłam.

Tobie zostawiłam poszukiwanie kolejnych ofiar, podczas gdy sama udałam się na rutynowe spotkanie z Daną Rocco, nauczycielką angielskiego.

Na korytarzu minęła mnie wychodząca z klasy Mary Woolford i lekko skinęła mi głową. Jej córka nie była zbyt lotną uczennicą i wyglądała - o ile nie był to jej naturalny stan - jakby była ciągle zdenerwowana. Gdy weszłam, pani Rocco miała minę typu właśnie-wzięłam-głęboki-oddech, jakby sięgała po jakieś wewnętrzne zasoby. Jednak szybko otrząsnęła się, a uścisk jej dłoni był ciepły.

- Czekałam na spotkanie z panią - powiedziała mało wylewnie. - Pani syn jest dla mnie Enigmą. Mam nadzieję, że pomoże mi pani złamać kod.

- Obawiam się, że właśnie od nauczycieli oczekuję wyjaśnienia tej zagadki - odparłam z nikłym uśmiechem.

- Raczej wątpię, żeby znali jej rozwiązanie.

- Kevin odrabia prace domowe. Nie wagaruje. Nic nie wiadomo o tym, by przynosił do szkoły nóż. To właściwie wszystko, co kiedykolwiek interesowało nauczycieli.

- Musi pani wiedzieć, że większość nauczycieli ma pod opieką blisko setkę uczniów.

- Przepraszam, nie miałam zamiaru pani krytykować. Jesteście tak zajęci, że naprawdę robi na mnie wrażenie, iż pamiętacie jego imię.

- Zwróciłam uwagę na Kevina - wydawało się, że chciała coś dodać, ale się powstrzymała. Oparła gumkę ołówka na dolnej wardze. Szczupła, atrakcyjna kobieta w średnim wieku, o zdecydowanych rysach, które składały się na zacięty wyraz twarzy. Jej usta były zaciśnięte. Jeśli nawet emanowała opanowaniem, jej rezerwa nie wydawała się naturalna, lecz wyuczona. Być może metodą prób i błędów.

Niełatwo było wówczas być nauczycielem, o ile kiedykolwiek bywało to łatwe. Naciskani przez władze - by podnosić wymagania, a przez rodziców - by podnosić oceny, brani pod lupę w kwestiach braku wrażliwości etnicznej bądź niestosowności seksualnych, rozdarci między wymaganiami odtwórczych, standaryzowanych testów a uczniowskimi żądaniami twórczej ekspresji. Nauczyciele byli jednocześnie obwiniani o całe zło, które dotyczy dzieci, a zarazem wymagano od nich ciągle cudów. Ta podwójna rola kozła ofiarnego i zbawiciela nosiła wyraźne rysy mesjanistyczne, ale nawet w 1998 roku Jezus byłby lepiej opłacany.

- W co on gra? - kontynuowała pani Rocco, odbijając gumkę od biurka.

- Proszę?

- Jak pani sądzi, o co mu chodzi? Próbuje to ukrywać, ale jest bardzo bystry. Taki wściekły satyryk społeczny. Zawsze pisał tak ironicznie, czy te śmiertelnie poważne parodie

są czymś nowym?

- Od wczesnego dzieciństwa był bardzo wczulony na absurd.

- Jego wypracowania pisane przy użyciu skrótów są dowodem jego zręczności językowej. Proszę mi powiedzieć, nic nie wydawało się pani niedorzeczne?

- Łucznictwo - powiedziałam nieszczęśliwie. - Nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze go to nie znudziło.

- Jak pani sądzi, co mu się w tym podoba?

Zmarszczyłam brwi.

- Chodzi chyba o strzałę - skupienie na niej - celowość jej ruchu albo poczucie ukierunkowania. Może jej zazdrości. Jest w nim jakaś dzikość w czasie ćwiczeń na strzelnicy. Na co dzień wydaje się, że nie ma wyznaczonego żadnego celu.

- Pani Khatchadourian, nie chciałabym stawiać pani w niezręcznej sytuacji. Ale czy w państwa rodzinie nie zdarzyło się coś, o czym powinnam wiedzieć? Miałam nadzieję, że pomoże mi pani wyjaśnić, dlaczego Kevin wydaje się taki wściekły.

- To dziwne. Większość nauczycieli opisuje go jako spokojnego, niemal ospałego chłopca.

- To pozory - odparła z przekonaniem.

- Wydaje mi się, że on jest trochę zbuntowany...

- A buntuje się, wykonując posłusznie to, czego się od niego oczekuje. To niezwykle przebiegłe. Ale patrzę mu w oczy i widzę wściekłość. Dlaczego?

- Cóż, nie był zbyt szczęśliwy, gdy urodziła się jego siostra... Ale to było siedem lat temu, a nawet przed jej przyjściem na świat nie był zbyt radosny - do mojej wypowiedzi wkradło się przygnębienie. - Jesteśmy dobrze sytuowani - rozumie pani, mamy duży dom... - w powietrzu zawisło zakłopotanie. - Staramy się go nie rozpieszczać, ale nic mu nie brakuje. Ojciec go uwielbia, właściwie - trochę za bardzo. Jego siostra miała zeszłej zimy wypadek, w który Kevin był zamieszany, ale nie wydawał się tym zbyt poruszony. Właściwie uważam, że nie dość się przejął. W każdym razie, nie opowiem pani o żadnej przeżytej traumie ani o deprivacji potrzeb. Chyba prowadzimy dobre życie, nie sądzi pani?

- Może dlatego właśnie się wścieka.

- Czemu dobrobyt miałby go złościć?

- Może denerwuje go, że wszystko jest takie wspaniałe. Wasz duży dom. Jego dobra szkoła. Myślę, że to obecnie może być w pewnym sensie bardzo trudne dla dzieciaków. Pomyślny rozwój kraju stał się ciężarem, ślepą uliczką. Wszystko działa, nie? W każdym razie, jeśli jesteś białym z klasy średniej. Dlatego młodym ludziom często wydaje się, że są



niepotrzebni. Po prostu nie ma już nic więcej do zrobienia.

- Oprócz porzucenia tego.

- Dokładnie. Takie same cykle powtarzają się w historii. To nie dotyczy tylko dzieci.

- Wie pani, próbowałam opowiadać moim dzieciakom o trudzie życia w takich krajach jak Bangladesz czy Sierra Leone. Ale to nie są ich trudy, a ja nie mogę wpychać ich na łóżko z igieł co wieczór, aby doceniały cud komfortowego snu.

- Powiedziała pani, że mąż „adoruje” Kevina. A jak pani sobie z nim radzi?

Wzruszyłam ramionami.

- To nastolatek.

Mądrze zmieniła temat.

- Pani syn jest po prostu beznadziejnym przypadkiem. Właśnie to chciałam pani powiedzieć. Jest ostry jak brzytwa. Niektóre z jego tekstów - czytała pani ten ostatni? Godny Swifta. I zauważyłam, że zadaje mi wyzywające pytania, aby mnie przyłapać i upokorzyć na oczach klasy. W rzeczywistości doskonale zna już odpowiedź. Zatem gramy według jego zasad. Wzywam go do odpowiedzi, a on pyta mnie, co oznacza słowo „logomachia”. Od razu odpowiadam, że nie wiem i bingo! Poznał nowe słowo - musiał je najpierw odszukać w słowniku, żeby móc zadać mi pytanie. On odrzuca naukę przez normalne kanały. Ale jeśli wejdiesz tylnymi drzwiami, okazuje się, że ma talent.

Byłam zazdrosna.

- Zazwyczaj, gdy pukam do drzwi, okazuje się, że są zamknięte.

- Proszę się nie załamywać. Domyślam się, że w stosunku do pani Kevin zachowuje się podobnie, jak w szkole - jest niedostępny i sarkastyczny. Jak pani powiedziała, to po prostu nastolatek. Jeśli ktoś nie przekona go, że jest wartościowy, posłucha głosu, który sprowadzi na niego spore kłopoty.

Zerknęłam na zegarek. Mój czas się skończył.

- Te masakry w szkołach średnich - powiedziałam spontanicznie, sięgając po torebkę.

- Nie martwi się pani, że coś takiego może się i tu wydarzyć?

- Oczywiście, to się może zdarzyć także tu. W dość dużej grupie ludzi, w każdym wieku, komuś może odbić. Ale szczerze mówiąc, moje interwencje w tej sprawie doprowadzają młodzież do szału. W gruncie rzeczy, wcale się temu nie dziwię. Większość dzieciaków przyjmuje całą tę cenzurę, przeszukiwanie szafek...

- Rażąco nielegalne - zauważyłam.

- Rażąco nielegalne przeszukiwanie - chrząknęła. - Zatem większość z nich przyjmuje to biernie, jak owce. Mówi im się, że „dla ich dobra”, a one w większości jednak to kupują.

Gdy byłam w ich wieku, zorganizowalibyśmy strajk i maszerowali wokół z plakatami.

Znów zamilkła.

- Uważam to za pozytywne, że wyrażają swoją wrogość na papierze. To nieszkodliwe, a działa jak zawór bezpieczeństwa. Ale to punkt widzenia mniejszości. Zresztą, te okropne incydenty zdarzają się wciąż bardzo rzadko. Nie zamartwiałabym się tym zbyt.

- A jeszcze... - już stałam - ...te plotki o Vicki Pagorski. Myśli pani, że coś w tym jest?

Oczy pani Rocco spochmurniały.

- Nic nie zostało udowodnione.

- Pytam prywatnie. Czy mam w to wierzyć? Pani ją zna.

- Vicki jest moją przyjaciółką, więc nie jestem bezstronna... - Jeszcze raz oparła gumkę na brodzie. - To był dla niej niezwykle bolesny okres. - To wszystko, co powiedziała.

Pani Rocco odprowadziła mnie wzrokiem do drzwi.

- Proszę przekazać ode mnie wiadomość Kevinowi - powiedziała z uśmiechem. - Niech mu pani powie, że dla mnie jest podejrzany.

Często miałam podobne odczucie, ale nie potrafiłabym wyrazić tego w tak pogodny sposób.

Pragnąc zapobiec podjęciu kroków prawnych, zarząd szkoły zorganizował zamknięte dyscyplinarne przesłuchanie w Gladstone High, na które zostali zaproszeni jedynie rodzice czterech uczniów Vicki Pagorski. Aby spotkanie wypadło swobodniej, zostało zorganizowane w jednej z klas szkolnych. Jednak pomieszczenie aż trzeszczało od towarzyszącego nam napięcia, a pozostałe trzy matki wystroiły się. (Nagle uświadomiłam sobie moje klasowe uprzedzenia wobec rodziców Lenny'ego Pugh'a, nigdy wcześniej niewidzianych. Złapałam się na tym, że daremnie rozglądam się za krzykliwą przyczepą prosto z osiedla domków kempingowych. Później odkryłam, że on jest typem bankiera, a ona oszałamiającą, inteligentną rudowłosą kobietą, w subtelnym stroju, który musiał pochodzić prosto od projektanta. Każdy z nas musi dźwigać swój krzyż). Rada szkoły i ten zwalisty dyrektor, Donald Bevons, zajęli miejsca na składanych krzesłach wzdłuż ściany. Wszyscy patrzyli gniewnym, ale prawym wzrokiem, podczas gdy rodzice zasiadali w infantylnych szkolnych ławkach. Cztery inne krzesła zostały rozmieszczone z jednej strony przed nauczycielskim biurkiem. Tam siedziało dwóch nieznanymi mi chłopców, wyglądających na zdenerwowanych, jak również Kevin i Lenny Pugh, który właśnie nachylał się do mojego syna i szeptał coś, zasłaniając usta dłonią. Po drugiej stronie biurka siedziała, jak się domyśliłam, Vicki Pagorski.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o sposób opisywania ludzi przez dorastającą młodzież. Ta kobieta wcale nie była staruchą. Wątpię, by przekroczyła trzydziestkę. Nie powiedziałabym, że jej piersi były olbrzymie, a tyłek szeroki. Miała ładną figurę kobiety, która zjada swoją porcję płatków śniadaniowych. Atrakcyjna? Trudno powiedzieć. Zadarty nos i piegi nadawały jej dziewczęcy, niewinny wygląd, który może podobać się mężczyznom. Burobrązowy kostium z pewnością został wybrany specjalnie na tę okazję. Przyjaciółka Dana Rocco odradziła jej zapewne obcisłe džinsy i krótką bluzeczkę. Szkoda jednak, że nie zrobiła nic z włosami, które sterczały jej z głowy we wszystkich kierunkach i sugerowały wyczerpanie nerwowe. Dłonie splecione na podolku, kolana ciasno złączone pod prostą wełnianą spódnicą. Przypominała mi trochę tamtą „nazwijmy-ją-Alice” z balu w ósmej klasie, gdy Kevin wyszeptał szybko „nawet-nie-chciałem-wiedzieć”.

Kiedy przewodniczący rady szkoły, Alan Strickland, przywołał niewielką grupę do porządku, w sali nagle zapadła nieprzyjemna cisza. Strickland wyraził nadzieję, że w ten czy inny sposób wyjaśnimy zarzuty, bez potrzeby odwoływania się do sądu. Mówił o tym, jak poważnie rada traktuje tego typu sprawy, mamrotał coś o nauczycielskim powołaniu i zaufaniu. Podkreślał, że nie chciałby, aby cokolwiek z treści wypowiedzianych tego wieczoru wyszło poza tę salę, do czasu, gdy rada zdecyduje, jakie dalsze kroki należy podjąć. Stenograf sporządzał protokół tylko i wyłącznie do wewnętrznego użytku. Wyjaśnił również - przełamując retorykę nieformalnego spotkania - że pani Pagorski zrezygnowała z obecności swego obrońcy. Potem poprosił Kevina, aby zajął miejsce na krześle przed biurkiem nauczyciela i opowiedział swoimi słowami, co wydarzyło się tamtego październikowego popołudnia w klasie pani Pagorski.

Kevin także odkrył znaczenie stroju i tym razem ubrał się w gładkie spodnie oraz koszulę w tradycyjnym rozmiarze. Słyszając polecenie, natychmiast zaczął się wiercić i odwracać wzrok, jak wtedy, gdy rozmawiał z nami.

- To znaczy wtedy, kiedy poprosiła, żebym został po szkole, tak?

- Nigdy nie prosiłam, aby został po lekcjach - wtrąciła Pagorski. Jej głos drżał, ale był zaskakująco silny.

- Będzie pani miała możliwość wypowiedzenia się - powiedział Strickland. - Na razie chcemy wysłuchać Kevina, dobrze? - Jasne było, że pragnie, aby przesłuchanie przebiegło w spokojny i cywilizowany sposób. Powodzenia, pomyślałam.

- Nie wiem - powiedział Kevin, kręcąc głową. - To jakby takie... osobiste, wie pan? Nie miałem zamiaru nikomu mówić czy coś, ale potem tata zaczął pytać i tak jakby... powiedziałem mu.

- Powiedziałeś o czym? - delikatnie zapytał Strickland.

- No wie pan, to, co już powiedziałem panu Bevons. - Kevin włożył ręce między uda i wbił wzrok w podłogę.

- Kevin, zdaję sobie sprawę, że to dla Ciebie trudne, ale potrzebujemy szczegółowych informacji. Chodzi o dalszą karierę twojej nauczycielki.

Kevin zerknął na Ciebie.

- Tato, muszę?

- Obawiam się, że tak - odpowiedziałeś.

- Więc, pani Pagorski zawsze była dla mnie miła, panie Strickland. Naprawdę miła. Zawsze pytała, czy nie potrzebuję pomocy przy wyborze sceny, albo czy mogłaby przeczytać inną część tak, żebym zapamiętał moją... Ja nigdy nie myślałem o sobie, że jestem w tym dobry, ale ona powiedziała, że jestem wielkim aktorem i że ubóstwia moją „dramatyczną twarz” i moją „mocną budowę” i że z moim wyglądem mógłbym występować w filmach. Nie wiem. Ale wciąż nie chciałbym wpakować jej w kłopoty.

- Zostaw to nam, Kevin, i opowiedz nam, co się wydarzyło.

- Więc tak, kilka razy pytała mnie, czy nie mógłbym zostać po lekcjach, abyśmy mogli potrenować moją dykcję, ale jakoś wcześniej zawsze mówiłem, że nie mogę. Właściwie to zazwyczaj mogłem, nie miałem nic do roboty czy coś takiego, ale po prostu nie... Czuję, że to śmieszne. Nie wiem, czemu, po prostu to było jakieś dziwne, gdy wołała mnie do swojego biurka po zajęciach i na przykład zdejmowała mi jakieś paprochy z koszulki, chociaż nie wiem, czy w ogóle tam były. Albo jak brała końcówkę mojego paska i wkładała go do szlufki?

- Od kiedy to Kevin nosi pasek? - wyszeptalam, ale szybko mnie uciszyłeś.

- Ale tym razem naprawdę nalegała, prawie jakby to był mój obowiązek, jakby to była część pracy na lekcji czy coś. Nie chciałem iść - mówiłem już, nie wiem dokładnie, dlaczego, po prostu nie chciałem - ale wydawało mi się, że tym razem nie mam wyboru.

Większość wypowiedzi była skierowana do wykładziny podłogowej, ale Kevin od czasu do czasu rzucał szybkie spojrzenia na Stricklanda, który chrząkał zachęcająco.

- Więc czekałem mniej więcej do szesnastej, bo powiedziała, że ma coś ważnego do zrobienia zaraz po dzwonku i wtedy naprawdę prawie nikogo już nie było. Wszedłem do jej klasy i pomyślałem, że to trochę dziwne, że zmieniła ciuchy po ostatniej lekcji z nami. To znaczy, mam na myśli bluzkę. Jak wszedłem, to miała na sobie jedną z tych takich obcisłych, które są głęboko wycięte i na tyle przylegające, że mogłem zobaczyć jej... no wie pan.

- Jej co?

- Jej... sutki - rzekł Kevin. - Więc spytałem, czy mam powiedzieć mój monolog, a ona wstała i zamknęła drzwi. Na klucz. I zaraz powiedziała, że potrzebujemy odrobiny prywatności. Potem spytałem, czy mam zaczynać, a ona powiedziała, że najpierw musimy popracować nad moją postawą. Mówiła, że muszę nauczyć się przemawiać z przepony, o tu, i położyła mi rękę na klatce piersiowej i opuściła ją tu. Potem powiedziała, że muszę się naprawdę wyprostować i położyła mi drugą rękę nisko na plecach i tak jakby delikatnie mnie masowała. Jestem pewien, że stałem prosto. Pamiętam, jak oddychałem. Byłem zdenerwowany. Potem rozpocząłem mój monolog z *Equus* - właściwie to od początku wolałem Szekspira, wie pan? To „Być albo nie być”. Naprawdę świetne.

- Rozumiemy, synu. Ale co wydarzyło się potem?

- Chyba przerwała mi po dwóch czy trzech wersach. Powiedziała tak: „Musisz pamiętać, że ta sztuka jest o seksie! Kiedy on oślepia te konie, to jest czynność erotyczna”. A potem zapytała mnie, czy widziałem kiedyś konie, duże konie z bliska, nie wałachy, ale ogiery. I czy zwróciłem uwagę na ich ogromne - przepraszam, mam powiedzieć tak, jak ona to powiedziała, czy lepiej podsumować?

- Byłoby lepiej, gdybyś użył dokładnie tych słów, które usłyszałeś, na tyle, na ile pamiętasz.

- Dobra, sam pan tego chciał - Kevin wziął oddech. - Chciała wiedzieć, czy widziałem kiedykolwiek końskiego kutasa. Jaki był duży. I przez cały czas czułem się jakoś tak... dziwnie. Jakby niespokojny. A ona położyła rękę na moim... rozporoku. Na moich dzinsach. Czułem się zakłopotany, bo w czasie tej rozmowy... trochę się podnieciłem.

- Chcesz powiedzieć, że miałeś erekcję - powiedział twardo Strickland.

- Słuchajcie, muszę dalej mówić? - poprosił Kevin.

- Jeśli możesz. Byłoby lepiej, gdybyś dokończył opowieść.

Kevin zerknął na sufit i ciasno skrzyżował nogi, wystukując palcem prawej nogi niepokojący, nieregularny rytm o lewą nogę.

- Więc powiedziałem tak: „Pani Pagorski, może powinniśmy popracować nad tym kiedy indziej, bo niedługo muszę wracać”. Nie byłem pewien, czy mówić coś o jej dłoni, więc po prostu mówiłem, że powinniśmy przestać, że ja chcę przestać, że muszę już iść. Nie podobało mi się to i wie pan, lubię ją, ale nie w ten sposób. Mogłaby być moją matką czy coś takiego.

- Wyjaśnijmy to sobie - rzekł Strickland. - Według prawa ta sprawa jest bardzo istotna, ponieważ jesteś niepełnoletni. Ale nawet pomijając fakt, że masz tylko piętnaście lat, to były niechciane zaloty, czy mam rację?

- No tak. Ona jest brzydka.

Pagorski wzdrygnęła się. To było krótkie, delikatne drgnięcie, takie jak wtedy, gdy strzelasz z broni dużego kalibru do małego zwierzątka, taki skurcz pośmiertny.

- Przestała? - zapytał Strickland.

- Nie, proszę pana. Zaczęła pocierać moje dżinsy w górę i w dół, cały czas powtarzając: „Jezu...” Naprawdę pana przepraszam, panie Strickland, ale prosił pan o to... mówiła jeszcze, że zawsze, gdy widziała końskiego kutasa „miała ochotę go ssać”. I wtedy ja...

- Miałeś wytrysk. Kevin pochylił głowę.

- Tak. Narobiłem kłopotów. Po prostu wybiegłem. Potem kilka razy opuściłem zajęcia, ale w końcu przyszedłem i próbowałem grać, jakby się nic nie stało, bo nie chciałem pogorszyć sobie średniej ocen.

- Jak? - wymruczałam. - Dostając kolejne B? - spiorunowałeś mnie wzrokiem.

- Wiem, że to nie było dla ciebie łatwe. Dziękujemy ci, Kevin, że zechciałeś się przed nami otworzyć. Możesz już zająć swoje miejsce.

- Mógłbym usiąść z rodzicami? - poprosił Kevin.

- Usiądź, proszę, razem z pozostałymi chłopcami. Być może będziemy musieli zadać ci jeszcze kilka pytań. Jestem pewien, że rodzice są z ciebie bardzo dumni.

Kevin wrócił na swoje miejsce, kuląc się - ze wstydu? Miły akcent. Tymczasem w sali zapadła cisza jak makiem zasiał. Rodzice porozumiewali się wzrokiem i potrząsali głowami. Brawurowe wystąpienie. Nie mogłam udawać, że nie zrobiło to na mnie wrażenia.

Ale potem spojrzałam na Vicki Pagorski. Wcześniej, podczas opowieści Kevina, wydawała z siebie dziwny, tłumiony jęk, albo otwierała usta. Kiedy skończył, opadła na krzesło, jakby nie miała kości. Aż zaczęłam się bać, że z niego spadnie. A jej fryzura sprawiała wrażenie, że rozplywa się w powietrzu, jakby cała głowa miała się w nim rozpuścić.

Strickland zwrócił się do nauczycielki dramy, zachowując jednak dystans.

- Pani Pagorski, czy twierdzi pani, że to spotkanie nie miało miejsca?

- Właśnie - musiała odchrząknąć. - Właśnie tak twierdzą.

- Ma pani jakiś pomysł, dla którego Kevin miałby opowiedzieć taką historię, jeśli to nie była prawda?

- Nie, nie mam. Nie potrafię tego zrozumieć. Klasa Kevina to bardzo utalentowana grupa. Sądziłam, że wszyscy dobrze się bawimy. Poświęciłam mu indywidualnie wiele uwagi...

- Wydaje się, że to właśnie z pani indywidualną uwagą Kevin ma problem.
- Poświęcam swój czas wszystkim moim uczniom!
- O, pani Pagorski, miejmy nadzieję, że nie - odparł ze smutkiem Strickland. Nasza mała widownia zachichotała. - Dobrze, utrzymuje pani, że nie zapraszała Kevina, by został z panią po szkole?
  - Nie miałam na myśli tylko jego. Powiedziałam całej klasie, że jeśli chcą skorzystać z mojej sali, by poćwiczyć swoje sceny, mogę im to umożliwić.
  - Czyli zapraszała pani Kevina, by zostawał po lekcjach. - Gdy Pagorski chrząknęła, Strickland kontynuował: - Czy kiedykolwiek podziwiała pani wygląd Kevina?
    - Mogłam powiedzieć coś o jego uderzającej urodzie, to prawda. Staram się zaszczepiać uczniom pewność siebie...
    - Proszę odnieść się do stwierdzenia „mówić z przepony”. Powiedziała pani coś takiego?
      - W zasadzie, tak...
      - A czy położyła pani rękę na jego klatce piersiowej, by wskazać, gdzie jest przepona?
      - Możliwe, ale nigdy go nie dotknęłam w...
      - Albo na dolnej części jego pleców, kiedy „poprawiała” pani jego postawę?
      - Możliwe. On ma skłonność do garbienia się, a to rujnuje jego...
      - A co z wyborem fragmentu ze sztuki *Equus*? Czy Kevin sam go wybierał?
      - Zalecałam ten fragment.
      - Czemu nie coś z *Naszego miasta* albo z Neila Simona, coś mniej pikantnego?
      - Staram się wybierać sztuki, do których uczniowie mogą się odnieść. Które dotyczą ważnych dla nich spraw...
        - Takich jak seks.
        - Cóż, tak. Między innymi, oczywiście. - Zaczynała się denerwować.
        - Czy opisała pani treść tej sztuki jako „erotyczną”?
        - Być może. Prawdopodobnie tak. Sądziłam, że sztuka o dojrzewającej seksualności i niepewności z nią związanej w naturalny sposób stanie się atrakcyjna...
          - Pani Pagorski, czy jest pani zainteresowana dojrzewającą seksualnością?
          - Cóż, a kto nie jest? - krzyknęła. Ktoś powinien przywołać ją do rozsądku, bo ze zbyt wielkim zapałem kopała sobie grób. - Ale *Equus* nie jest wcale pikantny i dosłowny, to wszystko symbolika...
            - Chętnie ją pani wyjaśniała. A czy rozmawiała pani z Kevinem o koniach?
            - Oczywiście, sztuka...

- Czy rozmawiała pani o ogierach?

- Cóż, dyskutowaliśmy o tym, co czyni je tak powszechnym symbolem męskości...

- I cóż to jest?

- Są muskularne, bardzo piękne i silne, lśniące...

- Zupełnie jak nastoletni chłopcy - zauważył sardonicznie Strickland. - Zwróciła pani kiedykolwiek uwagę na końskiego penisa? Na jego rozmiar?

- Możliwe, jak mogłabym to zignorować. Ale nigdy nie powiedziałam...

- Najwyraźniej niektórzy nie potrafią zignorować tego widoku.

- Pan nie rozumie! To młodzi ludzie i najzwyczajniej się nudzą. Musiałam zrobić coś, żeby ich to podekscytowało!

Strickland pozwolił wybrzmieć tym słowom.

- Tak, to prawda - powiedział. - Wydaje się, że odniosła pani sukces.

Śmiertelnie blada, Pagorski zwróciła się do naszego syna.

- Co ja ci zrobiłam?

- Właśnie tego usiłujemy się dowiedzieć - interweniował Strickland. - Ale chcielibyśmy usłyszeć jeszcze pozostałe historie, a pani będzie miała okazję się wypowiedzieć. Leonard Pugh?

Lenny mruknął coś do Kevina, zanim przeniósł się na środkowe krzesło. Z całą pewnością w każdej chwili którykolwiek z nich mógł zacząć wic się w agonii, ponieważ Pagorski nasyłała na nich złe duchy.

- Leonardzie, czy ty również spotkałeś się z nauczycielką dramy po szkole?

- Tak, wydawała się bardzo napalona na to spotkanie - powiedział Lenny ze swoim budzącym litość uśmiechem. Kolczyk w nosie znów spowodował infekcję, lewa strona była czerwona i opuchnięta. W ostatnim czasie miał kolejny kaprys, którego efektem była długość włosów preferowana przez neonazistów, z wygoloną literą „Z” z jednej strony. Zapytałam go nawet, co oznacza owa litera. Odpowiedział mi: „Cokolwiek”, co osobiście oznaczałabym literą „C”.

- Możesz nam opowiedzieć, co się wydarzyło?

- Było właśnie tak, jak powiedział Kevin. Myślałem, że będziemy ćwiczyć i takie tam. Wchodzę do sali, a ona co? Zamyka drzwi. Była ubrana w taką naprawę krótką spódniczkę. Wie pan - taką, że prawie było widać jej pośladki.

- A czy ćwiczyliście coś w związku z zajęciami? - zapytał Strickland, chociaż prowadzenie w tej sytuacji wydawało się niepotrzebne. Co więcej, szczegóły okazały się mocną stroną Lenny'ego.



- Z pewnością coś ćwiczyliśmy! - odparł Lenny. - Powiedziała tak: „Obserwowałam cię, siedzącego w tylnym rzędzie, gdy sama siedziałam na biurku. A niekiedy byłam już tak mokra, że musiałam sama sobie pomóc w klasie!”.

Strickland wyglądał, jakby miał mdłości.

- Czy pani Pagorski zrobiła cokolwiek, co wydało ci się niewłaściwe?

- Bo ja wiem... siedziała na krawędzi biurka. Nogi miała szeroko rozłożone. Więc podszedłem do biurka i zobaczyłem, że ona nie nosi majtek. Jak to się mówi - bóbr na wierzchu. Czerwoniutki i włochaty... i jeszcze taki... ociekający...

- Leonardzie, trzymajmy się faktów - Strickland masował sobie skronie. Ojciec Lenny'ego poprawiał sobie krawat, a matka schowała twarz w dłoniach.

- Więc ona spytała: „Masz ochotę? Bo kiedy tak patrzę na wypukłość w twoich spodniach, nie mogę oderwać rąk od mojej cipki...”.

- Bardzo proszę, żebyś uważał na swój język! - Strickland desperacko dawał znaki stenografowi.

- „...Więc jeśli ty tego nie zrobisz, będę musiała wepchnąć sobie tę gumkę i sama się zabawić!”

- Leonard, wystarczy...

- Dziewczyny dookoła są raczej sztywne pod tym względem, więc wolałem nie przepuszczać takiej okazji. I zrobiłem to, na biurku. Szkoda, że nie słyszeliście, jak błagała, bym pozwolił jej possać...

- Leonard, wróć na swoje miejsce!

Cóż, czy to nie było żenujące? Lenny powlókł się na swoje krzesło, a Strickland ogłosił, że rada usłyszała dość, jak na jeden wieczór, oraz podziękował wszystkim za przybycie. Ponownie nas upomniał, abyśmy nie rozprzestrzeniaли plotek, dopóki nie zapadną dalsze decyzje. Mieliśmy być poinformowani, gdyby zostały podjęte jakiegokolwiek działania w tej sprawie.

Kiedy wreszcie załadowaliśmy się we trójkę do samochodu, zwróciłeś się do Kevina:

- Wiesz co, ten twój kumpel zrobił z ciebie kłamcę.

- Gnojek - mruknął Kevin. - nie powinienem był mu w ogóle mówić o tym, co zaszło z Pagorski. Wszystko ode mnie ściągnął. Chyba po prostu musiałem komuś powiedzieć.

- Dlaczego nie przyszedłeś prosto do mnie? - zapytałeś.

- To było obrzydliwe! - powiedział z tylnego siedzenia. - Całe to odgrzebywanie sprawy przy wszystkich było krępujące. Nie powinienem był nikomu nic mówić. Nie

powinniście byli kazać mi tego robić.

- Przeciwnie! - odwróciłeś się przez zagłówek. - Kevin, jeśli zachowanie twojego nauczyciela wiąże się z przekraczaniem twoich granic, to chcę o tym wiedzieć i chcę, aby szkoła o tym wiedziała. Nie masz się czego wstydzić. Chyba że doboru przyjaciół. Lenny ma skłonność do zmyślania. Odrobina dystansu byłaby chyba na miejscu.

- Jasne - odparł Kevin. - Jak stąd do *Chin*.

Zdaje się, że przez całą drogę nie odezwałam się ani razu. Gdy dotarliśmy do domu, pozostawiłam tobie podziękowanie Robertowi za opiekę nad Celią, a zwłaszcza - co było niesamowite - za namówienie jej, by poszła spać bez tradycyjnego, czterdziestopięciominutowego przytulania z mamusią. Nie miałam najmniejszej ochoty na wypowiedzenie czegokolwiek. To tak, jakby ktoś wahał się, czy można zrobić maleńką dziurkę w nadmuchanym balonie.

- Kev, batona? - zaproponowałeś, kiedy Robert już wyszedł.

- Dzięki, idę do mojego pokoju. Wyjdę, jak już będę mógł pokazać publicznie moją twarz. Za jakieś pięćdziesiąt lat.

Był przygnębiony. To nie była jego zwykła, pretensjonalna melancholia, wydawał się naprawdę przybity. Wyglądało to tak, jakby doświadczał swego rodzaju niesprawiedliwości, jak tenisista, który w czasie meczu deblowego daje z siebie wszystko, ale przegrywa, bo jego partner sobie odpuścił.

Ty zająłeś się wkładaniem brudnych naczyń do zmywarki. Zdawało się, że każdy element srebrnej zastawy robi niesamowity hałas.

- Kieliszek wina?

Potrząsnęłam głową. Spojrzałeś na mnie ostro. Zawsze piłam kieliszek lub dwa przed snem, a dziś mieliśmy stresujący wieczór. Ale gdybym się teraz napiła, wino zmieniłoby się chyba w ocet. Poza tym wciąż nie miałam siły otworzyć ust. Wiedziałam, że już kiedyś tak było. W końcu pojęłam, że nie możemy dalej odwiedzać tego miejsca - albo raczej tych miejsc. Nie możemy dłużej żyć razem, w równoległych wszechświatach, mając tak diametralnie odmienne charaktery, nie mieszkając w różnych miejscach - w jak najbardziej przyziemnym, dosłownym znaczeniu tych słów.

Właśnie to chciałam przekazać, odmawiając kieliszka wina, co Ty oczywiście zinterpretowałeś jako wrogość. Na przekór ustalonym w rodzinie rolom - to ja byłam miłośniczką alkoholu - otworzyłeś sobie piwo.

- Nie wydawało mi się wskazanym - zacząłeś po mściwym hańsacie - przeproszenie tej całej Pagorski po przesłuchaniu. To mogłoby pomóc obronie, jeśli sprawa trafi do sądu.

- Nie trafi do sądu - powiedziałam. - Nie wniesiemy oskarżenia.

- Jasne, wolałbym nie pakować w to Kevina. Ale jeśli rada szkoły pozwoli tej zboczonej kobiecie dalej prowadzić zajęcia...

- Nie może tak dalej być.

Nawet jeśli nie do końca byłam pewna, co mam na myśli, jednak czułam to bardzo mocno. Czekales na wyjaśnienia.

- To zaszło za daleko - powiedziałam.

- Co zaszło za daleko, Evo? Przejdź do rzeczy.

Zwilżyłam usta.

- Przede wszystkim ma to związek z nami. Z moim sposobem widzenia świata. Najpierw to były małe rzeczy - egzema. Ale teraz są coraz większe - oko Celi, kariera nauczycielki. Nie mogę na to patrzeć w inny sposób. Nawet ze względu na ciebie.

- Jeśli kariera tej nauczycielki jest zagrożona, to tylko i wyłącznie z jej winy.

- Myślę, że powinniśmy rozważyć wysłanie go do szkoły z internatem. Gdzieś, gdzie są ustalone zasady, w dawnym stylu. Nigdy nie sądziłam, że to powiem, ale może nawet do akademii wojskowej.

- Nieźle! Nasz syn jest molestowany seksualnie, a twoją odpowiedzią na to jest wysłanie go do obozu dla rekrutów? Jezu, gdyby cokolwiek działo się z Celią, postawiłabyś w tej chwili na nogi posterunek policji, wypełniała formularze! Dzwoniłabyś do „New York Timesa” i dziesięciu grup wsparcia dla ofiar. Nawet byś nie pomyślała o szkole w Annapolis - nie zgodziłabyś się, żeby Celia zeszła z twoich kolan!

- Tak, ponieważ jeśli Celia mówi, że ktoś ją skrzywdził, sytuacja jest na pewno dużo groźniejsza, niż ona jest skłonna się przyznać. Celia raczej by pozwoliła się obmacywać jakiemuś brudnemu staruchowi przez lata, bo nie chciałaby wpakować miłego człowieka w kłopoty.

- Wiem, co się za tym kryje: typowe podwójne standardy. Ktoś dotknął dziewczynkę - ach, to okropne, zabierajcie tego czubka. Ale jeśli kobieta molestuje chłopca, wtedy to jest w porządku, szczęściarz z niego, miał okazję tego spróbować pierwszy raz, zakład, że mu się podobało! Wiesz, to, że chłopak reaguje na taką pieśczoć - w sensie fizycznym - wcale nie oznacza, że nie może to być degradujący, poniżający gwałt!

- Co za profesjonalizm - powiedziałam, przykładając sobie palec wskazujący do czoła - powinnam być szczęśliwa, nigdy nie pomyślałam o sobie w tak przenikliwy sposób. Kevin w jakiś sposób spreparował tę historię. Musiałeś przecież brać pod uwagę możliwość, że cała sprawa to jakaś sadystyczna zabawa.

- Tylko dlatego, że opowieść Lenny'ego Puga była niewiarygodna...

- Nie o to chodzi. On po prostu nie nauczył się swojej roli. Jest najwyraźniej leniwym i mało zdolnym aktorem. Ale Kevin z całą pewnością wciągnął w to pozostałych chłopców.

- Bzdura! Ja...

- Nie musiał nazywać jej „brzydka” - wzdrygnęłam się na samo wspomnienie. - To już było podłym znęcaniem się.

- Jakaś nimfomanka uwodzi naszego syna, a tymczasem jedyną osobą, o którą się troszczysz, jest...

- Popełnił błąd, nie zauważyłeś? Powiedział, że ona zamknęła drzwi na klucz. A potem twierdził, że wybiegł po tym, co mu zrobiła. Te drzwi nie zamykają się na klucz od środka. Sprawdziłam.

- Wielka sprawa, że nie zamknęła ich na klucz dosłownie! Najzwyczajniej w świecie czuł się uwięziony. Zapytam w takim razie - po co, na Boga, Kevin miałby zmyślać tę historię?

- Nie umiem tego wyjaśnić - wzruszyłam ramionami. - Ale jakoś to wszystko pasuje.

- Do czego?

- Do nikczemnego i niebezpiecznego małego chłopca.

Popatrzyłeś na mnie uważnie.

- Jest coś, czego nie potrafię zrozumieć. Próbujesz zranić mnie czy jego? A może to jakaś nieokreślona tortura dla ciebie samej?

- Dzisiejszy proces czarownicy był wystarczająco bolesny. Możemy wyeliminować torturę mnie samej.

- Czarownice to bajki. Pedofile są prawdziwi. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na nią i wiedziałem, że jest nieźrównowazona.

- Ona jest tylko przykładem - powiedziałam. - Chce, żeby uczniowie ją lubili. Zdobywa ich sympatię, łamiąc zasady, wybierając prowokujące sztuki, przeklinając w klasie. Może nawet spodobałoby jej się, gdyby jej pożąдали. Ale nie w taki sposób. I nie ma nic niezgodnego z prawem w byciu wzruszającym.

- Kevin nie powiedział, że rozłożyła przed nim nogi i błagała go, jak mówił Lenny Pugh, prawda? Nie, po prostu trochę ją poniosło i przekroczyła granicę. Cały czas miał na sobie slipy. Mogę to sobie wyobrazić. To właśnie mnie przekonało. Nie mógłby wykombinować, że zrobiła to przez dzinsy.

- Interesujące - powiedziałam. - Właśnie po tym poznałam, że nasz syn kłamie.

- Oświeć mnie.

- Przez dzinsy. To miało wyglądać na autentyczne. Zrećnie to wymyślił.
- Powiedzmy sobie wprost. Nie wierzysz w jego opowieść, bo jest zbyt wiarygodna?
- Właśnie - potwierdziłam. - Można o nim powiedzieć, że spiskuje, że jest pełen wrogości, ale jego nauczycielka angielskiego miała rację - Kevin jest bardzo inteligentny.
- Uważasz, że wyglądał, jakby chciał zeznawać?
- Oczywiście, że nie. To geniusz.

Wtedy to się stało. Kiedy opadłeś na krzesło naprzeciw mnie, nie stanąłeś nagle w ślepych zaułku z powodu mojego przekonania, że Kevin ma skłonności makiawelistyczne, a to niezgodne z Twoim punktem widzenia. To było coś gorszego. Poważniejszego. Twoja twarz obwisła tak bardzo, że przez krótką chwilę zobaczyłam w niej zwiotczenie twarzy Twojego ojca, jakby wyłonił się nagle ze schowka pod schodami - jakby wszystkie Twoje rysy, wcześniej sztucznie podtrzymywane pinezkami, nagle wróciły do stanu naturalnego. Dlatego w tamtej chwili Ty i Twój ojciec zdawaliście się być w tym samym wieku.

Franklin, nigdy nie doceniałam tego, ile energii wkładałeś w to, by podtrzymywać fikcję, że jesteśmy szczęśliwą rodziną, w której nawet pojawiające się problemy oznaczają tylko większe urozmaicenie życia. Być może w każdej rodzinie jest taka osoba, która podtrzymuje tę iluzję. W każdym razie, nagle z tego zrezygnowałeś. W tej czy innej formie, odbywaliśmy podobne rozmowy niezliczoną ilość razy, z tą samą nawykową lojalnością, która innym parom każe jeździć co roku razem na urlop w to samo miejsce. Ale w pewnym momencie takie pary muszą z bólem spojrzeć na rodzinny wiejski domek i przyznać się przed sobą nawzajem - w przyszłym roku musimy wyjechać gdzie indziej.

Przetarłeś palcami oczy.

- Myślałem o tym, że powinniśmy to zrobić, dopóki dzieci były poza domem - Twój głos był szary. - Nawet sądziłem, że gdybyśmy to wtedy zrobili, może... Ale to było dziesięć lat temu, a to zbyt wiele dni. Mogę znieść lata, Evo. Ale nie dni.

Nigdy wcześniej w tak świadomy sposób nie życzyłam sobie, by nasz syn się nigdy nie narodził. W tamtej chwili byłam nawet gotowa wyrzec się Celi, której braku bezdzietna pięćdziesięcioletnia kobieta nawet by nie żałowała. Od mojej wczesnej młodości miałam tylko jedno wielkie pragnienie, obok chęci wyprowadzenia się z Racine w Wisconsin. Pragnęłam dobrego człowieka, który by mnie kochał i byłby mi wierny. Wszystko ponad to miało drugorzędne znaczenie, było tylko dodatkiem. Mogłabym żyć bez dzieci. Ale nie mogłabym żyć bez Ciebie.

Ale musiałam. Stworzyłam moją własną Inną Kobietę, która okazała się chłopcem. Widziałam już zdrady „pozostające w rodzinie”. Dziwne, że nie zauważyłam tego na czas w

naszym domu. Brian i Louise rozeszli się dziesięć lat temu (dla niego również zdrowie było podstawą; na przyjęciu z okazji ich piętnastej rocznicy ślubu na podłogę spadł słój z marynowanymi orzechami włoskimi, a on został przyłapany na tym, jak pieprzy swoją kochankę w spizarni), a oczywiście dla Briana o wiele bardziej wkurzające było, że jest odseparowany od dwóch blond przytulasów, niż rozstanie z Louise. Nie powinno być żadnego problemu z kochaniem ich naraz, ale z jakiegoś powodu niektórzy mężczyźni muszą wybierać. Jak dobry fundusz powierniczy minimalizuje ryzyko, maksymalizując zysk, tak oni zabierają wszystko, co zainwestowali w żony, i topią to w dzieciach. O co w tym chodzi? Czy dzieci wydają się pewniejsze, ponieważ nigdy nie zostaniesz ich eks-tatą, a ja mogę być Twoją eks-żoną? Nigdy mi do końca nie zaufałeś, Franklin. Zbyt często uciekałam w latach kształtujących nasz związek, a nigdy nie było do końca przesądzone, czy mam bilet powrotny.

- Co chcesz zrobić? - zapytałam. Czuję zawroty głowy.

- Wytrwajmy do końca roku szkolnego, jeśli możemy. Przygotujemy wszystko latem.

- Nie ma wątpliwości co do opieki nad dziećmi, prawda? - dodałeś cierpko. W tym czasie oczywiście nie mogliśmy wiedzieć, że zatrzymasz również Celię.

- Czy to oznacza...? - nie chciałam, żeby to brzmiało żałośnie. - Ty zdecydowałeś.

- Nie musiałem, Evo - powiedziałeś łagodnie. - To się już stało.

Wyobrażałam sobie tę scenę - i nie wyobrażałam, gdyż, aby móc ją zobaczyć, trzeba dopuścić do siebie myśl o niej - spodziewałam się, że będę opróżniać butelkę do rana, na nowo rozważając, co poszło nie tak. Ale jednak czułam, że jeśli to się zdarzy, to pójdziemy wcześniej spać. Niektórzy podchodzą do małżeństwa jak do naprawy tostera - interesuje ich tylko, jak pozbierać się do kupy, żeby znów jakoś działało. Nie widzą większego sensu w poszukiwaniu miejsc, gdzie rozłączyły się kable, zanim wyrzuci się wszystko do kosza. Ponadto - sądziłam, że będę płakać, a tymczasem miałam wrażenie, że zupełnie wyschłam. Moje nozdrza były wąskie i piekące, usta popękały. Miałaś rację, to się już stało i mogłam być w żałobie po naszym małżeństwie przez dekadę. Teraz zrozumiałam, jak czują się partnerzy zniedołężniałych osób, gdy po wytrwałych, ogłupiających odwiedzinach w domu opieki i oglądaniu umierania, nagle śmierć staje się faktem. Kończący wszystko dreszcz smutku ulga zmieszana z poczuciem winy. Po raz pierwszy, od kiedy pamiętam, byłam spokojna. Moje ramiona opadły o dobre pięć centymetrów. Usiadłam na krześle. Siedziałam. Może nigdy wcześniej nie robiłam tego w tak świadomy sposób. Całą uwagę skupiałam na czynności siedzenia.

Dlatego z ogromnym wysiłkiem udało mi się podnieść wzrok i odwrócić głowę, gdy

niewielki ruch w ciemności korytarza zakłócił idealny zastój naszego cichego życia. Kevin spokojnie wkroczył w światło. Widać było, że podsłuchiwał. Wyglądał inaczej. Pomimo popołudni, w które zostawiał drzwi do łazienki szeroko otwarte, to był pierwszy raz od lat, kiedy zobaczyłam go nagiego. O, tak, wciąż był ubrany w ciuchy z przesłuchania. Ale zniknęło gdzieś jego skrzywienie - stał prosto. Sarkastyczne ułożenie ust jakby się rozplynęło, na twarzy malowało się rozluźnienie. Pomyślałam, że on naprawdę „robi wrażenie”, jak zauważyła jego nauczycielka dramy. Wyglądał na starszego. Ale tym, co najbardziej zwróciło moją uwagę, były oczy. Zwyczajnie, lśniły zielenią nieumytych jabłek - płaskie i nieskupione na niczym, znudzone i wojownicze, wyraźnie mnie omijały. Jasne, od czasu do czasu błysnęła z nich złośliwość, jakby spoza zamkniętych, metalowych drzwi pieca hutniczego, wokół których czasem tli się czerwony wianuszek, wymknął się zabłąkany płomień. Ale kiedy wszedł do kuchni, drzwi pieca stały otworem.

- Muszę napić się wody - oznajmił, w niewiadomy sposób uzyskując efekt syku bez użycia głoski „s”, i ruszył w kierunku zlewu.

- Kev - powiedziałaś. - Nie bierz sobie nic z tego, co mogłeś usłyszeć, za bardzo do serca. Łatwo o nieporozumienie, gdy brakuje kontekstu.

- Dlaczego miałbym nie znać kontekstu? - pociągnął jeden łyk ze szklanki. - Ja jestem kontekstem.

Odstawił szklankę na blat i wyszedł.

Tego jednego jestem pewna - w tamtym momencie podjął decyzję.

Tydzień później otrzymaliśmy kolejny list od rady szkoły. Po pojawieniu się pierwszych oskarżeń Vicki Pagorski została zawieszona w prowadzeniu zajęć, a potem miała być całkowicie zwolniona ze swoich obowiązków w szkole i nigdy więcej niedopuszczona do bezpośredniej pracy z uczniami. Jednak wobec braków dowodów - jedynie słowa chłopców przeciw jej słowom, nie mogła być usunięta z pracy. Oboje uznaliśmy tę decyzję za tchórzliwą, chociaż z różnych powodów. Wydawało mi się, że ona albo jest winna, albo nie. Nie byłoby sprawiedliwym odebranie jej możliwości pracy w zawodzie, który najwyraźniej uwielbiała, jeśli jest niewinna. Ty byłeś oburzony, że nie została zwolniona, a nikt z rodziców nie zamierzał jej pozwać.

Po nagłym załamaniu, demonstrowanym tak dosadnie, jak to tylko możliwe, Kevin zwierzył Ci się, że doświadcza coraz głębszej depresji. Powiedziałaś, że rozumiesz, dlaczego. Ogłuszony niesprawiedliwym kłapsem od rady szkoły, Kevin czuł się upokorzony, więc oczywiste było, że jest zdołowany. Równocześnie przejmowałaś się, że odgadł nasze plany

rozwodowe, których na razie nie chcieliśmy ujawniać.

Kevin domagał się prozacu. Z moich obserwacji i doświadczeń wynikało, że połowa uczniów zażywała ten czy inny antydepresant, ale nasz syn zdecydowanie żądał prozacu. Zawsze byłam nieufna w stosunku do tych środków i martwiła mnie opinia, że działają otepiająco. Przeraziła mnie wizja naszego syna coraz bardziej pogrążającego się w świecie pomieszanych zmysłów. W tamtych dniach również ja dałam się przekonać do twierdzenia, że w kraju, gdzie jest więcej pieniędzy, większa wolność, większe domy, lepsze szkoły, lepsza opieka zdrowotna i zdecydowanie większe możliwości niż gdziekolwiek indziej na świecie, żyje również ogromna populacja, której umysł pogrążony jest w smutku. Poszłam na to, a psychiatra, którego wybraliśmy, wydawał się mniej więcej tak samo szczęśliwy, wręczając nam pełne garście lekarstw, jak nasz dentysta rozdający za darmo lizaki.

Większość dzieci martwi się perspektywą rozvodu rodziców i nie zaprzeczam, że rozmowa, którą nasz syn podsłuchał, mogła doprowadzić go do utraty kontroli emocjonalnej. Niemniej jednak coś mnie niepokoiło. Ten chłopiec próbował nas rozdzielić od piętnastu lat. Czemu nie czuł satysfakcji? A jeśli rzeczywiście byłam takim horrorem, czemu po prostu nie pozbył się okropnej matki? Patrząc wstecz, mogę jedynie zakładać, że życie z kobietą zimną, podejrzliwą, wiecznie urażoną, oskarżycielską i wyniosłą było dla niego wystarczająco złe. Ale była jedna ewentualność, która musiała wydawać mu się gorsza. Życ z Tobą, Franklinie. Skazany na Tatę.

Skazany na Tatę Frajera.

*Eva*



25 marca 2001

*Drogi Franklinie,*

Muszę Ci coś wyznać. Przez to moje ostatnie uzalenie się na Ciebie haniebnie uzależniłam się od telewizji. W rzeczywistości, skoro już o tym opowiadam, było tak: pewnego wieczoru w zeszłym miesiącu, w środku *Frasiera* kineskop zgasł. Obawiam się, że trochę mi odbiło - waliłam w telewizor, włączałam i wyłączałam go z gniazdka, pstrykałam przyciskami. Od dawna na porządku dziennym mam płacz podczas *Czwartku* i wprost dostaję szału, gdy nie mogę się dowiedzieć, jak Niles przyjął wiadomość, że Daphne wychodzi za Donniego.

W każdym razie - dziś wieczorem, po tradycyjnej piersi kurczaka (trochę przegotowanej), skakałam po kanałach, kiedy ekran nagle wypełniła twarz naszego syna. Mógłbyś podejrzewać, że już się przyzwyczaiałam, ale jednak nie. I nie było to zdjęcie z dziewiątej klasy, które pojawiło się we wszystkich gazetach - nieaktualne, czarno-białe, z kwaśnym uśmiechem - ale siedemnastoletni Kevin o zdecydowanie lepszym wyglądzie. Rozpoznałam też głos prowadzącego wywiad, dokumentalistę Jacka Marlina.

Kevin był gwiazdą. Marlin musiał uzyskać zgodę Claverack, aby łązawe zdjęcia z miejsca zbrodni - stopy kwiatów przed salą gimnastyczną oraz ze spotkań pod hasłem „Nigdy więcej” urozmaicić ekskluzywnym wywiadem z samym KK. Zszokowana, prawie wyłączyłam telewizor. Ale po minucie czy dwóch wciągnęło mnie to. Maniery Kevina były tak urzekające, że z początku nie mogłam się skupić na tym, co mówił. Wywiad odbywał się w celi - takiej, jak jego pokój, utrzymanej w surowym porządku, nieozdobionej plakatami. Huśtał się na krześle, trzymając łokieć za oparciem, wyglądało na to, że jest w swoim żywiole. Wydawał się dużo większy, nieomal wyrывał się ze swego ciasnego dresu. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak ożywionego i swobodnego. Grzał się pod okiem kamery jak pod lampą słoneczną.

Marlin był poza kadrem, jego pytania były pełne szacunku, a nawet delikatne, jakby nie chciał odstraszyć Kevina. Kiedy zwiększyłam głośność, właśnie zadawał mu łagodnie pytanie, czy nadal utrzymuje, że należy do wąskiej grupy pacjentów leczonych prozakiem, u których wystąpiła radykalna i wroga reakcja na lek.

Kevin zrozumiał, jak ważne jest trzymanie się swojej wersji historii już w wieku sześciu lat.

- No, niewątpliwie zacząłem czuć się trochę dziwnie.

- Ale zgodnie z danymi, prezentowanymi przez „New England Journal of Medicine” i

„Lancet”, związek przyczynowo-skutkowy między prozakiem a psychozą ma charakter czysto spekulatywny. Czy uważasz, że więcej badań...?

- Hej - Kevin uniósł dłoń - nie jestem lekarzem. Ta linia obrony była pomysłem mojego adwokata, a on po prostu odwał swoją robotę. Powiedziałem tylko, że czułem się trochę dziwnie. Ale nie szukam usprawiedliwienia. Nie obwiniam o to jakiejś satanistycznej sekty, głupiej dziewczyny czy wielkiego, złego gościa, który nazwał mnie ciotą. Jedną z rzeczy w tym kraju, których nie mogę znieść, jest kompletny brak odpowiedzialności. Jeśli cokolwiek Amerykanom nie wychodzi, natychmiast znajdują kogoś, kto jest temu winien. Ale ja przyjmuję konsekwencje mojego czynu. To był tylko i wyłącznie mój pomysł.

- A co ze sprawą molestowania seksualnego? Sądzisz, że to mogło cię okaleczyć?

- Z pewnością miało to na mnie jakiś wpływ. Ale do cholery - dodał Kevin, mrugając poufale - to było nic w porównaniu z tym, co tu się dzieje. (W tym momencie włączyli wywiad z Vicki Pagorski, która nerwowo wszystkiemu zaprzeczała. Oczywiście, to jej oburzenie mogło się wydawać obciążające, więc nie mogła wygrać. I naprawdę powinna coś zrobić z włosami).

- Czy możemy porozmawiać o twoich rodzicach, Kevin? - kontynuował Marlin.

Ręce za głowę.

- Strzelaj.

- Twój ojciec - dogadywaliście się czy walczyliście ze sobą?

- Pan z Plastiką? - Kevin aż parsknął. - Byłbym szczęśliwy, gdybyśmy mogli walczyć. Nie, to była sama radość, hot dogi i chipsy. Totalne oszustwo, wiesz? Wszystko w stylu: „Chodźmy do Muzeum Historii Naturalnej, Kev, mają tam naprawdę wspaniałe skały!”. On był jak z jakiejś Małej Ligi, zatrzymał się na latach pięćdziesiątych. Słuchałem tego jego „Kocham cię, chłopie!” i patrząc na niego, myślałem - do kogo ty mówisz, człowieku? Co to ma być, tatuś cię kocha i nie ma cholernego pojęcia, kim jesteś? Kogo on właściwie kocha? Jakiegoś dzieciaka ze *Szczęśliwych dni*. Nie mnie.

- A co z matką?

- Co z nią? - Kevin jakby się zaciął, chociaż do tej pory był raczej ekspansywny.

- Chodzi mi o sprawę z powództwa cywilnego - o zaniedbanie ze strony rodziców...

- Fałszywe oskarżenie - odparł Kevin stanowczo. - Obrzydliwy oportunizm, szczerze mówiąc. Grali o odszkodowanie. Wiesz, co będzie potem? Pryki będą skarżyć rząd za to, że są starzy. Dzieciaki będą ciągać matki po sądach, gdy zbrzydną. Tak to jest, w życiu różnie bywa. Faktem jest, że prawnicy mamy mieli głębokie kieszenie, a ta baba Woolford nie potrafi przyjąć złych wieści bez mrugnięcia okiem.

Zaraz potem zmienił się kąt widzenia kamery, przybliżając jedyną dekorację pokoju, która była umocowana nad łóżkiem. Pogniecione od składania - aby mogło zmieścić się w portfelu lub kieszeni - moje zdjęcie. Jezu Chryste, to było zrobione w Amsterdamie zdjęcie, które zniknęło, gdy urodziła się Celia. Byłam pewna, że podarł je na strzępy.

- Ale niezależnie od tego, czy uznano, że twoja matka cię zaniedbywała - kontynuował Marlin - może jednak poświęcała ci zbyt mało uwagi?

- Och, odwal się od mojej matki! - jego ostry, groźny głos był dla mnie zupełnie obcy, ale może tam spełniał swoje zadanie. - Tutejsi psychiatrzy wciąż próbują ze mną tych sztuczek i jestem tym już trochę zmęczony, jeśli chcesz znać prawdę.

Marlin przeformułował pytanie.

- Czy mógłbyś zatem opisać waszą relację jako bliską?

- Ona była wszędzie, w każdym miejscu na świecie, wiesz o tym? Spróbuj wymyślić kraj, w którym nie kupiła sobie koszulki. Idź do którejkolwiek księgarni w okolicy, a znajdziesz jej książki. Chodziłem do centrum handlowego tylko po to, żeby popatrzeć na jej książki. Świetne.

- Więc nie uważasz, że mogła w jakikolwiek sposób...

- Słuchaj, mogę być odrażającym typem, okay? I ona też może być odrażającym typem, więc jesteśmy równi. Poza tym to prywatna sprawa, jasne? Możemy uznać, że w tym kraju istnieją jakieś prywatne sprawy, czy mam ci powiedzieć jeszcze, jakiego koloru są moje gacie? Następne pytanie.

- Chyba zostało nam już tylko jedno pytanie, Kevin - poważne. Dlaczego to zrobiłeś?

Mogłabym przysiąc, że się do tego przygotowywałem. Zrobił dramatyczną pauzę, zdjął nogi z plastikowego krzesła. Z łokciami na kolanach odwrócił się od Marlina prosto do kamery.

- Dobra, to jest tak. Budzisz się, oglądasz telewizję, wsiadasz do samochodu, słuchasz radia. Idziesz do roboty albo do szkoły, ale nie usłyszysz o tym w wiadomościach o osiemnastej, zgadnij, dlaczego? Bo nic się nie dzieje. Czytasz gazetę albo książkę - to tak, jakbyś oglądał telewizję, tylko nudniej. Gapisz się w ekran całą noc, albo wychodzisz i wtedy oglądasz film w kinie. Albo dzwonisz do przyjaciół i opowiadacie sobie, co obejrzelście. I wiesz, stało się coś takiego, że zacząłem zwracać uwagę na to, co robią ludzie, których oglądamy w telewizji. Wiesz, co robią? Przez połowę czasu oglądają telewizję. A ludzie w kinowych romansach? Co robią poza tym, że chodzą do kina? Ci wszyscy ludzie, Marlin - zachęcił dziennikarza chrząknięciem. - Co oni oglądają?

Po chwili krępującego milczenia, Marlin się odezwał.

- Ty nam powiedz, Kevin.

- Ludzi takich jak ja - rozsiadł się wygodnie i skrzyżował ramiona.

Marlin powinien być zadowolony z tego odcinka, nie zamierzał przerywać show. Kevin miał być teraz na topie.

- Ale ludzie oglądają nie tylko zabójców, Kevin - przypomniał Marlin.

- Bzdura - powiedział Kevin. - Chcą widzieć, że coś się dzieje. Dokładnie to zbadałem. W większości chodzi o to, aby działo się coś złego. Według mnie świat dzieli się na tych, co oglądają i na tych, którzy są oglądani. Jest coraz większa publiczność, a coraz mniej do zobaczenia. Ci, którzy naprawdę chcą coś zrobić, są przeklętym wymierającym gatunkiem.

- Przeciwnie, Kevin - Marlin obserwował go ze smutkiem - zbyt wielu młodych ludzi, takich jak ty, bawi się w ostatnich latach w zabijanie.

- To masz szczęście! Potrzebujesz nas! Co byś robił, gdyby nie ja? Dokument o malowaniu na sucho? Co ci wszyscy ludzie robią - wskazał ręką na kamerę - oprócz oglądania mnie? Nie wydaje ci się, że dawno już zmieniliby kanał, gdyby jedynym moim osiągnięciem było A z geometrii? Pijawki! Wykonuję za nich brudną robotę!

- W gruncie rzeczy zadaję ci te pytania po to - rzekł Marlin łagodnie - abyśmy mogli na przyszłość uniknąć takich zdarzeń jak Columbine.

Na wspomnienie Columbine twarz Kevina zrobiła się cierpka.

- Chciałbym oficjalnie zakomunikować, że ci dwaj nie byli zawodowcami. Ich bomby to niewypały, a trafili przypadkowe osoby. Żadnych standardów. Ja starannie wybrałem ofiary. Filmy, które ci durnie zostawili, były żenujące. Skopiowali mnie, a cała ich operacja w oczywisty sposób była wzorowana na...

Marlin cicho próbował coś wtrącić.

- Właściwie policja ustaliła, że Klebold i Harris planowali swój atak od co najmniej roku...

Kevin mu przerwał.

- Nic, ani jedna rzecz w ich cyrku nie poszła zgodnie z planem. To była stuprocentowa porażka, od góry do dołu. Nic dziwnego, że tych dwóch głupków popełniło samobójstwo - to było tchórzostwo. Poniesienie konsekwencji jest częścią przedsięwzięcia. Najgorsze, że oni byli beznadziejnymi palantami. Czytałem fragmenty zasmarkanego dziennika Klebolda. Wiesz, na kim ten dureń chciał wziąć odwet? Na ludziach, którzy przepowiadają pogodę. Nie mam pojęcia, jakiego rodzaju oświadczenie mieli zamiar wydać. I pomyśl o tym - na koniec Wielkiego Dnia tych dwóch nieudaczników zamierzało porwać samolot i staranować nim

World Trade Center. Miejcie litość!

- Powiedziałeś, że starannie wybrałeś swoje ofiary - powiedział Marlin, który zastanawiał się chyba, czego dotyczyła ostatnia wypowiedź Kevina. - Dlaczego właśnie ci uczniowie?

- Tak się złożyło, że to byli ludzie, którzy najbardziej grali mi na nerwach. Gdybyś planował tego rodzaju akcję, nie wytypowałbyś do niej gnojków, których nie możesz znieść? To chyba główna korzyść z podejmowania takich działań. Ty i twoi kamerzyści żerujecie na moim osiągnięciu, dostaniecie za to grube pieniądze, a wasze nazwiska pokażą w napisach końcowych. Dla mnie zostaje odsiadka. Muszę chociaż coś z tego mieć.

- Mam jeszcze jedno pytanie, Kevin, chociaż obawiam się, że mogłeś już na nie odpowiedzieć - powiedział Marlin z tragiczną nutą w głosie. - Nie masz wyrzutów sumienia? Wiedząc to, co wiesz dzisiaj, gdybyś cofnął się do ósmego kwietnia 1999 roku, zabiłbyś tych ludzi jeszcze raz?

- Zrobiłbym jedną rzecz inaczej. Strzeliłbym prosto między oczy temu palantowi Lukronsky'emu, który od tamtej pory robi wielką kasę na swoich strasznych doświadczeniach. Czytałem, że zamierza wystąpić w filmie Miramaxu! Współczuję obsady. Będzie cytował tę psychologiczną książkę o *Pulp Fiction* i udawał Harveya Keitela. Zakład, że w Hollywood ten szajs długo się nie utrzyma. A skoro już jesteśmy przy tym temacie, muszę się poskarżyć, że Miramax i cała reszta powinni mi coś płacić. Kradną moją historię, a włożyłem w nią wiele pracy. To chyba nielegalne, wykorzystywać ją za darmo.

- W tym kraju jest sprzeczne z prawem czerpanie przez kryminalistów korzyści z... - w tym momencie Kevin znów zwrócił się do kamery.

- Moja historia to wszystko, poza nazwiskiem, co posiadam. Dlatego czuję się okradany. Ale ta historia to coś więcej, niż wy macie. Wszyscy mnie oglądacie, słuchacie tego, co mówię, ponieważ ja mam coś, czego wy nie macie - fabułę. Kupioną i zapłaconą. Tego chcecie, dlatego na mnie żerujecie. Chcecie mojej wersji wydarzeń. Wiem, co czujecie, bo kiedyś czułem to samo. Telewizja, gry, filmy... Ósmego kwietnia 1999 roku wskoczyłem w ekran, przełączyłem się na bycie oglądanym. Od tamtej pory wiem, po co żyję. Dałem wam niezłą historię. Może i jest ona krwawa, ale przyznajcie - pokochaliście ją. Wzięliście ją w całość. Durnie, powinienem być na rządowej liście płac. Bez ludzi takich jak ja cały ten kraj skoczyłby z mostu, bo jedyną rzeczą w telewizji jest jakaś kura domowa, która w *Kto chce zostać milionerem?* wygrywa 64 tysiące dolców za to, że pamiętała imię psa prezydenta.

Wyłączyłam telewizor. Nie mogłam już tego znieść. Lepiej bym się czuła, oglądając wywiad z Thelmą Corbitt, ograniczający się do apelu o wsparcie fundacji *Miłość dla*

*Zdeterminowanych Dzieciaków*, którą założyła, by uczcić pamięć Denny'ego. Przeznaczyłam już na nią więcej, niż mogłam sobie na to pozwolić.

Oczywiście, błyskotliwa teza o pasywnym obserwowaniu w dzisiejszych czasach była zaledwie iskrą w oczach Kevina dwa lata temu. W Claverack miał mnóstwo czasu na myślenie, skonstruował zatem całkiem niezły motyw, w podobny sposób jak starsi skazani produkują niepotrzebne tablice rejestracyjne. Jednak muszę przyznać, że ta powstała po fackie interpretacja zdarzeń zawiera ziarno prawdy. Gdyby NBC nadawało serię filmów dokumentalnych o obyczajach godowych wydr morskich, oglądalność z pewnością by spadła. Słuchając przemówienia Kevina, wbrew sobie byłam pod silnym wrażeniem, jak duża część naszego gatunku syci się demoralizacją grzeszników, jeśli nie w celach zarobkowych, to aby zabić czas. Nie chodzi tylko o dziennikarzy. Grupy ekspertów produkują góry papieru na temat suwerenności Timoru Wschodniego. Uniwersyteckie wydziały studiów nad konfliktem nadają tytuł doktora niezliczonym naukowcom, opisującym terrorystów z ETA, których jest nie więcej niż stu. Filmowcy zarabiają miliony, opowiadając dramatyczne historie samotnych seryjnych zabójców. Pomyśl o tym: sądy, policja, Gwardia Narodowa - ile forsy z kasy rządu idzie na kierowanie tym wszystkim? Jeśli budowanie i ochrona więzień stały się jedną z najlepiej rozwijających się gałęzi przemysłu w Stanach, nagła przemiana w społeczeństwie powinna wywołać recesję. Sama pragnęłam się dowiedzieć, co będzie dalej. Czy to zatem naprawdę bardzo przesadzone, kiedy mówi się, że potrzebujemy KK? Pod płaszczem nieco udawanych emocji u Jacka Marlina słychać było wdzięczność. Nie interesowały go obyczaje godowe wydr, był wdzięczny za to, co dostał.

Franklinie, moja reakcja na ten wywiad wprawia mnie w zakłopotanie. Koszmar miesza mi się z czymś w rodzaju - dumy. Był przytomny, pewny siebie, zaangażowany. Poruszyło mnie zdjęcie nad jego łóżkiem. Nie czuję już rozgoryczenia, wiedząc, że po tym wszystkim go nie zniszczył (chyba zawsze spodziewałam się najgorszego). W jego wywodzie odnalazłam skrawki moich tyrad przy stole, nie tylko mnie to zawstydziło, ale czuję się wręcz otępiła. I zastrzeżenie, że wybierał się do Barnes'a i Noble'a, aby popatrzeć na moją pracę. Jego esej pod tytułem *Poznaj moją matkę* nie zdradzał zbyt wiele szacunku dla mnie.

Przeraziły mnie natomiast jego niemiłe uwagi o Tobie. Mam nadzieję, że nie weźmiesz ich sobie do serca. Tak bardzo starałeś się być uważnym i czułym ojcem. Ale ostrzegałam Cię, że dzieci są niezwykle wrażliwe na sztuczność. W tym kontekście można zaryzykować stwierdzenie, że włożyłeś dużo wysiłku w to, by mógł Cię wyśmiać. Można zrozumieć, dlaczego w kontaktach z innymi Kevin czuje się zmuszony do przedstawiania

siebie jako ofiary.

Prawnicy Mary bardzo długo walczyli mnie o „sygnały ostrzegawcze”, które powinnam była zauważyć. Myślę, że większość matek napotkałaby trudność w odnajdywaniu konkretnych znaków. Zapytałam go o cel zakupu pięciu łańcuchów z kłódką Kryptonite, które zostały dostarczone do naszego domu przez FedEx, ponieważ Kevin posiadał już linę z zamkiem oraz rower, na którym nie jeździł. Wyjaśnienie wydawało się wiarygodne: dokonał okazijnego zakupu w Internecie, a teraz planował je sprzedać w szkole, po 100 dolarów za sztukę. Nigdy wcześniej nie przejawiał żyłki do interesów, błąd w ocenie sytuacji wydaje się wskazywać, że wiedzieliśmy, do czego są mu potrzebne te zamki. Nie mam pomysłu, w jaki sposób przeniósł je przez szkolny punkt kontrolny, nie dowiadywałam się o to. A kiedy przez kilka miesięcy gromadził dużą ilość strzał do swego łuku, nigdy nie zamówił więcej niż sześć za jednym razem. Zawsze zamawiał strzały, a zapas, który trzymał w szopie, nie zwracał mojej uwagi.

Jedyną rzeczą, którą zauważyłam pod koniec grudnia i w pierwszych miesiącach 1999 roku, była zmiana zwykłego „Jezu, tato” na „Jezu, mamó”. Nie wiem, jak sobie z tym poradziłeś. „Rany, czy mamy na dziś chociaż odrobinę prawdziwego amerykańskiego jedzenia? Wspaniale! Powinienem chyba dowiedzieć się czegoś więcej o moim etnicznym pochodzeniu! Większość chłopaków w szkole to stara biała rasa. Są strasznie zazdrośni, że jestem członkiem najprawdziwszej, prześladowanej mniejszości!”. Kevin nie miał jakichś specjalnych preferencji kulinarnych, ale nienawidził kuchni armeńskiej, a jego nieszczerłość raniła moje uczucia. W stosunku do mnie zachowanie Kevina było dotychczas tak pozbawione ozdobników, jak jego sypialnia - surowe, bez życia, czasem twarde i szorstkie, ale (albo tak sobie wyobrażałam) niezakamuflowane. Tak było dobrze. Z zaskoczeniem odkryłam, że mój syn może wydawać się jeszcze bardziej odległy.

Sądziłam, że jego przemiana spowodowana jest podsłuchaną w kuchni rozmową - do której ani Ty, ani ja więcej nie wracaliśmy. Nasza przewidywana separacja jawiła się jako wielki, śmierdzący słoń na środku salonu, trąbiący od czasu do czasu albo zostawiający nam do sprzątnięcia masywne porcje gnoju.

Ku wielkiemu zaskoczeniu, nasze małżeństwo rozkwitło, jak w miesiącu miodowym, pamiętasz? Spędziliśmy Boże Narodzenie w bardzo ciepłej atmosferze. Podarowałeś mi *Czarnego psa losu* z autografem Petera Balakiana oraz armeńską klasykę - *Przejście do Araratu* Michaela J. Adena. Ja ofiarowałam Ci kopię *Ameryki* Alistaira Cooke'a i biografię Ronalda Reagana. Jeśli nawet z siebie żartowaliśmy, to w bardzo czuły sposób. Dogodziliśmy

Kevinowi sportowymi ubraniami, które okazały się groteskowo za małe, a Celia była oczarowana bąbelkami folii, w którą zawinęliśmy lalkę ze szklanymi oczkami. Kochaliśmy się częściej niż w poprzednich latach, tłumacząc sobie, że to za „stare dobre czasy”.

Nie byłam pewna, czy rozważałeś ponownie nasze letnie rozstanie, czy może skłaniało Cię do tego poczucie winy z powodu tego, co wydawało się nieuniknione. W każdym razie, było coś odprężającego w osiągnięciu dna. Jeśli mieliśmy zamiar się rozwieść, nic gorszego nie mogło się wydarzyć.

Albo tak nam się zdawało.

*Eva*



5 kwietnia 2001

*Drogi Franklinie,*

Wiem, że jest to dla Ciebie bardzo drażliwy temat. Ale mogę Ci obiecać, że gdybyś nie kupił mu na Gwiazdkę tej kuszy, to byłyby to łuk lub zatrute lotki. Pod tym względem Kevin był wystarczająco pomysłowy, by skorzystać na drugiej poprawce i położyć swe dłonie na bardziej konwencjonalnym arsenale, takim jak pistolety i strzelby myśliwskie, które preferowali jego bardziej nowocześni koledzy. Szczerze mówiąc, to tradycyjne instrumenty wykorzystywane w Szkolnych Strzelaninach nie tylko zmniejszyłyby jego margines błędu, ale także zwiększały prawdopodobieństwo, że mógłby pobić swych rywali pod względem liczby ofiar śmiertelnych - co zresztą było jego wielką ambicją, ponieważ zanim dwanaście dni po jego występie doszło do masakry w Columbine, zajmował pod tym względem pierwsze miejsce. I możesz być pewny, że przygotowywał to od dłuższego czasu. Powiedział przecież w wieku czternastu lat: „Wybór broni, to połowa sukcesu w walce”. W świetle tego jego broń była szczególnie istotna. Dawała mu przewagę, a przynajmniej tak to wyglądało.

Pewnie podobało mu się to. Być może odziedziczył po mnie wrodzoną skłonność do podejmowania wyzwań, która najwyraźniej była jedną z przyczyn, że pierwszym dzieckiem, jakie urodziłam, był chłopiec. I mimo że z przyjemnością wbijał szpilki swej matce, która uważała się za „wyjątkową”, zarzucając jej banalność - czy tego chciałam, czy nie, mała Pani Podróżniczka stała się kolejną wzorcową matką w tandetnym amerykańskim stylu, w dodatku doskonale wiedział, jak bardzo bolało mnie to, że mój efektowny VW luna był teraz samochodem co piątego mieszkańca północnego wschodu - wciąż lubił odróżniać się od reszty.

Gdy po wydarzeniach w Columbine odwiedziłam go w Claverack, narzekał, że „każdy idiota może strzelać z pistoletu”, na pewno zdawał sobie sprawę, że bycie „dzieciakiem z kuszą” utrwali jego wyczyn w masowej wyobraźni. Faktycznie, do wiosny roku 1999 ta kategoria przestępców była już tak liczna, że słynne niegdyś nazwiska Luke'a Woodhama i Michaela Carneala odchodziły w niepamięć.

Co więcej, z pewnością popisywał się tym. Może Jeff Reeves nieźle grał na gitarze, Soweto Washington mógł trafiać rzuty osobiste, a Laura Woolford mogła swym zgrabnym tyłeczkiem przykuć uwagę całej drużyny futbolowej, gdy przechadzała się szkolnym korytarzem, ale Kevin Khatchadourian mógł trafić strzałą w jabłko - lub ucho - z odległości pięćdziesięciu metrów.

Mimo wszystko jednak jestem przekonana, że jego najważniejsza motywacja miała podłoże ideologiczne. Nie jakieś bezsensowne „Tak sobie to uknułem”, jak wmówił to Jackowi Marlinowi. Raczej na myśl przychodzi mi ta „czystość”, którą podziwiał przy okazji wirusów komputerowych. Zauważył, że istnieje pewien przymus społeczny nakazujący, by z każdego kretyńskiego morderstwa wyciągać odpowiednie wnioski, dlatego musiał bardzo skrupulatnie przeanalizować swoje przyszłe dokonania.

Jego ojciec wiecznie wyciągał go z domu, by odwiedzić kolejne zagracone muzeum historii Stanów Zjednoczonych lub przygnębiające pole bitwy z czasów wojny o niepodległość, więc jeśli ktoś chciałby opisać go jako zaniedbaną ofiarę małżeństwa dwóch osób skoncentrowanych na własnej karierze, miałby nie lada problem, w dodatku mimo ewentualnych przeczuć, nie byliśmy rozwiedzeni: nie było na to do dokumentu. Nie był członkiem Kościoła satanistycznego; większość jego przyjaciół nie chodziła w ogóle do kościoła, więc bezbożność także nie była prawdopodobnym motywem jego działań. Nie był odrzucony - miał nieciekawych przyjaciół, a jego rówieśnicy raczej nie chcieli wchodzić mu w drogę - więc teoria o biednym, samotnym dziecku, zgodnie z którą trzeba coś zrobić, by zlikwidować w szkołach tępienie młodszych uczniów, nie zyskałaby potwierdzenia. W przeciwieństwie do niezrównoważonych szaleńców, którymi gardził, a którzy rozsyłali po klasie złośliwe uwagi i swoim przyjaciołom składali niedorzeczne obietnice, Kevin trzymał język za zębami; nie stworzył strony internetowej na temat ludobójstwa, nie pisał esejów o wystrzeleniu szkoły. Nawet najbardziej kreatywny ekspert miałby wielką trudność, by w przypadku naszego syna wskazać jakiś konkretny znak, z powodu którego nauczyciele i rodzice mieliby korzystać z telefonu zaufania. Ale co najlepsze, dokonał swego wyczynu jedynie za pomocą kuszy, dzięki czemu uniemożliwił swej matce i jej podobnym osobom stawianie go za przykład, który miałby zdecydować o zastrzeleniu prawa dotyczącego posiadania broni. W skrócie - jego wybór broni miał w najlepszy możliwy sposób zagwarantować, że *Czwartek* nie będzie znaczył zupełnie nic.

Gdy 8 kwietnia 1999 roku jak zwykle wstałam o godzinie 6.30, nie wiedziałam jeszcze, że będę zmuszona pisać nazwę tego dnia kursywą. Założyłam bluzkę, którą dość rzadko nosiłam; popatrzyłeś na mnie, gdy przeglądałam się w lustrze, i powiedziałeś, że może tak nie myślę, ale bardzo dobrze wyglądam w różowym, po czym pocałowałeś mnie w skroń. W tamtych dniach nawet najmniejszy komplement z Twych ust był dla mnie czymś wielkim, więc zarumieniłam się wdzięcznie. Po raz kolejny miałam nadzieję, że zmieniłeś zdanie w kwestii naszej separacji, ale jednak bałam się zapytać wprost, by nie zniszczyć tej iluzji.

Zrobiłam kawę, obudziłam Celię, pomogłam jej się umyć i włożyć protezę. Wciąż miała problem z wyciąganiem protezy, a wycieranie żółtej, zaschniętej wydzieliny ze szkła, powiek i kanalików łzowych mogło zająć dobre dziesięć minut. Człowiek może się przyzwyczać do wielu rzeczy, ale mimo to wciąż odczuwałam ulgę, gdy jej szklana proteza wracała na miejsce i Celia odzyskiwała swój błękitny kolor oczu.

Nie licząc tego, że Kevin wstał sam, bez trzykrotnego budzenia go, poranek zaczął się całkiem normalnie. Jak zwykle podziwiałam Twój apetyt, który ostatnio powrócił; być może byłeś ostatnim białym Amerykaninem anglosaskiego pochodzenia, który na śniadanie jadł dwa jajka, bekon, kielbasę i tosty. Ja nigdy nie byłam w stanie wrzucić w siebie niczego poza kawą, ale uwielbiałam skwierczenie smażonego bekonu, zapach świeżego chleba i ogólną atmosferę nadchodzącego dnia, do którego cały ten rytuał stanowił doskonały wstęp. Wigor, z jakim przygotowywałeś się do tego dnia, zdawał się płynąć w Twoich żyłach.

- Proszę, proszę! - wykrzyknęłam, gdy w kuchni pojawił się Kevin. Uważnie smażyłam tosty dla Celi, tak żeby jajko na miękko wyglądało jak *maż*. - Co się stało? Wszystkie twoje zbyt małe ubrania są w praniu?

- Są dni, kiedy po prostu budzisz się - powiedział, wpychając swą białą, falującą koszulę szermierza w spodnie, które również miał na sobie podczas naszej wspólnej kolacji w Hudson House - z poczuciem wyjątkowej okazji.

Nie kryjąc się z tym, zapakował do plecaka pięć rowerowych zapięć i łańcuchów. Pomyślałam, że w szkole znalazł chętnych na kupno tych rzeczy. - Kevin jest bardzo przystojny - powiedziała nieśmiało Celia.

- Pewnie. Twój brat to prawdziwy łamacz serc - odparłam. Lepiej chyba nie mogłam tego określić. Porządnie posypałam tost cukrem i gdy podawałam go Celi, dodałam: - No, nie guzdraj się, chyba nie chcesz się znowu spóźnić do szkoły. Masz to zjeść, a nie rozdawać przyjaciołom.

Założyłam jej włosy za uszy i pocałowałam w czubek głowy. Kevin w tym momencie rzucił na mnie okiem, pakując do plecaka kolejny łańcuch. Do kuchni wszedł naładowany energią, jednak teraz jego oczy wyglądały jak martwe.

- Hej, Kev! - zawołałeś. - Pokazywałem ci już, jak działa ten aparat? Trochę wiedzy z fotografii jeszcze nikomu nie zaszkodziło; mnie na pewno się opłaciło. Chodź tu do mnie, masz jeszcze czas. Nie wiem, co ci się stało, ale jeszcze masz czterdzieści pięć minut do wykorzystania - odsunąłeś talerz i otworzyłeś fotograficzną torbę, która stała przy Twoich nogach.

Niechętnie podszedł do Ciebie. Widać było, że tego ranka nie był w nastroju do

rozmów tatusia i synka. Gdy objaśniałeś działanie lampy błyskowej i różnych pozycji obiektywu, poczułam znajomy skurcz. Niezdarna wersja intymności charakterystyczna dla Twojego ojca zawsze wyjaśniała rzeczy w dużo bardziej szczegółowy sposób, niż ktokolwiek chciał usłyszeć. Ty nie podzielałeś przekonania swego ojca, że wszystkie tajemnice wszechświata zawarte są w jego mechanizmie, ale za to odziedziczyłeś emocjonalne podejście do mechaniki.

- To mi przypomniało - powiedziałeś w połowie wykładu - że chcę ci zrobić kilka zdjęć podczas treningu strzeleckiego. Zrobiłbym kilka ujęć twojego naprężonego i usztywnionego ramienia, tak jak na plakatach. Co ty na to? Moglibyśmy zrobić całą serię i powiesić ją w przedpokoju: Waleczne Serce z Palisades!

Klepięcie go w ramię było błędem; wzdrygnął się. Przez możliwie najkrótszy moment dotarło do mnie, jak niewielki dostęp mamy do tego, co siedzi w jego głowie. Przecież teraz maska opadła zaledwie na chwilę, a jego twarz wykrzywiła się chyba z obrzydzeniem. Pozwalając sobie nawet na tak krótki pokaz uczuć, musiał mieć w głowie coś zupełnie innego.

- Tak, tato - powiedział z przejęciem.. - To byłoby... *wspaniałe!*

Właśnie ten poranek wybrałam na to, by przyjrzeć się obrazowi naszej rodziny. Pomyślałam, że wszystkie nastolatki nie lubią swoich rodziców, a w znoszeniu tej antypatii było coś naprawdę bezcennego. Gdy promienie słoneczne padły na złote włosy Celi, która kroila swój tost na przeraźliwie małe kawałeczki, Ty opowiadałeś coś o niebezpieczeństwie prześwietlenia filmu, a Kevin wiercił się niecierpliwie, ja byłam tak pokrzepiona tym widokiem niczym z obrazu Normana Rockwella, że rozważałam pozostanie w domu do czasu, gdy dzieci pójdą do szkoły. Pomyślałam, że osobiście podwożę Celię, zamiast obarczać Ciebie tym zadaniem. Czy mogłabym oprzeć się takiej pokusie?! Zdecydowałam jednak, że dzieci potrzebują rutyny, poza tym, jeśli nie zdążę przed porannym szczytem, to będę musiała długo czekać na przejazd przez most.

- Zamknij się! - Kevin warknął nagle w Twoją stronę. - *Wystarczy! Zamknij się!*

Wszyscy troje zaczęliśmy ostrożnie się przyglądać tej samorzutnej impertynencji.

- Nie *obchodzi* mnie, jak działa twój aparat! - kontynuował w tym samym tonie. - Nie *chcę* szukać miejsc na reklamę dla jakichś tandetnych produktów. *Nie jestem zainteresowany.* Nie interesuje mnie ani *baseball*, ani *ojcowie założyciele*, ani *decydujące bitwy wojny secesyjnej*. Nienawidzę *muzeów, miejsc pamięci narodowej i pikników*. Nie mam ochoty w wolnym czasie uczyć się na pamięć *Deklaracji Niepodległości*, ani czytać *de Tocqueville'a*. Nie mogę już dłużej wytrzymać powtórek filmu *Tora, Tora, Tora!* Lub tych dokumentalnych

serii o *Eisenhowerze*. Nie chcę więcej grać w ogródku we *frisbee* ani w *Monopoly* z płaczliwym, słodziutkim, jednookim dziwadłem. W *dupie* mam zbieranie *znaczków, unikatowych monet* lub wkładanie *jesiennych liści* do encyklopedii. I po dziurki w nosie mam tych *szczerych rozmów tatusia i synusia* o aspektach mojego życia, które *nie są twoim zasranym interesem!*

Wyglądałeś na mocno zaskoczonego. Spojrzałam w Twoje oczy, a później wyraźnie pokręciłam głową. Niepodobne do mnie było, że doradzałam powściągliwość. Szybkością był jednak dość popularnym urządzeniem wśród matek w moim wieku. Po mitycznym w mojej rodzinie incydencie związanym z zeszkrobywaniem *madagha* z sufitu za pomocą miotły, już w młodym wieku nauczyłam się, że jeśli okrągły otwór gwóźdź, wypuszczając dużo pary, najgorszą rzeczą, jaką można zrobić, jest zdjęcie pokrywy.

- Dobrze - wycodziłeś przez zęby, na wszelki wypadek poprawiając okulary. - Masz prawo do własnego zdania.

Tak szybko jak wybuchł, Kevin uspokoił się, ponownie przyjmując pozę zadowolonego z siebie dziesiątoklasisty przygotowującego się do kolejnego monotonnego dnia w szkole. Widziałam, jak odcina się od Twoich uczuć, które chyba były dla niego kolejną rzeczą, którą *nie był zainteresowany*. Przez dobre pięć minut nikt nic nie mówił, a później zaczynaliśmy powracać do swoich poprzednich zwykłych, porannych czynności, nie wspominając o wybuchu Kevina w sposób, w jaki kulturalni ludzie nie zauważają głośno puszczonego bąka. Smród wciąż unosił się w powietrzu i jeśli nie był to smród gazu, to na pewno materiału wybuchowego.

Mimo że bardzo się spieszyłam, aż dwa razy zęgnęłam się z Celią. Pochylałam się i gładziłam jej włosy, wyjęłam też z jej rzes ostatni kawałek zaschniętej wydzieliny, przypominałam, które książki ma zabrać dziś do szkoły, a potem przytuliłam ją mocno. Jednak gdy odwróciłam się, by zabrać moje rzeczy, ona wciąż stała tam, gdzie ją zostawiłam, patrząc na mnie smutnymi oczami. Ponownie więc wzięłam ją na ręce. Miała już osiem lat, więc porządnie odczułam to w swoim kręgosłupie. Zarzuciła mi nogi wokół pasa i powiedziała: - Będę tęsknić! - Odparłam, że też będę tęsknić, choć jeszcze wtedy nie wiedziałam, jak bardzo.

Być może z powodu zdenerwowania niezapowiedzianą tyradą Kevina i chęci znalezienia jakiejś spokojnej przystani, Twój pocałunek na pożegnanie nie był suchym cmoknięciem w policzek, a gorącym i namiętym, prawdziwym pocałunkiem. (Dziękuję Franklinie. Przeżywałam ten moment tak wiele razy, że komórki odpowiedzialne za jego zapamiętanie muszą być teraz blade i wypłowiałe jak stare, ulubione dzinsy). Co do mojej

wcześniejszej niepewności, czy dzieci lubią patrzeć, jak ich rodzice się całują, to widok twarzy Kevina rozwił moje wątpliwości. Nie lubią.

- Kevin, masz dziś indywidualne zajęcia ze strzelania, prawda? - przypomniałam mu, zadowolona, że mogę przywrócić nieco normalności przy okazji zakładania płaszcza. - Nie zapomnij sprzętu.

- O to możesz być spokojna.

- Możesz też zastanowić się, co chcesz dostać na urodziny - powiedziałam. - Zostały tylko trzy dni, a szesnaście lat to poważny kamień milowy, nieprawdaż?

- W pewnym sensie - przyznał niezobowiązująco. - Zauważyłaś, jak niewiele różni się *kamień milowy* od *kamienia nilowego*? Tylko jedną literką.

- Co powiesz na niedzielę?

- Mogę być zajęty.

Byłam sfrustrowana tym, że zawsze utrudniał każdą moją próbę bycia miłą. Musiałam już iść. Nie pocałowałam Kevina na pożegnanie - nastolatki tego nie lubią - przyłożyłam mu tylko dłoń do czoła, które było zadziwiająco chłodne. - Jesteś trochę niewyraźny. Dobrze się czujesz?

- Nigdy nie było lepiej - odparł Kevin. Gdy już byłam przy drzwiach, zawołał do mnie: - Na pewno nie chcesz pożegnać się z Celią *jeszcze raz*?

- Bardzo śmieszne - rzuciłam za siebie i zamknęłam drzwi. Myślałam, że się ze mnie naśmiewa. Z perspektywy czasu wiem, że dawał mi szansę, którą powinnam była wykorzystać.

Nie mam pojęcia, jak to jest obudzić się z tak okropnym postanowieniem. Zawsze, gdy sobie to wyobrażam, widzę siebie wiercącą się na poduszce i mamrocącą *Po namyśle rezygnuję z tego, a przynajmniej Ołać to, zrobię to jutro*. I jutro, i jutro. Co istotne, okropności, które naszym zdaniem są „nie do pomyślenia”, są jak najbardziej do pomyślenia, a niezliczona ilość dzieciaków z pewnością fantazjuje na temat zemsty - dziesiątoklasiści nie są tu żadnym wyjątkiem. I nie chodzi tu o jakieś wizje czy nawet na wpół przygotowane plany, które zrobił nasz syn. Tu chodzi o zdumiewającą zdolność przejścia od słów do czynów.

Wysilając umysł, jedyna analogia, którą zrealizowałam w swoim życiu, jest strasznie rozciągnięta: wszystkie te zagraniczne wycieczki, na które mimo wszystko nie chciałam pojechać. Mogłabym być wygodnica i wyprawić się na poważnie wyglądającą wycieczkę do jakiegoś bliskiego miejsca. Zamiast spędzać w ciemno dwa miesiące w pełnym złodziei

Maroku, mogłam po prostu skorzystać z telefonu. To wcale nie jest takie trudne. W dodatku z miłą osobą na drugim końcu linii musiałabym porozmawiać, dlatego mogłabym zarezerwować bilet, uciekając w teoretyczną naturę rozkładu lotów. Zobacz, bilet przychodzi pocztą: plan staje się działaniem. Mogłabym kupić książki o historii Afryki Północnej i później ośmieliłabym się spakować w podróż. Wyzwania, do których podchodzi się we właściwy sposób, są do pokonania. Gdy już wsiadłabym do taksówki jadącej na lotnisko, byłoby zbyt późno na to, by się wycofać. Wielkie dzieła są sumą sporej liczby małych kroków, właśnie dlatego Kevin musiał to wszystko organizować powoli - zamówić zapiecia rowerowe, ukraść artykuły papiernicze, załadować łańcuchy do plecaka. Zajmij się drobnymi elementami, a suma ich części będzie tak wielka, jakby za sprawą magii.

Jeśli chodzi o mój udział w *Czwartku* - wciąż jeszcze starym, dobrym *Czwartku* - to byłam bardzo zajęta; musieliśmy wyrobić się w terminie z dostarczeniem materiałów do drukarni. W nieco luźniejszej chwili zastanawiałam się nad nagłym, porannym wybuchem Kevina. Jego krytyczne przemówienie w znaczący sposób pozbawione było słów takich jak *lubić*, *w pewnym sensie*, *pewnego rodzaju* i *chyba*, które zwykle były ważną częścią jego pozy przeciętnego nastolatka. Nie garbił się, a stał wyprostowany, mówił całymi ustami, a nie tylko jedną stroną. Z pewnością byłam zaniepokojona, że mogło to zranić Twoje uczucia, ale młody chłopak, który w tak zdecydowany i niepodważalny sposób przedstawił swoje stanowisko, nie był tym samym chłopcem, z którym mieszkałam na co dzień. Przyłapałam się na tym, że miałam nadzieję na kolejne spotkanie, szczególnie w takiej sytuacji, w której ten nietypowy stan umysłu mojego syna będzie bardziej ugodowy - i wciąż na to czekam.

Około godziny 18.15 zauważyłam spore poruszenie na zewnątrz mojego gabinetu. Coś w rodzaju konspiracyjnego zebrania personelu, które odebrałam jako zwykłe plotkowanie przed końcem dnia pracy. Właśnie postanowiłam, że nie będę pracowała wieczorem, gdy do drzwi mojego pokoju zapukała Rose, jak przypuszczałam, ich przedstawicielka. - Evo, twój syn chodzi do Gladstone High, prawda? - powiedziała z grobową miną.

Wiadomość już znajdowała się w Internecie.

Szczegóły nie były jeszcze znane: „Strzelanina w szkole Gladstone High. Możliwe ofiary śmiertelne”. Kto i ilu uczniów mogło zostać poszkodowanych, nie było jeszcze wiadome. Sprawca również był nieznan. W zasadzie to wiadomość była irytująco krótka. „Pracownicy ochrony” zauważyli „sceny rzezi” w sali gimnastycznej, do której policja właśnie „próbowała się dostać”. Wiem, że byłam zdenerwowana, ale i tak nie miało to dla mnie najmniejszego sensu.

Natychmiast zadzwoniłam na Twój telefon komórkowy, przeklinając, że jest

wyłączony. Zbyt często go wyłączałeś podczas tych długich wypraw samochodem po New Jersey w poszukiwaniu odpowiednio ubarwionej krwi. Rozumiem, że nie życzysz sobie telefonów od przedstawicieli handlowych Krafta lub twoich przełożonych z Madison Avenue, ale mógłbyś czasem pomyśleć, by włączyć go dla mnie. No bo w innym razie jaki jest sens posiadania takiego telefonu? Zaniepokoiłam się. Zadzwoiłam do domu, ale włączyła się automatyczna sekretarka; był piękny wiosenny wieczór i Robert niewątpliwie zabrał Celię na spacer lub do ogródka. To, że nie odebrał Kevin sprawiło, że mój żołądek zaczął się wywracać na lewą stronę, ale od razu pomyślałam, że pewnie włączy się z Lennym Pughem, z którym od czasu incydentu z Pagorski łączą go jakieś niewytłumaczalne sekrety. Być może zajęcia z kultury słowiańskiej nie były tak ważne, by tego rozczulającego się nad sobą asystenta nie dało się łatwo zamienić.

Wzięłam więc płaszcz i postanowiłam jechać prosto do szkoły. Gdy wychodziłam z biura, mój personel odnosił się do mnie z respektem i trwogą towarzyszącą tym, którzy mają nawet znikome związki z główną wiadomością na portalu America On-Line.

Gdy już tak biegniemy ze mną do garażu, do mojego volkswagena, wyjeżdżamy z centrum miasta i stoimy w korku na West Side Highway, musimy wyjaśnić sobie jedną rzecz. Myślę, że Kevin już w kołysce krzychał z czystej wściekłości, a nie dlatego, że był głodny. Byłam przekonana, że gdy dla zabawy wskazywał na „ufajdaną twarz” kelnerki, doskonale wiedział, że ją zrani, a mapy w mojej pracowni zniszczył nie z powodu źle ukierunkowanej kreatywności, a z wyrachowanej złośliwości. Wciąż byłam pewna, że systematycznie kusił Violetkę do zdrapywania strupów pokrywających większość jej ciała, a jeśli do szóstego roku używał pieluch, to nie dlatego, że był zawstydzony, zbyt wolno się rozwijał lub wiązał z tym jakieś traumatyczne przeżycia, a po prostu dlatego, że prowadził otwartą wojnę ze swoją matką. Uważałam, że niszczył zabawki i książki, które dla niego robiłam dlatego, że większą wartość miały dla niego jako oznaki samodzielnego dorastania niż jako zabawki. Byłam też pewna, że w sekrecie nauczył się liczyć i czytać, by dać mi poczucie bezużytecznego rodzica. Moja pewność, że to właśnie on odkręcił szybkozamykacz przedniego koła roweru Trenta Corleya, była niezachwiana. Nie miałam złudzeń, że gniazdo larw włożył do plecaka Celi osobiście, a gdy wspiał się razem z nią na wysoką gałąź dębu, to tylko po to, by ją tam zostawić; nie wierzyłam, że lunch złożony z rzeczy, których nie lubiła, był jej pomysłem, tak samo jak zabawa w „porywaczy” i „Wilhelma Tella”. Byłam cholernie pewna, że gdy podczas balu na zakończenie ósmej klasy szeptał coś do ucha dziewczynce, którą nazwaliśmy Alice, to na pewno nie była to pochwała jej sukienki. I w jakikolwiek sposób Liquid-Plumr znalazłby się w oku Celi, to byłam bardzo pewna, że jej brat miał z tym coś wspólnego, a na



pewno nie była to rola szlachetnego wybawcy. Jego masturbowanie się przy otwartych drzwiach traktowałam jak molestowanie seksualne - jego matki - a nie normalne, niekontrolowane reakcje hormonalne. Mimo że doradzałam Mary, że Laura powinna to *olać*, to jednak za bardzo wiarygodne uznawałam to, że nasz syn mógł powiedzieć jej chudej, niedożywionej córce, że jest gruba. Nie było dla mnie żadną tajemnicą, w jaki sposób podejrzana lista znalazła się w szafce Miguela Espinozy, a choć mogę wziąć odpowiedzialność za uruchomienie jednego na własnym komputerze, to zbieranie wirusów nie było niczym innym, niż tylko zdegenerowanym i niezrównoważonym hobby. Wciąż stoję na stanowisku, że Vicky Pagorski była prześladowana w pokazowym procesie osobistego podstępstwa Kevina Khatchadouriana. Co ważne, myliłam się co do odpowiedzialności Kevina za rzucanie kamieni z kładki dla pieszych nad drogą 9W, a przed dziesięcioma dniami dopisałam do listy jego ofiar moje zdjęcie zrobione w Amsterdamie. Tak jak mówię, zawsze brałam pod uwagę to, co najgorsze. Ale nawet mój nienaturalny, macierzyński cynizm miał swoje granice. Gdy Rose powiedziała mi o strzelaninie w szkole Kevina i że prawdopodobnie są ofiary śmiertelne, martwiłam się o niego. Pierwszą myślą nie było to, że to właśnie on może być sprawcą.

Zeznania świadków zdarzenia są zwykle bardzo chaotyczne, szczególnie tuż po wydarzeniu. A już na miejscu zdarzenia całkowicie króluje dezinformacja. Dopiero po fakcie informacyjny chaos zostaje opanowany. Do tego czasu, mając tylko kilka zdań z Internetu, mogę sporządzić kilka wersji działań naszego syna, które układają się w surową, spójną całość. Gdy dojeżdżałam na szkolny parking, z radia znałam zaledwie kilka kawałków układanki, ale przede mną rozciągały się długie lata refleksji, w trakcie których mogłam hobbystycznie poświęcić się rozwiązywaniu tej łamigłówki. Tak samo jak Kevin miał mieć wiele lat na to, by złożyć, oszlifować i wypolerować swoje wyjaśnienia.

Szkoły niekoniecznie uznają firmowy papier za klucz do królestwa i wątpię, by przechowywały go w zamknięciu. Jakkolwiek zdobył papier firmowy, Kevin bardzo uważał na lekcjach języka angielskiego prowadzonych przez Danę Rocco, by dobrze opanować tryb rozkazujący. W końcu w listach pisanych na firmowym szkolnym papierze nie używa się slangu ani nihilistycznych tekstów układanych z trzyliterowych wyrazów. Dlatego też oficjalne pismo wysłane na przykład do Greer Ulanov - z odpowiednim wyprzedzeniem, by bezbarwny urząd pocztowy w Nyack zdążył z dostarczeniem przesyłki - wykazuje tą samą łatwość wyłapywania najważniejszych rzeczy, którą Kevin prezentował, odgrywając przed Tobą Rona Howarda lub nieśmiałą, podenerwowaną ofiarę przed Alanem Stricklandem:

*Droga Greer*

Władze szkoły Gladstone High są dumne ze *wszystkich* swoich uczniów, z których każdy wnosi do społeczności swoje wyjątkowe zdolności. Niektórzy uczniowie jednak niezmiennie przykuwają naszą uwagę wyjątkowymi zdolnościami artystycznymi, wybitnymi osiągnięciami naukowymi lub znaczącym wpływem na życie szkoły i dynamiczny rozwój swego edukacyjnego otoczenia. Z radością chcemy nagrodzić te wspaniałe dokonania przy okazji zakończenia roku szkolnego.

Po konsultacji z nauczycielami i innymi pracownikami szkoły opracowałem listę dziewięciu wzorowych uczniów, którzy w mojej opinii najbardziej zasługują na Nagrodę dla Zdolnych i Obiecujących. Z dumą pragnę poinformować, że jesteś jedną z tych dziewięciu i zostałeś wyróżniona za twoje fantastyczne dokonania w zakresie polityki i świadomości obywatelskiej.

W związku z tym prosimy wszystkich laureatów NZO, by w czwartek, 8 kwietnia, o godzinie 15.30 stawili się w sali gimnastycznej. Z nadzieją oczekujemy, że wyróżnieni uczniowie przygotują wspólnie krótki program, który przedstawią na początku czerwca, podczas uroczystej gali wręczenia Nagród dla Zdolnych i Obiecujących. Krótki pokaz waszych wyjątkowych zdolności będzie mile widzianą częścią imprezy; inni, o bardziej naukowych talentach, mogą przygotować prezentację dotyczącą dotychczasowych osiągnięć.

Wyboru dokonaliśmy w oparciu o zasługi, jednak staraliśmy się przy tym wyróżnić uczniów o różnej płci, rasie, pochodzeniu społecznym, religii i preferencjach seksualnych, by wiernie oddać różnorodność naszej szkolnej społeczności.

Zwracam się również z prośbą, byście na razie zachowali wasze wyróżnienie tylko dla siebie. Jeśli dotrze do mnie informacja o jakimkolwiek przecieku, władze szkoły mogą ponownie przemyśleć wasze kandydatury. Żałujemy, że nie ma możliwości uhonorowania *każdego* ucznia za jego lub jej wyjątkową osobowość, dlatego bardzo ważne jest, byście nie wzbudzali niepotrzebnej zazdrości, zanim lista laureatów zostanie podana do publicznej wiadomości.

Moje najszczerze gratulacje.

*Z poważaniem,*

*Donald Bevons*

*Dyrektor*

Identyczne wiadomości zostały wysłane także do ośmiu innych uczniów, oczywiście z

odpowiednio wypełnionymi pustymi miejscami. Denny Corbitt został wyróżniony za aktorstwo, Jeff Reeves za grę na gitarze klasycznej, Brian „Mouse” Ferguson za zdolności informatyczne, Ziggy Randolph nie tylko za balet, ale także za „nawoływanie do tolerancji”, Miguel Espinoza za osiągnięcia naukowe i „bogate słownictwo”, Soweto Washington za talent sportowy, Joshua Lukronsky za „zainteresowania filmowe” i - trochę obwiniałam Kevina, że nie był w stanie się kontrolować - za „pamiętanie wszystkich scenariuszy filmów Quentina Tarantino”, choć w większości ludzi pochlebstwa nie wzbudzają podejrzeń. Do Dany Rocco wysłano nieco inną wiadomość, w której poproszono ją o prowadzenie spotkania, a także poinformowano o tym, że została wybrana Najbardziej Lubianym Nauczycielem. W liście znalazła się również prośba o dochowanie tajemnicy aż do momentu publicznego ogłoszenia wyników plebiscytu.

Pułapka była zastawiona solidnie, jednak nie była bezbłędna. Dana Rocco mogła w każdej chwili wspomnieć o spotkaniu dyrektorowi Bevonsowi, który na pewno zdziwiłby się tą informacją i cały plan mógł się zawalić. Czy naprawdę możemy nazwać Kevina *szczęściarzem*? Ona na pewno nie mogła.

Wieczorem 7 kwietnia Kevin nastawił swój budzik pół godziny wcześniej niż zwykle i zawnoc przygotował sobie wystarczająco luźne ubranie, które miało mu zapewnić swobodę ruchu. Wybrał więc tę białą koszulę z szerokimi rękawami w szermierczym stylu, w której równie dobrze mógł wybierać się do fotografa. Ja osobiście spędziłabym taką noc dręczona cierpieniem, ale z drugiej strony to przede wszystkim nie wpadłabym na to, by zrealizować tak szalony plan. Mogę jedynie stwierdzić, że jeśli Kevin nie przespał tej nocy, to z pewnością z powodu ogromnego podniecenia tym, co miało się wydarzyć.

W drodze do szkoły następnego dnia na pewno był niezłe obciążony - zapięcia rowerowe ważyły po trzy kilogramy - ale Kevin przygotowywał się do swego własnego kursu strzelectwa już od początku semestru, gdyż takie niezbyt popularne hobby nie wzbudzało specjalnego zainteresowania. Inni uczniowie przyzwyczaili się już do tego, że przynosił do szkoły różne elementy wyposażenia łuczniczego. Nikt nie był wystarczająco obeznany z tajnikami tego dziwaczного sportu, by przejmować się tym, że Kevin nie taszczył ze sobą zwykłego lub długiego łuku, a kuszę. W dodatku władze szkoły zapewniały później, że tego rodzaju sprzęt nie mógł być wnoszony na teren szkoły. Choć Kevin miał pokaźną liczbę strzał - musiał nosić je w torbie - nikt nie zwrócił uwagi na worek; szeroki łuk, jakim koledzy w ósmej klasie omijali Kevina, w jego ostatnim roku szkoły jeszcze bardziej się powiększył.

Po tradycyjnym umieszczeniu sprzętu strzeleckiego w magazynie przy sali gimnastycznej, poszedł na wszystkie lekcje. Na angielskim zapytał Danę Rocco, co znaczy

występek, czym bardzo ucieszył nauczycielkę.

Swą indywidualną lekcję strzelania zaplanował na ostatnią część dnia, a - co wzbudzało jego entuzjazm - nauczyciele wychowania fizycznego nie pilnowali go, gdy pakował strzały w cel wypchany trocinami. Dlatego też Kevin miał wystarczająco dużo czasu, by oczyścić salę gimnastyczną z wszelkich urządzeń typu worek treningowy, konie lub materace. Wygodnie dla niego zasłony odgradzające prowizoryczne trybuny były podniesione. Aby upewnić się, że tak pozostanie, założył małą blokadę na żelaznych wspornikach po obu stronach, upewniając się tym samym, że zasłony nie opadną bez jego interwencji. Gdy skończył, w sali gimnastycznej pozostało tylko sześć niebieskich mat - cienkich, służących do siedzenia - ułożonych w radosnym kręgu na środku parkietu.

Logistyka tego przedsięwzięcia, dla tych, którzy się interesują tym tematem, była dopracowana w najdrobniejszych szczegółach. Sala gimnastyczna była osobnym budynkiem znajdującym się o dobre trzy minuty marszu od pozostałych obiektów. Do głównej sali gimnastycznej prowadzi pięć wejść - z szatni męskiej, z szatni damskiej, z magazynu, a także z holu; drzwi na drugim piętrze prowadzą do salki, która służy do zajęć z aerobiku, skąd rozciąga się widok na całą salę. Żadne z tych wejść nie wychodzi na zewnątrz budynku. Sala jest niezwykle wysoka, a okna znajdują się tylko na samej górze; z poziomu ziemi nie można zobaczyć, co dzieje się wewnątrz hali. W dodatku na to popołudnie nie zaplanowano żadnych wydarzeń sportowych.

Dzwonek zadzwonił o godzinie 15.00, a o 15.15 odległy gwar uczniów udających się do domów zaczął stopniowo zanikać. Sala gimnastyczna była opustoszała, choć Kevin pewnie denerwował się nieco, gdy wchodził do męskiej szatni i odwijał z ramienia pierwsze rowerowe zapięcie. Jest metodyczną osobą nawet w najzwyczajniejszych okolicznościach, dlatego możemy być pewni, że wszystkie zapięcia sprawdził bardzo skrupulatnie. Owijając ciężki łańcuch wokół klamek podwójnych drzwi, naciągnął go z całej siły. Po zerwaniu ochronnych warstw nylonu, zaczepił zapadki o siebie, upewnił się, że dobrze trzymają i zamknął je na klucz, który schował do kieszeni. Mam wrażenie, że testował wytrzymałość drzwi, które w jego odczuciu miały później zostać wyważone. Powtórzył to ćwiczenie w żeńskiej szatni, później także przy wejściu od strony magazynu, skąd wyszedł tylnymi drzwiami do siłowni.

Teraz wiem, że te zapięcia były dziełem sztuki w zakresie zabezpieczeń rowerowych. Część małej, ale bardzo wytrzymałej kłódki w kształcie litery U ma wielkość zaledwie pięciu centymetrów, co uniemożliwia złodziejom podłożenie dźwigni. Łańcuch jest fabrycznie bardzo ciasno spleciony, a każde ogniwo ma niewiele ponad centymetr długości. Zapięcia

Kryptonite są także znane z tego, że wytrzymują działanie wysokich temperatur, ponieważ złodzieje zwykli także używać palników. Firma jest tak pewna swych produktów, że w przypadku kradzieży roweru zabezpieczonego zapięciem gwarantuje odszkodowanie w wysokości wartości skradzionego roweru. W przeciwieństwie do konkurentów, gwarancja firmy Kryptonite obowiązuje również w Nowym Jorku.

Mimo dobitnie wyrażonego braku zainteresowania Twoją pracą, Franklinie, Kevin był właśnie na najlepszej drodze do stworzenia rewelacyjnej reklamy Kryptonite.

Około godziny 15.20, śmiejąc się radośnie, do sali gimnastycznej zaczęli przychodzić pierwsi laureaci NZO. Wchodzili głównym wejściem z korytarza. Tylko ono pozostało otwarte.

- *Higiena osobista, mamuniu* - powiedział Soweto.

- Hej, jesteśmy zdolni i obiecujący - stwierdziła Laura, bawiąc się swymi jedwabistymi, brązowymi włosami. - Nie dostaniemy krzeseł?

Mouse podszedł do magazynu, by wziąć stamtąd jakieś składane krzesła, ale okazało się, że pomieszczenie jest już zamknięte. Greer zaproponowała wówczas: - No nie wiem, tak przecież też jest przyjemnie. Możemy usiąść ze skrzyżowanymi nogami, tak jak przy ognisku.

- *Wypraszam sobie* - powiedziała Laura, której ubranie było dość... skąpe. - Skrzyżowane nogi w tej spódnicy? No i na litość boską, to jest Versace. Nie chcę jej ubrudzić jakimś starym potem.

- Jasne, kobieto - Soweto zmierzył ją wzrokiem - na pewno *zmoczysz* swoją spódniczkę.

Kevin mógł spokojnie słuchać swych laureatów, siedząc w sali przeznaczonej na zajęcia z aerobiku, znajdującej się na wyższym poziomie; tak długo, jak siedział w głębi, pozostawał niewidoczny dla osób stojących na dolnym poziomie. Trzy rowery stacjonarne, bieżnia i maszyna wioślarska zostały już odsunięte od poręczy ograniczającej salkę. Wyciągnięty z worka arsenał składał się z mniej więcej stu strzał, które jeżyły się w dwóch kołczanach.

Zachęcony wspaniałym echem, Denny na cały głos zaśpiewał kilka wersów piosenki *Nie pij wody*, a Ziggy, który zwykle przechadzał się po szkole w kostiumie baletowym i rajtuzach, by prezentować swe łydki, nie mógł oprzeć się pokusie, co Kevin później określił jako iście „królewskie wejście”, by zatańczyć kilka piruetów w poprzek sali gimnastycznej, zakończonych efektownym wyskokiem. Laura, która niewątpliwie nie miała ochoty oglądać się za gejami, wpatrywała się tylko w Jeffa Reevesa - cichego i poważnego, przystojnego niebieskookiego długowłosego blondyna, którym zachwycano się wiele dziewcząt. Jedną z

takich cichych wielbicielkach Jeffa była właśnie Laura Woolford, dla której był on Zdolnym i Obiecującym nie tylko z powodu wspaniałych umiejętności gry na gitarze klasycznej.

Miguel, który musiał wmawiać sobie, że jest niepopularny z powodu swoich zdolności lub dlatego, że jest Latynosem - wszystko, tylko nie to, że jest niski i pulchny - szybko rzucił się na jedną z mat i z powagą utkwiał wzrok w książce Alana Blooma pt. *Umysł zamknięty*. Za nim usiadła Greer, która popełniła błąd, uważając, że wszyscy odrzuceni lubią się, i próbowała nakłonić go do rozmowy na temat interwencji NATO w Kosowie.

Dana Rocco przybyła o godzinie 15.35. - No, załoga, do dzieła! - zawołała wszystkich do siebie. - Ziggy, bardzo ładnie, ale to nie lekcja baletu. Możemy zająć się naszym zadaniem? To miła okazja, ale mimo wszystko jest już po zajęciach, a chciałabym wrócić do domu na program Lettermana.

W tym momencie pojawił się pracownik kawiarenki, który przyniósł ze sobą tacę z owiniętymi w folię kanapkami. - Gdzie to postawić, proszę pani? - zapytał Danę Rocco. - Dostaliśmy zamówienie od pana Bevonsa, by dostarczyć tu przekąski.

- Don by o tym nie pomyślał! - zauważyła Rocco.

Cóż. Ktoś najwyraźniej o tym pomyślał. I muszę przyznać, że kanapki były dobrym posunięciem, które nadało temu spotkaniu atmosferę prawdziwego szkolnego wydarzenia. Kevin jednak trochę przesadził, dlatego też ten gest pociągnął za sobą *skutki uboczne*.

- Proszę pani, skończyłem już swoją zmianę. Mogę trochę porzucać do kosza? Będę sobie rzucał na drugim końcu sali. Nie będę przeszkadzał. Nie mam boiska do koszykówki w okolicy mojego domu. Będę naprawdę wdzięczny.

Rocco odmówiłaby - hałas z pewnością by ją rozpraszał - ale pracownik kawiarenki był czarny.

Kevin pewnie miał pretensje do siebie o to, że w rogu sali zostawił piłkę do koszykówki, ale o tej godzinie - a była już 15.40 - bardziej martwił się tym, że przedstawienie nie mogło się jeszcze rozpocząć. W sali było na razie tylko dziewięciu zaproszonych gości, a także jeden intruz. Operacja nie była organizowana dla spóźnialskich, a skoro spotkanie się nieco opóźniało, musiał gorączkowo opracować awaryjny plan, by umożliwić spóźnienie Joshui Lukronsky'emu.

- O matko! - powiedziała Laura, przejmując tacę z kanapkami. - *Rolada* z indyka. Totalna strata kalorii.

- Przede wszystkim, moi drodzy - zaczęła Rocco - chciałam wam wszystkim pogratulować, że zostaliście uhonorowani tą wyjątkową nagrodą...

- Dobra, dobra! - drzwi wejściowe rozstąpiły się szeroko - *Podzielmy się rolami!*

Kevin nigdy nie był tak szczęśliwy, widząc wyjątkowo irytującego Joshuę Lukronsky'ego. Gdy krąg osób rozszerzył się nieco, by zrobić dla niego miejsce, Kevin wyczołgał się z salki na piętrze i kolejnym zapięciem Kryptonite zamknął dolne piętro. Starał się być tak cicho, jak tylko mógł, jednak łańcuch nieco hałasował. Na szczęście dla niego zagłuszał go pracownik kawiarenki, który odbijał piłkę. Po powrocie na górę ostatnim zapięciem zamknął podwójne drzwi do salki.

*Voila.* Ryba znalazła się w akwarium.

Zastanawiał się jeszcze nad swoim postępowaniem, czy po prostu dobrze się bawił? Minęło kolejnych pięć minut spotkania, gdy Kevin cichutko przysunął się do poręczy z naładowaną kuszą. Teraz można było go dostrzec z dołu, ale grupa była zbyt zajęta sobą, by przejmować się tym, co dzieje się dookoła.

- Ja mogę wygłosić mowę - zaproponowała Greer. - Na przykład na temat konieczności dymisji prokuratora nadzwyczajnego? Przecież Kenneth Starr to diabeł wcielony.

- Może coś mniej dzielącego? - zaproponowała Rocco. - Chyba nie chcesz odrzucić republikanów...

- *Zalozymy się?*

Łagodny, nagły dźwięk. I tak jak krótka pauza pomiędzy błyskawicą a grzmotem, tak i tu była krótka chwila ciszy pomiędzy *świstem* strzały wbijającej się w bluzkę Versace noszonej przez Laurę Woolford, a chwilą, w której pozostali uczniowie zaczęli krzyżeć.

- O, mój Boże!

- Skąd to przyleciało!

- Ona krwawi jak cholera!

*Świst.* Miguel, który nie zdołał jeszcze wstać, dostał strzałę w brzuch. *Świst.* Jeff został trafiony między łopatki i zatoczył się na Laurę Woolford. Mogę tylko wywnioskować, że przez te wszystkie godziny, które Kevin spędził w ogródku, trenując strzelanie, ten mały, czarny środek tarczy w centrum wszystkich koncentrycznych okręgów w jego umyśle jawił się teraz jako idealne kółko na bluzce Versace Laury Woolford. Trafiona prosto w serce, poniosła śmierć na miejscu.

- Tam jest! - wskazał Denny.

- Dzieci, uciekajmy stąd! Biegiem! - nakazała Rocco, choć i bez tego wszyscy rzucili się do ucieczki; wszyscy zdrowi uczniowie kierowali się w stronę głównego wejścia, gdzie przekonali się o nowym znaczeniu wyrażenia *paniczny strach*. Zajmując pozycję w górnej salce, Kevin mógł objąć wzrokiem całą powierzchnię sali gimnastycznej i wkrótce miał

dojrzyć wszystkich zaproszonych gości.

- Cholera, powinienem się domyślić! - krzyczał Joshua, patrząc w górę i szarpiąc drzwi do magazynu, z którymi mocował się już Mouse. - To *Khatchadourian!*

Świst. Jeff Reeve z wystającą z pleców strzałą walił pięścią w główne drzwi, wołając o pomoc, ale teraz druga strzała utkwiała w jego karku. Mouse próbował dostać się do szatni dla chłopców, ale drzwi nie chciały się otworzyć. Został przy tym trafiony w pośladek; nie zabiłoby go to, ale gdy kuśtykał do drzwi prowadzących do szatni dla dziewcząt, było wystarczająco dużo czasu na to, by trafiła go także i ta śmiertelna strzała.

Dana Rocco dotarła do tych drzwi mniej więcej w tym samym czasie, trzymając na rękach ciało Laury Woolford - bezowocna, ale odważna próba, która będzie z pewnością wspomniana po jej śmierci. Mouse spojrzał w oczy Rocco i pokręcił głową. Gdy jego wrzeszczący koledzy biegali w kółko od jednych drzwi do drugich niczym ciasto w mikserze, Mouse krzyknął ze wszystkich sił: - Drzwi są zamknięte! Wszystkie drzwi są zamknięte! Kryjcie się!

Ale za *czym?*

Pracownik kawiarenki - mniej pasujący do Szkolnej Strzelaniny niż uczniowie, który przeszedł odpowiednie szkolenia i natychmiast *wcielił się w swoją rolę* - przesuwiał się wzdłuż ścian, tak jakby szukał jakiegoś tajnego przejścia, poruszał się powoli, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Pustaki nie chciały się rozsunać, dlatego teraz chował się za piłką do koszykówki, którą trzymał między swą głową i strzelcem. Kevin niewątpliwie był zły na siebie, że pozostawił na sali jakiegokolwiek przeszkody, nawet jeśli były one niewielkie, a niewystarczająca ochrona jedynie mogła ściągnąć na siebie strzały. Świst. Piłka została przebita.

- Kevin! - zawołała nauczycielka angielskiego, chowając za sobą Mouse'a i wciskając go w róg najbardziej oddalony od salki na piętrze. - Proszę, przestań! Proszę, proszę, przestań!

- *Występek?* - Kevin syknął dobitnie ponad ich głowami; Joshua później opowiadał, że to dość cicho wypowiedziane słowo było słychać bardzo wyraźnie, mimo dość sporego hałasu. W ciągu całego zdarzenia było to jedyne słowo, które padło z ust Kevina. Po tym Kevin popatrzył na swoją najwierniejszą sojuszniczkę i spokojnie wpakował jej strzałę prosto pomiędzy oczy.

Gdy upadła, Mouse został odsłonięty. Mimo że czołgał się, schowany za ciałem nauczycielki, został trafiony po raz kolejny, a strzała tym razem przebiła mu płuco. To nauczy go dzielić się sekretami komputerowych wirusów z dyletantami, którzy bardziej



zainteresowani są łucznictwem.

Mouse, przynajmniej w oczach Joshuy, miał dobry pomysł; Lukronsky pozbierał wszystkie niebieskie maty służące do siedzenia i zrobił z nich prowizoryczną tarczę. Nie działała jednak tak dobrze, jak to bywa w filmach, gdyż dwie strzały wbiły się o centymetry od jego głowy. Przesuwając się w kierunku rogu zajmowanego przez Mouse'a w czasie, gdy Kevin zajęty był mierzeniem do potężnych ud Soweto Washingtona, Joshua zbudował sobie improwizowaną kryjówkę złożoną z niebieskich mat oraz ciał Dany Rocco, Laury Woolford i charczącego, współprzycimnego Mouse'a Fergusona. Z tego nietypowego namiotu obserwował rozwiązanie akcji, spoglądając spod ramienia Laury, podczas gdy oddech Mouse'a zaczął zanikać. Było mu ciepło, był obłany zimnym potem, towarzyszył mu również obrzydliwy, przyprawiający o mdłości odór.

Opuszczając bezpieczne schronienie, Greer Ulanov podeszła pod ścianę opadającą pod poręczą odgradzającą kryjówkę Kevina. Stała kilka metrów poniżej nieżyczliwego Kupidyna. Znalazła w końcu kogoś bardziej odrażającego niż Kenneth Starr.

- Nienawidzę cię, ty głupi robaku! - krzyczała. - Mam nadzieję, że usmażysz się w piekle! Mam nadzieję, że wstrzykną ci truciznę i będę mogła patrzeć, jak umierasz! - Jej przemiana była bardzo szybka. Jeszcze miesiąc temu pisała esej potępiający karę śmierci.

Wychylając się przez poręcz, Kevin strzelił pionowo w dół, trafiając Greer w stopę. Strzała przebiła stopę i wbiła się w podłogę, unieruchamiając dziewczynę. Gdy próbowała wyrwać się z uwięzi, Kevin przybił również jej drugą stopę. Mógł pozwolić sobie na odrobinę zabawy; w odwodzie miał jeszcze pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt strzał.

W tym czasie wszyscy ranni doczołgali się do przeciwległej ściany, gdzie leżeli jak laleczki wudu poprzebijane igłami. Większość starała się skulić na podłodze tak, by stanowić jak najmniejszy cel. Ziggy Randolph, który jeszcze nie był trafiony, wybiegł na środek sali gimnastycznej i zaprezentował się z wyprężoną klatką piersiową i złączonymi stopami. Dobrze zbudowany, o ciemnej karnacji, był świetnie prezentującym się chłopcem, choć o nieco zniewieściałych manierach, to jednak nigdy nie wiedziałam, czy efektowna gestykulacja homoseksualistów to rzecz wrodzona, czy wyuczona.

- Khatchadourian! - głos Ziggy'ego rozszedł się po całej sali. - Posłuchaj mnie! Nie musisz tego robić! Po prostu odłóż łuk na podłogę i porozmawiajmy. Większość z tych ludzi wyjdzie z tego, jeśli szybko wezwiemy lekarza!

Warto przypomnieć w tym miejscu zdarzenie związane z Michaeliem Carnealem. Po wystrzeleniu grupy modlitewnej w Paducah w stanie Kentucky w roku 1997 żarliwy uczeń Heath High School, syn pastora o książkowym nazwisku Ben Strong, był później fetowany w

całych Stanach Zjednoczonych za wpłynięcie na napastnika, by ten odłożył broń, narażając się przy tym na śmiertelne niebezpieczeństwo. Zgodnie z rozwijającą się legendą Carneal odłożył pistolet i upadł na ziemię. Z powodu ogólnonarodowego zapotrzebowania na bohaterów związanych z wydarzeniami, które raczej nie przynoszą nam chluby, historia była dobrze znana w całych Stanach Zjednoczonych. Strong szeroko opisywany był w „Timesie”, udzielił wywiadu w programie *Larry King Live*. Ziggy prawdopodobnie chciał wcielić się w rolę bohatera w tym konkretnym przypadku, dlatego zebrał się na odwagę, podobnie jak wcześniej podczas roku szkolnego przyznał się do homoseksualizmu. Tu też chciał wykorzystać swoje oratorskie talenty i dar przekonywania.

- Wiem, że coś musiało cię bardzo zdenerwować - kontynuował Ziggy; większość ofiar Kevina jeszcze żyła, a ktoś starał się okazać mu współczucie. - Jestem pewny, że cierpisz, ale to nie jest właściwe rozwiązanie...

Niestety, dla Ziggy'ego apokryficzne wcielenie nieugiętego Bena Stronga, mówiącego *Michael? Odlóż broń!*, nie miało się spełnić do wiosny roku 2000, kiedy to w sądzie rejonowym rozpoczął się proces wytoczony przez rodziców ofiar przeciwko ponad pięćdziesięciu stronom - rodzicom, nauczycielom, władzom szkoły, innym nastolatkom, sąsiadom, twórcom gier *Doom* i *Quake*, producentom filmu *Przetrwać w Nowym Jorku*. Strong pod przysięgą zeznał, że pierwsza wersja wydarzeń, którą opowiedział dyrektorowi swojej szkoły, została rozdmuchana przez media, a z czasem zaczęła żyć własnym życiem. Uwięziony w pułapce kłamstwa, od tamtej chwili pozostał nieszczęśliwym człowiekiem. Okazało się bowiem, że gdy nasz bohater wkroczył do akcji, Michael Carneal przestał już strzelać i leżał na podłodze. Podał się bez najmniejszego oporu. - Zrobił to, co miał zrobić - wyznał Strong - i odrzucił pistolet.

*Świst.* Ziggy zatoczył się do tyłu.

Mam nadzieję, że nie przedstawiłam tych wydarzeń w tak beznamiętny sposób, który wskazywałby na to, że jestem bezduszna. Wszystko dlatego, że te wydarzenia pozostają większe, bardziej wyraźne i rzucające się w oczy niż każdy inny smutek. Po prostu po raz kolejny powtarzam sekwencję zdarzeń opisaną przez „Newsweek”.

Papugując ich wersję, nie mam jednak zamiaru udawać, że staram się wniknąć do umysłu Kevina, jedyne go obcego kraju, do którego niechętnie wkraczałam. Opisy przedstawiające naszego syna, dokonane przez Joshuę i Soweto, zdecydowanie różnią się od relacji dotyczących innych, podobnych wydarzeń. Dzieciaki z Columbine na przykład były obłąkane, ich oczy błyszczały, twarze wykrzywione były w idiotycznym grymasie. Kevin dla odmiany opisywany był jako „skoncentrowany” i „poważny”. Ale przecież na strzelnicy

zawsze tak wyglądał, zresztą żeby tylko na strzelnicy. Pomyślałam o tym - tak jakby stał się strzałą, a potem w tym wcieleniu odnalazł poczucie celu, którego brakowało jego codziennej, flegmatycznej osobowości.

Zdałam sobie również sprawę z faktu, że dla większości z nas istnieje potężna, nieprzekraczalna bariera pomiędzy nawet najbardziej ohydny, ale jedynie wyobrażonym złem, a jego rzeczywistą realizacją. To mniej więcej taka stalowa bariera, jaka tworzy się pomiędzy nożem i moim nadgarstkiem, nawet jeśli jestem skrajnie zrozpaczona. Jak więc Kevin mógł być zdolny do tego, by unieść kuszę, wycelować w pierś Laury, a potem rzeczywiście, w czasie i przestrzeni, zwolnić cięciwę? Mogę jedynie przypuszczać, że odkrył rzecz, której nigdy nie chciałam, by odkrył. Tego, że nie ma żadnej bariery. Że tak jak i moje zagraniczne wycieczki, śmieszne zapięcia rowerowe lub zaproszenia wypisane na szkolnym papierze firmowym, że każde takie wydarzenie można rozłożyć na zbiór pojedynczych części składowych. Strzał z łuku lub pociągnięcie za spust pistoletu stają się czynnościami tak oczywistymi, jak sięgnięcie po szklankę wody. Obawiam się, że wejście na teren „rzeczy nie do pomyślenia” nie jest trudniejsze niż wejście do wnętrza zwykłego pokoju; i to jest, jeśli pozwolisz, ta sztuczka. Sekret. Jak zwykle sekretem jest to, że nie ma żadnego sekretu. Pewnie zawsze chciał się z tego śmiać, choć to nie było w jego stylu; te dzieciaki z Columbine *chichotały*. A jeśli już odkryjesz, że nic nie może cię powstrzymać - że bariera, która wydaje się nieprzekraczalna, istnieje *jedynie w twojej głowie* - na pewno możliwe jest to, by przekraczać tę granicę dowolną ilość razy, strzał za strzałem, tak jakby jakiś marny cherlak narysował na dywanie linię, której nie możesz przekroczyć, a ty przekraczasz ją tam i z powrotem.

Ta rzecz dręczy mnie najbardziej. Nie wiem, jak możemy sobie pomóc.

Jeśli dziwisz się, że nikt nie odpowiedział na rozpaczliwe wołanie o pomoc, to wiedz, że sala jest odizolowana od reszty budynków szkolnych, a ci, którzy jako ostatni wychodzili ze szkoły, przyznali, że słysząc krzyki, uznali, iż w sali gimnastycznej odbywa się jakieś interesujące wydarzenie sportowe. Nie było przecież słycać strzałów. A najbardziej oczywistym wyjaśnieniem braku alarmu jest to, że całe zamieszanie trwało mniej więcej dziesięć minut. Jeśli jednak Kevin osiągnął jakiś nieodgadniony stan umysłu, to na pewno trwał on dłużej niż te dziesięć minut.

Soweto zemdłał, co prawdopodobnie ocaliło mu życie. Joshua pozostał bez ruchu, jego barykada z ciał trzęsła się od systematycznego deszczu strzał, który dobiły m.in. Mouse'a Fergusona. Wołania o pomoc lub bolesne krzyki dobywające się spod ścian zostały uciszone kolejnymi strzałami. Wykorzystał swój czas, Franklinie - opróżnił obydwu kołczany, aż linia

bezwładnych ofiar wyglądała jak rodzina jeżozwierzy. Jednak bardziej przerażające niż ten trening strzelecki - ofiary nie były już ruchomymi celami - było jego przerwanie. Zadziwiająco trudno jest zabić ludzi za pomocą kuszy. Kevin doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego czekał. Gdy w końcu o godzinie 17.40 pracownik ochrony chciał otworzyć drzwi, a nie mogąc poradzić sobie z zapięciem Kryptonite, spojrzął przed okienko w drzwiach i ujrzał mnóstwo krwi, Kevin dalej czekał. Gdy na miejscu zjawiała się policja uzbrojona w potężne, ale w tym przypadku bezużyteczne nożyce (które nawet nie naruszyły łańcuchów) i w końcu trzeba było sprowadzić elektryczną piłę - co zajęło dość dużo czasu - Kevin siedział przy barierce, machając opuszczonymi nogami. I czekał. W rzeczywistości ta przedłużająca się przerwa pomiędzy ostatnią strzałą a wejściem brygady antyterrorystycznej około godziny 18.55 była jedną z tych niewypełnionych luk, na które, gdy miał sześć lat, zalecałam mu książki.

Laura Woolford i Dana Rocco zginęły bezpośrednio od strzał. Ziggy, Mouse, Denny, Greer, Jeff, Miguel i pracownik kawiarenki, kropla po kropli, wykrwawili się na śmierć.

(6 kwietnia 2001 - ciąg dalszy)

Gdy wysiadłam z samochodu, cały teren był obstawiony karetkami i radiowozami. Granice znaczyła rozciągnięta wokół żółta policyjna taśma. Powoli zapadał zmrok, a zatroskani sanitariusze byli oświetlani upiorną mieszaniną czerwieni i błękitu. Na ogrodzonym terenie pojawiały się kolejne nosze - byłam przerażona; myślałam, że ten makabryczny pochód nigdy się nie skończy. Jednak nawet w tak strasznych okolicznościach znajoma twarz będzie świeciła jaśniej niż wszystkie lampy ambulansów i radiowozów. Moje oczy w ciągu kilku sekund dojrzały Kevina. To był klasyczny przypadek opóźnionej reakcji. Mimo że miałam problemy ze swoim synem, to jednak poczułam dużą ulgę, że żyje. Nie miałam jednak okazji, by zaspokoić moje zdrowe instynkty macierzyńskie. Na pierwszy rzut oka było widać, że Kevin nie szedł, a *był prowadzony* chodnikiem z sali gimnastycznej przez dwóch barczystych policjantów. Jedyнным powodem, dla którego trzymał ręce za plecami, a nie wymachiwał nimi zuchwale, prawdopodobnie było to, że nie miał innego wyjścia.

Zakręciło mi się w głowie. Przez moment wszystkie światła na parkingu zlepiły się w beładną kotłowaną, niczym wzory, jakie widzisz po potarciu oczu.

- Psze pani, chyba będzie pani musiała opuścić ten teren... - usłyszałam. To był jeden z tych policjantów, którzy zjawili się u nas w domu przy okazji incydentu na kładce dla pieszych, ten ostrzejszy i bardziej cyniczny. W swej pracy musieli spotykać wielu

zdziwionych rodziców, których pociechy określano dziećmi „z dobrych domów”, ponieważ nie rozpoznał mojej twarzy.

- Nie rozumie pan - powiedziałam, dając najtrudniejszy dowód lojalności w całym moim życiu. - *To jest mój syn.*

Jego twarz stężała. Do takiego widoku udało mi się później przyzwyczać, a znacznie gorsze było żalodne spojrzenie, mówiące „biedactwo-naprawdę-nie-wiem-co-powiedzieć”. Na razie jednak nie przywykłam do tego, zapytałam go, co się stało, i od razu mogłam dostrzec w jego kamiennym wyrazie twarzy, że jeśli byłam za coś pośrednio odpowiedzialna, to było to naprawdę coś bardzo złego.

- Mam kilka ofiar śmiertelnych, psze pani - to było wszystko, co postanowił mi powiedzieć. - Najlepiej, jeśli pojedzie pani prosto na komisariat. Proszę jechać Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą w kierunku Trzysta Trzeciej. I skręcić w Orangeberg Road. Wejście na komisariat znajduje się na Town Hall Road. Oczywiście, *zakładając*, że nigdy wcześniej tam pani nie była.

- Mogę... z nim porozmawiać?

- Musi pani spotkać się z oficerem. To ten w czapce - powiedział i oddalił się pospiesznie.

Kierując się w stronę radiowozu, na którego tylne siedzenie policjant wpychał naszego syna, trzymając go za głowę, musiałam przejść całą gamę formalności, wyjaśniając kilku policjantom, kim jestem. W końcu zrozumiałam nowotestamentową historię o świętym Piotrze i to, dlaczego musiał trzykrotnie wyrzec się jakichkolwiek związków z wyrzutkiem, który został zlinczowany. Wyparcie się może nawet bardziej kusiło mnie niż Piotra, choćby dlatego, że mimo usilnych starań ten chłopiec z pewnością nie był mesjaszem.

W końcu dotarłam do czarno-białego radiowozu policji z Orangetown. Na jego boku widniał napis „We współpracy ze społeczeństwem”, do którego się już raczej nie zaliczałam. Wpatrywałam się w tylną szybę, ale nie byłam w stanie nic dojrzeć z powodu odbijających się w niej świateł. Przystawiłam rękę do okna. Nie płakał ani nie zwieszał głowy. Odwrócił się w kierunku okna. Nie miał oporów przed tym, by spojrzeć mi prosto w oczy.

Pomyślałam o tym, by krzyknąć *Coś ty narobił!*, ale ten oklepany zwrot byłby czysto retorycznym pytaniem, wręcz lekceważącym wyrzeczeniem się dziecka. I tak wkrótce miałam poznać wszystkie szczegóły. I nie potrafiłam sobie wyobrazić rozmowy, która nie byłaby w tym momencie żalona.

Dlatego patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Wyraz twarzy Kevina był spokojny. Widać było jeszcze resztki zdecydowania, ale determinacja ustępowała już miejsca

samozadowoleniu z dobrze wykonanego zadania. Jego oczy były dziwnie czyste - niezmacone, prawie pokojowe - i rozpoznałam w nich przejrzystość, którą dostrzegłam rano, choć miałam wrażenie, że to śniadanie było dziesięć lat temu. To był obcy syn, chłopiec, który zrzucił swą oklepaną, wykrętną maskę *mam na myśli* i *wydaje mi się* na rzecz pełnego poświęcenia i wyrazistości człowieka z misją.

Był z siebie zadowolony. Widziałam to dokładnie. I to było wszystko, co chciałam wiedzieć.

Gdy teraz przypominam sobie widok jego twarzy, pamiętam coś jeszcze. Szukał. Szukał czegoś w mojej twarzy. Szukał intensywnie i bardzo uważnie, a później lekko osunął się na siedzenie. Czegokolwiek szukał, na pewno tego nie znalazł, i to też zdawało się w jakiś sposób go cieszyć. Nie uśmiechał się, ale podejrzewam, że miał ku temu powody.

Franklinie, jadąc na komisariat policji w Orangetown chyba byłam na Ciebie wściekła. To nie było fair, ale Twój telefon komórkowy wciąż był wyłączony, a sam wiesz, jak takie małe rzeczy potrafią wyprowadzić z równowagi. Na razie nie byłam w stanie denerwować się na Kevina, dlatego bezpieczniej dla mnie było wyładować swą frustrację na Tobie, bo przecież Ty nie zrobiłeś nic złego. Raz po raz naciskając guzik ponownego wybierania numeru, wydzierałam się za kierownicą: - *Gdzie jesteś?* Jest prawie wpół do ósmej! Włącz ten cholerny telefon! Na miłość boską, czemu akurat *dzisiaj* musisz pracować dłużej? Nie słyszałeś *wiadomości*? - Ale Ty nie słuchałeś radia w samochodzie; wolałeś słuchać Springsteena lub Charlie Parkera. - *Franklin, ty sukinsynu!* - krzyczałam przez palące łyżki złości. - Jak możesz zostawiać mnie samą z tym wszystkim?

W pierwszej chwili przejechałam Town Hall Road, ponieważ ten krzykliwy, biało-zielony budynek z zewnątrz bardziej przypominał jakąś restaurację lub centrum odnowy biologicznej. Nie licząc niezgrabnie wyrzeźbionej tablicy z brązu, upamiętniającej czterech policjantów z Orangetown, którzy zginęli na służbie, hol składał się z białych ścian i nieciekawego linoleum. Jednak dyżurka była przerażająco intymna, chyba nawet bardziej klaustrofobiczna niż izba przyjęć w szpitalu w Nyack. Nie nadano mi priorytetowego statusu, choć oficer dyżurna poinformowała mnie przez okienko, że mogę towarzyszyć mojemu „nieletniemu” - słowo, które sprawiało wrażenie niewłaściwego uproszczenia - w areszcie. Spanikowana odparłam: - Muszę? - a ona odpowiedziała: - Jak pani woli. - Skierowała mnie na czarną sofę, na której siedziałam i patrzyłam, jak policjanci biegają we wszystkie strony. Czułam się wplątana w to wszystko, a jednocześnie zupełnie z tym niezwiązana. Nie chciałam tam być. Gdyby brzmiało to jak poważne niedomówienie, to czułam również, że nie chcę być

w żadnym innym miejscu. Wykończona tym wszystkim, chciałam po prostu być martwa.

Przez krótki czas na drugim końcu czarnej sofy przysiadł chłopiec, którego teraz już znam jako Joshuę Lukronsky'ego. Zresztą nawet gdybym znała wcześniej tego ucznia, to wątpię, bym rozpoznała go w tamtym momencie. Mały chłopak, który nie przypominał nastolatka, a bardziej kogoś w wieku Celi, zupełnie zatracił wszelkie cechy, dzięki którym był rozpoznawany w szkole. Ramiona miał zapadnięte, czarne włosy w nieładzie. Ręce miał złożone na kolanach, a nadgarstki tak nienaturalnie wygięte, jakby jego dłonie były w zaawansowanym stadium zaniku mięśni. Siedział idealnie cicho i spokojnie. Nawet nie mrugał.

Przyznano mu policyjnego opiekuna, co uświadomiło mi, że moja rola nie ma tu znaczenia - od razu poczułam się zarażona, zakażna i poddawana kwarantannie - jednak nie odpowiadał, ponieważ umundurowany policjant stojący obok niego starał się zainteresować go modelami samochodów policyjnych. To była całkiem ciekawa kolekcja. Wszystkie modele były metalowe, niektóre bardzo stare - ciężarówki, przyczepy do przewozu koni, motocykle, fordys z roku 1949 z Florydy, Filadelfii, Los Angeles. Z ojcowską troską oficer objaśniał, że jedno auto jest wyjątkowo rzadkie, z czasów, gdy policja z Nowego Jorku jeździła jeszcze biało-zielonymi pojazdami. Joshua tępo patrzył przed siebie. Jeśli zdawał sobie sprawę, że siedziałam niedaleko niego, to raczej nie wiedział, kim jestem, a ja nie zamierzałam się przedstawiać. Zastanawiałam się, dlaczego ten chłopak nie został zabrany do szpitala razem z pozostałymi poszkodowanymi dziećmi. Nie miałam pojęcia, że żadna kropla krwi na jego ubraniu nie należy do niego.

Po kilku minutach duża, pulchna kobieta wyszła zza drzwi dyżurki, podeszła do sofy i jednym ruchem wzięła chłopca na ręce. - Joshua! - zapłakała. Początkowo miękko poddał się jej uściskowi, ale z czasem jego dłonie owinięły się wokół ramion kobiety. Jego brudna koszula zostawiała czerwone mazy na kremowym płaszczu przeciwdeszczowym, a mała twarz schowała się w fałdach jej okazałej szyi. Równocześnie byłam wzruszona i zazdrosna. To było spotkanie, którego ja nie mogłam przeżyć. *Kocham cię tak bardzo! Tak się cieszę, że nic ci się nie stało!* Ja już nie odczuwałam ulgi, że nasz syn był *cały i zdrowy*. Odkąd spjrzałam na niego przez szybę radiowozu, jego widoczna *zwartość* zaczynała mnie dręczyć.

Cała trójka zniknęła za drzwiami. Oficer dyżurny w dalszym ciągu ignorował mnie. Nie wiedziałam, co począć, więc postanowiłam spróbować zadzwonić z telefonu komórkowego, który obracałam w dłoniach niczym różaniec; dzwonienie przynajmniej jakoś wypełniło mój czas. Dla odmiany przez chwilę zaczęłam dzwonić do domu, ale za każdym razem odzywała się automatyczna sekretarka. Rozłączałam się w połowie nagrywania,

ponieważ miałam już dość swojego głosu. Zostawiłam trzy lub cztery wiadomości, pierwsza kontrolowana, a ostatnia płaczliwa, nawołująca, by ktoś wreszcie pojawił się w domu. Pomyślałam, że Robert, zdając sobie sprawę z tego, że oboje pracujemy do późna, zabrał pewnie Celię do McDonalda; uwielbiała tam ciepłą szarlotkę. Dlaczego do mnie *nie zadzwonił*? Przecież miał mój numer komórkowy! Czyżby *Robert* nie słuchał wiadomości? Już wiem, w McDonalddie odtwarzają Muzaka, a pewnie niekoniecznie włączałyby radio podczas tak krótkiej trasy. Ale czy nikt nie wspomniałby o tym w kolejce? Przecież w całym Rockland County nikt nie rozmawiał teraz o niczym innym.

Po krótkim czasie dwaj oficerowie poprosili mnie do małego pokoju, bym złożyła zeznania. Byłam tak oderwana od rzeczywistości, że byłam mniej niż grzeczna. Prawdopodobnie brzmiałam też dość dziwnie; nie widziałam sensu w kontaktowaniu się z prawnikiem, gdyż nie byłam przekonana, że Kevin zrobił coś złego. To był pierwszy moment, gdy ktoś poczuł się właściwą osobą, by udzielić mi najważniejszych informacji na temat tego, *co* zrobił mój syn. Liczba ofiar, którą podał jeden z policjantów, później okazała się przesadzona, ale wówczas nie miałam powodu, by podważać fakt, że liczba zabitych zawsze jest w pierwszym momencie zawyżona. Poza tym, tak naprawdę co to za różnica być matką syna, który zabił *tylko* dziewięć osób, a nie trzynaście? Ich pytania były dla mnie zupełnie bezsensowne: jak Kevin radził sobie w szkole, jak zachowywał się tego poranka.

- Miał małą sprzeczkę z moim mężem! Ale to nic nowego; chyba nie miałam z tego powodu wzywać policji?

- Spokojnie, pani Kachourian...

- Khatchadourian! - nalegałam. - Bardzo proszę o poprawne wypowiedanie mojego nazwiska, dobrze?

Oczywiście, że spełnili moją prośbę.

- No dobrze, pani *Khadourian*. Skąd pani syn mógł mieć tę kuszę?

- To był prezent świąteczny! *Mówiłam* Franklinowi, że to błąd. *Mówiłam* mu. Czy mogę jeszcze raz zadzwonić do męża?

Pozwolili mi skorzystać z telefonu, ale po kolejnej nieudanej próbie połączenia opadłam z sił. - Przepraszam - szeptałam. - Przepraszam, przepraszam. Nie chciałam być niemą. Nie obchodzi mnie moje nazwisko. Nienawidzę mojego nazwiska. Nie chcę go więcej słyszeć. Przepraszam...

- Pani Khadarian... - jeden z oficerów troskliwie położył mi rękę na ramieniu. - Może innym razem złoży pani zeznania.

- Ja tylko... mam córkę, małą dziewczynkę, Celię, w domu, czy możecie...



- Rozumiem. Obawiam się, że Kevin będzie musiał zostać w areszcie. Chciałaby pani porozmawiać z synem?

Przypominając sobie to przymilne i zacięte wrażenie spokoju, które widziałam przez szybę policyjnego auta, rozdygotałam się i schowałam twarz w dłoniach.

- Nie, proszę, nie - błagałam, czując się jak tchórz. Musiałam brzmieć jak Celia, prosząc, by nie musieć się kapać, gdy jest ciemno, bo w wannie może czaić się jakiś przerażający, kleisty potwór. - Proszę, nie zmuszajcie mnie. Nie. Nie mogłabym się z nim teraz spotkać.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli pojedzie pani do domu.

Patrzyłam na niego głupim wzrokiem. Było mi wstyd. Naprawdę wierzyłam, że będą chcieli zatrzymać mnie w areszcie.

Gdy tak na niego patrzyłam, policjant postanowił wypełnić jakoś tę ciszę i powiedział:

- Jak tylko dostaniemy nakaz, będziemy musieli przeszukać pani mieszkanie. Prawdopodobnie zrobimy to jutro. Ale proszę się nie martwić. Nasi ludzie potrafią się zachować. Nie przewrócimy pani mieszkania do góry nogami.

- Możecie nawet je spalić, jeśli chcecie. Nie obchodzi mnie to - powiedziałam. - Nienawidzę tego domu. Zawsze go nienawidziłam...

Obaj policjanci spojrzeli na siebie wymownie: *hysteryczka*. Odprowadzili mnie do drzwi.

Uwolniona - nie mogłam w to uwierzyć - na parkingu przeszłam obok swojego samochodu, w pierwszej chwili nie rozpoznając go. Wszystko, co do tej pory było moim życiem, stało się obce. Byłam oniemiała. Dlaczego tak po prostu mnie wypuścili? Nawet w tym momencie odczuwałam głęboką potrzebę bycia przesłuchaną i zatrzymaną. Musiałam powstrzymać się przed ponownym wejściem na posterunek i naleganiem, by pozwolili mi spędzić noc w areszcie. Z pewnością należałam do tego miejsca. Byłam przekonana, że jedynym łóżkiem, na którym będę w stanie spokojnie spać tej nocy, będzie tani, zużyty materac z szorstkim prześcieradłem, a jedyną kołysanką, która utuli mnie do snu, będzie szcęk więziennych kluczy.

Gdy już znalazłam swój samochód, niespodziewanie się uspokoiłam. Spokojnie. Metodycznie. Jak Kevin. Kluczyki. Światła. Pasy. Wycieraczki, gdyż była drobna mgiełka. Mój umysł stał się czysty. Przestałam mówić do siebie. Jechałam do domu bardzo powoli, hamując na żółtym świetle, zatrzymując się w wyznaczonych miejscach, mimo że już nie było ruchu. A gdy skręciłam w naszą ulicę, zauważyłam, że w naszym domu nie pali się żadne

światło. Nic o tym nie myślałam. Wolałam nie myśleć.

Zaparkowałam. Twój samochód stał w garażu. Poruszałam się powoli. Wyłączyłam wycieraczki i światła. Zamknęłam samochód. Włożyłam kluczyki do mojej egipskiej torby. Zatrzymałam się, by pomyśleć o innych zwykłych czynnościach, które muszę wykonać, zanim wejdę do domu; zdjęłam liść z przedniej szyby, podniosłam skakankę z podłogi w garażu i zawiesiłam ją na haczyku.

Gdy zapaliłam światło w kuchni, pomyślałam, że zupełnie niepodobne do Ciebie było zostawienie tyłu brudnych naczyń po śniadaniu. Patelnia po Twojej kielbasce stała w suszarce, ale ta do tostów i większość talerzy i szklanek wciąż stały na blacie. Luźne strony „Timesa” walały się po stole, mimo że zabieranie papieru na stos, który układałeś w garażu, było jedną z Twoich małych obsesji. Zapalając kolejną lampę, mogłam zobaczyć, że nikogo nie było w jadalni, salonie i w kąciu do nauki; to była jedna z korzyści domu bez drzwi. Mimo to przeszłam przez każdy pokój. Bardzo powoli.

- Franklin? - zawołałam. - Celia? - Brzmienie mojego głosu osłabiało mnie. Był słaby i cienki, i nie było żadnej odpowiedzi.

Gdy dotarłam do korytarza, zatrzymałam się przy pokoju Celi i zmusiłam się, by wejść do środka. Było ciemno. Jej łóżko było puste. Tak samo w głównej sypialni, w łazienkach, na tarasie. Nic. Nikt. Gdzie byliście? Pojechaliście mnie szukać? Mam przecież telefon komórkowy. Znałeś numer. I dlaczego nie zabrałbyś samochodu? To jakaś gra? Schowaliście się i wraz z Celią naśmiewacie się ze mnie w ukryciu? Akurat tę noc wybraliście na zabawę?

Dom był pusty. Poczułam palącą, nieodpartą potrzebę, by zadzwonić do matki.

Przeszłam przez cały dom dwukrotnie. Mimo że już wcześniej sprawdziłam pokoje, za drugim razem czułam jeszcze większy niepokój. Miałam wrażenie, że w domu ktoś jest, ktoś obcy, włamywacz, którego nie mogłam zobaczyć, a który czai się tuż za mną, chowa się za szafkami, a w ręku trzyma tasak. W końcu, trzęsąc się, wróciłam do kuchni.

Poprzedni właściciele domu musieli zamontować te zewnętrzne oświetlenie z myślą o przyjęciach w ogrodzie. My nie byliśmy miłośnikami imprez w ogrodzie, dlatego też rzadko korzystaliśmy z tego oświetlenia. Wiedziałam jednak, gdzie znajduje się włącznik: na lewo od spiżarni, za szklanymi drzwiami, przez które wychodziło się na zewnątrz. To zwykle tam stałam, gdy przyglądałam się, jak wraz z Kevinem grasz w baseball, czując się niepotrzebna, odrzucona. W tym momencie czułam się podobnie - opuszczona. Tak jakbyś organizował jakąś znaczącą uroczystość rodzinną, a ja jako jedyna z grona Twoich znajomych nie zostałam zaproszona. Trzymałam dłoń na włączniku dobre trzydzieści sekund, zanim

zdecydowałam się zapalić światło. Gdybym musiała zrobić to jeszcze raz, poczekalabym odrobinę dłużej. Oddałabym każde pieniądze za każdy fragment mojego życia bez obecności tego obrazu.

Na szczycie wzgórza rozświetlił się tor strzelecki. Wkrótce zrozumiałam żart ukryty za południowym telefonem Kevina do Lamont, kiedy to powiedział Robertowi, by nie odbierał Celi ze szkoły, bo siostra jest chora. Celia stała oparta o tarczę - wyprostowana, wierna i ufna, tak jakby chciała się bawić w „Wilhelma Tella”.

Gdy otworzyłam drzwi i pobiegłam na wzniesienie, moja szybkość była niepotrzebna. Celia i tak by poczekała. Jej ciało było przybite do tarczy pięcioma strzałami, które podtrzymywały jej tors niczym pinezki, którymi przypinała własne obrazki do korkowej tablicy. Gdy podeszłam bliżej, wołając ją po imieniu, sprawiała wrażenie, jakby na mnie patrzyła, groteskowo, z głową odrzuconą do tyłu. Pamiętam, że wkładałam jej protezę, jednak w tej chwili nie było jej na właściwym miejscu.

Są rzeczy, o których doskonale wiemy, nawet przez chwilę nie myśląc o nich, odbieramy je w podświadomy sposób, gdy biegają gdzieś na powierzchni naszego umysłu. Teraz było tak samo: wiedziałam, co jeszcze znajdę, bez konieczności określania tej rzeczy. Dlatego, gdy wspinałam się na tor strzelecki i potknęłam się o coś wystającego z krzaków, zrobiło mi się niedobrze, ale nie byłam zdziwiona. Natychmiast rozpoznałam przeszkodę. Wystarczająco często kupowałam takie brązowe buty w krajach Ameryki Środkowej.

Och, kochany. Bardzo chciałabym opowiedzieć sobie jakąś bajeczkę, ale poczułam się zobowiązana, by dostrzec związek pomiędzy pozornie nic nieznaczącym nieporządkiem w ogrodzie, a najwspanialszym mężczyzną, którego poślubiłam.

Dzieci miały jeszcze dobre dwadzieścia minut czasu, zanim powinny wyjść do szkoły, dlatego pozwoliłeś im pobawić się w ogrodzie. Tak naprawdę zachęciło Cię to, że choć raz oboje będą bawić się razem - *przywiązanie*. Przejrzałeś „Timesa”, choć w czwartki zawsze była lokalna wkładka, która Cię nie interesowała. Zabrałeś się za zmywanie naczyń. Usłyszałeś krzyk. Nie wątpię, że w mgnieniu oka znalazłeś się przy drzwiach prowadzących do ogrodu. Od podnóża pagórka rzuciłeś się w jego stronę. Mimo ponad pięćdziesięciu lat byłeś krzepkim mężczyzną, wciąż przecież codziennie skakałeś prawie godzinę na skakance. Wiele by trzeba, by powstrzymać kogoś takiego jak Ty. I prawie Ci się udało - byłeś kilka metrów od szczytu, gdy nadleciała pierwsza strzała.

Moja teoria jest następująca: chyba się zatrzymałeś. Nie wierzyłeś, że to, co widzisz - nasza córka przybita do łuczniczej tarczy ze strzałą wystającą z jej piersi, nasz syn obracający się i mierzący do ojca z kuszy, którą dostał pod choinkę - może być prawdą. Istniało coś

takiego, jak dobre życie. Możliwe było bycie dobrym ojcem, z weekendowymi piknikami i czytaniem bajek na dobranoc, wychowywaniem porządnego syna. To była Ameryka. A Ty zrobiłeś wszystko tak, jak należy. Czyli to nie mogła być prawda.

Ten jeden śmiertelny moment zawahania - pomyślałeś o tym, co chciałbyś zobaczyć - miał fatalne skutki. Możliwe, że Twój mózg zdołał nawet przebudować ten obraz, zmiksować podkład dźwiękowy: Celia, nasza śliczna mała Celia, nasza ukochana Celia uodparnia się na swoje kalectwo i radośnie bawi się swymi złotymi włosami rozwiewanymi przez wiosenny wiatr. Nie krzyczy. Śmieje się. *Wrzeszczy* ze śmiechu. Jedyny powód, dla którego mała pomocnica Kevina stoi tuż przy tarczy, to wyjmowanie strzał - och, Franklinie, czyż nie zrobiłaby tego? Co do Twojego przystojnego syna, to trenował strzelectwo już od sześciu lat. Pobierał nauki u doświadczonych profesjonalistów, więc na pewno zdaje sobie sprawę z wymogów bezpieczeństwa. Nigdy nie wycelowałby naciągniętej kuszy w głowę innej osoby, a już na pewno nie w głowę swego ojca.

Oczywiście promienie słoneczne także odegrały w tym przedstawieniu swoją rolę. Przecież machał tylko uniesioną ręką. Na pewno chciał Cię przeprosić, nie mówiąc zbyt wiele - w końcu jest nastolatkiem - za ten niekontrolowany wybuch podczas śniadania, w którym skrytykował wszystko, co robiłeś dla niego. Na pewno chciał powiedzieć, że jest zainteresowany działaniem aparatu Canon i chciałby, byś przy kolejnej okazji wyjaśnił mu pozycje obiektywu. Tak naprawdę przecież podziwiał pracę swego ojca, która dawała duże pole do popisu i przy okazji sporą niezależność. Dla nastoletniego chłopca to po prostu niezręczne. W tym wieku przecież powoli stają się dorośli. Chcą być lepsi od nas. Na pewno jednak czuł się źle, że tak go poniosło. Rozgoryczenie nie było przecież prawdziwe. Bardzo cenił sobie wycieczki na pola bitew wojny secesyjnej, choćby tylko dlatego, że wojna jest czymś, co tylko mężczyźni potrafią zrozumieć, a w muzeach nie da się tego tak dobrze poczuć. Wiezorami w swoim pokoju na pewno patrzył na liście, które zbieraliście w ogrodzie rodzinnego domu Theodore'a Roosevelta i wkładał je do encyklopedii. Patrząc na blednące kolory, uświadamiał sobie śmiertelność wszystkich rzeczy, także jego ojca, i płakał. *Płakał*. Nigdy nie widziałbyś tego; nigdy też o tym by Ci nie powiedział. Ale nie musiałby. Widzisz? Machanie? Macha do Ciebie, byś przyniósł aparat fotograficzny. Zmienił zdanie. Ma jeszcze pięć minut do autobusu i chce, abyś zrobił mu kilka zdjęć i zaczął już tworzyć kolekcję, którą powiesimy w przedpokoju - Waleczne Serce z Palisades.

Ta mistrzowska wizja nie trwała dłużej niż sekundę lub dwie, zanim rozplynęła się. Trwała jednak wystarczająco długo, by Kevin mógł spokojnie wypuścić pierwszą strzałę - być może tę, która przebiła Twoje gardło i wystawała z tyłu szyi. Musiała przebić tętnicę; wokół

Twojej głowy, w świetle lamp ogrodowych, trawa była czarna. Kolejne trzy strzały - jedna wystawała z Twojej klatki piersiowej w miejscu, do którego tak bardzo lubiłam się tulić, druga przebiła mięśnie łydki, a trzecia tkwiła w pachwinie - wyglądały jak śledzie wystające przy dobrze rozbitym namiocie.

I znów zastanawiam się, jak szybko wbiegałeś na wzniesienie - charcząc, dławiąc się własną krwią. Nie chodzi o to, że nie zależało Ci na niej, ale może zdawałeś sobie sprawę, że już za późno na ratunek. To, że nie krzyczała, było złym sygnałem. A ratowanie siebie może po prostu nie było w Twojej naturze. W świetle ogrodowych lamp, z cieniem strzały wystającej z szyi, Twoja twarz wyrażała tylko jedno uczucie - wielkie rozczarowanie.

*Eva*

8 kwietnia 2001

*Drogi Franklinie,*

Nie wiem, czy wciąż śledzisz te sprawy, ale mniej więcej tydzień temu nad Morzem Południowochińskim chiński myśliwiec zderzył się z amerykańskim samolotem szpiegowskim. Chiński pilot prawdopodobnie zatonął, a uszkodzony amerykański samolot wylądował na chińskiej wyspie Hainan. Pojawiły się wątpliwości dotyczące tego, który samolot uderzył w drugą maszynę. Tak czy inaczej, wywołało to spore zamieszanie dyplomatyczne, w dodatku Chińczycy zatrzymali dwudziestu czterech członków załogi amerykańskiego samolotu - w ramach przeprosin. Nie miałam na tyle energii, by śledzić dokładnie, czyja to była wina, ale zaintrygowało mnie, że światowy pokój (a przynajmniej tak mówią) zależy od jednego aktu skruchy. Zanim przeszłam edukację w tych sprawach, uznałabym tę sytuację za irytującą. Po prostu przeproście ich, a załoga wróci do domu! Teraz jednak skrucha ma dla mnie nieco inny wymiar i wcale mnie nie dziwi, ani nawet nie irytuje, że obecne wydarzenia są od niej tak mocno zależne. Poza tym, jak na razie ta zagadkowa sprawa z Hainan była stosunkowo prosta. Znacznie częściej rzeczy wyglądają tak, że przeprosinami niczego się nie odzyskuje.

Później zresztą polityka stała się dla mnie wielkim zbiorem małych, osobistych historii. Zupełnie już w nią nie wierzę. Są tylko ludzie i to, co się z nimi dzieje. Nawet to zamieszanie na Florydzie - dla mnie była to tylko sprawa człowieka, który od dziecka chciał zostać prezydentem. Człowieka, który był już tak blisko, że mógł poczuć to stanowisko. Sprawa człowieka, jego smutku i desperacji, by cofnąć czas i liczyć głosy tak długo, aż wynik będzie dla niego korzystny - i jego żalnego odrzucenia wyniku. W podobny sposób mniej myślę o ograniczeniach w handlu i przyszłych dostawach broni do Tajwanu, a więcej rozmyślałam o tych dwudziestu czterech uwięzionych młodych ludziach, którzy są trzymeni w obcym budynku, w obcych zapachach, karmieni jedzeniem, które na pewno nie przypomina chińszczyzny znanej z amerykańskich restauracji, źle śpią, wyobrażają sobie najgorsze - oskarżeni o szpiegostwo i gnijący w chińskim więzieniu, podczas gdy dyplomaci wydają komunikaty, których i tak nikt nie pozwala im czytać. Młodzi ludzie, którym wydawało się, że są żądni przygód, dopóki jedna z nich ich nie spotkała.

Czasami nawet jestem przerażona naiwnością, jaka cechowała mnie we wcześniejszym okresie mojego życia - zaskoczona, że w Hiszpanii są drzewa, zrozpaczona, że za każdą niezbadaną wcześniej granicą jest normalne jedzenie i pogoda. Chciałam udać się

gdzieś *indziej*, myślałam. Nierozsądnie wyobrażałam sobie, że jestem przepelniona nienasyconym apetytem na egzotykę.

Cóż, Kevin wprowadził mnie naprawdę do obcego kraju. Tego mogę być pewna, bo prawdziwie obcym krajem jest ten, który sprawia, że rozpaczliwie tęsknisz za domem.

Kilka małych wspomnień i doświadczeń związanych z zagranicznymi podróżami zachowałam dla siebie. Co zupełnie nie jest w moim stylu. Pamiętasz, jak kiedyś wróciłam z podróży i zaprezentowałam Ci moje kulturowe ozdoby, swego rodzaju przewodnik jak-oni-to-robiją-w-innych-krajach, który można ułożyć tylko w tym miejscu, w którym się aktualnie przebywa. Tak jak ten mały szczegół, że w Tajlandii kromka chleba nie jest krojona w poprzek bochenka, a wzdłuż.

Pierwszą rzeczą, z której zrezygnowałam, była moja protekcyjność. Powinnam obdarzyć Cię większym zaufaniem, bo wybryk Kevina z premedytacją rzucał się w oczy; w innym życiu mógł stać się organizatorem wielkich konferencji profesjonalistów - na pewno czegoś, co wymagało „zdolności organizacyjnych i umiejętności rozwiązywania problemów”. Nawet Ty musiałbyś zdawać sobie sprawę z tego, że umiejscowienie *Czwartku* trzy dni przed momentem wejścia w wiek pełnej odpowiedzialności karnej nie było przypadkiem. Wirtualnie być może miał już wtedy szesnaście lat, ale w sensie prawnym wciąż był piętnastolatkiem. Oznaczało to, że w stanie Nowy Jork będzie sądzony zgodnie z łagodniejszym prawem, nawet jeśli sąd postanowi sądzić go jako dorosłego. Kevin z pewnością zajrzał do książek i wiedział, że prawo, w przeciwieństwie do jego ojca, nie *zaokrągla w górę*.

Jego prawnik jednak powołał na świadków wielu przekonujących ekspertów, którzy opowiadali o alarmujących przypadkach medycznych. Co typowe, przygnębiony, ale dobrze wychowany pięćdziesięciolatek przechodzi terapię prozakiem, po czym wpada w paranoję i demencję, zabija całą rodzinę, a na końcu popełnia samobójstwo. Zastanawiałam się, czy Ty też kiedykolwiek chwytasz się tych wszystkich farmaceutycznych wykrętów? Nasz dobry syn był jedynie pechowcem, którego reakcja na leki antydepresyjne była przewrotna, i zamiast zmniejszać jego obciążenia, wpędzały go w jeszcze większy mrok? Bo ja naprawdę chciałam w to wierzyć, szczególnie podczas procesu Kevina.

Choć ta linia obrony ani nie uwolniła go zupełnie z zarzutów, ani nie zagwarantowała mu kuracji w szpitalu psychiatrycznym, wyrok dla Kevina mógł być nieco łagodniejszy z uwagi na wątpliwości co do jego stabilności. Po odczytaniu wyroku, w którym sędzia skazał Kevina na siedem lat, po wyjściu z sądu podziękowałam jego obrońcy, Johnowi Goddardowi.

Wprawdzie nie czułam się wtedy zbyt wdzięczna - siedem lat nie było krótkim okresem - ale doceniałam to, że John zrobił wszystko, co w jego mocy, by jak najlepiej poradzić sobie z tą nieprzyjemną robotą. Szukając jakiegoś sensownego komplementu, postanowiłam pochwalić jego nowatorskie podejście do tej sprawy. Powiedziałam, że dotychczas nie słyszałam o psychotycznym wpływie prozacu na niektórych pacjentów, a także przyznałam, że Kevin nigdy nie dostawał takich leków.

- Och, nie dziękuj mi. Podziękuj Kevinowi - powiedział John. - Ja też nigdy nie słyszałam o takiej psychozie. Taktyka obrony to był pomysł Kevina.

- Ale... przecież nie miał dostępu do biblioteki, prawda?

- Na pewno nie podczas pobytu w areszcie - przez moment popatrzył na mnie z sympatią. - Ja, szczerze mówiąc, prawie nie kiwnąłem palcem. Znał wszystkie wzmianki na ten temat. Podał mi nawet nazwiska i miejsca pracy biegłych. Masz naprawdę zdolnego chłopca, Evo - powiedział. Ale nie brzmiało to entuzjastycznie. John był przygnębiony.

Co do drugiej rzeczy - zastanawiając się nad tym, jak robią to w kraju, w tym odległym, w którym piętnastolatki mordują swych kolegów z klasy - nie zatrzymałam jej dla siebie, ponieważ pomyślałam, że nie wytrzymałbyś tego. Po prostu nie chciałam o tym myśleć lub w jakiś sposób wiązać z tym Ciebie, ale do tego popołudnia żyłam w ciągłym strachu, że to wydarzenie się powtórzy.

To było chyba trzy miesiące po *Czwartku*. Kevin został już osądzony i umieszczony w zakładzie karnym, a automatyczne sobotnie wizyty w Chatham stały się dla mnie rutyną. Wciąż jeszcze nie nauczyliśmy się rozmawiać ze sobą i czas dłużył się niemiłosiernie. W tamtych dniach pycha nakazywała mu traktować moje wizyty jako coś niepożądanego, dlatego obawiał się mojego przyjazdu, a cieszył się, gdy wyjeżdżałam. Jego prawdziwa rodzina była wewnątrz więzienia, wśród szanownych, nieletnich przestępców. Gdy poinformowałam go, że Mary Woolford wytoczyła mi proces, zdziwiłam się, że nie wyglądał na usatysfakcjonowanego, a jedynie na jeszcze bardziej niezadowolonego; jak później protestował *Czemu ja mam brać wszystko na siebie?* Zapytałam więc, czy to odpowiednie powitanie po tym, jak straciłam męża i córkę? Być pozwany? Zamarudził coś o moim użalaniu się nad sobą.

- A ty? - zapytałam. - Nie współczujesz mi?

Wzruszył ramionami.

- Wyszłaś z tego cała i zdrowa, prawda? Nawet włos nie spadł ci z głowy.

- Czyżby? - dodałam. - Poza tym, po co to wszystko było?



- Jeśli dajesz przedstawienie, to przecież nie zabijasz widowni - powiedział spokojnie, bawiąc się czymś w rękach.

- To znaczy, że zostawienie mnie przy życiu miało być najlepszą zemstą - odparłam. Byliśmy już dawno za etapem rewanzu.

W tamtym momencie nie byłam w stanie rozmawiać dłużej o *Czwartku*. Miałam właśnie zadać tradycyjne pytanie, czy dobrze go karmią, gdy mój wzrok padł na obiekt, który Kevin przerzucał sobie z ręki do ręki, rytmicznie łapiąc go palcami to jednej, to drugiej dłoni. Szczerze mówiąc, właśnie chciałam zmienić temat. Nie interesowało mnie, czym się bawi. Ale jeśli jego niespokojne ruchy wzięłam za oznakę zdenerwowania z powodu bliskiej obecności kobiety, której zniszczył rodzinę, to bardzo się pomyliłam.

- Co to jest? - zapytałam. - Co tam masz?

Uśmiechając się podstępnie, otworzył dłoń, ujawniając talizman ze skrywaną dumą chłopca prezentującego jakąś nagrodę. Zerwałam się z krzesła, które przewróciło się na podłogę. Nieczęsto możesz patrzeć na obiekt, który odwzajemnia twoje spojrzenie.

- Nie wyciągaj tego nigdy więcej - powiedziałam chrapliwie. - Jeśli to zrobisz, to już nigdy więcej tu nie przyjadę. Nigdy więcej. Rozumiesz?

Chyba zdawał sobie sprawę z tego, że mówię poważnie. Dało mu to władzę, dzięki której mógł pozbyć się tych pozornie uciążliwych wizyt *mamusi*. Fakt, że już nigdy więcej nie pokazał mi szklanego oka Celi znaczył jedynie to, że mimo wszystko cieszył się z moich wizyt.

Pewnie myślisz, że opowiadam Ci kolejną historyjkę. Ależ okropnego mamy chłopca, zdaję się mówić, który dręczy matkę taką pamiątką. Nie, nie tym razem. Tym razem muszę ci opowiedzieć tę historię, byś mógł lepiej zrozumieć następną, która zaczyna się tego popołudnia.

Na pewno kojarzysz datę. Dziś jest druga rocznica. To znaczy również, że za trzy dni Kevin skończy osiemnaście lat. Jeśli chodzi o udział w wyborach (do czego, jako skazany przestępca, nie będzie miał prawa we wszystkich stanach, poza dwoma) i wpis na listę poborowych oficjalnie stanie się dorosły. W tym przypadku jednak jestem skłonna zgodzić się z wymiarem sprawiedliwości, który dwa lata temu sądził go jako dorosłego. Dla mnie dniem, w którym Kevin osiągnął dojrzałość, był 8 kwietnia 1999 roku.

Napisałam z tej okazji specjalną prośbę o umożliwienie mi spotkania z synem. Mimo że zwykle takie pisma są rutynowo odrzucane, w moim przypadku zrobiono wyjątek i prośba została rozpatrzona pozytywnie. Być może władze więzienia doceniły mój sentymentalizm.

Gdy Kevin się pojawił, zanim cokolwiek zdążył powiedzieć, zauważyłam zmianę w jego zachowaniu. Jego złośliwa protekcjonalność gdzieś zniknęła, a ja w końcu doceniłam, jak męczące musi być całodzienne przybieranie maski osoby, która wszystko ma gdzieś. Po epidemii kradzieży ubrań o małych rozmiarach, władze zakładu karnego w Claverack zrezygnowały z eksperymentalnego zezwolenia na noszenie własnych strojów, dlatego Kevin ubrany był w pomarańczowy kombinezon - nie dość, że nie był zbyt mały, to był nawet zbyt duży dla niego i wyglądał w nim dość karłowato. Trzy dni przed wejściem w dorosłe życie Kevin w końcu zaczął zachowywać się jak chłopiec - zmieszany, osamotniony. Jego oczy straciły blask i wyglądały, jakby chciały schować się wewnątrz głowy.

- Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwego - zauważyłam.

- A kiedyś wyglądałem? - jego głos był mizerny.

Z ciekawości zadałam kolejne pytanie.

- Coś cię gnębi? - mimo że reguły naszego związku zakazywały tak bezpośrednich oznak matczynej troski.

Co jeszcze bardziej niezwykle, odpowiedział mi.

- Mam prawie osiemnaście lat, prawda? - stwierdził i potarł twarz. - Zabiorą mnie stąd. Słyszałem, że nie tracą czasu.

- Do prawdziwego więzienia - powiedziałam.

- Nie wiem. Dla mnie to miejsce jest wystarczająco prawdziwe.

- ...Przeprowadzka do więzienia Sing Sing tak cię dręczy?

- Dręczy? - zapytał z niedowierzaniem. - Dręczy! W ogóle coś wiesz na temat takich miejsc? - z przerażeniem potrząsnął głową.

Popatrzyłam na niego zaskoczona. Trząśł się. W ciągu ostatnich dwóch lat na jego twarzy pojawiło się kilka blizn wskazujących na bójkę, a jego nos nie był już zupełnie prosty. Efekt nie nadawał mu jednak wyglądu twardziela, a jedynie dezorganizował jego twarz. Blizny barwiły na ciemniejszy kolor i rozmywały jego niegdyś wyraźne, ormiańskie rysy twarzy. Tak jakby był narysowany przez niepewnego malarza, który ciągle używa gumki.

- Wciąż będę cię odwiedzała - obiecałam, podpierając się sarkastycznym tonem.

- Dzięki. Miałem nadzieję, że będziesz.

Obawiam się, że w tym momencie gapiłam się na niego nieufnie. W ramach testu postanowiłam wykorzystać wiadomości z marca. - Zawsze śledzisz takie informacje. Pewnie widziałeś w zeszłym miesiącu wiadomości z San Diego. Masz dwóch nowych kolegów.

- Masz na myśli Andy'ego... Andy'ego Williamsa? - Kevin starał się przypomnieć sobie to nazwisko. - Co za frajer. Jeśli chcesz znać prawdę, to żal mi go. Był naćpany.

- Mówiłam ci, że to wyjdzie z mody - powiedziałam. - Andy Williams nie trafił na pierwsze strony gazet, zauważyłeś? Problemy zdrowotne Dicka Cheney'a i ta wielka burza, która nie doszła do skutku, były ważniejszymi informacjami w „New York Timesie”. A druga strzelanina - tylko jedna ofiara, także w San Diego? Prawie wcale o tym nie mówili w wiadomościach.

- Kurde, ten gość miał *osiemnaście* lat - Kevin pokręcił głową. - Mówię poważnie. Nie wydaje ci się, że był na to nieco za stary?

- Wiesz, widziałam cię w telewizji.

- A to - powiedział nieco zmieszany. - To było nagrywane jakiś czas temu, wiesz. To było... to było coś.

- Tak, a ja nie miałam zbyt wiele czasu na to *coś* - powiedziałam. - Ale byłeś opanowany - byłeś bardzo elokwentny. Świetnie się zaprezentowałeś. Możesz tym naprawdę zaimponować.

- Myślisz, że to nie były głupoty - zaśmiał się.

- Wiesz, jaki dziś jest dzień, prawda? - zapytałam nieśmiało. - Wiesz, dlaczego pozwolili mi spotkać się z tobą w poniedziałek?

- O tak, w końcu to moja *rocznica* - wreszcie także do siebie zaczął podchodzić z ironią.

- Chciałabym cię zapytać... - zaczęłam i oblizałam wargi. Pewnie pomyślisz, że to dziwne, Franklinie, ale nigdy wcześniej nie zadałam mu tego pytania. Sama nie wiem, dlaczego. Może dlatego, by nie zostać oskarżoną o tandetne *rzucanie się na ekran telewizora*.

- Minęły już dwa lata - kontynuowałam. - Tęsknię za twoim ojcem, Kevin. Możesz nie wierzyć, ale nawet piszę do niego. Piszę do niego listy. Wszystkie leżą na wielkim stosie na moim biurku, ponieważ nie wiem, jaki ma teraz adres. Ogromnie tęsknię także za twoją siostrą. Tak wiele rodzin wciąż pogrążonych jest w smutku. Zdaję sobie sprawę, że dziennikarze, terapeuci i koledzy często zadają ci to pytanie. Ale mi nigdy nie odpowiedziałeś. Proszę, spójrz mi w oczy. Zabiłeś jedenaście osób. Mojego męża. Moją córkę. Spójrz mi w oczy i powiedz, dlaczego.

W przeciwieństwie do sytuacji, w której patrzył na mnie błyszczącymi źrenicami przez szybę radiowozu, tym razem Kevin z trudem spojrzał mi prosto w oczy. Zamykał oczy, tylko momentami nawiązując kontakt wzrokowy, a potem odwracał oczy, patrząc na kolorową ścianę. W końcu poddał się i utkwiał wzrok w boku mojej twarzy.

- Myślałem, że wiem - powiedział ponuro. - Teraz jednak nie jestem pewien.

Nie zastanawiając się, wyciągnęłam ręce na stole i uściśnęłam jego dłonie. Nie

wyrywał się.

- Dziękuję - powiedziałam.

Czy moja wdzięczność wygląda na szczerą? W rzeczywistości nie miałam zielonego pojęcia, jaką odpowiedź chciałabym usłyszeć. Z pewnością nie byłam zainteresowana wyjaśnieniem, które ogrom tego, co zrobił, sprowadzałoby do wyświechtanego, socjologicznego aforyzmu na temat „alienacji” zapożyczonego z magazynu „Time” lub jakiejś taniej psychologicznej konstrukcji w stylu „zaburzenia emocjonalne”, którą nieustannie powtarzali więzienni psycholodzy. Byłam więc zdumiona, że jego odpowiedź była tak perfekcyjna. Dla Kevina postęp był dekonstrukcją. Mógł wnikać w głąb siebie tylko wtedy, gdy najpierw doszedł do tego, że jest niezgłębiony.

Gdy w końcu uwolnił dłoń z mojego uścisku, od razu włożył ją do kieszeni.

- Słuchaj - powiedział. - Zrobiłem coś dla ciebie. To coś... coś jakby prezent.

Gdy wyjął ciemne, prostokątne, drewniane pudełko wielkości kilkunastu centymetrów, zaczęłam się usprawiedliwiać:

- Wiem, że zbliżają się twoje urodziny. Nie zapomniałam. Prezent przywiozę ci następnym razem.

- Nie przejmuj się - odparł, polerując lakierowane drewno kawałkiem papieru toaletowego. - Tutaj i tak ktoś by mi je zwędził.

Ostrożnie postawił pudełko na stole, trzymając dwa palce na górnej części. Okazało się, że nie było ono zupełnie prostokątne, ale bardziej w kształcie trumny, z zawiasami po jednej stronie i małymi brązowymi haczykami po drugiej. Pewnie zrobił je w więziennym warsztacie. Makabryczny kształt był tutaj pewnie czymś normalnym. Jego gest jednak poruszył mnie, a wykonanie było zadziwiająco dobre. W dawnych czasach wręczył mi kilka świątecznych prezentów, ale zawsze wiedziałam, że to Ty je kupowałeś, a on tak naprawdę nigdy nic mi nie dał.

- Bardzo ładnie zrobione - przyznałam szczerze. - To na biżuterię? - Sięgnęłam po pudełko, ale on szybko położył na nim dłoń.

- Nie! - rzucił ostro. - To znaczy, proszę. Rób, co chcesz, ale nie otwieraj go.

Instynktownie wycofałam się. W poprzednim wcieleniu Kevin równie dobrze mógł wykonać taki „prezent” wyłożony różowym jedwabiem. Ale porzuciłby go beztrudnie - tłumiąc perfidny uśmiezek, podczas gdy ja niewinnie otwierałabym zamknięcie. Dzisiaj jego ostrzeżenie - *nie otwieraj go* - mogło stanowić o wartości mojego prezentu.

- Rozumiem - powiedziałam. - Myślałam, że to jedna z twoich najcenniejszych rzeczy. Dlaczego to oddajesz? - byłam szczęśliwa, nieco zszokowana, a także nieco przerażona,

dlatego mój ton był nieco uszczypliwy.

- Prędzej czy później jakiś debil ukradłby mi to i wykorzystywał do tanich dowcipów - wiesz, mogłoby na przykład pływać w czyjejsz zupie. Poza tym, było takie jak ona. Ciągłe na mnie patrzyło. To zaczynało już być straszne.

- Ona patrzy na ciebie, Kevin. Tak samo jak twój ojciec. Codziennie.

Patrząc się na blat stołu, pchnął pudełko w moją stronę, a później zostawił je.

- Pomyślałem, że wezmiesz je ze sobą i, no wiesz, będziesz mogła je, wiesz...

- Pochować - dokończyłam za niego. Poczułam duży ciężar. To była niezwykła prośba, gdyż wraz z tą własnoręcznie wykonaną trumną miałam pogrzebać również jego poprzednie wcielenie.

Uroczyście zgodziłam się. Gdy tuliłam go na pożegnanie, przylgnął do mnie jak małe dziecko, czego nigdy nie mógł doświadczyć w swych najmłodszych latach. Nie jestem pewna, bo usta miał wciśnięte w kołnierz mojego płaszcza, ale wydawało mi się, że powtarzał *Przepraszam*. Nie wiedziałam, czy dobrze słyszę, ale zaryzykowałam i wyraźnie powiedziałam: - *Ja też przepraszam, Kevin*. Ja też przepraszam.

Nigdy nie zapomnę, gdy siedziałam w sądzie cywilnym i słuchałam, jak sędzia ogłasza wyrok na korzyść pozwanej. Spodziewałam się, że poczuję ulgę. Ale nie poczułam. Publiczna rehabilitacja mojego macierzyństwa nie miała dla mnie żadnego znaczenia. Jeśli już, to byłam poirytowana. Prawdopodobnie wszyscy mieliśmy rozejść się do domów, a ja miałam czuć się odkupiona. Dla odmiany jednak wiedziałam, że pójdę do domu i będę czuć się jak zwykle okropnie, jak zwykle opuszczona, i jak zwykle wstrętna. Chciałam zostać oczyszczona, ale moje doświadczenie na ławie sądowej mogłam przyrównać jedynie do parnego i piaszczystego popołudnia spędzonego w hoteliku w Ghanie: gdy idę pod prysznic i okazuje się, że główny zawór z wodą jest zakręcony. Ten pogardliwy, rdzawy prysznic w postaci kilku kropel był jedynym oczyszczeniem, jakie zgotowało mi prawo.

Jedyny aspekt wyroku, który dał mi choćby najmniejszą satysfakcję, został obciążony moimi kosztami sądowymi. Mimo że sędzia nie myślała wyłącznie przez pryzmat pozwu złożonego przez Mary Woolford, to z pewnością nie czuła do mnie sympatii, a wrogość kluczowych stron (zapytaj Denny'ego Corbitta) może sporo cię kosztować. Przez cały czas trwania procesu byłam świadoma tego, że pozuję na niesympatyczną osobę. Zdyscyplinowałam się do tego stopnia, że nigdy nie płakałam. Niechętnie wykorzystywałam Ciebie i Celię do tak kuszących celów, jak na przykład przerzucanie odpowiedzialności, a fakt, że mój syn zabił nie tylko kolegów z klasy, ale także mojego męża i córkę, zniknął w

natłoku innych tematów podnoszonych w procesie. Choć wiedziałam, że Twoi rodzice nie zamierzali podkopywać mojej linii obrony, to jednak ich zeznania dotyczące moich wizyt w Gloucester były katastrofalne; nie lubimy matek, które „nie lubią” swych własnych synów. Ja także nie przepadam za takimi matkami.

Złamałam jedną z najbardziej podstawowych zasad, sprofanowałam jeden z najbardziej uświęconych związków. Gdybym zamiast tego wierzyła w niewinność Kevina, mimo góry obciążających go dowodów, gdybym oskarżała „dręczycieli”, którzy doprowadzili go do tego, gdybym utrzymywała, że gdy zaczął zażywać prozac, to od razu stał się „całkowicie innym chłopcem” - cóż, gwarantuję ci, że Mary Woolford wraz z całym tym funduszem, który zgromadziła przez Internet na walkę ze mną, zostałaby zmuszona do pokrycia wszelkich moich kosztów sądowych do ostatniego centa. Zamiast tego gazety opisywały moje zachowanie jako „bezczelne”, a moje nieprzyjemne nastawienie pozostawiono bez komentarza. Z taką królową lodu w roli matki, to nic dziwnego, jak zauważył reporter lokalnej gazety „Journal News”, że KK wyrósł na *złego chłopca*.

Harvey oczywiście był wściekły. Od razu zaczął szeptać o apelacji. Uznał, że opłacenie kosztów sądowych było zbyt dużą karą. Nic dziwnego, w końcu to on miał wystawiać rachunki. Ja jednak byłam zadowolona. Wiedziałam, że wyrok był bolesny. Wyczerpałam już wszystkie nasze oszczędności na kosztownych obrońców Kevina i wzięłam drugi kredyt pod zastaw Palisades Parade. Zdawałam sobie sprawę, że wkrótce będę musiała sprzedać AWAP, a później także sprzedam nasz okropny, pusty dom. *To* było prawdziwe oczyszczenie.

Jednak od tamtego czasu - przez cały okres pisania listów do Ciebie - zatoczyłam pełne koło, odbywając podróż bardzo podobną do tej, jaką odbył Kevin. Pytając się drażliwie, czy *Czwartek* był moją winą, musiałam się cofnąć i rozpocząć proces dekonstrukcji. Możliwe, że zadaję sobie niewłaściwe pytanie. Za każdym razem, ciskając się między oczyszczeniem a potępieniem, jedynie męczyłam się. Nie wiem. Na końcu nigdy nie mam pojęcia, a ta czysta i pogodna ignorancja stała się swego rodzaju pocieszeniem. Prawda jest taka, że niezależnie od tego, czy zdecyduję, że jestem winna lub niewinna, to i tak niczego to nie zmieni. Gdybym właściwie odpowiedziała na to pytanie, wróciłbyś do domu?

To wszystko, co wiem. 11 kwietnia 1983 roku urodziłam syna, do którego nic nie czułam. Po raz kolejny jednak okazało się, że prawda jest znacznie obszerniejsza niż to, jak próbujemy ją przedstawiać. Gdy dziecko wilo się przy mojej piersi, od której odwracało się z niesmakiem, ja w ramach rewanżu też go odrzuciłam - był piętnaście razy mniejszy ode mnie, ale wówczas wydawało mi się to właściwe. Od tamtego momentu prowadziliśmy ze sobą

walkę z bezlitosną brutalnością, która momentami była godna podziwu. Musi jednak być możliwe to, by przez rozciąganie konfliktu do granic wytrzymałości zaskarbić sobie oddanie, by dzięki temu zbliżyć do siebie ludzi, którzy cały czas się odpychali. Trzy dni przed jego osiemnastą rocznicą urodzin mogę w końcu ogłosić, że jestem zbyt zmęczona, zbyt zmieszana i zbyt samotna, by kontynuować walkę, i choćby tylko z czystej desperacji lub lenistwa - kocham mojego syna. Przed nim jeszcze pięć ponurych lat, które ma spędzić w więzieniu dla dorosłych i nie ręczę za to, jaki będzie po tym czasie. Teraz jednak w mojej drugiej sypialni przygotowałam pokój gościnny. Narzuta na łóżko jest bardzo pospolita. Na półce leży egzemplarz *Robin Hooda*. A prześcieradła są czyste.

*Twoja zawsze kochająca żona*

*Eva*

## *Opinie światowej prasy*

„Eleganckie psychologiczne i filozoficzne poszukiwanie winy z genialnym zakończeniem...”.

*Obsewer*

„Jedna z najbardziej porażających powieści tego roku. (...) Mocne, trzymające w napięciu i oryginalne rozważania na temat zła”.

*New Statesman*

„Mrożąca krew w żyłach, a zarazem pasjonująca książka, która będzie Cię trzymać w napięciu do samego końca”.

*Irish News*

„Mocna, bolesna powieść... W tych politycznie poprawnych czasach, w których jako pewnik przyjmuje się niewinność dziecka, a winą obarcza się zdemoralizowanych dorosłych, zakończenie wybrane przez Shriver zaszokuje wielu czytelników. Zostaje tu powiedzianych wiele prawdziwych, strasznych rzeczy o życiu rodzinnym, o których większość z nas wolałaby nie rozmawiać”.

*Saga Magazine*

„Świetna powieść z porażającymi zwrotami akcji”.

*Marie Claire, Londyn*



„Głęboko szokująca, ale i hipnotyzująca powieść”.

*Harald Tribune*

„Wzbudzający jednocześnie podziw i lęk, mądry, stylowy i bezlitosny majstersztyk”.

*Independent*

„Fascynujące, bolesne rozważania o niechcianym macierzyństwie”.

*Time Out, Nowy Jork*

„Niesamowicie szczerze. Pani Shriver świadomie podejmuje ryzyko... ale ten hazard się opłaca, kiedy uderza w ton zniewalającej intymności. To ciężki temat, ale pani Shriver daje sobie z nim radę z godną podziwu brawurą, przekształcając sensacyjną historię w historię wzbudzającą niepokój”.

*Wall Street Journal*

„Sięganie po wydarzenia z pierwszych stron gazet to zawsze duże wyzwanie dla pisarza. Targana poczuciem winy Eva Khatchadourian grzebie w swojej własnej historii, historii swego syna, i narodu, w poszukiwaniu osób odpowiedzialnych, a jej pasja i szczerść wspierają opowieść; to bardzo poruszająca książka”.

*New York Times*

„Było już kilka prób zobrazowania za pomocą fikcji literackiej, co mogło skłonić nastolatka to zabijania... ale wersja Shriver jest spośród nich najbardziej udana.

(...) Jest to wstrząsająca, psychologicznie wnikliwa, miejscami pełna czarnego humoru powieść, z jasno nakreślonym zakończeniem, o trudnym, często bolesnym sensie ludzkich działań”.

*Publishers Weekly*